

ALWYN
HAMILTON

ZDRAJCA
TRONU

AUTORKA NAGRODZONA
GOODREADS BOOKS AWARDS 2016



ZDRAJCA TRONU

ALWYN
HAMILTON

ZDRAJCA TRONU

Przekład
Agnieszka Kalus



 CZW
ARTA
STR
ONA

Tytuł oryginału: *Traitor to the Throne*

Copyright © 2016 by Blue-Eyed Books

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych: FecitStudio

Fotografia na okładce: @adrenalinapura/pl.fotolia.com

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

eISBN 978-83-7976-703-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Ile klimatycznej akcji może zmieścić się w jednej książce? Dowiesz się czytając „Zdrajce tronu”. Kolejna rewelacyjna przygoda od Alwyn Hamilton!

Maja Kłodawska, Maja K.

Niebieskooka bandytka zrozumiała w końcu, kim naprawdę jest, ale nie oznacza to, że przestała pakować się w kłopoty. Pustynna rebelia trwa dalej i nie raz was zaskocz. „Zdrajca tronu” jest jeszcze lepszy niż „Buntowniczka z pustyni”!

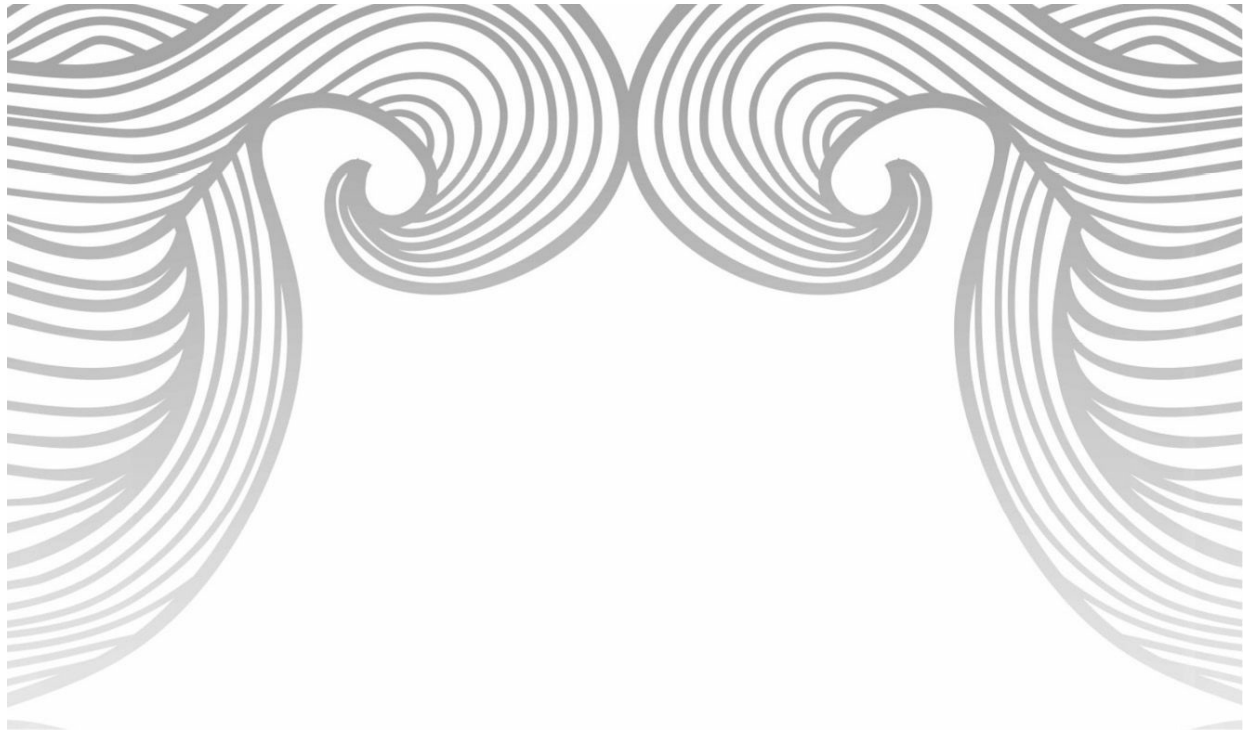
Marta Korytkowska, Bibliofilem Być

Nowy świt! Nowa pustynia! Pełna intryg, kłamstw, porywających wirów piasku i zwrotów akcji. Pośród nich Amani, Niebieskooka Bandytka, Buntowniczka, która staje oko w oko z bezkresnym złem. Bardziej wybuchowa niż cały proch świata, bo jej sprzymierzeńcem jest dzika pustynia. Jeżeli pierwszy tom był nazywany REWELACYJNYM, to o „Zdrajcy tronu” będą pisać serenady. Alwyn Hamilton nie oszczędza nas ani na sekundę! Polecam!

Kinga Maszota, KiniaBook

„Buntowniczka z pustyni” była oryginalna, barwna i niesamowita, jednak to właśnie jej kontynuacja udowadnia, że to nie jest i nigdy nie była seria o której łatwo zapomnieć. Coś niesamowitego!

Zuzanna Burkowska, Kulturalna Szafa



ROZDZIAŁ 1

OBCY KSIĄŻĘ

Pewnego razu w pustynnym królestwie Miraji mieszkał młody książę, który chciał zasiąść na tronie swojego ojca. Nie miał do tego prawa, lecz jedynie przekonanie, że jego ojciec jest słabym władcą, a on byłby silniejszy. Wobec tego zajął tron siłą. Jednej krwawej nocy Sułtan i połowa braci młodego księcia zginęli od jego miecza, walcząc z obcą armią, na czele której stanął. Kiedy nadszedł świt, nie był już księciem. Był Sułtanem.

Młody Sułtan słynął z tego, że żony do swojego haremu pozyskiwał w taki sam sposób jak władzę: przy użyciu siły.

W pierwszym roku jego panowania dwie żony powiły synów pod tymi samymi gwiazdami. Jedna z żon była dziewczyną urodzoną na piaskach. Jej syn należał do pustyni. Druga z nich była dziewczyną, która przyszła na świat za wodą, w królestwie zwanym Xicha, i wychowała się na pokładzie statku. Jej syn tu nie pasował.

Mimo to synowie dorastali jak bracia, a matki chroniły ich przed tym, przed czym nie strzegły mury okalające pałac. Przez pewien czas w haremie Sułtana wszystko dobrze się układało.

Do czasu aż pierwsza żona znowu urodziła, lecz tym razem nie było to dziecko jej męża. Była to córka Dżina, z niezwykłymi włosami i nieludzkim ogniem we krwi. Zdradzony Sułtan zwrócił swój gniew przeciw żonie. Umarła pod gradem jego ciosów.

Jego złość była tak wielka, że Sułtan nawet nie zauważył, że druga żona uciekła z obydwojma synami i córką Dżina, przepływając się przez morze do królestwa Xicha, skąd

została uprowadzona. Tam jej syn, Obcy Książę, mógł udawać, że jest częścią tej krainy. Książę z Pustyni nie mógł udawać; był tak obcy w tej okolicy, jak jego brat w królestwie ich ojca. Jednak żadnemu z nich nie było pisane pozostanie w tym miejscu. Wkrótce obaj książęta wyruszyli z Xicha na otwarte morza.

Przez pewien czas życie na statkach kursujących w różnych kierunkach było dobre dla obu braci. Pływali od brzegu do brzegu, w każdym z nowych, obcych miejsc czując się jak u siebie.

Trwało to aż do dnia, gdy przed dziobem statku znowu ukazało się królestwo Miraji.

Książę z Pustyni zobaczył swój kraj i przypomniał sobie, skąd naprawdę pochodzi. Tam zostawił statek i swojego brata. Chociaż Książę z Pustyni prosił brata, by zszedł z nim na ląd, Obcy Książę nie chciał. Kraj jego ojca wyglądał pusto i jałowo, nie rozumiał, jak mógł tak oczarować jego brata. W tym miejscu ich drogi się rozeszły. Obcy Książę przez pewien czas pływał po morzach, w duchu złościąc się na to, że jego brat wolał pustynię od wody.

W końcu nadszedł dzień, kiedy Obcy Książę poczuł, że dłużej nie zniesie rozłąki z bratem. Kiedy powrócił na pustynię Miraji, przekonał się, że jego brat rozpałił ją do czerwoności, wszczynając rebelię. Książę z Pustyni mówił o wielkich czynach, wielkich ideach, o równości i dobrobycie. Otaczali go nowi bracia i siostry, którzy, podobnie jak on, kochali pustynię. Był teraz znany jako Książę Buntownik. Z otwartymi ramionami powitał człowieka, który przez całe życie był jego bratem.

Przez pewien czas wszystko dobrze się układało w obozie rebeliantów.

Aż pojawiła się pewna dziewczyna. Dziewczyna zwana Niebieskooką Bandytką, która urodziła się na piaskach, zhardziała przez życie na pustyni i płonęła całym jej ogniem.

Po raz pierwszy Obcy Książę zrozumiał, co jego brat tak pokochał w tej pustyni.

Obcy Książę i Niebieskooka Bandytka razem przemierzali pustynię, aż dotarli do miejsca wielkiej bitwy w mieście Fahali, gdzie przebywali sojusznicy Sułtana z innej krainy.

W bitwie o Fahali buntownicy odnieśli pierwsze zwycięstwo. Ochronili pustynię przed Sułtanem, który chciał ją spalić żywcem. Uwolnili Półdzina, którego Sułtan chciał – wbrew jego woli – zmienić w swoją broń. Zabili syna Sułtana, gotowego doprowadzić do rozlewu krwi, by zyskać aprobatę ojca. Doprowadzili do rozłamu sojuszu Sułtana z innym krajem, który od dekad doprowadzał pustynię do upadku. Buntownicy zażądali dla siebie części pustyni.

Wieści o bitwie pod Fahali szybko się rozeszły. Wraz z nimi plotki o tym, że pustynia znowu może być do wzięcia. Pustynia Miraji była jedynym miejscem, gdzie mogły obok siebie egzystować stara magia i nowe maszyny, i tym samym tylko tam można było wyprodukować szybko dość strzelb, by uzbroić ludzi walczących w wielkiej wojnie szalejącej pomiędzy narodami na północy.

Mnóstwo pazernych oczu z dalekich krain zwróciło się ku Miraji. Na pustyni pojawiło się natychmiast wiele armii, przychodziły ze wszystkich stron, każda chciała doprowadzić do nowego sojuszu lub podbić kraj dla siebie. I podczas gdy wrogowie z zewnątrz podgryzali granice ziem Sułtana i zapewniali zajęcie jego armii, buntownicy wewnątrz kraju przejmowali miasto za miastem, wytrącając je z rąk Sułtana i przekonując ludzi do przejścia na ich stronę.

Przez pewien czas sprawy układały się dobrze dla rebelii, Niebieskookiej Bandytki i Obcego Księcia.

Aż do czasu, gdy jego brat, Książę Buntownik, zaczął tracić przewagę. Dwa tuziny buntowników zginęły w pułapce zastawionej gdzieś w piaskach, po otoczeniu przez liczniejszego wroga. Jedno z miast powstało przeciw

Sułtanowi, nocą wykrzykując imię Księcia Buntownika, ale ci, którzy krzyczeli, następny świt oglądali martwymi oczami. A Niebieskooka Bandytka została ciężko ranna w bitwie w górach. To tam, po raz pierwszy od czasu, gdy nici życia Niebieskookiej Bandytki i Obcego Księcia się splątały, ich ścieżki się rozeszły.

Gdy Niebieskooka Bandytka walczyła o życie, Obcy Książę został wysłany na wschodnią granicę pustyni. Obozowała tam armia z Xicha. Obcy Książę ukradł mundur i pewnym krokiem wszedł do obozu. Nie było to trudne, bo wreszcie nie wyglądał jak ktoś obcy. Trwał przy nich, gdy walczyli z siłami Sułtana, potajemnie szpiegując dla Księcia Buntownika.

Przez pewien czas, gdy krył się wśród tej armii, wszystko toczyło się pomyślnie.

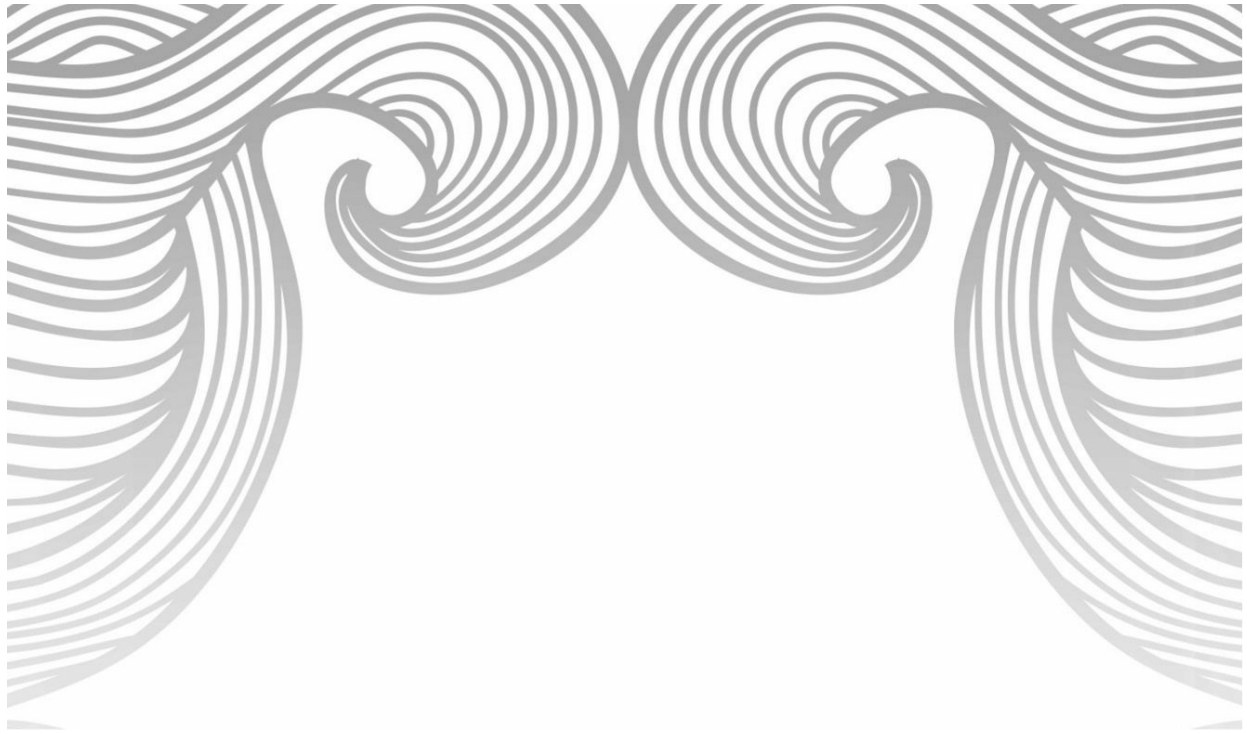
Aż pewnego dnia z wrogiego obozu nadeszło pismo. Posłaniec, który je przyniósł, ubrany był w barwy Sułtana, złoto i biel, i niósł pokojowy sztandar.

Obcy Książę zabiłby, żeby poznać treść pisma, ale nie było takiej potrzeby. Wiadomo było, że umie mówić w języku używanym na pustyni. Został wezwany do namiotu xichańskiego generała, żeby tłumaczyć rozmowę pomiędzy wysłannikiem Sułtana a Xichańczykami, ponieważ żaden z nich nie wiedział, że jest wrogiem ich obu. Wtedy dowiedział się, że Sułtan wzywa do rozejmu. W liście napisano, że miał już dość rozlewu krwi. Był gotowy negocjować. Obcy Książę dowiedział się, że władca Miraji wzywa wszystkich władców z pobliskich krain, żeby przedyskutować nowy sojusz. Sułtan prosił o przybycie do swojego pałacu każdego króla, królową, cesarza i księcia, którzy roszczą sobie pretensje do pustyni, by przedstawili swoje argumenty.

Następnego ranka pismo zostało wysłane do cesarza Xicha. Walki ustały. Nastąpił rozejm. Potem miały mieć

miejsce negocjacje. A później pokój pomiędzy Sułtanem i najeźdźcami. A wtedy władca będzie mógł bez przeszkód rozprawić się z tymi, którzy burzą porządek w granicach kraju.

Obcy Książę zrozumiał, że nadeszła pora, by wracać do brata. Ich rebelia musiała zmienić się w wojnę.



ROZDZIAŁ 2

Zawsze lubiłam tę koszulę. Szkoda, że cała została poplamiona krwią.

Dobre to, że większość krwi nie była moja. Zresztą, koszula też nie należała do mnie – pożyczyłam ją od Shazad i nigdy nie pomyślałam, że powinnam ją oddać. Teraz pewnie już jej nie będzie chciała.

– Stój!

Szarpnęło mną, gdy się zatrzymaliśmy. Miałam związane ręce, a sznur boleśnie wrzynał mi się w skórę nadgarstków. Wysyczałam przekleństwo pod nosem, po czym podniosłam głowę, w końcu odrywając wzrok od zakurzonych butów, tylko po to, by dać się oślepić pustynnemu słońcu.

W promieniach zachodzącego słońca mury Saramotai rzucały potężny, długi cień.

Te fortyfikacje obrosły legendą. Przetrwały jedną z największych bitew Pierwszej Wojny pomiędzy bohaterem Attallahem a Pogromczynią Światów. Były tak stare, że wyglądały jakby zbudowano je z kości samej pustyni. Ale słowa wypisane białą farbą nad bramą były jeszcze świeże.

Witamy w Wolnym Mieście.

Widziałam, że farba spłynęła w szczeliny pomiędzy starymi kamieniami, zanim wysuszył ją upał.

Mogłabym powiedzieć kilka rzeczy na temat tego, że zostałam spętana jak koza na ruszcie i przywleczona do tak zwanego Wolnego Miasta, ale nawet ja wiedziałam, że na razie lepiej milczeć.

– Mówcie, kim jesteście, bo będę strzelał! – krzyknął ktoś z muru. Słowa robiły o wiele większe wrażenie, niż głos, który je wymówił. W ostatnim słowie wyraźnie usłyszałam

młodzieńcze pianie. Zerknęłam znad szimy na dzieciaka celującego we mnie ze strzelby. Na pewno nie miał więcej niż trzynaście lat. Składał się z samej skóry i kości. Nie wyglądał na takiego, który potrafiłby właściwie chwycić broń, nawet jeśli zależałoby od tego jego życie. O czym mógł się niedługo przekonać. W końcu to było Miraji.

– To my, Ikar, ty idioto! – wrzasnął koło mojego ucha mężczyzna, który mnie trzymał. Skuliłam się. Nie musiał tak krzyczeć. – Otwieraj bramę, bo, niech Bóg będzie mi świadkiem, że powiem twojemu ojcu, by wyklepał cię mocniej niż jedną ze swoich podków, aż wbije ci trochę rozumu do głowy!

– Hossam? – Ikar jeszcze nie opuścił broni. Był spięty do granic możliwości. Co było mocno niepokojące, ponieważ cały czas trzymał palec na spuście. – Kto jest z tobą? – Machnął strzelbą w moim kierunku. Lufa drgała niespokojnie, przestawiłam ciało na działanie instynktowne. Zdawało się, że nie trafi w ścianę stodoły, nawet jak się postara, ale nie wykluczałam, że mogę przypadkiem oberwać. Gdyby tak się stało, lepiej zostać postrzeloną w ramię niż w klatkę piersiową.

– To... – w głosie Hossama słychać było dumę, gdy zadarł moją głowę do góry, jakbym była jakąś upolowaną przez niego zwierzyną – ...jest Niebieskooka Bandytka.

To imię padło z większą mocą niż kiedyś, ciągnąc za sobą ciężką ciszę. Ikar gapił się ze szczytu muru. Nawet z tej odległości widziałam, że aż otworzył usta.

– Otwieraj bramę! – Ikar zaczął w końcu schodzić w dół. – Otwieraj bramę!

Potężne, żelazne drzwi uchylały się strasznie wolno, stawiając opór piaskowi, który zebrał się w ciągu dnia. Hossam i pozostali mężczyźni w naszej grupie popychali mnie w pośpiechu, gdy usłyszeli jęk starych wrót.

Brama nie otworzyła się na całą szerokość, lecz tylko

uchyliła, by przez szparę mógł przecisnąć się jeden człowiek. Mimo upływu tysięcy lat, wrota wciąż były zaskakująco solidne – grube na rozpiętość ramion mężczyzny i sterowane przez system ciężarków i przekładni, jakiego nie udało się odtworzyć w żadnym innym mieście. Tych wrót nie dało się zniszczyć. I wszyscy wiedzieli, że nie dało się pokonać murów Saramotai.

Ostatnio do miasta można się było dostać tylko jako więzień, bezceremonialnie wciągnięty za szyję przez wrota. Taka ze mnie szczęściara.

Saramotai znajdowało się na zachód od gór środkowych. Co oznaczało, że należało do nas. A przynajmniej tak powinno być. Po bitwie pod Fahali Ahmed ogłosił, że to terytorium podlega jemu. Większość miast przysięgła mu posłuszeństwo, gdy tylko wycofali się Gallanie, którzy wcześniej okupowali tę część pustyni. Albo sami zażądaliśmy od nich wypowiedzenia posłuszeństwa Sułtanowi.

Z Saramotai było inaczej.

Witamy w Wolnym Mieście.

Saramotai ogłosiło swoje własne prawa, idąc o krok dalej w rebelii.

Ahmed wciąż mówił o równości i dostatku dla biednych. Ludzie z Saramotai postanowili, że jedynym sposobem na stworzenie równości jest obalenie tych, którzy znajdowali się nad nimi. Jedynym sposobem na wzbogacenie się było odebranie im majątków. Zwrócili się więc przeciw bogatym, udając, że zgadzają się z rządami Ahmeda.

On jednak zorientował się, że próbują sięgnąć po władzę. Nie za wiele wiedzieliśmy na temat Malika Al-Kizzama – człowieka, który rządził w Saramotai – oprócz tego, że kiedyś był służącym emira, a teraz, gdy ten nie żył, Malik zamieszkał w pałacu.

Wobec tego wysłaliśmy kilku ludzi, żeby dowiedzieli się więcej. I coś z tym zrobili, jeśli ta wiedza nam się nie

spodoba. Żaden nie powrócił.

To był jeden problem. Drugi polegał na tym, że trzeba się było jakoś przedostać do środka, żeby ich poszukać.

I właśnie w tym miejscu pojawia się ja, z rękami spletanymi tak mocno, że przestałam je czuć, a także świeżą raną na obojczyku, gdzie – zamiast na szyi – wylądował nóż. Zabawne, że sukces oznaczał bycie więźniem.

Hossam popchnął mnie przed siebie, zanim przeszedł przez wąską szparę w bramie. Potknęłam się i upadłam twarzą w piasek, boleśnie uderzając łokciem w żelazne wrota.

Skurwysyn, to zabolalo bardziej niż sądziłam.

Spomiędzy moich zaciśniętych zębów wyrwał się syk bólu, gdy przetoczyłam się na bok. Piasek przylgnął do moich dłoni w miejscach, gdzie pot skroplił się pod sznurem. Potem Hossam szarpnął mną i postawił na nogi. Przepchnął mnie do środka, a brama zamknęła się zaraz za nami. Zachowywał się tak, jakby się czegoś obawiał.

Wewnątrz zebrała się już grupka gapiów. Połowa z nich trzymała broń. Kilka luf wycelowali we mnie. Czyli rzeczywiście moja reputacja mnie wyprzedziła.

– Hossam. – Ktoś wypchnął mnie na przód. Był starszy od tych, którzy mnie pojмали, z powagą przyglądał się mojemu żalostnemu położeniu. Patrzył na mnie inaczej niż inni. Nie uda się go omamić tą samą sztuczką. – Co się stało?

– Pojmaliśmy ją w górach – zachrypiał Hossam. – Próbowaliśmy zastawić na nas pułapkę, kiedy wracaliśmy z zakupioną bronią. – Dwaj mężczyźni z dumą postawili na ziemi ciężkie torby pełne rewolwerów, jakby chcieli popisać się tym, że nie udało mi się pokrzyżować ich planów. Rewolwery nie były wyprodukowane w Miraji. Były z Amonpour. Wyglądały dziwnie. Były zdobione i rzeźbione, wykonane ręcznie, nie maszynowo, i kosztowały dwa razy tyle, ile były warte, ponieważ komuś chciało się je upiększyć.

Broń nie musiała być ładna, zabijała dokładnie tak samo jak brzydka. Tego nauczyłam się od Shazad.

– Tylko ją? – spytał mężczyzna o poważnym spojrzeniu. – Samą? – Znowu na mnie spojrzał. Jakby mógł poznać prawdę od samego patrzenia na mnie. Czy siedemnastoletnia dziewczyna naprawdę sądziła, że uda jej się zatrzymać pół tuzina mężczyzn, mając przy sobie tylko garść nabojęw? Czy słynna Niebieskooka Bandytka może być *aż tak* głupia?

Wolałam słowo „nierozważna”.

Trzymałam jednak gębę na kłódkę. Im więcej mówiłam, tym większe były szanse, że wymyśli mi się coś, co będą mogli użyć przeciwko mnie. *Milcz, wyglądaj na nadąsaną, nie daj się zabić.*

Gdy wszystko inne zawiedzie, trzymaj się ostatniego punktu.

– Czy naprawdę jesteś Niebieskooką Bandytką? – wyrwało się Ikarowi, przez co wszystkie oczy zwróciły się na niego. Zszedł ze swojego stanowiska wartowniczego na murze, żeby móc się na mnie gapić wraz z innymi. Oparł się na lufie swojej strzelby. Gdyby teraz wypaliła, straciłby obie ręce i kawałek twarzy. – Czy to prawda, co o tobie mówią?

Milcz. Wyglądaj na nadąsaną. Nie daj się zabić.

– Zależy, co mówią. – Cholera, nie wytrzymałam zbyt długo. – Nie powinieneś tak trzymać broni.

Ikar automatycznie zmienił pozycję, nie odrywając ode mnie oczu.

– Mówią, że potrafisz strzelić człowiekowi w oko z odległości pięćdziesięciu stóp w całkowitej ciemności. Że w Iliaz przeszłaś niedrażnięta pomiędzy świstającymi kulami i wydostałaś się z tajemnymi planami Sułtana.

Ja pamiętałam nieco inny przebieg zdarzeń w Iliaz. Skończyło się tym, że dostałam kulę.

– Że uwiodłaś jedną z żon Emira z Jalaz, kiedy przybyli

z wizytą do Izmanu.

O, to coś nowego. Słyszałam, że uwiodłam samego emira. Ale może jego żona wołała kobiety. A może historia wypaczyła się od ciągłego powtarzania, skoro ostatnio w połowie plotek byłam mężczyzną. Przestałam zasłaniać twarz i udawać, że jestem chłopakiem, ale chyba musiałabym pokazać więcej, żeby przekonać niektórych ludzi do tego, że bandytka naprawdę jest dziewczyną.

– Zabiłaś stu gallańskich żołnierzy w Fahali – ciągnął chłopak, potykając się o własne słowa i nie zrażając się moim milczeniem. – I słyszałem, że uciekłaś z Malal na grzbiecie wielkiego, niebieskiego Roka, zostawiając za sobą zalany dom modlitewny.

– Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co słyszysz – wtrąciłam się, gdy Ikar wreszcie zamilkł, żeby nabrać powietrza. Jego oczy błyszczały z ekscytacji jak dwie monety louzi.

Zwiesił ramiona z rozczarowania. Był jak dziecko, chciał wierzyć we wszystkie opowieści, podobnie jak ja, gdy byłam w jego wieku. Chociaż nie pamiętam, żebym wyglądała kiedykolwiek tak młodo jak on. Nie powinno go tutaj być, zwłaszcza z bronią. Ale przecież to właśnie robiła z nami pustynia: czyniła z nas marzycieli ze strzelbami. Przesunęłam językiem po zębach.

– Ten dom modlitewny w Malal to był wypadek... no, prawie.

Przez tłum przeszedł pomruk. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie poczułam dreszczyku na karku. A kłamstwo jest grzechem.

Minęło już prawie pół roku, odkąd byłam w Fahali z Ahmedem, Jinem, Shazad, Halą i bliźniakami Izzem i Mazem. My przeciwko dwóm armiom i Noorshamowi, Półdżinem zmienionym w broń przez Sułtana; Półdżinem, który, jak się okazało, był moim bratem.

My w obliczu walki z potężnym, niszczycielskim Półdżinem. Ale przetrwaliśmy. Od tego czasu opowieść o bitwie w Fahali przemierzała pustynię szybciej nawet niż historia o próbach Sultrima. Dziesiątki razy słyszałam powtarzających ją ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że przysłuchuje im się rebelia. Z każdym powtórzeniem tej gawędy nasze czyny stawały się wspanialsze i mniej wiarygodne, ale historia zawsze kończyła się tak samo: poczuciem, że chociaż relacja mówcy już się skończyła, to sama opowieść nie dobiegła jeszcze końca. Tak czy inaczej, pustynia zmieniła się po bitwie w Fahali.

Legenda Niebieskookiej Bandytki wzrastała wraz z opowieścią o Fahali, aż zmieniła się tak, że nie rozpoznawałam jej w całości. Twierdzono, że Niebieskooka Bandytka była złodziejką, a nie buntowniczką. Że wskakiwałam ludziom do łóżek, żeby zdobyć informacje dla mojego Księcia. Że na polu bitwy zabiłam własnego brata. Tej najbardziej nie cierpiałam. Pewnie dlatego, że przez chwilę trzymałam palec na spuście i niewiele brakowało, żebym naprawdę to zrobiła. Ale pozwoliłam mu uciec.

Co było prawie tak samo złe. Ukrywał się i nadal dysponował całą swoją mocą. I w przeciwieństwie do mnie, nie miał żadnych innych Półdżinów do pomocy.

Czasem, późno w nocy, gdy reszta obozu już spała, mówiłam na głos, że on żyje. Po to, by stwierdzić, czy to prawda. Jak dotąd mogłam to wypowiedzieć bez wahania. Bałam się jednak, że nadejdzie dzień, kiedy nie uda mi się tego powiedzieć.

To by wskazywało na kłamstwo, a mój brat byłby martwy, umarłby samotny i wystraszony, gdzieś na bezlitosnej, rozdarłej wojną pustyni.

– Jeśli jest tak niebezpieczna, jak mówią, powinniśmy ją zabić – powiedział ktoś w tłumie. Był to mężczyzna z jaskrawożółtą wojskową wstęgą na piersi, która wyglądała, jakby została zszyta z kilku strzępów materiału.

Zauważyłam, że kilku innych nosiło podobne. To musieli być nowo mianowani wartownicy Saramotai, ponieważ prawdziwi strażnicy zostali zabici. Mówiący trzymał rewolwer. Lufę skierował w mój brzuch. Postrzał w brzuch jest paskudny. Zabija powoli.

– Ale jeśli jest Niebieskooką Bandytką, to trzyma z Księciem Buntownikiem – powiedział ktoś inny. – To chyba oznacza, że stoi po naszej stronie?

Cóż, to było pytanie za milion fouza.

– Dziwny sposób traktowania kogoś, kto jest po waszej stronie. – Znacząco uniosłam skrępowane ręce. Przez tłum przeszedł szmer. To dobrze – to oznaczało, że nie byli tak jednomyślni, jak wydawało się zza nieprzeniknionych murów. – Więc skoro jesteśmy przyjaciółmi, to może mnie rozwiążecie i porozmawiamy?

– Niezła zagrywka, Bandytko. – Hossam chwycił mnie jeszcze mocniej. – Nie dostaniesz szansy znalezienia się w pobliżu broni. Słyszałem, że zabiłaś tuzin ludzi jedną kulą.

Byłam pewna, że to niemożliwe. Poza tym nie potrzebowałam broni, żeby pokonać tuzin mężczyzn.

To było niemal śmieszne. Użyli liny, żeby mnie związać. Nie żelaza. Gdyby tylko żelazo dotykało mojej skóry, stałabym się człowiekiem, takim jak oni. Dopóki było inaczej, mogłam użyć pustyni przeciwko nim. Co oznaczało, że mogłam uczynić więcej szkód gołymi, związanymi rękami niż za pomocą broni. Ale sianie zniszczenia nie było moim zamiarem.

– I tak to Malik zdecyduje, co zrobimy z Bandytką. – Mężczyzna o poważnym spojrzeniu nerwowo potarł brodę, wypowiadając imię ich samozwańczego przywódcy.

– Mam imię, gdybyś nie wiedział – powiedziałam.

– Malik jeszcze nie wrócił! – zaoponował ten, który celował we mnie. Wydawał się mocno spięty. – Może coś narozrabiać

przed jego powrotem.

– Amani. Mam na imię Amani. – Nikt mnie nie słuchał. – Jakbyście się zastanawiali. – Ta sprzeczka może trochę trwać. Rządy komisaryjne nigdy nie były szybkie. W zasadzie... w ogóle się nie sprawdzały.

– Wobec tego zamknijcie ją do czasu przyjazdu Malika – powiedział jakiś głos z tyłu.

– Ma rację – odezwał się ktoś po drugiej stronie tłumu, jego twarzy też nie widziałam. – Wrzućcie ją do lochu, żeby nie narobiła kłopotów.

Przez tłum przeszła fala zadowolenia. W końcu mężczyzna ze smutnymi oczami skinął głową na zgodę.

Tłum szybko się rozstał, gdy Hossam zaczął mnie ciągnąć za sobą. Ale nie odeszli daleko. Wszyscy chcieli popatrzeć na Niebieskooką Bandytkę. Gapili się i przepychali między sobą, gdy szłam obok. Wiedziałam, co widzą. Dziewczynę młodszą niż córki niektórych z nich, z rozciętą wargą i ciemnymi, zakrwawionymi włosami przyklepionymi do spoconej twarzy. Legendy nigdy nie potwierdzały oczekiwań, gdy człowiek przyjrzał się im bliżej. Ja nie byłam wyjątkiem. Jedyne, co mnie odróżniało od innych chudych, ciemnoskórych dziewczyn z pustyni, to oczy, bardziej niebieskie niż niebo w południe. Jak najgorętszy ogień.

– Jesteś jedną z *nich*? – To jakiś nowy głos, głośniejszy niż jazgot tłumu. Kobieta w żółtej szimie wyszła przed tłum. Materiał był wyszywany w kwiaty, mające kolor podobny do moich oczu. Na jej twarzy malowała się desperacja, która sprawiała, że zaczęłam się denerwować. Znacząco wypowiedziała słowo „*nich*”. Jakby miała na myśli „*Półdziny*”.

Nawet ludzie, którzy wiedzieli, kim są Półdziny, rzadko domyślali się, że jestem jedną z nich. My, dzieci Dzinów i śmiertelnych kobiet, bardziej przypominaliśmy ludzi niż

można się było spodziewać. Do licha, sama trwałam w nieświadomości przez siedemnaście lat. Przecież nie wyglądałam niezwykle, tylko trochę inaczej.

Zdradzały mnie oczy, ale tylko wtedy, gdy wiedziało się, na co patrzeć. Wydawało się, że ta kobieta najwyraźniej wiedziała.

– Hossam. – Kobieta starała się dotrzymać nam kroku, gdy ciągnął mnie przez ulice miasta. – Jeśli ona jest jedną z nich, jest warta tyle, co moja Ranaa. Możemy ją wymienić. Możemy...

Hossam odepchnął ją – nieznajoma została z powrotem połknięta przez tłum, a ja wchodziłam coraz dalej w miasto.

Ulice Saramotai były tak wąskie jak wskazywał na to ich wiek, przez co tłum musiał się przeredzkać, gdy przechodziliśmy obok niego. Wszędzie wokół wznosiły się mury rzucające długie cienie. W niektórych miejscach było tak wąsko, że ramionami dotykałam ścian po obu stronach. Minęliśmy dwa kolorowe domy z wysadzonymi drzwiami – na ścianach były jeszcze ślady prochu. Wejścia i okna zostały zabite deskami. Im dalej szliśmy, tym więcej oznak wojny widziałam. Miasto, w którym wojna zaczęła się w środku, a nie nadeszła zza murów. Domyślałam się, że tak właśnie wyglądała rebelia.

Zanim zobaczyłam ciała, poczułam smród gnijącego mięsa.

Przeszliśmy pod wąskim łukiem, na którym w słońcu suszył się dywan. Frędzle połaskotały mnie w szyję, gdy pochyliłam głowę. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam dwa tuziny wisielców. Wisieli na tle zewnętrznego muru niczym latarnie.

Latarnie, którym sępy wydziobały oczy.

Nie dało się określić ich wieku ani też tego, czy byli ładni czy dziobaci. Ale wszyscy byli bogaci. Ptaki jeszcze nie dobrały się do haftowanych koszul farbowanych w cennych barwnikach ani do delikatnych muślinowych rękawów ich

khalatów. Prawie zwymiotowałam od tego smrodu. Śmierć i pustynny upał szybko dobrały się do ciała.

Za mną zachodziło słońce. Co oznaczało, że kiedy zacznie świtać, ciała zostaną skąpane w świetle.

Nowy świt. Nowa pustynia.



ROZDZIAŁ 3

W więzieniu śmierdziało gorzej niż w miejscu kaźni.

Hossam pociągnął mnie w dół schodów prowadzących do podziemnych cel. Zanim wrzucił mnie do jednej z nich, zdołałam zobaczyć długi rząd krat za żelaznymi kratami po obu stronach wąskiego korytarza. Upadłam, mocno uderzając ramieniem o ziemię. Cholera, będę miała siniaka.

Nie próbowałam wstawać. Leżałam z głową na zimnej kamiennej podłodze, gdy Hossam zamykał drzwi celi. Uderzenie żelaza o żelazo sprawiło, że aż zazgrzytałam zębami. Nie ruszałam się, dopóki słyszałam odgłosy kroków na schodach. Potem odczekałam jeszcze trzy pełne oddechy, zanim się podniosłam, pomagając sobie związanymi rękami i łokciami.

Pod sufitem celi znajdowało się okienko, przez które wpadało dość światła, bym nie miotała się w całkowitej ciemności. Przez żelazne kraty mogłam zajrzeć do celi naprzeciwko. W kącie siedziała dziewczyna – nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat – i drżała w jasnozielonym khalacie, mocno wyświechtanym, patrząc na mnie wielkimi oczami.

Przytknęłam twarz do krat. Zimne żelazo wniknęło głęboko w tę część mnie, która miała naturę Półdzina.

– Imin? – zawołałam. – Mahdi? – Czekałam z zapartym tchem, ale odpowiedziała mi tylko cisza. Wtem na końcu więziennego korytarza pojawił się fragment twarzy przyciśniętej do krat celi. Palce desperacko oplatały pręty.

– Amani? – odezwał się jakiś głos. Był chropowaty z pragnienia, ale irytująca, władcza, nosowa nuta nadal była słyszalna. To głos, który poznałam w ostatnich miesiącach, kiedy Mahdi i kilku innych intelektualistów z Izmanu

opuściło miasto i pojawiło się w naszym obozie. – Czy to ty? Co tu robisz?

– To ja. – Kamień spadł mi z serca. Nadal żyli. Nie pojawiłam się za późno. – Przyszłam was uratować.

– Wobec tego... Szkoda, że ciebie też pojмали, co nie?

Ugryzłam się w język. Można się było domyślić, że w stosunku do mnie Mahdi będzie zachowywał się chamsko, nawet siedząc w więziennej celi. Nie poświęcałam zbyt wiele czasu na myślenie o Mahdim i reszcie cherlawych chłopaków z miasta, którzy tak późno pojawili się w samym sercu rebelii. Po rozlaniu przez nas krwi i zdobyciu połowy pustyni. Jednak to byli ludzie, którzy wspierali Ahmeda, gdy ten po raz pierwszy pojawił się w Izmanie. Ci, z którymi rozprawiał o filozofii i po raz pierwszy zaczął myśleć o wskrzeszeniu iskrzy rebelii. Poza tym, gdybym zgadzała się na śmierć każdej osoby, która mnie wkurza, wkrótce nie mielibyśmy zbyt wielu sprzymierzeńców.

– Cóż – powiedziałam najmiłszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć – jak inaczej miałabym przedostać się przez bramę, skoro zawaliliście misję i to przez was całkowicie zamknęli dostęp do miasta?

Odpowiedzią była cisza. Nawet Mahdiemu siedzącemu za kratami byłoby trudno dyskutować z tym, że poniósł klęskę. Naśmiewanie mogłam jednak odłożyć na później. Teraz w ostatnich promieniach dziennego światła zamierzałam szybko wykonać swój ruch. Odsunęłam się od żelaznych krat. Potarłam palce, próbując pozbyć się uczucia zdrętwienia.

Piasek, który utkwiał pomiędzy nimi, kiedy udawałam, że potknęłam się w bramie, poruszył się w oczekiwaniu. Znajdował się również w fałdach mojego ubrania, we włosach, przylgnął do mojej spoconej skóry. Na tym polegało piękno pustyni. Piasek dostawał się wszędzie, wnikał wprost do mojej duszy.

To były słowa Jina.

Odsunęłam od siebie to wspomnienie i zamknęłam oczy. Zaczepiłam haust powietrza i odczepiłam piasek od skóry – każde ziarenko, każdą cząsteczkę, która odpowiedziała na moje wezwanie, odlepiały się ode mnie i w oczekiwaniu zawisły w powietrzu.

Kiedy otworzyłam oczy, byłam otoczona mgiełką piasku, który migotał złościście w ostatnich, popołudniowych promieniach wpadających do celi.

W celi naprzeciwko dziewczynka w zielonym khalacie wyprostowała się i wychyliła z cienia, żeby lepiej widzieć.

Wessałam powietrze, a piasek ułożył się w kształt bicia. Związane ręce odsunęłam jak najdalej od ciała, wprawiając piasek w ruch. Żaden z pozostałych Półdzinów nie rozumiał, dlaczego musiałam się poruszać, gdy używałam swojej mocy. Hala powiedziała, że przez to wyglądam jak jakiś najpośledniejszy szarlatan z rynku w Izmanie. Ale ona urodziła się ze świadomością swojej mocy. Tam, skąd ja pochodziłam, broń potrzebowała ręki, żeby zadziałać.

Piasek przesunął się między moimi nadgarstkami jak ostrze i ciął linę. W końcu miałam wolne ręce.

Teraz mogłam wziąć się za prawdziwą destrukcję.

Chwyciłam piasek i opuściłam rękę, czyniąc w powietrzu łuk, jakbym walczyła mieczem. Piasek posłuchał mojej woli i uderzył w zamek celi z całą siłą pustynnej burzy skumulowaną w jednym podmuchu.

Zamek rozpadł się z trzaskiem. Byłam wolna.

Dziewczynka w zielonym patrzyła, jak kopniakiem otwieram drzwi, uważając, żeby nie dotknąć żelaza i jak zbieram w dłoni cały piasek.

– Już. – Sunęłam korytarzem, pozbywając się resztek sznura z moich nadgarstków. Z prawej ręki sznur zszedł bez problemu, pozostawiając po sobie jedynie czerwoną pręgę. Rozsupływałam węzeł na lewej ręce, gdy doszłam do celi

zajmowanej przez Mahdiego.

– No więc jak poszły wam dyplomatyczne negocjacje? – Resztki pęt opadły na podłogę.

– Przyszłaś, żeby się z nas nabijać czy żeby nam pomóc?

– Nie widzę powodu, dla którego nie miałabym robić tego i tego. – Oparłam się łokciem o drzwi celi i wsparłam brodę na pięści. – Przypomnij mi, proszę, jak przekonałeś Shazad, że nie potrzebujesz żadnej z nas w tej misji, jako że kobiet nie traktuje się poważnie podczas politycznych negocjacji.

– Właściwie – z tyłu celi dobiegł czyjś głos – wydaje mi się, że powiedział, że ty i Shazad będziecie „niepotrzebnie rozpraszać uwagę”.

Imin zbliżyła się do drzwi, więc dobrze ją widziałam. Nie rozpoznałam twarzy, ale wszędzie poznałabym te szydercze żółte oczy. Nasz Półdżin, zmieniacz kształtów. Ostatnim razem widziałam Imin opuszczającą obóz w postaci drobnej kobiety w zbyt obszernych męskich ubraniach – żeby za bardzo nie obciążać konia. To był znajomy widok, często ją widziałam w takiej postaci, jednej z wielu, które Imin umiała przybrać. Bywała chłopakiem, dziewczyną, mężczyzną lub kobietą. Już się przyzwyczaiłam do ciągle zmieniającej się twarzy Imin. Często bywała małą dziewczynką z wielkimi oczami, dzieckiem jadącym na koniu albo silnym wojownikiem, który jedną ręką mógł podźwignąć przeciwnika. Innym razem była chudym uczonym z poirytowanym spojrzeniem, bezbronne siedzącym w głębi celi w Saramotai. Nieważne, czy była dziewczyną, mężczyzną czy kobietą – jej charakterystyczne żółte oczy nigdy się nie zmieniały.

– No dobrze – zwróciłam się znowu do Mahdiego. – Może zapomniałam, bo nie mogłam otrząsnąć się ze zdziwienia, że nie powybijają ci wszystkich zębów.

– Skończyłaś? – Mahdi wyglądał, jakby przed chwilą zjadł kiszoną cytrynę. – Czy będziemy marnować czas, który

moglibyśmy przeznaczyć na ucieczkę?

– Tak, tak, oczywiście. – Odsunęłam się, wyciągając rękę przed siebie. Piasek odpowiedział, zbierając się w mojej dłoni. Wycofałam się, czując moc wzbierającą w piersi. Przytrzymałam ją przez chwilę, zanim rzuciłam piaskiem. Kłódka eksplodowała.

– Wreszcie. – Mahdi był rozdrażniony i zachowywał się, jakbym była służącą, która ociągała się z przyniesieniem mu jedzenia. Próbował przepchnąć się obok mnie, ale wyciągnęłam rękę, żeby go zatrzymać.

– Co... – zaczął. Wzbierała w nim wściekłość. Zatkaną mu usta ręką, a sama wyteżyłam słuch. Po chwili zauważyłam zmianę na jego twarzy, gdy i on to usłyszał. Kroki na schodach. Usłyszeli nas strażnicy.

– Musiałaś tak hałasować? – wyszeptał, gdy zabrałam rękę.

– Wiesz co, następnym razem chyba nie będzie mi się chciało cię ratować. – Wepchnęłam go z powrotem do celi, w głowie już analizując, w jaki sposób nas stąd wyciągnąć. Imin w ciele mężczyzny wyminął Mahdiego i wyszedł z celi. Nie zatrzymywałam go. Nie byłam w stanie, nawet gdybym chciała. Idąc, już zmieniał postać, pozbywając się bezbronnego ciała uczonego. Ostatecznie był o dwie głowy wyższy ode mnie i dwa razy taki szeroki. Nie chciałabym spotkać tego wcielenia Imin w ciemnej uliczce. Poruszał ramionami uwieczonymi w za ciasnej koszuli, która opięła się na jego nowym ciele. Szew pękł na jednym ramieniu.

Było już prawie ciemno, a cele oświetlało liche światło z zewnątrz. Wiedziałam, że na schodach kołysze się zapalona lampa. Dobrze, to może być naszą przewagą. Stałam w ciemności przy schodach. Imin poszedł w moje ślady, robiąc to samo po drugiej stronie.

Czekaliśmy, nasłuchując coraz głośniejszych kroków. Naliczyłam co najmniej cztery pary butów. Może pięć. Nas było mniej, a oni na dodatek byli uzbrojeni. Na szczęście

będą musieli wchodzić gęsiego, co oznaczało, że ich przewaga liczebna się nie liczyła. Światło lampy migotało na ścianach, gdy schodzili. Po swojej stronie miałam efekt zaskoczenia. I jak zawsze mawiała Shazad, jeśli walczysz z kimś dwa razy większym od siebie, najważniejszy jest pierwszy cios. Ten, którego się nie spodziewają. A jeszcze lepiej, jeśli będzie to zarazem ostatni cios.

Dziewczynka w zielonym przesunęła się, tak że znalazła się tuż przy kratkach, przyglądając się nam z fascynacją. Położyłam palec na ustach, mając nadzieję, że zrozumie. Dziewczyna skinęła głową. Dobrze. Była dzieckiem pustyni. Wiedziała, co robić, by przeżyć.

Wykonałam swój ruch w chwili, gdy pojawiła się głowa pierwszego strażnika.

Jeden gwałtowny podmuch piasku uderzył wprost w jego skroń, spychając go na kratę celi dziewczynki. Odskoczyła w tył, gdy jego głowa uderzyła w żelazo. Imin chwycił drugiego żołnierza, uniósł go ponad ziemię i uderzył nim w ścianę. Ostatnie, co widziałam, zanim lampa spadła na ziemię, to jego zaskoczona mina. Lampa roztrzaskała się, a światło zgasło.

Byłam jak ślepa.

Ktoś wystrzelił i huk sprawił, że rozległy się krzyki w celach i poza nimi. Usłyszałam czyjąś modlitwę. Przekląłam pod nosem i rozplaszczyłam się przy ścianie. W ten sposób mogłam uchronić się od przypadkowego postrzału. Musiałam pomyśleć.

Oni również nic nie widzieli. Byli jednak uzbrojeni i musiałam przyjąć do wiadomości, że w przeciwieństwie do mnie nie będą mieli nic przeciwko zabiciu więźnia zbłąkaną kulą. Znowu rozległ się strzał, lecz tym razem towarzyszył mu okrzyk bólu, nie strachu. Starłam się skupić mimo przyływu paniki, próbowałam też dowiedzieć się, skąd dobiegał hałas. Minęło sporo czasu od ostatniej stoczonej

samodzielnie walki. Gdyby była tu Shazad, wiedziałaby, co robić. Umiałam walczyć w ciemności, ale mogłam zranić Imin lub dziewczynkę w zielonym, nie tylko wroga. Potrzebowałam światła. Koniecznie.

Wtem, jakby w odpowiedzi na moje błaganie, w więzieniu wzeszło słońce.

Poraził mnie blask. Nadal nic nie widziałam, ale tym razem przez nagłe pojawienie się światła. Mrugałam jak szalona, próbując przebić się przez plamy światła.

Mój wzrok przyzwyczajał się niebezpiecznie powoli, spanikowane serce przypominało mi, że jestem bezużyteczna i oślepiąca w otoczeniu uzbrojonych wrogów. Otoczenie stawało się coraz bardziej wyraźne. Dwóch strażników leżało na ziemi i nie ruszało się. Trzech następnych pocierało oczy, niedbale trzymając broń. Imin przy ścianie, jego ramię krwawiło.

A w celi dziewczynka w zielonym, trzymająca w dłoniach maleńkie słońce, nie większe niż pięść. Jej twarz błyszczała w jasnym świetle, które od dołu rzucało na nią dziwne cienie, sprawiając, że wyglądała na dużo starszą. Widziałam teraz, że te wielkie oczy, którymi na mnie patrzyła, były tak samo nienaturalne jak moje i Imin. Miały kolor rozżarzonego węgla.

Była Półdżinem.



ROZDZIAŁ 4

Później będę miała czas, żeby pomyśleć o nowym sprzymierzeńcu. Teraz musiałam wykorzystać dar, który otrzymaliśmy. Strażnicy już podnosili rewolwery i celowali we mnie – podmuch piasku wytrącił im je z rąk. Jeden strażnik odsunął się w stronę Imin. Ten go złapał i usłyszałam tylko chrzęst skręcanego karku.

Inny rzucił się na mnie z nożem w ręce. Rozdzieliłam piasek na dwie części, używając jednej z nich do podbicia mu ręki, zanim podszedł bliżej, a z reszty uformowałam zakrzywione ostrze, które wbiłam w jego szyję. Imin podniósł rewolwer. Nie był tak dobrym strzelcem jak ja, ale w tak wąskim pomieszczeniu trudno było chybić. Skuliłam się, gdy wystrzelił. Z cel dobiegły krzyki, huk strzału odbijał się od kamiennych ścian.

Potem zapadła cisza. Wyprostowałam się. Koniec. Imin i ja nadal żyliśmy. W przeciwieństwie do strażników.

Mahdi wyszedł z celi, wykrzywił usta w bezgłośnej ocenie, gdy jego wzrok padł na ciała. Tak właśnie bywało z przeintelektualizowanymi typami. Chcieli przebudować świat, ale wydawało im się, że dokonają tego bez rozlewu krwi. Zignorowałam go i podeszłam do celi, w której siedziała mała Póldzinka w zielonym khalacie. Nadal trzymała słońce i patrzyła na mnie trzeźwymi, czerwonymi oczami. Były niepokojąco błyszczące.

Roztrzaskałam jej zamek jednym podmuchaem piasku.

– Jesteś... – zaczęłam, otwierając drzwi, lecz dziewczynka już się podniosła i przepychała się obok mnie, kierując się w drugi koniec więzienia.

– Samira! – krzyknęła. Podeszła blisko krat, ale ich nie

dotknęła. Wiedziała, że powinna trzymać się z dala od żelaza. Ja w jej wieku nie miałam tej wiedzy. Oparłam się o kamienną ścianę. Zaczęłam odczuwać zmęczenie, które powoli ogarniało moje ciało.

– Ranaa! – Inna dziewczyna przepchnęła się na przód swojej celi i uklękła na podłodze, żeby znaleźć się przy małej Półdzince. Zdawało się, że była piękna, nim wtrącono ją do więzienia. Teraz wyglądała na zmęczoną. Ciemne oczy zapadły się w głąb wychudzonej twarzy. Szybko omiotłam ją wzrokiem, żeby odnaleźć jakieś oznaki przynależności do Półdzinów, ale wyglądała na człowieka. Była prawdopodobnie moją rówieśniczką. Za młoda, żeby być matką dziewczynki. Może siostra? Wyciągnęła rękę przez pręty i położyła dłoń na policzku dziewczynki.

– Wszystko w porządku?

Ranaa odwróciła się do mnie, a jej usta ze złości wykrzywiły się w podkówkę.

– Wypuść ją. – To był rozkaz, nie prośba. I to od osoby, która przywykła do ich wydawania.

– Nikt cię nie nauczył słowa „proszę”, dziecko? – wyrwało mi się, chociaż nie była to pora na uczenie kogokolwiek manier. I prawdopodobnie nie była to nawet właściwa osoba.

Ranaa zmierzyła mnie wzrokiem. To chyba działało na większość ludzi. Ja byłam przyzwyczajona do Półdzinów, ale i mnie niepokoiło jej spojrzenie płonących czerwienią oczu. Przypomniały mi się opowieści o Adilu zdobywcy, który był tak zły, że jego oczy żarzyły się właśnie czerwienią. Mając takie spojrzenie, przywykła do tego, że dostaje, czego chce. Ale ja nie miałam w zwyczaju wykonywać cudzych rozkazów. Obracałam piasek wokół palców i czekałam.

– Wypuść ją, *proszę* – powiedziała, tupiąc bosą stópką. – W tej chwili.

Z westchnieniem odsunęłam się od ściany. Przynajmniej spróbowała.

– Odsuń się. – Ja też mogłam rozkazywać.

W momencie gdy zamek się rozpadł, Ranaa rzuciła się do przodu i zarzuciła ramiona na szyję starszej dziewczyny, nadal ostrożnie obchodząc się z kulą światła w jednej ręce, a drugą kurczowo ściskając materiał jej khalatu. Dzięki światłu widziałam pozostałych więźniów w tej celi. W ciasnej przestrzeni stłoczono wiele więźniarek – miejsca było tak mało, że nie mogły się nawet położyć i w efekcie dwanaście kobiet siedziało prawie jedna na drugiej. Właśnie podnosiły się, wychodząc z celi z westchnieniem ulgi. Pragnęły wolności i niewiele robiły sobie z Imin i Mahdiego, którzy próbowali zaprowadzić wśród nich jakiś porządek.

To były kobiety i nastolatki. Okazało się, że w pozostałych celach było tak samo. Gdy rozejrzałam się wokół, zobaczyłam wystraszone, niespokojne twarze przytknięte do krat, przelęknione, ale mające nadzieję na ratunek. Mahdi i Imin znaleźli klucze przy jednym z martwych mężczyzn i zajęli się uwalnianiem pozostałych więźniarek. Podejrzewałam, że tak będzie łatwiej niż rozwalać kolejne zamki. Osadzone wychodziły z cel, czasem rzucając się, by kogoś objąć, czasem wlokąc się noga za nogą jak zranione zwierzę.

– A mężczyźni? – zapytałam Samirę, gdy wyplątała się z objęć Rany, choć już chyba znałam odpowiedź.

– Byli bardziej niebezpieczni – powiedziała Samira. – Przynajmniej tak stwierdził Malik, kiedy... – Przerwała i zamknęła oczy, jakby próbowała pozbyć się obrazu śmierci zadawanej przez człowieka, który uzurpował sobie władzę w mieście. – I nie byli tak cenni.

Chwilę mi zajęło, nim zrozumiałam wymowę jej znaczącego spojrzenia ponad głową Rany. Wreszcie do mnie dotarło. Kobiety wychodzące z cel były młode. Ostatnio dużo się mówiło o tym, że sprzedawcy niewolników czerpią z wojny pełnymi garściami. Porywają dziewczyny z naszej części

pustyni i sprzedają je żołnierzom stacjonującym z dala od swoich żon lub bogaczom w Izmanie. Poza tym w grę wchodziła też kwestia Półdżinów i ich wartości...

– Ranaa. – Coś mi zaświtało w głowie. Już dziś słyszałam to imię. Wypowiedziała je kobieta okryta szimą wyszywaną w niebieskie kwiaty. Ta, która chciała wiedzieć, czy jestem Półdżinem. Teraz już rozumiałam, dlaczego mnie rozpoznała.
– Twoja mama martwi się o ciebie.

Dziewczynka obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem, nadal przytulając się do piersi Samiry.

– To dlaczego po mnie nie przyszła?

– Ranaa! – upomniała ją Samira. Domyśliłam się, że nie byłam jedyną, która próbowała nauczyć małą Półdżinkę manier. Samira oparła się o drzwi celi. Podałam jej rękę i pomogłam stanąć na nogi. Ranaa nadal trzymała skraj jej brudnego khalatu, utrudniając osłabionej Samirze poruszanie się. – Wybacz jej – zwróciła się do mnie. Mówiła z eleganckim akcentem, który skojarzył mi się z Shazad, chociaż był bardziej wyrafinowany. – Niezbyt często ma okazję rozmawiać z nieznajomymi. – Ostatniemu zdaniu towarzyszyło znaczące spojrzenie na dziecko.

– To twoja siostra? – spytałam.

– Tak jakby. – Samira położyła dłoń na głowie dziewczynki.
– Mój ojciec jest – zawahała się – był Emirem Saramotai. Nie żyje – mówiła spokojnie i rzeczowo, chowając urazę. Wiedziałam jak to jest, gdy widzi się śmierć swojego rodzica.
– Jej matka była służącą w domu mojego ojca. Kiedy Ranaa się urodziła i wyglądała... inaczej, ubłagała mojego ojca, żeby ukrył ją przed Gallanami. – Samira wpatrywała się w moją twarz. Zwykle brano mnie za człowieka, nawet mimo niebieskich oczu. Ale zdarzali się ludzie, którzy wiedzieli co nieco o Półdżinach i mogli mnie rozpoznać, tak jak Jin. – Wydaje mi się, że rozumiesz dlaczego.

Ja miałam szczęście. Przeżyłam szesnaście lat wśród

Gallanów i nie zostałam rozpoznana, ponieważ wyglądałam jak człowiek. Ranaa nie miała takiej możliwości. A dla Gallanów każdy, kto nie był człowiekiem, był potworem. Półdzin nie różnił się od Skórozmiennego czy Koszmaru. Ranaa ze swoimi czerwonymi oczami zostałaaby zabita, gdyby tylko ktoś ją zauważył.

Samira przeczesła palcami włosy dziewczynki, czuły gest, który tak wiele mówił o nocach, kiedy utulała wystraszone dziecko do snu.

– Przyjęliśmy ją i ukryliśmy. Gdy zaczęła to robić – dłoń Samiry zafalowała nad światłem w rękach Rany – mój ojciec powiedział, że chyba jest wskrzeszoną Księżniczką Hawą.

Opowieść o Księżniczce Hawie należała do moich ulubionych, gdy byłam dzieckiem. Sięgała najwcześniejszego okresu ludzkości, kiedy Pogromczyni Światów jeszcze chodziła po ziemi. Hawa była córką pierwszego Sułtana Izmanu. Księżniczka miała tak piękny głos, że każdy, kto go słyszał, padał na kolana. Jej śpiew sprowadził do niej Skórozmiennego w skórze jednego z jej służących. Wydłubał jej oczy.

Księżniczka Hawa krzyczała, na pomoc rzucił się bohaterski Attallah, żeby uratować ją, nim Skórozmienny skradnie jej również język. Oszukał złego ducha i odzyskał oczy Księżniczki. A kiedy Hawa odzyskała wzrok i po raz pierwszy ujrzała Attallaha, serce zatrzymało się w jej piersi. Nowe uczucie było tak dziwne, że wydawało jej się, że umiera. Hawa odesłała Attallaha, ponieważ patrzenie na niego było dla niej zbyt wielkim cierpieniem. Ale kiedy odszedł, serce bolało ją jeszcze bardziej. Mówiono, że byli pierwszymi śmiertelnikami, którzy się w sobie zakochali.

Pewnego dnia Hawa w Izmanie dowiedziała się, że wielkie miasto na drugim krańcu pustyni zostało obleżone przez złe duchy, a Attallah bierze udział w walce z nimi. Każdego dnia w mieście próbowano odbudowywać mury obronne, lecz

każdej nocy pojawiały się złe duchy i je niszczyły, zmuszając miasto do rozpoczęcia pracy na nowo po nastaniu świtu, gdy wrogowie się chowali. Słyszając, że Attallah znajduje się w sytuacji bez wyjścia, Hawa wyszła na pustynię za miastem Izman i wypłakiwała tyle łez, że zlitowały się nad nią Buraqi, nieśmiertelne konie z piasku i wiatru. Pojechała na Buraqi przez pustynię, śpiewając tak pięknie, że słońce na niebie wyruszyło na pomoc Attallahowi. Kiedy dotarła do Saramotai, trzymała słońce w dłoni, więżąc duchy przez sto dni, wystarczająco długo, by lud z Saramotai mógł odbudować swoje wielkie, niepokonane mury, pracując dzień i noc, aż mieszkańcy znowu byli bezpieczni. Kiedy praca wreszcie dobiegła końca, wypuściła słońce i za murami potężnego miasta poślubiła swego ukochanego, Attallaha.

Każdego wieczoru Hawa czuwała na murach, gdy Attalah wyjeżdżał na bitwę. Wracał o świcie. Przez kolejne sto nocy Attallah zapuszczał się poza bramy, żeby bronić miasta. Był nietykalny, a kły upiorów nie mogły go sięgnąć. Hawa czuwała każdej nocy, aż sto pierwszej nocy zabłąkana strzała dosięgła jej.

Kiedy Attallah zobaczył, że jego ukochana spadła, serce wojownika przestało bić ze smutku. Obrona, która tak dobrze go strzegła przez sto nocy, rozpadła się, obstały go złe duchy i rozszarpały go. W chwili, gdy oboje umarli, słońce po raz ostatni pojawiło się nocą na niebie. Zmory spłonęły po pojawieniu się światła, a miasto zostało ocalone przez ostatni oddech Hawy i Attallaha. Na ich cześć ludzie nazwali miasto Saramotai, co w ich pierwotnym języku znaczy „śmierć księżniczki”.

Zastanawiałam się nad dziwnym poczuciem humoru Dżina, który podarował swojej córce, urodzonej w mieście Hawy, dokładnie ten sam dar, jaki posiadała legendarna księżniczka.

Jednak Hawa była człowiekiem. A przynajmniej tak zapamiętano ją w legendzie. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Ludzie w starych historiach czasami mieli jakieś moce, które zdawały się pochodzić znikąd. A może powtarzanie przez wieki legendy zatarło fakt, że była Półdzinem, a nie prawdziwą księżniczką? Ostatecznie, w opowieściach o próbach Sultrima, łagodna, ładna Delila zmieniała się w potworną bestię z rogami. A niektóre opowieści o Niebieskookiej Bandytce przemieniały mnie w chłopaka.

– Po Fahali myśleliśmy, że będzie tu bezpieczna. – Samira przyciągnęła Ranę bliżej siebie. – Okazuje się, że nawet jeśli nie chcą jej zniszczyć, niektórzy chcą ją wykorzystać do innych celów. – Wynikało to z głupich przesądów, że ciało Półdzina może wyleczyć wszelkie choroby. Hali, naszej złotoskórej Półdzince, siostrze Imin, na zawsze zostało wspomnienie takiego przesądu: obcięto i sprzedano jej dwa palce. Zapewne, by wyleczyć problemy żołądkowe jakiegoś bogacza. – Krążą plotki, że nawet Sułtan poluje na Półdziny.

– Wiemy o tym – przerwałam jej, ostrzej niż zamierzałam. Bardziej martwiło mnie to, że Sułtan poluje na Noorshama, niż inne pogłoski, które dotarły do nas później. Uświadomiłam sobie, że były niewielkie szanse na to, że gdzieś istniał inny Półdzin, którego potęga równałaby się potędze mojego brata. Nawet ja nie mogłam zagrozić miastu tak bardzo jak Noorsham. Mimo to, przez ostatnie miesiące uważaliśmy, żeby nikomu się nie wypsnęło, że Niebieskooka Bandytka i Półdzin, który wywoływał burze piaskowe, to jedna osoba. Choć w zasadzie nie miało to większego znaczenia. Nie zamierzałam dać się pojmać Sułtanowi żywcem. Ale teraz zastanawiałam się nad znaczeniem małego słońca w dłoniach Rany. Było raczej niegroźne, gdy je trzymała. Może nie być takie, gdy zostanie stukrotnie powiększone. Dzięki temu Sułtan miałby większe szanse.

– Jak dotąd wasza rebelia powstrzymywała go przed pojawieniem się w tej części pustyni. Jak długo uda wam się go utrzymać z dala?

Tak długo, ile trzeba. Niech mnie szlag, jeśli pozwolę Sułtanowi wyrządzić innym Półdżinom taką krzywdę, jaką wyrządził Noorshamowi. Ranaa może i jest rozpuszczonym bachorem, który zadziera nosa, bo przez całe życie słyszał, że jest reinkarnacją legendarnej księżniczki, ale to wciąż Półdżin. A my opiekujemy się sobą nawzajem.

– Mogę zabrać ją w bezpieczne miejsce. – Nie mogłam jej tu zostawić. Nie mogłam, bo cały czas istniało zagrożenie, że ją znajdą, a następnym razem sama mogłam znaleźć się po drugiej stronie lufy rewolweru. – Poza miasto.

– Nigdzie nie idę bez ciebie – zaprotestowała Ranaa. Obie ją zignorowałyśmy.

– Książę Ahmed chce uczynić ten kraj bezpiecznym dla Półdżinów, ale na razie wiem, gdzie można się schronić.

Samira wahała się przez chwilę.

– Mogę iść z nią?

Poczułam ulgę.

– To zależy. Jesteś w stanie iść?

Imin pomógł Samirze utrzymać się na nogach, gdy kulejąc skierowała się w stronę schodów z Raną uczepioną jej szaty. Już miałam się odwrócić, gdy światło Rany omiotło przeciwną ścianę. Cela nie była pusta. W kącie leżała jakaś kobieta w żółtym khalacie.

Przez chwilę myślałam, że umarła z wycieńczenia po wielu dniach w ciemnym, ciasnym więzieniu. Ale jej plecy odrobinę uniosły się i opadły. Nadal oddychała. Ukucnęłam przy niej i położyłam rękę na jej ramieniu. Było cieplejsze niż powinno w tym zacienionym miejscu. Była chora i miała gorączkę. Mój dotyk ją obudził – otworzyła duże, dzikie oczy. W panice patrzyła na mnie przez kurtynę brudnych włosów. Na policzku miała krew i śluz, a usta spękane.

– Możesz wstać? – zapytałam. Nie odpowiedziała, tylko patrzyła wielkimi, ciemnymi oczami. Ale mogłam się domyślić. Wyglądała gorzej niż wszystkie pozostałe, które wychodziły z cel. Z trudnością przychodziło jej utrzymanie świadomości, a co dopiero ucieczka.

– Imin! – zawołałam. – Potrzebuję pomocy. Możesz...

– Zahia? – wypowiedziała to imię w taki sposób, jakby to była modlitwa. Wydobyło się chrapliwie z jej wysuszonego gardła sekundę przed tym, jak opadła jej głowa i zapadła w sen.

Zamarłam. Zastanawiałam się, czy właśnie to czuła Hawa, gdy jej serce zatrzymało się w piersi.

W ułamku sekundy nie byłam już Niebieskooką Bandytką. Nie byłam buntowniczką wydającą rozkazy. Nie byłam nawet Półdżinem. Znowu byłam dziewczyną z Dustwalk. Bo właśnie tam po raz ostatni słyszałam imię mojej mamy.

– O co chodzi? – Imin pojawił się tuż przy mnie.

– Ja... – Potykałam się o własne słowa, próbując wydostać się z przeszłości. Na pustyni mieszkały inne kobiety o imieniu Zahia. To było dość popularne imię. Ale popatrzyła na mnie, jakby mnie *znała* i wymówiła imię mojej mamy. A to nie było aż tak oczywiste.

Nie. Nie byłam już niespokojną trzpiotką na końcu pustyni. Byłam Niebieskooką Bandytką i przybyłam, aby pomóc. Skinieniem głowy wskazałam nieprzytomną postać na podłodze.

– Możesz ją podnieść? – Mówiłam pewniejszym głosem niż wynikałoby to z mojego stanu.

Imin, nadal w ciele, w którym walczył, podniósł nieprzytomną kobietę z taką łatwością, jakby była kukiełką.

– To niedorzeczne, Amani. – Mahdi przepchnął się przez tłum uwolnionych kobiet, gdy wyszłam za Imin z celi. Nie wyglądały zbyt dobrze, ale żyły i dawały radę ustać. – Uwalnianie ludzi to jedno, ale chcesz żebyśmy uciekali

niosąc kogoś na rękach?

– Nie zostawimy jej. – Już wcześniej zostawiłam kogoś w potrzebie, żeby ratować siebie tej nocy, gdy uciekłam z Dustwalk z Jinem – mojego przyjaciela, Tamida. Byłam wystraszona, zdesperowana i rozdygotana. Chwyciłam dłoń Jina bez zastanowienia i zostawiłam Tamida, żeby wykrwawił się na piasku. Zostawiłam go na śmierć. Nie mogłam naprawić tego, co stało się tamtej nocy. Ale już nie byłam dziewczyną z Dustwalk. Mogłam zadbać o to, by nikt nie został bez pomocy.

– Która umie posługiwać się bronią? – zapytałam kobiet. Żadna się nie poruszyła. – Och, przecież to nie takie trudne! Celujesz i strzelasz. – Samira jako pierwsza podniosła rękę. Kilka innych poszło w jej ślady. – Zabierzcie je z trupów – rozkazałam, biorąc jeden rewolwer dla siebie. Ostrożnie otworzyłam magazynek – najmniejszy dotyk żelaza natychmiast pozbawiał mnie mocy. Były wszystkie naboje. Zamknęłam go i wetknęłam broń za pas, uważając, żeby żadna część rewolweru nie stykała się bezpośrednio z moją skórą. Aż tak bardzo nie potrzebowałam broni. Miałam całą pustynię do dyspozycji. Ale zawsze dobrze mieć jakieś inne opcje.

– Ruszajmy.

≈≈≈

Było już ciemno i ulice Saramotai opustoszały. O tej porze dnia niedługo po zapadnięciu zmroku nie powinny być aż tak puste.

– Godzina policyjna – wyjaśnił szeptem Mahdi. – Wsiowy uzurpator znalazł sposób, by krótko trzymać mieszkańców. – Nie musiał z taką pogardą mówić „wsiowy”, ale nie miałam zamiaru stawać w obronie Malika, po tym jak przejął

kontrolę nad Saramotai i zaszkodził dobremu imieniu Ahmeda.

Godzina policyjna mogła nam bardzo pomóc lub bardzo zaszkodzić. Tuż przed więzieniem droga rozchodziła się w dwie strony. Zawahałam się. Nie mogłam sobie przypomnieć, z której strony nadeszliśmy.

– Którędy do bramy? – zapytałam cicho. Kobiety idące za mną patrzyły na mnie wielkimi, przerażonymi oczami. W końcu Samira uwolniła swoją rękę z uścisku Rany i bez słowa wskazała prawą odnogę. Prawie udało jej się ukryć fakt, że cała drżała. Trzymałam palec na cynglu, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę.

Z przykrością musiałam przyznać, że Mahdi miał rację: daleko nam było od nierzucania się w oczy – wyprowadziliśmy z więzienia kilkadziesiąt bogatych kobiet w podartych khalatach. Nie liczyłam na te, które miały broń – trzymały ją, jakby niosły koszyk na rynek, a nie jak rewolwery. Podejrzewałam, że Mahdi może kogoś zagadać na śmierć, ale w walce był nieprzydatny. Imin niósł nieprzytomną kobietę, która nazwała mnie imieniem matki, przez co będzie mu trudno walczyć, jeśli okaże się to konieczne.

Zatem musiałam zadbać, żebyśmy nie wpakowali się w jakiegokolwiek tarapaty.

Jak na razie nie napotkaliśmy oporu, gdy wyludnionymi ulicami Saramotai przemierzaliśmy trasę, jaką przebyłam wcześniej tego samego dnia. Zaczynałam już wierzyć, że nam się uda, gdy za kolejnym zakrętem natknęliśmy się na dwa tuziny mężczyzn ze strzelbami.

Cholera.

Zebrali się przy bramie miejskiej, ubrani w nieskazitelne białe-złote mundury żołnierzy Miraji. Nie w prowizoryczne mundury, w jakich wpadli do więzienia strażnicy na spotkanie ze śmiercią. Prawdziwe. Co oznaczało, że to ludzie

Sułtana. Po naszej stronie pustyni po raz pierwszy od czasu Fahali.

Przeklełam kwieście w języku Xicha, tak jak nauczył mnie Jin, instynktownie chwytając broń. Wiedziałam jednak, że jest już za późno – złapali nas. Jedna z kobiet za moimi plecami zaczęła panikować i zanim zdołałam ją powstrzymać, zniknęła gdzieś w labiryncie ulic miasta, czmychając niczym przestraszony królik.

Przyglądałam się polowaniu drapieżnych ptaków. Królikowi nie może się udać.

Rozległ się strzał. Zza pleców dobiegły mnie krzyki. A potem okrzyk bólu przzerwany drugą kulą.

Kobieta leżała na drodze, a jej krew mieszała się z piaskiem. Kula przeszła jej serce. Nikt inny się nie poruszył.

Cały czas trzymałam palec na cynglu. Dwa tuziny luf celowały w nas. Ja miałam tylko jedną. Nieważne, co mówiono o Niebieskookiej Bandytce, nie dało się położyć dwóch tuzinów ludzi jedną kulą. Nawet gdy było się Półdżinem.

Nie bez strat w ludziach.

– Więc to jest ta legendarna Niebieskooka Bandytka. – Mężczyzna, który przemówił, nie nosił munduru. Był ubrany w krzykliwy niebieski khalat, do którego nosił źle dobraną fioletową szimę. Jako jedyny nie celował w moją głowę.

Malik, samozwańczy władca Saramotai, powrócił do miasta.

Miałam świadomość, że gdzieś tutaj jest Ikar, siedzi na swoim stanowisku nad bramą, macha nogami i wyciąga szyję, żeby dobrze widzieć.

– Właśnie zostałem poinformowany, że zaszczyliłaś nasze miasto swoją znamienitą obecnością.

Posługiwał się słowami, które zupełnie nie pasowały do niego. Jego pusta twarz wyglądała jak szkielet w żółtawej

poświacie lampy. Dorastałam w paskudnym miejscu; wiedziałam, jak wygląda ktoś, kogo życie nie oszczędzało. On zamiast beczynnie przyjmować swój los, postanowił wcielić się w kogoś innego. Mogłam się założyć, że khałat na jego grzbiecie należał do emira. Miał postawę kogoś, kto ciężko pracował, szorował, pragnął i cierpiał za kogoś, kto nigdy nie poznał prawdziwego pragnienia. Mój palec zadrżał na spuście. Tak bardzo chciałam w coś strzelić, ale to nie uratowałoby nam życia.

Mały oddział ludzi Sułtana nerwowo przestępował z nogi na nogę. Żołnierze patrzyli na mnie, jakby nie wierzyli, że naprawdę jestem Niebieskooką Bandytką. To wskazywało na to, że opowieści o mnie dotarły aż do Izmanu.

– A ty jesteś Malik – powiedziałam. – Wiesz, słyszałam, że gdy wieszaleś tych ludzi, zrobiłeś to w imię mojego księcia. Ale według mnie służyysz komu innemu. – Wolną ręką kpiąco zasalutowałam żołnierzom. – Wygląda na to, że jesteś raczej oportunistą, nie rewolucjonistą.

– Och, całym sercem wierzę w sprawę twojego Księcia Buntownika. – Kiedy Malik się uśmiechnął, w świetle lamp trzymany przez stojących obok niego żołnierzy wyglądał jakby szczyrzył kły. – Twój książę pragnie wolności i równości na naszej pustyni. Przez całe życie kłaniałem się ludziom, którzy sądzili, że są lepsi ode mnie. Równość oznacza, że nigdy już nie będę musiał się kłaniać. Sułtanowi, księciu i – odwrócił się i splunął w stronę Samiry, sprawiając, że aż podskoczyła, gdy skierował na nią swoją uwagę – twojemu ojcu. – Gdy się poruszał, rzucał cień na mury Saramotai. Po obu stronach bramy znajdowały się potężne postaci wyrzeźbione w kamieniu: Hawa i Attallah, trzymający się za ręce ponad wrotami.

Nie zauważyłam ich, gdy wchodziłam do miasta, byłam odwrócona. Zastanawiałam się, co by sobie pomyśleli, gdyby wiedzieli, że miasto, o które tak długo walczyli, żeby ocalić je

przed niebezpieczeństwem z zewnątrz, zepsuło się od środka.

Farba już dawno złuszczyła się z kamienia, chociaż wydawało mi się, że rozróżniam czerwoną szimę Attallaha. Przysięgłabym też, że oczy Hawy wciąż były niebieskie.

– Sam zadbałem o swoją równość – powiedział Malik, zwracając na siebie moją uwagę. – Czy to ważne, że sam awansowałem z nizin, zamiast czekać, aż ludzie będący wyżej klękną na kolana, jeśli i tak wszyscy stoimy na tym samym niepewnym gruncie? A dzięki niej – wskazał na Ranę – kupimy sobie wolność.

– Ty nie stoisz na żadnym gruncie. – Samira schowała Ranę za sobą. Doskonale sobie radziła z ukrywaniem swojego strachu. Była w niej tylko nienawiść, gdy tak stała pomiędzy mężczyzną, który zabił prawie całą jej rodzinę, i jedyną jej pozostałą przy życiu częścią. – Stoisz na ciałach zabitych.

– Książę Buntownik przegra wojnę. – Jeden z żołnierzy Sułtana wystąpił naprzód. – Malik ma dość rozsądku, by to przewidzieć. – Jego słowa brzmiały fałszywie i były wymuszone, jakby skręcał się ze wstydu, że przypochlebia się Malikowi. – Sułtan zgodził się oddać Saramotai panu Malikowi, kiedy odzyska tę część pustyni. W zamian za tę dziewczynę Póldżina. – Sułtan chyba potrzebuje innego Póldżina, żeby zastąpić Noorshama, ale nie postawiłabym jednego louzi na to, że naprawdę chce dla niej zrezygnować z części pustyni. Malik był tak głupi, że myślał, że Sułtan dotrzyma obietnicy.

– Mamy przewagę liczebną. – To nigdy nie miało dla mnie większego znaczenia. – Rzuć broń, Bandytko. – Malik szczyrzył zęby.

– Tylko jeden mężczyzna może tak na mnie mówić – powiedziałam. – A ty nawet w połowie nie jesteś tak przystojny jak on.

Malik stracił cierpliwość szybciej, niż się spodziewałam. Broń, którą dotychczas lekceważąco trzymał przy boku, w jednej sekundzie znalazła się w jego ręce, w drugiej dotykała już mojego czoła.

Poczułam, że za moimi plecami Imin wysuwa się do przodu, jakby chciał się wtrącić. Podniosłam rękę, mając nadzieję, że zrozumie, co chcę przekazać i nie narazi nas obojga na śmierć. Kątem oka zauważyłam, że znieruchomiał. Przerażone kobiety z więzienia przyglądały się tej scenie. Jedna z nich zaczęła bezgłośnie płakać.

Dobrze by było, gdybym nigdy wcześniej nie doświadczyła ukłucia żelaznej lufy na skórze. Ale nie po raz pierwszy grożono mi w ten sposób.

– Masz niewyparzoną gębę, mówił ci to ktoś? – To też słyszałam nie po raz pierwszy. Ale wydawało mi się, że lepiej mu tego nie mówić.

– Malik. – Żołnierz, który to powiedział, wyszedł przed szereg i sprawiał wrażenie, jakby kończyła mu się cierpliwość. – Sułtan chce ją żywą.

– Sułtan nie jest moim panem. – Twarz Malika wykrzywiła się z wściekłości. Mocniej wbił lufę w moją skórę. Czułam ją pomiędzy oczami. Moje serce instynktownie zaczęło szybciej bić, ale stłumiłam strach. Nie zamierzałam dziś umierać.

– Kosztowałeś mnie dwadzieścia fouza – westchnęłam. – Założyłam się, że wymknę się z miasta i nikt mi nie będzie groził po drodze, a przez ciebie przegrałam.

Malik nie był dość bystry, żeby zaniepokoić się tym, że ktoś, kto ma lufę pomiędzy oczami, próbuje pyskować, zamiast płakać i kulić się ze strachu.

– No cóż – zwolnił zamek rewolweru – masz szczęście, że nie pożyczysz wystarczająco długo, żeby oddać dług.

– Malik! – Żołnierz ponownie wystąpił, jego irytacja osłabła. Dotarło do niego, że dotychczas nie zorientowali się, że mają do czynienia z niestabilnym człowiekiem. Na jakiś

niewidoczny sygnał ze strony kapitana lufy rewolwerów zmieniły kierunek, nie celowały już w kobiety za moimi plecami, lecz w Malika.

– Masz jeszcze coś do dodania, Bandytko? Może chciałabyś błagać o życie?

– A może – czyjś głos rozbrzmiał gdzieś w okolicy ucha Malika – to ty będziesz błagał?

Malik spał się w sposób charakterystyczny dla mężczyzn, którzy nagle znaleźli się w niebezpieczeństwie. Zaznajomiłam się z tym stanem przez ostatnie pół roku. Cienka strużka krwi pociekła po jego gardle, chociaż wydawało się, że koło niego znajdowało się tylko powietrze.

W końcu mogłam rozluźnić ramiona. Kłopot z niewidocznym wsparciem polegał na tym, że nie wiedziało się, gdzie można się go spodziewać.

Powietrze zamigotało, gdy iluzja wytworzona przez Delilę opadła i w miejscu, gdzie przed chwilą nikogo nie było, pojawiła się Shazad. Ciemne włosy uczesała w ciasno splecione warkocze i upięła na głowie jak koronę, z jej szyi luźno zwisała biała szima, a proste, pustynne ubranie wyglądało na o wiele droższe. Była wszystkim tym, czego nienawidził Malik, a teraz znalazł się na jej łasce. Wyglądała niebezpiecznie nie dlatego, że przyciskała ostrze miecza do gardła Malika, lecz dlatego, że jej największym marzeniem było przeciągnięcie nim po skórze.

W końcu, o wiele za późno, na jego twarzy pojawił się strach.

– Gdybym była na twoim miejscu – powiedziałam – rzuciłabym teraz broń i podniosła ręce do góry.



ROZDZIAŁ 5

Stałam tak blisko Malika, że dostrzegłam desperację na jego twarzy, zanim zdążył cokolwiek zrobić. Jednak ja byłam szybsza niż mózg tego idioty. Upadłam na kolana sekundę przed wystrzałem, a kula wbiła się w mur za moimi plecami. W następnej sekundzie Malik upadł na ziemię tuż obok mnie, zaś jego gardło zdołał czerwony naszyjnik od miecza Shazad.

Jeszcze tu nie skończyliśmy.

– Nie spieszyłaś się – zwróciłam się do Shazad, wstając i otrzepując dłonie. Po drugiej stronie murów otaczających Saramotai pustynia zafalowała w odpowiedzi. Po tym jak w więzieniu musiałam zadowolić się zaledwie garścią piasku, czułam się niemal oszołomiona, mając całą pustynię do swojej dyspozycji.

– Widzę, że tym razem cię nie postrzelili. – Shazad odwróciła się do pozostałych żołnierzy, ja robiłam to samo.

– Nadal wiesz mi dwadzieścia fouza.

– Podwajamy? – zaproponowałam, odwracając się przez ramię, gdy stanęłyśmy plecami do siebie.

Kapitan już wydawał rozkazy skołowanym żołnierzom, dochodząc do siebie niezwykle szybko, jeśli weźmie się pod uwagę, że nowi przeciwnicy spadli jak grom z jasnego nieba.

– Delila! – Shazad również zabrała się za wydawanie rozkazów. – Zrzuć naszą zasłonę.

Iluzja uniosła się jak kurtyna przed rozpoczęciem przedstawienia. Nagle połowa ludzi Sułtana, która chwilę wcześniej stała, leżała w nieładzie na ziemi, a nasi buntownicy zajęli ich miejsca i czekali z bronią w ręku. Za nimi stała Delila, z okrągłą, niewinną twarzą, jej fioletowe

włosy, będące oznaką, że jest kimś więcej niż człowiekiem, opadały na szeroko otwarte oczy, sprawiające wrażenie wystraszonych. Opuściła ręce, które drżały z wysiłku i napięcia. Bała się, ale strach nie mógł jej powstrzymać.

– Navid! – Imin natychmiast zauważył go w tłumie buntowników.

Navid, wysoki mężczyzna o posturze typowej dla mieszkańców pustyni, był jednym z naszych rekrutów z Fahali. Nie próbowaliśmy tam nikogo rekrutować, ale po bitwie trudno było się opędzić od chętnych. Navid był jednym z najlepszych. Wystarczająco twardy, żeby móc przeżyć podczas wojny, którą toczyliśmy. I tak sumienny, że zrozumieliśmy, iż mieliśmy szczęście, trafiając na niego. Trudno go nie lubić. Ale nadal dziwiło mnie, że Imin się w nim zakochała.

Navid odetchnął z ulgą, gdy zobaczył Imin, rozpoznając swoją ukochaną mimo zmienionego wyglądu. Przez tę chwilę zdekoncentrował się, a radość z tego, że Imin żyje sprawiła, że zapomniał o obronie. Nie tylko ja to zauważyłam, dostrzegł to również żołnierz po jego prawej stronie.

Pustynia napływała ponad murami Saramotai, spadając kaskadą wokół rzeźby przedstawiającej Księżniczkę Hawę i pozbawiała równowagi stojących tam żołnierzy. Zamachnęłam się ręką, rzucając piaskiem w żołnierza, który lada moment zabiłby Navida. Gdy upadł, ponownie zwrócił na siebie uwagę Navida.

– Uważaj z tyłu, Navid!

Już się odwracałam. Piasek zawirował wokół mnie jak w czasie huraganu. Jedną rękę opuściłam, sypiąc piaskiem w twarz żołnierza, który zamierzał się na Delilę, dzięki czemu udało mi się go od niej odepchnąć. Zza pleców dobiegł mnie czyjś krzyk. Odwróciłam się i zobaczyłam, że jeden z przeciwników zamachnął się na mnie mieczem. Zaczęłam formować miecz z piasku, ale nie byłam dość

szybka. Nie musiałam. Stal uderzyła w stal. Miecz Shazad pojawił się o włos od mojej szyi, blokując broń żołnierza. Krew, która powinna znaleźć się na ostrzu, głośno pulsowała w moich uszach. Jeden ruch, zbyt szybki, żeby go zarejestrować okiem, posłał mężczyznę na ziemię.

– Powinnaś posłuchać swojej rady. – Shazad rzuciła mi rewolwer.

– Po co mam uważać na tyły, skoro ty to robisz? – Złapałam broń, ale było za późno na oddanie strzału. Zamiast tego rękojeścią rąbnęłam w twarz najbliższego żołnierza. Poczułam ten cios w całej ręce, a krew z nosa mężczyzny poląła się po mojej dłoni.

Walka będzie krótka i krwawa. Na ziemi leżało już więcej żołnierzy, niż zostało na placu boju. Wystrzeliłam. I jeszcze raz. Odwróciłam się, szukając kolejnego celu.

Niezbyt dobrze widziałam, co się stało potem. Dotarły do mnie tylko pojedyncze obrazy.

Na skraju mojego pola widzenia pojawił się inny rewolwer. Zmęczenie sprawiło, że nie zareagowałam wystarczająco szybko. Przez chwilę musiałam pomyśleć, by zrozumieć, co widzę.

Broń nie była wycelowana we mnie.

Była wycelowana w Samirę. A żołnierz trzymał już palec na spuście.

Wszystko stało się w jednej sekundzie.

Ranaa poruszyła się.

Broń wypaliła.

Kula bezlitośnie przeszła zielony khalat.

Ułamek sekundy i wszystko się skończyło. Walka dobiegła końca tak szybko, jak się zaczęła. W ciszy, jaka zapadła, słyszałam tylko, jak Samira wykrzykuje imię Rany, serce małej Półdzinki wypompowuje krew na ziemię, a małe słońce w jej ręce umiera wraz z nią.



ROZDZIAŁ 6

Ahmed czekał na nas przy wejściu do obozu.

To nie był dobry znak.

Nasz Książę Buntownik może i nie zachowywał się tak pretensjonalnie jak większość przedstawicieli rodu królewskiego, ale zwykle nie czekał na nas jak żona, której mąż za długo zasiedziało się w barze.

– Delila. – Zrobił krok w stronę swojej siostry, wychodząc z cienia rzucanego przez łukowate wejście. Shazad instynktownie omiotła wzrokiem ściany kanionu, szukając zagrożenia. O ile nam było wiadomo, miejsce naszego obozu nadal było bezpieczne, ale jeśli wrogowie dowiedzą się, gdzie jesteśmy, ze szczytu skał otaczających kanion będą mieli czyste pole do strzału. Co najmniej jedna osoba miała dbać o bezpieczeństwo Ahmeda, nawet jeśli on sam o nie nie dbał. Chyba nawet nie zauważył troski Shazad; całą uwagę poświęcał siostrze. – Wszystko w porządku?

Jakaś część mnie chciała powiedzieć Ahmedowi, że powinien bardziej w nas wierzyć i wiedzieć, że przyprowadzimy jego siostrę z powrotem w jednym kawałku. Ale moja koszula była bardziej czerwona niż biała, co nie do końca współgrało z okrzykiem *Wszystko w porządku!*. Lepiej więc nie zwracać na siebie jego uwagi.

To była krew. Krew tych, którzy mnie atakowali. Krew Rany.

Próbowaliśmy ją ratować. Ale od razu było wiadomo, że jest za późno. Umarła w ramionach Samiry.

„Ludzie umierają” – powtarzałam sobie. Tak się działo w czasie misji. Nie była pierwszą i jeśli nie uda nam się jutro zabić Sułtana i osadzić Ahmeda na tronie, nie będzie

również ostatnią. *Taka jest cena wszczęcia wojny* – powiedział paskudny głos w mojej głowie, brzmiący jak Malik.

Tylko że ona była Półdzinem. Nigdy wcześniej nie straciliśmy Półdzina w walce. Ani dziecka.

To była wina Sułtana. Nie nasza. To on wpuścił Gallanów za nasze granice i pozwolił im zabijać Półdziny. I to on polował na nas, żeby używać nas jako broni. To jego wina, że umarła. Ale my nadal żyliśmy – ja, Imin, Delila – i nie staniemy się drugim Noorshamem. Obalimy Sułtana, zanim znajdzie kolejnego Półdzina. Osobiście się o to postaram.

– Nic mi nie jest. – Delila wrywała się, gdy oglądał ją brat, by sprawdzić, czy nie jest ranna. – Naprawdę, Ahmed, nic mi nie jest.

Shazad posłała mi znaczące spojrzenie, osłoniwszy twarz dłonią, udając, że drapie się po nosie. Przez pół roku nauczyłam się czytać Shazad jak otwartą księgę. To spojrzenie oznaczało, że będą kłopoty.

Nie miałyśmy pozwolenia, żeby zabrać ze sobą Delilę. Wiedziałyśmy jednak, że będziemy potrzebować jej pomocy, by przedostać się przez niezdobyte mury Saramotai. Wiedziałyśmy też, że gdybyśmy poprosiły Ahmeda o zgodę na zabranie Delili na misję, jego odpowiedź byłaby przecząca. Wobec tego w ogóle nie pytałyśmy. W praktyce nie była to niesubordynacja, jeśli nigdy nam tego nie zakazał. Chociaż obie wiedziałyśmy, że ten argument można było bardzo łatwo zbić.

Osobiście miałam nadzieję, że Ahmed w ogóle nie zauważy, że Delili nie ma w obozie. Był zajęty sprawami związanymi z rebelią, a my zniknęliśmy tylko na kilka dni. Ale w przeciwieństwie do mnie, większość ludzi przecież wiedziała, co dzieje się z ich rodzeństwem.

– Dobrze sobie radziła, Ahmedzie – powiedziałam. – Wielu ludzi straciłoby życie, gdyby nie ona. – *Jeszcze więcej ludzi.*

Ale tego nie powiedziałam na głos. Wiedziałam, że Shazad i tak usłyszała to w moim milczeniu.

Delila odetchnęła, gdy Ahmed odwrócił od niej wzrok, żeby przyjrzeć się pozostałym oraz grupie, którą przyprowadziliśmy. Niektórzy jechali konno, inni szli, jeśli mieli dość siły. Mahdi był wśród tych, którzy powiedzieli, że potrzebują konia.

Imin znowu zmieniła się w dziewczynę i jechała na jednym wierzchowcu z Navidem, który obejmował ją ramionami. Ahmed uśmiechnął się.

– Widzę, że udało wam się sprowadzić Imin i Mahdiego, a także parę innych osób. – Pod jego pobłażliwym uśmiechem kryła się kpina.

Niektóre z byłych więźniarek zostały w Saramotai, ale duża grupa postanowiła odejść razem z nami. Kobiety, które nie miały dla kogo zostać. Których mężowie i synowie znajdowali się wśród trupów wiszących na murze. Kobieta, która nazwała mnie Zahią, była jedną z nich. Święty Ojciec w Saramotai zaopiekował się nią najlepiej jak potrafił. Na tyle dobrze, że mógł mi powiedzieć, że nie umrze w czasie podróży do obozu. Mahdi argumentował, żeby jej nie zabierać, ale Shazad nie kwestionowała mojej decyzji, kiedy powiedziałam, że wydaje mi się niewłaściwe pozostawianie bezbronnej osoby w mieście, które próbowało ją zabić. Shazad na pewno domyślała się, że było jeszcze coś, o czym jej nie wspomniałam. Kobieta odzyskiwała i traciła przytomność, odkąd wyruszyliśmy z miasta, przez większość czasu jechała przywiązana szimą do innej kobiety, żeby nie spadła z konia.

Przyprowadzanie nowych ludzi z misji nie było niczym nadzwyczajnym. Sama się o tym przekonałam – pół roku temu byłam jedną z nich. Jin miał przywieźć informacje o tak zwanej broni Sułtana. Zamiast tego wrócił do obozu ze mną. A po upływie sześciu miesięcy dawno przestałam być

ostatnią, która dołączyła do obozu buntowników.

Trafiali do nas sympatycy rebelii tacy jak Navid, którzy po bitwie w Fahali zapalili się do działania. Sieroty pozbierane w Malal, trzymające się koszuli Jina przez całą drogę do obozu. Zbiegły żołnierz, któremu drogę pokazał ojciec Shazad, Generał Hamad. Czasem Shazad wymuskiwało się i nazywała ich oddziałem. Ahmed mówił na nich „uchodźcy”. Po kilku tygodniach wszyscy byli po prostu buntownikami.

– Musimy to omówić. – Słowom towarzyszyło znaczące spojrzenie skierowane przede wszystkim na mnie i Shazad. Ahmed nie zamierzał besztać nas w obecności pozostałych. Ale to nie oznaczało, że nam się upiekło.

Shazad zaczęła już mówić, gdy przechodziliśmy przed bramę wiodącą do obozu. Kluczyła wokół naszego planu, zgodnie z którym zostałam pojmana, po czym przeskoczyła do fragmentu, kiedy ona i Delila – będąc niewidoczne za sprawą iluzji Delili – wślizgnęły się za mury w chwili, gdy specjalnie się potknęłam w bramie. Jak czekały na zapadnięcie nocy, żeby wpuścić pozostałych. Im mniej mówiła Ahmedowi o niebezpieczeństwie, na jakie naraziłyśmy jego siostrę, tym lepiej. Z jej słów właściwie nie dało się wywnioskować, że doszło do bójki. Shazad powiedziała mu, że zostawiłyśmy Samirę na straży miasta.

– Musimy wysłać jej wsparcie – dodała, gdy przechodziliśmy przez klif, kierując się do obozu. – Zostawiliśmy do pomocy wszystkich, których mogliśmy. – „Wszystkich, których mogliśmy” oznaczało pół tuzina ludzi, którzy poszli z nami do Saramotai. Navid byłby siódmym, ale nie chciał znów rozstawać się z Imin. Nie była to armia, która mogłaby utrzymać twierdzę, ale więcej ludzi nie mieliśmy. – Nie wystarczy ich, żeby utrzymać pokój. Powinniśmy wysłać pięćdziesięciu dobrze wyszkolonych żołnierzy, zanim ktoś inny się połakomi i pójdzie w ślady Malika. Musimy też wzmocnić miasto przeciw siłom Sułtana.

Ahmedzie – Shazad zniżyła głos, zerkając na grupę idącą za nami, niepewnie szukającą drogi w ciemności – oddziały twojego ojca znajdowały się na naszej części pustyni.

Ahmed na razie nic nie odpowiadał, ale gdy zbliżaliśmy się do końca tunelu, widziałam, że rozumiał znaczenie jej słów nawet lepiej niż ja. Nasza władza w dużej mierze była tylko pozorna. Nie mogliśmy ochronić naszej części pustyni siłą, ale mogliśmy udawać, że jesteśmy silniejsi niż w rzeczywistości. Do czasu aż Sułtan wkroczy na nasze terytorium.

Gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie klifu, uderzyła mnie w twarz taka jasność, że aż zamrugalam. Słoneczne światło sprawiało, że obóz buntowników wyglądał jak jedna z iluzji Delili – zbyt piękny i pełen życia na tej pustyni pełnej pyłu i śmierci. Zupełnie inny świat.

Obóz był dwa razy większy niż w dniu, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Nie mogłam się powstrzymać i zerkalam przez ramię na kobiety z Saramotai, które tu przyprowadziliśmy. Weszło mi w krew obserwowanie twarzy nowych uchodźców, w chwili, gdy po raz pierwszy widzieli obóz. Tym razem nie byłam rozczarowana. Jedna za drugą wychodziły z tunelu i obejmowały wzrokiem mój dom. Przez moment smutek, strach i wyczerpanie schodziły na dalszy plan, robiąc miejsce zachwytowi, z jakim patrzyły na oazę rozciągającą się przed ich oczami. Razem z nimi przez chwilę patrzyłam na nią świeżym spojrzeniem.

W ostatnich sześciu miesiącach przyzwyczaiłam się do powrotów do domu. Znałam obóz na wylot. Znałam twarze, które tu czekały i blizny, jakie nosiły. Zarówno te, z którymi dołączyły do naszej wojny, jak i te, które zdobyli podczas walki dla nas. Wiedziałam, które namioty były lekko pochylone i jakie ptaki śpiewały późnym popołudniem w okolicach stawów, wiedziałam, że zapach świeżo pieczonego chleba oznacza, że Lubna ma tego dnia dyżur

w kuchni.

Spodziewałam się, że Jin wyjdzie mi na spotkanie, tak jak ostatnim razem, gdy wróciłam z misji, na którą wysłano mnie bez niego. Uśmiech na twarzy, rozpięta koszula pod szyją, widoczny kawałek tatuażu, podwinięte rękawy, więc kiedy przyciągnął mnie do siebie, a moja koszula podjechała do góry, jego nagie, gołe ręce dotykały mojego rozpalonego żarem pustyni ciała.

Chyba jednak jeszcze nie wrócił.

Shazad dyskutowała z Ahmedem o tym, kogo i jak wielu posłać do Saramotai, przez co ja musiałam zająć się nowymi uchodźcami. Wydałam Imin i Navidowi polecenie, by pomogli im się odnaleźć w obozie. Żeby zabrali chorych i rannych do Świętego Ojca. Żeby zagonili pozostałych do roboty.

Navid nie potrzebował wskazówek; sam kiedyś był po drugiej stronie. Ale mimo to uśmiechał się łagodnie, gdy je wydawałam. Kiedy skończyłam, Imin zaczęła pomagać w rozprowadzaniu kobiet po obozie.

Ponad ramieniem Shazad uchwyciłam spojrzenie Ahmeda, nadal dyskutowali, od czasu do czasu do ich rozmowy wtrącał się Mahdi. Ahmed wskazał mi wzrokiem Delilę. Zrozumiałam. Nie chciał jej jeszcze bardziej w to mieszać.

– Delila – powiedziałam – poszłabyś z Navidem i Imin? Trzeba dopilnować, żeby nie zaczęli się do siebie kleić, zanim nie ulokują wszystkich przybyłych.

Delila może i była naiwna, ale nie głupia. Wiedziała, co robię. Sądziłam, że będzie chciała spróbować zostać i wstawić się za mną i za Shazad. Ale skinęła głową, odgarnęła fioletowe włosy za uszy, udając dobry humor, po czym poszła za Imin i Navidem oraz ich grupką kobiet z Saramotai.

Ahmed odczekał do chwili, aż dziewczyna znajdzie się poza zasięgiem jego głosu.

– Co wy sobie myślałyście? – zaczął. Nie odrywał wzroku od pleców swojej siostry. – Delila jest dzieckiem i nie ma doświadczenia w walce.

– Nie wspominając o tym, że twój plan niemal doprowadził do tego, że dostałabyś kulkę między oczy – wtrącił się Mahdi.

– Twój *całkowity* brak planu doprowadził do tego, że siedziałeś w więziennej celi, więc na twoim miejscu nie wskazywałabym nikogo palcem. Jak to się mówi: ci, którzy wytykają innych palcem, kończą z połamanymi paluchami zwróconymi w swoją stronę. – Shazad miała do Mahdiego jeszcze mniej cierpliwości niż ja. Znała go dłużej. Poznali się jeszcze przed próbami Sultrima w Izmanie.

– Jestem pewna, że nie ma takiego przysłowia – powiedziałam.

– Prawie *zginęłaś* – powtórzył Mahdi, jakbyśmy były zbyt głupie, by go zrozumieć za pierwszym razem.

– Przeżywasz, jakby to był pierwszy raz, gdy celowano do mnie z rewolweru – odpowiedziałam, a Shazad wywróciła oczami. – Nawet *w tym miesiącu* nie był to pierwszy raz.

– Moja siostra nie jest przyzwyczajona do patrzenia w oczy śmierci tak jak wy dwie. – Ahmed wstał i ruszył, co było niewypowiedzianym rozkazem dołączenia.

– Nie pozwoliłybyśmy, żeby coś jej się stało, Ahmedzie – powiedziała Shazad. Szłyśmy po obu jego stronach, Mahdi bezskutecznie próbował się wepchnąć z boku.

– Poza tym Delila jest Półdzinem jak ja. – Doszliśmy na skraj obozu, gdzie drzewa rzucały cień. Zmierzałyśmy do pawilonu Ahmeda. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy nastąpił ten moment, gdy zaczęłam tak swobodnie rozmawiać z królem. – Chciała pomóc, podobnie jak inni.

– Ale to nie dlatego ją zabrałyście, prawda? – Ahmed nie patrzył na mnie. – Zabrałyście ją, żeby coś udowodnić.

Mówił o Jinie.

Dwa miesiące temu zostałam postrzelona i prawie umarłam, kiedy Jin i ja byliśmy z misją w Iliaz. Miałam szczęście, że przeżyłam. Kiedy się ocknęłam z powrotem w obozie, pozszywana i zabandażowana, Jina już nie było. Ahmed wysłał go na granicę, kiedy byłam nieprzytomna. Miał przedostać się do armii Xicha, która podgryzała Miraji na wschodniej granicy, próbując odebrać nam kawałek pustyni, od czasu gdy upadł sojusz Sułtana z Gallanami.

Nie byłam tak małostkowa, żeby narażać jego siostrę na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że zlecił misję swojemu bratu, kiedy moje życie wisiało na włosku.

Ale nie wiedziałam, czy powinnam powiedzieć to na głos.

– Potrzebowałyśmy jej i przy okazji chciałyśmy coś udowodnić – powiedziała Shazad, dzięki czemu nie musiałam odpowiadać. Już prawie doszliśmy do pawilonu Ahmeda, kiedy zatrzymał się i odwrócił w naszą stronę. Ja również stanęłam w miejscu. Przez chwilę widziałam jedynie twarz Księcia Buntownika na tle złotego słońca zdobiącego jego namiot. Stał krok przed nami, jakby mógł w każdej chwili zaprowadzić z nami porządek. Jakby był naszym władcą, a nie przyjacielem.

Właśnie wtedy zobaczyłam, że wejście do pawilonu jest zamknięte. To dlatego mogłam zobaczyć słońce wyszyte na klapach namiotu, które teraz okalało Ahmeda, jakby właśnie z niego zstąpił. Pawilon był zamknięty tylko wtedy, gdy Ahmed zasięgał opinii rady wojennej. Ale wszyscy znajdowaliśmy się na zewnątrz. Coś się zmieniło. Shazad w tej samej chwili zrozumiała to, co ja.

– Hala wróciła – powiedział Ahmed. Działo się coś złego, skoro tak szybko porzucił temat swojej siostry. – Wróciła z Izmanu niedługo przed wami. Maz wypatrzył was na horyzoncie, więc pomyśleliśmy, że poczekamy... żeby porozmawiać. – Rzucił Mahdiemu spojrzenie tak szybkie, że nie zauważyłabym tego ruchu, gdybym nie patrzyła na niego

tak uważnie.

– Co się stało? – zapytała Shazad. – Dlaczego nie powiedziałaś Imin, że wróciła Hala?

Imin i Hala były rodzeństwem. Miały tego samego ojca Dżina. Gdyby Hala nie była w Izmanie, gdy Imin została pojmana, nie byłoby sprawy, bo to ją zabrałybyśmy zamiast Delili. Przedarłaby się przez umysł każdego mieszkańca Saramotai, żeby uwolnić Imin.

– Jest z nią Sayida? – wtrącił się Mahdi.

Sayida. Powód, dla którego Hala została wysłana do Izmanu.

Nigdy nie poznałam Sayidy, ale dużo o niej słyszałam. Była w moim wieku. Gdy miała piętnaście lat, została wydana za jednego z żołnierzy ojca Shazad. To Shazad zauważyła, że dziewczyna miała więcej połamanych kości niż jej mąż. To ona zaaranżowała przeniesienie Sayidy z domu męża do Tajnego Domu, bezpiecznej kryjówki wykorzystywanej przez rebelię w Izmanie. To tam uwikłała się w rebelię. I w Mahdiego, jak się zdaje.

Na samym początku, zaraz po próbach Sultrima, Sayida zdołała zdobyć posadę w pałacu Sułtana, gdzie szpiegowała dla rebelii. Miesiąc temu nie przysłała planowanego raportu. Ahmed czekał tydzień. Może coś poszło nie tak. Ostatnie, czego chciał, to jej zdemaskowania, jeśli było to tylko opóźnienie. Przez tydzień wysłuchiwał zrzędzenia Mahdiego, żeby posłał kogoś po nią, aż wreszcie wysłał Halę, by dowiedziała się, co się dzieje.

– Czy wszystko w porządku z Sayidą? – naciskał Mahdi. W jego głosie rozbrzmiewała nadzieja, choć w jego oczach widziałam strach, gdy spoglądał ponad ramieniem księcia na zamknięty pawilon.

Milczenie Ahmeda było wystarczającą odpowiedzią.

≈≈≈

Wewnątrz pawilonu Hala klęczała na ziemi, pochylona ponad ładną Mirajinką, a jej złote dłonie spoczywały na głowie dziewczyny. Hala nie podniosła wzroku, gdy weszliśmy, cały czas miała zamknięte oczy. Była zmęczona. Tak zmęczona, że nawet nie stosowała iluzji do zamaskowania brakujących palców, jak to zwykle czyniła. Jej skóra Półdzina poruszała się jak płynne złoto, a światło lampy ślizgało się po niej. Pokrywała ją warstewka potu. Nie od gorąca, uświadomiłam sobie, ale z wysiłku. Używała swoich mocy Półdzina nie dla własnej próżności. Używała ich dla dziewczyny leżącej na ziemi. Sayidy, jak się domyślałam.

Sayida miała otwarte, niewidzące oczy, wbite w jakiś odległy punkt, do którego nie mogło dotrzeć żadne z nas. Hala była w jej umyśle.

Mahdi padł na kolana po drugiej stronie dziewczyny.

– Sayida! – Chwycił ją w ramiona. – Sayida, słyszysz mnie?

– Byłabym wdzięczna, gdybyś tego nie robił. – Znajomy głos Hali brzmiał inaczej przez zmęczenie. Nadal nie otwierała oczu. – To trochę niegrzeczne, gdy próbujesz wytrząsnąć mnie z jej głowy, jakbym była złym snem, skoro widzisz, że utrzymuję iluzję przez większą część tygodnia po to, żeby jej *pomóc*. – Tygodnia? To wyjaśniałoby, dlaczego Hala wyglądała na wykończoną. Wszystkich korzystających z wrodzonych mocy dłużej niż kilka godzin z rzędu kosztowało dużo wysiłku – może oprócz tych, którzy zmieniali wygląd. A co dopiero mówić o tygodniu.

– Łatwo ją było znaleźć, czekała na mnie w celi. – Hala opadła na ziemię, cała drżąc. Trzymała się ostatkiem sił. – Musiałam dostać się do jej głowy, żebym mogła po cichu ją wydostać i przewieźć tutaj. – Spojrzała z desperacją na

Ahmeda. – Przyniosłeś coś, żeby pozbawić ją przytomności?

Ahmed skinął głową i wyjął z kieszeni buteleczkę z jakimś przezroczystym płynem.

– Co jej się stało? – Mahdi zmienił pozycję, by móc wziąć Sayidę w ramiona. Zawsze brałam Mahdiego za tchórza, ale teraz uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był tak przestraszony. Nawet wtedy, gdy znalazł się za bramą więzienia. Lecz to nie był strach o swoje życie. Może rzeczywiście przynależał do naszej rebelii.

Hala zerknęła na Ahmeda, żeby sprawdzić, czy się zgadza. Zawahał się chwilę, po czym skinął głową. Jediną oznaką tego, że Hala przestała używać swojej mocy, było ciche westchnięcie, które wymknęło się spomiędzy jej warg, gdy znowu usiadła na podłodze. Ale zmiana, jaka zaszła w Sayidzie była tak wielka, jakby noc zapadła w środku dnia. Jej obojętny spokój zmienił się w krzyk, wygięła się w łuk i wiła tak bardzo, że Mahdi nie mógł utrzymać jej w ramionach. Rzucała się niczym uwięzione zwierzę, szarpała ubranie Mahdiego, wczepiała się palcami w ziemię, we wszystko dookoła.

Shazad wzięła buteleczkę od Ahmeda, zdjęła szimę z szyi i wylała zawartość fiolki na materiał. Sam zapach specyfiku sprawił, że zakręciło mi się w głowie. Jednym ramieniem przygwoździła Sayidę do ziemi, unieruchamiając jej rękę i przytknęła materiał do ust i nosa dziewczyny. Shazad przydusiła lekko dziewczynę, zmuszając ją do zaczerpnięcia wielkiego haustu powietrza przesyconego wonią leku.

Mahdi nie poruszył się. Tylko gapił się na walczącą Sayidę, która robiła się coraz słabsza, aż wreszcie straciła przytomność i zwiotczała w objęciach Shazad.

– Mahdi. – Ahmed wreszcie przerwał ciszę. – Zabierz Sayidę do namiotu Świętego Ojca. Może tam odpoczywać.

Mahdi skinął głową, wdzięczny za możliwość ucieczki. Nie był silny, miał sylwetkę uczonego, nie wojownika. Z wysiłku

drżały mu ręce, gdy ją podnosił. Ale żadne z nas nie chciało go urazić i oferować swojej pomocy.

– Odpoczynek jej nie pomoże – powiedziałam, gdy Mahdi zniknął za klapami namiotu. – Umiera.

Gładko wypowiedziałam tę prawdę. My, Półdżiny, nie umieliśmy kłamać. Cokolwiek jej zrobili, umierała.

– Wiem – przyznał Ahmed. – Ale zaufajcie mi: powiedzenie komuś, że jego ukochana umiera, nie jest dobrą rzeczą. – Gdy to mówił, patrzył wprost na mnie. Zastanawiałam się, co zaszło pomiędzy nim a Jinem, kiedy pukałam do bram śmierci.

– Co oni jej zrobili? – Głos Shazad zdradzał napięcie. – Powiedziała im coś o nas? – Ze wszystkich w obozie, Shazad miała najwięcej do stracenia. Należała do prominentnej rodziny z Izmanu i gdyby kiedykolwiek wydało się, że Shazad stoi po stronie Księcia Buntownika, Sułtan mógł dopaść wielu jej bliskich.

– Och, wybaczcie, nie zapytałam o szczegóły tortur, jakim została poddana, kiedy musiałam ją ratować zupełnie sama, jednocześnie próbując uchronić moją półdżyńską naturę przed Sułtanem – odpyskowała Hala. – Może chcecie, żebym wróciła i przehandlowała siebie za jakieś niepotrzebne informacje?

Hala normalnie była dość drażliwa, ale nie w stosunku do Shazad. Ludziom nie wychodziło na dobre, gdy cwaniakowali przy Shazad. Hala musiała być więc w gorszym stanie, niż sądziłam.

– Gdyby Sułtan dowiedział się o tobie, już byśmy o tym wiedzieli – powiedział Ahmed.

– Potrzebujemy nowego szpiega w pałacu. – Shazad zabębniła palcami o rękojeść swojego miecza. – Może już czas, bym powróciła z mojej świętej pielgrzymki. – W Izmanie wiadomo było, że Shazad Al-Hamad, niezwykle piękna córka generała Hamada, przeżywa wielkie nawrócenie. Skryła się

w świętym miejscu w Azharze, gdzie według legendy powstał Pierwszy Śmiertelnik, żeby modlić się w ciszy i medytować. – Niedługo Auranzeb. Dobry powód, żeby wrócić.

– Zostałaś zaproszona na Auranzeb? – Nadstawiłam uszu. Auranzeb obchodzono każdego roku w rocznicę zamachu stanu, który wyniósł Sułtana na tron Miraji. Było upamiętnieniem tej krwawej nocy, kiedy dogadał się z armią Gallanów i wymordował połowę swych braci i ojca.

Nawet w dalekim Dustwalk słyszeliśmy opowieści o tych obchodach. O fontannach pełnych wody z płatkami złota, tancerkach, które przeskakiwały przez ogień, by zabawić gawieź, i cukrowych figurach rzeźbionych z takimi szczegółami, że ci, którzy je tworzyli, ślepli z wysiłku.

– Przywileje córki generała – mówiła Shazad znudzonym tonem.

– Nie – uciął szybko Ahmed. – Nie mogę cię poświęcić. Może nie jestem aż tak dobrym strategiem jak ty, ale nawet ja wiem, że nie posyła się swojego najlepszego dowódcy jako szpiega, jeśli ma się inny wybór.

– A ja jestem do zastąpienia? – zapytała sarkastycznie Hala, znowu kładąc się na ziemi. Ahmed zignorował ją. Nie dało się odpowiadać na każdy sarkazm Hali i mieć jeszcze czas na zrobienie czegoś innego w ciągu dnia. Wyciągnęłam rękę, chcąc pomóc jej wstać. Zignorowała mnie, zamiast tego podniosła rękę i zdjęła ze stołu na wpół obraną pomarańczę.

– Trzeba coś zrobić. – Shazad odruchowo pogładziła dłonią mapę rozwiniętą na stole. Dawniej była to pojedyncza, czysta, nowa mapa przedstawiająca Miraji.

Teraz leżało tam kilkanaście różnych fragmentów pokazujących odległe zakątki kraju. Miasta, obok których nagryzmołono, po czym skreślono imiona stacjonujących tam rebeliantów; inne kawałki papieru, leżące jeden na drugim, gdy traciliśmy i odzyskiwaliśmy części pustyni.

Obok Saramotai pojawiła się świeża notka.

– Nie możemy cały czas chować się na tej pustyni, Ahmedzie. – Rozpoznałam początek tej samej kłótni, jaką Shazad toczyła z Ahmedem od kilku miesięcy. Shazad powtarzała, że musimy iść z rebelią do stolicy, jeśli chcemy mieć szansę na zwycięstwo. Ahmed mówił, że to zbyt ryzykowne, po czym Shazad odpowiadała, że nikt nigdy nie wygrał wojny, będąc w defensywie.

Ahmed dwoma palcami potarł miejsce u nasady włosów, zanim odpowiedział. Miał tam małą bliznę, teraz już prawie niewidoczną. Zauważyłam jednak, że pociera ją za każdym razem, gdy zlecał nam zadanie, które mogło skończyć się naszą śmiercią. Jakby w bliznie znajdowało się jego sumienie. Nie wiedziałam, jak ją zdobył. Pochodziła z tego okresu życia Jina i Ahmeda, zanim dotarli do Miraji.

Jin opowiadał mi kiedyś, skąd wzięły się niektóre z jego blizn. Podczas jednej z tych ciemnych nocy na pustyni, gdy znajdowaliśmy się pomiędzy obozem a misją do wypełnienia. Wkrótce po tym, jak dorobił się kolejnej rany, która miała zmienić się w nową bliznę na jego piersi, tuż pod tatuażem przedstawiającym słońce. Znajdowaliśmy się daleko od Świętego Ojca, który mógłby nas pozszywać, przez co sama musiałam się tym zająć. W ciemności jego namiotu moja dłoń dotykała jego nagiej skóry, znajdując nowe guzy i blizny, a on opowiadał, skąd się wzięły. Nóż pijanego marynarza podczas bójki w barze w albiskim porcie. Złamana kość na statku podczas sztormu. A potem moje palce znalazły tę na jego lewym ramieniu, w pobliżu tatuażu przedstawiającego kompas, który widniał po drugiej stronie jego serca.

– A ta – powiedział, będąc tak blisko mnie, że jego oddech mierzwił moje włosy, które wymknęły się z byle jak związanego kucyka – jest od tej kuli, która zraniła mnie w ramię, kiedy pewna upierdliwa dziewczyna, udająca, że

jest chłopakiem, zostawiła mnie w samym środku bójk.

– Cóż, na szczęście ta sama upierdliwa dziewczyna potem cię pozszywała – zażartowałam, obrysowując kciukiem jego tatuaż.

Kątem oka zobaczyłam, że usta Jina wyginają się w coś na kształt uśmiechu.

– Boże, już wtedy wiedziałem, że pakuję się w kłopoty. Musiałem ratować życie, krwawiłem na twoją podłogę, a jedyne, o czym myślałem, to jak cię pocałować, i niechby nas nawet złapali.

Powiedziałam mu, że to by było idiotyczne. A potem całował mnie, aż oboje od tego zgłupieliśmy.

– A co z Jinem? – wypaliłam bez zastanowienia. Tym samym przerwałam kłótnię, która przechodziła przez te same znajome etapy, podczas gdy ja błądziłam myślami po namiocie stojącym gdzieś na piasku.

Ahmed pokręcił głową, nadal przyciskając palce do czoła.

– Żadnych wiadomości.

– Nie sądzisz, że warto byłoby kogoś posłać za nim, podobnie jak za Sayidą? – powiedziałam, zanim udało mi się oczyścić słowa ze złości.

– Więc gniewasz się o Jina. – Ahmed zdawał się zmęczony.

– Trwa wojna. – Byłabym małostkowa, gdybym złościła się o to, że Ahmed posłał Jina, gdy moje życie wisiało na włosku. No więc chyba właśnie byłam małostkowa.

– To prawda. – Jego spokój jeszcze to pogarszał. Kątem oka widziałam, że Shazad posłała znaczące spojrzenie. Tym razem nie mnie, lecz Hali, ale było zbyt szybkie, żebym mogła domyślić się, o co chodziło. Hala wrzuciła do ust ostatnią cząstkę pomarańczy, wreszcie wstała i odeszła, żeby nie stać blisko mnie.

– To nie była odpowiedź – powiedział do mnie Ahmed. – Uważasz, że źle zrobiłem, posyłając Jina na przespługi do Xichy? W sytuacji, gdy obcokrajowcy walczący z moim ojcem

to jedyne, co powstrzymuje go od ataku na nas?

– Cóż, teraz to już nie ma większego znaczenia. Sułtan i tak wrócił na nasze terytorium, sądząc po tych zabitych żołnierzach, których zostawiliśmy w Saramotai. – Cholera, nie chciałam tego mówić. – Wydaje mi się, że były jakieś inne sposoby. – Tego też nie chciałam mówić. Nawet jeśli tak myślałam od miesięcy.

Ahmed splótł dłonie na czubku głowy. Ten gest tak bardzo upodabniał go do Jina, że jeszcze bardziej mnie rozzłościł.

– Uważasz, że dla twojego dobra nie powinienem był wysłać swojego brata, by działał dla dobra kraju?

– Uważam, że powinieneś poczekać, zanim go wysłałeś – zaczęłam krzyczeć, tracąc cierpliwość. Shazad zrobiła krok w przód, jakby chciała mnie powstrzymać przed powiedzeniem czegoś, czego mogłabym później żałować. – Przynajmniej do czasu aż się wybudzę po tym, jak postrzelono mnie w walce dla twojej rebelii.

Nigdy wcześniej nie widziałam tak wkurzonego Ahmeda. Ale wiedziałam już, że przegięłam, zanim jeszcze się odezwał:

– Sam chciał jechać, Amani.

Użył prostych słów, ale chwilę zajęło mi zrozumienie ich znaczenia, w tym czasie Shazad i Hala znieruchomiały, czekając na dalszą wymianę zdań.

– Nigdzie go nie wysyłałem. – Ahmed mówił już normalnym tonem, ale słowa miały tę samą moc. – Poprosił mnie o zadanie, które pozwoli mu się czymś zająć, zanim się wybudzisz. Próbowałem namówić go do pozostania, ale kocham mojego brata, więc nie chciałem zmuszać go do patrzenia, jak umierasz. I przez dwa ostatnie miesiące kłamałem, żeby cię chronić, ale nie mam czasu na przerzucanie się z tobą słowami i branie na siebie winy za to, że wyjechał.

Walczyły we mnie uraza i złość, a ja nie wiedziałam, któremu uczuciu poświęcić swoją uwagę w pierwszej

kolejności. Chciałam nazwać go kłamcą, ale wiedziałam, że to mi się nie uda. Wszystko, co mówił, było prawdą. Prawdziwszą niż to, że Ahmed wysłał Jina, nie troszcząc się o żadne z nas. Prawie umarłam, a Jin chciał zostawić mnie samą.

– Amani... – Ahmed znał mnie równie dobrze jak pozostali. Wiedział, że instynkt każe mi uciekać. Ja też o tym wiedziałam. Czułam, że aż świerzbią mnie nogi. Ponownie przestał być władcą, a stał się przyjacielem, gdy wyciągnął do mnie rękę. Próbował mnie powstrzymać. Ale ja już byłam poza jego zasięgiem, wychodziłam z dusznej ciemności pawilonu wprost na kpiąco słoneczną jasność oazy.



ROZDZIAŁ 7

Ostatni raz widziałam Jina chwilę przed tym, jak zostałam postrzelona w brzuch.

Byliśmy w Iliaz, sercu gór środkowych. Tak długo jak Iliaz było w rękach Sułtana, nie było łatwej drogi na wschód Miraji. Co oznaczało, że nie można było dostać się do Izmanu i zdobyć tronu.

To miała być prosta misja, tylko rekonesans.

Okazało się, że nie byliśmy jedynymi wrogami Sułtana, którzy doszli do wniosku, że odbicie Iliazu oznaczało zdobycie Miraji. Iliaz znajdował się pod oblężeniem dwóch armii – Albiszów i Gamaniksów. Nie wiedziałam, gdzie leżały te dwa kraje, ale Jin zauważył ich flagi powiewające nad namiotami, kiedy leżeliśmy płasko na szczycie góry wznoszącej się nad ich obozami. Okazało się, że młody książę, który dowodził wojskiem w Iliaz, był o wiele lepszym dowódcą niż jego brat, Naguib.

Utrzymywał przewagę w górskiej fortecy, walcząc jednocześnie z dwiema armiami przy minimalnych stratach po swojej stronie. Nawet Shazad była pod wrażeniem. Ale i tak sądziła, że uda nam się przedostać pomimo oblężenia.

To znaczy, mniej więcej chodziło jej o to, żeby przemknąć pomiędzy walczącym pierwszym dywizjonem Emira z Iliaz oraz dwiema obcymi armiami. A pierwszy dywizjon Iliaz był o wiele większy, niż się spodziewaliśmy.

Niewiele pamiętam z tej walki. Rozbłyśki prochu strzelniczego rozświetlające noc po obu stronach, okrzyki w językach, których nie rozumiałam, i krew spryskującą skały. Shazad wirującą z mieczem i wycinającą dla nas drogę przez pole bitwy, siebie z posłuszną pustynią, Jina

celującego z rewolweru w Mirajińczyków i obcokrajowców. Draśnięcie kulą w rękę, które jednym żelaznym pocałunkiem pozbawiło mnie całej mocy. Widok noża mającego wbić się w plecy Jina ułamek sekundy przed tym, nim był go w stanie zauważyć. Ułamek sekundy mogący uratować mu życie. Sięgnięcie po broń, którą miałam za paskiem.

Wyszłam z ukrycia i wkroczyłam prosto na linię ognia. Mężczyzna z nożem padł, gdy pociągnęłam za spust. Ale tuż za nim była inna broń, pewną ręką wycelowana we mnie przez żołnierza Miraji. Jego kula przeszła przeze mnie. Jakbym nie była z ognia i piasku Dżina. Tylko z ciała i krwi.

Wszystko, co działo się potem, znam z opowieści, które usłyszałam, gdy się ocknęłam. Gdy upadłam, Jin mnie podniósł, wcześniej pokonując trzech mężczyzn, którzy stali pomiędzy nami.

Krwawiłam tak bardzo, że wyglądało na to, że połowa mojego życia już wysączyła się na ubranie, zanim do mnie dotarł. Shazad kilkoma wymachami mieczami wycięła ścieżkę pośród walczących i razem wsadzili mnie na grzbiet Izza, który przybrał postać gigantycznego Roka, przybywającego nam na ratunek. Ale nie było czasu, żeby lecieć ze mną do naszego obozu. Wcześniej bym umarła. Zatrzymali się w pierwszym mieście, w którym dostrzegli dom modlitewny. Znajdowało się po stronie Sułtana. Teren wroga. Izz, z powrotem w swojej ludzkiej postaci, kazał Świętemu Ojcu przysiąc, że mnie wyleczy, a nie skrzywdzi, a potem jeszcze raz kazał mu to powtórzyć, zanim przekazał mnie w jego ręce. Shazad odciągnęła Jina, który chciał pilnować Świętego Ojca przy pracy, przystawiając mu rewolwer do głowy.

Święty Ojciec nie próbował mnie zabić, chociaż słyszałam, że i bez jego pomocy raz czy dwa byłam bliska śmierci. Niewiele brakowało, żeby kula zabiła mnie na trzy sposoby. Ledwie przestałam krwawić, jak już musieli ruszać. Święty

Ojciec ostrzegał ich, ale Izz został rozpoznany. Dostarczyli mnie do obozu tak szybko jak mogli i przekazali naszemu Świętemu Ojcu.

Okazało się, że ocaliło mnie to, że jestem Półdzinem. Samodzielnie, szybko i skutecznie pokonałam wszelkie ogniska zapalne. Jedyłą rzeczą, o jaką musiał martwić się Święty Ojciec, było krwawienie.

Minął prawie tydzień, kiedy ponownie otworzyłam oczy, przebijając się przez mgłę wywołaną przez leki, które wlewano we mnie wraz z wodą. Obok spała Shazad. Stąd wiedziałam, że musiałam być bliska śmierci. Namiot chorych dawniej był terytorium Bahiego. Odkąd umarł, nie przekroczyła jego progę. Nawet wtedy, gdy sama była ranna, ten jeden raz, kiedy wrogi miecz pokonał jej gardę. To ja zaszyłam rozcięcie na jej ręce.

Obudziła się, jak tylko się poruszyłam, otworzyła oczy i sięgnęła po broń, której tu nie miała, zanim dotarło do niej, że to ja.

– O, któż to powrócił z martwych.

≈≈≈

Shazad odnalazła mnie w jednej z sadzawek, która była wykorzystywana do mycia. Ciemne ubrania wisiały pomiędzy drzewami po obu stronach, żeby osłonić ją od spojrzeń ze strony obozu. Była płytka – mogłam siedzieć w wodzie, która sięgała mi ramion – i tak czysta, że widziałam swoje stopy na dnie. Dno było pełne białych i czarnych kamyków wygładzonych przez wodę. Popychałam je po dnie palcami stóp. Siedziałam tu tak długo, że zdążyłam zmyć brud z włosów, które już wyschły i spływały w długich falach, kręcąc się przy skórze głowy, tak jak to miały w zwyczaju.

Ostrożnie ścierałam piaskiem krew zaschniętą wokół rany

na obojczyku, którą przywiozłam z Saramotai. Zastanawiałam się, czy pójść do Świętego Ojca, żeby założył mi szwy, ale doszłam do wniosku, że ma pełne ręce roboty z przyprowadzonymi kobietami. Włącznie z tą, która nazwała mnie imieniem matki. Nie wiedziałam, czy już się ocknęła, ale jeśli tak, to był kolejny powód, by trzymać się z daleka od namiotu chorych.

Shazad również pozbyła się śladów pustyni. Ubrała się w biało-żółty khalat, który przypominał mi mundury żołnierzy Miraji. Przy tak bladej tkaninie jej skóra wydawała się znacznie ciemniejsza. Niosła jakieś zawiniątko pod pachą.

– Jin ma w sobie tyle samo instynktu ucieczki, co walki – powiedziała Shazad. – To dlatego Ahmed znalazł się sam w Izmanie. – Znałam tę historię. Kiedy Ahmed postanowił, że zostanie w kraju, w którym przyszedł na świat, Jin postanowił jechać dalej, zostając na statku, na którym razem pracowali. Wrócił kilka miesięcy później z Delilą, po śmierci matki. – To samo zrobił podczas prób Sultrima. – Zdjęła buty. – Zniknął nocą przed turniejem i wrócił z podbitym okiem i złamanym żebrzem, ale nigdy nam nie opowiedział, co się z nim działo.

– Wdał się w bójkę z żołnierzem w jakimś barze. Poszło o dziewczynę.

– Aha. – Shazad potaknęła, podwijając szalwar. Usiadła na brzegu sadzawki i wsadziła nogi do wody, żeby je schłodzić. Wokół nas unosiły się dźwięki dochodzące z obozu wraz z lekką bryzą. Trel ptaków mieszał się z głosem ludzi. – No dobrze, nie mamy za wiele czasu, więc od razu zmierzam do sedna sprawy. Ty mnie zapytasz, czy wiedziałam, że sam chciał wyjechać. Ja ci odpowiem, że nie wiedziałam. Ty mi uwierzysz, bo nigdy wcześniej cię nie okłamałam. Co w połowie odpowiada za to, że mnie tak lubisz.

Nie myliła się w tej kwestii.

– A ta druga połowa, jeśli już jesteś taka przemądrzała?

– Gdyby nie ja, *cały* czas chodziłabyś goła. – Zawiniątko, które miała pod pachą, po rozwinięciu zmieniło się w khalat, który już kiedyś zauważyłam na dnie jej kufra. Miał kolor nieba tuż przed zapadnięciem całkowitej ciemności nad pustynią i jakieś ornamenty błyszczące niczym gwiazdy. Słyszając ciche pobrzękiwanie domyśliłam się, że to nie jest haft. To były złote paciorki. Rzeczywiście, gdy dołączyłam do rebelii, nie miałam ze sobą tylu ubrań, by stoczyć w nich wojnę, lecz Shazad miała ich dość dla nas obu. Nawet jeśli jej szaty nie do końca na mnie pasowały. To jednak był najpiękniejszy khalat, jaki kiedykolwiek wyjęła ze swojego kufra z ubraniami.

– A co to za okazja? – zapytałam, brodząc w wodzie, żeby zatrzymać się tuż obok niej na skraju sadzawki.

– Navidowi udało się jakoś przekonać Imin, żeby za niego wyszła.

Wciągnęłam powietrze do płuc tak szybko, że połknęłam też trochę wody i zaczęłam kaszleć. Shazad kilka razy walnęła mnie w plecy.

Navid był beznadziejnie zakochany w Imin, od chwili gdy pojawił się w naszym obozie. Nieważne w jakiej postaci występowała Imin, Navid potrafił odnaleźć swój obiekt westchnień bez chwili wahania. Kilka miesięcy temu, podczas równonocy, po pijaku wyznał jej miłość przed całym obozem. Pamiętam, że chwyciłam Shazad za rękę, przygotowując się na nieuniknioną kpinę i odrzucenie ze strony Imin. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie doczekałam się tego. Z niezrozumiałego, bo Imin traktowała wszystkich oprócz Hali z pewnego rodzaju pogardą, która wzięła się u niej z doznanych krzywd. Takich, przed którymi rebelia chroniła Półdżinów.

Imin patrzyła na wszystkie gapiące się na nią twarze ironicznym spojrzeniem swoich żółtych oczu, po czym

zapytała, czy nie mamy nic ciekawszego do roboty. Potem, ku naszemu zaskoczeniu, podała rękę Navidowi, odciągając go od ogniska.

– Musisz pójść – powiedziała Shazad, gdy przeszły mi objawy zachłyśnięcia się wodą – i ubrać się odpowiednio do okazji. Imin już podprowadziła mi trzy khalaty na tę uroczystość, ponieważ, cytuję: „moje ubrania nie pasują do tej uroczystości”.

Uniosłam brwi.

– Czy zwróciłaś Imin uwagę, że potrafi zmieniać kształty, więc może się dopasować do czegokolwiek?

– Oczywiście, że tak! – zirytowała się. – Przyjęła to tak, jak pewnie się spodziewasz. Teraz mam o trzy khalaty mniej.

– W takim tempie wkrótce pozbędziesz się wszystkich ubrań.

– Kiedy nadejdzie ten dzień, poprowadzę wyprawę do namiotu Imin, żeby odzyskać łupy. Ale na razie udało mi się ocalić ten khalat. – Wskazała na biały materiał perfekcyjnie dopasowany do jej figury. – I ten. I w razie czego wiem, gdzie go szukać, ponieważ śpisz obok mnie.

Pogładziłam rąbek khalatu, który mi podała. Moja ręka zdążyła już wyschnąć w słońcu. Przypomniałam sobie coś, co kiedyś mi powiedziała w jedną z tych ciemnych nocy, kiedy żadna z nas nie mogła zasnąć i czuwałyśmy, rozmawiając do rana. Kiedy powiedziała swoim rodzicom, że zostawia swoje dotychczasowe życie i dołącza do Ahmeda, ojciec dał jej te miecze, żeby walczyła nimi dla rebelii. Matka dała jej ten khalat.

– To khalat, który masz założyć w Izmanie. Kiedy wygramy tę wojnę. *Jeśli wygramy.*

– Do Izmanu jeszcze daleko – powiedziała Shazad, jakby usłyszała to „jeśli” w moim głosie.

– Lepiej go przewietrzyć, żeby nie zatechł na dnie kufra. Możesz go założyć, jeśli przysięgniesz, że go nie zakrwawisz.

– Zmuszanie Półdzina do składania przysięgi może być niebezpieczne – powiedziałam. Obietnice były takie same jak prawdomówność. Spełnią się. Ale nie w sposób, jakiego oczekujesz.

– To ślub, Amani. – Shazad wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi wyjść z wody. – Nawet ty nie jesteś aż tak dobra, by sprowadzić tam na siebie kłopoty.

≈≈≈

W Dustwalk śluby były szybkie. Większość dziewczyn przywdziewała swoje najlepsze khalaty, mocno znoszone – przechodzące od lat z matek na córki – zawiązywały szimy na głowach, żeby ukryć twarze w tym niepewnym okresie pomiędzy zaręczynami a ślubem, żeby żaden zły duch ani Dżin nie mógł zobaczyć i zapragnąć dla siebie kobiety, która nie należała do nikogo, nie będąc już córką, ale jeszcze nie zostając żoną.

W obozie nie mieliśmy domu modlitw, ale zawsze jakoś dawaliśmy sobie radę. Święty Ojciec przygotował ceremonię na skraju pustyni, gdzie ziemia trochę się wznosiła, przez co w ostatnich promieniach słońca mieliśmy dobry widok na cały obóz. Ceremonia zaślubin zaczęła się o zmroku, gdy słońce zachodziło za ściany kanionu. W czasie, gdy dzień zmieniał się w noc, co symbolizowało zmianę w życiu obu małżonków.

Imin nie ubrała się w używaną szimę. Miała prawdziwe ślubne nakrycie głowy wykonane z delikatnej tkaniny wyszywanej błyszczącą nicią, więc kiedy padły na nią promienie słońca, przez cienki żółty muślin, widziałam tylko zarys twarzy, jaką sobie wybrała na ten dzień. Nie była to twarz, jaką widziałam wcześniej. Imin była naszym najlepszym szpiegiem, życie zawdzięczała temu, że nie

rzucała się w oczy. Ale twarz, którą wybrała na dziś, była oszałamiająca i promieniowała uśmiechem, jakiego nigdy nie widziałam u Imin.

Hala spojrzała mi w oczy, gdy obie uklęknęły obok siebie na piasku. Pomiedzy nami, Półdzinami, zaistniał niewypowiedziany pakt, by mieć oko na Imin po tej nocy, gdy Navid wyznał jej miłość. Żadne z nas nigdy nie widziało, by Imin tak się przed kimś odsłoniła, jak przed Navidem.

Imin i Hala miały wspólnego ojca Dżina, ale wydawało się, że ich matki nie mogły bardziej się różnić. Mówiono, że Hala namieszała swojej w głowie, specjalnie doprowadzając ją do szaleństwa, ponieważ tak bardzo jej nienawidziła. Rebelia odnalazła Imin w więzieniu, gdzie czekała na egzekucję z rąk Gallanów. Imin przeżyła szesnaście lat, ukrywając się w domostwie swoich dziadków, którzy chronili półdzińskie dziecko swojej córki. Sama i samotna, ale bezpieczna. Aż do dnia, gdy babcia Imin wywróciła się na progu, omdlała z upału. Szesnastolatka czekała w desperacji, mając nadzieję, że jakiś sąsiad ją zauważy. Lecz w końcu sama wybiegła z domu w postaci szczupłej dziewczyny, którą przybrała rano, żeby łatwiej poradzić sobie z upałem. Jej ciało było jednak zbyt słabe, żeby wciągnąć do środka dorosłą kobietę. Imin zmieniła się w mężczyznę, ale nie w domu, tylko przed nim.

Wkrótce Gallanie się o niej dowiedzieli. Na tym samym progu zabili całą rodzinę Imin, która próbowała zablokować żołnierzom wejście.

Dopóki nie pojawił się Navid, Imin nie ufała nikomu, kto nie był Półdzinem. Nawet mnie, ponieważ przez szesnaście lat swojego życia sądziłam, że jestem człowiekiem.

Wystarczy jeden fałszywy krok ze strony Navida, by Imin znowu otoczyła się murem nie do przebycia. Ale nawet Hala nie mogła znaleźć w nim żadnej wady, a starała się naprawdę mocno. Każdy widział, jak Navid patrzy na Imin.

Nie miało znaczenia, w jakim ciele była, mężczyzny czy kobiety, Mirajińczyka czy obcokrajowca.

Święty Ojciec stanął pomiędzy Navidem i Imin – oni byli odwrócenii twarzami w naszą stronę, siedzieli na piasku ze skrzyżowanymi nogami. Wyrecytował błogosławieństwa na okazję ślubu i napełnił ogniem dwie gliniane miseczki. Jedną podał Imin, drugą Navidowi. Mówił o tym, że ludzkość powstała z wody i ziemi dzięki Pierwszym Istotom, została wyrzeźbiona przez wiatr i ożywiona iskrą ognia Dżinów. Przypomniał nam, że kiedy Księżniczka Hawa i Attallah stali się pierwszymi śmiertelnikami połączonymi węzłem małżeńskim, ich ognie podwoiły się i płonęły jeszcze większym płomieniem. Całe wieki później nadal wypowiadamy te same słowa, co oni.

Gdy przemawiał, podchodziliśmy kolejno: kobiety z obozu do Imin, mężczyźni do Navida.

Każde z nas wrzucało coś swojego do ich ognia, żeby pobłogosławić związek. W Dustwalk zawsze dawałam pustą łuskę po naboju lub kosmyk włosów. Nie miałam niczego innego.

Po raz pierwszy w życiu miałam więcej i musiałam zastanowić się, co powinnam dać, gdy szykowałyśmy się z Shazad do wyjścia. Przez chwilę dotykałam palcami czerwonej szimy. Tej, którą Jin dał mi w Sazi, spalonym górskim mieście z kopalnią. Gdy zamknęłam oczy, żeby Shazad pomalowała mi powieki kholem, wyobraziłam sobie, że rzucam ją do ognia, patrząc, jak płomienie pochłaniają czerwoną tkaninę. Ale nie byłam aż tak wściekła na niego. Obwiązałam się nią w pasie, tak jak zawsze w przypadku ubrań pożyczonych od Shazad.

Stałam za Halą, która trzymała rękę nad ogniem, nakłuwając igłą każdy z trzech pozostałych palców. Krew była tradycyjną ofiarą składaną przez członków rodziny, nawet jeśli wspólny ojciec Imin i Hali sam nie miał krwi

w żyłach. Jaskrawe czerwone krople powiększały się na opuszkach jej złotych palców, po czym głośno zaskwierczały, gdy krew zetknęła się z ogniem. Gdy Hala odeszła, wrzuciłam do ognia mój dar – garść pustynnego piasku wysypała się spomiędzy moich palców. Zauważyłam cień uśmiechu na twarzy Imin, gdy odsuwałam się, robiąc miejsce Shazad, która wrzucała do ognia mały grzebień. Obok niej Ahmed wrzucał xichańską monetę do misy Navida. Był ubrany w czystą, czarną kurtę wykończoną czerwienią, przez co wyglądał jakby mieszkał w pałacu, a nie obozie rebeliantów. On i Shazad pasowali do siebie, gdy tak stali przy bliźniaczych ślubnych ogniach.

Za Ahmedem byli bliźniacy, Izz i Maz, niosący niebieskie pióro i co chwilę wyrrywający je sobie z rąk, popychając w bezgłośnej walce o to, który z nich wrzuci je do ognia. Ostrzegawcze spojrzenie Shazad, jakie posłała im przez ramię, było wystarczająco wymowne, żeby obu przywołać do porządku. Kiedy zauważyli, że stoję po stronie ognia Imin, zaczęli do mnie szaleńczo machać. Nie widziałam bliźniaków, odkąd zostałam ranna. Musieli wrócić, kiedy byliśmy w Saramotai.

Kiedy cały obóz skończył ten rytuał, Imin i Navid wreszcie odwrócili się przodem do siebie, żeby wypowiedzieć zwyczajowe przysięgi.

– Oddaje siebie tobie. – Imin ostrożnie przelewała swój ogień do trzeciej miski, którą Święty Ojciec dzierżył pomiędzy nimi, popiół i nasze dary mieszały się z rozżarzoną węglą i gdy przesypywały się z miski do miski, posyłały w powietrze iskry. – Wszystko, czym jestem, oddaję tobie i wszystko, co mam, jest twoje. Aż do dnia mojej śmierci.

Navid powtórzył te same słowa, przesypując zawartość swojej miski, łącząc dwa ognie w jeden, większy, jaśniejszy niż te, które trzymali w pojedynkę. Święty Ojciec wypowiadał

błogosławieństwo, poruszając wytatuowanymi dłońmi nad ogniem.

Zapadła cisza, gdy słońce zniknęło za ścianą kanionu, pograżając obóz w mroku rozpraszonym tylko przez ogień. Wówczas Navid zerwał się na równe nogi, niespieszony podniósł Imin, oplótł ją rękami w pasie i pocałował. Cały obóz wiwatował. Ceremonia dobiegła końca. Nadeszła pora na świętowanie.

– Amani! – Nawet nie zdążyłam się odwrócić, żeby zobaczyć, kto wołał mnie po imieniu. Jaskrawoniebieskie ręce chwyciły mnie w talii i energicznie obróciły w drugą stronę. Roześmiałam się, odsuwając Izza, gdy moje stopy ponownie zetknęły się z ziemią. Maz miał ubranie, ale Izz zdjął już wszystko oprócz spodni. Bliźniacy mieli prawdziwą awersję do ubrań. Ich zwierzęce kształty ich nie potrzebowały i wydawało się, że nie rozumieją, po co im ubrania, gdy są ludźmi.

Izz wskazał swoją nagą, niebieską skórę i mój khalat.

– Pasujemy do siebie. – Zaczął się do mnie głupio uśmiechać.

– Na szczęście tylko jedno z nas musiało zdjąć koszulę. Widzę, że obaj przetrwaliście Amonpour. – Albiszowie zawiązali sojusz z naszymi zachodnimi sąsiadami z Amonpour po tym, jak Gallanie przejęli Miraji. Według Shazad, sojusz sprowadzał się zaledwie do złożenia podpisów na dokumencie przez kilku mężczyzn. Aż do chwili, gdy Albiszowie dowiedzieli się, że Gallanie zostali wykurzeni z pustyni. Nagle przypomnieli sobie o tym dokumencie, żeby przekonać Amonpour, by pozwolili im obozować na granicy, gdzie czekali na odpowiedni moment, by spróbować zażądać praw do ziem Miraji. Byli nieco zbyt blisko nas, więc bliźniacy zostali wysłani na przespiegi do oddziałów wojskowych Albiszów, które stacjonowały na naszej zachodniej granicy. Na wypadek, gdyby zaczęły ich

świerzbić stopy i postanowili wypuścić się na naszą połowę pustyni. Ostatnie, czego nam było potrzeba, to walka na dwa fronty.

– Słonie! – Izz w wielkiej ekscytacji wyrzucił obie ręce w górę, zatoczył się w tył i prawie wpadł do ogniska, wykrzykując to dziwne, obce słowo. – Amonpour ma słonie. Wiedziałaś o słoniach?

– Ukrywałaś to przed nami? – Maz zarzucił rękę na ramiona brata i oskarżycielsko wskazywał mnie palcem. Łatwo było zapomnieć, że jeden z nich był cały niebieski, a drugi miał tylko niebieskie włosy, kiedy zachowywali się w ten sposób, poruszając się, jakby byli jedną osobą. Ciemna skóra na ramieniu Maza zdawała się przedłużeniem ciała jego brata.

Izz mrugnął.

– Przyznaj się, Półdżinie.

Przewróciłam oczami.

– Gdybym wiedziała i tak bym to przed wami ukryła, widząc szaleństwo w waszych oczach.

– Chcesz zobaczyć jednego? – Maz już zdejmował buty.

– Będziemy potrzebować więcej miejsca. – Izz zaczął wymachiwać rękami, jakby chciał odgonić ludzi.

To nie mogło się dobrze skończyć.

– Czy to będzie wyglądało tak samo jak wtedy, gdy dowiedzieliście się, jak wygląda nosorożec?

Bliźniaki znieruchomiały, wymieniły między sobą głupawe spojrzenia.

– To znaczy...

– Słonie są...

– Trochę większe, więc...

– Więc może lepiej pokażecie mi je, kiedy nie będzie tu tak wielu ludzi, którzy są pijani, dobrze? – zaproponowałam.

Bliźniacy popatrzyli na siebie, jakby w milczeniu negocjowali zasadność mojej rozsądnej propozycji i chęć

pokazania mi swojej nowej sztuczki. W końcu skinęli głowami i zadowolili się drobiazgowym opisem wyglądu słonia, oraz zrelacjonowaniem szczegółów swojego pobytu w Amonpour. Cóż, już wcześniej domyśliłam się, że jeszcze nie zostaliśmy najechani.

Zapalono pochodnie. Zaczęła grać muzyka, a wraz z nią rozpoczęły się tańce, jedzenie i picie. Byłam zadowolona, że przez te kilka godzin nie będziemy myśleć o wojnie. W nocie takie jak ta w obozie rebeliantów najbardziej wierzyłam w sens naszej rebelii. W nocie, kiedy wszyscy przestawali walczyć i żyli tak, jak obiecywaliśmy, że reszta Miraji będzie żyć.

≈≈≈

Było ciemno od kilku godzin, kiedy zauważyłam go w tłumie.

Wypiłam tyle, że z początku nie wierzyłam własnym oczom. Mignął mi w polu widzenia, gdy okręcałam się w tańcu. Głowa odchyłona w tył, śmiał się, był wyluzowany, taki sam jak tysiące razy wcześniej. Pomyliłam krok, potknęłam się i znalazłam zbyt blisko ognia. Ktoś mnie chwycił i odciągnął, zanim przypaliłam ciuchy Shazad. Wyszłam spośród tańczących i zaczęłam się rozglądać, szukając go w ciemności pomiędzy twarzami, które widziałam jak za mgłą. Ale już go nie było, zniknął tak szybko, jakbym go sobie wymyśliła. Jednak nie – był tam, gdy tłum się rozstał.

Jin.

Wrócił.

Stał po drugiej stronie ogniska, nadal w tym samym ubraniu, z włosami oklejonymi pyłem. Wyglądał, jakby od dawna się nie golił. Nagle przypomniałam sobie, że kiedy mnie całował ostatnim razem, miał kilkudniowy zarost. Moje

serce gnało do niego, ale ja je złapałam i nakazałam czekać.

Odwróciłam się, zanim mnie zauważył. Nie byłam w nastroju, żeby teraz się z nim konfrontować. Kręciło mi się w głowie od wypitego alkoholu i z wyczerpania. Rozglądałam się za Shazad. Była parę kroków dalej, pogrążona w rozmowie z Ahmedem, gestykulowała zawzięcie, machając rękami, jakby odganiała się od insektów. Wyglądała na lekko wstawioną. Shazad nie wykonywała zbyt wielu niepotrzebnych ruchów, kiedy była trzeźwa. Ale kiedy nasze spojrzenia się spotkały, natychmiast umiała mnie rozszyfrować, jakbym była otwartą księgą. Ruchem głowy wskazałam, gdzie ma patrzeć. Jej spojrzenie wbiło się w jeden punkt. Jak wtedy, gdy próbowała namierzyć wroga podczas bitwy. Widziałam szok na jej twarzy, w chwili gdy go zobaczyła. Dobrze. To znaczyło, że to naprawdę on, a nie jakieś zwidy, którymi torturuje mnie Hala.

Miałam nadzieję, że następnym razem, gdy go zobaczę, będę gotowa na to spotkanie. Ale teraz czułam się rozdarta. Bałam się, że gdy przed nim stanę, z moich ust popłyną niepotrzebne słowa. Otarłam pot z karku. Gdy spojrzałam na dłoń, była cała czerwona.

Przez jedną głupią chwilę pomyślałam, że widok Jina naprawdę mnie zranił. Nie, to otworzyła się rana na obojczyku. Skaleczenie pospiesznie zszyte w Saramotai nie przetrwało tańców i picia. Shazad nazwała to zadraśnięciem, ale teraz posłużyło mi za pretekst do ucieczki.

Jin uciekł. Dobrze. Ja zrobię to samo.

≈≈≈

Ciepło i hałas obozu zostały za mną, gdy ruszyłam do położonego na uboczu namiotu Świętego Ojca. Trochę się zmienił od czasu, gdy był w rękach Bahiego. To w tym

miejscu po raz pierwszy otworzyłam oczy w obozie, leżąc pod baldachimem gwiazd wyszytych na materiale. Ale to wcale nie sprawiło, że było mi łatwiej wejść do środka. Chociaż minęło pół roku od chwili, gdy Bahi zmarł zabity przez mojego brata, nadal wydawało mi się, że czuję smród spalonej skóry, gdy podchodziłam zbyt blisko miejsca, w którym pracował. Nic dziwnego, że Shazad trzymała się z dala. Ja go znałam tylko parę tygodni. Ona znała go przez pół swojego życia. Nowy Święty Ojciec zatrzymał ten pled wyszywany w gwiazdy.

To była pierwsza rzecz, jaką zobaczyłam, gdy weszłam do namiotu. Na jednym z łóżek uniosła się kobieca głowa. Nie spodziewałam się, że ktoś tu będzie. A raczej, że będzie tu ktoś, kto nie śpi. W łóżku stojącym najbliżej wejścia leżała Sayida, spała tak spokojnie jak nieżywa. Naprzeciw niej leżał młody buntownik, którego imienia nie pamiętałam, z ręką zabandażowaną od łokcia do nadgarstka, gdzie kiedyś zaczynała się jego dłoń. Wyglądało na to, że został uspijony jakimś specyfikiem, który pomagał mu śnić o tym, że wciąż ma dziesięć palców. A na trzecim łóżku... prawie zapomniałam o kobiecie, którą przywieźliśmy nieprzytomną z Saramotai. Tej, która nazwała mnie imieniem mojej matki.

Chyba już nie była nieprzytomna.

– Yyy... przepraszam. – Wycofywałam się, jedną ręką odsuwając klapę namiotu i szukając wymówki, żeby wejść. Ale przecież nie musiałam. Byłam stąd. Bardziej niż ona. Więc dlaczego przestępowałam z nogi na nogę, jakbym dalej była dzieciakiem w Dustwalk? – Nie chciałam cię obudzić. Trochę krwawię. – Uniosłam rękę do góry.

Jakbym musiała coś udowodniać tej obcej osobie.

– Nie ma tu Świętego Ojca. – Kobieta podparła się na łokciach. Nerwowo rozglądała się wokół, jakby sama szukała przede mną ucieczki.

– Cały czas jest na przyjęciu. – W końcu przekroczyłam

próg i pozwoliłam opaść klapie namiotu. Próbowałam nie patrzeć na Sayidę, gdy wchodziłam do środka. – Przyszłam po jakiś opatrunek.

Spędziłam w tym namiocie sporo czasu, zanim doszłam do siebie. Mogłabym narysować z pamięci każdy jego kąt. Łącznie z kufrem z drewna i żelaza przyozdobionym świętymi słowami, w którym Święty Ojciec trzymał swoje zapasy.

– Jest zamknięty – powiedziała kobieta, gdy uklęknęłam obok kufra.

– Wiem. – Sięgnęłam po małą lampę oliwną z niebieskiego szkła, którą Święty Ojciec zawsze palił nocą, gdy w namiocie pozostawał jakiś chory. Nikt nie powinien cierpieć i umierać w ciemności. Pomacałam wokół jej podstawy, aż wyczułam pod palcami mały żelazny kluczyk, który tam przechowywał. Zamek kufra otworzył się z miłym dla ucha kliknięciem.

Wewnątrz stały rzędy różnych buteleczek, igieł, proszków i małych skalpelów, schludnie ułożone. Zupełnie inaczej niż w bałaganie Bahiego, który narzędzia i zapasy rzucał byle gdzie. Ten porządek wydawał się aż nie na miejscu. Jakby po jego śmierci już nic po nim nie zostało w obozie.

– Jak chcesz możesz nie wierzyć, ale nie jest to moja pierwsza niezapowiedziana wizyta – rzuciłam przez ramię, wyjmując buteleczkę z przezroczystym płynem, którym Święty Ojciec przemywał rany, i odkładając ją na bok. Mrużąc oczy wyjęłam zestaw igieł. Nigdy nie zauważyłam, jakie są duże, na szczęście znalazłam wśród nich jedną mniejszą od pozostałych.

– Sama będziesz się zszywać? – zapytała takim tonem, jakby nie wiedziała, czy ma być przerażona, czy pełna uznania.

– Też nie pierwszy raz. – Wyjęłam pierwszą lepszą igłę, zanim odwróciłam się do niej. Wyglądała znacznie lepiej niż wtedy, gdy ją znaleźliśmy w celi w Saramotai, gdzie co chwilę traciła przytomność. Teraz wydawało się, że zwalczyła

gorączkę, czuwała, a jej twarz miała już prawie normalny kolor.

– Ja... – zaczęła, ale zawahała się i tylko oblizała popękane wargi. – Mam pewną wprawę w leczeniu. Gdybyś nie chciała robić tego sama.

Nie potrzebowałam jej pomocy. Mogłam zabrać to, co mi potrzebne i wyjść. Mogłam zapomnieć, że kiedyś byłam dziewczyną z Dustwalk, której matka miała na imię Zahia. Ale gdybym teraz wyszła, musiałabym stanąć twarzą w twarz z Jinem. Nie mogłam sobie przypomnieć ani jednego razu, kiedy ucieczka przed problemami naprawdę mi pomogła. Poza tym wcale nie cieszyła mnie perspektywa wkłuwania igły we własne ciało.

Usiadłam naprzeciw, podając jej buteleczkę, nić i igłę. Z lękiem odsunęła kołnierz mojego khalatu. Jej palce dotykały rany, gdy wklepywała płyn w miejsca, z których wypływała krew, sprawiając, że czułam setki małych igiełek bólu. Ale nie zwracałam na to uwagi. Przyglądałam się jej twarzy w słabym świetle lampy. Próbowałam odnaleźć jakieś znajome rysy.

– Piłś – powiedziała w końcu. – Czuję od ciebie alkohol. To dlatego znowu zaczęłaś krwawić. Rozcieńcza krew. Nie potrzebujesz szwów, tylko świeżego opatrunku i nauczki, że powinnaś się powstrzymywać od picia.

Sposób, w jaki wypowiedziała słowo „alkohol” sprawił, że zyskałam pewność. Jej akcent wygładził się przez lata mieszkania w innych miejscach, miejscach, które nie połączyły tego słowa, jakby zawsze była tam spragniona. Nie miałam żadnych wątpliwości. Poza tym pozostałe słowa w charakterystyczny sposób wznosiły się i opadały. Rozpoznałabym ten akcent w kakofonii bazaru. To był mój akcent.

– Nazwałaś mnie Zahią – powiedziałam, wypuszczając swoją amunicję tak szybko, żebym nie zdążyła się rozmyślić.

– To imię mojej mamy. Zahia Al-Hiza. – Przyglądałam się jej, obserwując reakcję na moje słowa. – Ale urodziła się jako Zahia Al-Fadi.

Twarz kobiety zmieniła się tak, jakby w rozdaniu dostała fatalne karty. Odsunęła się ode mnie, puściła kołnierz mojego khalatu i podniosła rękę do ust, tłumiąc szloch.

Patrzyłam na nią, nie wiedząc, co powinnam zrobić. Powinnam zostawić ją w spokoju czy spróbować pocieszyć. Nie mogłam jednak oderwać od niej wzroku.

– Wobec tego ty musisz być Amani – mówiła na przydechu, gdy wreszcie zdołała wydusić z siebie głos. Ze złością potrząsnęła głową, żeby odegnać napływające łzy. Dziewczyny z pustyni nie płaczą. – Wyglądasz jak Zahia w twoim wieku. – Już to kiedyś słyszałam. Podniosła rękę, najwyraźniej chcąc mnie dotknąć. Miała łzy w oczach. – Jakbym znowu patrzyła na siostrę w dniu, kiedy opuściłam Dustwalk.

– Twoją siostrę? – Odskokczyłam, zanim jej palce pogłaskały mój policzek. – Jesteś Safiyah Al-Fadi? – Wiedziałam, zanim zadałam to pytanie. Może i wyglądałam identycznie jak mama, ale widziałam podobieństwo także w tej kobiecie. Była środkową z trzech sióstr Al-Fadi.

Mityczna siostra mojej mamy i ciotki Farrah. Ta, która zniknęła z Dustwalk w tajemniczych okolicznościach, żeby żyć własnym życiem. Ta, o której mama zawsze opowiadała, chciała uciec, żeby jej szukać. Do której zmierzałam po opuszczeniu Dustwalk. Zanim wybrałam Jina i rebelię.

– Powinnaś być w Izmanie.

– Byłam w Izmanie. – Nagle zapragnęła czymś zająć ręce, dlatego wyjmowała buteleczki z kufra Świętego Ojca i szybko sprawdzała ich zawartość wyćwiczonym okiem. – Pojechałam tam, żeby szukać szczęścia. Spędziłam tam prawie siedemnaście lat. – Odkorkowała jedną bez etykiety, żeby powąchać jej zawartość. Cały czas unikała patrzenia mi

w oczy.

Nie podobała mi się jej obecność. Wydawało mi się niesprawiedliwe, że na tej wielkiej pustyni odnalazłyśmy się w miejscu, w którym nie powinno być żadnej z nas. Miałam wrażenie, że świat zagiął się, próbując nas połączyć. Czy ja to zrobiłam? Przeczesałam pamięć, szukając rzeczy, jakie powiedziałam w czasie, gdy wraz z Jinem maszerowaliśmy przez pustynię. Kiedy jeszcze sądziłam, że zmierzam do Izmanu. Czy przez przypadek wypowiedziałam jakąś prawdę. Zanim dowiedziałam się, że jestem Półdżinem i że nie potrafię kłamać – zanim zrozumiałam, jak niebezpieczne jest mówienie prawd o przyszłości, bo mogę zakrzywić wszechświat, żeby wypowiedziane zdanie mogło się ziścić? I dać mi jakąś zatrutą wersję prawdy.

A może to po prostu zwykły zbieg okoliczności?

Jej dłoń zacisnęła się wreszcie na jednej z buteleczek. Wylała z niej odrobinę czegoś gęstego i niezbyt mile pachnącego, po czym wklepała to w moją ranę.

– Więc jak doszło do tego, że opuściłaś Izman?

– Los tak chciał. – Czekałam, aż powie, jak znalazła się w Saramotai, ale to chyba było jedyne wyjaśnienie, na jakie mogłam liczyć. – Ale muszę przyznać, że nie sądziłam, że zaprowadzi mnie do punktu, w którym zostanę uwięziona przez rewolucjonistę, który chciał zmienić porządek świata.

– Malik nie był z nami – zaprzeczyłam, krzywiąc się z bólu, gdy dotykała mojego obojczyka.

– Osobiście dobieracie sobie stronników? – Nacisnęła moją ranę mocniej, niż to było konieczne. – Robił różne rzeczy w imię twojego księcia; to mi wystarczy. Prawie mnie przy tym zabił. Może nie wiesz, ale w niektórych częściach pustyni nie chcieliśmy rebelii, przez którą możemy zginąć. – Odsunęła się ode mnie, wycierając palce w jakąś szmatkę. – Ale jakby powiedział Święty Ojciec w Dustwalk: Los i Przeznaczenie.

Gdy chodziłam do domu modlitewnego w Dustwalk, bez przerwy podczas kazań słyszałam te słowa. To było stare powiedzenie, którego używał Święty Ojciec, gdy czasy były ciężkie. *Los i Przeznaczenie*. Chodziło w nim o to, że los i przeznaczenie nie zawsze były tożsame.

Rozumiałam to lepiej niż ktokolwiek inny.

– Proszę. – Ciotka Safiyah szybko otrzepała ręce i wyjęła jeszcze jedną spomiędzy fiolek Świętego Ojca. – Weź to na ból. Pomoże ci zasnąć.

To jej akcent oraz słowa, które wypowiadała o śnie i lekach, sprawiły, że gdzieś w zakamarkach mojej świadomości pojawiło się to wspomnienie.

Tamid.

To uderzyło mnie jak cios w splot słoneczny.

Od miesięcy odpychałam od siebie każdą myśl o nim. Ale teraz zdawało mi się, że przywołała go tutaj, tym swoim akcentem z Dustwalk, małą fiolką z lekami w półmroku, tęsknotą za ludźmi, których kiedyś znałam. Był moim jedynym przyjacielem, zanim zjawiłam się w tym miejscu i dołączyłam do rebelii. Tym, który mnie zszywał i podrzucał specyfiki pomagające zwalczyć ból.

Tym, którego zostawiłam, żeby umarł na piasku.

Czy to miało coś wspólnego z tym, że otwierałam się przed ciotką? Czy to za jej sprawą przypomniałam sobie, jaka byłam przed rebelią Ahmeda? Przypomniałam sobie o ludziach, którzy cierpieli i umarli przez to, co zrobiłam?

Nagle poczułam, że zażycie czegoś, co mnie uśpi i pozwoli zapomnieć, jest bardzo kuszące.

Zanim wzięłam od niej fiolkę, ktoś gwałtownym ruchem odsunął klapę zamykającą namiot. Odwróciłam się. Najpierw pomyślałam, że Jin przyszedł tu za mną. Ale w mroku rozświetlonym światłem lampki dostrzegłam dwie sylwetki. Jin przyszedłby sam. Obejmowali się, jak dwoje pijanych hulaków szukających spokojnego kąta, lecz

zagładających do złego namiotu.

Kiedy się poruszyli, światło padło na ostrze noża.

W ułamku sekundy poderwałam się na nogi, gdyż usłyszałam znajomy, zduszony głos wypowiadający moje imię.

To była Delila.



ROZDZIAŁ 8

Postacie odsunęły się od namiotu. Było już za późno na ucieczkę. Byłam gotowa do pościgu.

– Zostań tutaj – rozkazałam Safiyi, wyjmując nóż.

– Stój! – Usłyszałam, gdy tylko wyskoczyłam z namiotu chorych. Zanim jeszcze zdołałam zobaczyć, kto mówi. Zanim rozpoznałam osobę, która przetrzymywała Delilę. Ciemne włosy opadały na jego dumną brew, wzrok miał spanikowany jak nigdy dotąd.

– Mahdi? – Zaskoczenie odebrało mi pewność siebie.

Ręką obejmował Delilę w pasie. Do jej gardła przytykał nóż, naciskał tak mocno, że już rozciął jej skórę. Widziałam krew płynącą po jej szyi, znikającą pod khalatem i plamiącą materiał.

– Nie podchodź bliżej! – Mocno się trząsał.

– Mahdi – powiedziałam spokojnie, chociaż szaleńczo próbowałam sobie wytłumaczyć jego atak. – Co ty, do jasnej cholery, robisz?

– Ratuje ją. – Głos Mahdiego przybrał ton szaleńca. Sprawdziłam, jak daleko byliśmy od ludzi bawiących się na przyjęciu weselnym. Zbyt daleko, żeby ktokolwiek go usłyszał, nieważne jak głośno by mówił. – Ratuje Sayidę. Podnieś ręce, żebym je widział!

Spojrzałam w oczy Delili, robiąc co mi kazał. Desperacko pragnęłam przekazać jej, że wszystko będzie dobrze. Że nie pozwolę jej tutaj umrzeć.

– Co masz w ręce? – zapytał nerwowo.

Nóż.

– Rzucam go – powiedziałam, nie podnosząc głosu. Rozwarłam palce i pozwoliłam mu upaść. Wbił się ostrzem

w piasek. – Teraz jestem bezbronna.

– Nie, nie jesteś. – Mahdi szarpnął Delilą, a dziewczyna zaszlochała. Oszalał, zwariował – ten nóż był stanowczo za blisko jej szyi. – Masz wokół siebie całą pustynię.

Nie był bez racji. Mogłam go powalić w kilka sekund, jeśli chciałam. Ale nie mogłam mieć pewności, że nóż nie zrobi krzywdy Delili, gdy mój przeciwnik będzie upadał.

– Mahdi – mówiłam łagodnie, takim tonem, jakbym próbowała okiełznać dzikiego konia. – Jak możesz pomóc Sayidzie, podrzynając gardło Delili?

– Ona jest Półdzinem! – wyrzucił z siebie te słowa, jakby wyjaśnienie było oczywiste. – Niektórzy ludzie myślą, że zaledwie *fragment* ciała Półdzina może wyleczyć różne choroby. Ale się mylą. To tylko przesady wieśniaków. Kilka kosmyków fioletowych włosów nie przywróci mi mojej Sayidy. – Był niezrównoważony. Był desperatem. Trzymał nóż na gardle Delili. Nigdy nie pragnęłam bardziej niż teraz umieć poruszyć pustynię, nie wykonując żadnych ruchów. I tak spróbowałam, w myślach przywołując piasek. Przysuwał się niechętnie, po czym znowu odsuwał. Potrzebowałam pomocy. – Czytałem księgi. *Kto zabija Półdzina, będzie żył jego życiem* – zacytował ten fragment, jakby wyczytał go w Świętej Księdze, choć osobiście nigdy nie słyszałam czegoś podobnego.

– Co to, według ciebie, może znaczyć? – Musiałam zyskać trochę czasu. Tyle, żeby wymyślić coś, czym go zdekoncentruję.

– To znaczy, że Sayida może przeżyć, jeśli zabije Delilę. Przehandluję życie Półdzina za życie Sayidy. Za chwilę.

Teraz. Coś za nim. Jakiś ruch w świetle księżyca. Bezgłośnie przechodził z jednego cienia w drugi. W pewnej chwili, gdy przesuwiał się pomiędzy drzewami, mogłam go wyraźnie zobaczyć.

Jin.

Opanowałam się na tyle szybko, żeby odwrócić wzrok i patrzeć na Mahdiego, zanim ten zorientował się, że coś zauważyłam. Jednak przyszedł tu za mną. I miał szansę, żeby uratować nas z tej sytuacji bez rozlewu krwi, jeśli uda mi się odciągnąć od niego uwagę Mahdiego. Nie musiałam już szukać czegoś, co odwróciłoby jego uwagę. Sama mogłam to zrobić.

– A co potem? – Musiałam dać Jinowi szansę na podejście bliżej. – Jaki masz plan? Ahmed nigdy nie wybaczy ci, że zabiłeś jego siostrę, ale to na pewno już wiesz.

– Nie *interesuje* mnie Ahmed. – Akcent Mahdiego stawał się coraz silniejszy, gdy ogarniało go większe szaleństwo. – Ta cała rebelia i tak zmierza prosto do piekła.

– Jestem niemal pewna, że w tej sytuacji nie tylko my trafimy do piekła – powiedziałam. Jin był zaledwie dziesięć kroków od niego. Na tyle blisko, żebym mogła zobaczyć, jak unosi się kącik jego ust w odpowiedzi na mój przytyk, mimo że nie odrywał oczu od swojej siostry.

– Nawet ty to wiesz. – Mahdi chyba mnie nie słyszał. Desperacko pochylał się w przód, jakby mógł mnie przekonać do swoich racji. Jakbym miała się zaraz odsunąć i wpuścić go do środka. – Ahmed odgryzł więcej, niż jest w stanie przeżuć. Saramotai to dopiero początek, będą inne powstania, wojna z obcokrajowcami dobiegnie końca, a wtedy Sułtan nas zniszczy. Ahmed jest za słaby, żeby rządzić całym krajem. Nikogo nie ocalimy. Więc staram się ocalić tego, kogo mogę.

Jin był już blisko. Zbyt blisko. Spowił go blask księżyca, jednak gdy wychodził spomiędzy drzew, cień jego sylwetki padł na ziemię tuż przed Mahdim, który zrobił wielkie oczy, widząc, że grozi mu nowe niebezpieczeństwo. Ostrze jego noża wbiło się w miękką skórę gardła Delili, trysnęła krew.

Delila krzyknęła.

Skończył się czas odwracania uwagi. Zatoczyłam łuk ręką,

rzucając chmurą piasku w twarz Mahdiego, oślepiając go, podczas gdy Jin przebył dzielącą ich odległość. Założył chwyt na rękę Mahdiego, odciągając nóż od skóry Delili. Broń zmieniła kierunek i celowała wprost w pierś Jina. Rozłożyłam dłoń, a piasek usunął się spod stóp Mahdiego, pozbawiając go równowagi, a nóż znalazł się gdzieś w okolicach ramienia Jina, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

Mahdi upadł, jego palce w uścisku Jina trzaskały jak sucha podpałka, nóż wypadł mu z ręki. Upadając, krzyczał jak opętany. Jin złapał Delilę.

I to już był koniec. Delila wtuliła się w Jina, szlochając, gdy krew z jej szyi plamiła jego pustynno-białą koszulę. Spotkał się ze mną wzrokiem ponad głową swojej siostry.

I tyle z unikania go.



ROZDZIAŁ 9

Słońce wyszyte na suficie pawilonu odbijało światło lamp. Światła nie było dość, żeby rozświetlić całą przestrzeń, więc zdawało się, że ciemność napiera na naszą piątkę: mnie, Shazad, Halę, Jina i Ahmeda.

Powinno być nas więcej. Gdyby Bahi żył. Gdyby Delila nie była akurat opatrywana przez moją ciotkę. Gdyby Mahdi nie był zdrajcą trzymanym pod kluczem. Gdybyśmy się wszyscy nie zgodzili na to, by z okazji ślubu zwolnić Imin na *jedną* noc z rebelii.

– Mogłaś zabić go na miejscu, jeśli o mnie chodzi. – Hala utkwiała spojrzenie gdzieś daleko, ale wiedziałam, że mówiła do mnie.

– Nikt cię nie pytał o zdanie – odgryzłam się. Jedyne, o czym mogłam myśleć, to strach w oczach Mahdiego, gdy drżąc na całym ciele, przetrzymywał Delilę i próbował negocjować życie Sayidy, bo był zbyt dumny, by prosić.

– Próbujesz mi powiedzieć, że nie zrobiłabyś tego, co on, gdyby w namiocie zamiast Sayidy umierała Imin?

– Nie – mówiła cicho Hala, w ten przerażający sposób, jakiego czasem używała w stosunku do swojego rodzeństwa.

– Próbuję powiedzieć, że równie dobrze to *mogła* być Imin. Albo ty, albo ja, albo bliźniacy. Każde z nas codziennie ryzykuje życie dla samolubnych ludzi, takich jak on, a oni *tak* nam odpłacają. – Ta pustynia sprzyjała egoizmowi. Wiedziałam o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

– Miłość czyni z ludzi egoistów – powiedział Jin, tak łagodnie, że prawie uwierzyłam, że to nie było skierowane do mnie. Nagle poczułam przyływ wielkiego gniewu. Zanim jednak coś chlapnęłam, odezwała się znowu Hala.

– Nie wierzę w to, że to, co mi wyrządzono, było z miłości. No chyba że liczy się miłość do pieniędzy. – Hala uniosła swoją lewą rękę z dwoma brakującymi palcami. – Dlaczego reszta z nas ma cierpieć tylko dlatego, że Amani wydaje się, że może decydować o tym, kto będzie żył na podstawie swojego widzimisię?

– Dosyć, Hala – ostrzegła ją Shazad.

Hala puściła ostrzeżenie mimo uszu.

– Świetnie ci wychodzi narażanie naszego życia. Dziś to Mahdi. Ostatnim razem uważałaś, że życie twojego brata jest więcej warte niż życie wszystkich ludzi na tej pustyni. Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim w miejscu któregoś miasta pojawi się wypalony krater? Albo kiedy nas znajdzie i zmieni nas w kupkę popiołu tak jak Bahiego? A może ktoś zdoła go pojmać, tak jak Imin, wydlubie mu oczy i zostawi na powolną śmierć, a ty mogłaś się wtedy nad nim zlitować.

Rzuciłam się na nią jak kula wystrzelona z rewolweru.

Shazad znalazła się między nami jeszcze szybciej. Zanim dopadłam Halę, ona już wyczarowała w mojej głowie jakiś horror.

– Powiedziałam, *dość tego!* – Shazad odciągnęła mnie, krępując moje ruchy, podczas gdy Hala uśmiechnęła się szyderczo przez ramię. Napięłam się, żeby się uwolnić, ale chwyciły mnie znajome ręce i odciągnęły na bok. Jin. Nie walczyłam, więc z łatwością mnie objął. Poczułam znajome ciepło jego ciała, gdy plecami dotknęłam jego piersi.

– Przestań. Wiesz, że tak naprawdę nie chcesz z nią walczyć, Amani – powiedział wprost do mojego ucha, tak cicho, że tylko ja go mogłam usłyszeć. Jego oddech połaskotał mnie po szyi. Całą sobą chciałam przylgnąć do niego, poczuć bicie jego serca, odprężyć się przy nim. Stłumiłam to pragnienie, zmusiłam się, żeby się od niego odkleić. Żeby wpuścić między nas trochę powietrza.

– Puść mnie. – Poluzował uścisk, gdy poczuł, że moje ciało

spina się pod wpływem jego dotyku. Wyrwałam się. Nadal czułam ciepło jego dłoni na moich rękach. Jak blizny po oparzeniu. Tylko że Półdżiny nie płonęły tak łatwo.

– Każdy z nas zgromadzonych w tym namiocie ma kogoś, dla kogo przewróciłby świat do góry nogami. – Shazad zwróciła się do Hali. – Nie chodzi tu o więzy krwi czy miłość. Chodzi o zdradę stanu. Mahdi dopuścił się przestępstwa wobec nas, więc trzeba go osądzić.

Ahmed nie powiedział jeszcze ani słowa. Ale wszyscy na niego patrzyliśmy.

Wreszcie przemówił.

– Mój ojciec skazałby go na śmierć.

– Twój brat również – powiedział Jin stojący za mną. Odsunął się ode mnie na bezpieczną odległość. Nawet nie patrząc na niego, byłam świadoma, że tak zrobił.

– Proponujesz zemstę? – spytał Ahmed. – Oko za oko?

– To nie jest oko za oko – powiedział Jin. – Delila żyje. Dzięki Amani. Więc proponuję tylko jedno oko.

Ahmed bębnił palcami po mapie.

– Nie wydaje mi się, żeby słuszne było osądzanie ludzi przez czystą złośliwość.

Przypomniał mi się głos Mahdiego. *Za słaby, żeby rządzić całym krajem.*

Jin zrobił krok w stronę Ahmeda.

– Nasza siostra...

– *Nie jest twoją siostrą.* – Uderzył dłonią w stół, zaprowadzając natychmiastową ciszę. Żadne z nas nigdy nie słyszało, żeby Ahmed tak potraktował Jina. Nawet Shazad się cofnęła, patrzyła raz na jednego, raz na drugiego brata. Jakby przygotowywała się do tego, że będzie musiała odciągnąć kogoś z nich. W Jinie i Delili nie płynęła ta sama krew – Delila i Ahmed mieli wspólną matkę, a Jin i Ahmed wspólnego ojca – ale razem się wychowywali. Jin nigdy nie mówił o Delili inaczej niż siostra, a Delila

traktowała obydwu ksiąząt jak braci. Ale Ahmed był tym, który ich łączył. – I to nie jest twoja decyzja. Tylko moja.

Jin zacisnął szczękę.

– Dobrze. Podczas gdy ty będziesz podejmował *swoją* decyzję, ja pójdę sprawdzić, co z *twoją* siostrą. Zajmę się nią tak jak wtedy, gdy umarła moja mama. Moja mama, która ocaliła ci życie, w razie gdybyś zapomniał. I która umarła, kiedy bawiłeś się w zbawiciela kraju, który uczynił z niej niewolnicę i próbował zabić twoją siostrę.

– Niech wszyscy wyjdą. – Ahmed nie spuszczał wzroku z brata, gdy wydawał rozkaz. – To rozmowa pomiędzy mną a moim bratem.

– Nie fatygujcie się. – Jin jednym gwałtownym szarpnięciem odsunął klapę namiotu. – Już skończyliśmy. – Nocne powietrze wdarło się do środka, a światło z namiotu Ahmeda rozlało się po piasku.

Wtedy padł strzał.

Cały świat zwolnił, gdy staliśmy jak sparaliżowani, próbując zrozumieć, co się stało. Kula wbiła się w środek stołu, o włos od lewej ręki Ahmeda. Nad nią znajdowała się dziura w baldachimie, przeszywająca żółte słońce.

Pierwsza zareagowała Shazad. Zanim rozległ się drugi wystrzał, chwyciła Ahmeda za koszulę i powaliła go na ziemię.

Jeszcze jeden wystrzał.

Jin złapał mnie w tej samej chwili i pchnął mnie na podłogę, aż straciłam dech. Upadłam na ziemię tak nieszczęśliwie, że poczułam ostry, przeszywający ból w prawym ramieniu. Krzyknęłam. Nie zostałam postrzelona. Wiedziałam, jakie to uczucie. Jin ochraniał mnie własnym ciałem, podczas gdy kule przeszywały płótno namiotu.

Sayida.

Ta myśl uderzyła mnie tak nagle jak kula przeszywająca mózg. Czas doskonale się zgadzał. Nie „uciekła” z Halą. Była

przynętą. Pułapką. Przyszli tu za nią jak po sznurku.

Na zewnątrz rozległy się krzyki, a po nich kolejne strzały. W ziemię wbiła się zbłąkana kula, wzniesając fontannę piasku tuż obok mnie i Jina. Żołnierze strzelali na ślepo, ale to nie znaczyło, że nas nie wystrzelają.

Sięgnęłam po moją moc, ale wyślizgnęła mi się z palców. Poczułam coś zimnego na biodrze. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, co to. Koszula podjechała mi w górę i żelazna klamra paska Jina dotykała mojej gołej skóry, pozbawiając mnie mocy. Oboje zamrugaliśmy, gdy kolejna kula uderzyła w stół nad głowami Ahmeda i Shazad.

– Jin. – Upadek pozbawił mnie tchu, czułam przeszywający ból w ramieniu, być może złamałam kość. Trudno mi było mówić, gdy Jin przygniatał mnie całym ciężarem swojego ciała. – Klamra paska – wyszeptałam wreszcie, choć czułam ból w piersiach.

Jin zrozumiał. Szybko zsunął się ze mnie. Poczułam, że żelazo odsuwa się ode mnie. I nagle panika nie była tylko uczuciem zamkniętym w mojej piersi. Zaczęła się ze mnie wydostawać. Wprost na pustynię. Wprost na piasek.

Wezwałam pustynię, by zmieniła się w burzę piaskową.

Poczułam, że na zewnątrz unosi się piasek, nabiera siły. Odsunęłam go od nas tak daleko, jak mogłam, ku skrajowi obozu, ale piasek i tak smagał podarte ściany namiotu. Zamknęłam oczy i pozwoliłam pustyni szaleć. Strzały ucichły, przytłumione siłą wiatru, która uderzała również w bok pawilonu, unosząc go w górę i porywając, jakby nic nie ważył.

Na zewnątrz burza piaskowa zmieniła strach w chaos. Buntownicy pospiesznie wiązali szimy na twarzach, inni zbierali zapasy lub próbowali uspokoić konie. Wszyscy wiedzieli, jaki jest nasz plan ewakuacji. Ale jedną rzeczą jest znać plan, inną przeprowadzić go ciemną nocą, gdy w powietrzu śmigają kule.

Staralam się odzyskać kontrolę. Próbowalam oddychać, stając na czworaka. Strzał padł gdzieś nade mną. To oznaczało, że znajdowali się na ścianach kanionu. Przesunęłam się, wystawiłam ręce do przodu, pchnęłam swoją moc w ich stronę, najlepiej jak umiałam oddzielając nas od nich tarczą piasku.

Gdy piasek się przesunął, dostrzegłam pierwsze ciało buntownika. Świeża krew wypływała z rany na piersi. Poczułam, że moc wymyka mi się spod kontroli, więc ponownie się skoncentrowałam.

Shazad wstała, wydawała już rozkazy, gdy ja odsuwałam od nas porywisty wiatr, starając się zaprowadzić porządek w chaosie.

– Amani! Musimy ruszać! – krzyknęła Shazad, przekrzykując ryczący wiatr.

– Mogę zamaskować waszą ucieczkę! – odpowiedziałam. – Zbierz wszystkich i uciekaj!

– Nie możesz zostać. – Shazad pokręciła głową. Jej ciemne włosy uwolniły się z warkocza i kosmyki uderzały ją w twarz. Za nią widziałam ludzi w pośpiechu siodłających konie, niektórzy wspinali się na grzbiety bliźniaków, którzy zmienili się w gigantyczne Roki.

– Tak, mogę! – odkrzyknęłam. Chciałam jej powiedzieć, że nic mi nie będzie. Ale obietnice składane przez Półdżinów nie zawsze są bezpieczne. – Zabierz wszystkich w bezpieczne miejsce. Zabierz Ahmeda. Potrzebują go mieć przy sobie, a ja jestem potrzebna tutaj.

Shazad zawahała się przez chwilę. Moja przyjaciółka walczyła sama ze sobą. Ale generał w niej wiedział, że miałam rację. Połowa obozu zginie, jeśli nie zostaną osłonięci. A teraz ja byłam jedyną osłoną, jaką dysponowali.

Shazad wykonała pół obrotu. Popatrzyła przez ramię tam, gdzie Ahmed próbował stłumić panikę, by móc wydostać ludzi, a potem znowu na mnie.

– Jeśli nie pójdziesz za nami – stanęła przede mną i szybko mnie uścisnęła – musisz wiedzieć, że przyjdę po ciebie.

A potem zniknęła. Wszystko, co mnie przepełniało, wyrzuciłam na zewnątrz. Opróżniłam umysł na pustynię, stworzyłam doskonały cyklon osłaniający skraj obozu, odcinając uciekających ludzi przed wzrokiem żołnierzy.

Nie umiem określić, jak długo tak trwałam. Tak długo, jak mogłam, zanim zaczęły mi drżeć ręce. Byłam w pewnym stopniu świadoma chaosu wokół mnie. Pakowanych zapasów, koni prowadzonych ku wyjściu z obozu, Izza i Maza startujących pod gradem kul. Krzyku gdzieś daleko.

Ale jedyne, co do mnie naprawdę docierało, to pustynia. Cała byłam częścią burzy piaskowej, w pewnym momencie miałam wrażenie, że rozpadnę się w pył i ulecę wraz z piaskiem. Traciłam kontrolę. Nie chodziło tylko o słabnące ręce. Całe ciało drżało z wysiłku. Piasek i wiatr szarpały moimi włosami, zamiast wiać w stronę wroga. Musiałam to powstrzymać. Jeśli miałam jakąkolwiek szansę na wydostanie się stąd, musiałam wykorzystać ten moment.

Podniosłam się z ziemi. Nogi ugięły się pode mną. Jakieś ręce chwyciły mnie w pasie i złapały, zanim znów upadłam.

– Trzymam cię – powiedział Jin do mojego ucha.

Jakiś koń rżał, kopał, panikował, burza zaczynała się do nas zbliżać, gdy przestałam ją kontrolować.

– Dlaczego... ciągle... tu jesteś? – powiedziałam. – Shazad...

Kręciło mi się w głowie z wysiłku wkładanego w sterowanie piaskiem. Jeśli całkiem odpuszczę, piasek wedrze się tutaj i pogrzebie to miejsce, przysypując każdego, kto jeszcze się stąd nie wydostał.

– Wyprowadziła prawie wszystkich. – W pozycji pionowej podtrzymywał mnie tylko Jin.

– Ale nie ciebie.

– Już się paliłem, żeby cię zostawić na pewną śmierć –

mówił niskim tonem, zapewniając mi oparcie. Chroniąc mnie, przywołał konia. Wsadził mnie na siodło, a sam wskoczył za mnie. W pobliżu rozległ się strzał, zbyt blisko, by się nie przejmować.

– Amani. Dość już. Trzymam cię, obiecuję. Zaufaj mi. Więc odpuściłam.



ROZDZIAŁ 10

Galopowaliśmy tak, jakbyśmy chcieli przegonić słońce na horyzoncie. Armia znajdowała się za nami. Musieliśmy dostać się pomiędzy góry, żeby ich zgubić.

Straciłam przytomność jak tylko dojechaliśmy do końca obozu i przespałam kilka godzin nocy. Kiedy się obudziłam, byłam wtulona w Jina, przed nami wstawał nowy świt, za nami w pogoń puścili się żołnierze. Ostatkiem sił podniosłam pustynię, tworząc tarczę pomiędzy nami a pościgiem.

Jin i ja nie byliśmy sami. Było z nami kilkunastu maruderów, którym nie udało się wydostać z bliźniakami ani z pierwszą falą jeźdźców prowadzonych przez Shazad. Niektórzy z nich siedzieli we dwoje na koniach. Nie mogłam rozpoznać twarzy, gdy galopowaliśmy przez płonące piaski. Nie wiedziałam też, kto pojechał z Ahmedem i Shazad i czy ci, którzy do nas dołączyli, potrafią dość dobrze jeździć, żeby dotrzymać nam kroku. Ale teraz nie mieli przecież żadnego wyboru.

Ręka cały czas promieniowała bólem i gdy próbowałam się odwrócić, było coraz gorzej. Dużo wysiłku wkładałam w to, by skupiać się na tym, co robię, a nie na bólu.

Wreszcie dotarłam do kresu sił, konie również. Jeśli nie zgubiliśmy pogoni, będziemy musieli stoczyć walkę. Opuściłam tarczę chroniącą nas przed żołnierzami. Jin czuł, że napięcie opuszcza moje ciało. Obrócił sapiącego konia w stronę, z której przyjechaliśmy, wyjął broń i wyglądał pościgu. Ja niewiele widziałam z czystej ulgi, że nie muszę już korzystać z mocy. Osłoniłam oczy przed ostatnimi promieniami słońca. Trwaliśmy w bezruchu i wpatrywaliśmy

się w horyzont, szukając jakichkolwiek oznak życia. Ale za nami nic nie było oprócz bezkresnego piasku. Zgubiliśmy ich.

– Możemy tu rozbić obóz – rozkazał Jin. Czułam na plecach wibracje jego głosu, gdy mówił. Był zachrypnięty i spragniony.

– Nie jesteśmy bezpieczni. – Próbowałam oponować.

– Nigdy nie jesteśmy bezpieczni – powiedział Jin, tak żebym tylko ja to słyszała.

– Nie mamy gdzie się skryć, a konie...

– Konie nie pojedą dalej bez odpoczynku, a nie uda nam się wymknąć im na piechotę – powiedział Jin. – Bez ciebie też nie uda nam się ich zgubić. Postawimy wartowników i pojedziemy dalej, gdy na horyzoncie pojawi się najmniejsza chmura pyłu.

Zszedł z konia i zaczął wydawać ludziom rozkazy, każąc im rozstawić namioty, sprawdzić stan zapasów, jakie zdołali zabrać przed ewakuacją. Otworzył bukłak, który miał przy sobie, wziął łyk i podał go mnie.

Podniosłam go do ust drżącymi rękami i powoli piłam, starając się trzymać obolałą rękę tuż przy ciele. Było nas mniej więcej tuzin. To oznaczało, że wielu twarzy brakowało i jeśli nie wydostali się z Ahmedem i Shazad, to stali się już tylko ciałami w piasku. Byłam jedynym Półdzinem w tej grupie. Na szczęście Hala i Delila zapewne były razem, a obie potrafiły ukryć nawet dużą grupę przemieszczających się buntowników. Shazad zaprowadzi ich w bezpieczne miejsce. Musiałam ufać, że będą na nas czekać.

Moja ciotka, Safiyah, była wśród tych, którzy uciekli z nami, podobnie jak dwie inne kobiety z Saramotai. Podejrzewam, że trudno było stosować się do planu ewakuacji, jeśli się go nie znało. Safiyah pomagała rozdzielać jedzenie. Rozpoznałam jeszcze kilka twarzy.

Trochę mi ulżyło.

Dziś nie będziemy palić ogniska. Przez to będziemy narażeni na ataki Koszmarów i Skórozmiennych, ale gdybyśmy zapalili ogień, byłibyśmy jeszcze bardziej narażeni na spotkanie z armią Sułtana. Musieliśmy tylko otoczyć obóz żelaznymi przedmiotami, które mieliśmy przy sobie i mieć nadzieję, że to pomoże.

Wszyscy byli wykończeni ucieczką. Ktoś wkładał chleb do ust i zaraz zapadał w sen, gdy tylko słońce opadło za horyzont. Musieliśmy wystawić wartę, podzielić się jedzeniem z końmi, rozstawić namioty. Były tysiące rzeczy do zrobienia. Ale tak bardzo kręciło mi się w głowie, że nie mogłam się na nich skupić.

Piłam wodę, dopóki zawroty głowy nie ustały. Nie będziemy musieli długo się tułać. Znałam już naszą część pustyni. Znajdowaliśmy się o trzy dni drogi od portowego miasta Ghasab, ale utrzymując takie tempo, jadąc nocą i w ciągu dnia, dotrzemy tam jutro o zachodzie słońca. W mieście będziemy mogli uzupełnić zapasy i dołączyć do pozostałych w ustalonym miejscu w górach. To znaczy do tych, którym udało się tam dotrzeć.

Odłożyłam bukłak i próbowałam zejść z konia tak, by nie urazić ręki. Lekko wsparłam ciężar ciała na obolałej prawej ręce i uniosłam się w siodle. Natychmiast zrezygnowałam z tego pomysłu i spadłam na piasek jak rzucony tobołek.

– Jesteś ranna. – Jin podał mi rękę. Zignorowałam ją i podciągnęłam się, zdrową ręką chwytając za strzemień. Koń był tak zmęczony, że nawet nie zaprotestował.

– Przeżyję. – Próbowałam trzymać swobodnie rękę, gdy odwracałam się od niego. – Zawsze jakoś daję radę.

– Amani! – zawołał mnie tak głośno, gdy odchodziłam, że kilku buntowników spojrzało w naszą stronę, po czym zaraz wróciło do pracy. Wszyscy wiedzieli, że lepiej trzymać się od tego z daleka. – Patrzyłem na ciebie, jak przemierzasz całą pustynię. Pamiętam, jak się poruszasz. A teraz poruszasz się

tak, jakbyś miała wybite ramię. Musisz mi je pokazać.

– Mogę dać ci coś na ból – wtrąciła się Safiyah, otrzepując piasek z palców. *Prawie* każdy wiedział, że lepiej trzymać się z daleka.

– Nie potrzebuje niczego na złagodzenie bólu – powiedział Jin ugodowo. Mówił do Safiyah, ale patrzył na mnie. – Trzeba jej nastawić bark, zanim będziemy zmuszeni do odpiłowania jej całej ręki.

To mnie zatrzymało.

Odwróciłam się w jego stronę. Odwiązał szimę z twarzy i obwiązywał nią szyję, wyraźnie go widziałam. Jin zawsze dobrze blefował. Lekko się uśmiechnął, jakby wiedział, o czym myślę. Ten uśmiech zawsze oznaczał kłopoty.

– Chcesz się przekonać, Bandytko?

Byłam niemal pewna, że kłamie. Ale nie byłam aż tak pewna jak tego, że chcę mieć dwie sprawne ręce.

– Dobrze. – Wyciągnęłam do niego rękę, najdalej jak potrafiłam, jak dziecko trzymające ranne zwierzę znalezione na pustyni. Jin nie chwycił mojej dłoni. Zamiast tego położył rękę na moich plecach. Po kręgosłupie przeszedł mi znajomy dreszcz. Moje ciało nie wiedziało, że jestem na niego zła. Zaprowadził mnie do małego, niebieskiego namiotu, w którym spałam, gdy byliśmy w drodze. Ktoś go dla mnie rozstawił. Opuścił za nami klapę, dając nam odrobinę prywatności.

Namiot był za niski, bym mogła w nim stanąć prosto. Uparcie nie siadałam, pochylając się nisko, dopóki Jin nie pociągnął mnie na ziemię, żebym usiadła naprzeciw niego. Ciemność szybko zapadała nad nami, ale nadal było dość światła, by coś widzieć. Z zewnątrz dochodziły odgłosy obozu szykującego się do spędzenia nocy na pustyni.

– Muszę to zobaczyć – rzekł łagodnie, gdy znaleźliśmy się tylko we dwoje. Chwilę mi zabrało, zanim zrozumiałam, o czym mowa.

– Dobrze – powiedziałam ponownie, unikając jego spojrzenia. Bardzo ostrożnie położył jedną dłoń na mojej ręce a drugą wsunął pod koszulę przy kołnierzu. Jego palce były ciepłe i znajome. Dawniej zażartowałyby na temat wsadzania rąk pod moje ubranie. Ale teraz pomiędzy nami wisiała napięta cisza, której nie mogłam dłużej znieść. – Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

– Zaufaj mi. – Jin nie patrzył mi w oczy, chociaż był tak blisko, że były praktycznie jedynym, na co mógł patrzeć. – Musiałem się nauczyć na Czarnej Mewie, zanim to wszystko się rozpoczęło. – To. Wiedziałam, że ma na myśli rebelię. Prawie się roześmiałam. W tym małym słowie zawieraliśmy się my wszyscy i wszystko, co zrobiliśmy, wszystko, co jeszcze mamy do zrobienia. – Wielu żeglarzy odnosi kontuzje, gdy zaplątają się w liny.

Zrobił coś, co wywołało ostry ból. Syknęłam przez zęby.

– Przepraszam.

– Powinieneś, do cholery. – Cierpienie sprawiło, że nie przebierałam w słowach. – To się stało, gdy mnie popchnąłeś.

– Masz rację – powiedział Jin ze śmiertelną powagą, cały czas przesuwając palcami po mojej skórze. – Powiniennem cię zostawić, żeby cię zastrzelili, z tego o wiele łatwiej się wyleczyć.

– A co ty o tym wiesz? – Uciekaliśmy, żeby ratować życie. To nie była najlepsza pora, żeby się sprzeczać, nie robi się tego w samym środku wojny. Ale to nie ja poruszyłam ten temat. – Nie było cię, gdy umierałam.

– Wolałabyś, żebym został i się przyglądał? – Jin zacisnął szczęki.

– Nie umarłam.

– Ale mogłaś.

– A ty mogłeś zginąć, szpiegując w Xicha! – Po tych słowach zapadła między nami cisza. Nie poruszaliśmy się.

Żadne z nas się nie odsunęło ani nie zbliżyło. Palce Jina nadal badały moje obolałe ramię.

W końcu się odezwał:

– Jest wybite. Ale nie złamane. – Znalazł się nade mną, więc jedyne, co widziałam, to jego usta i cień zarostu na szczęce. Moje ramię zamknął pomiędzy swoimi dłońmi. – Teraz będzie bolało jak diabli. Jesteś gotowa?

– Cóż, skoro tak mówisz, to jak mam zaprzeczyć? – W kąciku jego ust pojawił się załazek uśmiechu, który zawsze sprawiał, że czułam się z nim bezpiecznie. – Jestem gotowa.

– Dobra. – Przesunął się tak, że siedzieliśmy twarzą w twarz. – Zamierzam wywichnąć ci ramię na trzy. – Zacisnęłam zęby, żeby się przygotować. – Jeden...

Wzięłam głęboki oddech.

– Dwa...

Zanim zdołałam się napiąć w oczekiwaniu na „trzy”, Jin poderwał moją rękę w bok i zadarł ją w górę.

Ból rozchodził się od łokcia aż po ramię i eksplodował z moich ust.

– Sukinsyn! – Kolejne przekleństwo było w xichańskim, potem w jarpuriańskim, którego Jin nauczył mnie, gdy przemierzaliśmy pustynię, ból wydobywał ze mnie każde przekleństwo, każdą obelgę we wszystkich językach, jakie znałam. Byłam w połowie szczególnie barwnego przekleństwa po gallańsku, kiedy Jin mnie pocałował.

Każde kolejne słowo, które miałam wypowiedzieć, rozplynęło się w chwili, gdy jego usta zetknęły się z moimi. Moje myśli również popadły w ruinę.

Prawie zapomniałam, jak to jest całować się z Jinem.

Boże, skąd on umiał tak mnie całować?

Całował mnie, jakby to był pierwszy i ostatni raz. Jakbyśmy mieli od tego spłonąć żywcem. A ja wtuliłam się w niego, jakbym o nic nie dbała. Rebelia mogła upaść, cała

pustynia mogła się rozpaść, ale teraz, gdy oboje żyliśmy, byliśmy ze sobą, złość między nami zmieniła się w inny ogień, który wciągał nas w siebie, aż straciłam orientację, kto zarzył się większym blaskiem.

Odsunął się tak nagle, tak niespodziewanie, tak szybko, jak znaleźliśmy się w swoich ramionach. Ciszę wypełniał mój urywany oddech. Zapadła już całkowita ciemność. Jedyne, co widziałam, to falowanie jego ramion podczas oddechu oraz jasną plamę jego koszuli.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wyrzuciłam z siebie na przydechu. Byłam tak blisko niego, że widziałam ruch jego jabłka Adama, gdy przełykał ślinę. Poczułam pragnienie, by przyłożyć tam usta i sprawdzić, czy jego oddech był równie nierówny i niepewny jak mój.

Ale kiedy Jin się odezwał, jego głos był opanowany:

– Żeby odwrócić twoją uwagę. Boli?

Uświadomiłam sobie, że przeraźliwy ból w moim ramieniu osłabł, kiedy reszta ciała ożyła w odpowiedzi na pocałunki Jina. Miał rację, nie bolało nawet w połowie tak bardzo jak wtedy, gdy je nastawiał.

Podniósł coś z podłogi – moją czerwoną szimę, jak się okazało. Musiała mi spaść. Jin dotknął mojej ręki, ale tym razem jego dotyk był tylko dotykiem, nie ogniem trawiącym moją skórę. Obwiązał moje ramię szimą i założył mi chustę na szyję, w formie temblaku, związując na końcu węzeł, po czym wstał.

– Poza tym... – mówił beztrąsko, jakby wszystko było tylko żartem, a my obcymi sobie ludźmi, flirtującymi ze sobą przed rozstaniem. Nie dwojgiem ludzi, którzy byli połączeni ze sobą, tak jak my. Którzy razem przeszli przez pustynię. Którzy wiele razy patrzyli razem śmierci w oczy. – Kto mógłby się oprzeć takim ustom?

Dał mi szybkiego buziaka i wyszedł, zanim zdążyłam się zorientować, co zrobił.

Siedziałam w ciemności jeszcze długo po tym, jak wyszedł, nie podniosłam się nawet gdy usłyszałam, że na zewnątrz jedzą pospiesznie przygotowany posiłek. I tak nie byłam głodna. Czułam się pusta. Wypalona. Jak spalona ziemia. Przypomniało mi się to powiedzenie, którego nauczyła mnie Shazad, miało coś wspólnego ze strategią wojenną. Nie byłam pewna, czy Jin i ja toczyliśmy ze sobą wojnę.

Słuchałam dźwięków dobiegających z obozowiska, myśląc o tym, co nas spotkało. O tym, przez co przeszliśmy. Wszystkim, co za sobą zostawiliśmy. Wszystkim, czego nie powiedzieliśmy. Im większa była cisza zalegająca nad obozem, tym większy zdawał się mój gniew.

Oboje byliśmy uparci jak osły, ale jedno z nas w końcu pęknie.

Zanim zdążyłam pomyśleć, zerwałam się na nogi i odsłoniłam wejście do namiotu. W obozie było już zupełnie cicho, wszyscy zalegli w swoich namiotach, oprócz tego, kto został na warcie. Ruszyłam przez obóz. Znałam namiot Jina: czerwony i połatany z jednej strony, stał naprzeciw mojego. Nie byłam pewna, co chcę zrobić – nawrzeszczyć na niego, pocałować, a może jeszcze coś zgoła innego.

Podejmę decyzję, gdy go zobaczę.

Prawie doszłam na miejsce – znajdowałam się o dwa kroki od jego namiotu – kiedy ktoś przytknął mi dłoń do ust. Spanikowałam, gdy poczułam na ustach jakąś szmatkę o mdłosłodkim zapachu, jakby nasączoną alkoholem.

Instykt zwyciężył. Uderzyłam łokciem w tył. Poczułam taki ból w uszkodzonym ramieniu, że aż krzyknęłam. Błąd. Wciągnęłam ten zapach, wdarł się do moich ust, przylgnął do języka, gardła, dostał się do płuc.

Zostałam otruta.

Działanie trucizny uwidoczniło się od pierwszej chwili. Ugięły się pode mną nogi, świat się zachwiało.

Armia Sułtana nas odnalazła.

Dlaczego nie zostaliśmy ostrzeżeni? Mogłabym coś zrobić. Mogłam posłużyć się pustynią. Mogłam ich powstrzymać. A teraz nie dałabym rady walczyć. Bezradnie rzucałam się w żelaznym uścisku wroga, starając się rzucić na ziemię. Ale wiedziałam, że już za późno. Gdy upadłam, zauważyłam dwa nieruchome ciała leżące na piasku.

Wartownicy, zabici.

Musiałam ostrzec pozostałych. Świat blaknął przed moimi oczami. Traciłam przytomność. Umierałam. Jin. Musiałam dać mu szansę ucieczki. Ocalić innych.

Otworzyłam usta, żeby krzyknąć. Ciemność połknęła mój krzyk.



ROZDZIAŁ 11

Ocknęłam się, gdy wstrząsnęły mną torsje. Zwymiotowałam na podłogę obok wiadra. Chwyciłam je, zanim nadeszła druga fala mdłości.

Do gardła podeszła mi cała zawartość żołądka.

Zamknęłam oczy i objęłam metalowe wiadro. Nie zwracałam uwagi na wydobywający się z niego obrzydliwy smród wymiocin. Kręciło mi się w głowie, żołądek wywracał się do góry nogami. Nie ruszałam się, nawet gdy miałam już pewność, że nie wykrztuszę nic więcej poza własną wątrobą.

Chyba ciągle żyłam. Tego się nie spodziewałam. Będę się tym cieszyć, gdy moje wnętrzości przestaną się skręcać. To oznaczało, że nie zostałam otruta, tylko uśpiona. Wojsko powinno mnie zabić. Powinni powybić nas wszystkich.

Może zostawili mnie przy życiu, bo jestem Półdzinem, więc mam pewną wartość. A może dlatego, że jestem dziewczyną i wyglądałam na bezbronną. Ale nie mieli żadnego powodu, żeby pozostawić przy życiu resztę obozu. Nie mieli powodu, żeby darować życie Jinowi, który zawsze wyglądał tak, jakby chciał sprawiać kłopoty, więc zapewne strzelili mu w głowę, gdy spał, żeby się go pozbyć.

Był tylko jeden sposób, żeby wiedzieć na pewno. Nie mogłam wypowiedzieć niczego, co nie było prawdą. Jeśli nie będę mogła powiedzieć tego na głos, to będzie znaczyło, że nie żyje.

Miałam kulę w gardle.

– Jin żyje.

Prawda zabrzmiała jak modlitwa w ciemności, była tak potężna, tak pewna, że poczułam, że wreszcie rozumiem Księżniczkę Hawę, która umiała wywołać świt. Te słowa

wydawały się tak ważne jak wschodzące słońce, złagodziły panikę wzbierającą w mojej piersi.

Jin żył. Może też był gdzieś tu uwięziony.

Zaczęłam szybko wymieniać kolejne imiona. Shazad, Ahmed, Delila, Hala, Imin – żyli. Mój język nie zawahał się ani razu. Wszyscy mieli się dobrze. Cóż, próba wypowiedzenia tego na głos może nie być zbyt rozsądna, biorąc pod uwagę, że wszyscy właśnie straciliśmy swój dom. Ale żyli.

I ja też. Nie miałam zamiaru, by to się zmieniło.

Miałam zamiar żyć wystarczająco długo, by do nich wrócić.

Wtedy uświadomiłam sobie, że pokój się poruszał. Czy znajdowałam się w pociągu? Podłoga chwiała się pode mną, mój żołądek też się kołysał. Nie, to coś innego. To nie było miarowe drżenie.

Bardziej przypominało huśtanie w kołysce przez pijanego olbrzyma.

Gdy rozjaśniło mi się w głowie, zaczęłam wszystko analizować. Ostrożnie odstawiłam wiadro i trochę się rozluźniłam. Mogłam usiąść. To już było coś, jak na początek. I dzięki światłu wpadającemu przez małe okienko nade mną, mogłam widzieć.

Znajdowałam się na łóżku w ciasnym pokoju z wilgotną, drewnianą podłogą. Światło wskazywało na to, że było późne popołudnie. Płonące niebo po długim dniu na pustyni. Była noc, gdy mnie porwano, więc to znaczyło, że spałam prawie cały dzień. Przynajmniej jeden dzień.

Poruszyłam się, próbując wstać, ale nie pozwoliła mi na to moja ręka. Była przywiązana do ramy łóżka.

Nie. Nie przywiązana. Przykuta.

Żelazo wgrzyzało się w moją skórę. Poczułam je w chwili, gdy chciałam posłużyć się swoją mocą. Podwinęłam rękaw koszuli, żeby lepiej się przyjrzeć. Żelazo zaciskało się na moim nadgarstku jak dłoń rozzłoszczonego rodzica na rękę

dziecka. Na szczęście nie całkowicie. Promień światła przepływał pomiędzy skórą a żelazną obręczą.

Z tym mogłam dać sobie radę.

Nie namyślając się, sięgnęłam po szimę. Moje palce natknęły się jednak na gołą szyję. Odczułam to jak cios w brzuch.

Zniknęła. Teraz sobie przypomniałam. Jin zrobił z niej temblak. Rzucałam się, gdy opary lekarstwa wypełniały mój nos i usta i wtedy szima ześlizgnęła się na ziemię. Została na piasku.

Co za głupota. To tylko rzecz. Głupi kawałek czerwonego materiału na tle pustynnego słońca. Ale tę głupią rzecz dostałam od Jina. Zerwał ją ze sznura do suszenia prania w Sazi, kiedy uciekliśmy z Dustwalk. Od tej pory nigdy jej nie zdejmowałam. Nawet gdy byłam na niego zła. Była moja. A teraz się zgubiła.

Były jednak inne sposoby, by poradzić sobie z tą sytuacją.

Szarpałam za szew koszuli, aż udało mi się go rozerwać. Oderwałam kawałek materiału i zaczęłam wpychać go pomiędzy skórę a żelazne okowy. Nie było to łatwe – obręcz była ciasna, a tkanina sztywna i gruba. Ale nie poddawałam się i powoli izolowałam skórę od żelaza.

Już. Poczułam to w chwili, gdy żelazo przestało mnie dotykać. Wróciła moja moc.

Byłam zmęczona i spragniona, w ustach miałam smak wymiocin i jakiegoś nieznanego specyfiku, który wciąż utrzymywał się w moich płucach, ale mogłam to znieść. Zwróciłam całą swoją moc ku pustyni na zewnątrz. Poczułam jej przyływ, lecz zaraz moc opadła. Spróbowałam jeszcze raz, ale nic się nie stało. Miałam wrażenie, że sięgam po coś, co jest zbyt daleko.

Stłumiłam panikę. Wciąż miałam inne sposoby. Podobnie jak w Saramotai. Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy. Gdy się uspokoiłam, znowu to poczułam. Mimo dziwnego

kołysania i zawrotów głowy. Piasek przylgnął do mojej skóry.

Uniosłam wolną rękę i jednym, gwałtownym ruchem odczepiłam wszystkie ziarenka piasku od skóry i mocno uderzyłam w obręcz na mojej uwięzionej ręce.

Zamek rozpadł się jak drewno pod uderzeniem topora. Byłam wolna.

Zrzuciłam kajdany i podeszłam do drzwi, walcząc z otumanieniem, które nadal oplatało moją głowę jak wyczerpanie po pobycie na pustyni. Podłoga chwiała się pod moimi nogami, wyrzucając mnie na długi, ciemny korytarz. Z jednej jego strony światło przedostawało się z góry. Podłoga znowu się zakołysała.

Coś mi zaświtało w głowie, jakieś urywki historii. Coś, co słyszałam, siedząc przy ognisku, słuchając Jina.

To nie był pociąg.

Znajdowałam się na statku.

Drewniane schody wznosiły się tam, gdzie wpadały promienie słoneczne. Uderzyłam goleniem o stopień, gdy rzuciło mną w przód, a podłoga znów się zachwiała. Nagle znalazłam się w słońcu i na świeżym powietrzu.

Natychmiast oślepiło mnie jaskrawe światło dnia. Ale nigdy nie byłam osobą, która zatrzymałaby się w biegu, tylko dlatego, że nie widzi dokąd zmierza. Gdy wzrok przyzwyczał się do jasności, ruszyłam przed siebie, skupiając się na miejscu, gdzie statek zdawał się kończyć.

Usłyszałam krzyki, ale się nie zatrzymałam. Wyciągałam nogi, starając się jeszcze przyspieszyć. Dopadłam barierki na końcu statku. To moja droga ucieczki.

Ale nie było stąd ucieczki.

Raz zapytałam Jina, jak wygląda prawdziwe morze. Obdarzył mnie tym swoim uśmiechem, który pojawiał się wtedy, gdy wiedział coś, o czym ja nie miałam pojęcia. Zanim poznałam wszystkie jego sekrety i sama przejęłam ten uśmiech.

Teraz już wiedziałam.

Woda rozciągała się, jak okiem sięgnąć. Było tu więcej wody niż widziałam w całym moim życiu, więcej niż sądziłam, że jest na świecie. Widywałam rzeki, widywałam sadzawki, widywałam nawet takie pustynne miasta, które stać było na luksus fontann. Ale nigdy nie widziałam czegoś takiego.

Było tak wielkie jak pustynia. I więziło mnie tak samo jak wtedy, gdy mieszkałam w Dustwalk otoczonym milami płonącego piasku.

Jakieś ręce chwyciły mnie od tyłu i oderwały od barierki, jakby ktoś sądził, że rzucę się w objęcia morza.

Mgła otaczająca świat zaczęła się rozplýwać, a ja stawałam się świadoma tego, co mnie otaczało. Dziwny zapach, który jak się domyślałam, pochodził z nieskończonego morza wokół statku. Okrzyki i nawoływania, jakaś osoba pytająca mnie, jak, do licha, udało mi się uwolnić.

Otoczyła mnie grupa mężczyzn. Bez wątpienia Mirajińczycy – mieli ciemną, pustynną skórę, a nawet jeszcze ciemniejszą. Ich twarze okrywały jasne szimy, dłonie mieli twarde i popękane od ciężkiej pracy. Ścisnęłam moją garść piasku, chociaż wiedziałam, że nie położę nawet połowy z nich, zanim któryś z nich mnie zastrzeli. Już teraz celowały we mnie trzy rewolwery.

I właśnie tam, gdy stałam w tłumie mężczyzn w białych khalatach tak jasnych, że aż bolały mnie oczy od patrzenia na nie, zrozumiałam, dlaczego Jin jeszcze żył. Nie uprowadziła mnie armia Sułtana.

Tylko moja ciotka Safiyah.

– Uspiałś mnie. – Miałam chropowaty głos. Moja własna ciotka, która z taką wprawą orientowała się w zapasach lekarstw w kufrze Świętego Ojca. To ona przygotowała jedzenie. Mogła dodać, co chciała, żeby uspić buntowników i móc uciec. Jak łatwo było jej mnie złapać, gdy szłam do

namiotu Jina, pozbawić mnie przytomności jakimś skradzionym specyfikiem, gdy zostawiłam ją z otwartym kufrem. Dwa razy próbowała dać mi coś na sen. *Na uśmierzenie bólu.*

Shazad zawsze powtarzała, że kiepsko pilnuję swoich tyłów. Dlatego to ona mnie w tym wyręczała. Shazad powiedziałaaby także, że jest to jeden z tych momentów, kiedy powinnam trzymać gębę na kłódkę. Ale Shazad tu nie było. Ponieważ ta kobieta mnie porwała.

– Wiesz, kiedy ostatnim razem *ja* uśpiłam kogoś, kto mi zaufał, miałam dość przyzwoitości, żeby zostawić go tam, gdzie zasnął – powiedziałam.

– Boże, wołałabym, żebyś aż tak bardzo jej nie przypominała, gdy coś mówisz – mówiła cicho, byłam więc pewna, że tylko ja mogłam ją słyszeć. Safiyah okrążyła mnie, znalazła się w miejscu, gdzie jakiś marynarz wciąż trzymał mnie za ramiona. Poczułam jej dotyk na kawałku oddartej tkaniny nadal tkwiącej pomiędzy moją skórą a okowami. – Sprytne. – Niemal słyszałam dumę w jej głosie. – Więc potrafisz robić półdzińskie sztuczki.

Próbowałam się wyrwać, ale mocno mnie trzymała.

– Wiesz, kim jestem. – To nie było pytanie, lecz nie oznaczało, że nie chciałabym usłyszeć wyjaśnień.

– Handlowałam medykamentami w Izmanie, odkąd przyszłaś na świat. – Łagodnie wyciągnęła materiał oddzielający żelazo od mojej skóry. – Naprawdę uważasz, że jesteś pierwszym Półdzinem, jakiego widziałam? Pewnie, nie ma was zbyt dużo. I każdy z was jest wart małą fortunę. Ludzie w tym biznesie uczą się rozpoznawać sygnały. Domyśliłam się, gdy zobaczyłam twoje oczy, ale wiedziałam na pewno, kiedy ta burza piaskowa ocaliła nas na pustyni. A twoja matka była zawsze taka tajemnicza, gdy pisała o tobie w listach.

Znalazła się w Saramotai, bez żadnego dobrego powodu.

Żadnego oprócz tego, że Emir z Saramotai przechwalał się, że ma dziecko z oczami jak rozżarzone węgle, które trzymało słońce w rękach. Miałam pewną wartość. Ale mnie nie odetną palców. Wyłupią mi oczy.

– Wiesz, że to nieprawda. – Przypomniałam sobie, co mówił Mahdi, trzymając nóż na gardle Delili. – To, co mówią o dzieleniu nas na porcje, jakbyśmy byli mięsem.

– Sprawa sprowadza się do tego – powiedziała, nie patrząc na mnie, tylko obwiązując kawałkiem materiału swój nadgarstek – że liczy się to, że w ogóle o tym mówią. – Miała rację. Historyjki i wierzenia znaczyły więcej niż prawda. Wiedziałam o tym jako Niebieskooka Bandytka. Ale nie będę Niebieskooką Bandytką, gdy wyłupią mi oczy.

Wtedy zwróciła się do trzymającego mnie mężczyzny:

– Dla pewności zaprowadź ją do pozostałych dziewczyn.

Zeszliśmy niżej, niż znajdowało się miejsce, z którego wyszłam. Dużo niżej. Gdzieś w najgłębszą ciemność kołyszącego się drewnianego brzucha i jeszcze głębiej. Nie wiedziałam, dokąd idziemy, ale wiedziałam, że już jesteśmy blisko. Usłyszałam płacz na długo przed tym, jak je zobaczyłam.

Gdyby porównać malutką celę, w której się obudziłam, z pomieszczeniem, w którym przetrzymywano dziewczyny, można ją uznać za powiew luksusu. Były przykute obiema rękami do drewnianych ścian, siedziały w płytkiej przelewającej się, brudnej kałuży, w ciemności, objijając się o siebie nawzajem.

Był ich jakiś tuzin. W świetle rozhuśtanej lampy dostrzegłam niektóre twarze, gdy prowadzono mnie obok nich. Błada dziewczyna z jasnymi jak kość słoniowa lokami, w poszarpanej niebieskiej sukience o nieznanym mi kroju, która kiedyś musiała mieć kształt dzwonka; ciemnoskóra dziewczyna z zamkniętymi oczami, głową odrzuconą do tyłu – o tym, że jeszcze żyła, świadczyło tylko to, że poruszała

ustami, odmawiając modlitwę; dziewczyna z Xichy z kurtyną kruczoczarnych włosów i mordem w oczach, którymi śledziła prowadzącego mnie mężczyznę; jeszcze jedna dziewczyna z Miraji w prostym khalacie, trzęsąca się z zimna. Nie mogły bardziej różnić się od siebie, były jak noc i dzień, ale wszystkie wyróżniały się wielką urodą. I właśnie to najbardziej mnie przerażyło.

Od Delili słyszałam opowieści o tym, jak matka Jina trafiła do haremu. Była córką xichańskiego kupca, wychowywała się na pokładzie statku – pokładzie, który spłynął krwią jej rodziny w dniu, gdy na statek wdarli się piraci. Lien, piękna szesnastolatka była jedyną, która przeżyła – w kajdanach i jedwabnych łańcuchach została zabrana do nowego Sułtana Miraji, który właśnie zamordował swojego ojca i braci, żeby zasiąść na tronie. Który budował harem, żeby zapewnić sobie sukcesję.

Została sprzedana za sto louzi i zamknięta w jego murach, gdzie urodziła syna mężczyźnie, którego nienawidziła. Gdzie śmierć przyjaciółki, którą kochała jak siostrę, dała jej szansę na ucieczkę na morze, w czasie której tuliła w objęciach noworodka i ciągnęła za sobą dwóch małych księżyąt trzymających się jej spódnicy. Czasami wątpiłam, czy Jin znał te opowieści o swojej matce. Nie były to sprawy, o których matki chętnie opowiadały swoim synom. To były historie, które kobiety mówiły kobietom. „Uważaj” – mówiły swoim córkom. „Ludzie cię skrzywdzą, bo jesteś piękna”.

Nie byłam piękna. Nie znalazłam się tutaj z tego powodu. Byłam tu, bo miałam moc.

Tym razem żelazne okowy wbiły się głęboko w moją skórę. Safiyah i marynarz odwrócili się i zabrali lampę. Nie mogłam pozwolić im na to, żeby zostawili mnie tu w okowach. To oznaczałoby poddanie się.

– Ludzie mówią, że zdrada swojej własnej krwi oznacza, że zawsze będziesz przeklęta w oczach Boga! – zawołałam za

Safiyah. Woda już wsiąkała w moje ubrania. Ciągle byłam ubrana w khalat Shazad. Woda przesiąkała przez niego i chłodziła moją skórę. – Święty Ojciec dużo o tym mówił podczas kazań w Dustwalk.

Nie spodziewałam się, że Safiyah się zatrzyma. Ale stanęła. Przez dłuższą chwilę stała w drzwiach odwrócona plecami do mnie, podczas gdy mężczyzna poszedł dalej.

– Tak mówił. – Odwróciła się przodem do mnie. Po raz pierwszy się jej wystraszyłam. Tego spokoju na jej twarzy. Mówił, że nie wahała się, gdy zgotowała mi ten los. Ani przez minutę.

– Twoja mama i ja zawsze uczestniczyłyśmy w modlitwach. Każdego dnia. Nie tylko w święta, nie tylko w dni modlitw. Każdego dnia. Brałyśmy maty modlitewne, kładłyśmy je obok siebie, zamykałyśmy oczy i modliłyśmy się tak, jak nam kazano. Modliłyśmy się o swoje życie. Żeby móc się wydostać z Dustwalk. – Wcześniej nie zauważyłam tego chłodu w Safiyah. Ale teraz był widoczny jak na dłoni, gdy przy mnie ukucnęła. – Kochałam moją siostrę tak jak słońce kocha niebo. Zrobiłabym dla niej wszystko. A potem umarła, a ty zostałam. Wyglądasz tak jak ona. Jakbym patrzyła na Skórozmiennego z twarzą mojej siostry. Masz pojęcie, jakie to jest uczucie? Patrząc na rzecz, która zabiła kogoś, kogo kochałaś, rzecz, która nawet nie jest w pełni człowiekiem, ale wydaje jej się, że nim jest?

Patrzyłam, jak światło lampy groźnie podkreśla jej rysy, oświetlając je jasnym, migoczącym płomieniem, by zaraz pogrążyć w mroku.

– Dustwalk zabiło moją mamę.

– Bo chroniła ciebie. Chroniła ciebie przed mężczyzną, który sam siebie nazwał twoim ojcem. Chciałabyś się dowiedzieć, co napisała do mnie w swoim ostatnim liście?

Chciałam powiedzieć, że nie. Ale to by było kłamstwo.

– Powiedziała mi, że tak naprawdę nie byłaś córką jej

męża. Że on o tym wiedział. Wiedział od samego początku. Że bała się o ciebie, gdy robiłaś się starsza. Że nadeszła pora na ucieczkę. Że jeśli będzie musiała, umrze, żeby cię chronić, ale jeśli tak się stanie, zabierze go ze sobą.

Tego dnia byłam znowu na pustyni. Tego dnia, gdy usłyszałam wystrzały. Powiedzieli mi, że mama oszalała. Ale nie oszalała. Zabiła swojego męża, doskonale wiedząc, że sama straci przez to życie.

Zrobiła to dla mnie.

– Zamierzała wyjechać i dołączyć do mnie. Zanim ty się urodziłaś. Nienawidziłam cię od chwili, gdy napisała mi, że musi opóźnić wyjazd, bo wiedziała, że nie uda jej się przejść przez pustynię, nosząc cię pod sercem. A potem byłaś za mała. Mimo to, całe życie myślałam o tym, że pewnego dnia będę mogła dzielić je z moją młodszą siostrą. Robiłam okropne rzeczy, żeby zapewnić nam obu utrzymanie. Dustwalk zabiło moją siostrę. Ale umarła, bo była twoją matką. A teraz zamierzam żyć, tak jak zawsze powinnam. A ty zapewnisz mi środki.

– Jeśli tak bardzo mnie nienawidzisz, to dlaczego od razu nie wyłupiesz mi oczu? – Splunęłam na nią. Niech pokaże, że naprawdę nienawidzi mnie tak bardzo, jak jej się wydaje.
– Bierz się do roboty.

– Uwierz mi, gdybym mogła oszczędzić sobie taszczenia cię przez pustynię, zrobiłabym to. – Ciotka uśmiechnęła się ironicznie. – Ale jesteś warta tyle złota, ile wazysz.

Już to słyszałam. W Saramotai o Ranie. Od Hali, gdy uratowała Sayidę z Izmanu.

Nie zamierzała wyłupić mi oczu, żeby sprzedać je jakiemuś bogaczowi z Izmanu, który miał problemy ze zdrowiem. Wiozła mnie do Sułtana.



ROZDZIAŁ 12

Byłam ślepa. Jedyne, co widziałam, znajdowało się w moich myślach, a na zewnątrz była tylko ciemność, która nie miała końca, czasami przebijały się przez nią jakieś hałasy.

W lepszych chwilach wiedziałam, że to wpływ jakichś medykamentów. Zostałam uwięziona w koszmarze ognia i piasku. Piasku na ogniu. Pustyni pełnej płonących ludzi. Ludzi, których znałam, ale ich imiona nie istniały w tym śnie. I parze niebieskich oczu takich jak moje, patrzących na to. Ponieważ nadal miałam oczy.

Tylko nie wiedziałam, jak mogę je otworzyć.

W pewnym momencie zyskałam świadomość, że coś się zmieniło. Zostałam przeniesiona. I słyszałam jakieś głosy. Jakbym podsłuchiwała z dna studni.

– Wiesz, że Sultrim lubi dziewczyny z Miraji.

Sultrim. Znałam to imię. Gdzieś daleko wiedziałam, co ono znaczy.

– Ta nie jest przeznaczona do haremu. – Inny głos. Kobięcy. Znałam go. Zapragnęłam sięgnąć po swoją moc. Wysiłałam wszystkie zmysły. Znowu oblała mnie ciemność. Straciłam panowanie nad mocą i głosami. Ostatnie, co słyszałam, zanim mnie połknęła, było słowo „niebezpieczna”.

Przebłysk świadomości rozbłysnął gdzieś z tyłu mojej głowy.

Niebezpieczna.

Lepiej niech wierzą, że taka jestem

≈≈≈

W jednej chwili doszłam do siebie, gdy o moją uwagę rywalizowało wiele fragmentów świadomości. Chłód stołu pode mną, ostry ból w ciele. Kryształowo biały blask słońca na powiekach, kakofonia ptaków i jeszcze coś, co wydawało się nienaturalne. Chyba kolejne medykamenty.

W końcu udało mi się otworzyć oczy. Pomieszczenie było jasne, przestronne, zalane światłem odbijającym się od marmurowego sufitu nade mną. Kamień miał kolor wszystkich odcieni nieba, jakie widziałam, naraz. Był różowy i czerwony jak ranny świt, ciemnofioletowy jak spokojny zmrok i wspaniale niepokojący jak jasny blask środka dnia.

Nigdy wcześniej nie byłam w tak wytwornym miejscu. Nawet dom emira w Saramotai nie był tak bogaty.

Pałac. Znajdowałam się w pałacu Sułtana.

Poświęciliśmy sporo czasu, żeby wymyślić, jak wprowadzić więcej szpiegów do pałacu Sułtana. Miesiące wprowadzania drzwiami kuchennymi ludzi stojących po naszej stronie. A ja, nawet o tym nie wiedząc, po prostu zostałam tu wniesiona przez próg, jakby to było takie proste.

A teraz musiałam się stąd wydostać.

Mogłabym się roześmiać, myśląc o ironii tej sytuacji, gdybym nie wiedziała, jak bardzo mnie to zabolilo.

Świat zaczynał powoli wracać na miejsce, gdy rozmyślałam o swojej sytuacji. Byłam słabsza, niż powinnam być. Czułam też, że moje powieki znowu robią się ciężkie, a ja jestem coraz bardziej senna. Musiałam usiąść. Wsparłam się łokciami o zimny marmurowy blat i próbowałam się podciągnąć. Każdy ruch sprawiał, że w całym ciele czułam przeszywający ból. Zasyczałam przez zęby, a okrywająca mnie tkanina zsunęła się.

Chwyciłam ją, a ból pojawił się w obu rękach. Następnie po raz pierwszy mogłam popatrzeć na siebie. Pod miękką, białą tkaniną byłam poowijana bandażami. Okrywały prawie

każdą część mojego ciała. Od nadgarstków do barków. Owinięto nimi moje piersi i cały tułów. Ostrożnie sięgnęłam ręką w dół i pomacałam nogi. Moja dłoń natknęła się na tkaninę, nie na skórę. Wyglądałam jak lalka uszyta z płótna. Ale lalki zwykle nie krwawią tak jak ja.

A ja myślałam, że nie ma nic gorszego niż obudzenie się w kajdanach na statku.

Nieszczerólnie podobało mi się, że udowodniono mi, że nie miałam racji.

Gdy ustał ból związany z tym, co znajdowało się pod bandażami, cokolwiek to było, uświadomiłam sobie, że jestem sama. To miła niespodzianka. Dostrzegłam znajomy niebieski khalat rzucony na krzesło. Ten, który Shazad dała mi przed ślubem Imin. Nawet nie wiedziałam, ile dni minęło od tego czasu.

Poruszałam się niezgrabnie, bolały mnie mięśnie i zabandażowane kończyny, lecz udało mi się sięgnąć po poplamioną koszulę. Naciągnęłam ją na siebie i walczyłam z małutkimi guzikami z przodu. Przynajmniej moje dłonie wydawały się nietknięte. Teraz żałowałam, że nie mam w nich garści piasku lub rewolweru. Do licha, chwyciłabym nawet nóż. Ale nie widziałam żadnej broni pośród przedmiotów wypełniających pokój.

Zwiewna różowa firanka osłaniała łukowate okno. Ostrożnie ruszyłam w jego stronę. Gdy wychodziłam na balkon, wiatr smakował znajomym pustynnym upałem, od którego falowały zasłony.

Przede mną rozciągał się Izman.

Nie przypominał niczego, co kiedykolwiek widziałam. Płaski dach wyłożony niebieskimi kaflami z tryskającą fontanną znajdował się na tyle blisko swojego sąsiada, że można było się wymieniać różnymi sekretami. Za nim, z murów, spływały żółte kwiaty, które rywalizowały o miejsce w cieniu z innymi powojami.

Inny budynek wieńczyły fioletowe baldachimy, a złota kopuła wciskała się pomiędzy minarety, które wystrzeliwały jak dzidy, stawiając wyzwanie niebu.

Jin kiedyś powiedział, że nie jestem w stanie pojąć, jak wielki jest Izman. Jeśli go kiedyś znowu zobaczę, może nawet ucieszę się z tego spotkania tak bardzo, że przyznam mu rację.

Dachy ciągnęły się aż do końca świata. Wiedziałam jednak, że to nieprawda. Gdzieś tam znajdowała się pustynia, z której pochodziłam. Spróbowałam ją przywołać siłą swojego umysłu. Piasek i żwir. Ale nic nie poczułam. Pustynia została bezlitośnie stąd wygnana. Musiałabym szukać jej gdzieś poza ścianami pałacu.

Sprawdziłam odległość pomiędzy szczytem muru a balkonem. Gdybym miała dobry dzień, prawdopodobnie udałoby mi się skoczyć. Pulsujący ból w moim ciele przypomniiał mi, że to nie jest ten dzień. Ale jedyne czego potrzebowałam to wiara w to, że zaraz znajdę się w mieście. Jak mi się uda. Jak nie, będę trupem z połamanymi kośćmi leżącym w ogrodzie na dole. Co może być lepsze niż to, co mnie tutaj czeka.

Nie. Musiałam żyć, żeby znowu spotkać Shazad, skoro tak jej obiecałam. Musiałam żyć, żeby zobaczyć, jak Ahmed zasiada na tronie. I musiałam żyć, żeby kazać Jinowi wyjaśnić, dlaczego sądził, że może mnie pocałować, skoro wcześniej mnie opuścił.

Będę musiała wyjść przez drzwi. Tylko pewnie nie uda mi się przez nie przejść, bo chyba jestem więźniem, a nie gościem. Nie miałam wątpliwości, że za drzwiami stoi strażnik.

W pomieszczeniu nie było żadnej broni, ale stał szklany wazon z bukietem suszonych kwiatów. Zdjęłam go z półki i ustawiłam się przy drzwiach. A potem rzuciłam nim o ziemię. Roztrzaskał się na kolorowych kafelkach.

To powinno zwrócić czyjąś uwagę.

Padłam na czworaka, nie rozczulając się nad sobą, choć przeszył mnie okropny ból, i chwyciłam największy szklany odłamek. Zadziałało; usłyszałam kroki po drugiej stronie drzwi, ktoś nadchodził, żeby zobaczyć, co się stało. Zacisnęłam dłoń na kawałku szkła wielkości mojego kciuka z ostrym czubkiem. Trzymałam go tak, żeby nie rozciąć sobie ręki, kucałam z plecami opartymi o ścianę przy drzwiach – byłam gotowa. Ten podstęp zadziałał w Saramotai, strażnicy Sułtana nie będą bardziej rozgarnięci niż żołnierze Malika.

Drzwi się otworzyły. Czekałam, waliło mi serce. Zanim wykonałam swój ruch, jedyne, co wiedziałam, to mignięcie jasnoszarej tkaniny. Zamierzyłam się w tylną część kolana. Przecięłam materiał, spodziewając się, że pod nim natrafię na miękkie ciało.

Zamiast tego, szkło zazgrzytało o coś twardego.

W miejscu, gdzie uderzyłam swoją prowizoryczną bronią, w spodniach była dziura, przez którą wзираły błyszczące stawy z brązu.

Przez sekundę wydawało mi się, że to Noorsham w swojej zbroi z brązu, która została skonstruowana po to, by móc go kontrolować. Wewnątrz tej skorupy odbijały się echem jego słowa wypowiedane z akcentem z Ostatniego Okręgu. Głos, który usłyszałam, był jednak zupełnie inny:

– Uważaj! – Brzmiał znajomo, choć nie zwracał się do mnie. Powoli podniosłam głowę, żeby popatrzeć na człowieka, który beznamiętnie mierzył mnie wzrokiem. – Jest uzbrojona.

Sądziłam, że jestem gotowa na wszystko, co mogę zobaczyć. Cholernie się myliłam. Ponieważ w drzwiach stał Tamid, ze starannie zrobionym przedziałkiem we włosach przylizanych do czoła i świeżym rozcięciem na ubraniu.

Ziemia zachwiała się pode mną. Zza niego wyszedł

uzbrojony wartownik w mundurze. Chwycił mnie i wyrwał mi z ręki moją marną szklaną broń. Była już poplamiona krwią w miejscu, gdzie się skaleczyłam, gdy zacisnęłam dłoń w wyniku wstrząsu.

Nie czułam tego. Nawet nie walczyłam, gdy strażnik zaciągnął mnie na środek pokoju i popchnął na zimny, marmurowy stół, na którym się ocknęłam.

Wiłam się w jego uchwycie. Nie chciałam uciekać. Nie mogłam tylko znieść, że straciłam Tamida z oczu. Tamida, z którym dorastałam. Tamida, który po śmierci mojej mamy był jedyną osobą w Dustwalk, na której mi zależało. Tamid, który przez wiele lat był moim jedynym przyjacielem. Którego ostatnio widziałam, gdy wykrwawiał się na piasku, podczas gdy ja odjeżdżałam na Buraqi z Jinem.

Nie żyjesz. Słowa pojawiły się w mojej głowie i dotarły do ust, skąd nie mogły wyjść dalej. Nie mogłam powiedzieć nieprawdy. Bo nie był nieżywy. Żył i uparcie zbierał z podłogi odłamki szkła. Jakby mnie w ogóle nie znał. Tylko napięcie widoczne pomiędzy jego brwiami zdradzało, że za bardzo się skupia na tym prostym zajęciu. Za wszelką cenę unikał patrzenia na mnie.

Uświadomiłam sobie, że nie podpierał się na kuli. Ostatnim razem, gdy widziałam Tamida, Książę Naguib przestrzelił mu skręcone kolano, kiedy chłopak nie chciał odpowiedzieć na jego pytania. Widziałam, jak Tamid pada na ziemię i krzyczy. To była moja wina. Widziałam mężczyzn, którzy odnieśli mniej poważne kontuzje niż on i stracili kończynę, ale on stał przede mną na dwóch nogach. Usłyszałam ciche kliknięcie, gdy się poruszał, tarcie metalu o metal, jakby mechanizm repetujący w rewolwerze. Przez rozdarte spodnie widziałam coś, co wyglądało jak staw, ale było zrobione z mosiądzu. Zadrzało mi serce. Jedna noga z krwi i ciała, druga z metalu.

– Co mam z nią zrobić? – zapytał żołnierz.

– Przywiąż to do stołu. – Tamid podniósł ostatni kawałek szkła. Określił mnie mianem „to”. Jakbym znaczyła mniej niż przyjaciółka, która zmieniła się we wroga. Jakbym nie była człowiekiem.

Podniósł się.

Ręce żołnierza boleśnie wbijały się w moje obandażowane ciało. Niechcący wrzasnęłam z bólu. Mój krzyk tak zaskoczył Tamida, że aż na mnie spojrzał.

– Nie... – zaczął, odwracając uwagę strażnika. Zauważyłam swoją szansę.

Pierwszy cios powinien być mocny.

Uderzyłam go z główki. Zderzyliśmy się czołami, poczułam rozdierający ból w głowie.

– Skurwysyn! – zakląłam, podczas gdy żołnierz cofnął się, trzymając się za czoło. Stoczyłam się ze stołu na podłogę. Byłam jednak za wolna – żołnierz już chwycił przód mojego khalatu, uniósł pięść i zamierzył się w moją twarz. Odwróciłam się tak, jak uczyła mnie Shazad, próbując nadstawić ramię.

Cios jednak nie padł.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

Podniosłam wzrok. Jakiś człowiek trzymał pięść żołnierza. Przez ułamek sekundy myślałam, że to Ahmed. Po dniach spędzonych w ciemności światło słoneczne tańczyło przed moimi oczami, rozmywając obraz, więc jego profil okolony był złotą obwódką. Ciemne, lekko falowane włosy opadały na dumne czoło człowieka z pustyni. Bystre, zdeterminowane, ciemne oczy zmęczone po bezsennej nocy. Tylko usta miał inne. Proste, zdecydowane, ani śladu miękkiego, niepewnego rysu, jaki czasem pojawiał się u Ahmeda.

Ale był ulepiony z tej samej gliny. A raczej to Ahmed był ulepiony z tej samej gliny, co ten człowiek. Nie powinnam się dziwić. Synowie zwykle przypominali swoich ojców.

– Powinieneś wiedzieć, że zostałeś pokonany, żołnierzu – powiedział Sułtan, trzymając jego pięść.

Ręka żołnierza szybko puściła mój khalat. Odsunęłam się poza jej zasięg. I właśnie wtedy Sułtan obdarzył mnie swoją uwagą.

Nie spodziewałam się, że Sułtan będzie tak bardzo przypominał mojego księcia. Wyobrażałam go sobie tak jak wypływały rysunek w książkach dla dzieci o okrutnych władcach, którzy zostali obaleni przez sprytnych bohaterów. Myślałam, że jest gruby, stary, chciwy i nosi szaty, które są warte tyle, ile kosztuje utrzymanie całej rodziny przez rok. Powinnam wiedzieć lepiej. Gdybym wyciągnęła lekcję z tego, co mówiono o Niebieskookiej Bandytce, wiedziałabym, że opowieści i prawda nijak mają się do siebie.

Sułtan był w wieku Ahmeda, gdy zasiadł na tronie. Ahmed i Jin urodzili się zaledwie po roku jego rządów. Byłam na tyle dobra w arytmetyce, żeby policzyć, że stojący przede mną mężczyzna jeszcze nie wkroczył w czwartą dekadę życia.

– Przeprowadziłaś mi wojowniczkę. – Nie mówił do mnie. Zauważyłam czwartą osobę, która zatrzymała się w drzwiach. Moją ciotkę. Złość stłumiła cały mój zdrowy rozsądek. Znowu się poruszyłam, instynktownie rzucając się na nią. Wiedziałam, że nie dam rady jej dopaść, ale Sułtan zatrzymał mnie, gdy tylko zrobiłam pierwszy krok. Położył mi rękę na ramieniu. – Stój – rozkazał. – Wyrządzisz sobie większą krzywdę, niż jej. – Miał rację. Nagły ruch sprawił, że zakręciło mi się w głowie. Opuszczała mnie siła, chociaż wola walki nadal była wielka. Nie wyrywałam się z jego uchwytu.

– Dobrze – pochwalił mnie Sułtan, jakbym była zwierzątkiem, które wykonało jakąś sztuczkę. – Niech ci się przyjrzę. – Wyciągnął dłoń ku mojej twarzy. Instynktownie odsunęłam się, ale nie miałam dokąd uciec. Byłam już

kiedyś w takiej sytuacji – pewnej ciemnej nocy w Dustwalk z Dowódcą Naguibem, innym synem Sułtana. Przez wiele tygodni miałam potem siniaki na twarzy.

Ale Sułtan objął moją twarz delikatnie. Kiedy wstąpił na tron, był wojownikiem. Mówili, że własnoręcznie zabił połowę ofiar. Przez te dwie dekady wcale nie stał się słabszy. Miał palce zgrubiałe od pracy fizycznej. Od polowania. Wojen. Zabijania matki Ahmeda i Delili. Ale były niezwykle łagodne, gdy odgarniały moje zmatowiałe włosy z twarzy, żeby mógł mnie lepiej widzieć.

– Niebieskie oczy – powiedział, nie zabierając rąk. – Niezwykle jak na dziewczynę z Miraji.

Serce mi stanęło. Co ciotka mu nagadała? Że jestem członkiem obozu rebeliantów? Uwierzył jej? Czy opowieści o Niebieskookiej Bandytce dotarły aż do Sułtana?

– Twoja ciotka wszystko mi o tobie powiedziała, Amani.

– Kłamie! – wysyczałam, szybko i ze złością. – Cokolwiek ci powiedziała, nie powinieneś jej wierzyć.

– Więc mówisz, że nie jesteś Półdzinem, tak jak ona twierdzi? A może oskarżasz ją o to, że nie dotrzymała wierności swojej rodzinie?

– Nie wysilaj się, Amani – wtrąciła się ciotka. – Mogłaś nabrać każdego w Dustwalk, ale twoja matka mi się zwierzyła. – Zrozumiałam jej harde spojrzenie, jakim mnie obrzuciła ponad ramieniem Sułtana. Powiedziała mi, że przyjechałyśmy prosto z Dustwalk. Kłamała. Nie na mój temat, ale i tak kłamała. Nie powiedziała mu o rebelii. A tymi zawołowanymi słowami próbowała mnie ostrzec. Żle by się dla nas obu skończyło, gdyby Sułtan dowiedział się, skąd naprawdę się wzięłam. Bez wątpienia miałby do niej sporo pytań. Poza tym byłam wartościowa jak Półdzin, nie jako buntowniczka.

– Nie byłaby pierwsza, jak wiesz – zwrócił się do mnie Sułtan. – Byli już tacy, którzy dostarczali mi fałszywych

Półdzinów. Było tu wielu ojców i wiele matek, którzy przybywali z małych miasteczek na obrzeżach mojego kraju, skąd i ty pochodzisz, i przywozili mi córki z żółtymi włosami pofarbowanymi szafranem lub skórą pomalowaną na niebiesko, sądząc, że nie zauważę różnicy.

Pogłaskał mnie po policzku. Miałam na nim ranę; czułam bolesne pulsowanie pod jego kciukiem. Nie pamiętałam, jak się jej nabawiłam. Spoglądał na mnie, a potem na moją ciotkę.

– Nienawidzisz tej kobiety. Nie winię cię o to. Bierzesz udział w modlitwach? – Nie spuszczałam go z oczu, chociaż czułam, że Tamid na mnie patrzy, stojąc przy ścianie, jakby chciał stać się niewidoczny. Ostatnim razem uczestniczyłam w modłach w Dustwalk, a on był obok mnie, próbując mnie uspokoić, bo cały czas się wierciłam. – Święte Księgi mówią, że gorsi od zdrajców są ci, którzy zdradzają własną krew. Ciotki sprzedające własne siostrzenice. Synowie buntujący się przeciw swoim ojcom. – Struchlałam. – Więc zawrę z tobą pewien układ. Taki sam, jaki zawarłem ze wszystkimi fałszywymi Półdzinami, którzy byli tu przed tobą. Jeśli możesz mi powiedzieć, że nie jesteś córką Dżina, wypuszczę cię, dając ci tyle złota, ile jesteś w stanie unieść, a twoja ciotka zostanie ukarana w sposób, który ty wskażesz. Jeśli potrzebujesz inspiracji, dziewczyna, której ojciec pofarbował skórę, kazała powiesić go za nogi, aż krew zalała mu mózg. – Poklepał mnie po policzku, jakby opowiedział dobry dowcip. – Jedyne, co musisz zrobić, to wymówić cztery krótkie słowa: „Nie jestem córką Dżina”, a ja zwrócę ci wolność. Albo milcz, a twoja ciotka odejdzie ze złotem.

Cholernie dobra oferta. Wolność i zemsta. Ale musiałabym skłamać, żeby z niej skorzystać.

– No dalej – zachęcał. Skupiłam się na jego ustach, gdy wypowiadał te słowa, tej jednej cesze, która wyglądała inaczej niż u Ahmeda.

Nie umiałam kłamać, ale mogłam kręcić. Już to robiłam. Wychodziłam z tarapatów, nie wypowiadając ani jednego fałszywego słowa.

– Nie znam swojego ojca. – *Tamid mógł za mnie poręczyć.* Ale nie chciałam go w to mieszać, jeśli nie musiałam. Sułtan nie dał po sobie poznać, że wie, iż coś mnie łączyło z Tamidem. Tamid mógł już powiedzieć Sułtanowi, że znał mnie nie jako Półdzina. Znał mnie jak dziewczynę, która doprowadziła do tego, że dostał kulkę w kolano, a sama ulotniła się z rebelią. Ale jeśli jeszcze nie powiedział, nie chciałam być tą, która nas zdradzi. – Moja mama nigdy nie powiedziała mi o nim jednego słowa, a całe Dustwalk uważało, że był gallańskim żołnierzem...

Sułtan położył palce na moich ustach, przerywając moją przemowę. Był tak blisko mnie, że wypełniał sobą cały mój świat. Było w nim coś niepokojąco znajomego – nie tylko twarz, którą dzielił z Ahmedem. Ale nie umiałam sprecyzować, co to było.

– Nie chcę słuchać bzdur i półprawd – powiedział tak cicho, że tylko ja go słyszałam. – Mój ojciec był głupcem i zginął z mojej ręki z zaskoczeniem malującym się na twarzy. Ja na pewno nie jestem głupcem, bo mój zbuntowany syn już dawno zrobiłby to samo ze mną. A teraz – łagodnie odgarnął ostatni niesforny kosmyk z mojej twarzy – jedyne czego chcę to cztery słowa.

Niebieskooka Bandytka mogła być opowiestką snutą przy ognisku, ale Półdziny wywodziły się z legend. Połowa Miraji nie wiedziała nawet, czy są prawdziwe. Ale Sułtan był dobrze poinformowany.

Musiałam skłamać. Nie umiałam kłamać, ale musiałam. Wszystko zależało tylko od tego. Nie tylko moje uwolnienie, nie tylko moje życie. Życie wszystkich. Jeśli nie skłamię, będzie mógł wyciągać ze mnie prawdę za prawdą – może nawet na temat rebelii. Będzie czerpał wiedzę z mojego

milczenia. I zmieni mnie w broń podobnie jak Noorshama. W swoją niewolnicę.

Z desperacją próbowałam powiedzieć kłamstwo, które mnie uwolni. Sprawę, że nie będę musiała patrzeć na wroga z twarzą mojego księcia.

Walczyłam z całych sił. Ale w środku cała byłam Półdżinem.

A Półdżiny nie kłamią.

Sułtan roześmiał się. To był niespodziewanie szczery śmiech.

– Wiedziałem, kim jesteś, od chwili gdy cię ujrzałem, mała Półdżinko. – Drażnił się ze mną.

– Wypląć nagrodę tej dobrej kobiecie. – Leniwym gestem wskazał moją ciotkę. Żołnierz zasalutował i kazał jej iść za sobą. Jego ramiona rozluźniły się, gdy tylko wyszedł z pokoju. Ona, wychodząc, wyglądała na niesamowicie zadowoloną z siebie. Nienawidziłam jej. Boże, jak ja jej nienawidziłam.

Kątem oka zauważyłam, że Tamid poruszył się w swoim kącie, jakby i on spodziewał się, że zostanie zwolniony. Jakby wolał wyjść, niż przyglądać się temu, co Sułtan chciał ze mną zrobić.

– Usiądź, Amani – rozkazał Sułtan.

Nie chciałam siadać. Chciałam stać naprzeciw swojego wroga. Ale nagle, wbrew mojej woli, moje ciało zaczęło samo się poruszać, ugięły się pode mną nogi, aż usiadłam na marmurowym stole, na którym odzyskałam przytomność.

Poczułam narastającą panikę, która prawie odebrała mi dech. Nigdy w taki sposób nie zostałam zdradzona przez własne ciało.

– Co ze mną zrobiłeś?

Sułtan nie odpowiedział od razu.

– Najpierw zdradziły cię oczy. – Zdradzieckie oczy. – Był przed tobą inny Półdżin. Też miał niebieskie oczy. –

Noorsham. Mówił o Noorshamie. – To jedna z wielkich sprawiedliwości naszego świata, że tacy jak wy, mimo swojej mocy, jesteście tak wrażliwi na słowa. – Znali prawdziwe imię Noorshama. To dlatego mogli nim sterować. Noorsham nosił maskę z brązu, na której wyryto jego imię. Sułtan znał jego prawdziwe imię. – Jak ci się wydaje, jakie są szanse na to, że na pustyni mieszkają dwa Półdżiny z niebieskimi oczami, które nie mają jednego ojca? Powiedziałbym, że dość nikłe. – To znaczyło, że Sułtan znał imię naszego ojca. I moje prawdziwe imię. Nerwowo rozejrzałam się po pokoju, szukając zbroi z brązu, podobnej do tej, w którą zakuli Noorshama. Ale pokój wydawał się pełnić funkcję komnaty Świętego Ojca. Tamid zawsze chciał być Świętym.

– Niestety, straciliśmy swojego Półdżina – mówił Sułtan. – To nasz młody Tamid wpadł na pomysł, jak tym razem lepiej się zabezpieczyć. – Skinął na mojego byłego przyjaciela.

Tamid nadal patrzył wszędzie, byle nie na mnie.

I w końcu zrozumiałam, co znajdowało się pod bandażami.

– Obłożyliście moją skórę metalem. – Zapewne brązem. Brązem z moim imieniem. Moim prawdziwym imieniem. Włącznie z imieniem mojego prawdziwego ojca. Podobnie jak wtedy, gdy kontrolowali Noorshama.

– Brązem. – Sułtan dotknął jednej z blizn. – I żelazem.

Żelazem.

Aż rozbolał mnie brzuch. Rozcięli moją skórę, wsadzili pod nią żelazo i z powrotem mnie pozszywali.

Byłam pozbawiona mocy.

Ale... Sułtan potrzebował Noorshama, by móc używać jego mocy jako broni. Jeśli nie byłam im potrzebna do tego samego, to po co tak hojnie wynagrodzili moją ciotkę?

– Zastanawiasz się dlaczego – powiedział Sułtan. Czytał ze mnie jak z otwartej księgi. – Ostatnim razem popełniłem błąd, sądząc, że uda mi się kontrolować Półdżina. Ale jest tyle nieprzewidzianych sytuacji. Tyle małych luk w moich

rozkazach, przez które można się precyzyjnie. Jako dziewczyna jesteś w zasadzie niegroźna, jeśli się przez nie precyzyjnie. Jako Półdzin... próba okiełznania twojej mocy nie jest warta swojej ceny, skoro możesz się zbuntować i zwrócić się przeciwko mnie. To tak jakbym puścił cię wolno, żebyś przechadzała się po pałacu z bronią w ręku. – Wspomniał o broni mimochodem, ale ja zdążyłam się zdenerwować. Nie mógł wiedzieć, że jestem Niebieskooką Bandytką. Jeśli wiedział, wiedziałby, że jestem częścią rebelii i wątpił w to, że rozmawiałby ze mną w tak uprzejmy sposób. – Żelazo również było pomysłem Tamida. Odkąd przybył do pałacu, stara się być bardzo przydatny. Wiesz, że on także pochodzi z Ostatniego Okręgu... Skąd dokładnie, mój chłopcze?

– Z Sazi – powiedział Tamid. To było bezczelne kłamstwo. Sazi leżało dość blisko Dustwalk, ale na tyle daleko, że nigdy tam nie byłam, dopóki nie zabrał mnie tam Jin. Stamtąd pochodził Noorsham. To tam obozował Naguib, zanim przybył do Dustwalk. Tamid ukrywał przed Sułtanem fakt, że pochodziliśmy z jednej miejscowości. Nienawidził mnie tak, że zaszył mi żelazo pod skórą, ale niewystarczająco, żeby nałożyć mi pętlę na szyję.

Chciałam, żeby Tamid na mnie popatrzył. Ale wpatrywał się w podłogę. Byłam taka głupia. Zobaczyłam go i przez chwilę miałam wrażenie, że nic się nie zmieniło. Ale nie miałam racji. Powinnam to wiedzieć. Ostatnim razem, gdy widziałam Tamida, byłam dziewczyną, która porzucała ludzi. A on był chłopakiem, który nigdy mnie nie zdradził.

– W waszej części pustyni pamięta się rzeczy, które większość z nas już zapomniała – powiedział Sułtan.

– Więc na co jestem ci potrzebna jako Półdzin bez mocy? – Ponownie skierowałam na siebie uwagę Sułtana.

Sułtan uśmiechnął się enigmatycznie.

– Chodź ze mną, to się dowiesz.

I znowu, wbrew mojej woli, moje nogi się poruszyły. Zdążyłam tylko odwrócić się przez ramię i zobaczyć, że Tamid wreszcie na mnie spojrział, na jego twarzy wyczytałam uczucie, które wyglądało jak troska, a potem zamknęły się za nami drzwi.



ROZDZIAŁ 13

Musiałam iść za nim, ale nie musiałam milczeć.

– Dokąd idziemy? – Moje słowa odbiły się echem od gładkiego marmuru i prześmiewczo wróciły do mnie, gdy szliśmy przez zakamarki pałacu. – Gdzie mnie zabierasz?

Sułtan nie odpowiedział na żadne z pytań, które wykrzyczałam do jego pleców, idąc krok w krok za nim. W końcu zatrzymał się pośrodku korytarza. Stałam kawałek dalej. Za nami otwierało się sklepione przejście dwa razy wyższe ode mnie, wychodzące na niewielki ogród, po którym przechadzały się pawie. Naprzeciw niego, jakby w obramowaniu z kolumn, znajdowała się mozaika przedstawiająca Księżniczkę Hawę. Stała na, jak się domyślałam, murach Saramotai, szeroko rozłożyła ręce, a za nią wschodziło słońce. Patrzyła wprost przed siebie. Jej oczy tutaj również były niebieskie. Tak jak na płaskorzeźbie w Saramotai.

Sułtan położył dłoń na ręce Hawy. Usłyszałam kliknięcie, a potem ten kawałek ściany pomiędzy rękami Hawy poruszył się i otworzył jak drzwi. Za nimi znajdowały się schody prowadzące na dół w stronę ciemności.

Dość dawno temu minęliśmy ostatniego strażnika. Tutaj nie było żadnych. Cokolwiek znajdowało się na dole schodów, naprawdę było trzymane w tajemnicy.

– Co tam jest? – Mój głos odbijał się od schodów.

– Rzeczy, które lepiej robić w miejscach, gdzie Bóg jest ślepy. – Mówiono, że Pogromczyni Światów pochodziła z miejsca, gdzie Bóg był ślepy. Gdzieś z głębi ziemi. – Ty pierwsza.

Trzymałam się ściany, żeby nie stracić równowagi i idąc

w dół, liczyłam schody. Trzydzieści trzy to święta liczba. To liczba Dżinów, które zgromadziły się, żeby wykuć Pierwszego Śmiertelnika podczas wojny z Pogromczynią Światów.

Potknęłam się, schodząc z ostatniego stopnia. Sułtan był tuż za mną. Pomógł mi odzyskać równowagę, kładąc dłoń na mojej talii. Na chwilę przeniosłam się z powrotem do obozu, czułam na sobie rękę Jina. *Trzymam cię.* Szybko się wyrwałam.

To, co zobaczyłam, nie przypominało reszty pałacu. Zamiast z wygładzonego marmuru, ściany były z ciosanego kamienia. Niski sufit wspierał się na grubych kolumnach, które rząd za rządem znikały w cieniu jak stojący na baczność starożytni żołnierze. Jedyne światło wpadało przez dziurę w suficie, jasno oświetlając krąg poniżej. Gdy zbliżyliśmy się do niego, zobaczyłam, że kolumny były rzeźbione, lecz wzory zatarły się przez wieki. Może nawet trwały tu dłużej niż kilka wieków. Nie wiedziałam, jak stary jest świat. Ale to miejsce mogło powstać na samym jego początku. Mijające lata je pogrzebały, ale one i tak przetrwały.

Stojąc w świetle czułam się, jakbym znalazła się na dnie studni. Krąg światła miał średnicę rozpiętości moich ramion. Ale niebo nade mną miało wielkość monety o nominale pół louzi. Gołe stopy stąpnęły na coś zimnego. Spojrzawszy w dół uświadomiłam sobie, że na ziemi jest żelazny krąg poprzetykany jakimiś wzorami. Identyczny krąg znajdował się po lewej. Zaraz za nim kolejny, pokryty kurzem i piachem.

– Co to jest? – Instynktownie zeszłam z żelaza.

– Pochodzisz ze skraju pustyni – powiedział Sułtan. – Jesteś potomkinią nomadów, którzy przenosili opowieści przez pustynię. Musisz znać te wszystkie dotyczące dawnych czasów, kiedy Dżiny chodziły pośród nas. Kiedy nadal kochały śmiertelników. No cóż... – Popatrzył na mnie

znacząco. – Jesteś żywym przykładem tego, że nadal kochają, przynajmniej od czasu do czasu. Ale kiedyś był taki czas, kiedy *moi* przodkowie rządili z pomocą Dżinów. Stąd tysiące lat temu wzięły się próby Sultrima. Zadania wyznaczały Dżiny, żeby wybrać najlepszego spośród synów Sułtana. Wtedy nie miały nic wspólnego z serią głupich konkurencji zmierzających do tego, żeby zwrócić ich przeciwko sobie. – Seria głupich konkurencji, którą wygrał Ahmed. – W tamtych czasach książęta wspinali się na góry, ujeżdżali Roki, żeby przywieźć jedno zgubione przez nie pióro. Pili wodę pod bezsennym okiem Włóczęgi. To były prawdziwe wyczyny. Ale chociaż nadal trwamy przy tradycji, dni wartościowych książąt już dawno minęły. Podobnie jak dni, kiedy Dżiny pojawiały się tutaj i w dobrej wierze uwalniały swoją moc wewnątrz kręgu, podczas gdy Sułtan rezygnował z użycia broni i wspólnie mogli się naradzać.

Dotknęłam palcem u nogi krawędzi kręgu. Słyszałam te opowieści. Miejsca, gdzie Sułtan wzywał Dżiny ich prawdziwym imieniem, a potem znowu je wypuszczał. To był przejaw wzajemnego zaufania. Gdybym je policzyła, czy byłoby ich trzydzieści trzy?

– Wezwiesz Dżina, Amani – powiedział Sułtan.

Gwałtownie podniosłam głowę. Widziałam wiele rzeczy stworzonych przed ludźmi. Buraqi. Koszmary. Skórozmiennych. Ale Dżin to co innego. Nie były tylko legendarnymi stworzeniami, którymi karmiły się legendy. Były naszymi stwórcami. Nikt już nie widywał Dżinów, chociaż kilku ludzi w Dustwalk twierdziło, że znalazło Dżina na dnie butelki. I jak przypuszczam, moja mama też się musiała z nim zetknąć.

– Aż tak bardzo jesteś zdesperowany, by powołać doradcę w tych trudnych czasach, Wasza Wysokość? – Nie połknął przynęty.

– W opowieściach wszystko wydaje się łatwe: po prostu

wzywasz Pierwszą Istotę, jeśli tylko znasz jej prawdziwe imię.
– Jak książęta i żebracy w różnych historyjkach, którzy w godzinie próby wzywają je po imieniu zdobytym dzięki jakiemuś bohaterskiemu czynowi dokonanemu na samym początku bajki. – Ale potrzeba znacznie więcej. Przede wszystkim trzeba umieć wezwać je w pierwszym języku. – Sułtan wyjął z kieszeni złożoną kartkę. – A także spełnić jeszcze jeden warunek. Chcesz zgadnąć jaki?

Nie sięgnęłam po karteczkę.

– Gdybym miała zgadywać – usłyszałam swój niepewny głos – powiedziałabym, że trzeba do tego Półdżina.

To dlatego był gotów zapłacić za Półdżina tyle złota, ile ważył. To dlatego zaszył żelazo pod moją skórą. Nie potrzebował mojej mocy. Chodziło mu tylko o to, żebym wezwała Dżina.

Znałam opowieści o wojnach, w których Dżiny walczyły w jednym szeregu z ludźmi. O Adilu Zdobywcy, który zakuł Dżina w żelazo i rzucał miasta na kolana, zanim stanął naprzeciw Szarego Księcia. O Dżinie, który zbudował mury Izmanu w ciągu jednej nocy jako dar dla swojej małżonki. Moc Półdżina nic nie znaczyła w porównaniu z tym, co wiedziałam o potędze Dżinów.

Myślałam, że rozkaże mi wziąć tę kartkę. Ale Sułtan tylko uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Prawdziwy język. – Język bez kłamstw. – Prawdziwe narzecze. – Półdżin, który nie może kłamać. Który może powiedzieć „Przyjdź do mnie” w pierwszym języku i sprawić, by przyszedł. – I prawdziwe imię. W tym przypadku takie samo, jak to zaszyte pod twoją skórą. Część twojego prawdziwego imienia. – Chociaż nie chciałam, spojrzałam na kartkę. – Imię twojego ojca.

Mojego ojca. Mojego prawdziwego ojca. Sułtan nie kazał mi wziąć tej kartki. Ale wbrew zdrowemu rozsądkowi podniosłam rękę. Miałam ojca w swoim zasięgu.

– Weź ją – rozkazał w końcu. – Jeśli chcesz.

Zdradziły mnie palce, które słysząc rozkaz, zacisnęły się na papierze. Chciałam go wypuścić. Chciałam zwalczyć pokusę. Ale chciałam też wiedzieć. Wobec tego podniosłam kartkę, żeby lepiej widzieć w świetle wpadającym ze świetlika.

Było tam.

Napisane czarnym atramentem na białym papierze. Imię mojego ojca.

Bahadur.

Po raz pierwszy w moim siedemnastoletnim życiu poznałam swoje prawdziwe nazwisko. To, które wryto w brzoźnie i zaszyto pod moją skórą.

Nazywałam się Amani Al-Bahadur.

– Przeczytaj na głos. – To był rozkaz. Nie mogłam mu się sprzeciwić.

Moje usta poruszyły się wbrew mojej woli, czytając starożytny język zapisany na kartce. Słowa wypadały z nich zbyt łatwo jak na język, którym się nie posługiwałam, jakby stamtąd były.

Jakby moja połówka należąca do świata Dżinów rozpoznała ten język pośród innych.

Zbyt szybko dotarłam do końca, imię mojego ojca ześlizgnęło się z mojego języka tak łatwo jak tłuszcz nad ogniem. Skończyłam. Zamilkłam.

Przez chwilę nic się nie działo.

A potem żelazny krąg zajął się ogniem.



ROZDZIAŁ 14

Odskoczyłam do tyłu, gdy wielka kolumna niebieskiego ognia uniosła się ponad kręgiem. Przewyższała nisko sklepiony sufit, wypełniła studnię aż do samej góry. Nigdy nie widziałam gorętszego i jaśniejszego płomienia. Przez chwilę obejmował krawędzie żelaznego kręgu, jakby była tam jakaś niewidzialna bariera, po czym, tak szybko jak się pojawił, wycofał się do środka i przybrał jakiś kształt.

Mrugałam oślepiona światłem, jakbym wpatrywała się w słońce i oślepla na chwilę.

Potem wzrok się dostosował i po raz pierwszy zobaczyłam swojego ojca.

Bahadur wyglądał jak mężczyzna stworzony z ognia.

Nie. To nie do końca oddaje prawdę. Może nie jestem tak pobożna jak niektórzy, ale znałam religijne przypowieści. Dżiny nie były ludźmi z ognia. My byliśmy Dżinami z ziemi i wody, i z małym płomieniem od nich, który nas ożywiał. Iskrą z ogniska. Byliśmy znacznie gorszą wersją ich samych.

Skóra Bahadura drgała i poruszała się w ciemnoniebieskich płomieniach. Płomieniach, które miały taki sam kolor jak moje oczy.

Nie czułam od niego ciepła. Ale czułam coś innego, coś, czego nie umiałam nazwać, ale co przenikało przez moją skórę i wnikało w moją duszę. Był tak wysoki jak potężne kolumny, na których wspierało się sklepienie tego starożytnego pałacowego lochu. Ale on nie podtrzymywał pałacu. Podtrzymywał świat. Był jednym z Boskich Pierwszych Stworzeń, które ulepiły Pierwszego Śmiertelnika. Które stworzyły ludzkość.

Które stworzyły mnie.

Zrozumiałam, że to co czuję, to moc. Prawdziwa, surowa moc, taka, która nie bierze się z tytułu czy korony, lecz z samej duszy świata.

Zmieniał się, gdy na niego patrzyłam. Uświadomiłam sobie, że zarówno się kurczy, jak i przekształca, zmieniając wygląd. Przypominało to zmienianie postaci przez Imin. Po chwili nie był już niebieskim światłem. Miał ciemną skórę, ciemne włosy i wyglądał jak każdy mieszkaniec pustyni. Nawet gdy próbował wyglądać tak jak my, nie było wątpliwości, że jest inny. Był zbyt przystojny, zbyt dostojny, zbyt doskonały, by być zwykłym śmiertelnikiem. Ale nie zmienił swoich oczu na ludzkie. Dalej wyglądały jak migoczący płomień, który teraz płonął spokojniej. Jaśniały białym ogniem tam, gdzie powinno być biało, a doskonale czarną źrenicę otaczał jasny błękit. Miałam wrażenie, że przewiercają mnie na wylot.

– Wezwałaś mnie. – Te dwa zwykłe słowa miały wielką wagę. Powoli przeniósł uwagę na Sułtana. – Choć, jak widzę, nie dla siebie.

Sułtan był potężnym człowiekiem. Ale i tak był tylko człowiekiem, więc stojąc obok Dżina wyglądał zaledwie jak iskra unosząca się nad ogniskiem.

– A zatem – mówił znudzonym tonem Bahadur, zwracając się do Sułtana – o co chcesz mnie prosić? O złoto? Władzę? Miłość? Życie wieczne? A może wszystkie cztery?

– Nie jestem tak głupi, by o coś cię prosić.

Bahadur przyjął to bez mrugnięcia okiem. Patrzyłam na niego, próbując w jego rysach znaleźć coś znajomego, coś, co oprócz oczu mogłabym mieć z nim wspólnego.

– Przeżyłem więcej dni i spotkałem więcej ludzi, niż jest ziaren piasku na waszej pustyni. Spotykałem królów i żebraków, i wszystkich pomiędzy nimi. Ale nigdy nie spotkałem człowieka, który niczego by nie chciał. Nieważne, czy jesteś dzieciakiem z brudnymi kolanami mieszkającym

na ulicy, czy człowiekiem mającym tyle złota i władzy, że nie wie, co z nimi zrobić. Zawsze czegoś chcecie.

– A wy zawsze wykorzystujecie nasze pragnienia przeciwko nam – powiedział Sułtan. – Bierzecie nasze potrzeby i pragnienia i zniekształcacie je dotąd, aż jedynym naszym życzeniem jest to, żeby cofnąć czas i nigdy o nic was nie prosić. – Nie zmyślał. Ja też słyszałam o takich przypadkach. Na przykład o Massil i Dżinie, który zniszczył całe morze, mszcząc się na jednym kupcu. O druciarzu, który zmarł na pustyni z wyczerpania, szukając złota, które obiecał mu pojmany Dżin. – Na końcu okazuje się – Sułtan szyderczo przejechał stopą po krawędzi kręgu – że nigdy nie dostajemy tego, czego chcemy.

– Czyli jednak czegoś chcesz.

– Oczywiście – przyznał Sułtan. – Każdy czegoś chce. Ale nie jestem szalony, żeby ciebie o to prosić. Dasz mi to bez żadnych haczyków.

Kiedy Bahadur się roześmiał, jego śmiech odbijał się echem po całym lochu.

– Dlaczego miałbym tak zrobić?

– Ona jest jedną z was. – Miał na myśli mnie, chociaż ani na chwilę nie oderwał wzroku od Dżina.

– Naturalnie wiem o tym. – Bahadur nie spuszczał Sułtana z oczu. „Patrz na mnie” – jakaś część mnie chciała krzyknąć do niego. Inna część chciała uciszyć moje pragnienie. Przez całe życie dobrze sobie radziłam bez ojca. Nie potrzebowałam go teraz. – Jak sądzisz, dlaczego je oznaczamy?

Sułtan wyjął nóż zza paska.

– Mała Półdzinko. Weź to i wbij sobie w brzuch. – Zmroziło mnie. To był rozkaz.

– Nie – powiedziałam na głos, jakby odmowa mogła mi pomóc. Ale na nic się zdała, bo moje ręce już sięgały po nóż.

– Tylko powoli – rozkazał Sułtan – żeby cię bolało.

Nic nie mogłam zrobić. Moja dłoń poruszała się w stronę noża, palce zacisnęły się na rękojeści, obróciły ostrze w stronę mojego tułowia. Walczyłam. Ręce drżały mi z wysiłku. Ale wszystko na nic. Nóż powoli zbliżał się do mojego brzucha.

– Twoja córka zaraz tu umrze. Chyba że zatrzymasz ten nóż. – Rany brzucha goiły się powoli. – Podaj mi imiona innych Dżinów, a ja rozkażę jej, żeby rzuciła nóż.

Bahadur nadal nie obdarzył mnie spojrzeniem. Niebieskie, pozbawione wyrazu oczy zatrzymał na Sułtanie, gdy ostrze powoli zbliżało się do mojego ciała. Był nieśmiertelnym Pierwszym Stworzeniem. Podległym tylko samemu Bogu. Dla niego nawet Sułtan, władca całej pustyni, był nikim. Ja też byłam nikim, choć byłam jego córką. Usiadł w kręgu i z wdziękiem skrzyżował nogi.

– Wszyscy kiedyś umrzecie. – Uśmiechnął się pobłaźliwie, niczym rodzic do dziecka. Ale jego uśmiech nie był dla mnie. – Śmiertelnikom doskonale to wychodzi.

Nóż nadal zbliżał się do mojego brzucha, a jemu było to obojętne. Godził się na moją śmierć. Metal już dotykał khalatu należącego do Shazad. Zawsze plamiłam krwią ubrania, które mi pożyczała. Tym razem chyba mi nie przebaczy. Nigdy nie przebaczy mi, że umarłam w samym środku wojny.

– Istotnie – zgodził się Sułtan – wszystko w końcu umiera. – Odwrócił się od Dżina, jakby to *on* nic nie znaczył. Jeśli był rozczarowany odmową Bahadura, nie dawał tego po sobie poznać. – Rzuć nóż. – To rozkaz dla mnie.

Odsunęłam nóż od brzucha i pozwoliłam mu upaść na ziemię. Moje ciało znowu należało do mnie. To był blef. Głupi, nieudany blef skierowany do nieśmiertelnej istoty. Drżałam. Mocno. Ale złość szybko przegnała strach. Złość na moje ciało. Na Sułtana. Ale przede wszystkim na to, że Bahadur chciał patrzeć beznamiętnie na moją śmierć.

Kazał mi puścić nóż. Ale nie powiedział, że mam go podnieść.

Moje palce znowu zacisnęły się na rękojeści, przesunęłam się i przytknęłam ostrze do gardła Sułtana. Jeden gest i wszystko się skończy.

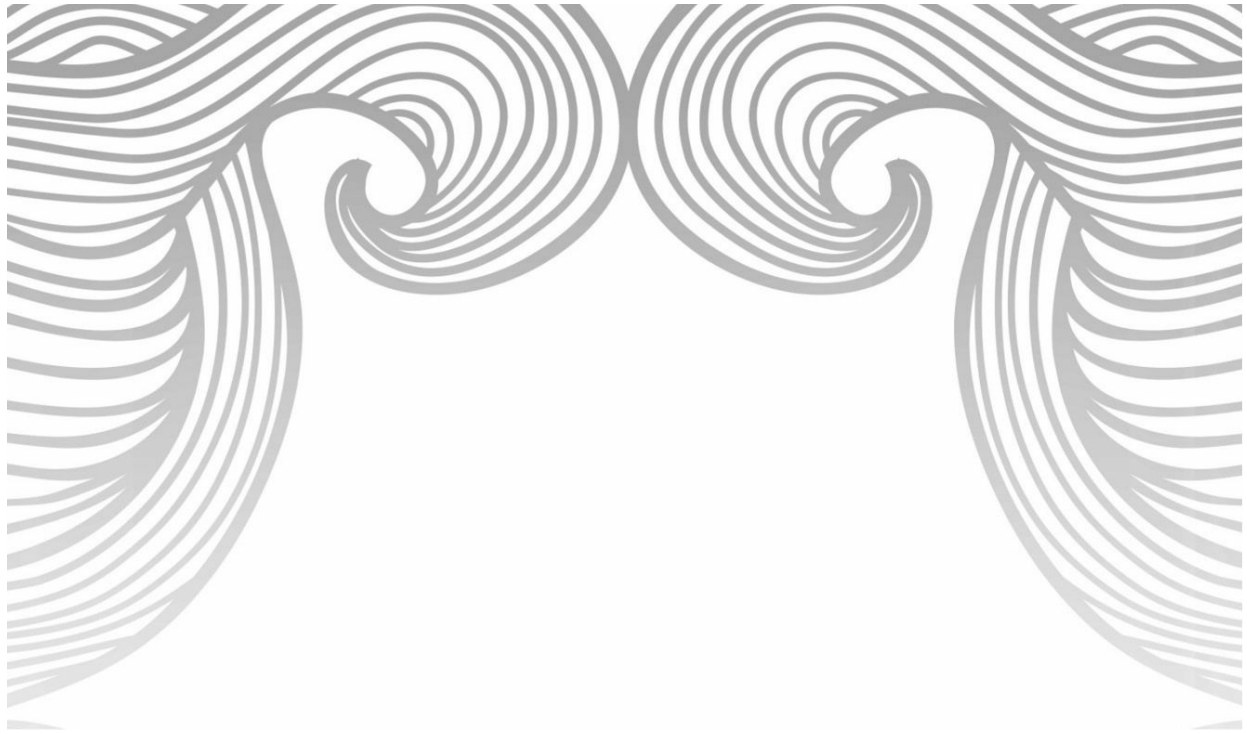
– Przestań. – Rozkaz padł sekundę za wcześnie. Zatrzymał moje mięśnie i nóż o włos od swojej skóry. Od zabicia go dzieliła mnie tylko sekunda.

Po raz pierwszy Bahadur spoglądał na mnie z zainteresowaniem.

Spojrzenie Sułtana wędrowało pomiędzy mną a nożem. Spodziewałam się wybuchu wściekłości. Spodziewałam się srogiej kary. Ale nic takiego nie nastąpiło. Tylko wygiął usta w uśmiechu.

– Jesteś niebezpieczna, mała Półdzinko, nieprawdaż? – W tej chwili zrozumiałam, dlaczego jego usta wydawały mi się znajome.

Miał twarz Ahmeda, lecz uśmiech – ten uśmiech był taki sam jak Jina.



ROZDZIAŁ 15

Byłam cenna.

To dlatego wciąż żyłam.

To dlatego zatrzymał nóż.

Będą mnie trzymali w haremie. Tak powiedział Sułtan. Trzymana. Nie jako więzień. Bardziej jak wyjątkowo cenna broń. Trzymana do czasu, aż będę potrzebna.

Wraz z tym pojawiły się inne rozkazy, gdy przekazywał mnie służącej w khalacie w kolorze bladego piasku i z ciemnymi włosami związanymi szimą. Jakby bała się słońca w zacienionych korytarzach pałacu.

– Zostaniesz w pałacu – poinstruował mnie spokojnie. Chciałam walczyć. Ale chociaż mój umysł mógł się buntować, ciało nie było w stanie. – Nie zrobisz kroku poza mury haremu. – Doskonale rozumiał Półdżiny. Ostrożnie dobierał słowa. „Nie opuszczaj haremu” zamiast „Nie próbuj uciekać”. Próbowanie a uciekanie to dla Półdżina dwie zupełnie inne rzeczy.

Rzuciłam okiem na dół schodów, gdy Sułtan kazał mi wracać na górę. Popatrzyłam na Bahadura. Mojego ojca, choć te słowa brzmiały nienaturalnie. Przyglądał się, jak odchodziliśmy, nadal siedząc w niewielkim kręgu. Otaczała go ciemność, bo zabraliśmy lampę, lecz widziałam go jeszcze długo po tym, gdy powinien już zatrzeć się przed oczami. Jakby nadal płonął swoim ogniem, nawet w ciele człowieka. Dysponował mocą tysiąckrotnie większą niż ja. Przeżył tysiące wcieleń, zanim się urodziłam. Ale był w pułapce podobnie jak ja. Jaką mogłam mieć nadzieję na wydostanie się stąd, skoro on nie mógł?

– I nikogo tam nie skrzywdzisz. Siebie również. – Bał się, że

będę chciała się zabić. Że będę chciała wymknąć się w objęcia pustki. Nie chciałam wiedzieć, jakie miał plany w stosunku do mnie, że wydawało mu się, iż odebranie sobie życia będzie lepszym wyjściem. – Ale jeśli coś mi się stanie, jeśli umrę, wejdiesz na najwyższą wieżę w pałacu i rzucisz się z niej.

Jeśli on umrze, umrę także i ja.

Wydał mi jeszcze z tuzin innych rozkazów, po czym kobieta ubrana w szatę w kolorze nieprawdziwego piasku poprowadziła mnie przez wypolerowane, marmurowe korytarze. Moje nogi posłuchały ostatnich rozkazów Sułtana.

– Idź z nią. Rób, co ci każe.

Przeszliśmy pod niskim, kamiennym łukiem. Zauważyłam, że w kamieniu wyrzeźbiono postacie tańczących kobiet. Po kilku krokach poczułam parę w powietrzu, zapach zwiędłych kwiatów i przypraw szukających dostępu do mojego ciała. Łatwo można się było nim zachłysnąć, po zbyt długim pobycie na pustyni.

Weszliśmy do największej łaźni, jaką kiedykolwiek widziałam. Pomieszczenie wykończono opalizującymi błękitnymi, różowymi i żółtymi kaflami, hipnotyzujące mozaiki ciągnęły się od podłogi po sam sufit. Para unosząca się nad podgrzewanymi basenami nadawała wszystkiemu mokrego połysku, ścianom i dziewczynom.

Było tu wiele dziewczyn.

Słyszałam opowieści o haremie Sułtana, gdzie trzymano kobiety dla przyjemności Sułtana i Sultrima. Gdzie płodzono przyszłych książąt, żeby walczyli o tron, i księżniczki, żeby móc je sprzedać dla zawiązania politycznych sojuszy. Oto były, namydlały nagie ramiona, unosiły się na skraju basenu, miały zamknięte oczy, gdy służące namaszczały olejkami ich włosy. Kilka z nich leżało na łóżkach, drzemały, gdy masowano ich długie nogi.

Służąca bez słowa zaczęła mnie rozbierać. Rozpinała małe sprzączki z przodu khalatu Shazad. Patrzyłam i nie reagowałam.

I wtedy wypatrzyłam mężczyznę. Wyglądał jak lis w kurniku. Głodny lis. Leżał rozparty na łóżku, opierał się na stosie poduszek, będąc rozebrany do pasa. Prawdopodobnie był ode mnie niewiele starszy i wyglądał jak rzeźba z kamienia, miał grubo ciosane rysy, których nie równoważyła żadna łagodniejsza linia. Powinien być przystojny, ale gdzieś w okolicach jego ust czaiła się jakaś złośliwość, która sprawiała, że nigdy taki nie będzie.

Wokół niego uwijały się trzy niewiarygodnie piękne Mirajinki, ubrane jedynie w długie płócienne chusty, a ich długie, ciemne włosy opadały mokrymi falami na gołe ramiona. Jedna z nich siedziała u jego stóp, leniwie machając nogami w parującej wodzie i opierając się o nogę szczuplejszej dziewczyny leżącej tuż obok niego. Trzecia z nich położyła głowę na jego kolanach, zamknęła oczy, pełne usta rozciągnęła w błogim uśmiechu i poddawała się jego pieczy polując na tym, że bezwiednie przeczesywał palcami jej włosy.

Jednak to nie im poświęcał swoją uwagę – tę skierował na dwie dziewczyny stojące naprzeciw niego, obie nagie jak w dniu, gdy się urodziły, poddawane inspekcji przez służącą. Jakby te szukały jakiejś skazy, która mogłaby zagrozić tym dziewczynom w przyjęciu do tego świata perfekcyjnych, pięknych kobiet. Uświadomiłam sobie, że je znałam w momencie, gdy służąca zdjęła mój khalat i owinęła mnie w zwykłe, płócienne prześcieradło, chociaż musiałam się zastanowić, gdzie je widziałam. Były ze mną na statku, zostały przyprowadzone przez handlarzy niewolników i sprzedane do haremu.

Co stało się z dziewczynami, które nie zostały wybrane do haremu? Czy zostały sprzedane innym mężczyznom do

mniej prestiżowych posiadłości? A może, jeśli w plotce tkwiło ziarno prawdy, handlarze topili te dziewczyny, które nie dostały się do haremu Sułtana?

Drobna dziewczyna przytulona do jego boku chyba wyczuła, że się gapię, bo popatrzyła w moją stronę. Na jej twarzy pojawił się jakiś grymas, zaraz też pochyliła się ku tej dziewczynie, która leżała na jego kolanach. Tej z ładnymi ustami. Otworzyła oczy i popatrzyła na mnie tak przytomnie, że od razu wiedziałam, że tylko udawała, że śpi. Wydeła swoje pełne usteczka w zadumie, po czym odwróciła się i coś wyszeptala pozostałej dwójce. Ich śmiech odbijał się od kafelków wokół mnie.

To zwróciło na mnie uwagę mężczyzny.

– Jesteś nowa – zwrócił się do mnie, gdy dziewczyny próbowały ukryć swoje rozbawienie. Od razu znienawidziłam jego głos. Przyklejał się do słów, jakby sprawdzał ich smak, a ja miałam wrażenie, że lepi się do mojej skóry.

– Powinnaś ukłonić się Sultrimowi. – Dziewczyna z pełnymi ustami ziewnęła, przeciągając się na nim jak kot w słońcu. Więc to był Sultrim – pierworodny syn Sułtana. Książę Kadir. Następca tronu, o który walczyliśmy. Syn, który stanął naprzeciw Ahmeda w ostatniej rywalizacji podczas prób Sultrima.

Już od dawna żaden książę nie robił na mnie wrażenia. Tylko w ciągu kilku ostatnich dni całowałam się z jednym i wrzeszczałam na drugiego. Ale ten był moim wrogiem.

Ukłoniłam się więc, gdy służki ostrożnie odwijały moje bandaż, świadoma tego, że mężczyzna nie spuszcza mnie z oczu, patrząc, jak jestem rozbierana.

W miejscach, gdzie włożono żelazo pod moją skórę, widniały brzydkie, czerwone pręgi. Dziewczyny parsknęły śmiechem na ich widok.

– Może uszył ją krawiec Abdul, mój kochany – powiedziała dziewczyna z dużymi ustami, wskazując na mnie. Pozostałe

dwie zachichotały.

Zabolało mnie to.

Opowieść o „krawcu Abdulu” dotyczyła człowieka, który był zbyt wybredny w kwestii żon. Poślubił pierwszą z nich, ponieważ miała urodziwą twarz. Drugą, ponieważ pożądał jej ciała, a trzecią, bo miała dobre serce. Ale lamentował, bo pierwsza z nich była okrutna, druga była brzydka, a trzecia miała niezgrabne ciało.

Wobec tego zatrudnił krawca Abdula, żeby uszył mu doskonałą żonę. Utalentowany krawiec zrobił, co mu kazano, bez żadnego sprzeciwu. Przyszył głowę pierwszej żony do ciała drugiej, a następnie wszył w ciało dobre serce trzeciej żony tak zręcznie, że na jej doskonałej piersi nie było nawet jednej blizny. To, co zostało z kobiet, wyrzucono na pustynię. W końcu żony dokonały zemsty, a mąż został pożarty żywcem przez Skórozmiennego, który wykorzystał wszystkie porzucone części ciał żon.

Zatrzymałam dłoń zmierzającą ku śladom na ramionach. Byłam Półdzinem, żołnierzem rebelii, Niebieskooką Bandytką. Zetknęłam się z gorszymi ludźmi niż rozpuszczone dziewczuchy w haremie.

Jednak Kadir się uśmiechnął.

– W takim razie została uszyta dla mnie.

– Wygląda raczej, jakby została stworzona do menażerii – wtrąciła inna z dziewczyn, niewłaściwie interpretując słowa Sultrima. – A może pomylił jej ręce z łapami małpy. – Chichot dziewczyn zmienił się w otwarty śmiech. Ale Sultrim już nie obdarzał ich swoją uwagą. Wstał, niemal zrzucając dziewczynę leżącą na jego kolanach.

– Wyglądasz jak Mirajinka. – Iskra zaciekawienia w jego głosie była niebezpieczna, a on właśnie zbliżał się do mnie. – Rzadko kiedy udaje im się sprowadzić jakieś dziewczyny z Miraji. Chociaż najbardziej lubię te w twoim typie. Przypuszczam, że jesteś z zachodu Miraji. – Nie

odpowiadałam. Chyba nawet tego nie oczekiwał. Złapał mnie pod brodę, odchylił moją głowę do tyłu, żeby lepiej mnie widzieć i przyglądał się, jak kupiec oceniający konia. Przywaliłbym mu, ale rozkazy Sułtana sprawiły, że musiałam trzymać ręce przy sobie. – Rebelia mojego brata przynajmniej się na coś przydaje. Wojny oznaczają więcej więźniów.

Od dawna było wiadomo, że harem jest niebezpiecznym miejscem. Słyszałam, że w czasach ojca Sułtana Omana niektóre kobiety rzeczywiście dołączały do niego z własnego wyboru. Ale w większości harem składał się z jeńców wojennych. Niewolnic przywożonych z zagranicy. Kobiet pojmanych na statkach tak jak matka Jina. A teraz wojna trwała w Miraji. To oznaczało, że więcej handlarzy niewolnikami wykorzystywało panujący tam chaos, żeby porwać kobiety.

– Czy widziała cię błogosławiona Sultrima? – zapytała dziewczyna, która została zrzucona z kolan Sultrima, próbując zwrócić na siebie uwagę.

– Wszystkie nowe dziewczyny muszą być obejrzone przez Sultrimę – potwierdziły pozostałe, jakby papugowały słowa wypowiedziane przez kogoś innego.

– Tak, musi ocenić, czy się nadajesz – wtrąciła się ta, która siedziała u jego stóp, również pragnąc go zadowolić.

– Albo i nie – ironizowała ta z pełnymi ustami.

– Zamilcz, Ayet, nie ma potrzeby niepokoić Sultrimy. – Dłoń Sultrima oderwała się od mojej twarzy i powędrowała w dół mojej szyi, na obojczyk.

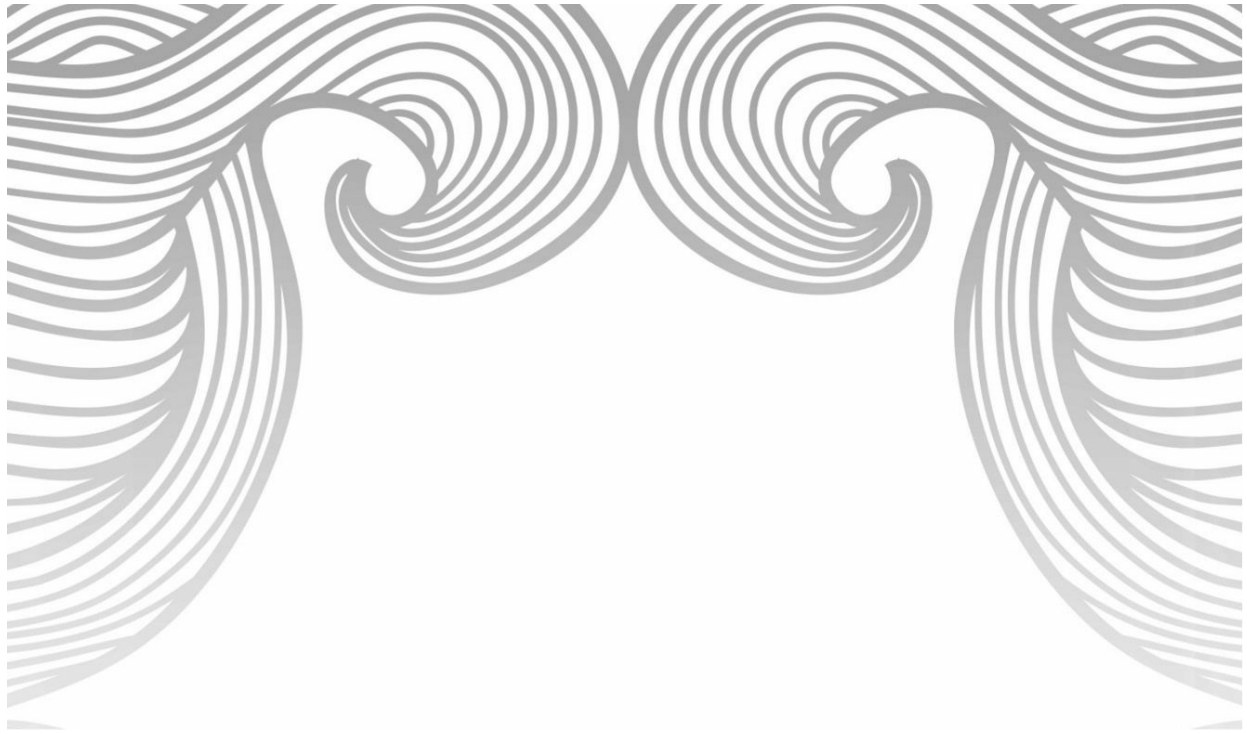
– Jest poza zasięgiem. – Służąca, która ze mną przyszła, odezwała się, gdy dłoń Kadira znalazła się na skraju białej tkaniny, która mnie okrywała. Miała surowy, apodyktyczny głos jak matka, której brak cierpliwości. Sultrim otworzył usta, żeby wyrazić swoje zdanie, ale zanim coś powiedział, odezwała się ponownie: – Z rozkazu twojego ojca.

Wzmianka o Sułtanie wystarczyła, żeby Kadir zabrał rękę. Przez chwilę aż gotował się ze złości. Zaraz potem smętnie zwiesił ramiona, wzruszył nimi i przeszedł obok mnie, jakby od samego początku miał taki zamiar. Jego żony pozbierały się i ruszyły za nim. Wzrok Ayet padł na rzucony na podłogę khalat Shazad. Kilka dni temu, podczas wesela, był taki piękny. Zanim zostaliśmy zaatakowani. Zanim zostałam pocałowana, porwana i pocięta. Nadal był piękny. Lewą stopą nadepnęła na tkaninę i posłała ją do basenu.

– Oj. – Ayet błysnęła zębami. – Przepraszam. – Mijając mnie, zarzuciła mokrymi włosami i ochlapała mnie wodą. Ich wyjściu towarzyszyły chichoty i szepty, które odbijały się echem od ścian łaźni.

Zarumieniłam się.

Kiedy Ahmed przejmie ten pałac, spalę ten harem do gołej ziemi.



ROZDZIAŁ 16

Harem okradł mnie z pustyni.

Służące polewały mnie wodą i szorowały moją skórę do czerwoności. Aż zmyły ze mnie piasek, krew, pot, proch, ogień i dłonie Jina.

Wyciągnęły mnie z parującej wody. Pozwoliłam jednej z nich owinąć się w duże, suche, płócienne prześcieradło i położyłam się obok wanny. Coś ciepłego kapało na moją skórę, chyba olejek. Pachniał kwiatami, których nie znałam. Inna dziewczyna czesała moje włosy grzebieniem, delikatnie masując skórę głowy.

Całe życie walczyłam. Walczyłam, żeby przeżyć w Dustwalk jako dziewczynka z rewolwerem. Walczyłam, żeby uciec śmierci w tym zabitym dechami mieście. Walczyłam, żeby przedostać się przez pustynię. Jako Niebieskooka Bandytka. Walczyłam dla Ahmeda. Dla Rebelii. *Nowy świt. Nowa pustynia.*

Ale gdy grzebień masował moją głowę, nie byłam już pewna, czy została we mnie wola walki.

Pozwoliłam, by ukołysał mnie sen.

Jutro. Będę walczyć jutro.

≈≈≈

Nie potrzebowałam wiele czasu, żeby zauważyć, że harem był pełen niewidocznych łańcuchów i murów, które miały sprawiać wrażenie, jakby ich wcale nie było.

Wyglądał jak labirynt zaprojektowany tak, bym kręciła się wokół, aż stracę orientację skąd przyszedłam i jak mam wyjść.

Było tam wiele ogrodów, które przylegały do siebie niczym plastry miodu. Niektóre z nich były zwykłymi trawnikami z fontannami wytryskującymi niekończący się strumień wody, wokół których rozłożono poduszki. Inne były tak gęsto porośnięte roślinnością, kwiatami i pnączami wijącymi się po posągach, że nie można było dostrzec przez nie murów. Ale mury zawsze były.

Nie umiałam zliczyć, ile osób mieszkało w haremie. Dziesiątki żon należących zarówno do Sułtana, jak i Sultrima. Ich dzieci – księżęta i księżniczki urodzone przez żony Sułtana. Wszystkie poniżej szesnastego roku życia. Po osiągnięciu tego wieku były wreszcie wypuszczane z haremu. Dziewczyny przechodziły z rąk ojca w ręce swoich mężów. A chopcy umierali za niego na polu bitwy, podobnie jak Naguib. Wszyscy byli braćmi i siostrami Ahmeda i Jina.

W końcu znalazłam granicę: uchyloną bramę wykutą z żelaza i złota. Gdy próbowałam ją przekroczyć, moje stopy zabuksowały w miejscu. Walczyłam z rozkazem, który mnie ograniczał, ale nie miałam szans – moje ciało buntowało się, jakby powstrzymywała mnie jakaś niewidzialna ręka. Moja krew zmieniła się w kamień, jakaś pięść wbijała się w mój brzuch, odpychając mnie od wyjścia.

Otrzymałam rozkaz zabraniający mi wychodzić.

Nie mogłam pójść dalej.

Musiałam przekazać wiadomość do obozu rebelii. Mimo że nie wiedziałam, gdzie teraz się znajduje. Jednak rodzina Shazad mieszkała w Izmanie. A Izman znajdował się po drugiej stronie tych murów. Kilka stóp ode mnie. Ale równie dobrze mogła mnie od niego dzielić cała pustynia.

Musiało być jakieś pęknięcie, jakiś sposób, żeby wydostać się z haremu. Nawet jeśli mnie samej nie uda się wyjść, muszę przekazać ostrzeżenie, przynajmniej o tym, że Sułtan ma Dżina.

Że ma mojego ojca.

Odepchnęłam tę myśl od siebie. Nie był moim ojcem w większym stopniu niż mąż mojej matki.

Gdyby był moim ojcem, bardziej by mu zależało na tym, czy umrę czy nie.

Moja mama wychowała mnie na tysiącach opowieści o dziewczynach, które zostały uratowane przez Dżina, księżniczkach uratowanych z więz, wieśniaczkach zabranych z biedy swoich domostw.

Okazało się, że opowieści były tylko opowieściami.

Ja zostałam sama.

To powinno być dla mnie znajome uczucie. Kiedyś sądziłam, że jestem zdana na siebie w Dustwalk. Ale to nigdy nie była prawda. Miałam wtedy Tamida. A teraz miałam dziesiątki małych, gojących się nacięć na ciele, które przypominały mi, dlaczego nie mogę ufać swojemu najstarszemu przyjacielowi. Palcami wymacałam małą, metalową blaszkę pod skórą na ramieniu. Bolało, gdy naciskałam ją kciukiem. Nacisnęłam jeszcze mocniej.

Po raz pierwszy w życiu byłam naprawdę sama.

≈≈≈

Trzeciego dnia pobytu w haremie natknęłam się na menażerię.

Najpierw usłyszałam hałas – harmider złożony z wielu różnych odgłosów dobiegających z żelaznych klatek zwieńczonych misternymi koronkami kopuł. Na żelaznych żerdziach siedziały setki ptaków, zaś ich ubarwienie mogłoby zawstydzić samego Dżina. Żółte jak świeże cytryny. Zielone jak trawa w Dolinie Devy, zanim stamtąd uciekliśmy. Czerwone jak szima, którą zgubiłam. Niebieskie jak moje oczy. Ale nie do końca. Nic nie miało idealnie takiej samej barwy jak moje oczy. Tylko oczy Noorshama.

I Bahadura. Te, które obojętnie patrzyły, jak nóż zbliżał się do mojej skóry. Te, które nawet nie mrugnęły ani nie odwróciły się od tego widoku. Jakby patrzenie na mnie nie sprawiało mu bólu.

Odeszłam od ptaków.

Wielkie pawie rozkładały ogony, gdy mijałam kolejną klatkę. W innej para tygrysów wygrzewała się w plamie słońca, leżąc tuż przy sobie, ziewając i pokazując kły długości moich palców. Podobne zwierzęta były namalowane na ścianach sekretnego przejścia prowadzącego do obozu buntowników. Ale tamte były na obrazku sprzed tysiąca lat, miały wielkość mojej dłoni. Te były zupełnie inne.

Zatrzymałam się przy najdalej wysuniętej klatce.

Zwierzę w środku było prawie tak duże jak Rok. Potężny Behemot z szarą skórą, masywnymi kończynami i nienaturalnie dużymi uszami. Aż przycisnęłam się do krat, jakbym chciała wcisnąć się do środka, żeby go dotknąć.

Po drugiej stronie klatki była jakaś dziewczyna, siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Zbyt młoda, by być jedną z żon Sultrima. Wobec tego musiała być córką Sułtana. Jedną z wielu księżniczek, o których nigdy nie mówiono tyle, co o książętach. Przypominała mi Delilę, chociaż, jak zauważyłam, ona była krewną Jina, a Delila nie. Miała miękko zaokrąglone policzki, jakby jeszcze nie pozbyła się dziecięcych rysów. Trzymała coś, co przypominało zabawkę, metalowy stelaż oblepiała czerwona glina, a figurka przypominała zwierzę z klatki. Gdy się jej przyglądałam, zgięła jedną z jej nóg, która ugięła się bez trudu dzięki małym metalowym stawom.

– Co to jest? – zapytałam. Podniosła głowę, wyrwana ze skupienia, i popatrzyła na mnie przez kraty klatki.

– Słoń – odpowiedziała cicho.

Zakłuło mnie w sercu, gdy pomyślałam o Izzie i Mazie,

którzy tak się ekscytowali, gdy opowiadali mi o słoniu.

Właśnie to zwierzę widzieli poza granicami. Prawdziwego, żywego słonia.

– Przyszłaś w odwiedziny do rodziny? – Rozległ się ironiczny głos, którego się tu nie spodziewałam. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto to. Ayet, żona, która wrzuciła mój khalat do basenu pierwszego dnia w haremie. Dwie pozostałe stały po jej obu stronach jak jakaś osobista straż. Z podsłuchanych rozmów dowiedziałam się, że nazywały się Mouhna i Uzma.

– Wasze rodziny pewnie siedzą w budzie. – Przyglądałam się, jak moja zniewaga odbija się na ich twarzach. Pierwsza doszła do siebie Ayet.

– Chyba ci się wydaje, że jesteśmy twoimi wrogami – powiedziała. – Ale możemy ci pomóc. Wiesz, gdzie teraz jesteśmy? – Nie czekała na moją odpowiedź. – To jest ta sama menażeria, w której żona Sułtana, Nadira, spotkała Dżina, z którym poczęła demona. – Nadira była matką Ahmeda i Delili. Wszyscy znali tę historię. Pewnego dnia żona Sułtana przechadzała się po pałacowych ogrodach, kiedy natknęła się na żabę, która przypadkowo wyskoczyła do jednej z ptasich klatek i nie umiała się stamtąd wydostać.

Zerknęłam na ptaki w klatce.

Ptaki zaczęły ją dziobać. Nadira zlitowała się nad zwierzęciem i otworzywszy klatkę wsadziła do niej rękę, nie przejmując się ptakami, które podrapały i podziobały ją do krwi. Gdy tylko wyjęła żabę, ta zmieniła się w Dżina.

– O to właśnie chodzi. – Ayet i pozostałe dziewczyny okrążyły mnie jak stado zbłąkanych zwierząt. – Dziewczyny, które nie odnajdą swojego miejsca w haremie, nie przetrwają w nim zbyt długo. Sultrim lubi dziewczyny z Miraji. – Dłoń Ayet uderzyła mnie w pierś, zaskakująco mocno, aż zatoczyłam się do tyłu na najbliższą klatkę. Jeden

z tygrysów popatrzył zaciekawiony. – Ale ma przy sobie miejsce tylko na trzy z nas. Więc kiedy pojawia się nowa, jedna z nas musi odejść. A żadna z nas nie chce zniknąć. Co oznacza, że to *ty* nie masz tu czego szukać.

– Nie interesuje mnie ten idiota, wasz mąż. – Chciałam stracić jej rękę. Nie mogłam. Sułtan wydał mi rozkazy. Nie mogłam się bronić.

Ayet nie wyglądała na przekonaną.

– Wiesz, co jeszcze się tu wydarzyło? To tutaj Sułtan zabił Nadirę, gdy urodziła tego zwyrodnialca. – Zrobiła krok w moją stronę. – Bo tutaj, w tym jazgocie ptaków, nikt nie usłyszy wołania o pomoc. – Jasne, ptaki w klatkach wariowały, a ich wrzaski dominowały nad odgłosami dobiegającymi z innych części haremu.

– No, dalej. Wezwij pomoc.

– Powinnyście dać jej spokój. – Głos nie był dominujący. Bardziej przypominał pisk na tle odgłosów wydawanych przez dzikie ptaki. Ale był dość głośny. To ta dziewczyna ze słoniem zabawką. Cały czas przyglądała się tej scenie, siedząc po drugiej stronie klatki. Miała oczy szeroko otwarte ze strachu. Ale mimo to wstawiła się za mną.

Ayet skrzywiła się, ale nic nie odpyskowała dziewczynie.

– To nie twój interes, Leyla. Sułtan od dekady nie poślubił nowej żony, co oznacza, że pojawiła się tutaj głównie dla naszego błogosławionego męża Sultrima, nie dla twojego ojca.

– Jeśli jesteście tak tego pewne – Leyla wstała, tuląc glinianego słonia, jakby była z dziesięć lat młodsza – mogę pójść i zapytać ojca.

Wzmianka o Sułtanie zrobiła takie wrażenie, jakby dziewczyna posłużyła się magią. Jakby wezwała potężne duchy i otworzyła drzwi w ścianie klifu. Jedyne, co Leyla musiała zrobić, to napomknąć o nim, a efekt był taki, jakby już tu przybył.

Ayet zareagowała pierwsza. Wywróciła oczami, jakby chciała mi pokazać, że nie jestem warta jej czasu i odwróciła się na pięcie.

– To było ostrzeżenie – rzuciła przez ramię i ruszyła przed siebie. Patrzyłam, jak odchodzi i czułam do niej nienawiść. Nienawiść, bo nie mogłam złamać jej nosa, choć tak bardzo chciałam.

Naprzeciw mnie Leyla beznamiętnie nakręcała mechanizm.

– Przyzwyczaisz się do nich.

Nie planowałam przyzwyczajania się do nich. Chciałam się stąd wydostać, zanim przywyknę do czegokolwiek.

≈≈≈

Odkąd znalazłam się w haremie, gdy nie szukałam drogi ucieczki, przebywałam w swoim pokoju. Służące przynosiły mi świeże ubrania, miskę do mycia, posiłki – wydawało się, że umieją przewidzieć, czego potrzebuję, bo nawet nie musiałam o nic prosić. Ale tego wieczoru nie dostałam kolacji.

Podejrzewałam, że stoi za tym Ayet. To, że nie mogła mnie rozerwać na strzępy jak jakieś dzikie zwierzę, nie oznaczało, że przestała czynić starania o to, by uprzykrzyć mi życie i pokrzyżować jakieś wyimaginowane plany, jakie mogłam mieć w stosunku do Sultrima. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, był kolejny książę w moim życiu. Miałam dość problemów z tymi, którzy już w nie wkroczyli.

Zanim poddałam się burczącemu brzuchowi, odczekałam, aż na zewnątrz zrobi się ciemno. Nawet ja nie byłam tak uparta, by dać się zagłodzić na śmierć.

Kobiety znajdowały się w ogrodzie, w którym podawano jedzenie, obsiadły półmiski, tak że trudno było wcisnąć się pomiędzy nie i dostać do potrawy. Nagle poczułam się jak

pierwszej nocy w obozie buntowników, zanim poznałam imiona pozostałych. Kiedy jeszcze byłam intruzem. Tylko że tam byłam intruzem, którego oprowadzali Shazad i Bahi.

Wypatrzyłam Leylę, jedyną osobę, która siedziała całkiem sama. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że prawie skończyła pracę nad swoim słoniem – glina pokrywała metalowy stelaż. Gdy na nią patrzyłam, wsadziła mały kluczyk gdzieś z tyłu zabawki. Słoń maszerował, poruszając się skokami, czyniąc niezgrabne kroki w stronę jednego z maluchów siedzących wraz z grupą kobiet najbliżej. Chłopiec wyciągnął do niego rączkę, ale jego matka zaraz go złapała i posadziła sobie na kolanach, przy okazji przewracając zabawkę.

Z twarzy Leyli zniknęła radość. Pochyliła głowę. Dziewczyna taka jak ona zostałaby pożarta żywcem na pustyni. A dziewczyna z pustyni mogła zostać pożarta żywcem w miejscu, gdzie wychowywały się dziewczyny takie jak ona.

Podniosłam z ziemi zabawkę – nogi słonia wciąż się poruszały. Podałam ją Leyli. Popatrzyła na mnie oczami, które zdawały się wypełniać całą jej twarz.

– Pomogłaś mi dzisiaj w menażerii. – Wpatrywała się we mnie. Chciałam jej powiedzieć, że sama bym sobie dała radę. I to byłaby prawda, gdybym nie była uwięziona pod setką małych kawałków metalu wbitych pod skórę. – Dziękuję.

Skinęła głową i wzięła zabawkę. Usiadłam obok niej, nie czekając na zaproszenie. Nie miałam dokąd iść. Byłam dla niej miła, bo potrzebowałam sprzymierzeńców w haremie. Tak sobie to tłumaczyłam. Nie dlatego, że miała wielkie oczy, które przypominały mi Delilę.

Ayet i jej dwa pasożyty siedziały ścieśnione niedaleko nas. Nawet z tej odległości czuć było bijącą od nich pogardę. Kiedy zauważyły, że na nie patrzę, Ayet wyszeptała coś do Mouhny. Wybuchnęły głośnym śmiechem jak kraczące

ptaki.

– Boją się ciebie – powiedziała Leyla. – Myślą, że zajmiesz ich miejsce u boku Kadira i będą musiały zniknąć.

Prychnęłam.

– Uwierz mi, nie interesuje mnie twój brat.

Pojawiła się służąca i podała mi talerz z pysznie pachnącymi kawałkami mięsa. W odpowiedzi mój żołądek zaburczał z wdzięcznością.

– Nie jest moim bratem. – Leyla zacisnęła szczękę. – To znaczy... chyba jest. Jesteśmy dziećmi mojego najpotężniejszego ojca Sułtana. Ale w haremie nazywamy rodzeństwem tylko tych, którzy mają wspólną matkę. Mam tylko jednego brata, Rahima. Już nie mieszka w haremie.

– A twoja matka? – spytałam.

– Była córką inżyniera z Gamaniks. – Obróciła zabawkę w dłoniach. Jin opowiadał mi o swoim kraju. Tam wykonano identyczne kompasy, którymi posługiwali się razem z Ahmedem. To kraj, w którym nauczono się łączyć magię z maszynami. To wyjaśniało, jak nauczyła się tworzyć takie zmechanizowane zabawki. – Zniknęła, gdy miałam osiem lat – powiedziała to tak spokojnie i otwarcie, że aż zbiła mnie z tropu.

– Co masz na myśli, mówiąc, że zniknęła?

– Och, to się zdarza w haremie – powiedziała Leyla. – Kobiety znikają, gdy nie są już potrzebne. To dlatego Ayet tak się ciebie boi. Nie urodziła dziecka Sultrimowi. Jeśli ją zastąpisz, może zniknąć jak wiele innych przed nią. To się zdarza każdego dnia.

Bezwiednie ugryzłam kęs i słuchałam tego, co mówiła Leyla. Na języku poczułam coś, co piekło jak rozżarzony węgiel. Z oczu trysnęły mi łzy, wyplułam jedzenie na trawę i zaczęłam gwałtownie kaszleć.

– Nie smakuje ci nasze jedzenie? – zawołała Mouhna. Siedzące obok niej Ayet i Uzma aż zwijały się ze śmiechu,

podczas gdy Mouhna wsadziła do ust kawałek chleba, wydeła wargi i udawała, że zachwyca się smakiem. – Prezent od błogosławionej Sultrimy.

Leyla wyjęła coś czerwonego z mojego talerza. Zmarszczyła nos.

– Pieprz samobójców – powiedziała, wrzucając kulkę do najbliższego rusztu.

– Co to, do cholery, jest? – Cały czas kaszlałam. Leyla wsadziła mi do rąk szklankę z wodą. Wypiłam ją, gasząc pożar na języku.

– To zamorska przyprawa. Ojciec stara się zapobiec przenikaniu jej do haremu, ale... – Nerwowo oblizała usta. – Czasem dziewczyny używają jej, żeby... uciec. – Musiałam się chwilę zastanowić, żeby zrozumieć, co miała na myśli, mówiąc „uciec”.

Pieprz samobójców.

Więc niektóre znalazły drogę ucieczki. Nie była to jednak ucieczka, którą brałam pod uwagę. Ale jeśli ten pieprz pochodzi z zewnątrz, wobec tego musi istnieć sposób na przekazywanie kontrabandy.

Jakiś sposób, żeby szept wydostał się poza mury.

– Kim jest błogosławiona Sultrima? – Słyszałam o niej wcześniej. Tego dnia, gdy pojawiłam się w haremie. W łaźni.

– Pierwszą żoną Sultrima. – Leyla popatrzyła na mnie, nie kryjąc zaskoczenia. – Cóż, nie jest pierwszą, którą poślubił. Pojął za żonę Ayet tego dnia, gdy zwyciężył próby Sultrima. Ale błogosławiona Sultrima jest jedyną żoną Kadira, która spodziewa się dziecka.

Muszą jej nienawidzić. Moja ciotka Farrah nienawidziła Nidy, najmłodszej żony wuja. Ale Farrah zapewniła sobie pozycję, rodząc trzech synów. To Nida musiała całować ją po stopach, żeby coś dostać. Co prawda tu była mowa o Sultrimie, a nie o mieszkającym na pustyni handlarzu końmi, ale to nic nie zmieniało w kwestii zazdrosnych żon.

Wiedziałam, jak to działa. Pierwsza żona jest najważniejszą kobietą w domu – w tym przypadku, w haremie.

– Gdzie można ją znaleźć?



ROZDZIAŁ 17

Sultrima była legendą w haremie.

Wybrana przez Boga na matkę przyszłego władcy Miraji. Jedyna kobieta mogąca począć dziecko z Sultrimem. Z własnej woli pozostawała w zamknięciu przez większość czasu. Kobiety w haremie szeptały, że to dlatego, że się modli. Ale przypomniałam sobie coś, co kiedyś powiedziała mi Shazad: jeśli trzymasz się poza polem widzenia swojego wroga, zawsze sprawiasz wrażenie silniejszego niż jesteś.

Z plotek, które słyszałam, w haremie aż roiło się od wrogów Sultrimy.

Ale jeśli było coś, czego dowiedziałam się na temat legend, to to, że wciąż żyją. I to życie w końcu musiało wyłonić się ze swoich apartamentów.

Dwa dni po tym jak Mouhna podała mi pieprz samobójców, Leyla obudziła mnie ważną wiadomością. Błogosławiona Sultrima wreszcie przyszła do łaźni.

Zauważyłam ją już z korytarza prowadzącego do łaźni. Siedziała tyłem do wejścia, jedną nogę moczyła w wodzie, na drugiej usiadła, wykręciwszy ciało w ten sposób, że widziałam jej nabrzmiały brzuch. Wyróżniała się wiekiem. Widziałam inne ciężarne kobiety w haremie, ale tamte należały do Sułtana.

Nie brał nowych żon od prawie dziesięciu lat; jego żony były bliższe mu wiekiem – większość z nich miała co najmniej trzydzieści lat lub zbliżała się do tego wieku. Nawet z daleka widziałam, że Sultrima nie miała jeszcze osiemnastu lat. Okrężnymi ruchami masowała brzuch, pochylając w zamyśleniu głowę.

Z tego miejsca błogosławiona Sultrima wyglądała jak każda

inna ciężarna dziewczyna z pustyni. Co prawda nie spodziewałam się, że przyjdzie do łaźni przystrojona w perły i rubiny, ale po wysłuchaniu plotek wyobrażałam sobie, że zobaczę kogoś innego, nie dziewczynę w cienkim, białym khalacie.

Nie była sama. Po drugiej stronie wody leżał Kadir, mający na sobie luźne szarawary i nic poza tym. Był nagi od pasa w górę. Nie sądziłam, że Jin ma coś wspólnego z tym bratem, ale awersja do noszenia koszul wydawała się cechą wspólną dla tej rodziny.

W wodzie było kilkanaście innych dziewczyn, które już rozpoznawałam.

Żony Kadira pluskające się w wodzie, chichoczące w przylegających do ciała długich, białych khalatach.

Byłam tu wystarczająco długo, by zauważyć, że większość kobiet w haremie nie pochodziła z Miraji. Były bladymi mieszkankami Północy porwanymi ze statków, dziewczynami ze wschodu sprzedanymi jako niewolnice, ciemnoskórymi Amonpouriankami porwanymi po przygranicznych potyczkach. Jednak ta dziewczyna bez wątpienia urodziła się na pustyni, co mogłam ocenić, nawet nie widząc jej twarzy. Płótno mokre od pary unoszącej się nad basenami przylgnęło do jej ciała; wilgotne, ciemne włosy przylepiły się do jej twarzy. Nie wyglądała jak wszechwładna Sultrima, wybranka nosząca w łonie przyszłego Sułtana Miraji.

Wtedy właśnie usłyszawszy moje kroki, podniosła głowę, popatrzyła w moją stronę, a mnie serce podskoczyło do gardła.

Och, niech szlag trafi wszelkie siły na niebie i w piekle, czym sobie na to zasłużyłam?

Stałam twarzą w twarz z Sultrimą, o której tyle słyszałam. Jedyłą kobietą dość czystą, by móc począć dziecko Sultrima Kadira. Dziewczyną zesłaną przez Boga, żeby zapewnić przyszłość Miraji.

Ale ja znałam ją jako kuzynkę Shirę. A jedynym celem jej egzystencji na ziemi było uprzykrzanie mi życia.

Jin powiedział kiedyś, że los ma okrutne poczucie humoru. Zaczynałam mu wierzyć. Najpierw Tamid, teraz Shira. Przeprowadziłam się przez pustynię, ale i tak wszystko było tak, jakby znowu zawleczono mnie do domu, żebym zmierzyła się z tym, co uciekając zostawiłam za sobą.

Shira wyglądała na równie zaskoczoną jak ja. Jej usta ułożyły się w „o”, po czym zmieniły w prostą linię. Patrzyłyśmy na siebie ponad podłogą. Nasze życia splotły się w taki sam sposób jak setki razy wcześniej w małym pokoju w domu mojej ciotki.

– A niech to – powiedziała Shira. Pozbyła się akcentu. Słysząc to było w tych kilku słowach. A może nie pozbyła, lecz wygładziła go, posługując się akcentem z północy. – Pomalujcie mnie na fioletowo i nazywajcie Dżinem, jeśli nie jest to moja najmniej lubiana kuzynka.

Miałam odpowiedź na końcu języka. W ostatniej chwili się powstrzymałam. *Sułtan ma Dżina* – przypomniałam sobie. *Ma Pierwszą Istotę na wyciągnięcie ręki i nic go nie powstrzyma przed wykorzystaniem jej przeciw buntownikom. Wtedy wszystko się skończy. Dla mnie. Dla Ahmeda, Jina, Shazad i całej Rebelii.*

Nie za bardzo orientuję się, jak to wygląda w innych rodzinach, ale podejrzewam, że zwykle, kiedy zmuszasz się do tego, by być miłą dla nie lubianych krewnych, nie ryzykujesz życia tylu ludzi.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziałam. *Ty i Tamid.* Ostatnim razem widziałam Shirę w pociągu zmierzającym do Izmanu, jechała z Księciem Naguibem jako zakładniczka, ponieważ sądził, że może wiedzieć, dokąd zmierzam. A gdyby mnie znaleźli, znaleźliby Jina, a gdyby znaleźli Jina, znaleźliby rebelię.

Kiedy ja i Jin wyskoczyliśmy z pociągu, nie była już

potrzebna. Noorsham powiedział mi, że została w pałacu, gdzie czekała na śmierć. Ale teraz nie tylko żyła. Była kwitnąca. Zastanawiałam się, czy wiedziała, że Tamid przeżył i również dobrze się ustawił w tym pałacu. Czy wiedziała, co robił dla Sułtana. Czy w ogóle ją to obchodziło. Nigdy nic ją nie obchodziło.

Ze złością odepchnęłam od siebie myśli o Tamidzie. Z Shirą będzie łatwiej. Nasze stosunki nigdy nie były bardzo skomplikowane. Po prostu wzajemnie się nienawidziłyśmy. Łatwiej się zmierzyć ze starą nienawiścią niż z nową pogardą Tamida.

– Powinnaś mieć lepsze rozeznanie. – Kuzynka uśmiechnęła się uwodzicielsko. – My, dziewczyny z pustyni, umiemy o sobie zadbać. Chociaż jestem ciekawa, jak wyglądają twoje plany na przeżycie w tym miejscu. – Minęłam łuk z opalizujących kafli i weszłam do łaźni. Nie zwracałam uwagi na parę owijającą się wokół mojego ciała niczym natrętne palce. – Ostatnim razem, gdy cię widziałam, chyba uciekałaś z jakimś zbuntowanym zdrajcą? Zdrajcy niezbyt długo tu żyją. – Zerknęła znacząco na leżącego po drugiej stronie Kadira. Łaźnia była szeroka jak całe Dustwalk, Kadir znajdował się tak daleko od nas, że jeszcze mnie nie zauważył. Podniósł coś ze stosu koło swojego łokcia i wysokim łukiem posłał to na środek basenu. Gdy odbiło się od tego światło, uzmysłowiłam sobie, że to rubin, duży jak mój kciuk.

Kamień uderzył w wodę z pluśnięciem. Rozległy się piski i chichot, gdy sześć znajdujących się w wodzie dziewczyn rzuciło się w stronę miejsca, gdzie klejnot zanurzył się pod powierzchnię. Kadir przyglądał im się pożądliwie, podczas gdy pluskały wodą i wspinały się jedna na drugą. Ich krzyki i pluski zagłuszyły naszą rozmowę.

– Jak sądzisz, co mój książę zrobi, gdy dowie się ode mnie, że jesteś sprzymierzeńcem jego zdradzieckiego brata?

Nagły strach musiał być widoczny na mojej twarzy, ponieważ Shira uśmiechnęła się jak kot po zjedzeniu kanarka.

Niech ją szlag. Przyszłam tu po pomoc, a nie po to, by mnie wydała.

– Shira. – Przeszłam te kilka dzielących nas kroków i ukucnęłam obok niej nad krawędzią basenu. Mówiłam cicho. – Jeśli powiesz Kadirowi, że jestem częścią – ugryzłam się w język, zanim chlapnęłam słowo za dużo – wiesz czego – powiedziałam ostrożnie, zerkając na dziewczynę, która właśnie wynurzyła się z wody obok nas. – Przysięgam na Boga, Shira, że jeśli powiesz choć słowo... – Zastanawiałam się, czym mogłabym ją postraszyć, jak wtedy, gdy targowałyśmy się w Dustwalk. Nie powie matce, że całą noc spędziłam z Tamidem, a ja nie powiem jej ojcu, że w stajni pozwoliła Fazimowi wkładać ręce pod ubranie. Nie byłyśmy już w Dustwalk, więc jeśli by na mnie doniosła, stawka była większa niż klaps w tyłek – zginęłabym ja i kilkaset innych ludzi. Dokończyłam zatem: – To nic mnie nie powstrzyma i powiem mu, że to dziecko nie jest jego.

Shira znieruchomiała.

– O Boże. – Sama byłam zaskoczona, że te słowa są prawdą. – Dziecko nie jest Sultrima.

– Zamknij się! – syknęła Shira. Z wody wyłoniła się jedna z dziewcząt, krzycząc triumfalnie i mocno ściskając w rękę rubin. Podeszła do brzegu basenu i z dumą pokazała Kadirowi czerwony kamień, on pochylił się i skradł jej buziaka. Położyła rubin na małym kopczyku kolorowych klejnotów tuż przy krawędzi basenu, z dala od kopczyków innych dziewczyn. Kiedy skończą, Sultrim każe oprawić ich kamienie i wręczy im je w formie naszyjników. Miałam wrażenie, że patrzę na bawiące się dzieci. Tylko że zabawy w haremie mogły skończyć się śmiercią. Sultrim wyjął kolejny mały, żółty diament ze swojego pomniejszającego się

stosiku.

– Co ty sobie myślisz? – Niewierność w haremie równała się śmierci, nawet ja o tym wiedziałam. To samo przydarzyło się matce Ahmeda, kiedy urodziła Delilę. Spotkało też inne kobiety, opowiadały o tym niezliczone historie i było ich zbyt wiele, żebym mogła o tym nie wiedzieć. Zdarzało się, że mężczyźni przenikali bez pozwolenia do haremu. Służący, książęta, którzy nie byli dziedzicami... W każdej z tych historii wszyscy na końcu umierali. Dużo można było powiedzieć o Shirze, ale na pewno nie to, że była głupia.

– Chciałam przeżyć. – Shira stuknęła paznokciami po podłodze. Zobaczyłam, że nie były spiłowane. W Dustwalk zawsze lubiła mieć długie paznokcie. – Zostawiłaś mnie i Tamida na pewną śmierć w Dustwalk, żeby tylko ratować swój tyłek.

Wypowiedziała imię Tamida w inny sposób niż kiedyś w Dustwalk. Nie nasączyła go pogardą. Podejrzewam, że to, co razem przeszli, zmieniło ich w sprzymierzeńców.

– Czy to Tamid... – zaczęłam, bojąc się odpowiedzi.

– Nie bądź śmieszna – warknęła. – Nie ryzykowałabym, że dziecko Sułtana będzie kaleką.

– Naprawdę zastanawiasz się, dlaczego moim zdaniem jesteś okropna? – Zacisnęłam pięści, walcząc ze znajomym uczuciem każącym mi stanąć w obronie Tamida. On by nie walczył, gdyby chodziło o mnie. Zastanawiałam się, dlaczego tak mnie teraz nienawidził. Zaraziła go swoją nienawiścią do mnie podczas podróży? A może sama przyczyniłam się do tego, że zaczął mnie nienawidzić?

– Czy to, co przeżyłam, jest w jakimś stopniu gorsze od tego, przez co ty przeszłaś? – Powoli kreśliła kręgi stopą zanurzoną w wodzie, tworząc małe fale. – Naguib porzucił mnie tutaj, gdy przestałam mu być potrzebna. Umarłabym, gdybym nie udowodniła, że jestem bardziej interesująca niż inne dziewczyny w haremie. – Grupa dziewczyn znowu

zaczęła chichotać na znak, że do wody wpadł kolejny klejnot. – Nawet bycie ulubienicą Sultrima nie zapewnia ci bezpieczeństwa na długo. Wobec tego zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam, żeby przeżyć. – Pogładziła brzuch, nie przestając mówić. – Możesz sobie mówić, komu zechcesz. I tak nikt ci nie uwierzy.

Dobry Boże, tak bardzo to uprościła. Wiele czasu minęło od naszych kłótni w Dustwalk. Potem spotkałam wielu ludzi znacznie gorszych od niej. Ale sprawiała, że czułam się, jakbyśmy znowu znalazły się pod dachem jej matki, a ja niczego bardziej nie pragnęłam, niż choć raz być górą.

– Mylisz się, Shira, uwierzą mi. – Jeśli ona nie miała skrupułów, to i ja ich nie miałam. Jedno wiedziałam na pewno: gdyby ktokolwiek dowiedział się, że Shira nosi dziecko kogoś innego i udaje, że jest to dziecko Sultrima, skrócono by ją o głowę. Jej życie było w moich rękach, podobnie jak moje w jej. – I domyślałam się, że o tym wiesz.

Spojrzała na mnie z pogardą. Pasowała jej rola Sultrimy, musiałam to przyznać. W jej spojrzeniu była moc, która sprawiała, że większość ludzi pierwsza spuszczała wzrok. Ale ja dorastałam z bronią w ręku, mogłam wytrzymać jej wzrok.

– Dobrze, umowa stoi. – Tak, na pewno. Shira mrugnęła pierwsza. – Nie doniosę na ciebie, jeśli ty utrzymasz swoją wiedzę w tajemnicy.

– Zrobisz dla mnie coś jeszcze, kuzynko.

– Czego jeszcze chcesz? – zadrwiła, wciąż masując okrężnymi ruchami swój brzuch. Miała tutaj dużo władzy. Ale nie miała jej nade mną. W końcu wydeła usta, jakby słowa, które miała wymówić, piekły ją w język. – Oczywiście czegoś chcesz. Jasne. – Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, jakby powiedziała najśmieszniejszą rzecz na świecie. Przez chwilę wydawało mi się, że postradała zmysły. Jej głos odbijał się echem od wykładanych kafelkami ścian, niósł się ponad wodą, przez co zwrócił na nas uwagę Kadira.

Zauważył mnie. Cholera. Shira posłała mi krzywy uśmiech.
– Lepiej mów szybko, kuzynko. Domyślam się, że jesteś tą nową zabawką, o której Kadir nie przestaje mówić. Tą, której nie może mieć. Więc wyduś z siebie, co chcesz, zanim przyjdzie tu, żeby się z tobą pobawić.

Marzyłam o tym, żeby wepchnąć ją do wody.

– Mówi się, że jest sposób na przemykanie kontrabandy do i z haremu.

– Kto tak mówi?

– Ludzie – wymigałam się od odpowiedzi. – Tak czy nie? – Jednym okiem zerkałam na Kadira, który wstał i leniwie kroczył po opalizujących kafelkach w naszą stronę. Jakby ścigał mnie głodny Skórozmienny. Chciałam uciec, zanim mnie dopadnie.

– Może – powiedziała. Tylko marnowała czas. – Co tak bardzo chciałabyś tu przemyścić, że aż zaryzykujesz moje życie? Butelkę gorzały? Nowe ubrania? Czy to jest warte mojej głowy? – Całkiem dobra próba wzbudzenia we mnie wyrzutów sumienia za to, że ją szantażuję.

W przypadku kogoś innego może i byłoby mi przykro.

– Niczego nie chcę przemyścić do środka. – Nie spuszczałam wzroku z Kadira, który był coraz bliżej. – Muszę podać wiadomość na zewnątrz. Możesz to zrobić?

– Chyba tak. – Shira specjalnie powoli przesunęła językiem po zębach. Próbowała utrzymać mnie przy sobie. – Ale potrzebuję czasu.

– Nie mam zbyt wiele czasu. Pomożesz mi czy mam powiedzieć twojemu mężowi, że wskoczyłaś innemu facetowi do łóżka? I wtedy każe cię powiesić?

– Pomogę. – Ze złością zacisnęła szczękę i położyła rękę na brzuchu. – Jeśli...

– Dołączysz do zabawy? – zawołał Kadir, przerywając to, co chciała powiedzieć Shira. Był dość blisko, byśmy mogły go usłyszeć. Pożerał wzrokiem moje ciało. – Jesteś zbyt grubo

ubrana.

Podniosłam się. Shazad nauczyła mnie, że nie staje się naprzeciw wroga z niższej pozycji.

– Jestem właściwie ubrana do wyjścia, Wasza Wysokość.

Kadir wydał jakiś gardłowy dźwięk, jakby mruknął coś na zgodę. Ale brzmiało to jak śmiech.

– Oczywiście możesz wyjść, jeśli chcesz. – Pomiedzy kciukiem a palcem wskazującym trzymał doskonale białą perłę. Obszedł mnie wkoło i stanął pomiędzy mną a wyjściem. Następnie niedbałym gestem odrzucił perłę do wody. Dziewczyny, które przyglądały się naszej wymianie zdań, nie rzuciły się po nią. – Jak tylko przyniesiesz mi perłę.

– Nie umiem pływać – powiedziałam. W każdym innym miejscu mogłabym się bronić. Mogłabym z nim walczyć. Ale tutaj byłam bezradna. Próbowałam się zachowywać, jakby było inaczej.

– Wobec tego nie możesz wyjść. – Uśmiechnął się ironicznie. – Ta perła wiele dla mnie znaczy.

Nie mogłam z nim walczyć. Sama myśl o tym, że mogłabym unieść pięść i uderzyć nią tę zbyt-zadowoloną-z-siebie twarz sprawiła, że poczułam ukłucie w żołądku związane z rozkazem Sułtana. Nie wiedziałam, co zamierzał zrobić, gdybym wyszła. Co mógł zrobić. I czy Sułtan kazał mu trzymać ręce przy sobie. Czy Sułtanowi zależało na tym, żeby jego cenny Póldzin nie został zraniony. Nawet nie wiedziałam, dlaczego ciągle żyłam. Miał już swojego Dżina.

Ciszę przerwał plusk, gdy jedna z dziewczyn wskoczyła do wody i po chwili wynurzyła się z niej z perłą w ręce.

– Znudziło mnie czekanie – powiedziała, wydymając ładne usta, jej jasne włosy przykleiły się do czoła, gdy oglądała perłę. Ale uśmiechała się raczej nerwowo. Zrozumiałam, co zrobiła. Dla mnie. Czym zaryzykowała.

Napięcie zelzało, gdy Kadir pochylił się nad nią. Shira

wstała, złapała mnie za łokieć i wypchnęła z łaźni.

– Dziś wieczorem. – Popchnęła mnie w stronę ogrodu. – Po zmroku przy Ścianie Płaczu.



ROZDZIAŁ 18

Ściana Płaczu znajdowała się przy najbardziej wysuniętym na wschód murze haremu, w małym, zacisznym kącie ogrodu zdominowanego przez największe drzewo, jakie widziałam w życiu. Potrzeba by trzech par ramion, żeby objąć jego pień, a gałęzie rozchodziły się tak szeroko, że aż dotykały szczytu muru po obu stronach.

Według kobiet zamieszkujących harem, w tym miejscu Sultrima Sabriya tysiąc lat temu czekała na Sultrima Aziza. Poszedł na wojnę na odległą wschodnią granicę i zostawił swoją ukochaną w haremie. Ściana Płaczu była najbardziej wysuniętym na wschód miejscem, do którego mogła podejść, gdy on toczył bitwy. Stała tu prawie każdego dnia, czekając na niego, a jej łzy podlewały drzewo, które codziennie było coraz wyższe. Aż pewnego dnia było tak wysokie, że mogła się na nie wspiąć i wyrzucić poza mury haremu, w stronę, gdzie znajdowała się armia jej męża.

Pewnego dnia inne kobiety znalazły ją na ziemi, gdy płakała i krzyczała, wbijając paznokcie w ścianę. Nie dało się jej pocieszyć, płakała aż straciła głos; a drzewo rosło coraz potężniejsze.

Trzy dni później nadeszły wieści, że Aziz został zabity w bitwie. Sabriya zobaczyła jego śmierć ze szczytu drzewa, ponad murami, ponad pustynią, miastami i morzami.

Ściana wyglądała tak samo jak każda inna w haremie w świetle lampy naftowej. Pnącza zakwitły, kwiaty miały kolor zachodzącego słońca i wspinały się po kamiennym murze, próbując ukryć fakt, że znajdowałyśmy się w więzieniu. Odsunęłam powoje i położyłam dłoń na kamieniu. Palce zetknęły się z nierówną powierzchnią. Kiedy

podniosłam lampę, uświadomiłam sobie, że to musi być jakieś wyżłobienie – a nawet kilka. Jakby ktoś wydrapał je paznokciem.

– A jej płacz niósł się przez siedem dni i siedem nocy. – Podskoczyłam, słysząc za sobą głos Shiry. Była owinięta granatowym khalatem, przez co zlewała się z cieniem. – Aż Sułtan nie mógł dłużej znieść jej płaczu i powiesił ją w miejscu, gdzie tylko gwiazdy mogły usłyszeć jej zawodzenie.

Opuściłam rękę.

– Kto by przypuszczał, że taka miłość mogła istnieć w haremie.

Shira od razu wyczuła sarkazm w moim głosie.

– Każdy mniej skupiony na sobie niż ty. – Miałam właśnie odpowiedzieć, że raczej nie kocha Kadira bardziej niż kochała Naguiba. Ale wtedy dotarło do mnie, że mówiąc to, położyła dłonie na swoim ciężarnym brzuchu. Ludzie robili przerażające rzeczy dla tych, których kochali. Tego nauczyłam się z opowieści. A nawet miałam na biodrze bliznę po kuli z Iliasz, która to potwierdzała.

– I co teraz? – Uniosłam jedną brew w oczekiwaniu. Taka sztuczka, której nauczyłam się od Jina.

– Och, teraz czekamy, kuzynko. – Shira oparła się o pień drzewa, odchylając głowę do tyłu. Musiałam poddać się zasadom jej gry. Oparłam się o drzewo obok niej.

– Jak długo?

Shira odchyliła głowę jeszcze bardziej.

– Jakiś czas. Nie umiem powiedzieć. Trudno zobaczyć niebo z miasta.

Ja też oparłam głowę o pień, włosy wplątały się w szorstką korę. Nie kłamała. Przez przecinające się gałęzie widziałam ciemne niebo, ale światła z pałacu i z miasta sprawiały, że nie było widać gwiazd.

– A więc – Shira po chwili przerwała ciszę – naprawdę

trzymasz z Księciem Buntownikiem?

Coś trzymała w ręce – uświadomiłam sobie, że to sznur, który zwisał z drzewa. Bezmyślnie go pociągała. Na czubku drzewa, ponad murami haremu, powiewał na wietrze kawałek materiału.

– Tak, naprawdę. – Dawała komuś sygnał. Równie dobrze to mogła być pułapka. Nie mogłam nic z tym zrobić, mogłam tylko czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

– Kto by pomyślał? – Uśmiechnęła się Shira. – Dwie dziewczyny w Dustwalk z książętami. Jak to mówił Święty Ojciec? – Przestała kontrolować swój akcent. Zastanawiałam się, czy zwróciła na to uwagę. – „Mężczyźni, którzy oddają cześć, płaszcząc się u stóp możnych, mogą urosnąć w siłę...

– ...albo zostać zdeptani – dokończyłam przysłowie. – Dobrze, że nie jesteśmy mężczyznami. – Nie wiem dlaczego dałam się wciągnąć w jej grę. Ale naprawdę nie miałam z kim tu pogadać. Leyla była słodka, ale to nie zmieniało faktu, że była córką Sułtana. A Tamid nie zasługiwał nawet, by o nim myśleć. Nadal żył, ale mój przyjaciel umarł na piasku w Dustwalk. Spotkałam się wzrokiem z Shirą. Przez chwilę zdawało się, że pojawiła się między nami nic porozumienia. Obie znalazłyśmy się pomiędzy możnymi, ale każda z innej strony. Jeśli taki był wybór, urosnąć w siłę lub dać się zdeptać, to wiele wskazywało na to, że jedna z nas zostanie na górze, a druga umrze.

– Shira... – zaczęłam. Nie wiedziałam, jak dokończyć.

Nigdy nie musiałam. Ze Ściany Płaczu wyszedł jakiś mężczyzna.

Widziałam wielu Półdzinów wykonujących różne niemożliwe sztuczki, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że się tego spodziewałam.

Mężczyzna był z krwi i kości, i chociaż na pierwszy rzut oka wyglądał na przybysza z pustyni, to na pewno nie był mieszkańcem Miraji. Miał włosy koloru piasku, które

odgarnął do tyłu za pomocą szimy, wyglądającej, jakby zawiązał ją ktoś pozbawiony rąk, jego blada skóra odbijała się w świetle lampy.

Miał prawie tak samo niebieskie oczy jak ja. Przez sekundę sądziłam, że jest Półdzinem.

– Błogosławiona Sultrimo – powiedział, mówił cicho i z wyraźnym akcentem. Nie był więc Półdzinem, lecz obcokrajowcem.

Wyprostował się, więc mogłam go lepiej widzieć. Ciemne, wyglansowane buty, jakich nigdy wcześniej nie widziałam na pustyni, były wysokie aż do kolan, luźne spodnie wetknął w cholewy i miał białą koszulę rozpiętą przy kołnierzu. Odniosłam dziwne wrażenie, że zamilkł dla lepszego efektu. Po chwili zrobił krok w przód.

Wtedy właśnie jego jedna ręka zaplątała się w powój porastający mur.

Zrzurowała przemyślaną scenę.

Szybko odzyskał równowagę i wyplątał rękę. Następnie zerwał jeden kwiat i podarował go Shirze z wyszukanyu ukłonu.

– Z każdym dnium jest pani piękniejsza.

Jego źle związana szima rozplątała się i spadła, więc mogłam lepiej mu się przyjrzeć. Nie był wiele starszy od nas, a mała konstelacja piegów na jego bladym nosie sprawiała, że wyglądał jeszcze młodziej. Pochodził z Północy, ale nie był Gallanem; jego słowa brzmiały dziwnie, a ja widziałam dość Gallanów, żeby wiedzieć, że chłopak nie był jednym z nich. Wyprostował się i zarzucił szimę na ramię, jakby to była peleryna. Shira wzięła kwiat i podniosła go do nosa.

Więc to w ten sposób Shira szmuglowała rzeczy do haremu. I, sądząc po spojrzeniu, jakim ją obdarzał, w ten sposób zdołała zająć w ciążę.

W końcu obcokrajowiec mnie zauważył.

– To jest... – zaczęła Shira, ale nie pozwolił jej skończyć.

– Pozwól, że sam się przedstawię. – Bez pytania chwycił moją prawą rękę. Zwalczyłam chęć wyrwania się z jego uścisku. Shazad nazwałaby to niedyplomatycznym zachowaniem. – Zwłaszcza tak pięknej, młodej kobiecie. – Uniósł moją dłoń do ust, w jakimś dziwnym, nieznanym mi zwyczaju, i ucałował ją. – Jestem – oświadczył, wyprężając pierś – Niebieskookim Bandytą.

Zatkało mnie; żeby odkrztusić, zaczęłam kaszeć w niekontrolowany sposób. Shira niezgrabnie poklepała mnie po plecach, gdy zgięłam się w pół, opierając wolną rękę na kolanie.

– Tak, wiem, wyprzedza mnie moja reputacja. – *Wyprzedza mnie moja reputacja*. Nadal nie mogłam mówić przez ten kaszel. – Niech to cię nie onieśmiela. Tak naprawdę nie pokonałem tysiąca żołnierzy w Fahali. – Pochylił się konspiracyjnie, nadal trzymając mnie za rękę i splatając palce z moimi. – To były zaledwie setki.

– Naprawdę? – Wreszcie złapałam oddech. Pamiętałam Fahali jak przez mgłę. Proch strzelniczy, krew, piasek i siebie pośrodku zamieszania. – Więc powiedz mi, jak udało ci się zalać dom modlitewny w Malal?

– Cóż. – Zauważyłam błysk w jego oczach. W przeciwieństwie do Gallanów, którzy mówili gardłowo, on miał wysoki głos. – Mógłbym ci powiedzieć, ale wolałbym nie podsuwać ci niebezpiecznych pomysłów.

Chyba powinnam z tym skończyć, ale od tak dawna nie miałam okazji się pośmiać podczas tej cholernej rebelii. Na pewno nie miałam powodu do śmiechu, odkąd uciekliśmy z Doliny Devy.

– A jak przebiegła walka w Iliaz? Czy to prawda, co mówią? Że Niebieskooki Bandyta był ze wszystkich stron otoczony wrogami, trzymając broń w ręku?

Nawet nie mrugnął okiem, wypiął pierś i przyciągnął mnie do siebie.

– Och, cóż, to co inni nazywają przewagą wroga, ja nazywam wyzwaniem.

– Słyszałam, że Niebieskooki Bandyta został postrzelony w biodro. – Pozwoliłam mu zbliżyć się do mnie na taką odległość, że staliśmy pierś w pierś. – Mogę zobaczyć bliznę?

– Moja pani jest bardzo bezpośrednia. – Uśmiechnął się szeroko. – Tam, skąd pochodzę, trzeba znać dziewczynę dłużej niż kilka minut, żeby próbowała namówić cię do wyskoczenia z ubrania. – Pokiwał głową, mrugając do mnie.

– To może ja się rozbiore. – Bez zastanowienia zrobiłam krok w tył i uniosłam koszulę do góry. Nawet w ciemności trudno było przeoczyć dużą, brzydką bliznę. – Słyszałam bowiem, że ta blizna wyglądała jakoś tak. – Byłam pewna, że żadna rzecz, którą wniósł do haremu dla Shiry nie była tak cenna jak mina, którą teraz zrobił. Dla niej było warto zdradzić mu swoją tożsamość. Co prawda nie było to najmądrzejsze, ale na pewno dało mi wiele satysfakcji. Puścił moją rękę, gdy opuściłam koszulę. – Widzisz, byłam w Fahali, ale ciebie nie pamiętam.

Zmieszał się i podrapał po głowie.

– Pamiętam, że walczyłam z gallańskimi żołnierzami w piasku i pamiętam ludzi płonących żywcem po obu stronach, ale ciebie nie pamiętam. – Przestał zachowywać się w egzaltowany sposób, patrzył na mnie z autentycznym zainteresowaniem. – Ale domyślałam się, że to z twojego powodu wszyscy uważają, że mogę być w dwóch miejscach w tym samym czasie. I dlatego też chodzą plotki, że Niebieskooki Bandyta uwiódł wiele kobiet. – Wszystko zaczęło mieć teraz sens. Był przystojny jak nie wiem co, nawet jeśli wyglądał nieco śmiesznie. I wiedział o tym.

– Cóż mogę powiedzieć, wchodzę do ich domów, żeby zabrać im klejnoty, a one dają mi swoje serca. – Puścił oko do Shiry, która uśmiechnęła się tajemniczo, kryjąc twarz w kwiatku od niego. Nie, Shira była zbyt sprytna, by

oddawać coś mężczyźnie, którego nie mogła mieć. Brała od niego. Wykorzystała go, żeby zajść w ciążę i nadal go wykorzystywała.

– Więc to jest twój sposób na kontakt ze światem zewnętrznym? – spytałam kuzynkę.

Shira obracała w palcach kwiat, który jej podarował, i wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Sam wkładał się do środka i... uwodził jedną z bardziej naiwnych córek Sułtana, Miassę. Zauważyłam, że często znika i wraca z włosami i ubraniem w nieładzie. Dość szybko ją przyłapałam. Straszna głupota z jej strony, że uganiania się za innymi mężczyznami, kiedy jest zaręczona z Emirem Bashib. Obiecałam, że nic o nich nie wspomnę jej ojcu, jeśli Sam mi pomoże.

– Wszystko dobrze się skończyło. – Sam wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że był zainteresowany czymś innym niż jej intelekt. – Emir Bashib często zostawia swoją żonę, Niebieskooki Bandyta może ją nadal od czasu do czasu odwiedzać.

Znowu użył mojego przezwiska. Wkurzyłam się.

– Uwierz mi, gdy ci mówię, że znam Niebieskookiego Bandytę, a ty mną nie jesteś. Więc kim jesteś naprawdę?

– Cóż. – Oparł się ramieniem o mur. – Nie możesz winić człowieka, że próbuje wykorzystać taką dobrą historię. Nikt mi nie powiedział, że Niebieskooki Bandyta jest raczej... – Zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół, dłużej zatrzymując się na miejscach, którymi przed chwilą świeciłam. Pół roku porządnych posiłków w obozie rebelii sprawiło, że już nie mogłam uchodzić za chłopaka. Uniosłam brew, jakby rzucając mu wyzwanie. Zakaszłał. – Raczej jest. A ja *jestem* bandytą. Chociaż chyba bardziej złodziejem. Kiedy zaczęły krążyć te historie, jedynym rozsądnym wyjściem było wykorzystanie wyglądu, jaki dostałem od Boga. – Mrugnął do mnie swoim szyderczym, niebieskim okiem. – Nie

uwierzyłyabyś, jak łatwe jest zrobienie dobrego interesu, gdy jest się żyjącą legendą. Mówią, że jesteś bardzo dobra. Ale wygląda na to, że nie dość dobra, skoro dałaś się tu zamknąć.

Zwalczyłam w sobie chęć przywalenia mu.

– Jak się tu dostałeś? – zapytałam tylko.

– Jestem Albiszem – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. Kiedy zauważył moje nierozumiejące spojrzenie, mówił dalej: – W moim kraju jest mnóstwo magii. Moja mama jest w jednej czwartej Faye, a mój ojciec w połowie. – To było słowo określające ich Dżiny. Lecz one były stworzeniami z wody i miękkiej ziemi. – Mogę przenikać przez kamień. Widzisz? – Zaczął znikać w murze, nadal do mnie mówiąc, jeden łokieć miał już głęboko w kamieniu.

To robiło wrażenie. Musiałam przyznać, że nie mogłam się z nim równać.

– Co robi albiski złodziej w Izmanie?

– Moje talenty marnowały się w Albiszu. – Wyprostował się, a kamień wrócił na miejsce. – Pomyślałem, że sprowadzę je na pustynię, gdzie ludzie nie spodziewają się, że człowiek z moimi zdolnościami czyha na ich bogactwa. Wygląda na to, że nie dotarł tu jeszcze zwyczaj zamykania kosztowności w metalowej skrzynce. – Nie kłamał. Rozpoznałabym kłamstwo. Ale ukrywał coś, czego nie umiałam sprecyzować. Były miejsca, gdzie łatwiej byłoby mu działać niż w Izmanie, jeśli chodziło mu tylko o pieniądze. Na przykład kraje, które nie były w stanie wojny. Ale był kimś, kogo się spodziewałam, kimś, kto może wchodzić i wychodzić z pałacu, kiedy zechce. A ja wychowałam się w Dustwalk, gdzie nie zaglądało się darowanemu koniowi w zęby.

Chwyciłam kuzynkę pod ramię i odciągnęłam ją od muru, poza zasięg Sama, podającego się za Niebieskookiego Bandytę. Wywracając oczami, strząsnęła moją rękę, przeszła mnie wzrokiem, ale nie było czasu, żeby się teraz

na nią wkurzać.

– Mogę mu zaufać? Powiedz prawdę, czy mogę mu zaufać z czymś bardzo ważnym? Od czego zależy życie wielu ludzi?

– Wysyłałam przez niego listy do Dustwalk – powiedziała po chwili. – Do mojej rodziny. – Czy tylko mi się wydawało, że podkreśliła słowo „mojej”? Nawet teraz nie mogła się powstrzymać i musiała mi przypomnieć, że chociaż płynęła w nas ta sama krew i mieszkaliśmy pod jednym dachem, nigdy tak naprawdę nie byłam częścią jej rodziny. – Listy i pieniądze. – Prawie w ogóle nie myślałam o Dustwalk w ostatnich miesiącach, tylko wtedy, gdy dziękowałam Bogu, że udało mi się stamtąd wyrwać. Ale teraz coś przyszło mi do głowy. Dustwalk pozbawione fabryki, z niczym, zniszczone. Byłoby istnym cudem, gdyby ludzie stamtąd nie wyjechali lub nie marli z głodu.

Shira zaufała temu mężczyźnie w sprawie swojej rodziny. I ja mogłam zaufać mu w sprawie mojej. Odwróciłam się do Sama, który nieumiejętnie próbował zawiązać szmę.

– Mogłabym przekazać przez ciebie pewną wiadomość?

– Oczywiście. – Mruknął i nadal mordował się z chustką. Aż przykro było patrzeć. Dzieciak zrobiłby to lepiej. – Ile?

– Jakie ile?

– Ile mi zapłacisz za dostarczenie wiadomości? – powiedział to, akcentując każde słowo, jakbym mogła go nie zrozumieć przez jego wymowę.

Popatrzyłam na Shirę, która znacząco pokazała mi puste ręce.

– Sultrim uważa, że jestem zbyt skromna, żeby nosić biżuterię, którą mi daje. – Gdy to powiedziała, rzeczywiście uświadomiłam sobie, że jest niezwykle skromnie ubrana jak na dziewczynę z haremu. Ayet nieraz nosiła złoto od nadgarstków po łokcie. Przy każdym gościu brzdękała metalem. – Prawda jest taka, że odkładam ją na później. Wszystko, co dzieje się za ścianami haremu jest transakcją.

Im szybciej się tego nauczysz, tym większe szanse masz na przeżycie.

– Nie mam klejnotów – powiedziałam Samowi. – Już zabrałeś moją reputację. Czy to nie starczy?

– Cóż, nie wykorzystywałeś jej we właściwy sposób. Myślę, że wyrządziłem ci przysługę. Poza tym, historie należą do ludzi – powiedział. – I biorąc pod uwagę, że jesteś w pułapce, będziesz potrzebowała czegoś więcej.

Zastanawiałam się, przesuwając językiem po zębach. Chyba mogłabym coś zdobyć, żeby mu zapłacić, ale to zajęłoby mi kilka dni. Niektóre dziewczyny w haremie nie były zbyt przezorne. Bez trudu mogłabym zabrać im bransoletki w trakcie ich snu. Ale nie byłam pewna czy mam na to czas. Musiał być jakiś inny sposób.

– Wiadomość, którą chciałabym, żebyś przekazał, jest dla Shazad Al-Hamad, córki generała Hamada, który...

– Wiem, kim jest generał Hamad – powiedział Sam i przez chwilę przestał odgrywać pewnego siebie, uśmiechniętego faceta.

– Wobec tego powinieneś wiedzieć, że ma pieniądze. Dużo pieniędzy. I jego córka też. – Zamilkłam, ale po chwili dodałam: – Jego zapierająca dech w piersiach wspaniała córka. – Shazad urwałaby mi głowę, gdyby usłyszała, jak ją opisuję temu złodziejowi. Nie byłam nawet pewna, czy jest w Izmanie, ale to było najlepsze, co mogłam zrobić.

– Już ją lubię – powiedział Sam. Ale w jego głosie była nuta sarkazmu. Podrapał się u nasady jednego z palców lewej ręki. To był niekontrolowany gest. Pomyślałam, że nawet nie wie, co robi. – Dlaczego miałyby mi uwierzyć? Ta bogata, rozpyszczona córka generała. – Shazad na pewno ukręciłaby mu głowę za nazwanie jej rozpyszczoną. Pozostawała tylko nadzieja, że ma dość rozsądku, żeby nie powiedzieć jej tego prosto w twarz.

– Po prostu powiedz jej, że Niebieskooka Bandytka jest

w pałacu. – Nie ośmieliłam się podawać mu żadnych innych wiadomości. Nie o tym, że Sułtan ma Dżina. Przynajmniej jeszcze nie teraz. I tak wiele zaryzykowałam, zdradzając mu swoją tożsamość. – Ta prawdziwa. I że potrzebuje kogoś, żeby osłaniał jej tyły.



ROZDZIAŁ 19

BEZIMIENNY CHŁOPAK

W królestwie leżącym za morzem, w nędznej chałupie mieszkał rolnik z żoną i sześciorgiem dzieci. Byli tak biedni, że oprócz miłości niczego nie mogli dać swojej dziatwie. Szybko przekonali się, że miłość nie wystarczy, żeby zapewnić im strawę i ciepły kąt. Troje dzieci umarło pierwszej zimy – były zbyt słabe, by przetrwać ziąb. Więc kiedy w najciemniejszy, najzimniejszy dzień ponurej zimy urodziło im się siódme dziecko, syn, nie nadali mu imienia, bo byli gotowi na to, że umrze.

Ale ich bezimienny syn przetrwał najciemniejszy dzień. I następny. Przeżył pierwszą zimę i wiosnę. I przeżył drugą zimę. A drugiej wiosny wreszcie dorobił się imienia.

Dawniej bezimienny chłopak był szybki, sprytny i miał talent do pojawiania się w miejscach, w których nie powinno go być, o ile ich ściany były zrobione z kamienia. Zobaczył więc, że jego rodzina była biedna, podczas gdy inne bogate, i uważał, że to niesprawiedliwe. Więc kiedy jego matka zachorowała, w siódmą zimę życia chłopca, żeby ją nakarmić, zabierał jedzenie z kuchni wyposażonych w więcej półek niż jego, zabierał srebro z innych domów, żeby kupić jej lekarstwa. W taki sposób dostał się do zamku na wzgórzu, który należał do władcy tego kraju, i wkroczył w życie jego najmłodszej córki.

Córka władcy była samotna w wielkim zamku, jak i również bogata, więc nauczyła się, że może dostać wszystko, jeśli o to poprosi. Zatem kiedy poprosiła o przyjaźń chłopca, z chęcią ją jej ofiarował. Nauczył ją zabaw, a ona nauczyła go czytać. W ciepły, letni dzień

dowiedziała się, że miała talent do skakania po kamieniach na drugą stronę sadzawki, a on dowiedział się, że ma talent do języków, którymi posługiwano się w odległych krainach.

Gdy dorośli, on stał się zdrowy, silny i przystojny. Tak przystojny, że zauważyła to nawet córka władcy. Ona wciąż była bogata i nie było niczego na świecie, czego nie mogłaby dostać, jeśli o to prosiła. Więc kiedy poprosiła chłopca o jego serce, on je z radością oddał.

Ta dwójka spotykała się w tajemnicy w wielu ukrytych miejscach, które poznali jako dzieci.

Bracia dawniej bezimiennego chłopaka ostrzegali go przed córką władcy. Wszyscy poślubili biedne dziewczyny, które mieszkały w cieniu wielkiego zamku i chociaż byli ubodzy, wiedli dość szczęśliwe życie. Ale dawniej bezimienny chłopak naczytał się tylu historii o synach rolników, którzy poślubili księżniczki, o rozbójnikach, którzy skradli serca bogatych pań, że nie przejmował się gadaniem swoich braci. Wierzył w to, że skradł serce dziewczyny, a swoje dał jej w prezencie.

W związku z tym chłopak był bardzo zaskoczony, kiedy ogłoszono w całym kraju, że córka władcy wyjdzie za drugiego syna władcy z sąsiedniego kraju.

Dawniej bezimienny chłopak przekazał wiadomość córce władcy i poprosił ją o spotkanie w ich sekretnym miejscu nad wodą. Czekał tam całą noc, ale ona nie przyszła. Czekał następną noc, a ona nadal nie przychodziła; podobnie jak kolejnej nocy. W końcu, w noc poprzedzającą ślub córki władcy, dawniej bezimienny chłopak przeszedł przez ściany zamku i odnalazł swoją wybrankę. W świetle księżyca widział jej jasne włosy rozrzucone na białej, jedwabnej poduszce, była piękna. Uklęknął przy łóżku i obudził ją, prosząc, żeby uciekła z nim i za niego wyszła. Klęczał, ale nie błagał jej, ponieważ nigdy nie sądził, że będzie musiał. Nigdy nie sądził, że mu odmówi. Ale córka władcy nie chciała oddać mu ręki. Wyśmiała go tylko i wezwała strażę, oddając mu

jego serce, gdy wyprowadzano go z zamku.

W ten sposób nauczył się, że dziewczyny z tytułami nie poślubiają dawniej bezimiennych chłopców.

Chłopak postanowił, że dłużej nie będzie bezimienny. Złożył życie w ręce królowej, założył mundur i przysiągł zyskać sławę, walcząc za swojego władcę i swój kraj. Zawędrował do królestwa leżącego za morzem, krainy bez zim.

Tam, zamiast chwały, znalazł krew, broń i piasek. Wiedział, że nikt tak szybko nie traci imienia jak zmarli, więc ponownie uciekł. Ukrył się w wielkim mieście Izmanie, kalejdoskopie widoków i dźwięków, jakich wcześniej nie znał. Kiedy po raz pierwszy zgłodniał, przypomniał sobie o tym, w czym był kiedyś tak dobry: o wchodzeniu do miejsc, w których nie powinno go być. Pierwszej nocy w mieście ukradł bochenek chleba, który zjadł, siedząc na dachu domu modlitewnego, patrząc na inne dachy. Drugiej nocy ukradł garść zagranicznych monet, którymi zapłacił za łóżko. Trzeciej nocy ukradł cenny naszyjnik, za który jego rodzice mogliby się utrzymywać przez rok. Gdy nauczył się prześlizgiwać przez ulice, usłyszał, że ktoś szepcze jakieś imię. Takie, które chyba do nikogo nie należało. Imię-legendę. Wobec tego przywłaszczył je sobie. Używał tego imienia, żeby brać inne rzeczy. Klejnoty bogatych i żony beztroskich. Skradł nawet serce księżniczki, jak złodziej z opowieści, którą znał.

Ale tym razem nie był na tyle nierozsądny, żeby oddać je z powrotem. Nauczył się, że nie wolno oddawać tego, o co ktoś prosi.

Miał już imię. Pasowało do niego tak dobrze, że prawie zaczął wierzyć, że było naprawdę jego. Dopóki nie spotkał dziewczyny, do której należało. Dziewczyny z haremu z oczami, które mogły skąpać świat w ogniu. Prosiła go o pomoc.

Miał zanieść wiadomość do córki generała. Z łatwością odnalazł jej dom. Był to duży budynek z czerwonymi drzwiami stojący w bogatszej części miasta. Czekał na dziewczynę na rogu i obserwował drzwi, wchodzących i wychodzących służących, ludzi noszących na rękach biżuterię wartą fortunę.

W końcu zobaczył córkę generała.

Poznał ją, zanim dotknęła ręką drzwi. Była tak piękna, że aż trudno było na nią patrzeć, bo jej uroda promieniowała niczym słońce. Wyglądała tak, jakby ktoś doskonalił ją przez całe życie po to tylko, by na nią patrzeć i podziwiać. Poruszała się pewnym krokiem kogoś, kto wiedział, że jego miejsce jest ponad innymi.

Rozpoznał ją, gdy tylko ją zobaczył, chociaż nigdy wcześniej się nie spotkali.

Jej włosy, skóra i oczy miały ciemną barwę, gdy córka władcy była jasna niczym mleko. Jej ubrania miały kolory skradzione Dżinom, zaś córka władcy ubierała się w kolory deszczowego nieba, rzek i świeżej trawy. Ale poza tym były identyczne. Była taką dziewczyną, która uważała, że zasłużyła na wszystko, czego pragnęła – wystarczyło tylko poprosić.

Wiedział też, że jeśli zapuka do czerwonych drzwi, zostanie odpędzony, gdyż bezimienni bandyci nie mieli dostępu do córek generała.

Wobec tego czekał, aż nad miastem zapadnie noc. Okna na ulicy rozświetlały się jedno po drugim, a potem zrobiło się ciemno i miasto pogrążyło się w ciszy. Światło paliło się tylko w oknie należącym do córki generała. Patrzył na nie do późnych godzin nocnych, aż wreszcie zgasło. Dawniej bezimienny chłopak zrobił to, co robił najlepiej, czyli wszedł tam, gdzie nie powinien wchodzić, prosto przez ścianę, i wspiął się po schodach na górę, do pokoju, w którym spała.

Leżała na kolorowych poduszkach, włosy opadały jej na twarz. Uklęknął koło łóżka, żeby obudzić ją ze snu. Ale zanim zdołał wypowiedzieć choćby słowo, poczuł nóż na gardle.

Stało się to tak szybko, że nawet nie zauważył, jak się poruszyła.

– Kim jesteś? – zapytała. Nie wyglądała na wystraszoną. Zrozumiał wtedy jak bardzo się mylił w stosunku do niej. Wcale nie była podobna do córki władcy. Nie została stworzona do tego, żeby być oglądaną i podziwianą. Stworzyła siebie taką, żeby wszystkich wywieść w pole. A pewność jej ruchów wskazywała na to, że jej nie docenił. Dostawała to, czego chciała, ponieważ prosiła o to znajdując się po właściwej stronie ostrza. – Mów szybko i nie kłam, bo nigdy więcej już nie skłamiesz. – Mocniej przycisnęła nóż do jego gardła.

I nagle dawniej bezimienny chłopak zrozumiał, że nie chce już skradzionego, wyświechtanego imienia. Chciał imienia dość dobrego, żeby móc je dać tej dziewczynie. Ale zanim na nie zasłuży, będzie musiał posługiwać się innym.

– Przyszedłem w imieniu Niebieskookiej Bandytki.



ROZDZIAŁ 20

Wiedziałam, że coś się zmieniło, gdy zostałam obudzona przez trzy służące zamiast przez słońce. Zostałam posadzona na łóżku, zanim zdołałam się w pełni rozbudzić pod głowę wsadziły mi kurti.

– Co się dzieje? – Wyciągnęłam rękę po koszulę, ale na jej miejscu wisiało coś innego.

– Sultrim rozkazał, że masz mu dziś usługiwać na dworze.
– Służąca, która odpowiedziała, była tą samą, która wprowadziła mnie do haremu. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, jak ma na imię.

A ja sądziłam, że jestem dla niego niedostępna. Ale chyba dotyczyło to kwestii bycia traktowaną jak żona, a nie jak rzecz, którą można wypolerować i postawić na wystawie. Wyrwałam rękę, gdy jedna z kobiet zaczęła pocierać czymś szorstkim o moje paznokcie. Ponownie chwyciła mnie za rękę i powróciła do przerwanej pracy, nie zważając, że krzywię się, słysząc szuranie.

– To wielki honor. – Służąca zebrała moje włosy u nasady karku i zapięła jakąś klamrę na mojej szyi. Nie naszyjnik, więc ubranie miało zastępować khalat. Było błękitne, wyszywane czarną nicią, która pasowała do koloru moich włosów. Tylko że byłam w nim na wpół naga. Widać było całe ręce, ramiona i połowę pleców. Prawie się roześmiałam. To nigdy by nie przeszło jako ubranie na pustyni, nie w miejscu, gdzie słońce dobierało się do każdego nieokrytego kawałka skóry. Na tym polegał luksus miasta. Oraz dekadencja haremu. Pomogła mi wstać, a szata opadła na moje luźne szarawary. Przynajmniej mogłam w nich zostać.

Mogłabym im to bardzo utrudnić, gdybym chciała. Mogłam

stawiać opór i kazać Sułtanowi dyktować mi każdy ruch. Ale ostatnie czego chciałam, to więcej rozkazów.

Miałam wrażenie, że choć mogłam się stawiać służącym, Sultrim miał możliwość, by i mnie utrudnić życie.

Poza tym dostałam szansę na wydostanie się z haremu, nawet jeśli nadal nie wyjdę z pałacu. Minęło siedem dni, odkąd posłałam Sama do Shazad. Siedem dni tej samej leniwej obojętności, która wypełniała każdy dzień w haremie. Zupełnie inaczej niż w obozie buntowników.

Nikt nie czuł podobnego napięcia jak ja. Niepokój przed zbliżającą się bitwą, strach przed nieznanym – były tylko moje. Raz czy dwa poszłam nawet pod Ścianę Płaczu i szarpałam białą szmatką zaczepioną na wielkim drzewie w nadziei, że wróci tu, widząc sygnał. Na próżno.

Wszystko zależało od głupiego chłopaka, który nawet nie umiał zawiązać swojej szimy, a mnie pozostało tylko czekanie na jakieś wieści. Jak Sabriya pod Ścianą Płaczu. Bezradna i ślepa na to, kto umrze podczas bitwy. Odchodziłam od zmysłów.

Byłabym kompletną idiotką, gdybym nie wykorzystała szansy na rozejrzenie się po pałacu.

≈≈≈

Te części pałacu, przez które mnie teraz prowadzono, nie były aż tak puste, jak te, które przemierzałam, idąc za Sułtanem. Obok nas przechodzili służący z pochylonymi głowami, niosąc patery kolorowych owoców lub czyste, pachnące prześcieradła. Mała grupa xichańskich mężczyzn w podróżnych ubraniach siedziała w mijanym przez nas ogrodzie. Instynktownie odwróciłam się w ich stronę, bo na ich widok pomyślałam o Jinie. Jakiś mężczyzna ubrany tak strojnie, że mógł być emirem, prowadzący trzy identycznie

ubrane kobiety, pojawił się na końcu korytarza i zaraz zniknął mi z oczu, gdy wszedł na prowadzące w górę schody. Dwóch egzotycznie wyglądających mężczyzn w dziwnych mundurach odsunęło się na bok, żeby nas przepuścić. Na ich widok aż drgnęłam. Wyglądali jak Gallanie. Ale nie, mieli inne mundury. Może Albiszowie?

Jin przywiózł wieści, że Sułtan jest gotów podpisać rozejm. Zakończyć walki z najeźdźcami, jeśli ich władcy przybędą do Izmanu, żeby omówić nowe warunki sojuszu.

Wyglądało na to, że żołnierze zjeżdżali do miasta, a walki na granicach ustały. Pałac był pełen ambasadorów wydeptujących ścieżki dla swoich władców, którzy zjawią się na święto Auranzeb. Jak na razie trwał pokój. Ale Sułtan mógł się sprzymierzyć tylko z jednym krajem. Reszta stanie się naszymi wrogami. Gdy tylko powstanie nowy sojusz, znowu wybuchnie wojna.

Skręciłyśmy za róg. Od razu poznałam delegację Gallanów. Dwaj żołnierze stali po obu stronach niepozornego człowieka w prostym ubraniu. Ich mundury wyglądały znajomo, poczułam ukłucie strachu. Ale to nie żołnierze mnie przerażali. W gallańskim ambasadorze było coś takiego, że czułam jak przeszywa mnie wzrokiem, czułam też jego spojrzenie na plecach, gdy ich minęłyśmy.

Dwa tuziny par oczu odwróciły się w moją stronę w chwili, gdy otworzyły się drzwi do sułtańskiego ogrodu audiencji. Wszystkie należały do mężczyzn siedzących na trawie na ogrodowych poduszkach. Doradcy Sułtana. Wszyscy wyglądali jak słabi fizycznie intelektualiści. Jak Mahdi. Byli bladzi, bo rzadko wychodzili na słońce, zbyt wiele godzin spędzali w pomieszczeniach, gdzie analizowali świat, zamiast z niego korzystać. Służący krążyli wokół nich niczym rój, podając wachlarze i dzbany słodkich soków.

Tylko jeden człowiek stał z dala od tego cyrku. Był mniej więcej w wieku Ahmeda i Jina i nosił nieskazitelny biało-

złoty mundur. Nie usiadł. Stał wyprostowany jak posąg, ręce założył z tyłu, patrzył wprost przed siebie jakby czekał na rozkaz. Wydawało mi się, że jest w nim coś znajomego, ale nie umiałam określić co.

Na końcu ogrodu, na podwyższeniu, siedział Sułtan. Uniósł lekko brwi, gdy mnie zobaczył. Widocznie nie wiedział, że jego syn pozwolił mi wyjść z haremu. Kadir siedział po jego prawej ręce. Ayet wisiała na mężu i miała na sobie taki sam khalat jak ja, ale w czerwonym kolorze, wyszywany srebrnymi nićmi. Była tam po to, żeby się nią przechwalać i wiedziała o tym, bo wypinała gołe plecy w stronę dworu, eksponując skomplikowany wzór namalowany henną wzdłuż kręgosłupa. U stóp Kadira siedziała Uzma w identycznym stroju, ale zielonej barwy. Rozglądałam się za Mouhną, ale nigdzie jej nie zauważyłam.

Kadir znacząco położył rękę na poduszce po przeciwnej stronie Ayet. Oddałabym niemal wszystko, żeby nie musieć tam siadać. Ale nie miałam wyboru.

Służąca zaczęła poprawiać ułożenie khalatu tak, że byłam całkowicie okryta. Kadir odpędził ją ruchem dłoni. Gdy tylko odeszła, wystawiłam bosą stopę spod szaty. To niewiele, ale tylko na tyle mogłam się zdobyć, gdy minęła mi chęć na stawianie oporu. Gdy podniosłam głowę, zauważyłam, że patrzył na mnie ten człowiek w żołnierskim ubraniu. Próbował ukryć uśmiech, zasłaniając się ręką i udając, że drapie się w brew.

– Kadirze. – Sułtan zwracał się do niego ponad moją głowę, lecz na tyle cicho, by reszta dworu nie usłyszała. – Czyżbyś nie miał dość własnych kobiet, żeby się z nimi zabawiać?

– Miałbym, Ojczy. – Między Kadirem a Sułtanem zapadła znacząca cisza, której nie rozumiałam. – Ale jedna mi się chyba zapodziała. – Mówił o Mouhnie. Przypomniałam sobie, że Leyla wspominała o znikających z haremu kobietach. Była wśród nich jej mama. – Potrzebowałam jeszcze jednej,

żeby uzupełnić mój zestaw z Miraji. – Kadir podniósł rękę i leniwie pogładził jedną z blizn na moich plecach. Moje ciało zadrżało z nerwów, czując jego dotyk.

Sposób, w jaki Sułtan się uśmiechnął, mógł omamić resztę dworu i kazać im myśleć, że serdecznie rozmawia ze swoim synem.

– Jeszcze raz położysz na niej rękę, a możesz się z nią pożegnać. – Poczułam niespodziewany przyptyw wdzięczności dla Sułtana za to, że stanął w mojej obronie. Zaraz go stłumiłam. Znalazłam się tutaj z jego winy i nie mogłam się bronić.

Sułtan wyprostował się.

– Wprowadźcie pierwszych interesantów – powiedział głośniej, zwracając się do wartowników stojących przy bramie prowadzącej do ogrodu.

– Dowódca Abbas Al-Abbas – zaanonsował służący – z Jedenastego Pułku.

Żołnierz, który wszedł, najpierw złożył niski ukłon.

– Wasza Wysokość. Przybyłem, by prosić o zwolnienie z funkcji dowódcy – powiedział.

– To poważna prośba w czasie wojny – odparł Sułtan. – Mniemam, że nie prosisz o dymisję z braku odwagi, bo w takim przypadku nie stanąłbyś przede mną. – Żołnierz aż spuchł z dumy, słysząc, że został nazwany odważnym.

– Z domu mojego ojca nadeszły pewne wieści. Mój brat, jego następca, został wezwany przed oblicze Boga. Ojciec nie ma więcej synów. Jeśli nie wrócę, mężowie moich sióstr będą walczyć o jego ziemię. Chciałabym powrócić i objąć ziemię we władanie jako prawowity dziedzic.

Sułtan zastanawiał się nad tą prośbą.

– Co o tym sądzisz, Rahimie? – zwrócił się do młodego żołnierza, tego, który wydawał mi się znajomy. Rahim. Znałam to imię. To musiał być brat Leyli.

Jedyny spośród armii synów Sułtana, który naprawdę

uważał ją za rodzinę. No pewnie, miał te same, mądre, uważne oczy, co Leyla. Lata spędzone przez Leylę w haremie sprawiły, że uwydatniła się bladeść odziedziczona po matce pochodzącej z Gamaniksów. Lata spędzone poza pałacem spowodowały, że Rahim bardziej wyglądał na Mirajińczyka. Dostrzegałam u niego nawet pewne cechy odziedziczone po ojcu, które upodabniały go do Ahmeda.

– Szczerze wątpię, żeby moja opinia mogła wnieść coś do tego, co już wiesz, szanowny Ojczy – mówił Rahim z szacunkiem, ale jego słowa niosły jeszcze jakiś przekaz. Odniosłam wrażenie, że ci dwoje grali w jakąś grę, której do końca nie pojmowałam.

– Skromność nigdy do ciebie nie pasowała, Rahimie – kontynuował Sułtan, machając ręką. – Jestem przekonany, że masz jakieś przemyślenia, skoro od tak dawna jesteś żołnierzem. Podziel się nimi.

– Uważam, że wschodnia granica jest narażona na ataki i że Jedenasty Pułk potrzebuje dowódcy, który chce być dowódcą – powiedział Rahim. Sułtan przez chwilę nic nie mówił. Czekał na coś jeszcze. W obrębie dworu toczyła się milcząca walka. – I – Rahim przerwał ciszę pierwszy – Święte Księgi uczą nas, że pierwszym obowiązkiem mężczyzny jest służyć ojcu.

Sułtan uśmiechnął się, jakby odniósł jakieś zwycięstwo.

– Dowódczo Abbas Al-Abbas. Wasza prośba została rozpatrzona pozytywnie. – Żołnierz odetchnął z ulgą. – Zostaniecie zwolnieni z funkcji dowódcy. Powiedzcie, kto powinien was zastąpić, a my mianujemy go na to stanowisko.

Zapomniałam, jak brzmi niekończące się nazwisko następnego interesanta, zanim służący skończył je zapowiadać. Podobnie jak zapomniałam, o co prosił, gdy tylko przestał mówić. Jeden za drugim pojawiali się różni petenci i stawali przed obliczem Sułtana. Przyglądałam im

się bez słowa.

Jeden z nich pragnął bogactwa. Następny ziemi. Kolejny chciał więcej straży w swojej dzielnicy miasta. Mówił, że pośród robotników w doku jest coraz więcej buntowników. Inny chciał pociągnąć do odpowiedzialności Niebieskookiego Bandytę. Jak twierdził, chłopak ukradł klejnoty jego żony i uwiódł mu córkę.

Cóż, jeśli Sam nadal żył i mieszał moje imię z błotem, to oznaczało, że przynajmniej Shazad nie podziurawiła go szpadą. Albo że jeszcze nie dostarczył mojej wiadomości.

Sułtan cierpliwie wysłuchał mężczyzny, zanim zapytał go, co jeszcze mógłby zrobić w sprawie Niebieskookiego Bandyty. Nie powiedział, że są ważniejsze powody do tego, by pociągnąć Bandytę do odpowiedzialności, niż cnota jednej dziewczyny. Ale odniosłam wrażenie, że każdy, kto się przysłuchiwał, i tak to usłyszał. Patrzyłam uważnie, jak ze współczuciem rozkłada ręce. Ustalono już cenę za głowę Bandyty za jego kolaborację z Księciem Buntownikiem, wyjaśnił, ale nie można go znaleźć. Mężczyzna równie dobrze może być duchem na pustyni. Albo jakimś wymysłem.

Przykro mi było, że zostałam nazwana wymysłem. Ale to i tak dużo lepiej niż zostać złapaną i torturowaną aż do postradania zmysłów jak Sayida. Nagle poczułam nedorzeczną wdzięczność dla Sama, nawet jeśli uznał, że nie warto przekazywać mojej wiadomości Shazad.

Nudne petycje nie miały końca, a mnie zaczęła cierpnąć noga, więc musiałam co chwilę zmieniać pozycję, żeby nie stracić w niej czucia.

W końcu porzuciłam dystygowaną pozycję, podciągnęłam kolana do brody i żeby nie upaść, objęłam je ramionami.

Prawie spałam, kiedy pojawił się człowiek w łańcuchach. Wszyscy, którym doskwierał popołudniowy upał, znowu się ożywili.

– Aziz Al-Asif. – Mężczyzna w wymuskanym stroju,

prowadzący zakutego człowieka, ukłonił się, gdy zapowiedział go służący. – I jego brat, Lord Huda Al-Asif.

– Wasza Wysokość. – Aziz Al-Asif ukłonił się nisko. – Z głębokim żalem przychodzę, by prosić cię o skazanie mojego brata na śmierć, jako że sprzyja rebelii.

– Czyżby? – W głosie Sułtana dało się zauważyć nutę rozbawienia. – Bo moi szpiedzy donieśli mi coś zgoła innego. Powiedzieli, że to ty jesteś żądny władzy i chcesz sprzymierzyć się z rebelią mojego syna. Co każe mi sądzić, że kłamiesz, żeby skazać brata na śmierć. Gdy się go pozbędziesz, będziesz mógł wziąć w posiadanie całą ziemię swojego ojca. – W ogrodzie rozszedł się szmer. – Uwolnijcie Lorda Hudę – rozkazał Sułtan dwóm strażnikom stojącym przy drzwiach. – I skujcie młodego Aziza.

– Wasza Wysokość – powiedział głośno Aziz – nie popełniłem żadnego przestępstwa!

– Ależ tak – przerwał mu Sułtan, dając odczuć swój autorytet. – Próba zabicia brata jest przestępstwem. Kłamanie Sułtanowi jest przestępstwem. Próba wykorzystania rebelii mojego syna dla swoich własnych celów nie jest przestępstwem, ale nie jest też czymś, co będę tolerował. Twoja egzekucja odbędzie się o zachodzie słońca, chyba że wstawi się za tobą brat. – Sułtan popatrzył na Lorda Hudę, który pocierał nadgarstki. Nie zgłaszał sprzeciwu. – Wobec tego rozgłoście to w mieście – powiedział Sułtan. – Chcę, żeby mężczyźni i kobiety z Izmanu widzieli, jaką cenę płaci się za zdradę swojego władcy.

Zdradę swojego władcy. Nagle myślami przeniosłam się do namiotu Ahmeda, w chwili gdy nie umiał podjąć decyzji w sprawie Mahdiego. Gdy nie chciał skazywać go na śmierć. Gdy migał się od wydania jednoznacznego rozkazu. Jedyne, czego chciałam, to żeby podjął tę cholerną decyzję. Żeby był władcą. Dobrym władcą. Potężnym. Silnym.

Sułtan nie zawahał się nawet przez chwilę.

Było jeszcze słychać protesty odprowadzanego Aziza, gdy wezwano następną osobę.

Zbliżało się południe, słońce wędrowało po niebie i w pewnej chwili ustawiło się nad nami. Czułam kropelki potu na karku, które spływały pod ubranie. Czułam, że zamykają mi się oczy, gdy dobrało się do mnie słońce stojące w zenicie. Jediną osobą, której zdawało się to nie przeszkadzać, był Sułtan.

– Zapraszam Shazad Al-Hamad.

Obudziłam się tak szybko, jakbym dostała kulę w plecy. Przez chwilę wydawało mi się, że to tylko sen. Że naprawdę przysnęłam i wyobraziłam sobie, że Shazad przybywa mi na ratunek. Ale w bramie ogrodu, w khalacie w kolorze nieba o świcie, z uśmiechem, który oznaczał, że właśnie wyprowadza kogoś w pole, stała Shazad.



ROZDZIAŁ 21

Przyszła Shazad. Od razu pierzchła spora część strachu, który zalał się w mojej piersi w chwili, gdy ocknąłam się na statku. Mogłabym ucałować tego idiotę Sama za dostarczenie mojej wiadomości.

– Cóż za niespodziewany zaszczyt – powiedział Sułtan.

– Zaszczyt leży po mojej stronie, Wasza Wysokość. – Jej głos był tak boleśnie znajomy w tym obcym miejscu. To był głos słyszany podczas stu nocy w obozie i pod pustynnym niebem, głos konspiracji, zdrady i rebelii. – Wróciłam ze swojej pielgrzymki. – Uklękła przed nim. – Przyszłam oddać cześć mojemu Sułtanowi i Sultrimowi. – Klęcząc, ukłoniła się nisko, aż prawie dotknęła nosem ziemi. Była w tym cholernie dobra. Podejrzewam, że miała szesnaście lat praktyki przed rebelią.

– Wydawało mi się, że przyjdiesz, żeby pytać o powrót swojego ojca – odezwał się Sułtan. Jeśli zamierzał wyprowadzić ją z równowagi wzmianką o generale Hamadzie, wybrał złą dziewczynę. Shazad zaczęła coś mówić, ale nie usłyszałam jej słów. Niebo przeszył pisk, jakby ktoś ciął nożem żelazo.

Cały dwór znieruchomiał. Ale w środku mnie coś się obudziło.

Znałam ten dźwięk.

– To Rok. – Książę Rahim wypowiedział głośno moje myśli. Zadarł głowę do góry i poderwał się na nogi. – Gdzieś blisko.

– W mieście? – prychnął Kadir, ale już nie wylegiwał się leniwie. – To niedorzeczne.

– Oczywiście, bracie. – Rahim przyjął postawę żołnierza, na skutek dawnego przyzwyczajenia jego dłoń szukała broni,

której nie miał. – Skąd miałbym to wiedzieć, przecież stacjonowałem w górskim Iliaz tylko przez pół dekady. I słyszałem Roki każdej nocy, podczas gdy ty spałeś przy mamie w haremie. Ale oczywiście, ty wiesz lepiej.

Kadir zrobił krok w stronę Rahima. Rahim nie cofnął się. Kadir był potężniej zbudowany niż jego brat. Ale gdy Rahim zacisnął pięści, zauważyłam bliznę na jego ręce. Przypominała blizny na knykcjach Jina.

Ręce Kadira były gładkie. Ręce Rahima nie raz walczyły.

Ponownie rozległ się krzyk Roka, tym razem bliżej. Bracia stracili sobą zainteresowanie. Ludzie, chwilę temu zupełnie bezwolni, teraz zaczęli panikować. Mężczyźni szukali schronienia, Sułtan wykrzykiwał rozkazy swoim żołnierzom, wysyłając ich na mury. Już po drodze wyjmowali broń.

Nie ruszałam się. Po prostu czekałam, odchyliłam tylko głowę do tyłu. Ponieważ znałam ten krzyk.

Wtem pojawił się cień. Wystarczająco długi, żeby znajdować się poza zasięgiem strzałów. Gdy wisiał ponad naszymi głowami, dwa wielkie, niebieskie skrzydła zasłoniły słońce, pogrążając dwór w cieniu.

To nie był Rok. To był Izz.

Przeszył mnie grom radości i aż zerwałam się na nogi. Był tu Izz. W mieście.

Coś ciągnęło się za nim, jakieś kartki. Przez chwilę sądziłam, że to jakieś białe szmatki. Ale gdy spadały niesione wiatrem, zauważyłam, że to papier, deszcz papieru prosto z nieba.

Sięgnęłam po tę kartkę, która spadała koło mnie i złapałam ją w locie.

Na górze wydrukowano słońce Ahmeda. Dotknęłam jego konturu, podobnie jak dotykałam palcem tatuażu na piersi Jina. Poniżej, czarnym atramentem napisano:

Nowy świt. Nowa pustynia.

Wzywamy Sułtana Omana Al-Hasima Bin Izman z Miraji,

żeby ustąpił z tronu i stanął przed sądem za zdradę stanu.

Sułtan Oman jest oskarżony o następujące zbrodnie przeciwko Miraji i jego ludowi:

Oddanie kraju pod kontrolę armii Gallanów.

Egzekucje z pominięciem sądu osób oskarżonych o pogwałcenie prawa Gallanów.

Prześladowanie swojego ludu bez przyczyny.

Prześladowanie obywateli Miraji za nieudowodnione powinowactwo z Dżinami.

Ucisk obywateli pracujących poprzez zapewnienie im niegodnych zarobków.

Ucisk kobiet w całym Miraji.

Lista ciągnęła się dalej:

Żądamy, by zdrajca, Sułtan Oman, został pozbawiony władzy za swoje zbrodnie i by prawowity dziedzic, Książę Ahmed Al-Oman Bin Izman, prawdziwy zwycięzca prób Sultrima, zasiadł na tronie i przywrócił pustyni należną jej chwałę.

Nowy świt. Nowa pustynia.

Rebelia dotarła do Izmanu.

Przeczytałam to jeszcze raz. Byłam tak pochłonięta, że nie zauważałam nikogo wokół siebie, dopóki nie poczułam, że ktoś łapie mnie od tyłu za szyję. Zaczęłam się odwracać, ale Uzma, która stanęła za mną cicho jak duch, już rozpięła mój khalat szczepiony na karku.

Tkanina rozpostarła się i opadła na ziemię. Złapałam ją, upuszczając kartkę z odezwą Ahmeda, ale było za późno, żebym zdołała się zasłonić.

Wredne, małe oczka Uzmy jednym spojrzeniem oceniły moje ciało.

– Fuj, co za brzydka blizna. Czyżby krawiec Abdul coś tu

źle pozszywał? – Miała na myśli tę na moim biodrze, gdzie kula przeszła przez ciało pod Iliaz. Nadal próbowałam zapiąć klamrę na karku, żeby z powrotem upiąć khalat. Czułam, że moja skóra płonie pod jej kpiącym spojrzeniem. – Teraz wszystko rozumiem. Niech zgadnę: jesteś dziwką, która zaszła w ciążę i musieli to z ciebie wyciąć.

Aż mnie zatkało. Porzuciłam klamerkę, bo bez służącej nic nie mogłam zrobić, i po prostu związałam dwa końce tkaniny. Uzma zrobiła krok w moją stronę, gdy się z tym męczyłam. Jedna z ulotek zaszeleściła pod jej gołą stopą, słońce Ahmeda się pogniotło.

– Może byś się od niej odsunęła? – Głos był jak stal i jak jedwab, doskonale go znałam. – Zanim ci przyłożę. – To były słowa, które pragnęłam wypowiedzieć, ale nie mogłam.

Shazad nie była uzbrojona. Miała na sobie biały khalat. Ale gdy stanęła pomiędzy mną a Uzma, wyglądała tak groźnie, jakby trzymała oba swoje miecze. Mocniej zamotałam węzeł na karku. Kiedy podniosłam głowę, ironiczny uśmiech na twarzy Uzmy już zniknął.

Shazad zrobiła krok do przodu, spychając Uzme na bok.

– Och, wybacz – powiedziała tonem, w którym nie było odrobiny skruchy. – To mogło zabrzmieć jak prośba. Ale nią nie było. Spadaj.

Uzma zrobiła dwa kroki w tył w stronę Ayet, która obserwowała nas, kryjąc się w cieniu kolumn. Wtedy Izz ponownie wrzasnął i obie zniknęły, uciekając w poszukiwaniu kryjówki. Zostałam z moją najlepszą przyjaciółką pośród chaosu szybko pustoszejącego dworu.

– Mówiłam ci, że masz pilnować tyłów – powiedziała Shazad.

– Mówiłam ci, że wiem, że mogę w tej kwestii liczyć na ciebie. – Pragnęłam ją objąć, ale nadal było tu za dużo ludzi. Mogłam się jakoś wytłumaczyć, jeśli przyłapią nas na rozmowie, ale wytłumaczenie się z uścisku będzie

trudniejsze. Musiałam zadowolić się dotknięciem bogato zdobionych rękawów jej khalat. – Chyba jesteś jedyną osobą, która może tak groźnie wyglądać, mając na sobie tak wiele kwiatków.

Shazad błysnęła zębami w uśmiechu.

– Zawsze lepiej jak cię nie doceniają. Chodź. – Chwyła mnie za rękę i szybko rozejrzała się wokół. – Idziemy stąd. Teraz. – Zaczęła ciągnąć mnie w stronę bramy. Nikt na nas nie patrzył, gdy Izz krzyczał, ponownie przelatując nad pałacem. Sułtan zniknął, a pozostali biegali, szukając kryjówek. To była szansa na wydostanie się stąd. – Czy to ma rozpraszać uwagę? – Pokazałam ulotki na ziemi.

– Rozpraszać uwagę i jednocześnie ma służyć naszej sprawie. – Shazad nadal ciągnęła mnie do bramy. – Możesz iść szybciej?

Zbyt powoli kojarzyłam fakty. Zatrzymałam Shazad.

– Mogłabym nawet prześcignąć Buraqi, i tak by to nic nie dało. Jestem w pułapce. – Opowiedziałam jej najszybciej jak umiałam o żelazie pod skórą i kawałku brązu, który mnie kontrolował.

Twarz Shazad pociemniała, gdy mnie słuchała. Chłonęła moje słowa w wielkim skupieniu, jak zawsze, gdy sprawy przybierały poważny obrót.

– No to wytniemy je z ciebie.

– Wiem, że nie jestem tak mądra jak ty, ale to też mi przeszło przez myśl – powiedziałam ze śmiertelną powagą. – Mogą być wszędzie, a ja mogę się wykrwawić, gdy będziecie mnie kroić.

– Nie zostawię cię tutaj – upierała się Shazad.

– Nie masz teraz żadnego wyboru – powiedziałam. – Shazad... – Chciałam jej powiedzieć tak wiele rzeczy, a miałam mało czasu. Za chwilę chaos wywołany przez Izza zacznie się uspokajać i ktoś nas zauważy. Była tylko jedna ważna rzecz. Jedna, o której jeszcze jej nie powiedziałam. –

Sułtan ma Dżina.

Shazad aż otworzyła usta. Potem je zamknęła.

– Powtórz.

Nie było zbyt wielu rzeczy, których Shazad nie potrafiła robić. Umiała dowodzić wojskiem, umiała obmyślać strategię, przewidywać osiem kroków do przodu, jak nikt inny. Umiała walczyć, a może nawet wygrać wojnę, w której byliśmy w mniejszości. Ale co innego być w mniejszości, a co innego stawać z kijem naprzeciw rewolweru. Jeśli Sułtan miał choćby jednego Dżina, nie było nic, co armia śmiertelników mogła uczynić wobec jego mocy.

– Więc musimy zabrać ciebie i tego Dżina...

– Bahadura – dodałam, chociaż nie wiedziałam, czy to ma znaczenie. Był po prostu jakimś Dżinem. Był Dżinem, który mnie spłodził i którego imię należało w połowie do mnie. Ale nie był moim ojcem. Izz krzyknął i zanurkował. Wypaliły strzelby. Obie instynktownie się pochyliłyśmy.

– ...zarówno ciebie, jak i Bahadura z pałacu. – Jakby to było takie proste.

– Uwolnienie Dżina to nie to samo co wyciągnięcie Sayidy z więzienia. – A i to nie skończyło się dobrze. – Jest tu uwięziony, podobnie jak ja.

– Zastanowimy się nad tym. – Shazad niecierpliwie odsunęła włosy z twarzy. Nawet kwiecisty strój nie maskował tego, do czego była zdolna. – Połowa rebelii nie robi teraz niczego pożytecznego. Sam Izman jest w pewnym sensie więzieniem. Od czasu zawieszenia broni roi się tu od żołnierzy.

Coś mi przyszło do głowy. Może być inny sposób, żeby dowiedzieć się, jak uwolnić Dżina. Musiałabym tylko wydostać się z haremu, żeby to sprawdzić. Coś mnie jednak powstrzymało i nie podzieliłam się tym z Shazad. Kończył nam się czas. Wysiłki Izza mogły być skuteczne do momentu aż nas nakryją na rozmowie.

Nie mogłam jej pozwolić odejść, nie zadawszy pewnego pytania.

– Shazad, czy wszyscy mają się dobrze? – Nie zapytałam o to, co najbardziej chciałam wiedzieć. Jego imię miałam na końcu języka. Czy Jin ma się dobrze?

– Nie wszyscy. – Chociaż Shazad nie była Półdzinem, zawsze była prawdomówna.

– Mahdi umarł podczas ucieczki z obozu i nie udało się nam uratować Sayidy. I kilku innych. Ale śmiertelność jest tak niska, jak można się było spodziewać. Ahmed żyje, Delila, Hala, Imin, bliźniaki. Wszyscy są tu, w mieście.

– A Jin? – Nie umiałam się dłużej powstrzymać. Nie wspomniała o nim, co nie znaczyło niczego dobrego. Podobnie jak wahanie, które zauważyłam po zadaniu pytania.

– Nikt nie jest pewien, gdzie się teraz podziewa Jin – powiedziała w końcu. – On... – Odgarnęła włosy na plecy. – Gdy zniknęłaś w środku nocy, prawie zajechał konia na śmierć, żeby dostać się do punktu zbornego. Gdy okazało się, że cię nie ma, złamał nos Ahmedowi i odjechał na pustynię, żeby cię odszukać. Dziękuję ci, że utwierdziłaś mnie w przekonaniu, że w jego działaniu nie było żadnego planu. – Wiedziałam, że próbuje złagodzić tę informację, ale obawa już zaległa się w mojej piersi. Ani przez chwilę nie przeszło mi przez myśl, że Jina może nie być z resztą buntowników.

– Nadal żyje. – Sprawdziłam na głos. A potem dotarło do mnie, co powiedziała. – Złamał nos Ahmedowi?

Shazad podrapała się po uchu, była zmieszana jak nigdy dotąd.

– Ahmed chyba zasugerował, że gdyby Jin przestał cię traktować tak bez troski jak jakąś dziewczynę poznaną w portowym barze, może byś nie uciekła. – Poczułam oburzenie na myśl, że Ahmed pomyślał, że na skutek kłótni

kochanków opuściłam obóz. – Jin uderzył Ahmeda tak szybko, że nie udało mi się stanąć między nimi. Naprawdę byłam pod wrażeniem.

Izz ponownie wrzasnął. W oddali. Ludzie przestawali panikować.

– Muszę iść – powiedziała Shazad. Nasz czas dobiegł końca. – Muszę się dowiedzieć, jak cię stąd wydostać. Do tego czasu trzymaj się z dala od kłopotów. – To było coś pomiędzy rozkazem od mojego generała i prośbą od przyjaciółki.

– Sama wiesz, że nie prosi się Póldżina o złożenie obietnicy. – To mogło być nasze ostatnie spotkanie. Tak było zawsze, gdy się rozstawałyśmy. Ale tym razem było to jeszcze bardziej prawdopodobne. Zostawałam na terenie wroga. – I wiesz, że nie masz co liczyć na to, że będę unikać kłopotów.



ROZDZIAŁ 22

Miałam plan. No, może „plan” to za mocne słowo. Z naszej dwójki to Shazad była od planowania. Stworzyłam raczej załączek pomysłu, który, miałam nadzieję, nie doprowadzi do mojej śmierci. To było bardziej w moim stylu.

Nad resztą mogłam zastanowić się później. Teraz nie musiałam wydostawać się z pałacu. Musiałam wydostać się z haremu. A był tylko jeden człowiek, który mógł mi to umożliwić.

– Dlaczego chcesz odejść? – Leyla robiła kolejną zabawkę dla dzieci z haremu, chociaż nie wiedziałam po co. Większość matek nie pozwalała swoim dzieciom bawić się zabawkami zrobionymi przez nią. Czy to był jej sposób na pozostanie przy zdrowych zmysłach w miejscu, do którego nie pasowała? Ta wyglądała jak mały człowiek. Leżał zapomniany w jej rękach z rozłożonymi glinianymi nogami, podczas gdy ona patrzyła na mnie wielkimi, szczerymi oczami. – W haremie jest milej niż w wielu innych miejscach, do których możesz trafić.

Lubiłam Leylę. Część mnie chciała wyrzucić z siebie szczerą prawdę, uczynić z niej prawdziwego sprzymierzeńca. Ale to przecież była córka Sułtana. Wielkie, niewinne oczy nie były wystarczającym powodem, żeby postawić na szali życie tych, których kochałam. Przed oczami pojawiła mi się twarz Jina. Takiego, jak go ostatnio widziałam, w półcieniu namiotu, gdy zawisła pomiędzy nami niepewność, kiedy przestaliśmy się całować. Jego twarz szybko została przegnana przez twarze innych. Shazad. Ahmeda. Delili. Bliźniaków. Nawet Hali.

– Byłoby miło, gdyby udało mi się zejść z drogi twojemu

bratu – powiedziałam wreszcie. – To znaczy Kadirowi – poprawiłam się, przypominając sobie, że powiedziała mi, że jej jedynym prawdziwym bratem jest ten, z którym ma wspólną matkę. Książę Rahim, żołnierz, który wypowiedział się na dworze. Dzień wcześniej powiedziałam Leyli, że widziałam go na dworze, ale ona szybko zmieniła temat. – Nie wspominając Ayet i Uzmy, które się na mnie uwzięły. – Chociaż czułam satysfakcję, widząc, jak Shazad napędza strachu Uzmy, to nadal czułam się poniżona i zawstydzona. – Gdyby udało mi się przekonać twojego ojca, żeby pozwolił mi chodzić po pałacu, mogłybyśmy nie wchodzić sobie w drogę.

Leyla spuściła wzrok i niespokojnie przygryzała wargę. Znałam ją na tyle dobrze, by rozpoznać, kiedy się nad czymś zastanawia. Wiedziałam też, że lepiej nie przerywać myślenia komuś mądrzejszemu ode mnie. Tego też nauczyłam się od Shazad.

– Pojutrze Bassam kończy trzynaście lat – powiedziała Leyla, jakby jej się spieszyło. Jeśli czegoś się spodziewałam po niej, to niestety zawiodłam się. – Bassam jest jednym z synów mojego ojca i jego żony Thany. Ojciec ma taką tradycję, że w dniu trzynastych urodzin każdego ze swoich synów uczy strzelania z łuku. Podobnie jak dziadek uczył swoich synów. A przed nim jego ojciec. Nie mogą niczego zjeść, dopóki nie ustrzelą sami jakiegoś zwierzęcia. Wszyscy synowie musieli przez to przejść.

Nie wszyscy. Co Ahmed i Jin robili w swoje trzynaste urodziny? Nie polowali z ojcem. Czy znajdowali się na pokładzie statku? A może na jakimś obcym brzegu? Czy w ogóle wiedzieli, jaki jest dzień?

Wyobraziłam sobie scenę, która nigdy nie miała miejsca. Obaj stoją obok siebie, ich ojciec kładzie swoje dłonie na ich ramionach, łuki mają naciągnięte cięciwy, a chłopcy próbują mu zaimponować.

– Przyjdzie po Bassama do haremu. – Leyla powróciła do pracy nad małym glinianym ludkiem. Teraz rzeźbiła mu twarz. – Jeśli pragniesz o coś poprosić.

≈≈≈

Największy z ogrodów w haremie był dwa razy większy od obozu buntowników – wielka połać zieleni ukoronowana niebieską sadzawką, która obejmowała teren od murów pałacu, przez klif, z którego był widok na morze, aż po kolejny mur, kolejną granicę sięgającą ściany pałacu. Staw był zamieszkały przez grube ptaki, które leniwie machały białymi skrzydłami, rozpryskiwały wodę, tworząc tęczę w słonecznym świetle.

Z mojego miejsca przy żelaznej bramie, która prowadziła do samego serca haremu, wyglądało to jak obrazek z książeczki dla dzieci. Sułtan stał przy stawie z chłopcem, który, jak się domyśliłam, nazywał się Bassam. Ten syn był szczupły i silny, i bardzo starał się wyglądać na starszego. Trzymał łuk, ręce drżały mu z wysiłku, ale wyraźnie ukrywał to przed ojcem.

Widziałam, że spudłował już kilkanaście razy, a strzały wpadały z pluskiem do wody. Po każdym strzale następowało ćwiczenie cierpliwości, podczas którego Bassam wrzucał garść chleba do stawu, a następnie wycofywał się i czekał, aż ptaki wrócą i się uspokoją. Gdy znowu poczuły się bezpieczne, ponownie próbował je zabić. Teraz jego ojciec położył mu rękę na ramieniu. Chłopak aż rozplątywał się ze szczęścia, zaczęłam się nawet zastanawiać, czy specjalnie nie pudłował, żeby trochę dłużej pobyc z swoim ojcem.

Wyobraziłam sobie młodszego Jina na miejscu Bassama. Nigdy nie widziałam nikogo, kto potrzebowałby mniej niż Jin. Trudno było wyobrazić sobie jego reakcje na dotyk ręki

ojca na jego ramieniu; czy również by się prężył, dając ojcu powody do dumy.

Bassam puścił cięciwę jednym płynnym ruchem. Doświadczonym okiem dziewczyny z Dustwalk oceniłam, że ten strzał różnił się od pozostałych.

Strzała poleciała pewnie i przeszła szyję jednego z ptaków w stawie. Zwierzę zaskrzeczało z bólu, a reszta stada w panice wzbiła się w powietrze. Służący rzucił się do wody i wyciągnął ptaka za szyję.

Sułtan roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu i z dumą poklepał syna po ramieniu. Na twarzy młodego księcia pojawiła się czysta radość. Przez moment, w późnopołudniowym słońcu, mogli być zwykłymi ojcem i synem wspólnie przeżywającymi chwilę szczęścia.

I wtedy wzrok Sułtana zatrzymał się na mnie, czekającej na skraju ogrodu. Poklepał syna jeszcze raz, uścisnął go z dumą i odesłał chłopca z martwym ptakiem przewieszonym przez ramię.

Kiedy chłopiec zniknął, przywołał mnie gestem.

– Prawie nikt już nie posługuje się łukiem – powiedziałam, gdy znalazłam się tak blisko, że mógł mnie usłyszeć. – Rewolwery są celniejsze.

– Ale nie tak ciche – odparł Sułtan. – Odstraszą zwierzynę podczas polowania. Poza tym, taka jest tradycja. Mój ojciec robił to ze swoimi synami, a jego ojciec z nim. – Sułtan jednak zabił swojego ojca i teraz tylko garstka jego synów kontynuuje tę tradycję. – Czego chcesz, mała Póldzinko?

Nerwowo przesunęłam językiem po zębach. Ryzykowałam, że przejrzy mnie na wylot. Ale Shazad sama powiedziała w dniu, gdy w obozie pojawiła się Sayida, że potrzebujemy oczu w pałacu. W całym pałacu. To ja mogłam być tymi oczami.

– Chciałabym móc opuszczać harem.

Nie mogłabym opuszczać pałacu, ale informacje mogłyby. Shazad umieściła Sama na liście płac rebelii. Przez ostatnie trzy noce, odkąd Izz zrzucił ulotki z nieba, spotykałam się z Samem o zmierzchu przy Ścianie Płaczu. Shazad później wymyśli dla niego coś lepszego, ale na razie jego jedynym zadaniem jest wślizgiwanie się do haremu każdej nocy, żeby się ze mną zobaczyć i upewnić, że nie zostałam odkryta i zmuszona do wydania całej rebelii: wypowiedzianym przez Sułtana rozkazem lub poprzez tortury. To było potwornie nudne zadanie. Albo, jak ujął to Sam, najłatwiej zarobione pieniądze w życiu, bo każdej nocy płacą mu za oglądanie ładnej dziewczyny. Gdyby mi się udało, mogłabym nieco urozmaicić jego pracę.

Sułtan bawił się sznurkiem u swojego łuku.

– A chciałybyś wyjść, ponieważ...?

– Ponieważ nie mogę znieść życia tutaj. – To była prawda. Półprawda. Ale to jeszcze nie wszystko. – I nie mogę znieść twojego syna.

Sułtan wsparł się na łuku.

– Którego? – zapytał oschle. Znowu to poczułam: lekkie mrowienie na skórze, jakbyśmy oboje znali jakiś sekret, jakbyśmy grali w jakąś grę. Nie, to śmieszne. Gdyby wiedział, że stoję po stronie Ahmeda, jedyne, co musiałby zrobić, to wydać rozkaz, żebym mu powiedziała, gdzie jest. Mógłby mnie wykorzystać, żebym doprowadziła go do Shazad, a od niej do reszty rebelii.

– Kadira. – Zignorowałam niepokój. – Patrzy na mnie, jakbym była kwiatem w ogrodzie, który ma ochotę zerwać.

Sułtan uderzył w cięciwę łuku, jakby grał na jakimś instrumencie.

– Wiesz, że jesteś moim więźniem, Amani. Gdybym chciał, mógłbym rozkazać ci, żebyś leżała w jednym miejscu, zupełnie nieruchomo, do czasu aż będę cię znowu potrzebował. Mógłbym kazać ci zapuścić korzenie i stać tu

w oczekiwaniu na rozkaz. Albo – Sułtan zamilkł, cały czas szarpiąc cięciwę – pozwolić, żebyś została „zerwana”. – Poczulałam dreszcz. – Ale... podziwiam cię, że przyszłaś i mnie odnalazłaś. Powiedz mi mała Półdzinko: umiesz strzelać?

– Tak – odpowiedziałam, bo chociaż nie chciałam, żeby wiedział, jak dobrze obchodzę się z bronią, to nie mogłam go okłamać. Shazad zawsze mówiła, że nasza największa siła jest niedoceniana. Ale Sułtan zawsze przewiercał mnie na wylot, kiedy próbowałam kręcić i sięgałam po półprawdy. – Umieję strzelać.

Podał mi swój łuk. Nie przyjąłam go od razu.

– Chcesz czegoś – powiedział. – Ludzie, którzy czegoś chcą, muszą na to zapracować.

– Wiem o tym. Nie wychowałam się w pałacu.

– Dobrze – odparł Sułtan, na jego twarzy pojawił się uśmiech upodabniający go do Jina. – Wobec tego powinnaś to rozumieć. Weź łuk.

Zrobiłam, co mi kazał, bo nie miałam wyboru, chociaż chyba nie zamierzał mi rozkazywać.

– Jeśli uda ci się upolować kaczkę, dam ci swobodny dostęp do pałacu, a przynajmniej taki, jaki mają inni. Jeśli nie... Cóż, mam nadzieję, że masz wygodne łóżko, bo spędzisz w nim jakiś czas.

Pogłaskałam palcem napiętą cięciwę łuku. To była stara broń. Przedmiot jakby wyjęty z bajki. Zanim pojawiły się rewolwery. Przypomniałam sobie legendę o łuczniku, który strzałą wyłupił Rokowi oko.

Stanęłam w postawie strzelca i próbowałam naciągnąć cięciwę.

– Nie tak. – Ręce Sułtana znalazły się na moich ramionach. Natychmiast się spięłam. Ale nie było nic niewłaściwego w jego dotyku. Złapał mnie tak jak młodego księcia. Jak inni ojcowie w Dustwalk, kiedy uczyli swoich synów strzelać z rewolwerów. Mnie nikt nigdy tak nie uczył.

Nauczyłam się strzelać sama, gdy mój ojciec był pijany. Poza tym, nie był moim prawdziwym ojcem. Chociaż tak samo jak prawdziwego ojca nie interesowało go to, czy żyję, czy umarłam. – Stań szerzej – rozkazał, wkładając stopę między moje nogi. – I przyciągnij łuk do siebie.

Czułam, że się przygląda, gdy naciągałam cięciwę. Wycelowałam w najbliższą kaczkę, tak jakbym miała strzelać z rewolweru. Spokojnie wyrównałam. Gdybym miała broń, kula przeszłaby prosto przez ptaka.

W ostatnich kilku miesiącach wyspecjalizowałam się w strzelaniu do ptaków. Kiedy obozuje się w górach, umiejętność polowania jest przydatna.

Puściłam cięciwę. Boleśnie zahaczyła o moje ramię. Strzała poleciała, o stopę rozminęła się z ptakiem i uderzyła w wodę. Stado wystraszyło się hałasu i poderwało w górę, kwacząc i rozrzucając pióra.

Przeklęłam, upuszczając łuk i chwytając się za zranioną rękę.

– Pokaż. – Sułtan chwycił mnie za nadgarstek. Kolejny rozkaz, któremu nie mogłam się sprzeciwić. Ręka zaczęła już puchnąć. – Powinnaś mieć ochraniacz – powiedział. – Masz. – Zdjął szimę ze swojej szyi. Miała kolor świeżego szafranu w daniach podawanych w haremie. Owijał ją wokół mojej ręki.

Ten widok wzbudził we mnie tęsknotę, bo przypomniał mi moją starą, czerwoną szimę. I Jina.

Sułtan skończył, mocując chustę węzłem wokół mojego nadgarstka.

– Kiedy ptaki wrócą, spróbuj jeszcze raz. I tym razem naciągnij cięciwę wyżej, bliżej policzka. – Musiałam posłuchać, chociaż podejrzewałam, że mógł zapomnieć, do kogo się zwraca. Że raczej mnie instruował, a nie rozkazywał.

Czekaliśmy w ciszy na powrót ptaków. Chciałam im

wygarnąć, że są głupie, bo wracają w miejsce, gdzie mogą zaraz zginąć. Ale przecież ja sama również przyszedłam do Sułtana z własnej woli.

Drugi strzał też mi nie wyszedł. Trzeci również. Ze wstydu aż się zarumieniłam, bo Sułtan obserwował moje wysiłki. Musiałam wygrać. Musiałam opuścić harem. Musiałam ochraniać rodzinę przed moim ojcem.

– Wasza Wysokość. – Oboje odwróciliśmy się, słysząc głos służącego. Kłaniał się w pas. – Gallański ambasador oczekuje, że zjawi się pan na negocjacje. – Nadstawiłam uszu. Zaczynało się. Negocjowanie tego kraju. Żeby zwrócić nas przeciw nim. To dlatego musiałam mieć możliwość raportowania.

– Czekaaj! – zawołałam Sułtana, gdy odwrócił się, by odejść.
– Uda mi się.

Sułtan zastanowił się chwilę. Skinął głową.

– Wobec tego znajdź mnie, gdy ci się uda.

≈≈≈

Słońce prażyło na niebie, gdy spróbowałam ponownie. Pot spływał mi po szyi i kusiło mnie, żeby odwinąć szimę z ramienia i zawiązać ją sobie na głowie. Ale pulsujące zadrapanie podpowiadało, że lepiej tego nie robić. Nic jednak nie mogłam poradzić na bąble na palcach. Ani na ból w ramionach i protestujące mięśnie, gdy po raz kolejny były naciągane w ten sam sposób. Drżałam naciągając cięciwę.

Gdy słońce wspięło się wysoko na niebo, przyszli jacyś służący i postawili obok mnie dzban wody i daktylę. Zignorowałam obu. Uda mi się.

Odciągnęłam cięciwę. Następna strzała wpadła do wody. Ptaki rozpierzchły się.

Zaklęłam pod nosem.

Do cholery.

Robiłam trudniejsze rzeczy.

Zanim wszystkie ptaki uciekły, założyłam następną strzałę. Zrobiłam to szybko i wycelowałam w rozgłakane i bijące skrzydłami ptaki. Znalazłam kaczkę, którą chciałam ustrzelić. I nie wahałam się. Nie traciłam czasu na wyrównanie strzału. Wycelowałam tak pewnie jak zawsze, gdy posługiwałam się rewolwerem.

Puściłam strzałę.

Kaczka oddzieliła się od stada, zaczęła spadać i uderzyła w ziemię. Moje serce niemal eksplodowało.

≈≈≈

Biegłam przez pałac, zostawiając za sobą krwawy ślad trzymanego za szyję martwego ptaka.

Sułtan powiedział, że mam go odnaleźć, gdy mi się uda, więc parłam przed siebie, kierowana jego rozkazem. Nie myślałam o tym, co robię, póki nie wyminęłam strażnika, który nie próbował mnie zatrzymać. Otworzyłam drzwi z impetem.

Kilkadziesiąt głów odwróciło się i spojrzało na mnie. Nagle pomyślałam, że nie powinnam tego robić. Ale było już za późno. Podeszłam do stołu, nie spuszczając oczu z Sułtana, i położyłam moją zdobycz przed nim tak energicznie, aż zadrżał pobliski kielich.

Sułtan spojrzał na martwą kaczkę.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, gdzie się znajduję. Komnata, w której zasiadała rada, była szczelnie wypełniona. Mężczyznami w mundurach różnych formacji. Złocistych uniformach Mirajińczyków i niebieskich mundurach Gallanów.

I wszyscy na mnie patrzyli: na dziewczynę o dzikim

spojrzeniu, która właśnie walnęła o stół martwą kaczką. Książę Rahim ukrył uśmiech, udając, że drapie się po nosie – nikt inny nie był rozbawiony.

Właśnie zakłóciłam jedną z narad Sułtana, podczas której zdecydowano o kształcie rozejmu oraz losie całego kraju.

Pomyślałam, że zapłacę za to głową.

– Cóż, okazuje się, że jesteś w połowie przyzwoitym strzelcem – powiedział Sułtan, tak cicho, że nikt inny nie mógł go słyszeć. – Możesz opuszczać harem, kiedy zechcesz. – W tym miejscu zamilkł, a we mnie rozkwitła nadzieja, że może zostawić dla mnie furtkę, która pozwoli mi się wymknąć spod jego władzy i wrócić do rebelii... – Ale nie będziesz wychodziła z pałacu. – Moja nadzieja umarła. Byłam głupia, że w ogóle dopuściłam do siebie taką myśl. Sułtan nie był roztrzepany i nieuważny. Głośniej powiedział jeszcze: – Niech ktoś zabierze tę kaczkę do kuchni, a mojego Półdzina tam, gdzie jego miejsce. – Zauważyłam, że na słowo „Półdzin” podnoszą się głowy gallańskich delegatów. Nazwaliby mnie demonem, przecież wiedzieli, co znaczyło to słowo. Zastanawiałam się, czy Sułtan przechwala się mną przed nimi. Nie wyglądało to na żadną polityczną taktykę.

Służący ostrożnie podniósł ptaka za szyję i poruszył jakieś dokumenty leżące na stole. Zauważyłam pośród nich narysowaną płowiejącym czarnym atramentem mapę Miraji, na której pojawiły się nowe, niebieskie linie. Na naszej części pustyni. Widziałam jedynie jeden róg, ale to i tak było dość. Zobaczyłam to. Świeżym, niebieskim atramentem otoczono małą czarną kropkę z napisem „Saramotai”.

Pomyślałam o Samirze. O buntownikach, których zamierzała tam posłać Shazad, żeby utrzymali miasto. O Ikarze siedzącym na murze. I o kobietach, które postanowiły zostać. Wszyscy teraz znajdowali się w samym centrum tarczy strzeleckiej otoczonej niebieską kreską.

Służący już chwycił mnie za ramię, chcąc mnie

wyprowadzić z sali. Próbował mnie zabrać, ale nie mogłam wyjść. Musiałam się dowiedzieć, co dzieje się z miastem, któremu pomogliśmy się uwolnić. Gorączkowo wymyślałam pretekst do pozostania. Do zabrania tych dokumentów.

W międzyczasie gallański ambasador zwrócił się do Sułtana:

– Mamy oddział składający się z tysiąca zbrojnych. Jest już w drodze i stawi się na Auranzeb. Trzeba ich będzie dozbroić, jeśli mają utrzymać Saramotai. Poza tym...

– Kłamie – rzuciłam bez zastanowienia. Służący, który mnie trzymał za ramię, wycedził przez zęby ostrzeżenie i zaczął ciągnąć mnie mocniej. Ale Sułtan podniósł dłoń, żeby go powstrzymać.

– A co to było, mała Półdzinko?

– Kłamie – powtórzyłam, tym razem nieco głośniej. Sprawdziłam kolejne słowa, zanim je wypowiedziałam, chcąc upewnić się, co do ich prawdziwości. – Gallańskie oddziały nadciągające z ich królem nie są tak liczne, jak mówi.

Sułtan położył upierścieniony palec na brzegu pucharu. Kojarzył fakty tak szybko jak Ahmed. Byłam Półdzinem. Jeśli powiedziałam, że ktoś kłamie, to musiała to być najprawdziwsza z prawd.

– Gdzie nauczyłaś się języka Gallanów? – zapytał mnie Sułtan.

To było niebezpieczne pytanie. Odpowiedź częściowo sprowadzała się do przyznania, że nauczył mnie go Jin podczas długich, bezsennych nocy na pustyni, gdy trzymaliśmy razem wartę.

– Ostatni Okręg ucierpiał podczas sojuszu z Gallanami. – To była półprawda, którą Sułtan mógł łatwo rozpoznać. Ale dawałam mu coś ważnego i to mogło wystarczyć. – A my, Półdziny, szybko się uczymy.

Palec Sułtana zatoczył kolejny krąg na brzegu pucharu.

– Przykro mi, że cierpieliście – powiedział w końcu. –

Większość pustyni to spotkało. – Wreszcie zwrócił się do tłumacza: – Powiedz ambasadorowi, że wiem, iż król nie ma aż tysiąca gallańskich żołnierzy. I że ma podać dokładną liczbę.

Tłumacz nerwowo patrzył to na mnie, to na Sułtana, gdy tłumaczył jego słowa. Gallański ambasador miał zaskoczoną minę, gdy dotarł do niego sens tych słów. Zerknął na mnie, rozumiejąc, że miałam z tym coś wspólnego. Nawet się nie zająknął, kiedy zaczął odpowiadać swoim gardłowym narzeczem z zachodu. Nie usłyszałam wszystkiego, ale zrozumiałam liczbę.

– Wciąż kłamie – powiedziałam szybko. – Nie ma ich pięciuset.

Sułtan wziął to pod uwagę, gdy zwrócił się do tłumacza:

– Powiedz ambasadorowi, że być może kłamstwo jest tolerowane w jego ojczyźnie, Gallandii, ale w Miraji to grzech. Powiedz mu, że odkąd nasz sojusz został zerwany, nie jest to pierwszy raz, gdy jego rodacy próbują mnie oszukać i naciągnąć na uzbrojenie swoich oddziałów, żeby mogli kontynuować walkę na północy pod pozorem dozbrajania tylko tych oddziałów, które wkraczą na naszą pustynię. Powiedz mu, że ma jeszcze jedną szansę na podanie mi prawdziwej liczby albo wstrzymam negocjacje do czasu przybycia jego króla.

– Dwieście – powiedział w końcu tłumacz po pełnej napięcia chwili. Oczy Sułtana i wszystkich pozostałych osób w sali spoczęły na mnie.

– To prawda. – Słowa z łatwością wydobyły się z moich ust.

– Cóż – Sułtan popukał w brzeg pucharu – to dość znaczna różnica, prawda, ambasadorze? Nie, nie trzeba tego tłumaczyć. – Machnął ręką, gdy tłumacz już pochylał się, żeby rozpocząć tłumaczenie. – Ambasador rozumie, co mam na myśli. I sadzę, że on i wszyscy pozostali rozumieją, że lepiej mi nie kłamać. Usiądź, Amani.

Wskazał na miejsce za sobą. To był rozkaz, lecz moje nogi wciąż trochę drżały, gdy siadałam na poduszce za Sułtanem.

Dopiero gdy usiadłam, uświadomiłam sobie, że nazwał mnie po imieniu. Nie powiedział na mnie „mała Półdzinko”.

Zwróciłam na siebie jego uwagę. Modliłam się tylko, żeby nie zaczął na mnie mówić „Niebieskooka Bandytko”.



ROZDZIAŁ 23

Kaczka, którą zabiłam, została podana w kandyzowanych pomarańczach i granatach na półmisku w takim samym kolorze jak skóra Hali. Z szyi ptaka nadal sterczała strzała. Zastanawiałam się, czy to również miała być lekcja dla mnie. Kiedy kula wnikała w mięso, prawie się o niej zapominało. W przypadku strzały było inaczej.

Rada skończyła się po zachodzie słońca, tłumacze pracowali bez wytchnienia, przekładając z gallańskiego na albiski, z xichańskiego na gamaniks. W głowie mi się kręciło od wszystkiego, co usłyszałam w tej komnacie, powtarzałam to sobie w myślach, aż nauczyłam się wszystkiego na pamięć. Ze wszystkich sił starałam się nie uronić ani słowa, żeby móc wszystko przekazać Shazad. Jedna pomyłka mogła kosztować tysiące istnień. Próbowałam odsiać niepotrzebne fakty za każdym razem, gdy obracałam informacje w głowie, zostawiając tylko to, co mogłam wykorzystać.

Sułtan zamierzał posłać oddziały z powrotem do Saramotai. Jeśli negocjacje skończą się sukcesem, miasto powróci w ręce Gallanów. Bezpośredni punkt dostępu do pustyni i do Amonpour. Amonpour było sprzymierzone z Albiszami. Na granicy znajdował się obóz Albiszów, na który natkną się po drodze. Będą szli przez trzy dni. Sułtan zamierzał posłać oddziały z powrotem do Saramotai...

– Gdzieś błędzisz myślami – powiedział Sułtan i usiadł naprzeciwko mnie.

– Twoje komnaty są prawie tak wielkie jak miasteczko, w którym dorastałam. – To była przynęta, próba odwrócenia jego uwagi, żeby nie przyszło mu do głowy, że może mi

rozkazać, bym powiedziała mu, o czym myślę. *Zapamiętuję, co mam powiedzieć Rebelii o twoich planach.*

W istocie, jego naprawdę były godne władcy całej pustyni. Ja zostałam wprowadzona tylko do jednego pokoju, ale widziałam tam wiele drzwi prowadzących do sypialni z grubym, czerwonym dywanem, do prywatnych łazien po drugiej stronie. Ściany w komnacie dla gości były wyłożone złoto-białą mozaiką, która odbijała światło lamp naftowych wokół nas tak dobrze, że miałam wrażenie, że nadal jest dzień. Przez wielką, szklaną kopułę w suficie widać było miasto. Z jednej strony balkon wychodził na stromy klif wpadający do morza.

– Dustwalk. – Zdawało się, że z trudnością przypomniawsobie tę nazwę. – Opowiedz mi o nim. – To był rozkaz. Czy tego chciał, czy nie.

– To małe miasto na końcu pustyni. Tam dorastałam. – To była prawda i wypełnienie jego rozkazu. Nawet jeśli tak naprawdę nie był to rozkaz. Jedno potknięcie na temat Dustwalk i mogę wszystko zdradzić. – Wolałabym o nim nie mówić.

W tak wielkiej sali stół, przy którym siedzieliśmy, wydawał się dość mały. Gdyby tylko zechciał, mógłby sięgnąć ponad blatem i rozplatać mi gardło nożem, którym się bawił.

Nie lubiłam przebywać z Sułtanem dłużej niż musiałam. Miał nade mną zbyt dużą władzę. Jedno nieopatrznie rzucone słowo mogło sprawić, że dowiedziałaby się, kim naprawdę jestem.

Poza tym zapadł już zmrok. To oznaczało, że już spóźniałam się na spotkanie z Samem przy Ścianie Płaczu. Nie powiedziałam mu, że planuję wydostać się z haremu, bo nie miałam pojęcia, czy mi się to uda. Z pewnością nie spodziewałam się, że plan powie się tak dobrze, że na końcu zasiądę naprzeciw Sułtana. Choć raz miałam znacznie więcej do powiedzenia Samowi niż on mnie.

Musiałam tylko wrócić na czas, żeby się z nim zobaczyć. Zanim przypadkowo opowiem Sułtanowi o rebelii.

Przyglądał mi się. Jakby się zastanawiał, czy naciskać na opowieść o moim mieście rodzinnym, czy zwolnić mnie z rozkazu. Ale zaczynałam rozumieć, jak działał Sułtan. Jeśli dawałam mu jakiś okrucieństwo prawdy, zdradzałam jakąś słabość z własnej woli, przestawał naciskać.

– Nienawidziłam tego zabitego dechami miasta – przyznałam. – Proszę, nie każ mi o nim mówić.

Rozważał moje słowa bez pośpiechu.

– Nienawidziłaś w nim wszystkiego?

Już miałam potwierdzić, ale słowo „tak” nie chciało przejść mi przez gardło. *Tamid* – uświadomiłam sobie. To mnie powstrzymywało. Martwiłam się jedną z blizn gojących się na mojej ręce, czułam, że metalowa płytka przesuwana się pod spodem. Powinnam go teraz nienawidzić. Ale nie wiedziałam, czy mogłam go wtedy nienawidzić.

– Nie – powiedziałam w końcu. – Nie wszystko.

Pomyślałam, że będzie naciskał. Ale tylko skinął głową.

– Poczęstuj się jedzeniem. – Kolejny rozkaz, którego nie mogłam nie wykonać. Musiałam sprowokować go do tego, by kazał mi odejść. Nie mogłam zostać do końca kolacji z Sułtanem, który wyciągał ze mnie prawdę po prawdzie.

– Dlaczego tu jestem? – Zaczęłam ściągać pomarańcze z kaczki i odkładać je na swój talerz. – Masz cały ogród pełen żon i córek, mógłbyś poprosić którąkolwiek z nich, żeby z tobą jadła, jeśli czujesz się samotny.

Wiedziałam, że wkraczam na niebezpieczne terytorium. Ale chciałam zostać odesłana do pozornie bezpiecznego haremu, zanim nadejdzie pora spotkania z Samem, więc nie mogłam ważyć słów. Ale Sułtan tylko westchnął z rezygnacją, odsunął mój widelec na bok i zaczął odkrawać kawałek chrupiącego, przyrumienionego mięsa.

– Może dlatego, że lubię twoje towarzystwo.

– Nie wierzę. – Przyglądałam się, jak jego nóż wrzyna się w mięso, odcinając idealnie okrągły kawałek od kości.

– Masz rację, „lubie” to chyba za duże słowo. – Delikatnie położył mięso na moim talerzu. – Uważam, że jesteś interesująca. A teraz – Sułtan odsunął się – zjedz coś.

Nie tknęłam mięsa, lecz pochyliłam się nad stołem, żeby nabić kolejną kandyzowaną pomarańczę z półmiska. Na języku poczułam słodycz i gorycz, jakich nigdy wcześniej nie doznałam. Pochyliłam się, by wziąć kolejną, choć jeszcze przeżuwałam tę pierwszą. Zauważyłam, że Sułtan się uśmiecha.

– Co? – zapytałam z pełnymi ustami.

– Nic. – Sułtan nadal bawił się nożem w ręce. – Szkoda, że nie widzisz swojej miny. Gdyby udało się ją zabutelkować, można by ją sprzedawać jako eliksir, który chciał wynaleźć Midhat. – W opowieściach Midhat był wielce utalentowanym alchemikiem, dręczonym przez wielki smutek. Postradał zmysły, próbując wynaleźć eliksir radości, skoro nie mógł jej odnaleźć w świecie. – Z drugiej strony – Sułtan chwycił pewniej nóż i odciął kolejny kawałek kaczki – gdybym mógł zabutelkować miny na twarzach naszych zagranicznych przyjaciół, kiedy rzuciłaś ją na stół rady, miałbym z tego wiele radości. – Odciął nogę kaczki i położył ją na swoim talerzu. Ostatnim razem jadłam kaczkę, którą Izz upolował w Iliaz. Miała widoczne ślady po zębach krokodyla, jej tłuszcz kapał do ogniska, a Jin klął, gdy jedna kropla poparzyła mu nadgarstek. A teraz przyjmowałam jedzenie z tych samych rąk, które przytrzymywały jego matkę i brały ją siłą, kiedy Sułtan był w wieku Jina.

Może nawet w tej samej komnacie.

– Wasza Wysokość. – Służący pojawił się w drzwiach tak cicho, że aż podskoczyłam. Zgiął się w niskim ukłonie. – Ambasador Gallanów poprosił o widzenie. Powiedziałem, że jest pan zajęty, ale on bardzo nalega.

– Gallański ambasador wzywa mnie do siebie w moim własnym pałacu – mówił zrezygnowanym tonem Sułtan, lecz już wstawał od stołu. – Przepraszam. – Śledziłam go wzrokiem, gdy wychodził.

Zerwałam się na nogi, gdy tylko zniknął za drzwiami.

Otworzyłam dwie pary niewłaściwych drzwi, zanim znalazłam te, które prowadziły do jego gabinetu.

Naprzeciw mnie zamiast ściany było wielkie szklane okno wychodzące na Izman. Z tej wysokości nocą miasto wyglądało jak drugie niebo, okna migotały światłem jak gwiazdy na ciemnym niebie. Królestwo Sułtana rozciągało się u jego stóp. Znalazłam się najbliżej Izmanu, odkąd ocknęłam się w komnacie Tamida. Zwalczyłam w sobie impulsywną i dziecinną chęć do położenia dłoni na szkle.

Pozostałe trzy ściany zaprojektowano tak, żeby pasowały do okna nocą. Niebieski tynk wysadzany był czymś, co wyglądało jak żółte gwiazdy i zapewne w ciągu dnia odbijało się od niego światło.

Przypominało to namiot Ahmeda. W domu, którego już nie było.

Spróbowałam wyobrazić sobie mojego księcia w tym miejscu, kiedy przejmie miasto i zapanuje pokój.

Ale teraz ciągle byliśmy w stanie wojny, a ja nie zamierzałam stracić okazji znalezienia czegoś, co pozwoli nam ją wygrać.

Komnata była zdominowana przez wielkie biurko przykryte różnymi dokumentami i książkami, a także mapami i piórami. Wątpliwe, że zorientuje się, jeśli coś zginie. Problem polegał na tym, że nie wiedziałam, co zabrać.

Sułtan wraca. Próbowałam wypowiedzieć te słowa na głos, ale nie chciały przejść mi przez gardło. Na razie byłam bezpieczna, zaczęłam więc delikatnie podnosić papiery z biurka, odwracając je w stronę światła miasta. Raz po raz próbowałam wypowiedzieć te słowa. Wczesny system

ostrzegawczy. Znalazłam kartkę zapisaną liczbami i numerami, których nie rozumiałam. Na innej była mapa Miraji. Ukazywała ruchy wojsk, ale o tym już słyszałam podczas dzisiejszego spotkania. Palcami dotknęłam znanego rysunku metalowej zbroi. To była zbroja, jaką założyli Noorshamowi.

Na krawędziach były jakieś słowa. Te, które miały go kontrolować.

Pod spodem było więcej podobnych schematów. I inne, które wyglądały jak części maszyn. Na jednej z kartek leżał mały kawałek metalu wielkości monety.

Wraz z innymi słowami napisano na nim moje imię w pierwszym języku. Więc coś takiego zaszyto mi pod skórą. Zwalczyłam chęć wyrzucenia płytki przez okno i wybicia szyby.

Wzięłam jeden ze szkiców i dalej przeglądałam papiery. Wyjęłam kilka ciekawych dokumentów. Jeden przedstawiał chyba trasy dostaw. Shazad będzie umiała go rozszyfrować lepiej ode mnie. Był jeszcze taki, który wyglądał na mapę Izmanu. Na całej kartce były rozrzucone czerwone kropki. Podniosłam go do światła, próbując odszyfrować, co mogły znaczyć. Ale nie znałam miasta.

– Sułtan wraca. – Słowa rozbrzmiały w komnacie, sprawiając, że zaczęłam panikować. Nie miałam żadnych kieszeni. Wsadziłam kartki za pas moich szarawarów i pospiesznie wyszłam z gabinetu, obciągając koszulę.

Gdy powrócił Sułtan i zasiadł naprzeciw mnie, znowu siedziałam przy stole i grzebałam widelcem w jedzeniu.

– Czego chciał? – zapytałam, gdy ponownie chwycił nóż. Modliłam się, żeby nie zauważył mojego przyspieszonego oddechu.

– Ciebie – powiedział to z takim spokojem, że aż mnie zatkało. – Jak wiesz, w tak zwanej religii Gallanów wierzy się, że Pierwsze Stworzenia są wcieleniami zła. A ich dzieci

są potworami.

– Wiem, w co wierzą. – Nagle zaschło mi w ustach. Sięgnęłam po dzban słodkiego wina. Nagły ruch sprawił, że wetknięte za pas papiery zaszeleściły, więc zamarłam.

– Chcą, żebym cię im oddał. – Jeśli Sułtan usłyszał ten hałas, doskonale to ukrywał. – Żeby wymierzyć ci sprawiedliwość, jak mówią. Co, oczywiście, jest tylko pretekstem. Kryją się za religijnością, bo nie chcą przyznać, że jesteś poważnym zagrożeniem dla ich kłamstw rzucanych mi prosto w twarz i próby zawiazania sojuszu z większą korzyścią dla nich.

– Jeden z nich nazwał mnie barbarzyńcą – powiedziałam z trudem. Jeśli to właśnie o mnie chodziło, zabicie Pierwszego Stworzenia i Półdzina było większym barbarzyństwem niż zabicie kaczki.

– Dobrze – powiedział Sułtan. – Dobrze im się przysłuży, jeśli zapamiętają, że lud Miraji potrafi się bronić. Nawet jeśli przeciwnikiem jest kaczka. – Nie byłam pewna, skąd wziął się cień dumy. – Chciałaś wiedzieć, Amani, dlaczego tu jesteś i posilasz się w mojej komnacie? To wiadomość dla nich. Kiedy byliśmy w sojuszu z Gallanami, musiałbym cię oddać, żeby cię powiesili. Teraz – podniósł dzban, po który już nie ośmieliłam się sięgnąć – jesteś moim gościem.

– Nienawidzisz ich – wypaliłam. – A oni nienawidzą nas. Wykorzystują nas. Po co więc kolejny sojusz? – Chociaż nie chciałam, zaczęłam mówić głośniej.

Sułtan popatrzył na mnie. Ponownie uderzyło mnie to, że Ahmed miał identyczne oczy. Uśmiechnął się, jakby dał się zaskoczyć wyjątkowo sprytnemu dziecku.

– Mówisz tak jak ludzie, którzy poszli za moim zbuntowanym synem.

– Pytałeś mnie o Dustwalk. – Odwróciłam uwagę od Ahmeda. – Pochodzę z najgłębszej, najciemniejszej części pustyni. Na własne oczy widziałam, jak twoje sojusze

przysłużyły się ludziom. Miasta pod rządami Gallanów, prawo, które pozwalało zabijać Półdżinów strzałem w głowę. Wszyscy w Dustwalk pracowali za marne grosze, pozwalające tylko przeżyć na granicy głodu i wytwarzali broń dla obcokrajowców. Sojusz doprowadził do biedy, głodu i strachu.

– Ile masz lat, Amani?

– Siedemnaście. – Wyprostowałam się. Próbowałam wyglądać na tyle. Przy każdym ruchu uważałam na skradzione dokumenty.

Kość z nogi kaczki chrupnęła pod naciskiem jego noża na talerzu.

– Nawet nie było cię na świecie, kiedy zasiadłem na tronie ojca. Nawet ci, którzy już wtedy żyli, zapomnieli, jak sprawy się miały wcześniej. Toczyliśmy wojnę. I nie była to wojna, którą powinniśmy toczyć: wojna pomiędzy Gallanami i Albiszami. Byliśmy nagrodą w wyścigu pomiędzy wszystkimi naszymi zagranicznymi przyjaciółmi. Połowa krajów na świecie chciała zająć nasze ziemie. Ale tak naprawdę wszystko sprowadzało się do tych dwóch starych wrogów i ich niekończącej się wojny o fałszywe przekonania.

Kacza noga wreszcie się poddała, a kość i ścięgna pękły z chrzęstem pod naciskiem noża Sułtana. Coś w tym dźwięku pękającej kości odbijającym się echem po wypolerowanych marmurowych wnętrzach i szklanej kopule sprawiło, że aż zazgrzytałam zębami. Sułtan spokojnie nałożył pomarańczę na mięso i mówił dalej:

– To mój ojciec doprowadził do tego. Był głupi i tchórzliwy. Sądził, że możemy walczyć w taki sam sposób, jak w czasach mojego dziadka. Sądził, że uda mu się pokonać dwie armie. Nawet Generał Hamad radził ojcu, żeby nie walczył na dwa fronty. Wówczas Kapitan Hamad. To ja mianowałam go generałem, bo mądrze doradzał.

Mówił o ojcu Shazad. Generał Hamad nie był lojalny

w stosunku do tego Sułtana. Shazad zawsze wiedziała, że ojciec nie cierpi władcy. Ale i tak poparł pomysł Sułtana dwadzieścia lat temu. To był czas, kiedy nawet człowiek stojący po naszej stronie uważał, że nasz wróg ma rację.

– Jedynym sposobem, żeby wygrać, było doprowadzenie do sojuszu, przyznanie im dostępu do tego, czego od nas chcieli, ale na naszych zasadach. Mój ojciec by tego nie zrobił. Podobnie mój brat, który zwyciężył próby Sultrima. Czy to, że zdołał pokonać jedenastu naszych braci na arenie sprawiało, że stawał się odpowiednią osobą do decydowania o losie tego kraju?

A Kadir bardziej się nadawał? Nie przerywałam mu jednak. Wykręcenie się z towarzystwa Sułtana nie wydawało mi się już aż tak ważne. W szkole uczyłam się historii. Ale czym innym było słuchanie o niej z ust samego Sułtana. To tak jakby słuchać legendy o Pierwszym Śmiertelniku opowiadanej przez Bahadura, który asystował wraz z innymi Dżinami przy narodzinach śmiertelności i widział jak po raz pierwszy staje twarzą w twarz ze śmiercią.

Sułtan od razu wyczuł moje zainteresowanie jego osobą. Podniósł wzrok znad talerza. Zerknął na moje puste ręce i nadal pełen talerz.

– Zrobiłem to, co trzeba było zrobić, Amani – powiedział spokojnie.

Wybrał jedną ze stron, żeby nie rozszarpano kraju na dwie części. Pewnej krwawej nocy Książę Oman, nic nieznaczący syn Sułtana, za młody nawet, by stawać w szranki o tytuł Sultrima, poprowadził gallańskie armie do pałacu, zabił własnego ojca i braci, o których wiedział, że staną mu na drodze do tronu: Sultrima i pozostałych, biorących udział w próbach. Rankiem zajął pałac ojca, a Gallanie zostali naszymi sojusznikami. Czy też naszymi okupantami.

– To co zrobiłem dwadzieścia lat temu było jedynym sposobem na ocalenie kraju. Gallanie zaanektowali wiele

krajów. Nie mogłem pozwolić, byśmy byli kolejnym. – Odkroił kawałek pieczeni i mówił dalej: – Świat jest o wiele bardziej skomplikowany niż ci się wydaje w wieku siedemnastu lat, Amani.

– A ile lat miałeś, kiedy oddałeś kraj Gallanom? – Wiedziałam, że nie był o wiele starszy ode mnie. Był mniej więcej w tym samym wieku co Ahmed.

Sułtan uśmiechnął się, przeżuwając mięso.

– Na tyle młody, że kolejne dziewiętnaście lat zastanawiałem się, jak znaleźć sposób na pozbycie się ich stąd. Jak wiesz, niewiele zabrakło, by mi się to udało. – Noorsham. Próbował wykorzystać mojego brata, Półdzina, jako broń przeciw Gallanom i nie przejmował się własnymi ludźmi, którzy stali na drodze niszczycielskiego ognia. – Gdybym miał trochę więcej czasu, mógłbym na zawsze pozbyć się ich z kraju. – Podniósł kielich i napił się wina.

Trochę więcej czasu. Gdybyśmy się nie wtrącili. Gdybyśmy nie ocalili Fahali. Ocalili naszych ludzi. Ocalili mojego brata. Uważał, że mógł ocalić cały kraj. Zostaliby poświęceni dla wyższego dobra.

– Nie jesz.

Nie byłam głodna. Ale wbiłam widelec w kawałek zimnego już mięsa. Pomarańcze zgęstniały i okleiły go lepka masą. Teraz wydały mi się za słodkie. *Nie masz racji.* Te słowa również przyłgnęły do mojego języka. Nie mogłam ich wypowiedzieć. Żałowałam, że nie ma tu Shazad. Wiedziała więcej ode mnie. Czytała sporo o historii i filozofii, i miała lepsze wykształcenie, ucząc się z guwernerami, niż ja w zrujnowanym budynku szkoły na końcu pustyni. Była lepsza w dyskusjach ode mnie. Ale obie byłyśmy w Saramotai. Tam rozgorzała walka o władzę pod byle pretekstem.

– Niezwykle wygodne, że ocalenie kraju oznaczało dla ciebie zostanie Sułtanem bez wzięcia udziału w próbach Sultrima.

– Próby Sultrima to kolejna przestarzała tradycja. – Sułtan odstawił kielich. – Walka wręcz pomiędzy braćmi i zagadki, które mają udowodnić, że mężczyzna jest półgłówkiem, mogły być najlepszym sposobem na wybranie przywódcy, kiedy mieszkaliśmy w namiotach na pustyni i walczyliśmy z potworami Pogromczyni Światów. Teraz są inne wojny. Rozum i mądrość to nie to samo. Podobnie jak wiedza i umiejętności. Poza tym Sułtani już nie wychodzą na pole bitwy, dzierżąc miecz. Są lepsze sposoby dowodzenia.

– Ale i tak zorganizowałeś próby Sultrima. – Sięgnęłam po kolejną pomarańczę. Poruszałam się powoli, żeby nie szeleścić skradzioną mapą schowaną w rękawie.

– Owszem. Spójrz, jak mi się przysłużyły. W rezultacie dorobiłem się zbuntowanego syna mającego chętkę na mój tron. – Zaśmiał się i przysunął bliżej mnie złoty półmisek. Jego cichy i skromny śmiech przypomniawszy mi Jina. – Musiałem przeprowadzić próby, żeby pokazać ludziom, że chociaż objąłem tron... inną drogą, to nadal podtrzymuję tradycje naszego kraju. Choć są strasznie przestarzałe, nadal spełniają swój cel. – Usiadł wygodnie i patrzył, jak jem. – W niektórych krajach ludzie uwielbiają swoich królów najbardziej, gdy ci świętują śluby lub narodziny kolejnych dzieci. Gdyby tak było z moim ludem, nigdy nie straciłbym ich miłości. Ale ludu Miraji nie da się tak łatwo kupić. Nigdy nie kochają bardziej mojej rodziny, jak wtedy, gdy walczyliśmy ze sobą na śmierć i życie, by zyskać prawo do rządzenia nimi. Nigdy nie kochają mnie bardziej jak podczas Auranzeb, kiedy przypominam im, że jednej nocy własnoręcznie zabiłem dwunastu moich braci. – Powiedział to z takim spokojem, że całe ciepło, jakie jego śmiech wniósł do komnaty, natychmiast z niej zniknęło. – Próbuję im nie przypominać, że tej samej nocy oddałem ich wrogowi, którego tak bardzo nienawidzą. Ale tak naprawdę to niebezpieczny kraj, Amani. Ty jesteś tego przykładem. Nasz

obiad jest przykładem. – Poklepał strzałę sterczącą z szyi kaczki. – Dałem ci nóż do ręki, a twoim pierwszym pragnieniem było zadźganie mnie.

– Ty pierwszy próbowałeś mnie zadźgać – sprzeciwiłam się bez namysłu. Tym razem roześmiał się zupełnie szczerze.

– To surowa pustynia. Potrzebuje silnego władcy. – *Silniejszego niż Ahmed*. Ta myśl pojawiła się znikąd. Odepchnęłam ją od siebie tak daleko jak mogłam. Sułtan sam powiedział, że obecnie władcy są inni. A Ahmed braki w sile nadrabiał swoją dobrocią. Był lepszy od większości z nas. Był tak dobry, że Shazad nie wahała się ani chwili zabierając Delilę do Saramotai. Byliśmy nieposłuszni naszemu władcy. Nie baliśmy się konsekwencji.

Shazad powiedziała, że tylko kiepski władca musi posługiwać się strachem, żeby wymusić posłuszeństwo na swoich ludziach. Może nie byłam tak dobra z filozofii, ale wydawało mi się, że bez posłuszeństwa człowiek w ogóle nie jest władcą.

Czy Ahmed naprawdę będzie zarządzał całym krajem, jeśli nawet nie potrafi zapanować nade mną, Shazad i swoją siostrą?

– Zrobiłbym wszystko dla tego kraju, Amani. Teraz też. – Uśmiechnął się wyrozumiale. – Przyznam ci rację, że raczej nie wybrałbym Kadira na swojego następcę, gdyby nie próby Sultrima. – Bawił się nóżką kielicha i chyba lekko odpłynął myślami.

– A kogo byś wybrał? – Nie byłam pewna, czy zapytałam szczerze, czy może chciałam przekonać się, czy zna swoich synów na tyle, żeby móc któregoś wybrać. Ale Sułtan na poważnie rozważał moje pytanie.

– Rahim jest dużo silniejszy niż mi się wydawało, gdy był chłopcem. – Brat Leyli. Książę, który ubierał się jak żołnierz, który przeciwstawił się Kadirowi na dworze i który zasiadał z Sułtanem podczas narady wojennej. – Chyba byłby

dobrym władcą, gdybym trzymał go bliżej siebie. I gdyby nie dawał się ponosić emocjom. – Światło wpadające przez kopułę odbiło się od krawędzi kielicha, który Sułtan obracał w palcach. – Ale szczerze mówiąc, gdyby tylko wychował się w pałacu, Ahmed byłby najlepszym wyborem. – Dałam mu się podejść.

– Masz na myśli Księcia Buntownika – powiedziałam, świadoma, że wkraczam na niebezpieczny grunt.

– Mój syn wierzy, że pomaga krajowi; wiem, że tak sądzi. – Nazwał Ahmeda swoim synem. Ahmed zawsze nazywał Sułtana swoim ojcem. Jin nigdy. Dla Jina był zawsze Sułtanem. Jakby próbował zerwać wszelkie więzi między sobą a ojcem. Ale wydawało się, że Ahmed i Sułtan aż tak bardzo nie pragnęli zrywać więzów. – Kłopot z wiarą polega na tym, że ona nie jest równoznaczna z prawdą.

Moja pamięć przeniosła mnie w spokojny obszar mojego umysłu, gdzie przechowywałam większość wspomnień o Jinie. Noc na pustyni. Jin mówi mi, że wiara jest językiem obcym dla logiki. Ale co nam bez nich zostaje?

Sułtan odstawił kielich. Wytarł palce z tłuszczu i mięszu pomarańczy, po czym wyjął z kieszeni znajomą żółtą kartkę. Była złożona i wyglądała na zniszczoną od ciągłego składania i rozkładania. Zza stołu dostrzegłam słońce Ahmeda do góry nogami. *Nowy świt. Nowa pustynia.*

– Ma bardzo dobre pomysły – powiedział Sułtan. – Ale uczestniczyłaś dziś w radzie, Amani. Czy sądzisz, że mój syn wie, ile rewolwerów możemy obiecać Gallanom, nie nadwerężając własnych zasobów? Czy sądzisz, że wie, że albiska królowa, ostatnia w długiej linii czarodziejek, prawdopodobnie nie ma już mocy potrzebnej do obrony kraju? Że xichański cesarz nie wybrał jeszcze następcy, a jego krajowi grozi wybuch wojny domowej? – Naprawdę czekał na moją odpowiedź.

– Nie wiem. – To była prawda. Nie byłam wtajemniczona

we wszystko, co wiedział Ahmed. Ale gdybym chciała być dokładniejsza, gdybym była szczerą, podałam mu prawdziwą odpowiedź. *Nie, nie wie.*

– Gdyby świat był prostszy – powiedział Sułtan, wygładzając ulotkę na stole – bylibyśmy wolni od zagranicznych potęg, bylibyśmy niepodległym narodem. Ale jesteśmy krajem otoczonym granicami, mamy sprzymierzeńców i wrogów za każdą z nich. I w przeciwieństwie do mojego syna, nie interesuje mnie angażowanie wszystkich ludzi do jego obrony. Jak sądzisz, ilu zwykłych ludzi, mężczyzn i kobiet, umarło, walcząc za jego przekonania?

Przed oczami pojawiła mi się twarz Rany. Małej Półdzinki z Saramotai. Zabitej zabłąkaną kulą. Patrzyłam, jak gasło światło w jej rękach, gdy uciekało z niej życie.

Potrzebowała jej armia Sułtana. Ale gdybyśmy nie próbowali jej uratować, znajdowałyby się teraz na moim miejscu. Mogłaby siedzieć na miękkich poduszkach, mieć czyste włosy przepłukane lawendą, a usta lepkie od kandyzowanych pomarańczy. Zamiast tego zmieniła się w proch na stosie pogrzebowym, który został rozsypany na pustyni.

– Jeśli tron przejdzie w inne ręce, zostaniemy najechani. Mój syn jest idealistą. Idealiści bywają świetnymi przywódcami, ale nigdy nie są dobrymi władcami. Więc powiem ci, co sądzę, Amani. Sądzę, że jeśli rebelia mojego syna ma się kiedyś powieść, jeśli nawet zyska takie poparcie, że rzuci cień na moje panowanie, zostaniemy rozszarpani na strzępy przez obcych. Dojdzie do całkowitego zniszczenia Miraji, tak jak mogło się stać podczas rządów mojego ojca.



ROZDZIAŁ 24

Kiedy wróciłam do haremu, było bliżej świtu niż zmierzchu. Wzdrygałam się w panującej tu ciszy. Mój strach stawał się w niej głośniejszy.

W obozie buntowników nigdy nie było naprawdę cicho, nawet w środku nocy. Słysząc było szcęk broni tych, którzy trzymali wartę. Szept nocnych rozmów. Szelest papieru dochodzący z namiotu Ahmeda, który rozmyślał jeszcze długo po tym, jak reszta z nas przestała. Tutaj każdy odgłos nocy maskowany był szumem płynącej wody lub świergotem ptaków.

Palce miałam tłuste od mięsa kaczki i lepkie od słodczy pomarańczy. Wytarłam je o rąbek ubrania, gdy wchodziłam do pokoju, ściągając koszulę przez głowę.

– A cóż to za pora, droga pani? – Aż podskoczyłam, słysząc czyjś głos. Puściłam koszulę i sięgnęłam po broń, której nie miałam. Zmęczenie i zaskoczenie sprawiły, że przez chwilę niewiele widziałam. Na moim łóżku siedział ktoś ubrany w khalat. Khalat, który znałam... ponieważ należał do Shazad, jak uświadomiłam sobie po chwili. Ale osoba, która go założyła, była co najmniej o głowę wyższa od Shazad i szersza w ramionach, przez co materiał był napięty do granic możliwości. Intruz zakrył twarz szimą, spod której wystawał jeden jasny lok opadający na jasnoniebieskie oczy.

Sam.

– Co, do cholery, tu robisz? – syknęłam, rozglądając się nerwowo i siadając na macie naprzeciw niego. – Ktoś mógł cię zobaczyć.

– Och, widziało mnie mnóstwo ludzi – powiedział ciszej. Poluzował chustę na twarzy. Tym razem była dobrze

zawiazana; moglam sie tylko domyslac, ze gdy omotywal sie nia niezdarnie jak dziecko, wkurzal tym Shazad tak samo jak mnie. – Ale kto zwraca tu uwage na kobiete? – Mial racje. Kobiety pojawialy sie i znikaly z haremu i nikt nawet nie mrugnal okiem. – To pomysl Shazad. Powiedziala, ze lepiej, zeby cie nie przytapano w lozku z mezczyzna. Chociaz nie wiem, czy mam odpowiednia figure, zeby nosic ten khalat. – Pogladzil sie po talii, jakby probowal dopasowac stroj do swojej sylwetki.

– Nie martw sie, zadne z nas nie jest w stanie wygladac w khalacie tak jak Shazad – powiedzialam. Ale cos nie dawalo mi spokoju. – Jin jeszcze nie wroutil. – To nie bylo pytanie. Nawet sie nie zajaknelam, gdy wypowiedzialam te slowa. Bo gdyby Jin wroutil, Sam nie przyszedlby tutaj w pojedynke.

Sam wyciagnal sie na wznak i podlozyl sobie rece pod glowe.

– To ten zagubiony brat Ksiecza Buntownika, o ktorym ciagle mowia? Jak mniemam, wolaabyś, zeby to on czekal na ciebie w lozku. – Puscil do mnie oko.

Nie skomentowalam.

– Bylby rownie przekonujaca kobieta jak ty – powiedzialam. – Masz makijaz?

– O, tak. Shazad mnie pomalowala – powiedzial z dumą.

– Pewnie cie lubi. Bylam jedyna osoba, ktorej zwykle robila makijaz.

– Martwila sie o ciebie, gdy nie przyslas na spotkanie pod Sciana Płaczu. – Nie stawilam sie na spotkanie, bo w pewnym momencie zrezygnowalam z prob wymigania sie od posilku z Sułtanem. – Niepokoilam sie zwlaszcza tym, ze moglas zrobic cos typowego dla Amani i dac sie przytapanac, to sa jej slowa. Kazala sie wszystkim spakowac i byc gotowym do drogi, jezeli nie odnajde cie do rana.

Gdzieś w polowie kolacji z Sułtanem przestalam sie bac, ze

dowie się, kim jestem. Słowa Sama ściągnęły mnie na ziemię i przypomniały, że nie ryzykowałam tylko swojego życia. Już raz zostaliśmy namierzeni.

– Czekałem tak długo, że już zacząłem się martwić, że miała rację i że będę musiał na stałe wcielić się w postać Niebieskookiego Bandyty. A gdy dowiedziałem się, co oznacza „coś typowego dla Amani”, nie byłem pewien, czy sprostam zadaniu. Czy naprawdę rzuciłaś się pod kopyta Buraqi? Gdybym to zrobił, miałbym pogruchotane zębra.

Przewróciłam oczami, pozwalając, żeby jego dowcip umniejszył moje poczucie winy.

– Mam silną motywację, żeby pozostać przy życiu... – Nie dokończyłam. Nie mogłam powiedzieć mu, że Shazad niepotrzebnie się martwiła. W końcu prawie zostałam stratowana przez Buraqi i to dwa razy. A tego wieczoru siedziałam naprzeciw naszego wroga i rozmawiałam o Ahmedzie. – Możesz powiedzieć Shazad, że żyję. I że mogę się swobodnie poruszać po pałacu. Powinieneś zacząć właśnie od tego. – Położyłam się koło niego. – Zanim powiesz jej, że nie przyszedłam na spotkanie, ponieważ jadałam kolację z Sułtanem.

Sam parsknął śmiechem tak głośnym, że obawiałam się, że może kogoś obudzić. W haremie ściany były cienkie.

– A o czym buntowniczką może rozmawiać z Sułtanem? Co prawda moja mama zawsze mówiła, że przy stole nie rozmawia się o polityce, więc może komentowaliście pogodę? Chociaż, o ile się nie mylę, tutaj zawsze panuje taka sama pogoda.

Nadal czułam smak pomarańczy na ustach, gdy przesunęłam językiem po wargach. Zastanawiałam się, co powiedział Sułtan o tym, że próbuje powstrzymać wojnę. Wojnę, którą Ahmed podsycy. Wiedziałam, że podanie tej informacji pomogłoby rebelii, ale zaszkodziłoby Miraji.

– Sułtan zamierza przejąć Saramotai. – Sięgnęłam pod

koszulę i wyjęłam mapę z trasami dostaw. Rysunek zbroi Noorshama miałam owinięty wokół ramienia. – Pięciuset ludzi opuści Izman za trzy dni, pomaszerują w stronę miasta przez Iliaz. – Sam nic nie mówił, gdy spod ubrań wyciągałam poufne dokumenty. – Będzie ich zbyt wielu, żeby dało się ich zatrzymać. Izz i Maz mogą polecieć tam przed nimi, żeby ostrzec i ewakuować ludzi.

– Dokąd ich ewakuować? – spytał Sam.

– Nie wiem. – W końcu wyjęłam mapę Izmanu, którą miałam za gumką spodni i wyciągnęłam obolałe nogi na łożu z poduszek, tak że dotykałam nimi pożyczonego khalatu Sama. – Ale można ich stamtąd zabrać albo ktoś może namówić Ahmeda, żeby pozwolił Delili spróbować stworzyć iluzję, że całe miasto zniknęło, żeby ogłupić oddziały Sułtana. Powiedz to Shazad. Będzie wiedziała, co robić.

– Wydaje się, że ty wiesz już teraz.

Wzruszyłam ramionami. Przez ostatnie pół roku przysłuchiwałam się, jak Shazad i Ahmed tworzą różne strategie. Nauczyłam się tego i owego. – Jeszcze coś. – Przedstawiłam Samowi ruchy innych żołnierzy, starając się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły zasłyszane podczas narady wojennej. Wielu uda się na południe, na terytorium, które należało do Ahmeda. Wyczuwają słabość. Ale to tylko dywersja, bo Saramotai jest jedynym miastem, które zamierzają nam odebrać.

– Kiedy wojsko wyjdzie z miasta, nie będzie tu tylu żołnierzy – powiedziałam. – Shazad mówiła, że buntownicy nie mieli nic do roboty, więc to dobry moment, żeby to zmienić. To trasy dostaw dla armii, ale nie wiem, co oznacza to. – Wskazałam czerwone kropki. – Chyba warto się im przyjrzeć. – Podałam mu dokumenty oraz wszystko to, co zdołałam zapamiętać z narady wojennej, każdy ryzykowny krok w stronę pokoju w Miraji, który mogliśmy zepsuć, przechwycić i użyć jak broń podczas rebelii. Próbowałam

otrząsnąć się z wrażenia, że każde wypowiedziane słowo czyni ze mnie zdrajcę własnego kraju.



ROZDZIAŁ 25

Teraz, gdy mogłam opuszczać harem, spędzałam w nim jak najmniej czasu. Pałac mógłby być jałowym klepiskiem konkurującym atrakcyjnością z Ostatnim Okręgiem, a mnie by to nie przeszkadzało, jeśli tylko byłam z dala od Kadira i Ayet oraz reszty jego żon.

Byłam potrzebna przez kilka godzin dziennie, by asystować Sułtanowi podczas spotkań. Spotykał się osobno z każdą zagraniczną delegacją. Ambasador Albiszu był starym mężczyzną z bladymi, pokrytymi plamami dłońmi, które trzęsły się tak bardzo, że nie mógł utrzymać pióra. Podśluchałam, jak mówił swojemu sekretarzowi, że przypominam mu jego wnuczkę. Nie kłamał tak perfidnie jak Gallan, ale nie był całkowicie szczery. Może i wydawał się przyjemniejszy, ale on też czegoś od nas chciał, podobnie jak Gallanie. Xicha nie miało ambasadora. Przysłali generała, który podejrzliwie mierzył mnie wzrokiem, gdy tylko się odezwałam.

Podczas spotkań siedziałam za Sułtanem po jego prawej stronie, żeby mógł na mnie patrzeć, kiedy przemawiał jego gość, by sprawdzać, czy mówi prawdę. Przysłuchiwałam się mężczyznom negocjującym warunki zawieszenia broni. Dowiedziałam się o bardzo wielu sprawach. Dowiedziałam się, gdzie stacjonują obce wojska przy naszych granicach. Dowiedziałam się, komu Sułtan ufa i co wie o rebelii. Jego syn Rahim, brat Leyli, brał udział w każdym spotkaniu. Rzadko się odzywał, chyba że ojciec o coś go pytał. Kilka razy przyłapałam go na tym, że się na mnie patrzy.

Po kilku spotkaniach przekonałam się, że nie uda mi się całkowicie unikać Kadira, będąc poza haremem. Od czasu

do czasu pojawiał się na negocjacjach i wpychał się pomiędzy innych siedzących przy stole. W przeciwieństwie do brata wyrażał swoją opinię, nie czekając na zachętę ojca. Raz zauważyłam, że jeden z ministrów przewraca oczami, słuchając wypowiedzi Kadira.

Kadir był jedyną osobą, która potrafiła sprawić, że Książę Rahim odzywał się niepytany. Gdy dwaj książęta znajdowali się w jednym pomieszczeniu, w powietrzu aż iskrzyło. Przypomniałam sobie, że Sułtan powiedział, że Rahim byłby dobrym Sultrimem, gdyby nie dawał się ponieść emocjom. Jak dotąd nie widziałam żadnych innych emocji oprócz nienawiści do Kadira.

Każdego wieczoru wracałam do haremu, żeby spotkać się z Samem o zmierzchu i przekazać to, czego się dowiedziałam.

Reszta dnia należała do mnie i mogłam ją spędzać poza murami haremu. Chodziłam, gdzie chciałam, ale cały czas unikałam obcokrajowców, którzy stopniowo napływali do pałacu. Miałam do wyboru ponad setkę ogrodów, w których kwitło tyle kwiatów, że czasem trudno było otworzyć bramę. Czasem też przez ich mury przenikała muzyka niesiona wiatrem pachnącym solą i świeżym powietrzem. Dopóki nie wspięłam się na wieżę, z której rozciągał się widok na wodę, i wiatr nie zaczął szarpać moich ubrań i włosów, nie wiedziałam, że jesteśmy nad morzem. Na morzu spędziłam niewiele czasu, wciąż byłam związana i pod wpływem jakichś medykamentów. Ale nie poruszyło mnie wspomnienie morza, lecz myśl o tym, jak siedziałam na zakurzonej podłodze sklepu, tak daleko od morza jak to możliwe i opuszkami palców muskałam tatuaże na skórze Jina.

Raz wyszłam za róg i natknęłam się na kulejącą postać, tak dobrze mi znaną, że już miałam odwrócić się i uciec. Gdy go zobaczyłam, zatrzymałam się tak gwałtownie, że wpadł na mnie służący, który towarzyszył mi tego dnia.

Zażenowanie na jego twarzy było jedynym uczuciem, jakie udało mi się dostrzec u któregoś z nich. Dobrze wiedzieć, że gdzieś pod mundurem byli ludźmi. Okazało się jednak, że to był tylko jakiś albiski żołnierz zraniony mirajińską kulą przed zawieszeniem broni. Poza tym Tamid już nie kulał, jak sobie przypomniałam.

Dobrze się kryłam, udając, że włóczę się bez celu. Ale Sułtan nie był tak głupi, żeby dać mi całkowitą wolność w pałacu – każdego dnia rano przy bramie haremu czekał na mnie żołnierz, który podążał za mną jak cień. Żołnierz zmieniał się co dnia i żaden się do mnie nie odzywał, chyba że miał mi powiedzieć, że mam udać się na spotkanie. Gdybym próbowała wejść tam, gdzie nie powinnam, mój strażnik zagroziłby mi drogę i stanął między mną a miejscem, do którego zmierzałam, niczym dobrze uzbrojony mur, na który patrzyłam w zdumieniu, dopóki nie pojęłam aluzji.

Ale nie zamierzałam się poddawać. Musiałam wrócić do Bahadura. Dżina. Mojego ojca. Nowej, tajemniczej broni Sułtana. Musiałam znaleźć sposób na jego uwolnienie, zanim Sułtan użyje go do zmiecienia nas z powierzchni ziemi.

≈≈≈

Wolałabym nie znać uczucia zagrożenia, które pojawiło się tuż po przebudzeniu. Harem mnie zmiękczał. Dawniej budziłam się, czując obecność intruza, zanim jeszcze podszedł na tyle blisko, żeby przyłożyć mi nóż do gardła.

Usiadłam, serce biło mi panicznie, byłam gotowa na zagrożenie, z którejkolwiek strony miało nadejść. Od żołnierzy. Od złych duchów.

Gorzej. To Ayet.

Światło księżyca odbijało się od ostrza, które odsuwała ode

mnie. Nie, to nie był nóż, tylko nożyczki. Bardziej niebezpieczny od nich był uśmiech na jej twarzy. W drugiej ręce trzymała długi, ciemny warkocz.

Podniosłam rękę do głowy. Ostatnim razem włosy obcinała mi mama, tuż przed śmiercią. Od tej pory urosły tak, że sięgały do połowy pleców, chociaż przez większość czasu chowałam je pod szimą. Teraz kończyły się krzywo tuż nad ramieniem.

– Przekonajmy się, czy dalej będzie cię pożądał, gdy wyglądasz jak chłopak. – Ayet z jadowitym uśmiechem owinęła sobie wokół palca moje obcięte włosy.

Poczułam gniew, większy niż powinnam w tak błahej i próżnej sprawie. Nieważne, że to było głupie i próżne. Skoczyłam tak szybko, jak umiałam. Zanim zdążyła odskoczyć, zabrałam jej nożyczki. Nie mogłam jej skrzywdzić, ale ona o tym nie wiedziała. Przytknęłam ostrze do jej gardła i z satysfakcją patrzyłam na jej przerażenie.

– Posłuchaj mnie. – Chwyciłam ją za przód khalatu, zanim zaczęła uciekać. – Radziłam sobie z gorszymi rzeczami niż twoja zazdrość o lubieżne spojrzenia twojego męża. Więc może przeniesiesz ją na kogoś, kto naprawdę chce ci go ukraść?

Ayet zaśmiała się gorzko, nie zważając na nożyczki dotykające jej szyi.

– Sądzisz, że to zazdrość? Uważasz, że pragnę Kadira? Jedyne, czego pragnę, to przeżyć w haremie. To miejsce jest jak pole bitwy. Chyba o tym wiesz. Więc co zrobiłaś z Mouhną i Uzma?

– O czym mówisz? – Z całych sił starałam się unikać Kadira i jego żon, więc niezbyt często zaglądałam do haremu i nie widziałam Uzmy od czasu, gdy chciała poniżyć mnie na dworze.

– Uzma zniknęła. – Ayet skrzywiła się, ale widziałam strach w jej oczach. Dziewczyny padały jak muchy, a jedyne, co

miała na swoją obronę, to para nożyczek. – Mouhna też. Ludzie znikają z haremu przez cały czas. Ale Kadir ma tylko cztery żony z Miraji. A potem pojawiaasz się ty i dwie z nich znikają. Uważasz, że to zbieg okoliczności?

– Nie. – Zbiegi okoliczności nie mają tak okrutnego poczucia humoru. Jin tak kiedyś powiedział. – Ale wiem, że to nie moja sprawka.

≈≈≈

Następnego dnia aż do południa szukałam Shiry. Leżała na tronie z poduszek w cieniu wielkiego drzewa i była obsługiwana przez tuzin służących. Dwie kobiety stały na straży, jedna kładła chłodne chusty na jej skórze, inna ją wachlowała, jeszcze kolejna masowała jej stopy. Ostatnia nic nie robiła, ale była gotowa do usługiwania, w rękach trzymając dzban, na którym skraplała się woda. Była zaczerwieniona i wyglądała na zmęczoną, bo stała poza obrębem cienia.

Wyglądało to tak, jakby przyszedł Sułtan Miraji miał już swój własny dwór, chociaż tak naprawdę był synem fałszywego Niebieskookiego Bandyty. A Shira korzystała z niego przez kilka tygodni przed jego narodzinami. Dzielila ją długa droga od Dustwalk.

Gdy podeszłam, drogę zagroziła mi jedna ze służących stojących na warcie.

– Błogosławiona Sultrima dzisiaj nie ma ochoty na towarzystwo.

Pewnie, błogosławiona Sultrima jest dziś tak samotna jak pustelnik. Miałam to na końcu języka, ale moja natura Półdzina nie rozróżniała sarkazmu od kłamstwa. Musiałam się zadowolić uniesieniem brwi i spojrzeniem na otaczający ją tłumek. Kobieta chyba nie doceniła mojej ironii.

– Shira! – krzyknęłam ponad ramieniem służącej. Podniosła głowę, żeby na mnie spojrzeć, nie przestając rozkoszować się daktylem. Wyglądała na zirytowaną, ale dała znak ręką.

– Przepuść ją. – Służąca niechętnie odsunęła się na bok. Spojrzałam znacząco na Shirę.

Z kolejnym przesadnym westchnieniem kazała im odejść. Wszystko, od machnięcia ręką po pozycję jej ciała sprawiało wrażenie leniwego znudzenia, ale patrzyła na mnie bystrym wzrokiem. – Więc po to Ayet potrzebowała nożyczek – powiedziała na powitanie, gdy jej dwór się rozpierzchł. – Tak się zastanawiałam i wiesz, sama wiele razy chciałam obciąć ci włosy, gdy spałaś koło mnie w Dustwalk, ale w końcu zawsze się rozmyśliłam, bo wydawało mi się, że może ci być ładnie w krótkich włosach. – Pokiwała głową. – Chyba się myliłam.

– Kazałaś Samowi przeszmygłować nożyczki? – Bezwiednie dotykałam włosów, które nie sięgały mi nawet do ramienia, ale zaraz opuściłam rękę, gdy zorientowałam się, co robię. Ale Shira już zdążyła zauważyć.

– Jesteś zaskoczona? – Pogłaskała się po wypiętym brzuchu.

Chyba nie byłam. Byli dla siebie jedynie sposobem na dojście do celu, ale ona nosiła w sobie dziecko, które znaczyło wiele dla obojga z nich. Jednak Sam stał teraz po naszej stronie. Fakt, że nadal mógł się narażać w innych przedsięwzięciach, podczas szmyglowania informacji dla nas, sprawił, że poczułam się nieswojo. I skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie byłam wcale zła, że przekazywał informacje ode mnie, a jednocześnie przykładał rękę do poniżania mnie, gdy tylko odwróciłam wzrok.

– Bądź wdzięczna, że odmówiłam załatwienia noża. Podcięte gardło pasowałoby ci jeszcze mniej – machnęła dłonią – niż to.

Przełknęłam ripostę. Nie mogłam dać się wciągnąć w wojnę na słowa z moją kuzynką.

– W co ty pogrywasz, Shira?

– Gra nazywa się „przeżycie”. – Shira wyciągnęła do mnie rękę, rozczapierzając palce jak grymaśny dzieciak. Chwyciłam jej dłoń i pomogłam usiąść, żeby mogła na mnie patrzeć wprost, a nie z pozycji leżącej. Poruszała się powoli, jedną rękę położyła ochronnym gestem na brzuchu. – Zrobiłabym wszystko, żeby chronić syna.

– A co zrobisz, jeśli twój syn będzie wyglądał jak Sam? – zapytałam. – Mogę ci zdradzić, że niebieskie oczy wyglądają bardzo podejrzanie wśród ludzi pustyni.

– Nie będzie – powiedziała z taką determinacją, że prawie uwierzyłam, że potrafi zaklinać rzeczywistość, chociaż to ja z nas dwóch byłam Półdżinem. – Nie po to zrobiłam tak wiele, żeby miało mi się nie udać na samym końcu. Wiesz, jak ciężko pracowałam nad tym, żeby nigdy nie być sama w haremie, odkąd dowiedziałam się, że jestem w ciąży? Przehandlowałam te nożyczki za sekret Ayet, którego mogę użyć jako tarczy przeciw niej. Muszę trzymać ją z dala od siebie, a nie z dala od *ciebie*. Nie zrozum mnie źle, jesteś wspaniałym odwróceniem uwagi. Ale kiedy urodzę, to będzie koniec z jego pozostałymi żonami, chyba że one też dadzą mu syna. A nie mogą. I wszystkie o tym *wiedzą*. Więc naprawdę sądzisz, że Ayet jest ponad to, żeby pozbyć się ciężarnej, by ratować swoje życie? Widziałam, co zrobiłaś, żeby przeżyć, Amani. Wiem, że to rozumiesz.

Tamid wykrwawiający się na piasek. Odepchnęłam od siebie to wspomnienie.

– To dlatego Mouhna i Uzma zniknęły? Żebyś przeżyła?

– Interesujące. – Shira włożyła do ust kolejnego daktyla. – A ja sądziłam, że Mouhna i Uzma to twoja sprawka. Tym bardziej, że tak się ostatnio zakumpłowałaś z Sułtanem. Nie były dla ciebie zbyt miłe. Wygląda na to, że masz możliwość

pozbycia się ich, jeśli tylko zechcesz...

Gdybym chciała się ich pozbyć, zaczęłabym od Ayet.

– Więc jeśli nie była to ani twoja, ani moja sprawka... Dziewczyny tak po prostu nie rozpływają się w powietrzu.

– A przynajmniej nie w prawdziwym życiu. – Shira oblizwała usta. Pomiędzy jej brwiami pojawiła się zmarszczka, jakby się głęboko zamyśliła. Po chwili znowu skupiła się na mnie.

– Powiedzmy, że potrzebowałam twojej pomocy. – Shira zdjęła szmatkę z czoła. – Czego chciałabyś w zamian?

– Dlaczego miałabym ci pomagać? – Skrzyżowałam ręce na piersiach. – Gdybym czegoś potrzebowała, mogę cię wydać. Już zmusiłaś mnie do milczenia za kontakt z Samem. Co jeszcze mogę od ciebie dostać?

– Jesteś o wiele gorsza w grze o przeżycie niż sądziłam. – Shira naprawdę się zirytowała. Jakbyśmy znowu były dziećmi, a ja okazałam się zbyt głupia, by zrozumieć zasady jakiejś gry, którą wymyśliła na boisku.

– Więc czemu nie powiesz mi, jak mam grać?

– Chcę informacji – powiedziała Shira. – Widziałam cię z Leylą. Tą chudą księżniczką bez żadnego wdzięku.

– Czego od niej chcesz? – Zabrzmiało to defensywnie nawet w moich uszach. Jeśli już pojawiałam się w haremie, przebywałam zwykle z Leylą. Razem jadłyśmy. To znaczy ja jadłam, a jej danie stygło, bo całą uwagę poświęcała jakiejś mechanicznej zabawce, nad którą właśnie pracowała.

– Coś knuje – powiedziała Shira.

– Leyla? – Nie udało mi się pozbyć sceptycznego tonu. – Czy to te zabawki, które robi dla dzieci, wzbudzają twoje podejrzenia, a może fakt, że sama jest jeszcze jak dziecko?

– Chodzi i węży. – Shira sięgnęła po kolejny okład chłodzący. – Wychodzi z haremu i nie wiem, dokąd chodzi. Nie mogę iść za nią. Ale ty możesz.

– Chcesz wiedzieć dokąd chodzi? – Trudno było to traktować poważnie, kiedy oskarżała kogoś dwa lata

młodszeo od nas. – Martwisz się *Leylą*?

– Oczywiście, że nie. – Shira wywróciła oczami. – Martwię się jej bratem. – Księciem Rahimem. – Aha. Teraz to brzmiało sensowniej. – Mówi się, że jest faworytem Sułtana. – To było prawdą. Pamiętałam, co Sułtan powiedział o Rahimie, gdy jedliśmy kaczkę.

– Uważasz, że ma zakusy na przejęcie tronu. – Nagle pojęłam, do czego zmierza. Pomiędzy Rahimem a Kadirem nie było miłości. Nie wiedziałam jednak, czy nienawidzi go aż tak, żeby porywać jego żony. Ale jeśli tak robił, Shira mogła być jego kolejnym celem.

– Och, popatrz, popatrz, nie jesteś aż tak głupia, jak mogłoby się wydawać. – Shira położyła wilgotną szmatkę na czole, z której popłynęły strużki wody, skapując po jej brwiach i policzkach. – Plotka głosi, że zanim Kadir udowodnił, że jest w stanie począć dziedzica – pogłaskała się po brzuchu – Sułtan był bliski odebrania mu tronu. Mówiono, że Rahim był jego faworytem. Dlaczego wrócił na dwór, skoro jest dowódcą w Iliaz? – Ta nazwa sprawiła, że aż zakłuło mnie w boku, w miejscu gdzie miałam bliznę po kuli. Iliaz przypominało mi, że zostałam postrzelona.

– Jeśli rzeczywiście zależy mu na tronie i wykorzystuje wiedzę siostry o haremie, żeby się na niego wspiąć, chcę o tym wiedzieć. I na pewno jest coś, co chcesz w zamian za informacje o Leyli i jej bracie.

Leyla pomogła mi, kiedy chciałam wydostać się z haremu. Była moją przewodniczką w pierwszych dniach w haremie. Uratowała mnie od Kadira. Była kimś, kogo mogłam nazwać przyjacielem za tymi murami.

A ja już nie byłam tą dziewczyną, która zdradza przyjaciół. Ale Shira nic o tym nie wiedziała. Znała mnie jako dziewczynę z Dustwalk, która zostawiła Tamida wykrwawiającego się na piasek. Która zrobiłaby wszystko, żeby dostać to, czego chciała.

Nagle zaświtała mi w głowie pewna myśl. Szukałam sposobu na pozbycie się strażnika. To może mi pomóc.

– A jeśli będę potrzebowała odwrócenia uwagi? Żeby zniknąć strażnikowi z oczu.

– Czy odwróceniem uwagi może być ciężarna Sultrima udająca, że zaczyna rodzić kilka tygodni przed terminem? – Szybko załapała, o co chodzi.

– A ludzie w Dustwalk mawiali, że jesteś tak samo głupia jak ładna. – Nie mogłam się powstrzymać od tego przytyku. Nadal byłam na nią zła o moje włosy.

– Przeżyłam całe szesnaście lat w tym miasteczku, nie pakując się w tyle kłopotów, co ty – zauważyła. – A po co ci odwrócenie uwagi? Próbujesz się wymknąć, żeby spotkać się z pewnym kaleką chowającym się w pałacu? Ponieważ powinnaś wiedzieć, że raczej nie zostaniesz tak ciepło powitana, jak byś chciała.

– Tamid to nie twój interes. – Wbiłam kciuk w kawałek metalu pod skórą ramienia. To był mój tik nerwowy. Znalazła mój czuły punkt. Uśmiech na jej twarzy świadczył, że już o tym wiedziała.

– Och, więc wiesz, że on tu jest. – Odpowiedź była wypisana na mojej twarzy. – Zabrali nas oboje. Ponieważ ty nas opuściłaś. Przypuszczałam, że jesteś lepsza w grze o przetrwanie niż się wydawało.

– Chciałaś odejść, bo Fazim z tobą skończył. – Ten cios spadł z taką mocą, że prawie pożałowałam swoich słów w chwili, gdy zobaczyłam zaskoczenie na jej twarzy. Ale ona uderzyła pierwsza. Zabawa w kotka i myszkę nie była najlepszym pomysłem, gdy od dziecka znało się swojego przeciwnika. W tym przypadku nie będzie zwycięzcy.

Shira założyła z powrotem maskę Sultrimy.

– Powiedz, że przyniesiesz mi informację o Leyli, a odciągnę od ciebie uwagę. – Wyciągnęła do mnie rękę, aż ciężką od nowych złotych bransolet. Jedna z nich bez wątpienia trafiła

do Sama w zamian za nożyczki, którymi ścięto moje włosy. Niecierpliwie pobrzękiwały. – Umowa stoi?

Chwycałam jej dłoń i pociągnęłam ją w górę.

– Chodźmy.

≈≈≈

Musiałam przyznać, że Shira nie była złą aktorką. Jej wrzaski były tak przekonujące, że kilka razy pomyślałam, że los był tak okrutny, że rzeczywiście przyspieszył jej poród w chwili, gdy miała go udawać. Uwiesiła się na mnie całym ciężarem, gdy przechodziłyśmy przez bramę haremu. Jej krzyki i szloch zagłuszyły moje słowa skierowane do czekającego na mnie strażnika. Był młody i jego oczy wypełniły się panicznym strachem, gdy Sultrima wpadła w jego ramiona.

W ten prosty sposób Shira przestała się wspierać na moim ramieniu, zajęła jego uwagę i ciało, na którym się zwiesiła, pozwalając mi wycofać się poza pole jego widzenia. Przez chwilę odwracał się, żeby patrzeć dokąd idę, bo taki miał rozkaz. Ale kolejny wrzask Shiry szybko odciągnął jego uwagę. A ja już zniknęłam, biegłam ile sił w nogach. Krzyki powoli zostawały w tyle, ja zaś znalazłam się w holu pałacu i zmierzałam w stronę mozaiki z Hawą.

≈≈≈

Mówiono mi, że moje oczy mają kolor morza w słoneczny dzień. Że mają barwę pustynnego nieba. Oczy obcego. Oczy zdrajcy.

Ale prawda była taka, że nigdy nie widziałam niczego, co miałoby dokładnie taki sam odcień jak moje oczy, dopóki

nie spotkałam Noorshama. Mieliśmy oczy po ojcu.

Dziwnie się czułam, gdy te niebieskie oczy patrzyły na mnie. Bahadur siedział w żelaznym kręgu, gdy zeszłam po schodach do pałacowych lochów. Nic nie powiedział, gdy stanęłam na skraju kręgu. Ja też nie.

– Nie powinno cię tu być, prawda? – odezwał się w końcu.

Niewiele myślałam o ojcu, odkąd zrozumiałam, że mąż mojej mamy nim nie był. Mając niebieskie oczy, zawsze sądziłam, że był nim jakiś żołnierz z zagranicy, a ja nie chciałam być w połowie cudzoziemką. Więc nie myślałam o tym wcale.

Moja ciekawość wzrosła, odkąd dowiedziałam się, że jestem Półdżinem. Odkąd powiedziano mi, że moje oczy były znakiem, że ojciec obdarzył mnie mocą. Zastanawiałam się, co poczuję, gdy wreszcie stanę naprzeciw niego.

Nie spodziewałam się, że będzie to aż taka złość.

– Przyszłam tutaj, bo muszę się dowiedzieć, jak cię uwolnić. – Skrzyżowałam ręce na piersi, starając się nie dopuścić do wybuchu gniewu. To nie miejsce ani czas na gniew. – Nie dlatego, że zależy mi na tym, żebyś powiększał liczbę mojego rodzeństwa i płodził Półdżiny, które mogą zniszczyć świat. Ale zależy mi na tym, żeby Sułtan nie wykorzystał cię do unicestwienia swoich wrogów, spalania ludzi i miast. Nie stoję po jego stronie, podobnie jak wielu ludzi, na których mi zależy.

– Tylko raz zakopałem miasto pod piaskiem. – Miał na myśli Massil. Byłam tam z Jinem. Zanim dowiedziałam się, kim jestem. Zanim przemierzyliśmy morze piasku.

– Nie sądzisz, że było to zbyt pochopne? – zapytałam.

Bahadur przyjrzał mi się uważnie, nie mrugając niebieskimi oczami.

– Nie musisz mnie uwalniać, Amani. Istnieję od zarania czasów. To nie jest pierwszy raz, gdy zostałem wezwany i przetrzymywany przez śmiertelnika cechującego się większą

chciwością niż ostrożnością. W końcu zawsze udaje mi się uwolnić, w taki czy inny sposób. Nieważne kiedy to się stanie.

– Cóż, dla mnie to ważne – powiedziałam bardziej natarczywie niż zamierzałam. – Ty możesz żyć wiecznie. Ale dla nas czas płynie nieubłaganie. Nie mam więcej czasu. Żaden człowiek nie ma więcej czasu. A musimy wygrać tę wojnę, zanim umrzemy, bo wielu ludzi straci życie, jeśli przegramy. Powiedz mi więc, skoro byłeś uwięziony już wcześniej, jak brzmią słowa, dzięki którym można cię uwolnić?

– Są jakieś, ale ja ich nie znam. Jest jednak inny sposób. Ten, który już znasz, bo znasz opowieść o Akimie i jego żonie.

Akim był uczonym. Mądrym, ale biednym. Wiedza często nie przynosi bogactwa, choć Święte Księgi twierdzą inaczej. Podczas swoich studiów natknął się na prawdziwe imię Dżina.

Użył go, żeby wezwać Dżina i uwięzić go w kręgu z żelaznych monet.

Pewnego dnia żona Akima zeszła do piwnicy, żeby przynieść cukier i znalazła Dżina. Była zaniebawiana przez męża, który poświęcał się uczonym księgom. Dżin skusił ją bez trudu. Powiedział jej, że jeśli go uwolni, da jej dziecko, którego tak pragnie.

Wobec tego żona Akima przerwała krąg monet, który więził Dżina.

W tym miejscu historii moja mama zwykła robić dramatyczną pauzę, po czym wrzucała garść prochu do ognia. Uwolnienie Dżina równało się wypuszczeniu nieposkromionego ognia.

Dżin spalił żywcem żonę Akima, a wraz z nią resztę domostwa.

– Zabiłeś Akima i jego żonę. – To nie było pytanie. To była

prawda.

– Tak. – Ani śladu żalu. – Może była to lekka przesada – przyznał.

Będziemy musieli przerwać krąg. Tylko że ten nie był zrobiony z monet. Był osadzony w ziemi. Będziemy potrzebowali potężnej energii, na przykład z prochu strzelniczego.

Bahadur był moim ojcem. Chyba nie spali mnie żywcem. Ale nie miałam całkowitej pewności.

– Są inne sposoby, żeby dowiedzieć się, jak mnie uwolnić. Są inni posiadający tę wiedzę. – Bahadur patrzył na mnie ze środka kręgu. Zachowywał się nieludzko spokojnie. Nie wiercił się niespokojnie, nie bawił się ubraniem jak człowiek. – Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu, żeby tu przyjść, Amani?

– Pamiętasz moją matkę? – Nienawidziłam siebie za zadanie tego pytania. Za to, że zależało mi na tym, żeby pamiętać jedną kobietę z wielu, które uwiódł w ciągu tysięcy lat. – Zahię Al-Fadi. Z Dustwalk. Pamiętasz ją?

– Pamiętam każdą. – Czy tylko wyobraziłam sobie zmianę w jego głosie, nieznaczne drgnienie w beznamytnym płaskim tonie, którym się do mnie zwracał? – Twoja matka była bardzo piękna. Wyglądasz jak ona. Uciekła z domu. Szła przez góry. Nie dałaby rady ujść zbyt daleko. Miała zapasy na kilka dni, nie uciekłyby daleko. W końcu zostałyby zmuszona do zawrócenia lub umarłaby w drodze. Wpadłem w jedną z pułapek zastawianych przez twój lud. Taką, jaką zastawia się na Buraqi. Prymitywną, ale w związku z tym, że była z żelaza, zadziałała jak powinna. Zahia mnie znalazła i wypuściła.

– Więc dlaczego jej nie ocaliłeś? – O to chodziło. O to naprawdę chciałam go zapytać. Nie o to, czy moja matka zapisała się w pamięci tego nieśmiertelnego, potężnego stworzenia, ale dlaczego nie zapisała się na tyle, żeby chciał uratować jej życie. – Mogłeś, prawda? Mogłeś ją ocalić.

– Tak. Mogłem pojawić się tego dnia, gdy zamierzali ją powiesić, mogłem ją odciąć i zabrać stamtąd. Jak w tych bajeczkach, które ci opowiadała, jak byłaś dzieckiem. Ale jak by skończyła? Miałem ją trzymać w wieży przez wiele lat jako moją żonę? Była śmiertelna. Nawet ty, która masz odrobinę mojego ognia, pewnego dnia umrzesz. Umieranie to coś, co jest wam pisane. To jedyna rzecz, jaką wszyscy robicie bezbłędnie. Gdybym ją wtedy uratował, umarłaby po prostu później.

– Ale mogłaby dłużej żyć. – Słyszałam łzy w swoim głosie. – Mogłyśmy uciec.

Jej śmierć nie byłaby moją winą.

– Ty przecież uciekłaś – powiedział.

Straciłam cierpliwość.

– Nie męczy cię to, że nigdy, przenigdy, przez całą wieczność niczym się nie przejmujesz? – Nie chciałam przy nim płakać. Byłam wściekła, że tak się stało. Ale było już za późno. Przez łzy usłyszałam kroki. Szli po mnie żołnierze. – Pozwoliłeś powiesić mamę. Pozwoliłeś, żebyśmy z Noorshamem stali po dwóch stronach podczas wojny, chociaż oboje jesteśmy twoimi dziećmi. – Kroki rozległy się za moimi plecami. Krzyczałam. – Stałeś i patrzyłeś, jak wbijałam sobie nóż w brzuch! Powołałeś nas do życia. Dlaczego jesteśmy ci obojętni? – Za późno. Żołnierze już do mnie dopadli, odciągnęli mnie od ojca i pociągnęli do góry po schodach, chociaż się wyrywałam i krzyczałam.

Coś ukłuło mnie w szyję. *Igła w rękach strażnika* – uświadomiłam sobie. Coś mi wstrzyknięto. Od razu się zorientowałam. Coś, co miało mnie uspić.

Nagle zakręciło mi się w głowie. Poczułam, że ziemia wysuwa mi się spod nóg. Upadłabym, gdyby ktoś mnie nie podtrzymał. Silne ramiona.

– Amani. – Moje imię wywołało burzę uczuć. – Mam cię.

Jin.

Nie. Kiedy przejaśniało mi przed oczami, zobaczyłam, że podtrzymuje mnie Sułtan. Był silny. Próbowałam się wyrwać, ale jednym gestem chwycił mnie pod kolanami i niósł w ramionach, jakbym była dzieckiem. Zaczął iść, z każdym krokiem byłam bliżej jego serca.

– Chciałam... – Zaczęłam szukać jakiejś półprawdy, żeby nie zdradzić, co tam robiłam. Język plątał mi się od środka usypiającego, a każdy ruch sprawiał, że było mi niedobrze.

– Chciałaś zobaczyć swojego ojca.

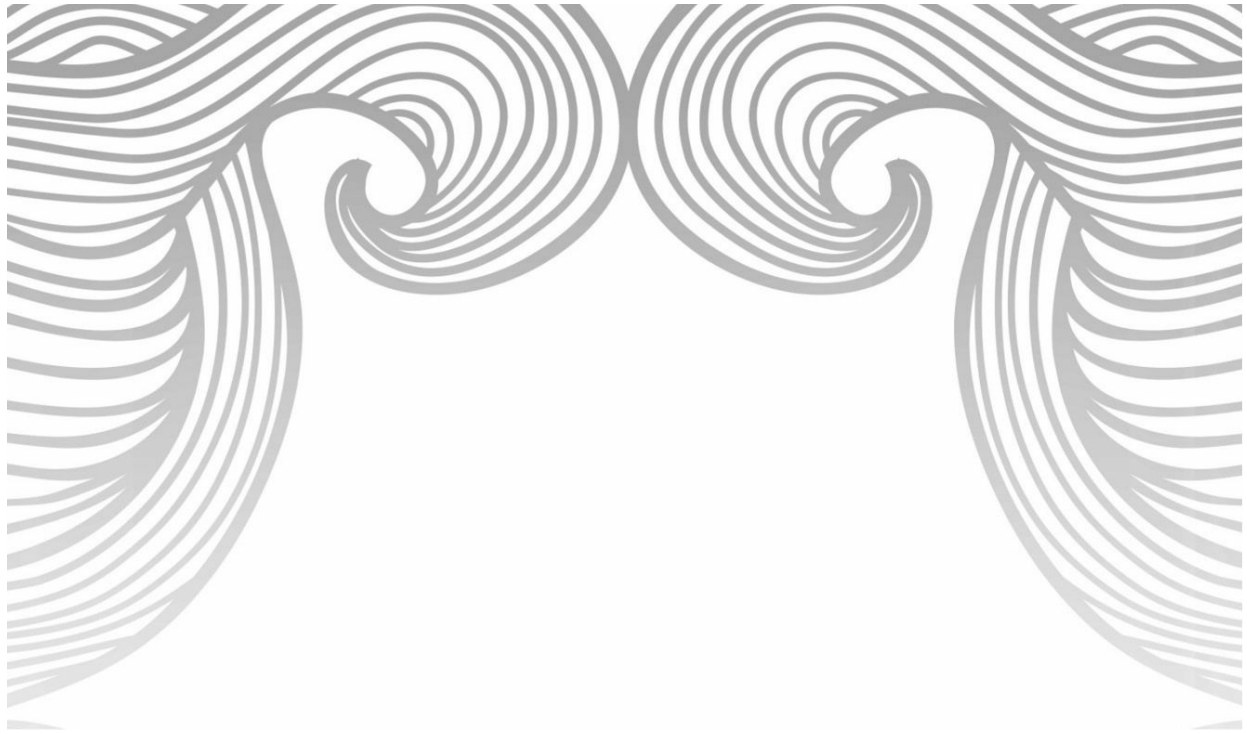
Czekałam na karę. Na gniew. Minęliśmy chłodny cień krużganka i przeszliśmy przez jakieś drzwi. Nade mną rozpościerały się baldachimy drzew, przez ich gałęzie przedzierało się światło słoneczne.

– Tak – przyznałam. I to była najprostsza prawda. Chciałam się z nim skonfrontować. Chciałam wyjaśnień. Zapadałam powoli w sen. Zaczęłam drzeć. Każda cząstka mojego ciała chciała zanurzyć się w ciepłe tulącej mnie osoby. Jakbym była dzieckiem niesionym przez ojca.

Ale on nie był moim ojcem. Był ojcem Ahmeda, Jina, Naguiba, Kadira i Rahima, i był mordercą.

Zdażyłam jeszcze zarejestrować, że znaleźliśmy się w haremie. Poczułam, że Sułtan klęka i kładzie mnie na łóżku pełnym poduszek.

– Ojcowie często nas rozczarowują, Amani.



ROZDZIAŁ 26

Gdy się obudziłam, obok mnie leżał prezent. Ktoś go zostawił, gdy spałam. Podejrzenie starannie zapakowaną paczuszkę owiniętą papierem i wstążką pośród chaosu poduszek rozrzuconych po pokoju. Powoli skupiałam na niej wzrok, gdy wynurzałam się z mgły środka uspokajającego.

Uniosłam się na łokciach, ignorując dzban wody stojący koło mnie. Nieważne jak suche miałam usta, nie chciałam ryzykować, że znowu usnę. Ostrożnie dotknęłam prezentu stopą, spodziewając się, że może to być kolejny podstęp Ayet. Podniosłam go, gdy nic nie wybuchło.

Pod papierem znalazłam niebieską tkaninę. To był khalat. Materiał miał kolor morza, które widziałam krótko z pokładu statku. A rąbek i rękawy wykończone były złotą nicią. Kiedy dokładniej przyjrzałam się haftowi, uświadomiłam sobie, że w najdrobniejszych detalach wyszyto opowieść o księżniczce Hawie. Na prawym rękawie jechała na Buraqi przez pustynię, były nawet maleńkie złote koraliki imitujące piasek spod jego kopyt. To była najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam.

Przez całe życie wystrzegałam się niebieskich ubrań. Nawet jeśli były najtańsze ze wszystkich khalatów dostępnych w Dustwalk – po prostu nie cierpiałam tego koloru. Sprawiał, że moje oczy stawały się jeszcze wyraźniejsze. To był jeden z tysiąca powodów, dla których tak lubiłam czerwoną szimę, którą ukradł dla mnie Jin. Ale tego khalatu nie znieubiłam.

Założyłam go, rozkoszując się dotykiem tkaniny na skórze. Zaświtało mi, że nigdy dotąd nie miałam ani jednej rzeczy, która nie należałaby wcześniej do kogoś innego. Moje

ubrania w Dustwalk dostawałam po kuzynach. Kupowałam ubrania z drugiej ręki w Juniper City, kiedy tam uciekłam. Nawet to, co nosiłam w obozie rebeliantów, należało do Shazad. To była pierwsza rzecz, która naprawdę na mnie pasowała. Została uszyta dla mnie. Wiedziałam, co to znaczy.

Wyrażała przebaczenie za pójście do Bahadura.

Mimo prezentu od Sułtana nie wiedziałam, ile mogłam stracić, wymykając się z haremu. Na pewno jego zaufanie. Prawdopodobnie również i wolność. Nic nie mogło go powstrzymać od zabrania mi przywileju, który mi niedawno przyznał. Mógłby przestać mi ufać i zabronić opuszczać harem. Pogłaskałam kciukiem złotą nitkę na rękawie. W końcu próbowałam go zniszczyć.

Chociaż zwolniłam kroku zbliżając się do bram haremu, nie napotkałam tam żadnych niewidzialnych barier. Przeszłam przez łukowato sklepioną bramę, która prowadziła do pałacu, podobnie jak wczoraj, kiedy Shira utorowała mi drogę w miejsce niedostępne. Nie śmiałam wymykać się strażnikowi. Ale przy bramie nie czekał na mnie batalion żołnierzy. Był tylko jeden człowiek, tak jak zawsze. Ale tym razem nie był to żołnierz. A raczej nie był to wyłącznie żołnierz.

Przy bramie czekał na mnie brat Leyli, Książę Rahim, w mundurze dowódcy, trzymający ręce za plecami. Ten sam, który zabrał głos na dworze i zachowywał się, jakby urodził się na polu bitwy. Ten, który podczas negocjacji patrzył na mnie ciemnymi oczami, sprawiając, że czułam się podenerwowana. Niewiele mówił, ale kiedy się odzywał, miał do powiedzenia coś ważnego.

– Cóż, przynajmniej wiem, że nie będziesz w stanie mnie w tym prześcignąć – powiedział Rahim, patrząc na mój khalat. Podał mi prawe ramię.

– Czy eskortowanie mnie nie jest poniżej godności księcia?

– zapytałam, mijając go i kierując się na znajomą ścieżkę prowadzącą do komnaty rady. Ruszył tuż za mną.

– Zdołałem przekonać ojca, że przydałby się na tym miejscu ktoś z większym doświadczeniem w pilnowaniu ciebie. Ktoś na tyle bystry, by wiedzieć, że Sultrima ma termin dopiero za kilka tygodni. Trzeba przyznać, że podstęp był całkiem udany.

– Czy ma mi schlebiać, że pilnuje mnie dowódca? – spytałam, gdy przechodziliśmy pod łukiem ozdobionym białą-niebieską mozaiką.

Jego usta drgnęły.

– Nie pamiętasz mnie. – To nie było pytanie.

Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Miałam to na końcu języka. Ale słowa nie chciały przejść dalej. Kątem oka popatrzyłam na niego z zaciekawieniem i szukałam w pamięci, gdzie mogłam go widzieć. Gdy po raz pierwszy go zobaczyłam, pomyślałam, że wygląda znajomo, ale złożyłam to na karb jego podobieństwa do Leyli. I do ich wspólnego ojca.

– No więc – poklepał miejsce, gdzie miałam bliznę na biodrze – strasznie szybko zostałam wyeliminowana przez tą kulę.

Poznałam go. Strzał. Zapach prochu. Przeszywający ból w boku. Potem ciemność. W Iliaz. Żołnierz za Jinem unoszący broń, palec już na spuście.

Zatrzymałam się w pół kroku.

– Postrzeliłeś mnie w Iliaz.

– Istotnie. – Rahim szedł dalej, widać było, że czuje satysfakcję z faktu, że byliśmy takimi starymi przyjaciółmi, których połączył proch strzelniczy i bliska śmierć. – Chociaż, szczęśliwie dla nas, wygląda na to, że nie spisałem się najlepiej. Więc mam nadzieję, że mi wybaczysz i będziemy mogli zacząć wszystko od początku.

Wiedział. Widział mnie w Iliaz, co oznaczało, że wiedział,

kim jestem. Wiedział, że nie jestem tylko Półdżinem z Ostatniego Okręgu.

Rahim uświadomił sobie, że przestałam za nim podążać. Zatrzymał się również i odwrócił twarzą do mnie.

– Miałem pewne podejrzenia, gdy tylko cię zobaczyłem tego dnia na dworze. Ale nie miałem pewności, nim czarująca żona mojego brata nie postanowiła... nieco cię obnażyć. – Wyglądał na zakłopotanego, gdy to mówił. Przynajmniej tyle. Ale ja i tak poczułam przyływ poniżenia i aż się zaczerwieniłam. – Wiedziałem, gdy tylko zobaczyłem bliznę na twoim biodrze.

– Więc dlaczego idę na spotkanie rady z tobą, zamiast zawisnąć za kostki w celi i zdradzać twojemu ojcu wszystkie sekrety rebelii?

– Teraz wieszamy ludzi za nadgarstki, nie za kostki – powiedział Rahim. – Dzięki temu krew nie uderza więźnim prosto do głowy i są dłużej przytomni. – Nie wiedziałam, czy to żart.

– Mówił ci ktoś, że nie za dobrze radzisz sobie z prowadzeniem kulturalnej konwersacji?

– To dlatego jestem żołnierzem, a nie politykiem. A raczej byłem nim. – Rahim zabębnił palcami po mieczu u pasa. – Nie jestem w najlepszych stosunkach z ojcem.

– A nie wkupiłbyś się w jego łaski, gdybyś wydał mu Niebieskooką Bandytkę? – zapytałam.

– Mój ojciec nie ma zbyt wiele łaski. Tylko dobrze udaje, że jest łaskawy, gdy mu to pasuje. Co stawia ciebie i mnie po tej samej stronie barykady, jeśli idzie o nienawiść w stosunku do niego.

Uważnie mu się przyglądałam. To musiał być podstęp. Jakiś tajny plan Sułtana. Ale przecież i tak byłam zdana na jego łaskę. Nie musiał podstawić fałszywego zdrajcy, mógł po prostu rozkazać mi powiedzieć wszystko, co wiem o rebelii. *Kłamiesz*. Spróbowałam wypowiedzieć to słowo, ale

nie chciało mi przejść przez gardło. Nie kłamał. Ale nie mówił również całej prawdy.

– Więc czego chcesz? Od nas, będących po tej samej stronie.

– Nowego świtu. – Rahim wyjął jedną z ulotek, która spadła z nieba, i trzymał ją w ręce. Była wygnieciona od noszenia w kieszeni munduru. – Nowej pustyni.

– Twierdzisz, że chcesz widzieć Ahmeda na tronie? – Wyglądało na to, że Shira całkowicie się myliła, sądząc, że Rahim planuje zostać nowym Sułtanem.

– Twierdzę, że chcę strącić ojca z tronu i mogę wam pomóc. Pod jednym warunkiem. Chcę, żeby twoja rebelia zabrała moją siostrę z haremu.

– Leylę? – Małą Leylę z okrągłą buzią, która robiła zabawki dla dzieci z haremu i która przypominała mi o najmłodszej kuzynce, chociaż była od niej starsza o dziesięć lat. Jego głos był łagodniejszy, kiedy wypowiedział imię siostry. – Dlaczego? Jest tu tak bezpieczna jak wszędzie indziej i sama mi powiedziała, że mogło być o wiele gorzej.

– Jeśli się nie mylę, znalazła się w niebezpieczeństwie.

Pomyślałam o Shirze wypytywającej mnie o sekrety Leyli, przyglądającej się jej kątem oka, gotowej, by chronić swoje dziecko. Ale jakoś nie wydawało mi się, że Rahim miał to samo na myśli. Mężczyźni zwykle nie są świadomi rozgrywek kobiet.

– W jakiego rodzaju niebezpieczeństwie?

Nie odpowiedział.

– Jesteś Półdzinem. Widziałem, jak podczas narad wojennych każdego dnia wyczyniasz swoje sztuczki. Powiedz więc, czy mówię prawdę?

– Tak – przyznałam z łatwością.

– Czy próbuję cię nabrać?

Ponownie chciałam powiedzieć „tak”, ale słowo nie chciało ułożyć się na języku.

– Nie.

– Możesz mi zaufać?

Nikommu tu nie ufam.

– Tak. – Nie zamierzałam tak łatwo się poddać. – Ale chcę wiedzieć dlaczego. Wiele osób nie dogaduje się ze swoimi ojcami. – Dowiedziałam się tego dzień wcześniej w lochach. – Ale to nie znaczy, że chcą ich zabić.

– Ojcowie zwykle nie wysyłają swoich dzieci na pewną śmierć, gdy te mają dwanaście lat. – Rahim powiedział to tak spokojnie, że aż mnie zaskoczył. – A przynajmniej tak słyszałam. Nie mam zbyt wielu punktów odniesienia. – Ponownie ruszył przed siebie, tym razem poszłam za nim.

– Jak to cię odesłał? – Zrównałam z nim krok. – Wydaje się, że połowa haremu nie zawahałaby się zabić, żeby móc stąd uciec. – Włącznie ze mną.

Rahim nie odpowiedział od razu i kiedy zaczął mówić, starannie dobierał słowa, uważając na to, co chce mi powiedzieć, a co przede mną zataić.

– Gołymi rękami próbowałam rozwalić łeb Kadirowi. – Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi.

– I jak to się dla ciebie skończyło? – spytałam.

Rahim zerknął na mnie.

– O to mnie pytasz? Nie pytasz, dlaczego chciałem to zrobić?

– Znam Kadira, mogę się domyślić dlaczego.

– Chciałem zabrać coś ojcu, podobnie jak on zabrał coś mnie. Kobiety każdego dnia znikają z haremu. Większość dzieci po prostu musi się pogodzić, kiedy ich matki znikają bez słowa. Nie byłem gotowy na to, że zostanę jednym z nich. – Przypomniałam sobie, jak spokojna była Leyla, gdy mi o tym mówiła. Miała tę samą matkę co Rahim. Wyobrażałam sobie, że on nie był tak pogodzony z losem jak siostra. – Trzeba było trzech żołnierzy, żeby odciągnąć mnie od Kadira. Chyba widziałaś, że nadal ma krzywy nos.

Podrapał się po swoim doskonale prostym nosie, żeby ukryć śmiech. To był nos Sułtana. To dlatego wyglądał jak Ahmed.

– Więc jak to się stało, że wciąż żyjesz? – spytałam.

– Sułtanowi nie przystoi zabijać własnych synów. Zwłaszcza wtedy, gdy ma na rękach już tak dużo krwi swoich bliskich. Ojciec postanowił więc wysłać mnie na wojnę, żebym umarł bez rozgłosu, a przynajmniej tak daleko, żeby nie musiał mnie oglądać. Nie docenił mnie.

– A ty zostałeś dowódcą.

– Najmłodszym w historii. I najlepszym. – Nie przechwalał się. Mówił jak Shazad. Mając pewność, że ma rację. – To jak, wyciągniesz stamtąd moją siostrę?

Nie powinnam tego robić. To Ahmed, Shazad lub Jin powinni negocjować z Rahimem. To nie było zadanie dla Niebieskookiej Bandytki. Ale w tej chwili byłam tu sama.

– To zależy, co masz dla nas.

– Armia może być? – To nie była najgorsza oferta jak na początek. – Emir z Iliaz ma przybyć na Auranzeb. Darzy Sułtana podobnym uczuciem do mojego, a siła zbrojnych z Iliaz prawie równa się reszcie wszystkich wojsk z Miraji. Jedno moje słowo i armia może przejść na stronę twojego Księcia Buntownika.

Dotarliśmy na miejsce.

Sułtan popatrzył na nas, gdy weszliśmy.

– Ach, Rahim, widzę, że udało ci się upilnować Amani, żeby nie uciekła gdzieś po drodze. – Mały przytyk. – Gratulacje. To wielki wyczyn.

Wystarczyłoby jedno słowo. Tylko jedno słowo, by jego ojciec dowiedział się, że jestem Niebieskooką Bandytką. I to byłby koniec. Mógłby mnie zdradzić, zanim jeszcze zawiązaliśmy sojusz.

Ale nie zrobił tego. Rahim odsunął się, wpuścił mnie do komnaty przed sobą, jak dżentelmen. Gdy go mijałam,

odezwał się do mnie szeptem:

– Powiedz, że kłamię.

Nic nie powiedziałam, siadając na swoim miejscu za Sułtanem. Mogłam mówić tylko prawdę.



ROZDZIAŁ 27

– Tam, skąd pochodzę, funkcjonuje takie stare powiedzenie, przekazywane z pokolenia na pokolenie. – Sam rozłożył ręce jakby widział je napisane wielkimi literami w powietrzu przed nim. – Nie zawieraj sojuszu z ludźmi, którzy próbowali cię zabić.

– Wymyśliłeś to. – Shazad oparła się o ścianę, przez którą właśnie przeszła z Samem. Była jedyną osobą, jaką znałam, która w najmniejszym stopniu nie była potargana, po tym jak została przeciągnięta przez mur przez człowieka, którego obdarzałyśmy niewielkim zaufaniem.

– Rzeczywiście. – Sam puścił do niej oko. – Ale nie zaprzeczysz, że to właściwa postawa.

– Shazad prawie rozplatała ci gardło, kiedy spotkaliście się po raz pierwszy – zauważyłam. – A teraz jesteś tu z nami. – Zerkałam na bramę prowadzącą do ogrodu. Na wypadek, gdyby ktoś się tu zabłąkał. Denerwowałam się, bo był ranek, nasze spotkanie odbywało się w blasku słońca, gdy reszta haremu była już na nogach. Ale Sam dopiero o świcie dotarł do obozu buntowników z propozycją Rahima. Shazad nie chciała zwlekać z odpowiedzią.

– Cóż, to dlatego, że urok Shazad jest silniejszy niż mój zdrowy rozsądek. – Sam mrugnął do Shazad, która w ogóle nie zareagowała. – Poza tym jestem tylko posłańcem. Dzięki temu nie zostanę zastrzelony.

– Co?

Znowu zaczął gadać głupoty.

– To albiskie powiedzenie, oznacza... nieważne. – Pokręcił głową, żeby się nie roześmiać.

To był jeden z rzadkich, niewymuszonych uśmiechów,

a nie wykalkulowany i sztuczny, który miał na mnie zrobić wrażenie. Za to naprawdę go lubiłam.

Ale Shazad odwróciła wzrok. Jakby usilnie zastanawiała się nad rozwiązaniem problemu. Wiedziałam już, do jakich wniosków dojdzie. Od zawsze powtarzała Ahmedowi, że potrzebujemy prawdziwych żołnierzy. A teraz podtykałam jej ich pod nos. Brała tę propozycję na poważnie, skoro sama pofatygowała się do haremu. Nawet nic nie powiedziała o moich krótkich włosach, chociaż wiem, że je zauważyła.

– Możemy mu ufać?

– Coś przed nami ukrywa – powiedziałam. – Na przykład nie powiedział mi, dlaczego boi się o Leylę. Ale nie kłamał. Nienawidzi swojego ojca i nie ma zakusów na tron. – Nieważne, co podejrzewała Shira, nie miałam problemów z powiedzeniem tej prawdy.

– A co ty sądzisz? – Shazad zwróciła się do Sama. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego tym, że skierowała na niego całą swoją uwagę.

– Sądzę, że nie powinienem decydować o tym, komu macie ufać – powiedział Sam, dochodząc do siebie. – To znaczy, bez wątpienia masz doskonały gust. – Wskazał na siebie.

– Miała na myśli to, czy możemy wyciągnąć Leylę z pałacu.

– Ach tak. – Odchrząknął. – Mogę ją wyciągnąć. Tak samo jak wprowadziłem ciebie do środka. – Na twarzy Sama znowu zagościł uśmiech. – Tylko z doświadczenia wiem, że ktoś zawsze zauważa, że z pałacu zniknęła księżniczka.

– Masz sporo doświadczenia w porywaniu księżniczek, tak? – powiedziała Shazad.

– Musisz wiedzieć, że księżniczki nie potrafią mi się oprzeć – mrugnął. – Nadal pracuję nad zmiękczeniem bandytek i generałów.

– Ma rację – przerwałam mu, zanim znowu zaczęli się sprzeczać. – Żony znikają z haremu nazbyt często, ale córki są chyba lepiej pilnowane. Nie może ot tak zniknąć, bo będą

jej szukać.

– A wtedy przesłuchają ciebie. Rahim zostanie zdemaskowany razem z nami i stracimy jakąkolwiek szansę na wyrwanie ciebie i Dżina z rąk Sułtana. – Shazad jak zwykle planowała kilka kroków w przód. Powiedziałam im o moim spotkaniu z ojcem. Tyle, ile powinnam. Jedyнным sposobem na uwolnienie go jest przerwanie kręgu. Będziemy potrzebowali jakiegoś ładunku wybuchowego. A nawet ja zdawałam sobie sprawę z tego, że nie da się niczego wysadzić w pałacu, tak żeby nikt nie zobaczył.

– Będziemy mieli tylko jedną próbę. – Shazad myślała na głos. – Albo wydostaniemy wszystkich naraz, albo w ogóle nikogo. – Miała rację. Jeśli uwolnimy mojego ojca, stracimy szansę na pomoc w ucieczce Leyli i Rahimowi. Jeśli wyprowadzimy ich z pałacu, ojciec zostanie w rękach Sułtana. Więc trzeba będzie wydostać całą trójkę w tym samym czasie. Mamy tylko jedną szansę. Jeden strzał i trzy cele.

– Auranzeb – powiedziałam, skupiając na sobie uwagę Shazad i Sama. – Auranzeb może być dla nas przykrywką. To nie jest rzecz, którą damy radę przeprowadzić w pojedynkę z odrobiną szczęścia. Będziemy potrzebować wsparcia, a z tego co słyszałam, na Auranzeb przybywa wielu gości. Powinniśmy móc wprowadzić kilku więcej.

Shazad zastanawiała się przez dłuższą chwilę. Ani Sam, ani ja nic nie mówiliśmy, gdy przypominała sobie obchody święta z poprzednich lat.

– Auranzeb powinno się nadać. Z łatwością mogliśmy przemycić Imin i Halę do środka, jeśli ta druga zdąży wrócić z Saramotai. Może jeszcze dwie, trzy inne osoby, bez przesady i igrania z losem. – Potrafiła patrzeć na święto jak na pole bitwy, mogłam się założyć, że właśnie rozważa możliwe ruchy i drogi ucieczki. Na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech. – A co z tobą?

Miała rację. Z pałacu trzeba wyciągnąć czworo ludzi. Nie troje.

Nie mogłam tu zostać. Nieważne, co zrobimy w Auranzeb, wszystko pójdzie na marne, jeśli nie pójdę z nimi.

Mogliśmy przerwać krąg. Ale dopóki byłam pod kontrolą Sułtana, nadal mógł wezwać mojego ojca. Mogli zabrać w bezpieczne miejsce Leylę i Rahima i zdobyć całą armię. Ale Sułtan mógł kazać mi podać każde imię, zanim w ogóle uda im się uderzyć.

– Zmierzymy się z tym, jak przyjdzie co do czego. – Staralam się nie okazywać zaniepokojenia. – Na razie powiem Rahimowi, że umowa stoi. Do Auranzeb zostało jeszcze trochę czasu.

Sam zaczął znowu mówić, przedstawiał swój plan. Ale Shazad nie dała się nabrać. Obie myślałyśmy o tym samym.

Nie mogłam tu zostać po Auranzeb. A na pewno nie mogłam tu zostać żywa.



ROZDZIAŁ 28

Zbliżała się wojna. Wszyscy to czuli. Nawet ci, których jeszcze nie było na świecie, kiedy trwała poprzednia wojna. Kiedy Sułtan zasiadł na tronie.

Wydawało się, że każdy doskonale wie, po której stronie się opowiada.

Zauważyłam, że wzrosło napięcie w pałacowej sali narad. Poznałam to po sposobie, w jaki xichański generał trzasnął drzwiami, strącając dzban wina, które zalało dokumenty rozłożone na stole. Poznałam to po liczbie rewolwerów i mieczów, które otaczały albiską królową, gdy przybyła do pałacu, zastępując przy negocjacjach swojego starego ambasadora.

Mając Rahima za strażnika, mogłam poruszać się swobodniej. Po kilku dniach zrozumiałam, dlaczego Sułtan pozwolił Rahimowi zostać moim obrońcą. On i Kadir nienawidzili się nawzajem. A Sułtan wyraźnie dał do zrozumienia, że nie podobają mu się lubieżne spojrzenia Kadira rzucane w moją stronę, więc na jego drodze postawił drugiego syna.

Rahim przekazywał mi informacje po naradach wojennych, które ja z kolei przekazywałam Samowi. Mogłam go ostrzec, kiedy sułtańska straż miejska zameldowała, że znalazła nową siedzibę buntowników w mieście. Niczego nie znaleźli. A dwa dni później mieli zupełnie nowego szpiega, który poprowadził ich okreśną drogą na drugi koniec Izmanu.

Wiść o tym, że Sułtan negocjuje z obcokrajowcami, również opuściła mury pałacu. Nikt nie zapomniał, jaką nienawiścią ludzie darzyli rządy Gallanów. W mieście pojawiły się nowe ulotki przypominające ludowi Miraji, ile już

wycierpiał z rąk naszych okupantów i Sułtana. Kiedy jednak żołnierze chcieli wytropić, skąd się wzięły, okazało się, że gonią za własnym cieniem.

Rebelia unosiła się nad Izmanem jak pył po wybuchu prochu. Większość eksplodowała w dzielnicach, które najbardziej ucierpiały pod rządami Gallanów. Nocą na budynkach wymalowano słońce Ahmeda. W patrolujących ulice żołnierzy rzucano bombami wytwarzanymi domowymi sposobami. Ludzie zaczęli malować słońce Ahmeda na kadłubach statków. Rebelia się rozprzestrzeniała, szybciej i dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Wojsko Sułtana polowało na sprawców. Jednak imiona tych, którzy mieli zostać aresztowani, trafiały najpierw do rebeliantów, a dopiero potem do armii. Zanim ludzie w mundurach pojawili się pod ich drzwiami, domy były już puste.

Przyniosłam Samowi raport o trzydziestu mieszkańcach Izmanu uwięzionych przez Sułtana, którzy mieli zostać powieszani, żeby dać przykład tego, co się stanie, jeśli popiera się rebelię. Ostatnim razem aresztowano wszystkich bywalców tawerny, którzy po wypiciu wspięli się na stoły i wykrzykiwali imię Ahmeda. Rebelianci zdołali uwolnić połowę z nich, zanim otworzyła się zapadnia pod ich stopami. Reszta powoli się udusiła. Kat Sułtana specjalnie zrobił za krótką linę. Żeby cierpieć.

Żeby Ahmed patrzył na ich cierpienia.

Tym razem będziemy tam pierwsi. A przynajmniej mieliśmy taką nadzieję.

Mieliśmy ludzi. Mieliśmy miasto. Ale nie mieliśmy jak przejść pałacu. Przynajmniej dopóki nie dotrze obiecana przez Rahima armia. Do tego czasu podsycaliśmy ogień w wielu punktach zapalnych. Ogień, który zwykle sami wznicaliśmy. Sam powiedział mi, że odnosił wrażenie, że próbujemy wypalić dziury w wiklinowym koszu. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy Sam zaczął mówić „my” zamiast

„wy”.

– Jest plan odbudowy fabryki w Ostatnim Okręgu – powiedziałam Samowi, kiedy od Auranzeb dzieliło nas kilka tygodni. – Tej koło Dustwalk. Jak tylko odzyskamy naszą część pustyni. – Jako gest dobrej woli w stosunku do Gallanów, przyszłej chęci współpracy przy produkcji broni, którą będą mogli wykorzystać w swojej wojnie przeciw innemu krajowi, takiemu, który nie podziela ich poglądów. – Wysyłają tam mały oddział żołnierzy i inżynierów, żeby sprawdzili, co da się zrobić.

– Czy o czymś nie wiem? – Sam może i był pozerem przez większość czasu, ale nie był głupi, chociaż często tak się zachowywał.

– Pochodzę z Dustwalk – powiedziałam, opierając się o pień drzewa. Byłam zmęczona. Chłodne powietrze rozwiewało mi włosy i działało usypiająco. – Tam się urodziłam. Może nie jest to najmiłsze miejsce, ale zasługuje na coś lepszego.

Sam skinął głową.

– Więc postaramy się, żeby ten oddział nigdy tam nie dotarł.

Słuchał reszty tego, czego dowiedziałam się od naszego ostatniego spotkania. Ale kiedy skończyłam, nie odszedł od razu.

– Wiesz co? – powiedział, nadal opierając się o mur. – Słyszałem wiele historii o Niebieskookim Bandytce. Niektóre z nich były oczywiście o mnie. Lubię zwłaszcza tę, w której Niebieskooki Bandyta ukradł naszyjnik z szyi kobiety, został złapany, ale i tak zdołał ją uwieść.

– Zmierzasz do jakiejś puenty, czy po prostu przypominasz mi, że im dłużej tu jestem, tym gorszą mam reputację?

– Zmierzam do tego – odparł – że w żadnej z tych historii Niebieskooki Bandyta nie był tchórzem. – Nadstawiłam uszu.

– Więc to jest ta puenta czy po prostu chciałbyś dostać

w dziób?

– Gdybym wiedział, że sławny Bandyta, który walczył w Fahali i napawał strachem żołnierzy Sułtana, jest pozbawiony jaj, prawdopodobnie nie przywłaszczyłbym sobie jego reputacji. Gdy znają cię jako tchórzliwego bandytę, odbija się to na twoich interesach. A ty powinnaś się cieszyć, że skradłem ci tożsamość. Mogłem przecież nazwać się Blond Bandytą albo Oszałamiająco Przystojnym Bandytą...

– Przysięgam na Boga, Sam.

– No nie, powiedz mi w oczy, że nie mógłbym się nazywać Oszałamiająco Przystojnym Bandytą, ty prawdomówna istoto? Powiedz mi, że nie jestem przystojny, wyzywam cię! Widzisz, nie możesz.

– Ty naprawdę sądzisz, że nie jestem w stanie złamać ci nosa.

– Widzisz – Sam nieco się odsunął – tchórzostwo jest jedynym powodem, jaki jestem w stanie podać, żeby wytłumaczyć to, że *nadal* nie poszłaś rozmówić się z tą osobą, która mogłaby wyjąć spod twojej skóry ten kawałek brązu, żebyś mogła opuścić z nami pałac.

To mnie otrzeźwiło.

– Shazad powiedziała ci o Tamidzie. – Czułam się zdradzona. – To nie jest takie proste.

– Na pewno będzie jeszcze trudniejsze, jeśli nie spróbujesz. A ja pomimo wielu odważnych czynów bardzo boję się twojego generała, więc naprawdę nie chcę do niej wracać z wiadomością, że jeszcze nawet nie spróbowałaś. Bo wiesz, które z nas oberwie za to? Nie ten, kogo ona naprawdę lubi.

– Shazad bardzo cię lubi – powiedziałam swobodnie. – Zależy ci na niej?

– Polega na tobie. Może tego nie widzisz, ale tak jest. – Przez chwilę wydawał się poważny. – I nie sądzę, że jesteś aż tak samolubna, że wolisz umrzeć, zamiast stawić czoła nieprzyjemnej rozmowie. Poza tym jeśli umrzesz, nie będę

mógł bywać w dwóch miejscach w tym samym czasie.

Ostatnie zdanie zignorowałam. Sam wkurzał mnie bardziej niż zwykle, kiedy miał rację.

≈≈≈

Następnego dnia po zakończeniu negocjacji wlokłam się noga za nogą, zmuszając Rahima do zwolnienia kroku.

Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Sułtana, który popatrzył pytająco. Iskra podejrzliwości, na którą żadne z nas nie mogło sobie pozwolić. Rahim też to zauważył. Pochylił się ku ojcu i szeptał mu wprost do ucha.

– Gallański ambasador patrzy tak, jakby zamierzał zrobić coś bardzo głupiego. – Nie mylił się w tej kwestii. Zdemaskowałam trzy kłamstwa gallańskiego ambasadora podczas spotkania, wznecając jego gniew. – Gdyby był jednym z moich żołnierzy, kazałbym go musztrować tak długo, aż by ochłonał. A skoro nim nie jest, sędzę, że lepiej pozwolić mu mówić.

Sułtan spojrzał na mnie, zanim się zgodził, pozwalając mnie i Rahimowi wlec się za całą resztą.

– Jest taki... – Słowo „więzień” nie przeszło mi przez gardło. – Chłopak. Z Ostatniego Okręgu. Ma tylko jedną nogę.

– Znam go.

– Możesz mnie do niego zaprowadzić?

– Chcesz mi powiedzieć, że pożądasz go tak bardzo, że zaryzykujesz pójście w miejsce, gdzie mój ojciec nie chce cię wpuszczać?

– Chcesz mi powiedzieć, dlaczego twoja siostra musi być zabrana z haremu?

Rahim podrapał się w kąciку ust, próbując ukryć uśmiech.

– Tędy.

Zaczełam rozpoznawać tę część pałacu, jak doszliśmy do długich, skręcających schodów. Mój pierwszy dzień w pałacu, schodziłam po nich, ciało bolało mnie tam, gdzie miałam świeże rany, walczyłam z nogami, które słuchały rozkazu Sułtana.

Gdy zbliżyliśmy się do szczytu schodów, usłyszałam jakieś głosy. Natychmiast rozpoznałam głos Tamida. To był głos, który kojarzył mi się z głupawką, po której byliśmy wyrzucani z klasy za złe zachowanie. Z nocami po śmierci mamy, kiedy zasypiałam, gdy on czytał mi Święte Księgi. Ten drugi głos należał do kobiety. Jakaś część mnie chciała się odwrócić. Nie chciała wtykać palca w tę ranę. Jednak Sam tym razem mówił sensownie. Nie miałam prawa do tchórzostwa podczas tej rebelii.

Popchnęłam drzwi.

Spojrzały na mnie dwie zaskoczone osoby. Tamid siedział na skraju stołu, na którym się ocknęłam. Jego widok łamał mi serce i przez chwilę miałam ochotę podbiec do niego i wszystko wyznać. Lewą nogawkę spodni miał podwiniętą powyżej kolana. A raczej do miejsca, gdzie powinno być kolano.

Zamiast niego był brązowy dysk zasłaniający miejsce, gdzie kończyła się jego noga. Przytrzymała go uprząż ze skóry z rzemiennym paskiem. Nic nie było do niej przywiązane. Reszta nogi Tamida – wydrążona, wypolerowana proteza z brązu – spoczywała w rękach Leyli, która siedziała naprzeciw niego. Jej wielkie oczy ze zdziwieniem patrzyły na mnie i Rahima, jej usta otwierały się i zamykały w niemej panice.

No cóż. *Tego* się nie spodziewałam. Rahim chyba też.

– Nie mów Ojcu! – powiedziała w końcu. To była całkowicie nietrafiona prośba. Podobnie jak fakt, że nagle jej szyja pokryła się czerwonymi plamami. – Przyszłam tu, żeby sprawdzić czy nie... – tłumaczyła się.

– ...skrzypi – wtrącił Tamid, gdy Leyla wydała dźwięk, który sam przypominał skrzypienie. – Skrzypiały złącza. Leyla przysłała, żeby je ustawić. W końcu to ona skonstruowała protezę.

– Założę się, że tak było. – Rahim zmierzył Tamida wzrokiem w sposób, w jaki ojcowie i bracia patrzą na chłopców, którzy mają złe zamiary w stosunku do ich córek i siostr. Więc to był sekret Leyli, na którym tak zależało Shirze. Shira sądziła, że dziewczyna węszy, żeby zawiązać przeciw niej spisek z bratem, ale to była tylko zauroczona nastolatka, która wychodziła z haremu, żeby zobaczyć się z chłopakiem.

To mogło być zabawne, gdybym miała pewność, że Shira tego nie wykorzysta. Nie raz dostałam lanie za to, że wymykałam się z domu, żeby spotkać się z Tamidem. A ja nie byłam księżniczką. I nie byłam w nim zakochana. To dlatego Rahim tak nalegał, żeby zabrać Leylę z pałacu? Czy zostałaby ukarana tak samo jak Tamid? Ale pomiędzy rodzeństwem dało się wyczuć coś jeszcze, napięcie niezwiązane z Tamidem.

– Ty to zaprojektowałaś, Leyla? – Rahim wskazał protezę, którą trzymała w rękach.

Skinęła nerwowo głową.

– Sądziłam... sądziłam, że może się przydać.

Więc robiła nie tylko zabawki dla dzieci z haremu. Musiałam przyznać, że byłam pod wrażeniem.

Jednak Rahim był zły, choć nie rozumiałam z jakiej przyczyny.

– Chodź, Leyla, zaprowadzę cię do haremu. Musimy porozmawiać. – Dobrze, najwyższy czas, żeby zdradził Leyli plany na Auranzeb. Od święta dzieliło nas już tylko kilka dni, a ona musiała wiedzieć, że zostanie stąd zabrana.

To, co potem nastąpiło, gdy Leyla ponownie mocowała protezę Tamida, było najbardziej niezręczną minutą mojego

życia. Wszyscy z całych sił próbowali nie patrzeć na pozostałych, a kliknięcia mechanizmu protezy tylko potęgowały ciszę. Kiedy wreszcie skończyła, Rahim praktycznie wyciągnął ją z komnaty, w ostatniej chwili zwracając się do mnie.

– Amani, wróć tu po ciebie.

Tamid i ja nic nie mówiliśmy, gdy Leyla poszła za bratem. Skrępowanie nie opuszczało nas jeszcze długo po tym, jak ucichł odgłos ich kroków.

– Najbardziej chciałbym stąd wybiec, ale... sama wiesz. – Tamid poklepał się w nogę poniżej kolana. Usłyszałam głuchy dźwięk. Zamrugałam oczami. – Wygląda na to, że to ty powinnaś wyjść. Z szacunku.

– Tamid...

– Chcesz wiedzieć, jak straciłem nogę, Amani? – Tamid mi przerwał.

– Wiem jak. – Pamiętałam tę ostatnią, ciemną noc w Dustwalk lepiej niż każdy z dni, które ją poprzedziły.

– Nie. – Tamid uderzył dłonią w stół pod sobą. Podskoczyłabym, gdybym nie była tak przyzwyczajona do dźwięku strzelającej broni wycelowanej we mnie. – Nie wiesz. Widziałas, jak Naguib do mnie strzelił i zniknął. Nie było cię, jak leżałem na piasku i krzychałem. Nie było cię, kiedy Shira zaczęła zbierać zakłady, twierdząc, że może cię pomóc odnaleźć. Że zna cię lepiej niż prawie wszyscy pozostali i że wie, dokąd pojechałaś. Lepiej niż *prawie* wszyscy pozostali. – Drżały mu ręce, które zacisnął w pięści. – Nie widziałas, jak wyrwali mnie z objęć matki i zabierali ze sobą, sądząc, że może im się przydam. Nie było cię ze mną w pociągu, który zmierzał do Izmanu. – Byłam w tym pociągu. Widziałam w nim Shirę. Całowałam się z Jinem. Ani przez chwilę nie sądziłam, że Tamid może być tak blisko.

– Naguib powiedział, że zostawił cię w Dustwalk, żebyś się wykrwawił. Sądziłam, że nie żyjesz, Tamid.

Wypowiedziana na głos myśl, z którą żyłam od miesięcy, tego dnia, gdy stał obok mnie, zabrzmiała jak marna wymówka.

– Ja też. – Prawą dłoń zacisnął w pięść i położył ją na udzie. – Sądziłem, że nie żyję, kiedy skręcałem się z bólu i kiedy mnie tu przywieźli, a Święty Ojciec powiedział, że rana została zainfekowana. Dlatego noga musiała zostać odcięta. Nie było cię, kiedy odpiłowywali mi nogę, Amani. Ale teraz jesteś. Niech zgadnę: chcesz, żebym ci pomógł. Chcesz, żebym ci powiedział, którą z małych płytek pod skórą musisz wyciąć, żebyś mógł uciec. – Tak mocno wbiłam palce w metal na ramieniu, że na pewno będę miała tam siniaki. Tamid znał mnie tak dobrze, że rozumiał, co znaczy moje milczenie.

Odepchnął się od krawędzi stołu. Udawałam, że nie widzę grymasu na jego twarzy, gdy świeżo naoliwiona noga zetknęła się z podłogą, ani tego, że przez ułamek sekundy walczył o utrzymanie równowagi, nim zaczął obchodzić dokoła swoje miejsce pracy, pucując je, chociaż już było nieskazitelnie czyste. Przesuwał fiołki tak, by ich etykiety znajdowały się w równej linii, szkło uderzało o szkło z każdym jego ruchem. Zatrzasnął drzwi prowadzące do małej bocznej komnaty, gdzie zauważyłam łóżko.

– Jesteś strasznie przewidywalna. Wiesz, jeszcze w Dustwalk zawsze sądziłaś, że źle sypiam. Ale to nie była prawda. Po prostu gdy wiedziałem, że dostaniesz lanie, leżałem i czekałem, aż wejdiesz przez okno i o coś mnie poprosisz.

Nie wiedziałam o tym. Przełknęłam łzy, które wzbierały mi w gardle.

– Nie wierzę, że nienawidzisz mnie tak bardzo, jak byś chciał, żebym myślała.

– Skąd wiesz? – Leyla zostawiła swoje narzędzia, więc zaczął je również układać. Mówił takim tonem, jakby go to

nie interesowało.

– Ponieważ gdybyś naprawdę mnie nienawidził, powiedziałbyś już Sułtanowi, że jestem buntowniczką. – Gdy tylko to powiedziałam, zrozumiałam, że to prawda. – Zamiast tego udawałeś, że mnie nie znasz, kiedy przybyłam. Pomagałeś Sułtanowi na inne sposoby. – Ta prawda zabrzmiała jak oskarżenie. Łatwiej było oskarżyć go jako wroga rebeliantów, niż osobiście jako starego przyjaciela. – Nauczyłeś go, jak kontrolować Noorshama i mnie. A także fraz z pierwszego języka, które pomogły uwięzić Dżina. Ale mnie nie wydałeś. – Zauważyłam, że zmieszał się na wzmiankę o Dżinie. Tu go miałam. Może nie dbał już o mnie i nie był skory do pomocy, ale znałam Tamida. Jeśli się go zrani, będzie krwawił świętymi słowami. – Wiesz o tym, że mając Dżina po swojej stronie, będzie mógł zabić o wiele więcej ludzi.

– Wiem.

– I uważasz, że to jest w porządku, tak?

– Masz na myśli to, że to jest nikczemne, czy może to, co czuję... – nie trafił ręką i stracił mały, okrągły przyrząd na podłogę – ...co czułem w stosunku do ciebie?

Co czułeś do mnie? Ale to nie było uczciwe pytanie, skoro już znałam odpowiedź. Miał ją wypisaną na twarzy.

– On jest naszym Sułtanem, Amani. Musimy być posłuszni i nie kwestionować niczego.

– Nie wierzysz w to. – Prosta prawda wyrwała się z moich ust. Podniosłam metalową tubkę z podłogi i podałam ją Tamidowi. – Nie ty, który każdego dnia chodziłeś się modlić. Nie uważasz, że trzymanie Dżina jako zakładnika jest dobrym pomysłem.

– Dlaczego ci na tym zależy? – Nie przyjął przyrządu z mojej ręki. Wobec tego odłożyłam go na blat.

– Okazuje się, że niemal zawodowo zajmuję się ratowaniem ludzi.

– Cóż, jaka szkoda, że nie zajmowałaś się tym dziesięć miesięcy temu, gdy zostawiłaś mnie na śmierć.

– To oni ci to zrobili, Tamid. – Nie ustępowałam. – Nie ja.

– Tak, oni – przyznał. – Ale ty mnie zostawiłaś.

Nie wiedziałam, co jeszcze mam powiedzieć.

Tamid kręcił głową, odchodząc. W przypadku większości mężczyzn, których znałam, ciemne włosy opadłyby im na oczy, kryjąc je przede mną. Ale włosy Tamida zawsze były perfekcyjnie ulizane.

– Co mam jeszcze powiedzieć, żebyś sobie poszła, Amani?
To mi wystarczyło.



ROZDZIAŁ 29

Oparłam się o kolumnę na dziedzińcu tuż u stóp schodów. Wróciłam na pewny grunt, mocno wspierałam się dłońmi o marmur. Stłumiłam płacz. Zmusiłam się do tego, przypominając sobie, że jestem dziewczyną z pustyni. Nie mogę tracić wody. Poza tym nie było to miejsce, w którym można okazywać swoją słabość. Pałac był niebezpieczny niczym pustynia nocą.

Rahim kazał mi na siebie czekać. Nie powinnam poruszać się bez strażnika. Nie wiedziałam jednak, ile zajmie mu rozmowa z Leylą. Mimo że kusilo mnie, by trochę powęszyć, nie mogłam ryzykować, że złapią mnie bez strażnika. To by również podkopało pozycję Rahima. Wątpiłam, że Sułtan przebaczy mi ponownie, gdy pójdę do Bahadura. Gdy tylko ta myśl przyszła mi do głowy, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego w ogóle o tym pomyślałam. Nie powinno mnie to interesować, chociaż nigdy wcześniej nie przejmowałam się tym, że wpakuję się w kłopoty. To dlatego, że mogłam skończyć z głową na pieńku, tłumaczyłam sobie. To dlatego, że utrata jego zaufania oznaczałaby utratę dostępu do informacji, których potrzebowaliśmy.

Czekałam więc, starając się ignorować swędzenie pod skórą nagłące mnie do pójścia i zrobienia czegoś, posłuchania fontann i ptaków, które mieszkały w tej części pałacu, uwięzione z przyciętymi skrzydłami jak kaczki w stawie. Nagłe trzaśnięcie drzwiami było niczym huk wystrzału.

Zareagowałam instynktownie – przylgnęłam do kolumny i skryłam się w cieniu. Nieważne, kto nadchodził; nie mogłam zostać przyłapana sama. Jedno uderzenie serca

później otworzyły się drzwi po drugiej stronie dziedzińca. Huk kłamki uderzającej w kamień niemal zagłuszył płacz kobiety. Dłużej już nie mogłam zapanować nad ciekawością, więc wyjrzałam zza kolumny.

Dwie postacie w mirajińskich mundurach prowadziły dziewczynę. Rzuciła się, żeby się uwolnić i krzyczała tak głośno, że byłam pewna, że ktoś zaraz się tu pojawi. *Ptaki* – uświadomiłam sobie, wspominając ten dzień w menażerii, kiedy Ayet powiedziała, że nikt nie usłyszy jej krzyków ponad odgłosami ptaków. Zatęskniłam za bronią. Za rewolwerem. Za czymś, czym mogłam jej pomóc. Ale miałam puste ręce i na dodatek skrępowane rozkazem Sułtana, by nikogo nie krzywdzić. I nawet ja wiedziałam, że nie dałabym rady dwóm żołnierzom, nie mając broni.

Wtedy wyszli na nasłonecznioną część dziedzińca i dojrzałam twarz szarpiącej się ofiary.

Uzma.

Żona Kadira. Ta, która uznała, że powinna mnie poniżyć tego dnia, gdy przebywałam na dworze, a następnie rozplynęła się w powietrzu. Do tej pory powinnam wiedzieć, że ludzie rozplywają się w powietrzu tylko w opowieściach. Uzma patrzyła niewidzącymi oczami, które wyglądały jak wypolerowane kawałki szkła – jakby iskra, która je ożywiała, została zdmuchnięta. Doskonale wiedziałam, gdzie wcześniej widziałam takie spojrzenie. Jeszcze w obozie, gdy Hala wykradła Sayidę z pałacu. Tylko że Sayida była szpiegiem. Co takiego zrobiła Uzma, że torturowano ją aż do utraty zmysłów?

Zniknęli za rogiem, jej krzyk stopniowo się oddalał.

Nie ruszyłam się od razu. Dalej czułam się rozerwana pomiędzy chęcią pójścia za nimi a postanowieniem trzymania się z dala od kłopotów. Śledzenie dwóch strażników i wrzeszczącej kobiety mogło zakończyć się dla mnie źle. Poza tym to może nie być najlepszy sposób na

dowiedzenie się, co się dzieje. Zerknęłam na drzwi, przez które przeszli. Na pewno były zamknięte na klucz. Ale może nie. Jednak gdybym wyszła na otwarty teren i zaryzykowała sprawdzenie, zachowałabym się głupio i nieodpowiedzialnie.

No cóż, wobec tego byłam głupia i nieodpowiedzialna.

Nogi poniosły mnie pędem przez dziedziniec. Zachodzące słońce dziwnie odbijało się od drzwi. Zrozumiałam dlaczego, gdy podeszłam bliżej. Drzwi były z metalu. Ale ktoś pomalował je tak, aby imitowały drewno.

I brzęczały.

Ostrożnie wyciągnęłam rękę w ich kierunku. Czułam, jak brzęczenie staje się coraz intensywniejsze, podobnie jak przyciąganie pod moją skórą. Opuszkami palców dotknęłam drzwi. Jakbym dotknęła ognia, choć nie zostałam poparzona: sama moc ognia, bez żaru. Maleńkie igiełki zakłuły mnie w opuszki palców i wędrowały w górę, sprawiając, że serce mi przyspieszyło, a oddech się skrócił, choć wcale się nie ruszałam.

Nagle chwyciły mnie czyjeś ręce i mocno pchnęły na metal. Eksplozja bólu ogarnęła każdy fragment mojego ciała.

Wtedy dopiero spojrzałam w okrutną twarz gallańskiego ambasadora. Za nim stał Kadir. Zanim zdołałam coś powiedzieć, mężczyzna wbił mi pięść w brzuch, przygważdżając mnie jeszcze bardziej do drzwi i pozbawiając tchu.

– W moim kraju – powiedział ze swoim mocnym akcentem – wieszamy dzieci demonów za gardła. – Jego dłoń zacisnęła się na mojej tchawicy tak, że musiałam się wyprostować. – Ale nie mam przy sobie sznura.

Plecy zaczęły mnie boleć od nacisku na metalową powierzchnię. Czułam, że płacze mi się w głowie i robi ciemno przed oczami, gdy zaciskał dłoń na moim gardle. Niezdarnie próbowałam odtrącić jego rękę. Były dziesiątki rzeczy, które umiałam zrobić, żeby się przed nim obronić.

Powinnam chwycić miękką skórę po wewnętrznej stronie jego nadgarstka, zaatakować go w oczy, wbić kolano w jego krocze. Ale Sułtan rozkazał mi nikogo nie krzywdzić. Ogarnęła mnie panika. Umrę, naprawdę tu umrę.

Nagle wrócił mi oddech. Powietrze dotarło do płuc, gdy uwolnił moją szyję z uścisku. Opadłam na ziemię, podpierając się dłońmi. Klęczałam tak przez trzy długie wdechy, czekając, aż przypomnę sobie, jak się oddycha. Usłyszałam trzaśnięcie, jakby odgłos łamanej kości, a następnie krzyk bólu. Podniosłam głowę i zobaczyłam, jak Kadir się cofa, trzymając się za nos.

Nad nim w blasku zachodzącego słońca stał Rahim, a krew jego brata splamiła mu pięść. Światło zamazało jego rysy, więc z trudnością go rozpoznałam. Wyglądał jak bohater, którego sobie wyobrażałam, słuchając starych opowieści: Pierwszy Śmiertelnik nieprzejawiający chęci ucieczki w obliczu śmierci; Attallah walczący z przeważającym wrogiem poza murami Saramotai; Szary Książę naprzeciw Zdobywcy. Wyglądał jak postać z baśni.

Wtedy opadł na kolana obok mnie i znowu był człowiekiem.

– Amani. – Uniósł moją głowę do góry, sprawdzając moje obrażenia pewną ręką kogoś, kto umiał ocenić rany poniesione na polu bitwy. – Jak się czujesz? – Za nim widziałam dwóch żołnierzy, którzy odciągnęli ode mnie gallańskiego ambasadora. – Amani – naciskał Rahim. – Powiedz coś, bo zabiorę cię do Świętego Ojca.

– W porządku. – Miałam ochryply głos, ale mogłam mówić. – Jestem pewna, że znajdę coś do ubrania, co będzie pasowało do siniaków. – Rahim pomógł mi wstać. Dotknęłam obolałej szyi w miejscu, gdzie palce ambasadora próbowały zmiażdżyć mi krtań.

– Żołnierze. – Kadir doszedł już do siebie i przemówił mimo złamanego nosa. Oderwał ręce od twarzy, a krew zalewała

mu usta. – Wypuście ambasadora. Aresztujcie mojego brata.

Żołnierze ani drgnęli. Spojrzeli tylko na Rahima w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Wtedy zauważyłam ich mundury. Byli Mirajińczykami, ale zamiast zwykłych białozłotych uniformów, na piersi mieli ten sam niebieski pasek co Rahim. Byli członkami jego oddziału z Iliasz. To oznaczało, że przybył emir. To dlatego się spóźnił. Spotkał się ze swoimi ludźmi.

– Zostańcie tutaj. – Rahim wydał rozkaz ze swobodą, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Uświadomiłam sobie, że jego miejsce jest wśród żołnierzy, nie wśród polityków w pałacu. Był żołnierzem w każdym calu. Nie, nie żołnierzem. Dowódcą.

Kadir zerkał panicznie na żołnierzy i na Rahima.

– Powiedziałem, puście go. Rozkazuję wam jako Sultrim! – mówił z coraz większą złością, nie zważając na zatkany krwią nos.

Jednak oni zachowywali się, jakby go nie słyszeli. Rahim ze spokojem zdjął marynarkę i okrył nią moje ramiona. Dopiero potem zwrócił się do brata:

– To moi ludzie, bracie. Są lojalni względem swojego dowódcy, a nie Sultrima – rzekł i następnie wydał rozkaz żołnierzom trzymającym gallańskiego ambasadora: – Zaprowadźcie go do jego komnaty. Zanim dojdzie do międzynarodowego skandalu. Amani, chodźmy.

Rahim już się odwrócił, gdy Kadir wyjął pistolet z za pasa. Krzyknęłam ostrzegawczo, ale było za późno. Broń wypaliła, trafiając w jednego z żołnierzy. To nie był dobry strzał, więc kula trafiła w ramię, ale to wystarczyło, żeby puścić ambasadora.

Gallan wyszarpnął się drugiemu żołnierzowi. Złapał miecz, który miał u pasa i rzucił się na rannego żołnierza. Rahim zareagował szybko, wyjął swoją broń i jednym pozornie

swobodnym gestem zablokował ostrze ambasadora, zanim przebiło rannego.

Kadir nadal nie odpuszczał. Ponownie uniósł rewolwer, celując w plecy Rahima. Skoczyłam tak szybko, jak nauczyła mnie Shazad.

Nie zaciskał mocno dłoni na broni – trudno powiedzieć, czy w wyniku złości czy złego wyszkolenia. Nie mogłam zrobić mu krzywdy, ale nie chciałam pozwolić, by zabił Rahima. Uderzyłam dłonią w miejsce, gdzie rękojeść rewolweru wystawała z jego pięści. Broń wystrzeliła, ale kula wbiła się w mur, a on rozprostował palce. Rewolwer wypadł mu z ręki. Złapałam go bez trudu, zanim spadł na ziemię i obróciłam w palcach znajomym gestem.

Wycelowałam w Kadira. Znieruchomiał i patrzył na mnie ponad lufą rewolweru, jakby nie mógł zrozumieć, co się stało.

– Nie zastrzelisz mnie.

To była prawda. Nie mogłam. Musiałam wypełniać rozkazy. Ale on o tym nie wiedział. Odciągnęłam kurek rewolweru.

– Założysz się o swoje życie? – Palce aż drżały mi z wysiłku, gdy chciałam pociągnąć za spust. Znowu byłam dziesięcioletnią dziewczynką chowającą się za zbyt dużym rewolwerem. Wiedziałam, że jeśli go opuszczę, będzie po mnie.

– Opuść broń, Amani.

Nawet gdybym nie rozpoznała tego głosu, szarpnięcie w brzuchu od razu zdradziłoby mi, z kim mam do czynienia.

Nie. Wciąż walczyłam.

Ale moje ręce zaczęły się poruszać wbrew mojej woli. Walczyłam z nimi aż omdlały. Broń upadła na ziemię.

Kiedy się odwróciłam, dwaj żołnierze stali na baczność, ten ranny uciskał ramię. U ich stóp w trawie leżało ciało ambasadora. Jego ręce, które chwilę wcześniej zaciskały się na moim gardle, były pozbawione życia. Rahim trzymał

w ręce zakrwawiony miecz. Natomiast Sułtan z nieprzeniknioną miną omiatał wzrokiem całą scenę, porzuconą przeze mnie broń i krew wypływającą spod ciała ambasadora.

≈≈≈

Palce Sułtana bębniły w inkrustowany blat biurka, szachownicę z kości słoniowej i drewna, a jego oczy przyglądały się zaczerwienieniu na mojej szyi, które dopiero za kilka godzin miało się zmienić w wielkiego siniaka w kształcie ręki gallańskiego ambasadora. Teraz jednak skóra była obolała i podrażniona. Znajdowaliśmy się w gabinecie Sułtana. W tym samym, z którego wykradłam dokumenty kilka tygodni wcześniej. Gdy przebywał w nim Sułtan, dało się odczuć inną, cięższą atmosferę. Jakby wszystkie mapy na ścianach i te rozrzucone na biurku były jego przedłużeniem. Jin raz mi powiedział, że ja jestem pustynią. Zastanawiałam się, czy nie zmieniłby zdania, gdyby go tutaj zobaczył.

Pozwolił mi usiąść. A raczej rozkazał. Jednak jego synowie stali za mną na baczność. Sułtan kazał mi opowiedzieć, co się stało. Chciał usłyszeć prawdę, jak powiedział. I to właśnie mu dałam. Pominęłam Leylę, ale nie mogłam pominąć Tamida. Sułtan dopytywałby się, dlaczego zostałam sama w pałacu, skoro nie powinno mnie tam być. Obeszłam tę część opowieści na paluszkach, serce podchodziło mi do gardła. Jedno niewłaściwe słowo i wszystko by się skończyło. *Poprosiłam Rahima, żeby zabrał mnie do Świętego Ojca. Wyszedł, żeby zapewnić mi prywatność.* Próbowałam nie dać po sobie poznać, że kamień spadł mi z serca, gdy przeszłam do kolejnej części opowieści, nie słysząc żadnych pytań ze strony Sułtana.

Kiedy skończyłam mówić, nikt się nie odzywał przez dłuższą chwilę. Odniosłam dziwne wrażenie, że znowu znalazłam się w szkole i wraz z Tamidem mam kłopoty, bo zrobiłam coś głupiego, a nauczyciel zaraz wybuchnie gniewem. Cała nasza trójka stała przed Sułtanem, jakbyśmy byli kłócącymi się dziećmi, nie żołnierzami i szpiegami walczącymi o swój kraj. Sułtan milczał, słońce prawie zupełnie zniknęło za horyzontem. Przez wielkie okno widziałam, jak ozywają światła Izmanu.

Cały czas wracałam myślą do tego samego punktu: broń. Sułtan widział, jak trzymałam rewolwer wycelowany w głowę jego dziedzica. Trzymałam go tak, jak powinno się trzymać. Tak jak Niebieskooka Bandytka. Musiał się domyślać, że nie byłam tylko dziewczyną z pustyni.

Nie próbowałam tego wyjaśniać. Winny zawsze odzywa się pierwszy. Rahim i ja byliśmy na tyle rozważni, żeby nie przerywać milczenia Sułtana.

– Ojczy... – Co czyniło nas o wiele mądrzejszymi od Kadira.
– Nie pozwoliłem ci mówić – powiedział spokojnie Sułtan. Jego spokój mroził krew w żyłach. To był zwodniczy spokój.
– Jesteś złodziejem, Kadirze. – Kadir najeżył się, ale Sułtan mówił dalej: – Nie próbuj protestować. Próbowałeś zabrać coś, co należy do mnie. – Wskazał na mnie. Nienawidziłam, kiedy mówiono o mnie jak o własności Sułtana. Ale nie mogłam powstrzymać satysfakcji z tego, że w tej chwili jestem warta więcej niż Kadir. – Żeby przehandlować ją, by wesprzeć Gallanów.

– Ona nie jest człowiekiem, Ojczy! – Kadir podniósł głos. Zachowywał się tak, jakby miał zaraz tupać nogami jak dziecko.

– Wszyscy o tym wiedzą, bracie – wtrącił się Rahim. Jego spokój jeszcze bardziej rozjuszył Kadira. – Jeśli dopiero teraz na to wpadłeś, to naprawdę mam obawy związane z inteligencją naszego przyszłego władcy.

Sułtan uniósł dłoń.

– Jeśli sądzisz, że to dobra pora na dogadywanie sobie, kiedy w moim pałacu znajduje się ciało zagranicznego dyplomaty, to mam wątpliwości co do *twojej* inteligencji, Rahimie. – Skinął głową na Kadira, zachęcając go do mówienia.

– Negocjacje nie miały końca. A Gallanie nigdy nie stworzyliby z nami nowego sojuszu w sytuacji, gdy tak bezwstydnie obnosiłeś się przed nimi tym pół-człowiekiem, gwałcąc ich przekonania. Zwrócili się do mnie – wypiął z dumą pierś – i zażądali jej śmierci przed przystąpieniem do dalszych negocjacji.

Sułtan nie podniósł głosu, ale nawet ja skuliłam się pod spojrzeniem, jakie posłał Kadirowi. A przecież nie było skierowane do mnie.

– Zażądali jej śmierci, ponieważ przez nią nie mogą kłamać na temat swoich zasobów i zamiarów, więc stopniowo okazuje się, że imperium Gallanów jest znacznie skromniejsze niż chcieliby, żebyśmy sądzili – mówił powoli, ważąc słowa, jakby wyjaśniał coś dziecku. – I przyszli do ciebie, ponieważ *wyraźnie* widać, że od tygodni świerzbią cię ręce, żeby się do niej dobrać.

Kadir prychnął szyderczo i opadł na drugie krzesło, gdy jego ojciec jeszcze mówił.

Cisza, która nastąpiła, była gorsza od awantury.

– Nie pozwoliłem ci usiąść.

Kadir zaczął się śmiać, jakby sądził, że ojciec tylko żartuje.

– Wstań – rozkazał spokojnie Sułtan. – Chociaż raz weź przykład z brata. To ciebie powinienem wysłać do Iliaz zamiast niego.

Przypomniałam sobie, co powiedział mi Rahim – że Sułtan wysłał go do Iliaz na śmierć. Zrozumiałam groźbę zawartą w jego słowach. Ale Kadir nic nie rozumiał.

– Całe to wojskowe wyszkolenie nie pomogło mu podczas

prób Sultrima. – Kadir wstał, odsuwając z łoskotem krzesło, które obilo się o biurko ojca, sprawiając, że kilka dokumentów spadło na podłogę. – Więc co teraz, zamierzasz posadzić go na tronie zamiast mnie?

– Próby Sultrima są święte. – Sułtan skupiał całą swoją uwagę na synu, ignorując rozsypane dokumenty. – Gdybym je unieważnił, ludzie zwróciliby się jeszcze bardziej przeciwko nam. Musisz umrzeć, a my zorganizujemy kolejne próby Sultrima, Kadirze.

– Więc jeśli nie zamierzasz wyświadczyć nam takiej przysługi... – powiedział pod nosem Rahim.

Parsknęłam, zwracając na siebie uwagę Sułtana. Za późno się opamiętałam. Sułtan już zauważył porozumienie między mną a Rahimem. Ale odwrócił wzrok bez komentarza.

– Jutro ma przybyć gallański król. – Sułtan znowu zaczął wystukiwać ten sam rytm. – Pójdiesz ze mną na spotkanie z nim, Kadirze. I opowiesz mu tę samą historię co ja. Powiesz, że ambasador udał się do miasta bez ochrony i został zabity na ulicy przez buntowników. Rozumiesz?

Kadir ze złością zaciskał zęby. Ale jeśli sądził, że jego ojciec podda się pierwszy, bardzo się mylił.

– Tak.

– Dobrze. Możesz odejść.

Kadir trzasnął drzwiami jak rozgniewany bachor.

– To kłamstwo może nie być najlepszym rozwiązaniem, Ojczy – powiedział Rahim. – Jeśli Gallanie uznają, że nie jesteś w stanie kontrolować własnego ludu...

– To będziemy wyglądać na słabych. Myślałem o tym i nie potrzebuję lekcji o strategii politycznej od własnego *syna*. – Sułtan przerwał mu z niecierpliwością. – Jeśli nam się *poszczęści*, może uda się zaprząć żołnierzy, którzy z nim przybędą, do pomocy w utrzymaniu spokoju w Izmanie do czasu Auranzeb. Drugą możliwością jest wydanie Gallanom *ciebie*, by wymierzili sprawiedliwość. Powiedz, co wolisz.

Rahim zamknął usta.

– Rahim uratował mi życie. – Nie mogłam dłużej milczeć. Uwaga Sułtana natychmiast skupiła się na mnie i od razu pożałowałam, że się odezwałam. Ale już się rozpędzałam z mówieniem: – Powinien zostać nagrodzony, a nie *zastraszany*. – Sułtan milczał, a ja się nie wycofałam. Już nie mogłam. – Myślałam, że zostałam tutaj, żeby mówić prawdę.

W końcu podjął decyzję.

– Ona ma rację. Twoi żołnierze dobrze się dzisiaj spisali, Rahimie. – To nie brzmiało jak pochwała. – Pod twoimi rozkazami, naturalnie. – Bardziej jak zawołowane podejrzenia.

– Tak, to prawda. – Rahim był tak przebiegły jak jego ojciec. Nie tłumaczył swoich ludzi, którzy posłuchali jego rozkazów, a nie Kadira. Odpowiadał krótkimi zdaniami. Jak dobry żołnierz. Albo jak zdrajca. Czekał, aż będzie mógł odejść.

– Wczoraj buntownicy napadli na kontyngent z bronią przy południowej bramie – powiedział Sułtan. – Skąd, twoim zdaniem, wiedzieli, gdzie będzie?

Byłam pewna, że Sułtan słyszy bicie mojego serca. Doskonale wiedziałam, o jaką dostawę chodziło. Wiedzieli, bo Rahim powiedział mi o niej, a ja przekazałam to Samowi. Czy nas podejrzewał? Czy to było oskarżenie? A może chciał, żeby syn udzielił mu jakiejś rady w ramach pojednania? Modliłam się w duchu, żeby nie zadał mi tego pytania, żeby to nie była ta chwila, gdy wszystko pójdzie na marne.

– Trwa wojna. – Rahim patrzył przed siebie, ponad głową ojca, jak żołnierz stojący na baczność. – Twoi żołnierze są niezadowoleni. Niezadowoleni żołnierze piją i gadają.

Dobierał słowa tak uważnie, żeby były prawdziwe. Żeby mogła je powtórzyć bez wahania. Ale nie był wystarczająco ostrożny, by nie skrytykować rządów swojego ojca.

– Zabiliśmy dwóch buntowników w pościgu – powiedział Sułtan. Poczułam ucisk w żołądku. Przez myśl przebiegła mi lista wszystkich buntowników, których znałam. Wyobrażałam sobie, że nie żyją. Nagle zapragnęłam pobiec do Ściany Płaczu i dowiedzieć się od Sama, o kogo chodzi. Dowiedzieć się, kogo już nigdy nie zobaczę. Shazad? A może Hali? Albo jednego z bliźniaków? Sułtan nie patrzył jednak na mnie. Nie spuszczał Rahima z oka. Czekał na jego reakcję? – Następnym razem chcę jednego pojmać żywcem, żeby go przesłuchać. Twój żołnierz z Iliaz wydają się dobrze wyszkoleni. Każ Lordowi Bilalowi wyznaczyć połowę z nich do patroli w mieście. – Kamień spadł mi z serca.

– Jak sobie życzysz, ojciec. – Rahim nie czekał na rozkaz, że może odejść. Szybko się uklonił i odwrócił na pięcie.

Zostałam tylko ja i on. Długa chwila upłynęła w milczeniu. Już myślałam, że Sułtan o mnie zapomniał. Miałam właśnie zauważyć, że zapomniał kazać mi wyjść, kiedy znowu się odezwał.

– Pochodzisz z samego końca pustyni. – Nie tego się spodziewałam.

– Z samiotkiego końca – potwierdziłam. Za Dustwalk nie było nic prócz niezamieszkanymi gór.

– Mówią, że w krwi twojego ludu płynie więcej starych opowieści niż gdzie indziej. – To była prawda. To dlatego Tamid wiedział, jak kontrolować Noorshama. Jak uwięzić Dżina. Wszystko to, o czym zapomniała Północ. – Znasz historię o Abdalsach?

Znałam.

W czasach przed ludźmi Dżiny robiły służących z ziemi. Proste stworzenia z gliny ożywały tylko, gdy słyszały rozkazy Dżinów. Nie nadawały się do niczego innego, wyłącznie do wypełniania rozkazów swoich nieśmiertelnych panów.

– Abdalsy były tworamami podobnymi do nas, ale święte teksty opisują ludzi jako pierwsze dzieci Dżinów. Teraz już

rozumiem dlaczego. – Wygodniej usiadł na krześle i przeczesał dłonią włosy. To był taki niecierpliwy gest, który przypomniał mi Ahmeda, przez co strasznie zatęskniłam za domem. – Abdalsy nie miały w sobie tej cechy, która sprawiała, że były tak trudne jak dzieci.

– Ale Abdalsów nie dałoby się tak łatwo odesłać z kraju – palnęłam, zanim ugryzłam się w język. Poczułam się przy nim zbyt swobodnie. Może wyglądał jak Ahmed, ale na pewno nim nie był. Jednak Sułtan zaskoczył mnie swoim śmiechem.

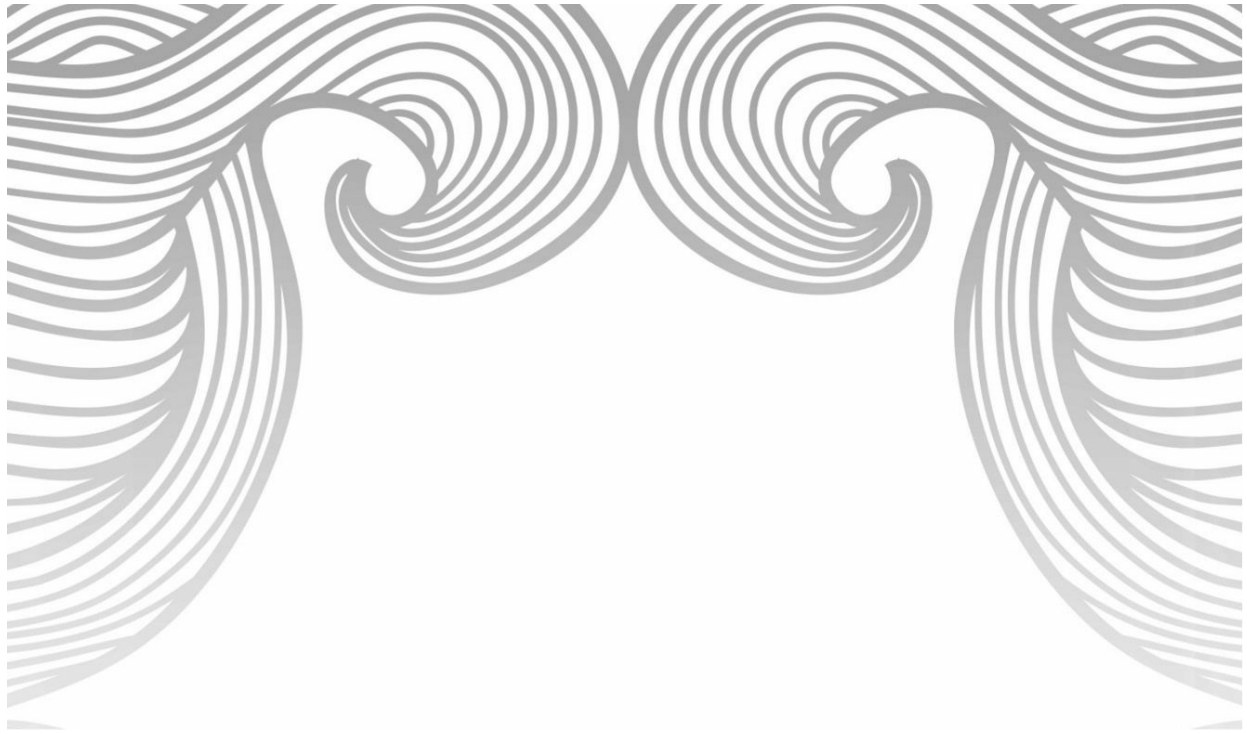
– To prawda. Chociaż łatwiej rządziłoby się krajem pełnym Abdalsów. Nie musiałbym cały czas przekonywać ich, że robię to, co dla nich najlepsze. – Jedna z map przypiętych do ściany przedstawiała cały świat. Miraji leżało pośrodku. Amonpour rozciągało się z jednej strony wzdłuż naszych granic. Gallandia widniała na północy, połykając kraje ciągnące się w stronę Jarpoor oraz Półwyspu Jońskiego i Xicha, gdzie przez lata ukrywali się Ahmed, Jin i Delila. Albis, forteca, która im się opierała na morzu, a także Gamaniks na lądzie. To był wielki świat. – Lud Miraji powstaje w proteście przeciw Gallanom, Albiszom i Xichańczykom, wszystkim naszym zagranicznym przyjaciom i wrogom.

Przełknęłam ślinę i poczułam ból w gardle, które miażdżył mi jeden z takich obcokrajowców.

– Więc nie odnawiaj z nimi sojuszu.

Wiedziałałam, że powiedziałam za dużo. Wiedziałałam, gdy tylko słowa opuściły moje usta. Ale Sułtan nie wściekł się na mnie tak jak na swoich synów. Nie zakpił ze mnie. Nie próbował mi tłumaczyć jak wtedy, gdy siedzieliśmy naprzeciw siebie przy zastawionym stole w komnacie obok.

– Możesz odejść, Amani. – I w pewnym sensie to było gorsze niż wszystko inne, co mógł mi powiedzieć.



ROZDZIAŁ 30

– Wydaje mi się, że zaczynają blaknąć. – Leyla popatrzyła na ślady na mojej szyi. Następnego dnia rozwinęły się w wielki purpurowy naszyjnik złożony z odcisków palców. – Powinny zniknąć do Auranzeb. – Zdawało mi się, że wszyscy w haremie martwią się głównie tym, jak będę wyglądać na Auranzeb. Że moje bliskie spotkanie ze śmiercią będzie gryzło się z moim khalatem. Po drugiej stronie ogrodu zobaczyłam dwie kobiety, które coś do siebie szeptały, zasłaniając się dłońmi i raz po raz zerkając na mnie. Dobry Boże, nienawidziłam tego miejsca. Leyla opuściła swoje delikatne dłonie. – Naprawdę sędzę, że powinnaś udać się do Tamida, może będzie mógł coś ci na to zaaplikować.

– Przeżyję.

W jej dużych oczach kryła się jakaś niewypowiedziana troska. Coś tak ważnego, że aż czekała na mnie w ciemności.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Rahim powiedział mi o Auranzeb. O moim uwolnieniu. I po prostu... nie chciałabym zostawiać tutaj Tamida.

Wzdrygnęłam się. Czy Tamid powiedział jej o mnie? Że właśnie to kiedyś zrobiłam? Czy to miał być przytyk dla mnie, rozdrapanie mojej starej rany? Ale w jej słowach nie wyczułam żadnej złości.

Leyla pochyliła głowę, nerwowym gestem odgarnęła włosy za ucho i unikała mojego wzroku. Była zakochana w Tamidzie. A przynajmniej tak jej się wydawało. Była tylko nieśmiałą szesnastolatką. Całe życie spędziła zamknięta w pałacu. Tamid musiał być jednym z pierwszych niespokrewnionych z nią mężczyzn, których widziała. Nic

dziwnego, że wydawało jej się, że się w nim zakochała.

Poza tym był mądry i miły. Nic dziwnego, że naprawdę się w nim zakochała.

Miała rację. Nie mogłam go zostawić po raz drugi.

≈≈≈

Kiedy tej nocy Sam przeniknął przez mur, okazało się, że ma rozciętą wargę i porusza się, jakby ktoś obił mu żebra. To była jedyna oznaka, jaką przyniósł ze sobą, świadcząca o tym, że atmosfera na zewnątrz wrzała. Zawsze przekazywał mi jedynie dobre wieści o rebelii. O tym, że Saramotai było bezpieczne. Że zasadzka zakończyła się sukcesem. Że delegacja zmierzająca do Dustwalk, żeby ocenić pozostałości po fabryce, nigdy nie dotarła do celu.

– Chcesz, żebym wyprowadził z pałacu aż cztery osoby, a ja mam tylko dwie ręce. – Sam podrapał się po strupie na wardze. Strąciłam jego rękę. Zrobi sobie bliznę.

– Trzy osoby.

– Cztery – powiedział Sam. – Ciebie też liczę. Od jak dawna mnie znasz? Nadal nie doceniasz Niebieskookiego Bandyty? – Zarzucił na ramię swoją szimę. Zahaczyła o gałąź drzewa rosnącego przy Ścianie Płaczu.

– Czy mi się zdaje, czy stałeś się jeszcze mniej poważny? – To było takie typowe dla Sama, że unikał wszystkiego, co było poważne. Na przykład tego, że mogę nie być w stanie uciec z nim podczas Auranzeb.

– Jestem tobą poważnie zauroczony. – Udało mu się wyplątać szimę z pewną godnością.

Zrozumiałam, że próbuje mnie rozśmieszyć. Udało mu się.

– Nie jesteś mną zauroczony, jesteś...

Zakochany w kimś innym. Prawie to powiedziałam, ale powstrzymałam się w ostatniej chwili. Sam dużo przechwalał

się swoimi podbojami. Byłam więcej niż pewna, że połowa z nich była zmyślona. Ale nigdy nie słyszałam, by mówił o kimś, kogo naprawdę kochał. Patrzyłam teraz na niego, szukając w jego twarzy czegoś autentycznego. Jednak to mnie zdradzały oczy, nie jego.

– Jesteś strasznie pewna siebie, moja piękna przyjaciółko.
– Stroszył piórka i położył ręce na pniu drzewa po obu stronach mojej twarzy. – Chcesz się założyć?

Chciał mnie pocałować. Albo chciał, żebym tak myślała. Żeby mi coś udowodnić. Nie byłam pewna, czy chcę, czy nie chcę go powstrzymać. Żyłam na tym świecie od siedemnastu lat i całowałam się tylko z Jinem.

– Krwawi ci warga. – Sięgnęłam ręką, żeby otrzeć krew, ale Sam złapał mnie za rękę i stanął jeszcze bliżej. Nic nie czułam. Nie czułam się tak jak wtedy, gdy podobnie jak Sam patrzył na mnie Jin. A może Sam udawał. Nie poczułam żaru zalewającego całe ciało. Świat wokół niego był nieruchomy i ostry jak wtedy, zanim mnie dotknął. Nie był Jinem. Ale stał na miejscu Jina.

Tego śmiechu nie można było pomylić z niczym innym. Odwróciliśmy się i odskoczyliśmy od siebie, zanim jego usta dotknęły moich.

W bramie ogrodu ze Ścianą Płaczu stała Ayet, odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się, jakby dziękowała niebiosom za dar, jaki jej zesłały. W mojej piersi rozbudziły się pustynne instynkty. Tyle że nie znajdowałam się na pustyni. A to zagrożenie było zupełnie innego rodzaju.

– No wiesz, przez cały czas próbowałam się wymigać od pójścia do łóżka z moim mężem – powiedziała Ayet. – Nie sądziłam, że powód będzie aż tak niewiarygodnie *oczywisty*. Jesteś jedną z setek *głupich* kobiet w haremie, które mają kochanka.

– Ayet... – Zrobiłam krok w jej kierunku, a ona się cofnęła. Zatrzymałam się świadoma tego, że w każdej chwili ona

może uciec i mnie wydać. – Nie rób tego. To nie...

– Już za późno na negocjacje, Amani. – Odwróciła się na pięcie i pobięła do haremu.

– Hm. Chyba może być problem – powiedział Sam.

≈≈≈

Do powrotu Sułtana i Kadira z uroczystości powitania gallańskiego króla zostało zaledwie kilka godzin. Powitania, podczas którego kłamali, że to rebelia zabiła jego ambasadora. Kilka godzin, żeby powstrzymać Ayet, zanim przekaże mężowi najnowsze wieści. Powstrzymać ją lub wyciągnąć wszystkich na zewnątrz.

Sam udał się po pomoc do obozu rebeliantów. A ja dalej nie wiedziałam, gdzie on się znajduje i byłam im za to wdzięczna. Gdyby Sułtan kazał sobie powiedzieć prawdę, moja niewiedza przynajmniej dałaby im trochę czasu. Ale nadal musieliby być gotowi do ucieczki.

W międzyczasie zamierzałam powstrzymać Ayet.

Jeśli była jakaś inna osoba, która była dla niej większym zagrożeniem ode mnie, to była Shira, nadal będąca poza jej zasięgiem. Musiałam się dowiedzieć, jak Shira to robiła. A Shira chętnie wymieniała się informacjami. Miała coś, co sprawiało, że Ayet trzymała się od niej z daleka. Potrzebowałam tej informacji.

Ruszyłam do samego serca haremu, ciężko oddychałam. Coś się zmieniło. Od razu to wyczułam. Zauważyłam Leylę – ciemne włosy zebrała z szyi, wpatrywała się w dal i skubała paznokiec kciuka.

– Leyla! – Dobiegłam do niej. – Posłuchaj, Ayet właśnie zobaczyła... Nie, to skomplikowane. Jeśli opowie o tym twojemu ojcu lub Kadirowi, nie będziemy mogli wyciągnąć cię z pałacu podczas Auranzeb, tak jak planowaliśmy.

Musisz być gotowa na wyjście dziś wieczorem. A ja muszę odnaleźć Shirę – powiedziałam szybko. – Wiesz, gdzie ona jest?

Leyla była zaskoczona, gdy przekazałam jej te informacje. Na szczęście, dotarło do niej moje ostatnie pytanie.

– Sultrima? Rodzi. Ktoś właśnie posłał po Kadira.

To właśnie to, zrozumiałam. Niepokój wypełniał cały harem. Cholera. Fatalnie.

– Leyla, a gdzie ona jest? – naciskałam, nienawidząc się za to. Nawet zanim Leyla pokazała mi, w którą stronę mam iść.

Gdy wpadłam do holu, jej krzyk stał się jeszcze głośniejszy. Znajdowało się tam kilka kobiet z haremu, modliły się na podłodze przed drzwiami. Jakaś służąca wyszła z komnaty, niosąc opatrunek nasiąknięty krwią. Za nią rozległ się krzyk Shiry. Następnie drzwi się znowu zamknęły, tłumiąc ten dźwięk.

A potem, nagle, w komnacie Shiry zapadła cisza.

Wstrzymałam oddech. Liczyłam uderzenia serca, gdy cisza się przedłużała. Czekałam. Czekałam, aż coś ją przerwie. Jakiś krzyk. Oskarżenie. Akuszerka wychodząca z komnaty, żeby nam powiedzieć, że Shira umarła.

Ciszę przerwał płacz dziecka.

Odetchnęłam z ulgą. Ale jeszcze nie wypuściłam powietrza z płuc, gdy rozległ się kolejny krzyk.

Tym razem nie Shiry.

Rzuciłam się do drzwi i otworzyłam je. Spocona i wymęczona Shira leżała pośród stosu zakrwawionych prześcieradeł i tuliła zawiniątko do piersi, kolana podciągnęła do góry, jakby chciała chronić dziecko. Obok niej, jak zaklęte w posąg, stały trzy kobiety i gapiły się na nią. Czwarta oparła się o ścianę, zasłoniła dłonią usta i cała drżała.

Zrobiłam jeszcze jeden krok, żeby lepiej przyjrzeć się małemu zawiniątku, które trzymała Shira. Noworodek nie

miął niebieskich oczu. Ale miał niebieskie włosy. Jak Maz. Jasne, o niebiesko-fioletowym odcieniu. Jak najgorętsza część płomienia.

To nie był syn Sama. To był syn Dżina. Shira urodziła Póldżina.

Nagle Leyla i Rahim nie byli już najważniejszymi osobami, które należało stąd wyprowadzić.

– Shira. – Uklękłam przy niej. – Możesz chodzić?

Shira w końcu oderwała wzrok od dziecka.

– Mogę biegać, jeśli trzeba – powiedziała bez wytwornego miastowego akcentu. Brzmiała całkowicie jak mieszkanka Dustwalk. Powoli odepchnęła się od łóżka, trochę drżała. Nigdy nie widziałam, żeby Shira wyglądała tak dostojnie. Gdy była znana jako Sultrima, nosiła piękne szaty i zachowywała się arogancko, otaczał ją nimb dostojności. Ale to było coś odmiennego od zaciekłości, jaką teraz demonstrowała, gdy tak stała owinięta w pokrwawiony khalat i prześcieradła i tuliła do siebie syna.

– Chodźmy.

Brak strażników w haremie sprawił, że Shira obawiała się o dziecko, które właśnie urodziła, ale to mogło jej uratować życie. Nikt nas nie zatrzymywał, gdy wychodziłyśmy z jej komnaty. Matki, siostry, żony, synowie, służące – wszyscy gapili się w milczeniu, nie wiedząc, co zrobić. Byłam jednak pewna, że ktoś pobiegnie już po pomoc.

Nie miałyśmy zbyt dużo czasu. Moje serce biło jak szalone.

– Shira. – Zajrzałam za róg. Przed nami rozciągał się gęsto zarośnięty ogród pełen kwiatów, teraz zupełnie pusty. Znajdowałyśmy się blisko ogrodu ze Ścianą Płaczu. Modliłam się o to, żeby był tam Sam i pomógł nam, gdy dojdziemy na miejsce. – Muszę wiedzieć. Co masz na Ayet, że udało ci się ją trzymać na dystans przez ostatnie miesiące? Co to takiego?

Shira potknęła się. Złapałam ją.

– Powiem ci, jeśli wyciągniesz mnie stąd żywą – powiedziała. Nawet teraz, gdy czuła oddech śmierci na karku, nadal była największą przekupą w haremie.

– Shira, proszę!

– Męża – oświadczyła wreszcie Shira. – Innego męża poza murami haremu. Doprawiła mu jedzenie trucizną, gdy złamał jej dwa żebra. Dała łapówkę, żeby przejść przez... inspekcję. – Starła się ująć to delikatnie. – Kilka słów prawdy do ucha Sultrima i mogłabym sprawić, żeby zniknęła. Jedwabny sznur na jej gardle podczas snu i ciało wrzucone do morza. Tak się dzieje, gdy Sultrim chce, żeby po cichu zniknęły. – Chłonełam jej słowa. Musiałam dotrzeć do Ayet przed Kadirem. Musiałam jej powiedzieć, że wiem, jak ją zniszczyć, gdyby zechciała mnie wydać.

Już prawie doszliśmy do Ściany Płaczu. Tak blisko wolności.

Usłyszałam znajome trzaśnięcie kabury od rewolweru. Dźwięk szybkich kroków.

Po chwili zostaliśmy otoczone przez mężczyzn w mundurach, wśród których znajdowali się Sułtan i Sultrim.

Kadir wyszedł na przód oddziału. Rzucił się w stronę Shiry. Chciałam stanąć między nim a swoją kuzynką. Zanim to zrobiłam, Sultrim został zatrzymany przez dwóch żołnierzy. Kadir chciał się im wyrwać.

– Odsuńcie się. To moja żona. Kłamliwa dziwka. – Walczył z nimi. – Mam prawo zrobić z nią, co zechcę. Zapłaci za swoją zdradę.

Shira mocniej przytuliła dziecko do piersi i z pogardą spojrzała na Kadira. Była odważna jak nigdy dotąd.

– Zrobiłam to, żeby przeżyć. Ponieważ jesteś złośliwym, głupim impotentem.

Kadir rzucił się na nią, ale stanęłam pomiędzy nimi. Sułtan uczynił ledwo widoczny gest dłonią, a Kadir został

odciągnięty od Shiry przez żołnierzy.

– Zabierzcie go gdzieś, gdzie będzie mógł ochłonać.

– Moja żona... – zaczął Kadir, ale Sułtan zaraz mu przerwał:

– To sprawa dla władców. Nie poślednich mężów.

Słyszałam, jak Kadir protestuje, gdy żołnierze na wpół nieśli go przez ogród.

– Wiesz, jaka jest kara za pogwałcenie przysięgi małżeńskiej, Shira – mówił spokojnie Sułtan. Przed oczami stanęła mi scena, jaka rozegrała się tutaj piętnaście lat temu: Delila zabierana z pałacu i dłonie Sułtana zaciskające się na gardle matki Ahmeda.

– Kadir *nigdy* nie zostanie ojcem. Nie może. I jak sądzę, ty o tym wiesz, Wasza Wysokość. – Shira wyprostowała się. – To co zrobiłam, zrobiłam dla tego kraju.

– Wydaje mi się, że jakaś część ciebie rzeczywiście tak uważa – powiedział Sułtan. – Zawsze cię lubiłem, Shira. Szkoda. Byłaś mądrzejsza od większości z nich. Słyszałem, że lubisz transakcje wymienne. Mam dla ciebie ostatnią propozycję. Życie twojego syna w zamian za imię Dżina, który go począł.

– Shira... – ostrzegłam ją. Ale było za późno.

– Fereshteh. – Uniosła wyzywająco głowę, nieświadoma faktu, że właśnie podała Sułtanowi kolejne prawdziwe imię Dżina. – Powiedział mi, że uczyni ze mnie matkę władcy. Prawdziwego księcia. Wielkiego Sułtana. Większego Sułtana niż Kadir mógłby kiedykolwiek być.

Nigdy przedtem nie widziałam na twarzy Sułtana wyrazu niepewności. Ale dostrzegłam ją tylko przez moment. Nie mogłam go winić. Prawda z ust Dżina była wielką rzeczą. Jeśli Shira nie kłamała, mogła naprawdę tulić przyszłego władcę.

– Fereshteh – powtórzył Sułtan. – Dobrze. Weź od niej dziecko, Amani. – To był rozkaz i już nic nie mogłam

poradzić na to, że moje ręce wyciągnęły się w stronę Shiry.

– Co się z nią stanie? – Moje ręce poruszały się wbrew mojej woli. Sułtan nigdy wcześniej aż tak bardzo nie przypominał Ahmeda, jak w tej chwili. Miał taką samą minę jak Ahmed, kiedy mówił mi o czymś, czego nie chciałam wiedzieć, ale i tak musiałam się z tym pogodzić. – Proszę – powiedziałam. Shira szeptała coś do syna, składała mu obietnice, których nie mogła dotrzymać. Próbowwała zapamiętać jedyne chwile ze swoim dzieckiem. Mój umysł pracował na wzmożonych obrotach, próbowałam coś wymyślić. Jakaś ucieczkę, cokolwiek. Ale byliśmy w pułapce. Z niektórych sytuacji nie ma wyjścia. Jej dziecko już leżało w moich ramionach. – Proszę, nie zabijaj jej.

Kuzynka spojrzała mi w oczy. Rozchyliła usta. Wróciły do mnie słowa Sułtana. Shira lubiła transakcje wymienne. I miała jeszcze jedną rzecz do przehandlowania. Jedną monetę, za którą mogła próbować wykupić swoje życie. Mnie. Mogła dać Sułtanowi Niebieskooką Bandytkę i całą rebelię w zamian za swoje życie.

Mogła mnie teraz zniszczyć. Ja nie miałam nic.

– Ma na imię Fadi. – Tak miał na imię nasz dziadek. Tak nazywały się nasze matki, zanim wyszły za mąż.

– Zamknijcie ją – rozkazał Sułtan beznamiętnym tonem i już kierował się w drugą stronę. Już zapominał o niej, kolejnej bezużytecznej dziewczynie z haremu. – Wyrok śmierci zostanie wykonany jutro o zachodzie słońca. Amani, chodź ze mną. Weź dziecko.

Im bardziej oddalaliśmy się od jego matki, tym głośniejsze Fadi płakał w moich ramionach.



ROZDZIAŁ 31

ZDRADZIECKI DŹIN

W czasach, które pamiętali jedynie nieśmiertelni, świat się nie zmieniał. Słońce nie zachodziło ani nie wschodziło. Nie było przyływów na morzu. Dżiny nie znały strachu, radości, żalu ani bólu. Nic nie żyło, nic nie umierało. Wszystko po prostu trwało.

Wówczas wybuchła Pierwsza Wojna.

Przyniosła ze sobą świt i zmierzch. Przyniosła przyływ, nowe góry i doliny. A przede wszystkim przyniosła śmiertelność.

Ludzie powstali z iskry ognia Dżinów, ale nie byli nieskończeni. I to miało duże znaczenie. Wszystko się zmieniło. Nie istnieli tak po prostu. Rodzili się i umierali. A pomiędzy tymi wydarzeniami odczuwali tak wiele, że przyciągali do siebie nieśmiertelnych, chociaż sami byli jedynie iskrami wielkich ogni Dżinów.

Gdy wojna dobiegła końca, Dżiny z wielkiej pustyni zebrały się razem i patrzyły na świat. Na ziemię, która kiedyś należała do nich. Wojna się skończyła. Śmiertelnicy odegrali swoją rolę. Walczyli. Umierali.

A potem się mnożyli.

Dżiny z niedowierzaniem patrzyły, jak ludzie budują mury i stawiają miasta, jak znajdują życie poza wojną i wszczynali nowe wojny, w których walczyli. Dżiny zastanawiały się, czy powinni pozwolić ludziom dalej trwać. To one stworzyły śmiertelników; teraz, gdy wojna się skończyła, mogły ich unicestwić, jeśli chciały.

Niektóre z Dżinów twierdziły, że ludzkość już odegrała swoją rolę. Ludzie będą tylko stwarzali problemy. Lepiej ich

od razu spalić, wszystkich naraz. Oddać ich ziemi, z której zostali ulepiani, zanim zaczęli ją zasiedlać.

Dżin Fereshteh zgadzał się z nimi. Świat był prostszy przed śmiertelnikami. Przyglądał się własnemu synowi, urodzonemu ze śmiertelnej kobiety, który przeżył kilka bitew z potworami Pogromczyni Światów, a umarł podczas bójki w barze. I chociaż Dżiny szybko zapomniały o strachu przed śmiercią, kiedy Pogromczyni Światów została pokonana, to znacznie wolniej zapomniały o tym, co ludzie nazywali smutkiem. To uczucie wydawało się zbyt potężne dla wiecznych Dżinów.

Jednak Dżin Darayavahush był przeciwny ich zgładzeniu. Powiedział, że ludzie powinni móc żyć. Zasłużyli sobie na prawo do życia na ziemi, gdy pokonali Pogromczynię Światów. Byli niezwykli; umierali setkami podczas bitew, ale jakoś udawało im się walczyć z armiami Pogromczyni Światów. Ta wola przetrwania powinna zostać doceniona.

Dżiny sprzeczały się, lata mijały, przemijało kolejne pokolenie ludzi. Kłócili się, a miasta powstawały tam, gdzie wcześniej niczego nie było. Na tronach nowi władcy zastępowali starych. Śmiertelnicy powoli zapominali już o Pogromczyni Światów.

W końcu, kiedy umarł ostatni ze śmiertelników, który pamiętał Pierwszą Wojnę, Dżiny zebrały się w domu jednego z tych, którzy najlepiej czuli się na starym polu bitwy, miejscu, gdzie ziemia została tak przeorana, że powstała głęboka dolina, w której nie chciał zamieszkać żaden inny Dżin. Postanowili zagłosować. Rzucali do wody czarny kamień, jeśli uważali, że najlepiej położyć koniec ludzkości, a biały, żeby pozwolić ludziom dalej żyć.

Stos kamieni piął się w górę, czarny, potem biały, jeden za drugim, aż po obu stronach była dokładnie taka sama ich liczba i pozostał tylko jeden Dżin, Bahadur, którego głos miał zdecydować o losie całej ludzkości.

Fereshteh był pewien, że Bahadur opowie się po jego stronie. Bahadur również przyglądał się śmierci swojego śmiertelnego dziecka. Córka z niebieskimi oczami i słońcem w dłoniach, którą ludzie nazywali księżniczką, jednym z tych głupich słów, które miały sugerować, że jedno z nich ma większą władzę od innych. Bahadur na pewno czuł ten sam ból co Fereshteh. I tak jak on będzie chciał z tym skończyć.

A kiedy Bahadur w końcu rzucił kamień, ten był biały jak kość. Strona Fereshteha przegrała. Wówczas wszystkie Dżiny złożyły przysięgę – żaden z nich nie unicestwi ludzkości.

A ponieważ były Dżinami, ich przysięga była prawdziwa.

Mijały wieki.

Fereshteh nie wiedział jak wiele, ponieważ czas odmierzają tylko ci, których dni są policzone. Z początku starał się trzymać z dala od ludzi. Ale oni ciągle się zmieniali. Trudno było na nich nie patrzeć. Za każdym razem, gdy Fereshtehowi wydawało się, że znudził się ich widokiem, oni wymyślali coś nowego. Konstruowali coś nowego, czasami zupełnie z niczego. Pałace wznosiły się wyższe niż dotychczas. Po pustyni jeździły pociągi. Muzyka przechodziła z ich głów do ich palców. I Fereshteh czasami nie mógł się oprzeć pokusie. Ale czas go nauczył, żeby zawsze unikać smutku. Nigdy nie patrzył na dzieci, które spłodził ze śmiertelnymi kobietami. Nie interesowało go przyglądanie się małym cząstkom siebie, które pochłaniał świat, przez decyzję Dżinów, którzy pozwolili im trwać.

Aż nadszedł dzień, kiedy Fereshteh usłyszał swoje imię – wzywał go rozkaz, któremu nie mógł się przeciwstawić. I tak oto stał się więźniem stojącym przed Sułtanem i Półdżinem. Półdżinem trzymającym dziecko, które Fereshteh rozpoznał jako swojego potomka, chociaż nie pamiętał już matki noworodka. Tak było łatwiej.

Pamiętał jednak wszystkie swoje dzieci. I pamiętał ból, jaki

odczuwał, kiedy każde z nich umierało. Więc kiedy Sułtan podniósł nóż na to dziecko i kazał mu podać imiona innych Dżinów, poddał się bez walki. Nie mógł patrzeć, jak umiera jego iskra.

Najpierw podał imię Darayavahusha. Podał Sułtanowi jedynie imiona Dżinów, które były tak głupie, że sądziły, iż ludzkość była bezbronna i warta ocalenia. Tych, którzy głosowali tak, by ludzie mogli żyć. Połowę Dżinów z pustyni.

Śmiał się, gdy – jeden po drugim – stawali się więźniami stworzeń, którym pozwolili żyć.



ROZDZIAŁ 32

Sułtan był bardzo niebezpieczny, mając jednego Dżina. Teraz miał całą armię Dżinów. Co prawda śmiertelnicy zostali stworzeni, by walczyć w ich wojnach, ale były też takie opowieści, które mówiły, co się stało, gdy nieśmiertelni ingerowali podczas ludzkich wojen. Istnieli bowiem okrutni zdobywcy, którzy zakuwali Dżiny w żelazo i wykorzystywali całą ich moc do poskromienia bezradnych ludów. Byli też tacy bohaterowie, którzy walczyli, mając Dżiny po swojej stronie. Nieśmiertelne istoty pomagały im w rozgromieniu wrogów, będąc pod wrażeniem ich szlachetności. Nieważne, jakie były okoliczności, nieśmiertelnych nie można było powstrzymać.

Moje myśli pędziły jakby gnane burzą, gdy Sułtan zaprowadził mnie do haremu, trzymając dłoń na moich plecach. Tak wiele musiałam zrobić i miałam tak mało czasu.

Musiałam przekazać Samowi informację o pozostałych Dżinach. I musiałam zadbać o to, żeby Fadi, który płakał na moich rękach, był w pałacu bezpieczny. Musiałam znaleźć sposób na ocalenie Shiry. I musiałam to zrobić, zanim Ayet wyda mnie Sułtanowi. Poród Shiry dał mi nieco czasu, ale teraz to tylko kwestia godzin, zanim Ayet dopadnie Kadira lub kogoś innego i opowie o tym, co widziała, w związku z czym Sułtan dowie się, że jestem Niebieskooką Bandytką. I to będzie koniec. Musiałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, zanim wszystko się skończy.

– Ojciec. – Tok moich myśli został przerwany przez Rahima. Szybkiem krokiem szedł holem, nie zapiął kołnierzyka, miał włosy w nieładzie, za nim podążały dwie służące. Zaczynało

już świtać, a on wyglądał jakby przez całą noc nie zmrużył oka. Będzie miał takie same kłopoty jak ja, gdy Ayet mnie zdradzi. Co on tu jeszcze robił? – Jedno słówko.

Odciągnął ojca na stronę, bym nie mogła ich słyszeć, pochylił się i szeptem przekazał mu jakąś niecierpiącą zwłoki wiadomość. Zdenerwowałam się. Nadal tu był, a przecież celowo nie narażałby życia Leyli. Gdyby miał wybierać, postawiłby na nią, nie na mnie. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Podobnie ja bym zrobiła, gdybym miała wybierać pomiędzy Rahimem i Leylą a rebelią. Nie miałam do niego pretensji. Ale nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że wyda mnie, bo będzie chciał ratować siebie, i nawet nie poczeka aż Ayet wszystko załatwi.

– Proszę wybaczyć. – Dwie służące, które przyszły z Rahimem, stanęły przede mną i zasłoniły mi mojego tak zwanego sprzymierzeńca. Jedna z nich wyciągnęła ręce po Fadięgo, pochylając głowę.

– Nie. – Przytuliłam Fadięgo do piersi. Nie oddam go. Może nie uda mi się już zrobić niczego innego, zanim mnie zdemaskują, ale nie zamierzałam pozwolić, by kolejny Półdżin został pochłonięty przez harem i zniknął na zawsze.

– Trzeba go nakarmić – przemówiła druga służąca, w jej głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie, jakiego nigdy nie doświadczyłam ze strony służby w haremie. Spojrzałam na nią, lecz ona mimo swojego tonu miała nisko pochyloną głowę. Powiedziała to jednak tak głośno, że aż zwróciła na nas uwagę Sułtana.

– Oddaj dziecko, Amani – rzucił mimochodem Sułtan i powrócił do rozmowy z Rahimem. Próbowałam spojrzeć mu w oczy ponad ramieniem jego ojca, lecz Rahim zachowywał się tak, jakbyśmy w ogóle się nie znali.

– Wszystko w porządku. – Pierwsza służąca miała znajomo brzmiący głos, chociaż nie byłam pewna czy widziałam ją wcześniej w haremie. – Dobrze się nim zajmiemy.

W tej chwili Sułtan odwrócił się do nas tyłem i pierwsza służąca odważyła się podnieść głowę i stanęłam twarzą w twarz z Halą.

Ukryła pod iluzją swoją złotą skórę, ale nie mogłam się mylić, to była ona. To było dziwne: była zarazem całkowicie znajoma i zupełnie obca. Jej wydatnych kości policzkowych i długiego nosa nie dało się pomylić, ale bez złotej otoczki wyglądała młodziej i delikatniej.

Przyjrzałam się uważniej drugiej służącej. Miała dziwne oczy. Nie były tak ciemne jak oczy dziewczyny z pustyni. Miały barwę płynnego złota.

Imin.

Serce biło mi jak szalone. Coś zaczęło się dziać. Nie wiedziałam jednak co.

Imin puściła do mnie oko tak szybko, że nawet jeśli zauważyłby to Sułtan, to musiałby to wziąć za zwykłe mrugnięcie. Odsunęłam od siebie noworodka i podałam go Hali.

Tak, dostałam rozkaz, ale nie było na świecie wielu ludzi, którym ufałabym bardziej niż Hali. Może nie eksponowała swojego instynktu macierzyńskiego, ale Półdżiny dbały o podobnych do siebie. Jeszcze nie odprowadziłam jej wzrokiem, gdy znikwała z dzieckiem w haremie, kiedy Imin chwyciła mnie za rękę.

– Chodź szybko. Nie oglądaj się za siebie.

– Co się dzieje? – zapytałam szeptem, gdy szybko przemierzałyśmy długość holu. Zbyt szybko. Gdyby Sułtan na chwilę odwrócił wzrok od Rahima, od razu by wiedział, że uciekam.

– Coś co można nazwać szybko skleconym planem. Teraz w prawo. – Skręciłyśmy i znalazłyśmy się poza zasięgiem wzroku Sułtana. Rahim nas nie zdradził. Zapewnił odwrócenie uwagi. Nagle poczułam wstyd za to, że pomyślałam, że chciał nas wydać. Zanim skończy rozmawiać

z ojcem, Sułtan pomyśli, że wróciłam do haremu. Jeśli w ogóle będzie się nad tym zastanawiał.

– Fadi, dziecko – zaczęłam. – Sułtan będzie go szukał, musicie... – Imin wywróciła oczami i mi przerwała:

– Możesz w to nie wierzyć, ale *potrafimy* zrealizować plan bez ciebie. – Imin zwolniła, gdy wyszliśmy z chłodu marmurowego pałacu i wkroczyliśmy do jednego z dużych ogrodów. Był wczesny ranek, więc jeszcze nie czułyśmy nieznośnego upału, mimo to zmrużyłam oczy, wychodząc z półmroku na pełne słońce.

Zatrzymałyśmy się za drzewem poza zasięgiem wzroku tych, którzy mogliby tędy przechodzić. Imin jednym, szybkim gestem zdjęła szatę służącej. Pod spodem miała mundur straży pałacowej, który został uszyty na kogoś o wiele wyższego i mocniej zbudowanego. Zaczęła odwijać rękawy i luzować pasek, robiąc miejsce na nową, większą sylwetkę.

– Nie możemy tak po prostu wynieść dziecka z haremu. Zauważono by jego zniknięcie. To znaczy dopóki Sułtan sądzi, że żyje. Do czasu, powiedzmy, aż połowa haremu zobaczy, że Kadir topi dziecko w napadzie szału.

Hala mogła to zrobić. To dlatego zaryzykowali i wprowadzili ją do pałacu. Jedyne, co musiała zrobić, to zabrać Fadię do haremu i odegrać tę scenę w głowach wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu. Jeśli chciała, mogła włożyć tę scenę w umysł Kadira. Mogła sprawić, żeby naprawdę uwierzył, że go zabił. A nawet jeśli nie uda jej się dotrzeć do Kadira, komu uwierzyłyby Sułtan: tuzinowi żon i córek w haremie, które widziały, jak to się stało, czy synowi o porywczym charakterze? Zwłaszcza że dziecka nigdzie nie będzie można znaleźć.

– Wtedy moja droga siostra będzie mogła wynieść go z pałacu i zabrać w bezpieczne miejsce pod przykrywką iluzji. – Imin rozprostowała długie rękawy munduru, które

zakryły jej kobiece dłonie. – To jest prawie łatwe.

Imin miała rację. To mogło się udać. Mogliśmy ocalić Fadięgo.

– A jego matka? – zapytałam, w piersi czułam ucisk. – Moja kuzynka, Shira. Jak ją wyciągniemy?

– Nie zamierzamy... – zaczęła Imin, ale szybko ugryzła się w język, nim zdążyła przepowiedzieć przyszłość. Wiedziałam jednak, co chciała powiedzieć. *Nie zamierzamy ratować Shiry*. Nieważne, czy to powiedziała, czy nie; wyglądało na to, że sprawa już została postanowiona.

– Dlaczego? – zapytałam. – Jeśli możemy wynieść Fadięgo, to dlaczego nie Shirę? Sam przecież przeprowadził ciebie i Halę przez mur, mógłby...

– W całym więzieniu są metalowe kraty, Sam nie ma jak tam wejść i wyjść. – Imin nie patrzyła mi w oczy. – Ale mogę tam wprowadzić *ciebie*, żebyś się z nią spotkała przed egzekucją. – To po to potrzebny był jej mundur strażnika. – Prosiła o ciebie.

– To nie jest dobry powód, żeby jej nie ratować. – Imin nie mówiła całej prawdy. Nie wiedziałam tylko dlaczego. – Gdyby Hala chciała, mogłaby namówić strażnika, żeby otworzył celę Shiry, i wyprowadzić ją pod nosem Sułtana. Co oznacza, że jest inny powód, dla którego ratowanie Shiry nie jest częścią planu. – To nie było pytanie. – Dlaczego?

Imin wyprostowała się. Tonęła w mundurze strażnika. Wyglądała jak dziecko bawiące się w przebieranki ubraniami dorosłych. Jednak jej twarz wyglądała poważniej niż oblicze osiemnastolatki.

– Ponieważ jeszcze nie zrezygnowaliśmy z ocalenia *ciebie*. – Od razu zrozumiałam, o co chodzi. Gdyby zniknęła Shira, mogłabym od razu sama się do wszystkiego przyznać. Dziecko mogło zniknąć w wytłumaczalny sposób, ale śmierci Shiry nie dałoby się tak łatwo sfałszować. Gdyby zniknęła, od razu byłoby wiadomo, że uciekła. Prędzej czy później

Sułtan skierowałby podejrzenia na mnie, dziewczynę, która ostatnio już próbowała pomóc Shirze. Zacząłby pytać, a ja wydałabym całą rebelię na jego żądanie. Albo Shira, albo inni.

– Ale Ayet... – zaczęłam mówić, że już zostałam zdekonspirowana. Że byłam głupia i nieostrożna, bo dałam się złapać. Że dla mnie i tak jest już za późno.

– Nie musisz się martwić o Ayet. – Imin zaczęła zmieniać się w kogoś innego, żeby wypełnić sobą mundur.

W ciągu kilku sekund stała się wyższa o głowę.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedziała, podrapała się tylko w brodę porośniętą krótką szczecina.

– Nienawidzę tego. – Żołnierz, którego postać przybrała, miał głos odpowiedni do wydawania rozkazów, głęboki i donośny. – Navid zapuszcza zarost, odkąd uciekliśmy z obozu i gdy go całuję, mam wrażenie, jakbym tarła brodą o jutę. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, że Jin zawsze się gładko goli.

– Navid przynajmniej ci nie znika, jak Jin – odpowiedziałam. Potarłam oczy pięściami, próbując pozbyć się zmęczenia. – Więc mamy tak po prostu pozwolić, żeby Shira umarła?

– Wydaje mi się, że jedna z was musi umrzeć – powiedział Imin. – Jeśli naprawdę chcesz, mogę ją ocalić. Ale będę musiał zabić ciebie tu i teraz, żebyś nie mogła nas zdradzić.

– Zabębnił palcami po nożu wiszącym u pasa. Wiedziałam, co Imin miał na myśli. Zrobiłby wszystko dla tej rebelii, tak jak każde z nas. Włącznie z zabiciem mnie. – Możesz zrobić dużo więcej dla rebelii żywa. A ona... – Imin zawahał się, jakby nie chciał tego powiedzieć na głos. Był jednak Półdzinem. Musiał mówić prawdę. – A ona może przysłużyć się swoją śmiercią.

≈≈≈

Nawet latem w pałacowym więzieniu nie było ciepło. Chłód wnikał w moje kości, gdy wraz z Imin zeszedłam po wydeptanych kamiennych schodach. Strażnik przy drzwiach, rzuciwszy okiem na mundur Imin, nawet nie próbował nas zatrzymać. Na dole będziemy zupełnie sami.

Shira drżała w kącie, miała na sobie te same szaty, w których rodziła, była odwrócona plecami do drzwi. Zrobiłam krok w jej stronę, ale Imin zatrzymał mnie, kładąc jedną rękę na moim ramieniu. Wskazał na celę sąsiadującą z celą Shiry.

Wystarczyło zrobić tylko kilka kroków w stronę tamtej celi, żeby przekonać się, że to, co brałam za stos porzuconych szmat, poruszało się. Nieznacznie. Jedynie w rytm oddechu. To była kobieta leżąca na boku, ciemne włosy opadły jej na twarz. Ale znałam khalat, w który była ubrana, róże wyszywane kolorem przejrziałych czereśni. Ten sam, który nosiła tego dnia w menażerii.

– Ayet?

– Nie jest z nią dobrze. – Shira nadal siedziała tyłem do nas. – Przestała mówić. Jakby już nie żyła, choć jeszcze oddycha. – Jak Sayida i Uzma. Doprowadzona do szaleństwa. Shira powoli się odwróciła, podtrzymując się ściany, żeby usiąść. – Chciałaś wiedzieć, gdzie znikają dziewczęta. – Zrobiła taki zamaszysty gest ręką, jakby pokazywała mi pałac ze złoconymi kopułami. – To tutaj trafiają. Mówiłam ci, że nie mam z tym nic wspólnego. – Opuściła rękę; ta opadła żałośnie u jej boku. – Dobre wieści są takie, że dziś ma umrzeć tylko jedna z nas.

– Shira...

– Nie próbuj mnie pocieszać – mówiła takim tonem, jak wtedy, gdy spałyśmy obok siebie na podłodze w Dustwalk.

Lekceważąco. Ale tym razem już mnie tak łatwo nie nabrała. Była zdesperowana. – A ty – zwróciła się do Imin, który stał za mną na schodach – nie musisz nas tak pilnować. Już zostałam skazana na śmierć. Co jeszcze mogłabym narozrabiać w czasie, jaki mi został, czyli do zachodu słońca?

Cóż, bycie skazaną na śmierć na pewno nie uczyniło jej bardziej uprzejmą. Zastanowiłam się, czy nie powiedzieć jej, że on jest po naszej stronie. Ale to już nie miało żadnego znaczenia dla Shiry. Skinęłam głową w stronę Imin, który wycofał się na górę schodów, skąd nie mógł nas słyszeć.

– No to jestem. – Usiadłam przy ścianie obok celi, tak że znalazłyśmy się tuż obok siebie. Nie pamiętałam, żebym przez siedemnaście lat choć raz tak siedziała obok niej. Nie w Dustwalk. Nie w haremie. Wtedy za każdym razem stałyśmy naprzeciw siebie. Teraz siedziałyśmy obok siebie oddzielone tylko rzędem krat. – Prosiłaś, żebym przyszła.

– Zabawne, co nie? Ostatnia osoba, którą chciałabym oglądać, jest ostatnią osobą, którą zobaczę za życia.

– Nie musisz się tłumaczyć, Shira. – Od pół roku nieustannie obawiałam się, że każda rozmowa, jaką prowadzę z kimś zaangażowanym w rebelię, może być naszą ostatnią. Czasem była. Ale trudno było pozbyć się tej myśli, kiedy wiedziałam na pewno, że Shira niedługo umrze.

– Nikt nie chce umierać samotnie.

– Boże, nie bądź taka żalosna, to przygnębiające. – Shira przewróciła oczami. Aż wystraszyłam się, że zgubi je gdzieś wewnątrz czaszki. – Chcę od ciebie tylko jednej rzeczy. Byli tutaj twoi zbuntowani przyjaciele. Powiedzieli... – Przełknęła ślinę, jakby próbowała przede mną ukryć, że miała nadzieję, choćby przez jedną sekundę, że to może nie być jej koniec. – Powiedzieli, że nie mogą mnie stąd wydostać. – Moje serce przeszło ukłucie winy. Mogli. Ale woleli uratować mnie zamiast niej. A ja wolałam nową rodzinę od starej. –

Powiedzieli też, że pomogą Fadiemu. – Otworzyła oczy, wczepiając się palcami w kraty. – Zostałam Sultrimą, bo nie ufałam nikomu. Chcę to usłyszeć od ciebie. Może to niewiele, ale i tak jesteś jedyną osobą mojej krwi, którą tu mam. I mówisz tylko prawdę. Powiedz mi, że mój syn jest bezpieczny.

– Hala wyniosła go z pałacu. – Gdy słowa stoczyły się z mojego języka, wiedziałam, że są prawdziwe. – Możemy go chronić.

Napięcie, którego wcześniej sobie nie uświadamiałam, opuściło jej ciało, gdy odpowiadałam na jej pytanie, ulotnił się strach, który przepelniał ją aż do szpiku kości od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam ją w łaźni. Czy tego dnia spojrzała w moje oczy Półdzina i zrozumiała, że wszystko dobiegnie końca w dniu, kiedy urodzi? Zanim poznałam harem, mogłam zapytać, dlaczego podjęła ryzyko i współżyła z kimś innym niż jej mąż. Czy była naprawdę głupia, czy może tak arogancka, że sądziła, że nie spotka jej ten sam los, co matkę Ahmeda i Delili? Każdej innej kobiety, która zabłądziła i znalazła się w ramionach innego mężczyzny. Ale dość się napatrzyłam, odkąd znalazłam się w haremie, by wiedzieć, że mogła umrzeć z innych powodów. Ayt była na to najlepszym dowodem.

– Dlaczego nie wydałaś mnie Sułtanowi w zamian za własne życie? – wyrwało mi się. Przed rebelią nigdy nie wierzyłam, że ktoś może coś zrobić nie dla swojego dobra. I nadal częściowo nie mogłam się otrząsnąć ze swoich przekonań sprzed rebelii. Tych przekonań, które pozwoliły mi przeżyć. – Wiesz, kim jestem. Wiesz, że twoje życie wisiało na włosku. Jeśli przeżycie w haremie zależy od sprytu, dlaczego nie zagrałaś ostatnią kartą?

Spojrzenie, którym mnie obrzuciła, znałam z czasów szkolnych w Dustwalk. Patrzyła tak, gdy ktoś powiedział coś wyjątkowo głupiego w klasie. Od razu było wiadomo, że

jesteś idiotą, a ona znacznie przewyższa cię mądrością.

– Z Sułtanem się nie handluje. Wszyscy to wiedzą. Od czasów, gdy przehandlował Miraji w zamian za tron, nigdy nie zrobił tego ponownie. To błąd, który popełnia się tylko raz. Zamiast tego Sułtan *zabiera*. Wzięłby ode mnie wiedzę o twojej zdradzie i wtedy obie byłybyśmy martwe. A ja chciałam, żeby jedna z nas przeżyła. Wolałabym, żebym to była ja, oczywiście, ale trzeba zadowolić się tym, co się ma. – Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech z własnego żartu. Szybko jednak zniknął. – Kiedy mnie już nie będzie, chcę, żeby ta twoja idiotyczna, idealistyczna rebelia nadal trwała i żeby wypatroszyła Sułtana i Kadira. – Im więcej mówiła, tym bardziej jej akcent się rozpadał. Ze szczelin wyłaniał się nasz akcent z Ostatniego Okręgu. – Nienawidzę *ich* i nienawidzę tego, co robią. I prawie udało mi się przejąć ich tron.

– Czekał – przerwałam jej, zanim pogoniła za swoimi myślami. – Co masz na myśli mówiąc, że prawie przejęłaś tron?

– Fereshteh mi obiecał – powiedziała z pewnością dziecka powtarzającego coś, w co w pełni wierzy. Które nie rozumie, że obietnice to tylko słowa. Ale Fereshteh był Dżinem. Obietnice Półdżinów były niebezpieczne, a co dopiero obietnica prawdziwego Dżina? Przez myśl przemknęły mi niezliczone opowieści o obietnicach Dżinów wypełnianych w przerażający sposób.

– Bardzo szybko doszłam do wniosku, że w haremie nie da się wygrać. Zostanie matką nie tylko księcia, lecz Sultrima, jest jedynym, *prawdziwym* sposobem na zwycięstwo. Kadir nie mógł począć żadnego księcia. A pewnego dnia Fereshteh znalazł się tuż obok, w ogrodach haremu. Jakby wyszedł z legendy i wkroczył w moje życie, żeby mnie ocalić. Powiedział, że może dać mi syna. A dzięki niemu sposób, by wygrać grę bez zwycięzców. Bym mogła przeżyć dłużej niż do

czasu aż Kadir straci mną zainteresowanie w łóżku i stać się Sultrimą. – Patrzyła gdzieś daleko przed siebie. – I gdy go dotknęłam, zmienił się z ognia w człowieka. Zapytał mnie, czego życzę sobie dla naszego dziecka.

– Jak to, czego sobie życzysz? – Wyszły mi usta.

Shira otworzyła szeroko podbiegłe krwią oczy, jakbym wybudziła ją z pierwszego, płytkiego snu.

– Powiedział, że spełni jedno moje życzenie związane z dzieckiem. Każdy Dżin to potrafi.

– Shira – starannie dobierałam słowa. – Znasz te historie tak dobrze jak ja. Życzenie spełnione przez Dżina...

– W opowieściach ludzie *kradną* życzenia. Oszukują i kłamią, żeby w łatwy sposób zmienić swój los. To dlatego Dżiny je wypaczają. Złodzieje nie wzbogacą się w ten sposób. Ale jeśli Dżin sam proponuje, że spełni życzenie... – Wtedy nie ma potrzeby, by je przekreślać. Mogą naprawdę spełnić czyjeś marzenie.

– Zażyczyłaś sobie czegoś więcej niż księcia. – Moje myśli nie były już całkowicie skupione na Shirze. Podążały przez piaski do Dustwalk. Do mojej własnej matki. Gdyby dostała szansę na spełnienie jednego życzenia, czego chciałaby dla mnie? Jakie dobrodziejstwo dostałam od ojca? – Chciałaś, by twój syn został Sułtanem.

– Tylko tak mogłam wygrać tę rozgrywkę. – Shira oparła głowę o zimną, kamienną ścianę, leciutko westchnęła. Rozpłakała się. – Zażyczyłam sobie, że chcę zostać matką władcy. Nie musiałabym dłużej walczyć o przetrwanie. Mogłabym mieć wszystko, czego zapragnęłam. – Słowo Dżina było prawdą. Jeśli Fereshteh obiecał Shirze, że pewnego dnia Fadi zostanie Sułtanem, to co to znaczyło dla Ahmeda? – Ale przegrałam. – Łzy płynęły po jej twarzy. Nigdy wcześniej nie widziałam płaczącej Shiry. Nie pasowało to do niej.

– Shira, chcesz, żebym już poszła?

– Nie. – Nie otworzyła oczu. – Masz rację. Nikt nie chce umierać samotnie.

Myślałam, że będę smutna. Ale buzowała we mnie złość. I nagle poczułam wściekłość. Nie wiedziałam, na kogo jestem zła. Na siebie, że nie wyprowadziłam jej dość szybko. Na nią, że była dość głupia, by dać się złapać. Na Sułtana za to, że nam to robił.

– Powinnam zażyczyć sobie czegoś innego – powiedziała w końcu, gdy przestała ronić łzy. Kiedy otworzyła oczy, żarzył się w nich płomień, jakiego nigdy w niej nie widziałam. Nagle zrozumiałam, że musiał się tam tlić od dawna. Jeszcze w Dustwalk, kiedy wydawało mi się, że jestem jedyną, która pragnęła się stamtąd wydostać. W haremie, kiedy sądziłam, że jestem jedyną, która coś ukrywała. Po prostu kryła to znacznie lepiej ode mnie. – Powiedz mi, że wygracie, Amani. Że wszystkich ich powybijacie. Że zabierzecie im nasz kraj, a mój syn będzie bezpieczny na świecie, który nie będzie chciał go unicestwić. To moje prawdziwe życzenie. Powiedz mi, że tak będzie.

Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam, bo słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Mówienie prawdy było niebezpieczną zabawą. Twojemu synowi nie stanie się żadna krzywda. *Nie pozwolę na to. Twój syn będzie żył na wolności, urośnie na silnego i mądrego człowieka. Dożyje takich czasów, że będzie świadkiem, jak rozpada się to przeżarte zepsuciem panowanie. Dożyje czasów, gdy upadną tyrani, a na ich miejsce wstąpią bohaterowie. Będzie miał dzieciństwo, jakiego my nie miałyśmy. Będzie mógł biegać, aż zmęczą mu się nóżki, jeśli będzie chciał, będzie ścigał horyzont, albo zapuści korzenie, jeśli będzie wolał. Będzie synem, z jakiego dumna byłaby każda matka i nic złego mu się nie przytrafi w świecie, jaki urządzimy po twojej śmierci.*

Złożenie takiej obietnicy było zbyt niebezpieczne. Nie byłam wszechmogącym Dżinem, nie mogłam składać

obietnic.

– Nie wiem, co się stanie, Shira. Ale wiem, o co walczę – powiedziałam jedynie.

– Lepiej żebyś wiedziała. – Shira oparła czoło o chłodny metal. – Ponieważ zamierzam za to umrzeć. Za to właśnie dałam się wciągnąć w waszą rebelię. – Nie było już śladu po jej łzach. – Obiecałam im, że jeśli zabiorą stąd mojego syna, pokażę temu miastu, jak umiera dziewczyna z pustyni.

≈≈≈

Tłum na placu przed pałacem niepokoił się i hałasował. Usłyszałam go, zanim dotarłam do balkonu we frontowej części pałacu. Już prawie zmierzchało, wyprowadzili Shirę z więzienia. Dali jej świeże ubrania, ale nie chciała ich przyjąć. Nie musieli jej ciągnąć, nie walczyła ani nie płakała. Kiedy po nią przyszli, wstała jak Sultrima, która ma powitać swoich poddanych, a nie jak dziewczyna prowadzona na śmierć.

Kazała mi obiecać, że zostanę z nią do samego końca. Może nie uda mi się wejść razem z nią na podwyższenie, gdzie zostanie przeprowadzona egzekucja, ale nie zamierzałam łamać słowa danego umierającej. Nikt nie próbował mnie powstrzymać, gdy przemierzałam pałacowe hole ciągnąc za sobą Imin niczym cień.

Przeszłam na drugą stronę zasłon i po raz pierwszy od dnia, gdy znalazłam się w pałacu, miałam dobry widok na Izman. Balkon był częściowo osłonięty przez parawany z misternie rzeźbionego drewna, więc my mogłyśmy patrzeć na miasto, a ludzie z dołu nie mogli nas widzieć. Balkon wychodził na duży plac, dwa razy większy niż obóz buntowników w kanionie, który pękał w szwach. Wieść o egzekucji Sultrimy rozeszła się lotem błyskawicy.

Ludzie tłoczyli się, żeby zobaczyć jak umiera kobieta z haremu, która urodziła potwora. To było wydarzenie jakby żywcem wyjęte ze starych opowieści, a my mieliśmy zostać jego świadkami.

Ludzie przepychali się, aby mieć lepszy widok na kamienną platformę, znajdującą się bezpośrednio pod balkonem. Patrząc na nią pod pewnym kątem, widziałam, że kamień nie jest tak gładki, jak wydawał się na dole. Były na nim wyrzeźbione sceny z otchłani piekieł. Ludzie pożerani przez Skórozmiennych, Koszmory pożywiające się dzieckiem, kobieca głowa trzymana przez złego ducha z rogami. To były ostatnie obrazy, jakie widziała osoba prowadzona na śmierć.

To była ostatnia rzecz, jaką miała widzieć Shira.

– To błąd, że zaaranżowałaś tę egzekucję bez konsultacji ze mną, Kadirze. – Usłyszałam słowa Sułtana, gdy przemykałam obok. Był wściekły. – Miasto i tak jest już niespokojne. Powinieneś pozbyć się jej po cichu. Tak jak pozbyłeś się dziecka. – Hali udało się przekonać Sułtana, że harem był świadkiem tego, jak Kadir zamordował Fadiego. Dobrze. Dzieciak był bezpieczny.

Prawie przeoczyłam Tamida. Stał w zacienionym kącie i wyglądał na bardzo nieszczęśliwego. Shira i Tamid prawie w ogóle się do siebie nie odzywali, choć Dustwalk było tak małe. Miałam wrażenie, że nienawidzą się nawzajem. Ale teraz olśniło mnie, że Shira i Tamid razem wyjechali z Dustwalk. Przeżyli. Przeżyli to, co im zgotowałam. Byli razem, kiedy ich zostawiłam. To musiało mieć jakieś znaczenie.

– Jest moją żoną. – Kadir był wzburzony, chociaż jego ojciec tłumił w sobie wybuch gniewu. – Jest moja i mogę z nią zrobić, co zechcę!

Kadir odwrócił się na pięcie od ojca i jego wzrok padł na mnie. Jego twarz przeciął złośliwy uśmiech.

– Ty – zwrócił się do Imin – możesz już odejść. Idź sobie

gdzieś indziej.

Wyczułam, że Półdżin stojący za mną spina się. Ale nie mógł sprzeciwić się rozkazowi. Szybko się uklonił i wycofał.

– Cieszę się, że tu jesteś. – Kadir przesunął się w moją stronę. Nieświadomie zerknęłam na Sułtana, licząc na jego pomoc. Jednak jego uwaga skupiła się gdzie indziej. Nigdzie też nie widziałam Rahima. Wśród zgromadzonych na balkonie był Tamid; spojrzał mi w oczy. On mi nie pomoże. Nawet gdyby mnie nie nienawidził, nie mógł się równać z księciem.

Ręka Kadira znalazła się na moich plecach, jakbym była jego kukiełką, a on mógł pociągać za sznurki. Poprowadził mnie obok swoich dwóch żon, które patrzyły zza parawanu, kryjąc się przed tłumem, na otwarty skraj balkonu, gdzie każdy mógł mnie zobaczyć. Kilka osób z tłumu spojrzało na mnie, gdy tam stanęliśmy.

– Próbowalaś pomóc jej w ucieczce. – Kadir wsparł się na mnie, ciężar jego ciała przygwoździł mnie przy barierce, byłam uwięziona pomiędzy nim a drogą w dół, gdzie miała zginąć moja kuzynka. Czułam, że każdy cal mojego ciała, z którym się stykał, walczy z jego nachalnym dotykiem. Najbardziej wkurzało mnie to, że nie mogę się przed nim bronić. Gdy mówił, czułam na szyi jego gorący oddech. – Teraz chcę, żebyś patrzyła, jak umiera.

Nie musiał mnie do tego zmuszać. Cokolwiek się będzie działo, jestem jej to winna. Nie zrobię tego dla Kadira. Zrobię to dla Shiry. Bo kimkolwiek była, była również moją krewną i należało jej się to ode mnie. Należało jej się o wiele więcej. Ale tylko tyle mogłam jej dać.

Gdy Shira pojawiła się na miejscu egzekucji, w tłumie zawrzało. Niektórzy gwizdali, ale szybko zostali zagłuszeni.

Miała rację, nie chcąc się przebrać.

W jedwabiach, muślinach, klejnotach, ze starannym makijażem Shira wyglądała jak arystokratka. Teraz, ubrana

w biały, zwykły khalat, wyglądała jak dziewczyna z pustyni. Wyglądała jak osoba z tłumu, przed którym stała, a nie ktoś mieszkający w pałacu. Zebrani wiwatowali na jej cześć, a nie dlatego, że byli żądni jej głowy.

Kiedy weszła na kamienną platformę, nadal drżała, ledwie mogąc ustać na bosych stopach.

Wzburzony tłum uspokoił się, żeby wysłuchać, jak kat zaczyna wymieniać popełnione przez nią zbrodnie. Shira stała z wysoko podniesioną głową i wyprostowanymi plecami. Wiaterek rozwiewał jej włosy. Były długie i rozpuszczone, wiatr odsłaniał jej szyję. Zadarła głowę i zobaczyła mnie i Kadira na balkonie. Zignorowała męża i spojrzała mi głęboko w oczy. Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech. To było jedyne ostrzeżenie, jakie dostałam.

Kat nadal czytał.

– Za zdradę przeciwko Sultrimowi...

– Jestem lojalna w stosunku do prawdziwego Sultrima! – zawołała nagle. Kat zamilkł z zaskoczenia. – Prawdziwego Sultrima, Księcia Ahmeda! – Jej słowa spowodowały poruszenie w tłumie. – Został wybrany przez los podczas prób! Nie za sprawą swojego ojca! Ojca, który sam przeciwstawił się tradycji! Znam wolę Dżinów, oni ukarzą tych fałszywych władców. Kadir nigdy nie da dziedzica temu krajowi!

Duma rozpierała mi pierś. Sułtan miał rację. Błędem było przeprowadzanie egzekucji przy udziale publiczności. Kadir oddał swojej Sultrimie największą scenę w Miraji, skąd może zdradzać wszystkie ich sekrety. Była zwykłą dziewczyną, którą od śmierci dzieliły tylko sekundy, i swoim ostatnim tchnieniem czyniła więcej dobrego niż deszcz ulotek zrzuconych przez Roka. Nawet jeśli ją teraz uciszą, opowieść poniesie się po całym Miraji i z każdym powtórzeniem będzie bardziej podniosła.

– Jeśli Kadir kiedykolwiek zasiądzie na tronie, będzie

ostatnim Sułtanem Miraji!

Kadir odsunął się ode mnie w trakcie przemowy Sultrimy i przepchnął się przez grupę zgromadzoną na balkonie, wykrzykując rozkazy. Było już jednak za późno. Szkody zostały wyrządzone, uciszenie jej teraz wyglądałoby jak próba zatajenia prawdy. Nie ruszyłam się, chociaż zerknęłam przelotnie na Sułtana. Wyglądał na zrezygnowanego. Jakby wiedział, że właśnie do tego doprowadzi głupota jego syna.

– Umrze bezpotomnie, a nasz kraj dostanie się w obce ręce – mówiła dalej Shira, a jej głos niósł się w tłum, pobudzając go coraz bardziej. – Te same obce ręce, z którymi dogaduje się fałszywy Sułtan za zamkniętymi drzwiami pałacu. Książę Ahmed jest jedyną szansą Miraji! Jest prawdziwym dziedzicem...

Cały czas krzyczała, gdy strażnicy popchnęli ją do przodu i położyli jej głowę na bloku.

– Nowy świt! – wrzeszczała, chociaż strażnik przyciskał jej głowę tak mocno, że broda wbijała jej się w kamień, a z rany pociekła krew.

Wrzawa tłumu zagłuszyła wszystko, co jeszcze chciała powiedzieć, ale patrzyła mi w oczy, gdy podszedł do niej kat. Wychyliłam się przez barierkę, by być jeszcze bliżej.

Patrzyłam jej w oczy, dopóki ostrze topora nie opadło.



ROZDZIAŁ 33

Nie miałam pojęcia, skąd nadleciał pierwszy kamień. Rzucił nim ktoś z tłumu i trafił w ścianę obok balkonu.

– Nowy świt! – krzyknął ktoś na dole. – Nowa pustynia! – Zawołanie Ahmeda zostało podchwyczone przez ludzi na placu. W zatrważającym tempie publiczność zmieniła się w hołotę. Poleciał kolejny kamień i trafił w parawan osłaniający taras. Najbliżej stojący strażnik odskoczył w tył. Ci, którzy podobnie jak ja stali nieosłonięci, zaczęli się wycofywać.

Zobaczyłam bombę, gdy jeszcze nie została rzucona. Błysk ognia w tłumie. Butelka z zatknietą płonąca szmatą wycelowana w balkon. Rzuciłam się do tyłu, by się ukryć. Chciałam paść na ziemię, ale zauważyłam Tamida, który gapił się przez parawan, z czołem przyciśniętym do otworów i palcami zaciśniętymi na rzeźbionym drewnie. Chwyciłam go i pociągnęłam na ziemię w chwili, gdy butelka trafiła w parawan, eksplodując płomieniami i kawałkami szkła.

Gdy kaszłąc uniosłam głowę, kawałek parawanu odpadł, a reszta zajęła się ogniem. Jeden z żołnierzy, który stał zbyt blisko, wrzeszczał z bólu, a krew zalewała jego twarz. Tamid patrzył na niego przerażonym wzrokiem. Sądziłam, że – podobnie jak ja – przywykł do unikania śmierci.

– Bomby butelkowe, takie jak robiliśmy w domu – wyjaśniłam, odsuwając się od niego. Rozejrzałam się wokół, sprawdzając, czy nikt nas nie zauważył. Chaos, który zapanował, sprawiał, że nikt na nas nie patrzył. Sułtan już zniknął. Udał się w bezpieczne miejsce lub wydawał rozkazy, by wzmocnić ochronę pałacu. Albo by spacyfikować tłum. Miałam tylko nadzieję, że rebelia była gotowa, by go chronić.

– Musimy znaleźć schronienie. – Podałam rękę byłemu przyjacielowi, żeby pomóc mu wstać. – Chodź.

Tamid bezpiecznie zaprowadził mnie do swojej komnaty, hole wypełnione były żołnierzami, którzy szykowali się do wyjścia na ulicę, żeby przywrócić porządek. Mijały nas setki mężczyzn, a ich buty stukały po marmurowej podłodze. Zamknął za nami drzwi na zasuwę. Przez moment opierał się o drzwi, dyszał, ja w tym czasie opadłam na krzesło przy biurku, a on po chwili zajął inne koło balkonu.

Zapadła niezręczna cisza. Słyszałam odgłosy zamieszek na zewnątrz i nasze przyspieszone oddechy. Okrzyki rebelii, wystrzały. Raz coś, co brzmiało jak wybuch. Wydawało mi się, że na twarzy Tamida, który wyglądał przez okno, odbił się błysk światła. Utknęłam tu. Byłam w beznadziejnej sytuacji.

Stopniowo mój oddech się uspokajał, zaczęła zapadać ciemność. Zamieszki odsunęły się na drugi plan mojej świadomości. Na pierwszy plan wysunął się buzujący w mojej głowie gniew. Bezradnie patrzyłam, jak zabijają Shirę. Patrzyłam, jak umiera. Może i nie zawsze ją lubiłam, ale nigdy nie chciałam, żeby umarła. A teraz nie żyła. Kolejna ofiara poniesiona dla sprawy.

Mogłabym wrócić do haremu, ale tam byłoby mi jeszcze gorzej niż tutaj. Czekałam.

Kiedy na dworze zrobiło się zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, Tamid zaczął obchodzić pokój i zapalać lampy naftowe, z każdym krokiem słyhać było stukanie jego metalowej nogi.

Na stole leżała rozłożona książka. Zauważyłam ją, gdy zapalił wiszącą na górze lampę. Obrazek był wyraźniejszy od wypłowiałych ilustracji w księgach, które docierały do Dustwalk. Przedstawiał Dżina z niebieskiego ognia, stojącego obok dziewczyny z niebieskimi oczami, trzymającej słońce w dłoniach.

Księżniczka Hawa.

– Masz tutaj coś do picia? – zapytałam w końcu, gdy ostatnia lampa została zapalona, a ja już nie mogłam znieść tej ciszy. – Pamiętasz, w Dustwalk po czyjejs śmierci zawsze się piło za honor zmarłych. A może jesteś teraz zbyt święty, żeby pić?

– A za mnie wypijaś, gdy zostawiłaś mnie na śmierć? – zapytał Tamid, zdmuchując zapałkę.

Pamiętam, że po opuszczeniu Dustwalk piłam z Jinem w barze w Sazi. Nie wiedziałam nawet, za co wtedy piłam. Chciałam ponownie go przeprosić, ale moje milczenie mówiło w moim imieniu.

Tamid zlitował się nade mną i otworzył szafkę. Stały w niej fiolki i butelki ze specyfikami, które bardziej przypominały truciznę niż alkohol. Ale sięgnął po butelkę z odklejoną etykietą stojącą w tylnym rzędzie. Nie mogło być żadnych wątpliwości co do charakteru bursztynowego płynu w środku.

– Piję tylko dlatego, że miałaś na mnie zły wpływ. – Odkorkował butelkę. – Mam tylko jedną szklankę. Nalał trochę alkoholu do szklanki i do pustego słoika. – Nie mam tu zbyt wielu gości. – Podał mi słoik.

Nie powiedziałabym, skoro odwiedzała go Leyla, ale może mieli lepsze rzeczy do roboty niż picie.

– Słoik jest czysty, przyrzekam. Gdybym chciał cię zabić, to, jak sama zauważyłaś, wcześniej miałem ku temu wiele okazji.

– Za zmarłych – powiedziałam. Upiłam łyk, wypalając z języka złośliwą odzywkę, zanim powiedziałam coś, czego mogłabym żałować. – Którzy nie mieli tyle szczęścia co ja.

Tamid obracał szklankę w ręce.

– Nie sądziłem, że przejmowałaś się Shirą.

Nawet nie umiałam się zirytować tą uwagą. Przecież miał rację. Dziewczyna, którą byłam, kiedy zostawiłam Tamida

wykrwawiającego się na piasek, wcale by się tym nie przejęła. Ale okazało się, że świat był większy niż Dustwalk.

– Cóż, chyba się myliłeś.

Znowu zamilkliśmy, sączyłam drinka, czując, jak pali mnie w przełyk. Tamid tylko patrzył na swoją szklankę. W końcu poderwał się, jakby coś postanowił.

– Leyla mówi, że planujecie mnie porwać.

– „Porwać” to zupełnie niewłaściwe słowo. – Raz oskarżyłam Jina, że mnie porwał. Ale oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Chciałam jechać. Nawet jeśli oznaczało to, że zostawię Tamida. – Ale tak, mniej więcej.

– Dlaczego? Czy nie chcesz, żebym dalej pomagał Sułtanowi? – Nie patrzył na mnie. – A może Leyla poprosiła cię tak słodko, że nie mogłaś jej odmówić? A może chodzi o to, jak to powiedziałaś? Że teraz zawodowo zajmujesz się ratowaniem życia? – W jego głosie słychać było urazę, ale przynajmniej dał mi szansę na uczciwe postawienie sprawy. Nie mogłam jej zmarnować.

– Ponieważ nie zostawiłabym cię, gdybym miała nową szansę – powiedziałam to z łatwością, ponieważ taka była prawda. Utkwiłam wzrok w jego protezie. – Nigdy nie chciałeś uciekać ze mną.

– I to był powód, żeby zostawić mnie na pewną śmierć, tak?

Nie powinien tego mówić.

Odsunął się ode mnie, zaprzepaścił to, co zrobiłam, żeby skrócić dystans między nami. To, że uratowałam go na balkonie. Że teraz piję wraz z nim.

– Nie o to mi chodziło, a ty doskonale o tym wiesz. – Nie chciałam się z nim kłócić. Na dzisiaj miałam dość wszystkiego. Chciałam tylko odzyskać przyjaciela, skoro jednego właśnie straciłam z ręki kata. – Chodzi mi o to, że nie uciekłybyś ze znienawidzonego miejsca ze swoją najstarszą przyjaciółką. Trudno mi sobie wyobrazić, że

stałeś się teraz kimś, kto ucieka z księżniczką. Naprawdę zamierzasz uciec z Leylą? Nie wydasz nas jej ojcu? – Próbowałam mówić spokojnym głosem. Jednak wiele osób straciłoby życie, gdyby Tamid postanowił zostać lojalny względem Sułtana. – Nie możesz mnie winić za to, że mam wątpliwości. Spośród nas tylko jedno ma w zwyczaju uciekać z członkiem rodziny królewskiej.

Tamid rzucił mi krótkie spojrzenie znad szklanki, wiedziałam już, że tylko udaje brak zainteresowania mną.

– Ten obcokrajowiec, który ukradł Buraqi, był z rodziny królewskiej?

Dotarło do mnie, że niechcący zdradziłam za dużo. Wymusnęło mi się, jakbym nadal mogła ufać Tamidowi.

– Ma na imię Jin – powiedziałam. – I tak.

– Gdzie on teraz jest?

Udawało mi się nie zadawać sobie tego pytania, odkąd Ayet przyłapała mnie z Samem w ogrodzie. Ale w tej chwili, kiedy byłam pewna, że nas wyda i wszystko się skończy, przyszła mi do głowy pewna głupia myśl.

Nigdy więcej nie zobaczę Jina.

Mogłam zginąć, a on robił Bóg wie co, Bóg wie gdzie, z Bóg wie kim.

Myśl, która przyszła do mnie zaraz potem, była samolubna: gdyby Jin był tutaj, nie pozwoliliby mi umrzeć. Zostawiliby pojmanych Dżinów w rękach Sułtana, ryzykując wszystko, ale nie pozwoliliby mi umrzeć.

– Mogę tylko zgadywać. – Napiłam się.

– Niezbyt fajne uczucie być porzuconym przez kogoś, kogo się kocha, prawda? – Tamid uniósł swoją szklankę, jakby wznosił toast.

Tobie tylko się wydawało, że jesteś we mnie zakochany. Nie mogłam jednak powiedzieć tego na głos. To mnie zaskoczyło.

– Nie – przyznałam z nosem w drinku. – To prawda. – Zamilkliśmy. – A ty i Leyla? – zapytałam w końcu. – Dokąd

pójdziecie, kiedy wydostaniemy was z pałacu?

– Może do domu. – Tamid wzruszył ramionami. – Z powrotem do Dustwalk.

Żachnęłam się. Tamid popatrzył na mnie urażonym wzrokiem.

– Och, przestań – powiedziałam. – Może i nie chciałeś wyjechać tak bardzo jak ja, ale nie mów mi, że po zobaczeniu świata naprawdę chcesz wrócić do tej dziury. A może masz lepsze wspomnienia z miasta, gdzie cały czas cię przezywano, niż ja?

– Nie jestem taki jak ty, Amani. Jedyne, czego pragnąłem, to wieść proste życie jako Święty Człowiek z żoną. Zawsze wydawało mi się, że kiedyś zmienisz zdanie. – Zerknął na mnie pospiesznie i zaraz odwrócił wzrok. Zawisła między nami złożona kiedyś przez niego propozycja małżeństwa. Była taka część jego, której nadal nie rozumiałam. Teraz to dostrzegałam, wyraźniej niż w Dustwalk. Poruszyłabym cały świat, żeby naprawić to, co wyrządziłam Tamidowi. Ale nigdy bym nie zrezygnowała ze świata dla niego. Dla nikogo. Różnica była taka, że Jin nigdy mnie o to nie prosił. Jin wziął mnie za rękę, żeby pokazać mi świat. – To życie, Dżiny, książęta... To dla mnie za wiele. Nie zmieniłem zdania na temat tego, czego chcę od życia, Amani. Ty również nie.

Coś przyszło mi do głowy i parsknęłam śmiechem. Wierzchem dłoni zakryłam usta, bo prawie zakrztusiłam się alkoholem. Tamid spojrzał na mnie pytająco.

– Nie śmieję się z ciebie. – Machałam ręką, gdy alkohol dostał mi się do nosa. – Po prostu... próbowałam wyobrazić sobie twojego ojca, gdybyś przywiózł do domu żonę-księżniczkę.

Tamid nie mógł ukryć rozbawienia i przewrócił oczami.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece. – Ojciec Tamida był hardym człowiekiem. Próbował go utopić, gdy Tamid urodził się z wykręconą nogą. Był również patriotą. Przy każdej

okazji powoływał się na Sułtana.

Co Sułtan pomyślałby o moim kalekim synu, Tamidzie? Co Sułtan powiedziałby na to, że chłopiec z jego kraju może zostać pokonany przez dziewczynę, Tamidzie?

– Co Sułtan pomyślałby o tym, że wzięłaś jego córkę za żonę, Tamidzie? – Wysiliłam się, żeby upodobnić głos do głosu ojca Tamida, jak wtedy, gdy mieszkaliśmy w Dustwalk. Tamid ukrył twarz w dłoniach, ale uśmiechał się, gdy ja śmiałam się na głos. Alkohol sprawił, że miałam lekką głowę.

– A ty? – Tamid obracał szklanekę w dłoniach, nadal się uśmiechając. – Nie możesz uciec. Co postanowiono w kwestii twojej ucieczki w tym wielkim planie?

Sama się nad tym zastanawiałam. Ta uwaga od razu mnie otrzeźwiła. Shazad zawsze była chętna oddać własne życie za rebelię. Ale nie wiedziałam, czy będzie chętna poświęcić moje, czy też mam to zrobić sama. Imin już zgłosiła się na ochotnika, jeśli ona nie zdoła tego zrobić.

– Nie wyjdę z pałacu, dopóki Sułtan może mnie kontrolować. – Próbowałam wzruszyć ramionami. Ale Tamid znał mnie od bardzo dawna. Umiał odczytać moje emocje lepiej niż ktokolwiek inny.

No prawie. Jin rozumiał lepiej, kim jestem, niż Tamid. A Shazad rozumiała, kim mogę być. Tamid zawsze postrzegał mnie przez pryzmat tego, kim chciał, żebym była. Ale to nie zmieniało faktu, że wiedział, że coś ukrywam. *Te oczy zdrajcy.*

– Mogę przez to umrzeć. Nie chcę, żeby tak się stało. I zrobiłabym prawie wszystko, żeby tak się nie stało. – Słyszałam wrzawę tłumu. – Ale chodzi o coś znacznie większego niż moje życie, czy życie kogoś innego.

Tamid odstawił szklanekę.

– Chcę, żebyś wiedziała, że nie wierzę w waszą rebelię.

– Domyśliłam się. – Dopiliśmy drinka.

– A twój księżę może zniszczyć ten kraj. – Tego również się domyślałam. Ale nic nie powiedziałam. – Ale miałaś rację: nie nienawidzę cię aż tak, bym chciała twojej śmierci. Zdejmij koszulę. – Tego się nie spodziewałam.

– Mówisz tak wszystkim dziewczynom? – palnęłam. Głupio tak odzywać się do kogoś, kto nie jest już moim przyjacielem. Kto kiedyś się we mnie kochał. Głupio było żartować, kiedy na placu stygła krew Shiry, a na ulicach wrzało. Ale Tamid mimo wszystko się roześmiał. Śmiał się tak jak dawniej, lekko wywracając oczami, jakby chciał, bym myślała, że śmieje się, by poprawić mi humor. Ale ja go znałam.

– Nie. – Tamid podniósł mały nożyk z ostrzem nie dłuższym niż mój paznokieć. – Tylko tym, którym mam wyciąć płytkę z brązu.

Mówił poważnie. Chciał mi pomóc. Wiedział, w którym miejscu pod moją skórą znajduje się ta płytkę. Mógł wyjąć tę, która odpowiadała za kontrolowanie mnie, przez którą musiałabym tu zostać.

Chciał mi ocalić życie.



ROZDZIAŁ 34

Zza ściany dobiegały mnie odgłosy świadczące o tym, że Auranzeb już się zaczęło. Przez ścianę przenikał śmiech, wysoki i czysty jak dzwon, gwar głosów, w języku Miraji i innych, oraz muzyka grająca w tle.

Stałyśmy w cieniu murów otaczających harem, tuż przy bramie, a obok mnie znajdowały się doskonale umalowane, szepczące dziewczęta. Trzymały się ode mnie na dystans. Nikt w haremie nie wiedział dokładnie, co łączyło mnie z wydarzeniami związanymi z błogosławioną Sultrimą, ale to nie powstrzymywało plotek. Niektórzy nawet mówili, że widzieli, jak pomagałam Kadirowi topić Fadięgo. Wiedziałam, że kłamię, ponieważ Hala nie była ani tak głupia, ani tak wredna, żeby wkładać im w głowy moją podobiznę. Rozglądałam się za Leylą, moim sprzymierzeńcem, ale nie mogłam jej odnaleźć w nikłym świetle padającym z przyległego ogrodu. Szelest ubrań, oddechy oraz sporadyczny szept były jedynymi dźwiękami po naszej stronie. Czekaliśmy jak uwięzione zwierzęta. Odetchnęłam głęboko, próbując uspokoić galopujące serce.

To był ten dzień. Dziś wieczorem uwolnimy Dżiny i Leylę. Tak czy inaczej była to moja ostatnia noc w haremie.

Moja lewa ręka powędrowała do lewego boku – nerwowo tik, którego próbowałam się pozbyć przez kilka ostatnich dni. Ostatnie, czego chciałam, to to, żeby ktoś zobaczył małe, gojące się nacięcie na wewnętrznej części ręki, skąd Tamid wyciął kawałek brązu spod mojej skóry. Wydobycie żelaznych płytek było zbyt ryzykowne – mogło zostać odkryte lub też mogłam umrzeć podczas zabiegu. Tamid nie zaplanował wydobycia metalowych odłamków, gdy mi je

zaszywał pod skórą.

Zamieszki trwały przez całą noc po śmierci Shiry. Teraz nazywano je Powstaniem Błogosławionej Sultrimy. To zwycięzcy piszą historię. Jeśli przegramy tę wojnę, nazwa może się zmienić na Powstanie Zhańbionej Sultrimy. Po zajściach w powietrzu dało się wyczuć napięcie, które przekładało się na nerwowe przygotowania do Auranzeb. Czułam je nawet za bezpiecznymi ścianami pałacu.

Gdy wstał świt po nocy zamieszek, rebelia zażądała prawa do części miasta. Sam powiedział mi, że nasza strona wykorzystwała wrzawę, by wznieść barykady na drogach, odcinając większość slumsów i niektóre dzielnice, po czym przejęła je w imieniu rebelii.

Jednej nocy zajęliśmy część samej stolicy. Jeśli to nie było wyraźnym sygnałem, to nie wiem, co miałoby nim być. Na budynkach w całym mieście namalowano słońca, a jedno powstało w samym sercu pałacu: ktoś nabazgrał je czerwoną farbą na ścianie. Nikt by się tego nie podjął oprócz Imin. Teraz była drobniutką służącą o gołębiim spojrzeniu pracującą w kuchni i nikt by nie przypuszczał, że ktoś tak mały mógłby sięgnąć tak wysoko.

O świcie ulice zasłane były trupami. Wiele z nich miało na sobie mundury. Według Sama, Shazad opracowała bezbłędną strategię, chociaż do walki doszło na ulicach miasta, a nie na polu bitwy. I chociaż niektóre jej oddziały sądziły, że po prostu palą i biorą łupy, udało jej się posłać je tam, gdzie chciała. Nie wiedzieli, co robią, a ona sterowała nimi jak regularnym wojskiem.

Mimo że więcej zyskaliśmy niż straciliśmy, wśród buntowników panowała nerwowa atmosfera. Gdyby miało kiedykolwiek dojść do tego, że Sułtan skieruje swoją armię Dżinów przeciwko nam, teraz był ku temu najlepszy moment.

Minęły jednak trzy dni i na ulicach nie pojawili się żadni

nieśmiertelni. To nadal była wojna pomiędzy ludźmi. I Półdzinami. Dziś w nocy miałam wrócić tam, gdzie było moje miejsce.

Służące z haremu ubrały mnie w kolory Miraji. Biel i złoto. Jakbym była członkiem armii. Tylko nie wyglądałam na żołnierza. Biel wydawała się na mnie jeszcze bielsza w zetknięciu z moją ciemną skórą. Gdy wstałam, materiał przylgnął do mojego ciała jak dłonie kochanka, na dole wykończony był złotym haftem i perłami. Wyobrażałam sobie, że przechodzę obok żon Kadira, a one rzucają się na mój khalat, jak na perły rzucane do wody. Miałam nagie ręce od łokci w dół, lecz na nadgarstkach pobrzękiwały ciężkie, złote bransolety. W przytłumionym świetle złoty pył, którym przypudrowano całe moje ciało, wyglądał jakbym miała słońce pod skórą.

Gderwały coś na temat moich obciętych włosów, aż wreszcie ograniczyły się do natarcia ich słodkimi olejkami, żeby pozostały proste. Wplotły w nie szczerozłote nici, które przemieszały się z czarnymi pasmami i błyszcząły w świetle. Nie przejmowałam się już swoimi krótko obciętymi włosami. Cała złość na Ayet wyparowała, gdy zobaczyłam ją leżącą na podłodze więzienia z pustym spojrzeniem. Walczyła i przegrała, a ja czułam już tylko współczucie dla niej. Kiedy skończyły, ukoronowały mnie małym diademem zrobionym z miniaturowych złotych listków z perłami zamiast jagód. Usta pomalowały mi na kolor ciemnozłoty.

Każda kobieta z haremu, która mogła pójść na przyjęcie, była ubrana w te same barwy, co ja, kolory Miraji, biel i złoto. Jednak ja wyglądałam oszałamiająco. Jak jakaś złota rzeźba, która powstała w mieście i została umieszczona w pałacu, by ją podziwiać. Nie zostało nic z dziewczyny z pustyni. Wyglądałam piękniej niż kiedykolwiek wcześniej, lecz nie przypominałam siebie, lecz kogoś obcego.

Pamiętałam jednak, że pod spodem nadal byłam

dziewczyną z pustyni. Nadal byłam buntowniczką.

– A teraz witamy – usłyszałyśmy słowa zza drzwi – kwiat haremu. – Przez tłum przeszedł pomruk. Drzwi się otworzyły. Dziewczyny stojące obok mnie rzuciły się do przodu jak dzieci po prezent. Popychały mnie, bo szłam znacznie wolniej. Wyobraziłam sobie, że goście patrzą na nie jak na ptaki, które wyfruwają z klatek, furkot bieli i złota, które wpuszczono między ludzi.

Ogrody wyglądały uwodzicielsko w późnopołudniowym świetle. Fontanny radośnie bulgotały pośród gości w najpiękniejszych szatach, muzyka roztaczała swój czar, mieszając się z wonią jaśminu i słodkich potraw. Wysoko nad nami niebo było poprzecinane złotymi sznurami ciągnącymi się z jednej strony ogrodu na drugą; zwisały z nich małe dekoracje, od których odbijało się światło. Kiedy zadarłam głowę, zobaczyłam szklane ptaszki zwisające ze złotych sznurów. Obok mnie przeszła służąca z tacą ciast oprószonych cukrem. Poczęstowałam się jednym i włożyłam je do ust, cukier rozpląwał się na moim języku. Próbowałam się nim delectować, ale rozpuścił się zbyt szybko, a na czubku języka i na ustach pozostało tylko wspomnienie po nim.

Gdy przechodziłyśmy, słyszałam podniecone szepty tłumu. Albiska królowa omiotła wzrokiem jedną z dziewczyn, która ubrana była w błyszczącą suknię z muślinu, odsłaniającą więcej, niż można się było spodziewać, po czym odwróciła z niesmakiem wzrok, wygładzając dłońmi swoją suto marszczoną, ciężką spódnicę.

Zignorowałam ją, wzrokiem szukałam znajomych twarzy, Shazad i Rahima. Przez tłum spotkałam się wzrokiem z Sułtanem. Niektórzy goście wyglądali jakby zaczęli już świętować, jakby następny świt miał nigdy nie nadejść. Jednak nie nasz najwyższy władca. Był czujny jak zawsze. Zanim ktoś odwrócił jego uwagę ode mnie, uniósł

w pozdrowieniu nadal pełny kielich. Odetchnęłam. Nie mogłam wyglądać podejrzanie. Postanowiłam przejść się wokół ogrodu. Jakbym nikogo nie szukała.

Rahim dopadł mnie, zanim zdążyłam się oddalić.

– Mam rozkaz od mojego ojca, by mieć cię na oku dziś wieczorem. – Był ubrany w świeży, biały mundur, ale miecz, który miał przy boku, wcale nie wyglądał na ozdobę. – Jest tu sporo obcokrajowców, ale wydaje się, że chociaż raz naraziłem cię na atak, to nadal jestem obdarzony zaufaniem.

– Raz straciłam człowieka podczas zasadzki. – To było na samym początku rebelii. Po Fahali, zanim zarobiłam kulkę w brzuch. – To była moja wina. Kiedy Ahmed ponownie wysłał mnie na podobną misję, zapytałam, czy na pewno mi ufa. Powiedział, że teraz są mniejsze szanse na to, że znów popełnię ten sam błąd, który mógłby popełnić ktoś inny.

– Cóż, miejmy nadzieję, że to jedyna rzecz, jaką mój brat i mój ojciec mają wspólną. A jeśli już przy tym jesteśmy, poszukajmy twoich buntowników. – Podał mi ramię odziane w nieskazitelnie biały mundur. Bezradnie uniosłam swoje przyprószone złotem ręce. – Ach. – Wycofał się. – Oczywiście: patrz, ale nie dotykaj.

Szliśmy obok siebie przez rozświetlony ogród. W taką noc łatwo było zapomnieć, że świętujemy przewrót przeprowadzony przez Sułtana. Dwie dekady temu, co do dnia, sprzymierzył się z Gallanami i siłą zajął nasz kraj. Słońce zachodziło, gdy na tronie siedział Sułtan Oman. Świt zastał go martwego w łóżku, a pałac pękał od ludzi w gallańskich mundurach. Sultrim został znaleziony w ogrodzie, twarzą do ziemi, jakby próbował uciekać.

Wielu braci Sułtana podzieliło ten sam los. Nie mógł sobie pozwolić na konkurencję do tronu. Pozostawił przy życiu tylko kobiety i braci, którzy byli młodsi od niego...

Dwadzieścia lat temu pałac wypełniała śmierć i krew; teraz

spokojna muzyka, która przenikała przez mury oraz szmer rozmów, który zdawał się zacierać nasze wspomnienia z tej nocy.

Pozostały jednak posągi. Pośród gości, muzyków, służących z jedzeniem i winem, w ogrodzie stały statuy wykonane z czegoś, co wyglądało na połączenie gliny z brązem. Zastygły w dziwnych pozycjach, niektóre klęczały z wyciągniętymi rękami, jakby broniąc się przed ciosem.

– Znałem Księcia Hakima, gdy był dzieckiem. – Człowiek, który to powiedział, był zapewne jakimś mirajińskim lordem lub innym możnym i zwracał się do młodej, ładnej dziewczyny. Mówiąc, wskazywał na posąg.

Byli tam również inni książęta. Rzeźby z brązu przedstawiające dwunastu książąt, których zabił Sułtan, kiedy zasiadł na tronie.

Ktoś postawił kielich na jednej dłoni odwróconej wnętrzem do góry, przez co wykrzywiona w agonii twarz umierającego księcia wpatrywała się w do połowy opróżniony kieliszek wina pokryty tłustymi odciskami palców.

– Nie są w dobrym guście. – Usłyszałam czyjś głos szepczący mi do ucha. Podskoczyłam. Koło mnie stał służący z tacą pełną ciasta basbusa. Wydawało mi się, że jest w nim coś znajomego. Rozpoznałam go, gdy wywrócił oczami.

– Imin. – Rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje.

– A tak przy okazji, nie pasują ci te kolory. – Zmierzył mnie wzrokiem. Gdybym miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy to na pewno on, wyparowałyby na widok pogardy w jego jasnożółtych oczach, które zdradzały, że jest Półdżinem.

– Jest jednym z waszych? – domyślił się Rahim. – Jak się tu dostał? – Nie miał pojęcia o tak wielu rzeczach, ale nie było czasu na wyjaśnienia.

– Mam swoje sposoby. – Imin zdjął ze swojej tacy kawałek

słodkiego ciasta i wsadził go do ust. – Shazad was szuka. – Oblizał palce i wskazał kierunek. Shazad była kawałek dalej, włosy splotła w ciasne warkocze, które owinęła wokół głowy jak koronę. – Mówi, że najwyższa pora, żebyś wypełnił swoją część umowy i przedstawił nas temu, który dowodzi tak zwaną twoją armią.

– Ona jest w rebelii? – Rahim sceptycznie patrzył na Shazad. – Córka generała Hamada? Zawsze sądziłem, że może się pochwalić tylko ładną buzią.

– Tak jak wszyscy inni – powiedziałam. – Dlatego wymyśliśmy, że nie zostanie dokładnie przeszukana, gdy będzie wchodziła do pałacu. To Shazad wniosła materiały wybuchowe, dzięki którym spróbujemy uwolnić wszystkie Dżiny w lochu.

– Materiały wybuchowe – powtórzył Rahim. Był zdenerwowany.

– Nie przekazałaś mu szczegółów planu? – zapytał Imin, wkładając kolejny kawałek ciasta do ust.

– Jeszcze niedawno *nie mieliśmy* żadnego planu – powiedziałam. – Byłam ostatnio bardzo zajęta. – Moja ręka powędrowała znów do małego rozcięcia.

Imin zwrócił się do Rahima.

– Według Shazad podczas każdego Auranzeb, kiedy zachodzi słońce, Sułtan wygłasza mowę, podczas której wszystkie oczy kierują się na niego. Użyjemy tego jako przykrywkę. Sam przeprowadzi Amani i Shazad przez mury. – Imin zrobił nieznaczny ruch głową, wskazując naszego fałszywego Niebieskookiego Bandytę. Najpierw go nie rozpoznałam i tylko omiotłam wzrokiem. Był przebrany w albiski mundur. Więc to dzięki niemu mógł poruszać się po terenie pałacu, nie będąc zauważonym.

– Czy udawanie żołnierza nie jest przestępstwem? – Serce szalało mi w piersi. Tak wiele rzeczy mogło się nam nie udać. Jedną z nich było to, że nie miałam pewności, czy

możemy ufać Samowi.

– Słyszałem, że przestępstwem jest także dezercja z albiskiej armii. – Imin cmokał, próbując wyciągnąć ziarenko spomiędzy zębów. Był z niego okropny służący. Dziwne, że do tej pory nie został zdemaskowany. Ale miał rację: mundur pasował na Sama zbyt dobrze, nie mógł być skradziony.

Pasował zbyt dobrze, więc musiał być uszyty specjalnie dla niego. Popatrzyłam na grupę albiskich żołnierzy towarzyszących swojej królowej. Stojąc wśród nich, podejmował wielkie ryzyko jako dezerters. I robił to dla nas.

Gdy na niego patrzyłam, odnalazł wzrokiem Shazad, która ruszyła właśnie w naszą stronę. Sam nie spuszczał jej z oka. I nagle dotarło do mnie, że nie robił tego dla *nas*. Cholera. Widziałam zakochanych w niej mężczyzn, ale nigdy nie widziałam, żeby odwzajemniała ich uczucie. To nie mogło dobrze się skończyć.

– Hala będzie na was czekała po drugiej stronie muru – kontynuował Imin. – Spraw, że znikniecie na czas potrzebny do dotarcia do Dżinów i założenia ładunków wybuchowych.

– A co z moją siostrą? – zapytał Rahim. Rozglądał się za nią po ogrodzie. Gdy się zastanowiłam, musiałam przyznać, że ja jej również nie widziałam.

– Nie jesteś zbyt cierpliwy. – Imin nie spieszył się z wyjaśnieniami, specjalnie długo przeżuwał. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Sam wyprowadzi Shazad i Amani z pałacu bezpośrednio przez lochy, a następnie wróci przez *ten* mur po ciebie i twoją siostrę. – Ponownie skinął głową, lecz tym razem w przeciwnym kierunku.

– Weźmiesz Leylę i zaczekasz na Sama w południowo-wschodniej części ogrodu, z dala od chaosu, który nastąpi po wybuchu w pałacu – powiedziałam, milknąc, gdy ktoś przechodził zbyt blisko nas i mógł podsłuchać naszą

rozmowę.

– Następnie Hala zabierze Tamida i ukryje go pod jakąś iluzją, a ja wymknę się stąd, korzystając z zamieszania i wyglądając jak zwykły służący uciekający przed wybuchem. Co tutaj może się nie udać?

– Wiele rzeczy – zauważył Rahim.

– Ale to i tak nie jest najgorszy plan, jaki wymyśliliśmy do tej pory. – Próbowałam go pocieszyć.

– Nie, w najgorszym zalałaś dom modlitw – podpowiedział Imin, co było prawdą, lecz ta na niewiele się tutaj zdała. – Oględnie mówiąc.

– Wszyscy przeżyli – powiedziałam, ucinając temat. Rahim patrzył na mnie z niewyraźną miną.

– Witamy w rebelii. – Shazad dołączyła do nas i powitała Rahima zabójczym uśmiechem. – Zadowolamy się tym, co mamy. Dostaniemy od ciebie tę armię czy nie?

≈≈≈

Lorda Bilala, Emira z Iliaz, znaleźliśmy przy jednej z groteskowych rzeźb. Opierał się o nią z zamkniętymi oczami. Wyglądał na przytłoczonego swoją ważnością. Powiedzenie mu wprost, że próbujemy zawiązać sojusz, wydawało się niezbyt mądre. Chyba powinnam oddać głos Shazad.

– Ach tak. – Lord Bilal zmierzył mnie od stóp do głów. – Ty jesteś tą Niebieskooką Bandytką, o której wszyscy gadają. – Zerknął na Shazad. – A ty musisz być twarzą operacji. Jesteś zbyt ładna, żeby robić cokolwiek innego. – Widziałam, jak Shazad walczy z gniewem.

– A ty jesteś emirem, który chce się zbuntować. – Przez cały czas uśmiechała się promiennie i machała rękami. Gdyby ktoś na nią patrzył, myślałby, że jest zwykłą, piękną

dziewczyną flirtującą z mężczyzną, nie buntowniczką planującą wypowiedzenie wojny. Domyśliłam się, dlaczego postanowił czekać na nas w tym miejscu, w tym zakątku ogrodu. Muzyka przesączaająca się przez mury zagłuszała wszelkie rozmowy wokół nas. Nasze słowa zapewne również. Mimo to, Shazad mówiła cicho.

– Jestem synem swojego ojca. – Lord Bilal leniwie wzruszył jednym ramieniem przyozdobionym efektownymi frędzlami. Odniosłam wrażenie, że Rahim sceptycznie wywrócił oczami. Ale kiedy na niego spojrzałam, jak zawsze trzymał się prosto jak żołnierz. Rahim najpierw służył pod dowództwem ojca Lorda Bilala. – Mój ojciec nie był lojalny w stosunku do tronu. Nigdy nie wybaczył Sułtanowi Omanowi tego, że wydał Miraji w obce ręce. Bezustannie mówił o tym, że Iliaz jest najpotężniejszym okręgiem w Miraji i że reszta kraju jest zależna od nas. Gadałby do czasu, aż zaczęłyby wam krwawić uszy, że Iliaz nie potrzebuje reszty kraju.

– Czy to oznacza, że chcesz być władcą w swoim własnym kraju? – Tak, naprawdę nie prosił o wiele.

– Czy jesteś uprawniona do prowadzenia takich negocjacji? Zabranie Delili z obozu bez pozwolenia Ahmeda to jedno. Ale oddawanie części kraju Ahmeda bez jego zgody to coś zgoła innego, nawet Shazad i ja nie mogłyśmy tego zrobić.

– Nie – powiedziała w końcu Shazad. – Nawet ja nie jestem dość ładna, żeby to zrobić. – Zachnęłam się. Już prawie szturchnęła mnie łokciem w żebra, ale w ostatniej chwili się powstrzymała i zamiast tego strzepała niewidoczny pyłek z rękawa. – Ale możemy zaprowadzić cię do Ahmeda. – Zrobiła znaczącą pauzę. – Pod warunkiem, że podasz mi liczby, które zrobią na mnie odpowiednie wrażenie.

Lord Bilal uniósł brew i spojrzał na Rahima. Dowódca przejął pałeczkę.

– Mamy trzy tysiące żołnierzy stacjonujących w Iliaz. Dwa razy tyle zostało zwolnionych do domów w okolicy, gdzie

czekają na rozkazy.

– Macie dość broni, żeby ich uzbroić? – Shazad skryła taktyczne pytanie, śmiejąc się dyskretnie i dotykając ramienia Rahima, jakby właśnie powiedział coś bardzo śmiesznego.

– Amani. – Imin w przebraniu służącego pojawił się znowu obok nas i nisko uklonił. – Sułtan tu idzie.

Wymieniłam spojrzenia z Shazad.

– Idź – powiedziała. – Dam sobie radę.

Gdy oddaliłam się od nich, poczułam, że mam tak ściśnięty żołądek, że nie jestem w stanie niczego wypić ani zjeść. Uważnie przyglądałam się okropnym rzeźbom rozstawionym w ogrodzie, żeby co chwilę nie zerkać na Lorda Bilala i Shazad, którzy prowadzili dalsze negocjacje przy udziale Rahima. Statuy z brązu przypominały mi Noorshama. Jego maska z brązu miała jednak gładką powierzchnię bez żadnych rysów. Te tutaj przypominały o tym, co może nam zrobić Sułtan, jeśli przyłapie nas na zdradzie, zanim zdążymy uciec.

– Zapraszam – na dziedzińcu rozległ się głos – Księcia Bao z imperium Xicha.

To przypomniało mi Jina.

Niewielka grupa Xichańczyków stanęła na szczycie schodów. Byli ubrani w jaskrawe szaty, które wyglądały równie obco jak ubrania Gallanów, a jednak całkowicie się od nich różniły. Od czasu do czasu Delila zakładała xichańską sukienkę, ale wśród zgromadzonych nie było ani jednej kobiety.

Szczupły mężczyzna stojący na czele delegacji ubrany był w zielono-niebieską tunikę. Sześciu otaczających go mężczyzn miało podobną budowę ciała. Przypominali mi Mahdiego i pozostałych uczonych z kręgu Ahmeda.

Nie pasował tu tylko jeden człowiek stojący z tyłu. Nie był wyższy od pozostałych, ale miał szersze ramiona od tych,

którzy mieli postury uczonych i trzymał się tak, jakby był gotów do walki.

Zaschło mi w ustach.

Zamiast się odsunąć, zbliżyłam się jeszcze o krok, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Przez tłum, pomiędzy głowami ludzi, dojrzałam jego twarz, która zwróciła się w moją stronę. Jakbyśmy byli połączeni jakimś niewidzialnym węzłem. Jakbyśmy byli igłami połączonych kompasów.

Odnalazły mnie oczy Jina. Myliłam się. Nie miał uśmiechu swojego ojca. Ponieważ ten uśmiech łobuziaka należał tylko do nas.



ROZDZIAŁ 35

Pomiędzy nami rozciągał się cały ogród i znajdowaliśmy się na terenie wroga. Jeden błąd, jeden fałszywy ruch mógł unicestwić całą rebelię. A mimo to musiałam użyć całej swojej silnej woli, żeby pozostać w miejscu. Żeby nie dać się porwać temu przyciąganiu.

To było gorsze od najgorszego rozkazu wydanego przez Sułtana.

Kiedy schodzili do ogrodu, Jin pochylił się i wyszeptał coś do idącego obok mężczyzny. Tamten skinął głową i odwrócił się, by odpowiedzieć. Tłum się przesunął, Jin zniknął. Walczyłam ze sobą, choć pchało mnie w jego stronę. Chciałam ruszyć przez tłum i niech sobie Sułtan na mnie patrzy.

Powoli ruszyłam w stronę miejsca, gdzie ostatni raz go widziałam. Szłam tak powoli, że słyszałam jak serce bije mi w rytm salw honorowych. Omijałam ludzi w dziwnych szatach, Mirajińczyków odzianych w miłe dla oka kolory, niebezpiecznych mężczyzn w mundurach. Ale nie mogłam go odnaleźć. Zgubiłam go. Znowu.

– Amani. – Jego głos przy moim uchu był dokładnie taki sam jak wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni. Na pustyni. Kiedy uciekaliśmy. Pozbawiony tchu po pocałunkach w namiocie.

Kiedy się odwróciłam, był tak blisko, że z łatwością mogłabym go dotknąć. Ale gdybym to zrobiła, skazałabym nas na tak potworny los, jaki spotkał uwiecznionych w brązie ludzi wokół nas.

Pożerał mnie wzrokiem, od moich wspaniale uczesanych włosów aż po gołe stopy. Nagle stałam się bardziej świadoma

swojego wyglądu niż byłam przez cały wieczór. Tego, że byłam opalizującą na złoto dziewczyną, która została przygotowana jak każda inna mieszkanka haremu, na którą mężczyźni mieli patrzeć, ale nie mogli dotykać. Ten drugi xichański mężczyzna, który był z Jinem, właśnie to robił: pazernie patrzył na każdy fragment mojej gołej skóry. Ale Jin zdawał się nie zauważać tego, że zostałam pomalowana na złoto i wystawiona na pokaz.

– Ściąłaś włosy – powiedział w końcu. Ze wszystkich rzeczy musiał zauważyć właśnie to. Najbardziej oczywistą ranę, której nabawiłam się za ścianami haremu.

– Nie zamierzałam. – Za dużo było wyjaśniania, jak do tego doszło. Ale Jin umiał wyczytać to z mojej twarzy. Z dwuwyrazowej odpowiedzi.

– Amani, czy oni... – Zamilkł. *Czy oni zrobili ci krzywdę?* To chciał powiedzieć. Wiedziałam dlaczego. Gdyby ktoś mnie skrzywdził, a on nie mógł go powstrzymać, chyba nigdy by sobie tego nie wybaczył. – Jak się masz?

Co za pytanie!

– Przeżyję.

Zmienił się na twarzy, jego dłoń zacisnęła się w pięść. Kiedy znowu się odezwał, mówił niskim, dobitnym tonem:

– Przysięgam na Boga, że jeśli on cię skrzywdził, Amani, zapłaci za to. – Wiedziałam, kogo ma na myśli.

Sułtana.

– Nie wierzysz w Boga. – To jedyne, co przyszło mi do głowy.

Jego ręka wyskoczyła do przodu, jakby chciał mnie przyciągnąć do siebie, z dala od tego, co działo się wokół.

– Wobec tego przysięgam tobie.

Musiałam złożyć razem ręce, żeby powstrzymać się od dotykania Jina. Przypomniało mi się, że jak byłam mała, ręce często drżały mi z wysiłku, gdy trzymałam rewolwer za ciężki dla dziesięciolatki. Jedyne, czego chciałam, to rzucić

rewolwer na ziemię. Wysiłek włożony w trzymanie go był zbyt wielki. Mięśnie nie wyrabiały.

Ale to, czy przeżyję, zależało od tego, czy uda mi się utrzymać broń. Nauczyć się strzelania.

Utrzymałam ręce przy sobie, chociaż drżały z wysiłku.

– Jin – powiedziałam po mirajińsku najciszej jak mogłam.
– Rozmowa tutaj jest niebezpieczna.

– Mam to gdzieś – powiedział cicho, ale stanowczo. Przez chwilę sądziłam, że naprawdę mnie chwyci w objęcia. Albo weźmie mnie za rękę i oboje stąd uciekniemy.

Po chwili się zreflektował; ukłonił się i zszedł z drogi człowiekowi stojącemu tuż za nim. To był jeden z Xichańczyków, który chodził za nim jak cień.

– Dziś wieczorem jestem tłumaczem Księcia Bao z imperium Xicha. Jeśli będziemy komunikować się przez niego, będziemy bezpieczni. – Mężczyzna skłonił głowę, mówiąc coś w xichańskim.

– A co stało się z drugim tłumaczem? – zapytałam, uśmiechając się uprzejmie.

– Niedomaga od paru godzin z powodu połamanych żeber.
– Jin puścił mi oko ponad głową księcia, który nadal się kłaniał przede mną. – Książę ma słabość do pięknych kobiet, więc nie było tak trudno przyprowadzić go do ciebie. Powiedz coś, udawaj, że tłumaczę dla ciebie.

Nie widziałam Jina od dwóch miesięcy. Ostatnim razem pokłóciliśmy się, a on wsadził mi dłonie pod koszulę i całował mnie w usta. Pomiedzy nami były miesiące pełne niewypowiedzianych słów.

Nie wspominając o tym, że raczej powinnam mu powiedzieć, że jak tylko zajdzie słońce, które w tej chwili rzucało długie cienie, nadejdzie pora na uwolnienie całej gromady Dżinów. Było zbyt wiele do opowiadania w tak krótkim czasie, trudno było przekazać to wszystko uśmiechając się uprzejmie.

– Gdzie, do cholery, się podziewałeś? – zapytałam w końcu, uśmiechając się sztucznie do Księcia Bao, jakbym mówiła do niego, a nie domagała się odpowiedzi przez zaciśnięte zęby.

Nie zauważyłam miny Jina, który odwrócił się ode mnie i powiedział coś po xichańsku. Domyśliłam się, że prawi jakieś banały. Mężczyzna coś odpowiedział, przytaknął i uśmiechnął się, czekając, aż Jin przetłumaczy. Wreszcie Jin odwrócił się do mnie.

– Szukałem ciebie. – Prawą dłoń wciąż zaciskał i stukał pięścią w udo.

– To było niemądre – powiedziałam, a Jin stłumił śmiech, gdy zaciśnęłam usta i próbowałam okazać grzeczność obcokrajowcowi, który chyba sądził, że nie zauważyłam, jak patrzy na moje piersi. – Cały czas byłam tutaj.

– Tak, Shazad już zdążyła pogderać na temat mojego postępowania.

– To ona wie, że tu jesteś?

Zaczęło się ściemniać. Za chwilę obowiązki każą nam się rozstać.

– Wie, że jestem w Izmanie. Ale nie wie, że w pałacu. – No tak. Ten uśmiech, który sprawiał, że weszłabym za nim w ogień. Zwalczyłam impuls i nie odwzajemniłam uśmiechu. – Lepiej powiedz coś swojemu księciu.

Jin powiedział coś po xichańsku, słyszałam tylko fragmenty, ale wydawało mi się, że mówi, że język mirajiński nie jest tak zwięzły jak xichański. Ledwie Książę Bao zaczął przemawiać, odwrócił się do mnie.

– Przyszedłem, żeby upewnić się, że opuścisz dzisiaj pałac. Nawet jeśli nie uda nam się wyprowadzić nikogo poza tobą, pójdiesz z nami. Rozumiesz?

Mimowolnie uśmiechnęłam się. Zignorowałam uśmiech Księcia Bao, który sądził, że to jego kokietuję.

– To znaczy, że zjawiłeś się, żeby mnie ratować.

Jin wzruszył ramionami.

– Cóż, można to tak ująć...

Chciałam go przytulić. Bardziej niż cokolwiek innego. Chciałam wtulić się w niego. Chciałam mu przypomnieć, że trwa wojna. Że jeśli chcemy, możemy walczyć, uciekać i być razem, ale nie zawsze uda nam się nawzajem chronić.

– Jin...

– Półdżin i dobrze zapowiadający się dyplomata, ciekawe. – Nowy głos sprawił, że poczułam dreszcz na plecach, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Tak pochłonęła nas rozmowa, że nie zauważyłam zbliżającego się Sułtana. Ten położył dłoń na moich plecach.

Poczułam igły na kręgosłupie. Widziałam, że Jin się spał, chociaż szybko zgiął się w ukłonie. Księżę Bao zrobił to samo. Kiedy Jin się wyprostował, po raz pierwszy od czasów dzieciństwa w haremie stanął twarzą w twarz ze swoim ojcem.

Doskonale wiedziałam, co widzi, ponieważ ja również to widziałam: Ahmeda postarzonego o dwie dekady. Swojego brata, naszego księcia i naszego wroga scalonego w jedną postać. Ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, co czuł, gdy musiał stać tuż obok człowieka, który kupił i zniewolił jego matkę w swoim haremie. Który gołymi rękami zabił matkę jego brata. Który zabrał również mnie. A na domiar złego musiał się do niego grzecznie uśmiechać.

Nie trać głowy – powtarzałam w myślach. *Nie teraz. Nie pozwól, żeby nas pozabijał.*

Wtedy on ukłonił się przed ojcem i z uśmiechem przyklejonym do ust przedstawił xichańskiego księcia Sułtanowi, nie pomijając chyba żadnego z tytułów przed imieniem Księcia Bao, który tylko potakiwał.

– Bardzo dobrze posługujesz się mirajińskim – skomplementował Sułtan Jina, kiedy ten skończył, obdarzając księcia zaledwie przelotnym spojrzeniem. Wstrzymałam oddech. Opowieści mówiły o tym, że Ahmed

i Delila zniknęli w mroku nocy niczym za sprawą magii. Ale opowieści zawierały tylko część prawdy, pozmienianej przez tych, którzy je opowiadali.

Sułtan był bystrym człowiekiem. Sama się o tym przekonałam. Na pewno wiedział, jak ta dwójka naprawdę zdołała uciec. Musiał skojarzyć, że odpowiedzialna za to była ta xichańska kobieta, która zniknęła tej samej nocy co jego syn i niemowlę będące Półdżinem. Chociaż nie pamiętały opowieści o nim, Sułtan na pewno pamiętał, że miał jeszcze jednego syna, który również zniknął tamtej nocy.

Jeśli czegoś się domyślał, zupełnie tego nie okazywał.

Jin również zachował kamienną twarz.

– Dziękuję – powiedział z doskonałym akcentem. – Czuję się zaszczycony, Wasza Wysokość.

Sułtan jeszcze z nim nie skończył.

– Może twoja matka pochodziła z Miraji?

Nie kłam. Stoję tu obok. Nie kłam. Jeśli mnie zapyta, nie będę mogła cię kryć.

– Mój ojciec, Wasza Wysokość.

Sułtan skinął głową.

– Proszę wybaczyć – zwrócił się do Jina, wyciągając do mnie rękę. – Muszę porwać Amani. Oczywiście, jeśli twój książę nie ma nic przeciw temu.

Znałam Jina na tyle, żeby wiedzieć, jak bardzo nie podobało mu się to, że musiałam z nim odejść. Wolałby raczej zmierzyć się z ojcem tutaj, pośrodku ogrodu, niż pozwolić mi odejść z naszym wrogiem. Z człowiekiem, który już raz mu mnie odebrał.

Jin skłonił się.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Przekażę Księżciu Bao. – Xichański książę radośnie kiwał głową, zupełnie nieświadomy napięcia wokół niego.

Sułtan chwycił mnie za rękę, nie zwracając uwagi na złoty pył, który przeszedł na jego rękaw, nie miałam więc wyboru

i musiałam z nim odejść, zostawiając za sobą Jina.

– Nie powinnaś chodzić sama – powiedział, prowadząc mnie przez ogród. – Jest tutaj wielu wrogów twojej rasy. Prosiłem Rahima, żeby cię pilnował.

– Spotkał tu starego przyjaciela z Iliaz. – Tyle mogłam mu powiedzieć.

– Spotkał nie tylko jego, jak mi się wydaje. – Spojrzał znacząco na Lorda Bilala, Rahima i Shazad pogrążonych w rozmowie. – Znalazł jakąś ślicznotkę. – Kamień spadł mi z serca. Jeśli nie podejrzewał Shazad i Rahima o nic więcej poza flirtem, nie musieliśmy się niczego obawiać. – Chociaż ta tutaj może mu dorównywać inteligencją.

Wiele razy słyszałam, jak nie doceniano Shazad. Nawet Rahim zwątpił dziś w jej wartość, chociaż miał moje słowo. Przestraszyłam się, że tak łatwo ją rozszyfrował.

– Dlaczego tu jestem? – zapytałam, próbując odciągnąć jego uwagę od mojego zbłąkanego opiekuna i przyjaciółki – Jeśli to takie niebezpieczne.

– Ponieważ... – Sułtan zatrzymał się. Dotarliśmy do niszy w murze otaczającym ogród, ukrytej przed tłumem. – Pytałaś mnie, dlaczego musimy odnawiać nasz sojusz z zagranicznymi potęgami. Chcę, żebyś sama odpowiedziała na to pytanie, Amani. – Puścił moją rękę. – Zostań tutaj. – Ten rozkaz nie wiązał się ze znajomym szarpnięciem. Sułtan jednak o tym nie wiedział. Według jego wiedzy, powinnam tu zapaść korzenie.

Sułtan wszedł na podwyższoną platformę stojącą w ogrodzie. Napięcie, które rosło w mojej piersi od świtu, prawie mnie rozsadzało. Wokół nas zapadała noc i nikt nie zapalił żadnych lamp w ogrodzie, żeby nas od niej odgrodzić. Jedyne światło dawały lampy wiszące ponad platformą, więc tłum pogrążony był w ciemności.

Doskonałe warunki, żeby się wymknąć.

– Szanowni goście! Witajcie. Jestem zaszczycony waszą

obecnością – powiedział Sułtan, skupiając na sobie całą uwagę. Rozmowy ucichły jak ucięte nożem, grupki ludzi dołączały do tłumu zgromadzonego wokół platformy.

Zaczęłam przepychać się pomiędzy ludźmi kierującymi się w stronę podwyższenia. Ja szłam ku obrzeżom ogrodu. Żeby połączyć się z rebelią i wreszcie się stąd wyrwać. Pod warunkiem, że nie zostanę spalona żywcem jak żona Akima, która uwolniła Dżina.

Głos Sułtana niósł się ze sceny. Mówił o pokoju i o sile. Frazesy bez znaczenia. Wokół siebie słyszałam tłumaczy przekładających to, co mówił. Obok mnie zjawiała się Shazad, gdy omijałam kobietę z Miraji pobrzękującą rubinami. Żadna z nas nic nie powiedziała ani nie pomyliła kroku, szłyśmy ramię w ramię.

Gdy trochę się oddaliśmy, pomiędzy nas wszedł Sam, który odszedł od pozostałych żołnierzy w takich samych mundurach jak jego, lecz lojalnych komu innemu. W końcu zostawiliśmy za sobą tłum. Sam wysforował się przed nas, gdy podeszliśmy do muru, chwycił nas za ręce, złoty pył z mojej dłoni poplamiał jego skórę, gdy przeciskaliśmy się pomiędzy dwiema rzeźbami z brązu i gliny.

– Wstrzymajcie oddech – poinstruował, a ja walczyłam z instynktem każącym mi uchylić się przed zderzeniem ze ścianą.

Powinniśmy zetknąć się z twardym kamieniem. Ale to było jak wejście w piasek. Jakby mur zmienił dla nas swoją strukturę, ze zbitej w mięką. Nie była jednak zbyt podatna. Gdy przechodziliśmy przez nią, czułam, że próbuje nas uwięzić w sobie. Kamień naciskał na moją skórę, walcząc o odzyskanie formy, w jakiej trwał przez tysiące lat. Zacisnęłam oczy. Przeżyłam Sułtana i harem, nie zamierzałam tu umrzeć. Nie chciałam zostać pogrzebana w murze pałacu.

Wtem poczułam na skórze powietrze, przeszłam na drugą

stronę. Z dala od obchodów Auranzeb. Znalazłam się w ciszy pałacowych korytarzy.

– Strasznie się guzdraliście – powitała nas Hala po drugiej stronie. Miała swój własny wygląd, złotą skórę i całą resztę, miała na sobie proste, pustynne ubranie. Sam przeprowadził ją kilka godzin wcześniej. Czekanie sprawiło, że miała jeszcze gorszy nastrój niż zwykle. Omiotła mnie wzrokiem. – Ten kolor ci nie pasuje.

– Wiem, już to przerabiałam z Imin. Dziękuję za twój wkład w rozmowę. – Postanowiłam nie przejmować się Halą, więc zwróciłam się do Shazad: – Wiedzieliście, że Jin wrócił i nikt nie pofatygował się, żeby mnie o tym poinformować?

Zastygła w pół ruchu, zdejmując pas z talii i wyjmując duże ilości prochu strzelniczego ukrytego w zwojach. Sam i Shazad wymienili konspiracyjne spojrzenia. Takie, jakie zwykle Shazad wymieniała ze mną. To mi przypomniało, jak długo mnie z nimi nie było.

– Nie kłam, Shazad. Ze wszystkich ludzi, ty nie powinnaś kłamać.

– Tak, wrócił wczoraj – przyznała. – Izz go odnalazł. Kiedy udaliśmy się do Dustwalk, po tym jak dałaś nam cynk w sprawie fabryki. Szukał cię tam. Chyba myślał, że zmieniłaś zdanie i razem z tą twoją ciotką wróciłaś do domu. Co za idiota.

– Żeby nie było – wtrącił się Sam – głosowałam za tym, żeby ci powiedzieć.

– Żeby nie było – powiedziała Shazad – jesteś złodziejem, a nie buntownikiem, więc nie masz głosu...

– Naprawdę nie wydaje mi się, żebyście mieli moralną przewagę nade mną – odpyskował Sam, opierając się o ścianę z zadowoloną miną. Cieszyła go uwaga Shazad, jakkolwiek zdobyta. – A poza tym...

Hala jęknęła i przerwała jego wywód.

– Może twoje zdanie *kogoś* interesuje, ale na pewno nie tę

osobę, która ma za zadanie przeprowadzić was przez pałac tak, żebyście nie zostali zauważeni. Masz coś przeciw?

Ja prowadziłam.

Trzymaliśmy się blisko Hali, idąc tak wolno, jak się dało. Dzięki temu było jej łatwiej namieszać w głowach żołnierzom stojącym na warcie w pałacu. Było ich niewielu i byli rozstawieni w dużych odległościach od siebie. Dziś wieczorem brakowało ludzi. Ale żaden z nich nawet nie mrugnął, gdy przechodziliśmy pod ich nosem; Hala dzięki swojej mocy podsunęła im myśl, że jedyne, co widzieli, to pusty korytarz. W ciszy szliśmy przez znajome korytarze, aż wreszcie stanęliśmy twarzą w twarz z mozaiką przedstawiającą Księżniczkę Hawę. Sam nie czekał na mój sygnał, chwycił nas znowu za ręce i przeprowadził przez ścianę.

Wyszliśmy, potykając się na szczycie starych, kamiennych schodów, którymi schodziłam po raz pierwszy tego dnia, gdy ocknęłam się w pałacu, a Sułtan niósł przede mną lampę, tak żebym widziała tylko jeden, kolejny stopień.

Teraz widziałam nawet podłogę na dole schodów. Nie byliśmy sami w pałacowych lochach. Podniosłam rękę, zatrzymując Shazad. Natychmiast zrozumiała sygnał i zamarła.

Poruszaliśmy się ostrożnie, pochylając się na schodach jak złe duchy pod osłoną nocy, kuliliśmy się, dopóki nie stanęliśmy na krawędzi cieni, skąd mogliśmy zajrzeć do krypty.

Kiedy uwięzione Dżiny się poruszały, światło migotało w lochach. Było ich tam osiemnaście. Osiemnaście imion, które wezwałam jedno za drugim, po to, by Sułtan je uwięził. I chociaż przybrały postać ludzką, nadal było w nich coś nienaturalnego. Stały jak kolumny nieśmiertelnej mocy, czasami odbijając światło, które nie pochodziło z żadnego zewnętrznego źródła. Gdy schodziliśmy, ich obecność można

było odczuć w sensie fizycznym, jak cios.

Pół tuzina umundurowanych mężczyzn z pochodniami otaczało Fereshteha. Był w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłam po wezwaniu, uwięziony wewnątrz żelaznego kręgu. Dodatkowo ktoś umieścił nad nim coś, co wyglądało jak klatka. Była z mosiądzu, żelaza, złota i szkła, tworzących skomplikowane wzory. Złączone z tysiąca kawałków metalowe łuki splatały się ze sobą.

Pozostałe uwięzione Dżiny patrzyły ciekawie ze swoich żelaznych kręgów, jak rodzice przyglądający się dziecku, które coś narozrabiało, ale oni jeszcze do końca nie rozumieją co. Przez ułamek sekundy Bahadur popatrzył w naszą stronę, lecz zaraz skierował spojrzenie na pozostałych nieśmiertelnych.

Krąg żołnierzy poruszył się i osoba, która zajmowała się montażem maszyny, stała się widoczna. Od razu rozpoznałam Leylę, nawet z tej odległości. Więc to dlatego nie mogłam jej znaleźć w ogrodzie. Poruszyła się nerwowo, jej ręce uwijały się wokół skomplikowanych elementów maszyny z taką łatwością, jak wtedy, gdy zajmowała się zabawkami tworzonymi w haremie.

Przykręciła coś i nagle zrobiła krok w tył. Cały krąg żołnierzy cofnął się razem z nią.

Przez chwilę nic się nie działo.

A potem maszyna ożyła.

Pręty klatki zaczęły się poruszać, z początku powoli. Potem szybciej.

Znajdujący się w środku Fereshteh przyglądał się z zaciekawieniem wirującym ostrzom. Nie bał się, ale panika zaczęła rozpierać moją pierś. Maszyna wirowała coraz szybciej, wielkie ostrza kręciły się, jakby każde z nich było ruchomym horyzontem na globie. Ostrza z brązu wznosiły się jak słońce o brzasku, a ciemne żelazne ostrza cięły po przekątnej niczym zachodzące słońce. Coraz szybciej. Aż ich

kształty się rozmyły.

Byłam przerażona. Musieliśmy go uwolnić. Musieliśmy uwolnić go, zanim będzie za późno. Ruszyłam przed siebie, ślepa na niebezpieczeństwo. Wtedy właśnie jeden z elementów maszyny, żelazny topór, zatrzymał się w miejscu. Nagle zakołysał się z ostrzem skierowanym w górę, w stronę nieba. Zastygł tak na chwilę. Wiedziałam, co się stanie sekundę przed tym jak się stało.

Ostrze przeszło pierś Fereshteha.

Weszło w ciało nieśmiertelnego Dżina, jednego z boskich Pierwszych Stworzeń, które powstały w tym samym czasie co świat, które widziały narodziny ludzkości, które widziały, jak upadają pierwsi nieśmiertelni i jak rodzą się pierwsze gwiazdy, które zmierzyło się z Pogromczynią Światów. A teraz umarło.



ROZDZIAŁ 36

Dżiny były stworzone z ognia, który nigdy nie gasł. Wiecznie płonący, bezdymny ogień, który pochodził od Boga. Na początku świata Pierwsze Stworzenia żyły niekończącym się dniem.

Potem pojawiła się Pogromczyni Światów. Wraz z nią przyszła ciemność. Przyniosła noc. Przyniosła strach.

A później przyniosła śmierć.

Z żelazem w ręce zabiła pierwszego nieśmiertelnego Dżina. Gdy umarł, zmienił się w gwiazdę. Jeden za drugim Dżiny podążały tą samą drogą, zapełniając nasze niebo.

Patrzenie na śmierć Fereshteha to jak oglądanie gwiazdy na ziemi. Biel poraziła moje oczy, przestałam widzieć. Usłyszałam czyjś krzyk. Usłyszałam, że Shazad coś krzyczy, ale nie mogłam rozróżnić słów.

Biel powoli znikwała spod moich powiek, wciąż mrugałam, ale mogłam już coś zobaczyć. Wewnątrz maszyny nie było już ciała Fereshteha. To, co zostało, płonęło jak gwiazda, a metal, z którego zbudowano urządzenie, opalizował różnymi kolorami. Poczułam nieprzyjemne mrowienie na karku. Wiedziałam, gdzie wcześniej to poczułam. Na metalowych drzwiach, przy których próbował mnie zabić gallański ambasador. Na naszych oczach światło rozciągnęło się, rozbłysnęło jeszcze jaśniej, omiotło sufit i przeleciało tuż nad nami.

Poniżej rozległ się krzyk, ponieważ rozbłysk światła rozświetlił nas tak, że bez problemu można nas było zauważyć. Nie było już czasu na stosowanie podstępów. Sam złapał nas obie za ręce, pociągnął nas po schodach w górę i przeniknęliśmy z powrotem przez drzwi w takim tempie, że

z ledwością zdołałam zaczerpnąć powietrze, zanim zanurzyliśmy się w murze.

Hala została w tyle.

– Hala! – Wyrwałam rękę. Sam zatrzymał się, lecz Shazad nie. Znajdowała się kilka kroków przed nami, biegła już w stronę ogrodu. – Leyla, została na dole. Zabierz ją stamtąd.

Nawet się ze mną nie sprzeczała. Nie dałam jej czasu. Biegłam, żeby dogonić Shazad. Obejrzałam się przez ramię, zanim skręciliśmy, w samą porę, by zobaczyć, jak otwierają się drzwi przy mozaice, a nic nieprzeczuwający żołnierze rzucają się na Halę, która zajęła się ich umysłami, zanim zdążyli zrobić jeden krok. Wtedy Shazad pociągnęła mnie za róg. Hala i Leyla zostały same.

Sam znowu złapał mnie za rękę, gdy zbliżyliśmy się do muru, wciągnął mnie za sobą.

Sapiąc, przeniknęliśmy na drugą stronę w chwili, gdy Sułtan kończył swoje przemówienie. Wokół nas rozległ się aplauz, który na moment wybił mnie z równowagi. Chociaż już wróciłam do pałacowego świata, to wciąż byłam pod wrażeniem tego, co widziałam: wzlatującej gwiazdy.

W tej chwili wokół ciemnego ogrodu zaczęły pojawiać się światła. Nie z lamp naftowych. Nie zwykły ogień ani migoczące pochodnie. Po prostu światło. Ogień bez żaru. Wydobywało się z maszyny, która właśnie zabiła Dżina, po czym uwięziła rozżarzone światło pod szklaną kopułą, wiszącą na sznurach.

Zabutelkowane światło gwiazdy.

Ogród wypełniły okrzyki zachwyconych gości, którzy przybyli na Auranzeb.

Wówczas coś poruszyło się w kącie ogrodu. Odwróciłam się w samą porę, by zobaczyć, jak przesuwa się jedna z rzeźb. Jeden z posągów przedstawiających zabitych braci Sułtana podniósł głowę.

A potem jeszcze jeden. I kolejny.

Metalowi mężczyźni wyprostowali się i zrobili krok. I jeszcze jeden. Tłum zaczął się obracać, spodziewając się następnej sztuczki.

– Co oni robią? – Rozpoznałam strach w głosie Shazad. Rzadko się bała. Wiedziałam, że przypomniała sobie to samo co ja. Pociąg. Chłopaka w metalowej zbroi. Płonące ręce. Wrzask Bahiego.

Jakiś obcokrajowiec z tłumu został zmuszony do zejścia z drogi jednemu z posągów.

Siedziałam naprzeciw Sułtana w jego gabinecie, kiedy mówił o sługach z gliny, których Dżiny ulepiły przed pojawieniem się ludzi na ziemi. Abdalsy. Stworzenia z gliny, które wykonywały rozkazy. Słuchałam, jak mówił o tym, że za pierwszym razem popełnił błąd, sądząc, że może kontrolować Półdżina. Nasza moc nie jest warta tego, by zaryzykować bunt.

To nie oznaczało, że zrezygnował z sięgnięcia po tę moc.

Oznaczało tylko, że zrezygnował z ryzyka buntu.

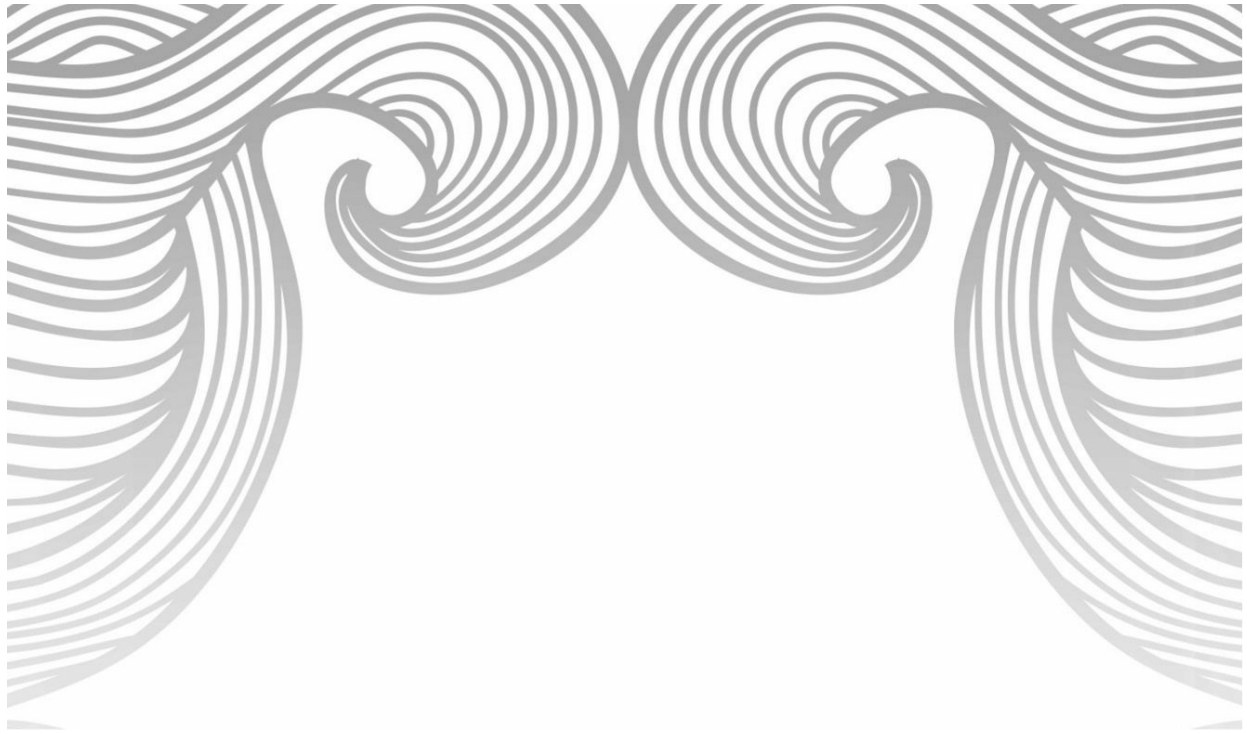
Metalowe przedmioty mijały Mirajińczyków i kierowały się w stronę zagranicznych gości. Zamykały ich w kręgu.

Sułtan mówił mi, że siły Miraji nie mogą same poradzić sobie z zagrożeniem czyhającym przy naszych granicach.

To była pułapka. Auranzeb. Zawieszenie broni. Wszystko. To była pułapka, która miała ich tu zwabić.

Wiedziałam, co się stanie za chwilę. Jeden z albiskich żołnierzy stojący przy swojej królowej zasłonił ją przed metalowym stworem, stanął pomiędzy nim a swoją władczynią.

Patrzyłam, jak płonie jego twarz. Płonał tak jak Bahi zaatakowany przez Noorshama. Płonał jak coś, co zetknęło się z płomieniem Dżina.



ROZDZIAŁ 37

Ludzie zaczęli krzyczeć, niektóre krzyki zostały stłumione, zanim jeszcze wybrzmiały na dobre, bo Abdalsy już zwróciły się przeciwko nim. Żołnierze Miraji również pojawili się w ogrodzie, zagradzając drogę każdemu, kto próbował uciec. Zapach krwi mieszał się ze smrodem spalenizny. Uświadomiłam sobie, że czekam na rozkaz Shazad, którego dotąd nie usłyszałam. Stała obok mnie jak sparaliżowana. Stała przy murze i patrzyła na mężczyzn i kobiety, którzy płoneli tak samo jak Bahi. Jeśli nie przejmie dowodzenia, ktoś inny będzie musiał to zrobić. Rozglądałam się po ogrodzie, szukając Jina. Nigdzie go nie widziałam.

– Sam! – powiedziałam. – Musisz zacząć przeprowadzać ludzi. Tylu, ilu zdołasz, a potem uciekaj. Shazad... – Podskoczyła, gdy chwyciłam ją za rękę. Staralam się ją naśladować. Ktoś musiał być Shazad, kiedy ona nie była sobą. – Musisz wziąć się w garść. – Była blada, ale przytaknęła. – Co sądzisz o użyciu prochu do wysadzenia bram?

Bramy znajdowały się po drugiej stronie ogrodu, ale oddzielały nas od nich śmierć i zamieszanie.

Zauważyłam, że wreszcie zaczęła myśleć. Abdalsy atakowały jedynie cudzoziemców. Nie będą jej niepokoić, ponieważ jest Mirajinką. Lecz było tu również wielu żołnierzy. Nie dało się tędy przejść.

– Potrzebuję broni – powiedziała Shazad, wreszcie w miarę normalnym głosem.

– Może uda mi się coś zaradzić. – U mojego boku stanął Rahim. Miał krew na mundurze. Podał Shazad miecz o nietypowym kształcie. – Jesteś tak dobra, jak mówi

Amani?

– Nie, jestem lepsza. – Shazad wyjęła miecz z jego dłoni. –
Idziemy razem?

Sułtan miał rację. Byli dobraną parą. Zgrali się tak, jakby trenowali razem przez całe życie. Gdy kroczyli przed siebie, na ziemię padały ciała kolejnych żołnierzy, między którymi dosłownie wyrąbywali przejście. W tym czasie Sam odwrócił się i zanurkował w tłum, zrzucając z siebie albiski mundur.

Tamid.

Myśl o nim niespodziewanie zaświtała mi w głowie. Hala miała mu pomóc w ucieczce. Plan jednak uległ zmianie. Teraz zajmowała się Leylą. Musiałam iść po niego. Tym razem nie mogłam go zostawić.

Ruszyłam biegiem, zanim ta myśl przebrzmiała, starałam się okrążyć walczących. Wbiegłam do holu i skierowałam się do pokoju Tamida, hałas dochodzący z ogrodu stopniowo cichł.

Zastąpił go tupot czyichś stóp. W biegu obejrzałam się przez ramię. Moja ucieczka z ogrodu nie przeszła niezauważona. Kilku żołnierzy ruszyło za mną. Gdy skręcałam za róg, usłyszałam odgłos wystrzału. Kula wbiła się na wysokości mojej głowy. Tynk rozprysł się jak krew i przyprószył moją skórę. Wobec tego zrozumiałam, że nie chcieli mnie pojmać.

Skręciłam za następny załom korytarza, gołe stopy ślizgały się po marmurze.

Wtedy zobaczyłam Jina stojącego na końcu holu i celującego w coś, czego nie widziałam. Wyglądał jak Dżin wynurzający się z piasku. Serce zaczęło mi bić szybciej i jeszcze przyspieszyłam.

Odwrócił się z podniesioną bronią skierowaną we mnie, gdy biegiem zbliżałam się do niego. Żołnierze byli za mną, ale Jin nie będzie miał dobrej linii strzału, nie wtedy, gdy ja znajdowałam się przed nimi. Szybciej przebieierałam nogami,

musiałam do niego dobiec, zanim mnie zastrzelą.

Niemal słyszałam, jak strażnicy odciągają kurki swoich rewolwerów.

Dobiegłam do Jina z największą prędkością, jaką mogłam rozwinąć. Otoczył mnie ramieniem. Zasłonił mnie swoim ciałem; podczas gdy strażnicy szykowali się do strzału, oddzielał mnie od nich tylko Jin.

Poczułam rewolwer wbijający mi się w plecy. Chwyciłam go jedną ręką, Jin puścił broń.

Jakbym wróciła do domu.

Wycelowałam zza osłaniającego mnie Jina. Trzy szybkie strzały. I żadnego więcej. Ani z mojej strony. Ani z ich strony.

Ponieważ nie spudłowałam.

Odsunęłam się od Jina. Na ziemi leżały trzy ciała, ale dla mnie istniał tylko Jin.

– Krwawisz. – Jin nerwowo zaczął szukać rany na moim ciele.

Trzęsłam się. Znowu byłam w jego rękach. Znowu byliśmy razem. Drżałam z ulgi.

– To nie moja krew. – Pokręciłam głową. Nie wiedziałam, skąd się na mnie wzięła. – Musimy iść. Musimy wyprowadzić ludzi...

– Robimy to. – Jin chwycił moją dłoń. – Wyprowadzają tyle osób, ile się da. Shazad zajęła się bramami, a Imin uciekła z twoim przyjacielem Tamidem, wykorzystując zamieszanie. Musimy... – Skręciliśmy za róg. Na naszej drodze stanął Kadir z dwoma Abdalsami, ich wykrzywione twarze patrzyły na nas beznamiętnie. Jak Noorsham. Ale ci nie mieli oczu. Nie mieli krwi i ciała. Ani żadnych wątpliwości.

To tego pragnął Sułtan. Żołnierzy, którzy nigdy nie zdradzą. Półdżinów bez sumienia, którzy nigdy nie wyzwolą się spod jego kontroli.

Instynktownie strzeliłam. Ostatnia kula. Przeszła przez

glinę w miejscu, gdzie powinno być serce. Abdals nawet się nie zachwiał.

– Mała dziwka-Półdzinka. – Kadir uniósł broń. – Wreszcie bez mojego zdradzieckiego brata, który miał cię chronić.

– Założysz się? – Jin stanął przede mną, kryjąc mnie przed Kadirem, gotowy do walki.

Jednak Kadira nie interesowała uczciwa walka, już naciskał palcem spust rewolweru.

Wtedy właśnie wybuchły bramy.

Sultrim zachwiał się i spudłował. To wystarczyło. Chwyciłam Jina za rękę. Rzuciliśmy się w stronę spiralnych schodów prowadzących na górę. Nasze stopy plaskały o kamień, Kadir był tuż za nami. Wybiegliśmy na kolejny korytarz. Nagle uświadomiłam sobie, że wiem, gdzie jesteśmy.

Skierowałam się w stronę komnaty na końcu korytarza. To był warsztat Tamida. Ten, z którego mogłam patrzeć na dachy Izmanu. To tam chciałam skoczyć i skończyć ze sobą.

Zatrzasnęłam za nami drzwi, zasunęłam zasuwę sekundę przed tym, jak dopadł ich Kadir. Drzwi aż zadrżały, gdy w nie uderzył. W kącie komnaty jedna ze szklanych butelek roztrzaskała się na podłodze.

Tutaj. Zwój liny pomiędzy butelkami i bandażami.

Chwyciłam go jedną ręką i pobiegłam na balkon. Jin biegł tuż za mną. Wszystko wyglądało tak, jak pamiętałam. Pomiedzy krawędzią balkonu i murem rozciągała się wąska szczelina. A z muru łatwo będzie zejść na dół.

– Powinno nam się udać. – Oddychałam ciężko, próbując mówić pewnym głosem. Sądziłam, że podobna odległość dzieliła dach Tamida i sąsiedni dom w Dustwalk. Już wcześniej tak skakałam. Tylko że to było tak dawno temu, że prawie zatarło mi się w pamięci. Tutaj jednak było o wiele dalej.

– Raczej nie dam rady. – Jin zaczął oddychać płycej.

Popatrzyłam na niego, trzymał się za bok.

Chwyciłam jego dłoń i odciągnęłam od skóry. Rana była długa. Pewnie jakaś zrykoszetowana kula.

– Cholera. – Rozglądałam się spanikowana dookoła. Kadir walił w drzwi za nami.

Byliśmy w pułapce. Bez drogi odwrotu. Mogliśmy iść tylko przed siebie.

– Jeśli mi się uda – przywiązałam linę do barierki balkonu – to przejdiesz tędy?

W kąciku ust Jina pojawił się ten charakterystyczny uśmiech.

– Czy mówiłem ci ostatnio, że jesteś wyjątkowa?

– Nie. – Zamotałam jeszcze raz linę wokół barierki. – Zniknąłeś na kilka miesięcy bez słowa.

Jin odwrócił mnie, bym stanęła twarzą do niego.

– Jesteś – szybko mnie pocałował w lewy kącik ust – naprawdę – tym razem w prawy kącik – wyjątkowa.

Nie spodziewałam się tego. Przyciągnęłam go do siebie i pocałowałam namiętnie.

– Nie mamy na to czasu. – Opamiętałam się i odepchnęłam go od siebie.

– Wiem. Przeszkadzam ci. – Pociągnął za sznur i rozwiązał węzeł, który zrobiłam. – Chociaż jesteś wyjątkowa, to wiążesz wyjątkowo kiepskie węzły. – Zaczął robić coś skomplikowanego, zręcznie operował palcami. Po chwili odwrócił się do mnie. Szybko obwiązał drugi koniec liny wokół mojej talii. – Jeśli zamierzasz ryzykować życie, możesz to zrobić w bardziej bezpieczny sposób.

– Jesteś pewien, że to mnie utrzyma? – Spojrzałam podejrzliwie na węzeł.

– Możesz zaufać żeglarzowi w kwestii węzłów – powiedział. – I możesz mi zaufać w swojej kwestii.

Podtrzymał mnie, gdy wspięłam się na barierkę. Nieważne, jak daleko było miejsce, na które miałam

doskoczyć, widziane z balkonu, z barierki wydawało się jeszcze odleglejsze. Nie trzeba było daleko skakać, ale należało wylądować dużo niżej, a miejsce lądowania było bardzo wąskie.

Może mi się udać.

Za nami chybotwały drzwi. Kadir zaraz je wyłamie.

Byłam prawie pewna, że mi się uda.

Odetchnęłam głęboko.

Zaraz się przekonam.

Skoczyłam.

Pode mną rozciągało się tylko powietrze. Przez chwilę mignęło mi przez myśl, jak mogli czuć się Izz i Maz, gdy zmieniali się w zwierzęta.

Kiedy latali.

Moje gołe stopy zetknęły się z murem, zachwiałam się i dla równowagi chwyciłam się blanki. Balansowałam przez chwilę nad krawędzią, zanim znalazłam podparcie dla stóp. Zdjęłam linę zawiązaną wokół talii i przełożyłam ją na blankę. Resztę liny spuściłam po murze, sięgała prawie ziemi. A przynajmniej na tyle blisko, żebyśmy mogli wydostać się z pałacu.

Wyglądało to dość solidnie i na Boga, lepiej żeby takie było.

Po drugiej stronie liny Jin przeszedł przez barierkę balkonu. Rękami i nogami chwycił linę. Węzeł obok mnie napiął się pod jego ciężarem.

Ale trzymał.

Trzymał także, gdy Jin schodził w dół. Cal po calu, zostawiając za sobą szlak krwi.

Jedyne, co mogłam zrobić, to patrzeć na niego z sercem w gardle, każdy ruch zbliżał go do mnie. Był w połowie drogi, kiedy drzwi puściły.

Kadir wdarł się do komnaty.

Zanim wypadł na balkon, celowałam już do niego z rewolweru. Nie miałam kul. Blefowałam.

– Dotknij tej liny, a pożałujesz, że się urodziłeś.
– Kłamiesz. – Jednak nie zbliżył się bardziej, stanął jak wryty, sapiąc z wściekłości.

– Jestem Półdzinem. – Odciągnęłam kurek rewolweru z pustym bębniem. – Nie umiem kłamać.

Żadne z nas się nie ruszyło. Sytuacja była patowa. Stałam na murze z podniesioną bronią i celowałam w Kadira, podczas gdy Jin schodził do mnie po linie. Centymetr za centymetrem. Powoli. Powoli. Nie musiał się spieszyć, musiał tylko być szybszy od mózgu Kadira. Musiał zejść szybciej, niż Sultrim skojarzy, że mam nienaładowaną broń.

– Kadir. – Głos przy drzwiach sprawił, że aż podskoczyłam, ledwie ustałam na murze.

Sułtan wszedł do komnaty. Nie przyprowadził straży. Ani Abdalsów.

– Ojczy. – Kadir uniósł rękę. – Uważaj, ona ma broń.

Sułtan oderwał wzrok od Kadira, popatrzył na mnie, potem znowu na syna. Jego umysł nie pracował tak leniwie jak jego najstarszego syna. W myślach popędzałam Jina. Znajdował się już na wyciągnięcie ręki.

Sułtan położył dłoń na ramieniu swojego pierworodnego.

– Och, synu. Jesteś głupcem.

I wyciągnął nóż.

Zaczęłam krzyczeć, zaczęłam grozić, lecz nie mogłam spełnić groźby, nie mając nabojów w broni. Obiecałam, że zostanę w pałacu, jeśli pozwoli odejść Jinowi. Zrobiłabym wszystko, by dać Jinowi chwilę na dotarcie do końca liny, którą Sułtan mógł odciąć, żeby go zabić.

On nie popatrzył nawet w stronę liny. Zamiast tego ostrze w jego dłoni wbiło się w szyję Kadira.

To było czyste cięcie, jakby zabijał upolowane zwierzę. Tak czyste, że kiedy Kadir padł na ziemię, na jego twarzy wciąż widać było irytację. Wszystko stało się tak szybko, że nie miał czasu nawet krzyknąć.

Byłam wstrząśnięta, język stanął mi kołkiem, nie mogłam się ruszyć.

Sułtan popatrzył na mnie spokojnie i starł krew swojego syna z koszuli. I nagle znowu znalazłam się przy stole naprzeciw niego. Słuchałam, jak mówi mi, że jego synowie doprowadzą ten kraj do ruiny, zdeptany stopami obcokrajowców. Że Kadir nie nadawał się do rządzenia.

Zrobiłbym wszystko dla tego kraju, Amani. Sułtan odwrócił się twarzą do mnie. Nie był głupi. Szybko domyśli się, że skończyły mi się naboje. Musiałam czymś go zająć, choć przez chwilę. Dopóki Jin nie zejdzie na mur.

– Już dawno nie uczestniczyłam w modlitwach. – Gdy mówiłam, czułam przygniatający ciężar na piersi. Nienawidziłam Kadira. Ale, Boże, gdy teraz na niego patrzyłam, na jego niewidzące oczy wpatrujące się w nocne niebo, na krew wciąż buchającą z jego gardła... – Ale jestem pewna, że Bogu nie podoba się zabijanie własnego syna.

– Ach, tak. – Sułtan uśmiechnął się pobłaźliwie. – Przeklęty jest ten, kto zabija członka swojej rodziny. Pamiętasz, co dzisiaj świętujemy, Amani? Objęcie przeze mnie tronu. Sądzę, że już dawno straciłem szansę na ucieczkę przed tą klątwą. Poza tym z Kadira nie byłoby dobrego władcy. To tak naprawdę moja wina. Urodził się zaraz na początku mojego panowania. Byłem niewiele starszy niż on jest, to znaczy był, w tym momencie. – Zerknął w dół, na ciało wykrwawiające się na podłogę balkonu. – Zamierzałem go ominąć, przekazać tron w ręce wnuka, ale oczywiście to nie było mi dane. Nie sądziłem, że ta łasa na władzę żona Kadira będzie taka obrotna. – Shira. Nie żyła od kilku dni, a jej imię już zostało wymazane. Czy kiedy będą opowiadali historie o tym, co zdarzyło się podczas tej wojny, to jedyne kim będzie, to łasą na władzę Sultrimą? Znowu popatrzył na mnie. – I muszę przyznać, że nie przypuszczałem, że uda ci się uwolnić. – Wyglądał, jakby

był pod wrażeniem. – Jak to zrobiłaś?

– Przecenisz lojalność swoich ludzi. – Nie zamierzałam zdradzić Tamida. – Naprawdę sądzisz, że to ich ocali? Że znowu zjednasz sobie ich przychylność? Zabijając każdego, kto stanie na twojej drodze?

– Nie chodzi o martwych obcokrajowców na dole, Amani. Chodzi o tych, którzy zostali przy życiu za granicami. – Sułtan patrzył na mnie ponad lufą rewolweru. – Wiesz, co dzieje się w kraju, gdy tron przechodzi w inne ręce, Amani? Powstaje chaos. Wojna domowa. Zbyt wielki niepokój, zachęcający ich do tego, by uznali, że warto na nas najechać. A kiedy tak postanowią, ja będę miał całą armię Abdalsów gotowych do obrony naszych granic.

Armię glinianych stworów z mocami Półdżinów. Postawi je na granicy i rzeczywiście, nikt już nas nie najeździe.

– Półdżin, który tu był przed tobą... – Miał na myśli Noorshama. Nigdy nie używał jego imienia, podobnie jak mojego, do dnia, gdy zastrzeliłam kaczkę. Jakbyśmy dla niego byli przedmiotami. – Płonął tak jasnym płomieniem. Ale straciłem ochronę, jaką mógł zapewnić naszemu krajowi. – Bo ja go uwolniłam. – Zastanawiałem się, czy mógłbym odtworzyć jego ogień. Czy udałoby mi się stworzyć bombę z metalu za pomocą mocy Dżina. Zamiast tego znalazłem ogień, dzięki któremu mogłem stworzyć życie. Ponieważ tym jest ogień Dżinów. Jest życiem. Energią. Dał nam życie. A ja zdołałem go okiełznać. Ale nie zniszczyć. Żeby dać moc krajowi. Gallanie twierdzą, że nadszedł kres magii, że teraz jest czas maszyn. Albiszowie trwają przy swoich nieśmiertelnych. My będziemy wśród tych, którzy zjednoczą te dwa kraje.

– Kosztem zabicia naszych nieśmiertelnych.

– Pierwsze Stworzenia powołały nas do życia, żebyśmy walczyli w ich wojnach. Ale gdzie sami byli, gdy trwały nasze wojny? Gdy nasze granice były najeżdżane przez obcych,

mających przewagę liczebną? Gdy moi ludzie zwracali się przeciwko sobie na zawołanie mojego syna, zamiast z nimi walczyć? – mówił cierpliwie. Jakby tłumaczył to własnym dzieciom. Wyjaśniał im trudne sprawy. Ale nie był moim ojcem. Moim był Dżin. Dżin uwięziony w pałacu i będący na jego łasce. I po raz pierwszy od czasów, gdy pokonano Pogromczynię Światów, groziło mu realne niebezpieczeństwo. Mój ojciec nie interesował się mną, gdy mogłam umrzeć. Dlaczego ja miałabym martwić się o niego. Ale i tak się martwiłam.

– Czas nieśmiertelnych dawno się skończył. Odebraliśmy im ten świat. Z tego powodu Półdżiny takie jak ty są teraz tak rzadkie. Ten świat należy do nas. Ten kraj należy do nas. Rolą dzieci jest zastępowanie swoich rodziców. A my jesteśmy dziećmi Dżinów. – Sułtan uśmiechnął się powoli. – Sądzę, że nie masz już nabożów.

Wtedy Jin dotarł do końca liny. Chwytał się za skraj muru i z jękiem podciągnął na górę, obejmując mnie w pasie. Trochę skoczył, trochę spadł, okręcając dłoń wokół liny. Spadłam razem z nim. Po drugiej stronie pałacowych murów.

Byłam wolna.



ROZDZIAŁ 38

Izman był rozświetlony obchodami Auranzeb, nawet pomimo upadku Powstania Błogosławionej Sultrimy. Do miasta nie dotarły jeszcze wieści o tym, co dzieje się w pałacu. Że uwolniliśmy się spod wpływów obcych krajów. Że zginął Sultrim.

Z ufnością dałam się prowadzić Jinowi przez nieznane ulice. Szliśmy bardzo powoli, przemykając w cieniu i omijając okna, z których sączyły się odgłosy zabawy, a także zakradaliśmy się w boczne, kręte aleje. Unikaliśmy dużych ulic, pełnych pijanych ludzi i bawiących się mieszkańców.

– Tutaj. – Jin zatrzymał się przy małych drzwiach w białej stiukowej ścianie w alei tak wąskiej, że ściana przed nami prawie stykała się z tą za nami. Od drzwi do brukowanej ulicy ciągnął się rynsztok.

Nie byłam pewna, czego spodziewać się po drugiej stronie. Może tego, że wejdziemy do jakiegoś innego świata, jak przez nasze stare drzwi. Albo tajemnego przejścia, które zaprowadzi nas w miejsce, gdzie osiadła rebelia po tym jak straciliśmy Dolinę Devy.

Zamiast tego weszliśmy do dużej kuchni, oświetlonej ciepłym blaskiem przygasającego paleniska. To była najzwyczajniejsza kuchnia na świecie. Podobna do tej należącej do mojej ciotki w Dustwalk. Tylko tutaj było znacznie więcej jedzenia. Z sufitu zwisały błyszczące garnki i patelnie, pomiędzy nimi suszyły się zioła i przyprawy. Na półkach stały rzędy puszkowanego jedzenia.

Zamknęłam za nami drzwi. Nie miałam czasu na zastanawianie się, gdzie jesteśmy, cieszyłam się, że

trafiliśmy w bezpieczne miejsce. Jin usiadł przy palenisku, opierając się plecami o ścianę. Ja przyklękłam przed nim.

– Jesteś cały zakrwawiony. – Straciłam jego rękę ze swoich ramion. – Muszę to obejrzeć.

– Nic mi nie jest. – Ale pozwolił mi ściągnąć sobie koszulę przez głowę, krzywiąc się z bólu, gdy musiał podnieść rękę do góry. Rzuciłam zakrwawione ubranie na podłogę, a on położył ręce na głowie i wypiął pierś, żebym miała lepsze dojście do rany. Nie kłamał przynajmniej, bo większość krwi chyba nie należała do niego. Miał trochę zakrwawioną skórę, ale poza raną w boku, przez którą nie mógł zeskoczyć na mur, jego żebra zdobił duży siniak tuż pod tatuażem przedstawiającym ptaka. Nie był poważnie ranny.

Wtedy to zauważyłam. Czerwoną bandanę, którą obwiązał górną część ręki. Można by pomyśleć, że służyła za opatrunek, ale wszędzie poznałabym swoją szimę.

Bez zastanowienia sięgnęłam po nią, moje palce zetknęły się z jego skórą. Pod wpływem dotyku otworzył szeroko oczy i sprawdził, co robię, jakby zapomniał, że nosi szimę przy sobie.

– Jest twoja. – Zaczął rozplątywać węzeł na wewnętrznej części przedramienia.

Przykucnęłam.

– Sądziłam, że przepadła. – Przecież to tylko głupi kawałek materiału. To nie była rebelia, to nie był Jin. To była tylko rzecz. Rzecz, o której myślałam, że nigdy jej nie odzyskam.

– Myślałem, że specjalnie ją zostawiłaś. – Nie patrzył na mnie. Nadal próbował rozsypać węzeł. Był mocno związany. Jakby za wszelką cenę nie chciał jej zgubić.

– Jak to zostawiłam? – W końcu udało mu się odwiązać szimę.

– Tego ranka, gdy zniknęłaś. – Był spięty, gdy odwiązywał czerwoną chustę ze swego ramienia. – Zniknęłaś, a ona leżała pod moim namiotem. – Musiałam ją zgubić, gdy

szarpałam się z Safiyah. Stałam wtedy przy jego namiocie. Zastanawiałam się, czy powinnam do niego wejść. – Wydawało mi się, że to jakaś wiadomość.

Skóra w miejscu, gdzie nosił szimę, była bledsza, jakby od dawna nie widziała słońca. Podał mi ją. Złapałam jeden koniec. Nasza historia zawisła między nami, tuzin maleńkich wspomnień z pierwszych dni, gdy się poznaliśmy. Kiedy wszystko było prostsze. On był Wężem ze Wschodu, a ja Niebieskooką Bandytką, i byliśmy tylko my, a nie my i cała rewolucja. Cały kraj.

Zaczęłam coś mówić o tym, jakie to głupie, że sądził, iż zostawiłam szimę, żeby coś mu przekazać. Ale przecież nie byliśmy zbyt dobrzy w mówieniu sobie różnych rzeczy.

– Pierwszy odszedłeś. – Pociągnęłam róg szimy. – Zostawiłeś mnie, kiedy byłam ranna.

– Specjalnie stanęłaś na torze lotu kuli, Amani. – Delikatnie odgarnął kosmyk z mojej twarzy, jego dłoń gładziła włosy na całej długości, aż dotarła do rany, jaką zadały nożyczki Ayet. Popatrzył na mnie, jakby ponownie próbował nauczyć się mojej twarzy. Ja nie musiałam go ponownie zapamiętywać. Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy się rozstaliśmy. Czy wyglądałam inaczej po pobycie w haremie? – Stanęłaś tam, za nic mając swoje życie.

– Tak zrobiłam – powiedziałam. – Ty też tak robisz.

– Wiem. – Jin oderwał dłonie od moich włosów, położył je na moich ramionach, splótł palce na moim karku. – Ale to nie znaczy, że mi się to podoba.

– Byłeś na mnie zły o to, że prawie umarłam? – Byłam tak blisko niego, że dzielił nas tylko oddech. Czułam się tak, jakby trzymając mnie w swoich dłoniach, chronił mnie przed rozpadnięciem się na kawałki, a żar bijący od nich sprawiał, że rozpływałam się ze szczęścia.

– Na ciebie, na Ahmeda, na siebie, na każdego. – Wreszcie

patrzył wprost na mnie. Tłące się palenisko rzucało ciepły blask, gdy kciukiem zataczał małe kręgi na moim karku. – Niezbyt dobrze sobie radzę z traceniem bliskich, Amani, i jak wiesz, mam gdzieś ten kraj. – Reszta jego ciała nawet nie drgnęła, był solidnym oparciem, tylko jego palce zanurzały się w moich włosach, przygotowując mnie o dreszcze. – Nie zależy mi na nim tak jak Ahmedowi i Shazad. Przybyłem tutaj, bo zależy mi na Ahmedzie i na Delili, a oni oboje kochają ten kraj. Zależy mi na tobie, a ty jesteś tym krajem. Sądziłem, że będę musiał żyć bez ciebie, skoro byłaś tak zdeterminowana, żeby zniknąć z tego świata. A potem gdzieś przepadłaś, a ja przekopałbym pustynię, żeby cię odszukać.

Chciałam coś powiedzieć, wytłumaczyć się. Chciałam powiedzieć, że nie musi się bać, że umrę. Ale to byłoby kłamstwo. Trwała wojna. Nikt nie był bezpieczny. Nie mogłam mu obiecać przyszłości, w której nie oberwę kolejnej kuli, i on nie mógł mi tego obiecać. Ta sama nadzieja, która pchała nas do walki, mogła nas zabić.

Nic więc nie powiedziałam, pokonałam tylko ostatnie dzielące nas centymetry.

Powiedział, że przekopałby pustynię, żeby mnie odnaleźć. W jego pocałunku dało się wyczuć całą tę desperację.

Ale na tym się nie skończyło, nigdy nie mieliśmy siebie dość. Jego dłonie zanurzyły się pod moje poszarpane pałacowe szaty, próbując znaleźć mnie pod zbyt strojnymi haftami i ciężkim khalatem. Jedna dłoń wplątała się w moje włosy, zdejmując z nich złoty diadem, który wciąż miałam na głowie. Odłożył go na bok, zdejmował ze mnie to, co kojarzyło się z pałacem, próbując mną zawładnąć.

Jakby ogarnął mnie ogień, brakowało mi tchu, gdybyśmy teraz przerwali, spłonęlibyśmy do cna. Niewiele myśląc, odjęłam swoje dłonie od jego piersi. Jednym szybkim gestem zrzuciłam z siebie porwany khalat, który dołączył do jego koszuli leżącej na podłodze. Miałam na sobie tylko cienką,

lnianą halkę.

Jego palce zacisnęły się na rąbku koszulki, podciągnął ją do góry, na mój brzuch i gładził bliznę na moim biodrze. Nagle uświadomiłam sobie, że się trzęsę. Wtuliłam się w niego, skóra przy skórze, próbując się o niego ogrzać. Jego ręce objęły mnie w talii i przyciągnęły do siebie.

Zwolniliśmy. Moje serce biło wolniej. Dziki ogień zmienił się w żar, gdy Jin trzymał mnie przy sobie. Niewiele dzieliło nas od zrobienia następnego ruchu. Moja skóra przy jego skórze, jego ręce pieszczące moje ciało, ja wtulona w niego.

Drzwi kuchni otworzyły się ze skrzypieniem, odskoczyliśmy od siebie. Do środka wpadł Sam, niosąc nieprzytomną Leylę.

– Co się stało? – Podniosłam się w sekundę. Jin opierał się o ścianę tuż za mną.

– Popełniła fatalny błąd i stawiała opór. – W drzwiach pojawiła się Hala, rozpraszając iluzję, dzięki której wyglądała jak człowiek, więc jej skóra od razu przybrała normalny, złocisty odcień. – Walczyła z nami, mówiła, że nie może zostawić brata. Okazało się, że jednak mogła. – Rzuciła okiem na moją pozłoconą skórę, z której odpadła co najmniej połowa złotego pyłu podczas ucieczki. – Cóż za żaloszny wygląd – powiedziała na powitanie. Obrzuciła wzrokiem Jina, część pyłu z mojej skóry przeszła na niego, złota smuga ciągnęła się od jego lewego ucha do ust. Jin z roztargnieniem otarł twarz. Nic to nie dało, złoto z mojej skóry znajdowało się również na jego dłoniach. Może i poczułabym się zażenowana, ale moją uwagę przyciągała nieprzytomna księżniczka i starzy przyjaciele, którzy pojawili się w tej kuchni.

– A pozostali? – zapytał Jin, rezygnując z prób doprowadzenia się do porządku.

Zanim Hala zdążyła coś powiedzieć, Jin uzyskał odpowiedź na swoje pytanie. Do środka wpadł Imin – jego szaty służącego były w strzępach. Shazad weszła do kuchni tuż za

nim. Trzymała Tamida pod ramię. Z niezadowoleniem próbował strząsnąć jej rękę, gdy popychała go przed sobą. Shazad powoli go puściła, dając mu do zrozumienia, że wcale nie musi tego robić. Wtedy jej wzrok padł na mnie i na jej twarzy pojawił się uśmiech, podeszła do mnie, żeby przywitać mnie serdecznym uściskiem. Gdy ją objęłam, poczułam, że wreszcie jestem wolna.

– A Rahim? – spytałam.

– Żyje. – Puściła mnie. – Został pojmany. Jest prawdziwym żołnierzem. Ktoś nas musiał osłaniać podczas ucieczki. A on nie chciał uciekać. – Popatrzyła na mnie. – Musimy to naprawić. – Wierzyłam jej. Ponieważ i ja wróciłam. Już nie byłam więźniarką, więc mogliśmy zrobić wszystko. Jej dłoń napięła się na moich plecach. Imin domagał się jej uwagi, więc odsunęła się ode mnie. Znalazłam się naprzeciw Tamida, który intensywnie wpatrywał się w podłogę, wspierając się na swojej sztucznej nodze.

Objęłam go bez namysłu. Czułam, jak kamień spada mi z serca.

– Dziękuję. – Przyciągnęłam go bliżej siebie.

Jednak Tamid nie oddał mi uścisku. Odsunął się.

– Nie jestem zdrajcą, Amani. Nie zrobiłem tego – jego spojrzenie padło na Jina – dla waszej rebelii. – Jedyne raz kiedy Tamid spotkał Jina miał miejsce wtedy, gdy Jin wciągał mnie na Buraqi, a ja zostawiałam Tamida wykrwawiającego się na piasku. Domyślałam się, że to szczególnie podobało się mojemu przyjacielowi z dzieciństwa.

– No dobrze. – Shazad położyła mu rękę na ramieniu, a ja przełknęłam kulę w gardle. – Chyba przez jakiś czas będziemy zmuszeni trzymać ciebie i księżniczkę pod kluczem. Chodź.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam w końcu, szczęśliwa, że mój głos brzmiał normalnie, gdy ruszyliśmy w kierunku drzwi

prowadzących do innej części domu.

– W moim domu – powiedziała Shazad. Potknęłam się o ostatni schodek. Jin mnie przytrzymał. – Mój ojciec wyjechał, a ja wysłałam mamę i brata do naszego domu na wybrzeżu. Nie chciałam narażać ich na niebezpieczeństwo.

– Kwaterujemy w domu generała Hamada? – zapytałam, mając przed oczami poważnego mężczyznę, którego widziałam w sali tronowej.

– Nie. – Ręka Jina znalazła się na dole moich pleców. – To naraziłoby nas na wytropienie. Korzystamy z niego, ale większość obozu... – Sięgał ku klamce, ale skrzywił się, gdy złapałam go za bok i otworzyłam je sama. Po drugiej stronie czekała ładna jadalnia, teraz pogrążona w ciemności. – Niedaleko stąd jest ogród – wyjaśniał Jin, prowadząc mnie dalej. – Jest połączony z domem za pomocą tunelu.

Jin przeprowadził mnie przez kolejne drzwi, jego ręka coraz ciaśniej obejmowała mnie w talii. Uświadomiłam sobie, że w zasadzie ani na chwilę mnie nie puścił, odkąd wyszliśmy z pałacu. Cały czas się obejmowaliśmy.

Tunel zaczynał się w piwnicy, za dużymi skrzyniami, na których był napis „mąka”, lecz kiedy przesunęłam jedną, gdy przeciskaliśmy się obok nich, w środku zagruchotało coś metalowego. Shazad zapaliła lampę naftową i wyszła na czoło grupy.

Nie wiedziałam, jak daleko zaszliśmy. Pewnie dwa razy tyle, ile wynosiła długość całego Dustwalk. Liczyłam kroki, ale potem zrezygnowałam. Po jakimś czasie przed nami pojawił się błysk światła. To były jeszcze jedne drzwi.

Zawahałam się. Zalały mnie dziesiątki wspomnień związanych z powrotem do domu w obozie w Dolinie Devy. Przypomniałam sobie, jak stałam przy drzwiach w ścianie klifu i czekałam aż pozwolą mi wejść, zostawić za sobą pustynny pył i wrócić do domu. Tego domu już nie było. Ten dom nie czekał na mnie po drugiej stronie tych drzwi. Nie

wpadnę do oazy, która powstała za sprawą magii i stała się bazą dla rebeliantów. Po drugiej stronie nie zastanę tych, którzy zginęli podczas naszej ucieczki. Nie wiedziałam, czego mam się spodziewać. A jednak chciałam wrócić do domu.

Zrobiłam krok przed siebie.

Było tam ciszej niż w starym obozie. Od razu to zauważyłam. I natychmiast domyśliłam się dlaczego. Potężne mury odgradzały to miejsce tak, że było widać tylko niebo, ale przecież wciąż znajdowaliśmy się w środku miasta. Ktoś mógł nas usłyszeć.

Mimo to w obozie było jasno od ognisk, wokół których uwijali się ludzie.

To nie była pustynia, lecz pamięć o pustyni była wciąż żywa. Wokół ognisk stały namioty oraz prowizoryczny arsenał, który rozstawiono przy jednym z murów. Latarnie i rozwieszane pranie przecinały połąć nieba. Wyglądało to jak nadzieja.

– Amani! – Pierwsza zauważyła mnie Delila. Biegiem pokonała dzielącą nas odległość, zarzuciła mi rękę na szyję, wyrywając mnie z uścisku Jina. – Żyjesz! Wyciągnęli cię! Co się stało z twoimi włosami? Podobają mi się takie! Wyglądasz starzej. Chciałam pójść i pomagać, ale nikt mnie nie chciał zabrać.

– Już to przerabialiśmy – powiedziała Shazad. – Jedna z was musiała zostać w obozie na wypadek, gdybyśmy musieli go ukryć. – Pokazała na Delilę i Halę, która uśmiechała się sztucznie.

– I zawsze to ja muszę zostać w odwodzie.

– Miło cię znowu widzieć, siostrzyczko – zażartował Jin, gdy mnie od niego odciągnęła. Z szaleńczym uśmiechem rzuciła się na niego. Jestem pewna, że moje powitanie było bladym cieniem tego, jakie miał Jin, gdy wreszcie wrócił.

Zjawił się Navid, chwytając w objęcia swoją Imin, nadal w zakrwawionych szatach służącego. Wszystkie te dni, które

Imin spędziła w pałacu, a on nie miał żadnych wieści o niej, musiały być dla niego bardzo trudne. Imin jednak miała rację, broda mu nie pasowała.

Po chwili przekazywano mnie sobie z rąk do rąk, przyjaciele i buntownicy, których ledwie znałam, poklepywali mnie po plecach, obejmowali, gratulowali, że udało mi się przeżyć. I uciec. Dziękowali mi za poświęcenie i za to, że tak długo wytrzymałam w haremie. Bliźniacy zmienili się w koty i ocierali się o moje nogi, potykałam się o nich co krok. Czułam się tak, jakby kawałek mnie wracał do każdej z tych osób, oddalałam się od haremu, oddalałam się od żałoby po Shirze, złości na ciotkę, od wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnich kilku miesiącach.

I nagle, jakby ktoś podniósł kurtynę, znalazłam się naprzeciw Ahmeda. Byłam pewna, że każda wątpliwość, która mnie nawiedzała w ostatnich miesiącach, jest wypisana w moich zdradzieckich oczach. Każdy raz, gdy jego ojciec szybciej podejmował jakąś decyzję. Każdy raz, gdy obawiałam się, że Sułtan miał rację, a Ahmed nie był jeszcze gotów. Każdy raz, gdy byłam tak głupia, że słuchałam mordercy i tyrana.

– Ahmedzie...

– Amani. – Położył mi rękę na ramieniu i przyciągnął do siebie, żeby mnie uściskać. Z ulgą przytuliłam się do niego. O wiele łatwiej było wierzyć w Ahmeda, kiedy miałam go na wyciągnięcie ręki. – Witaj w domu.



ROZDZIAŁ 39

Stopniowo dochodziły do nas sensacje poprzedniego wieczoru.

Wydarzenia mające miejsce podczas Auranzeb zostały poprzekręcane przez oficjeli pałacowych, zanim przekazano je ludziom w Izmanie. Sułtan ogłosił niepodległość Miraji i wyzwolenie od wpływów innych krajów. Każde państwo, które zagroziłoby bezpieczeństwu naszych granic, miało zostać za to spalone.

Obwieszczenie mówiło, że Książę Kadir zginął w walce. Umarł jak bohater, zabili go jego bracia, Książę Buntownik i Książę Rahim. Ten drugi niespodziewanie wraz z Lordem Bilalem zwrócił się przeciw swojej rodzinie.

Książę Rahim został złapany, gdy uciekał jak tchórz. Na obu zdrajcach ciąży wieczna klątwa za zabicie członka własnej rodziny. Sułtan jest w żałobie po swoim synu. Nie było żadnych wiadomości na temat egzekucji Rahima. Po tym, co stało się po egzekucji Shiry, domyślałam się, że Sułtan może nie chcieć wykonania kolejnej kary śmierci przy udziale publiczności.

Miały się odbyć kolejne próby Sultrima, które wyłonią nowego dziedzica Miraji. Sułtan powiedział mi, że ludzie nigdy nie kochali tronu bardziej, niż wtedy gdy książęta zabijali się o niego. Zamordował swojego własnego syna i teraz wykorzystywał jego śmierć do zjednania sobie ludu i przeniesienia ich sympatii z rebelii na tron.

Ale my też mogliśmy to wykorzystać. Przypomnimy miastu, że próby Sultrima już wyłoniły następcę. Księcia Ahmeda.

Pałac ogłosił, że w świetle ostatnich wydarzeń zostanie wprowadzona nowa godzina policyjna. Armia Sułtana

i Abdalsy będą patrolowali ulice. Nie należy z nimi wchodzić w dyskusje ani przeciwstawiać się ich decyzjom. Każdy, kto znajdzie się na ulicy pomiędzy zachodem a wschodem słońca, zostanie ścięty. Ze względów bezpieczeństwa, jak wyjaśniał pałac. W końcu tylko mroczne zamiary należą do mrocznych godzin nocnych. Nie mówili wprost, że to posunięcie miało na celu udaremnienie działań rebelii, jednak wszyscy wiedzieliśmy, jaki był sens ich słów.

I rzeczywiście osiągnęli swój cel.

Dziwnie było słuchać o tym, będąc na zewnątrz po tak długim czasie spędzonym wewnątrz. Znowu działaliśmy na ślepo, choć akurat w tym momencie nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Zapadła decyzja, żeby Imin znów wróciła do pałacu i była naszymi oczami.

– Nie ma innego sposobu? – Przecierałam oczy ze zmęczenia, ponieważ zostałam ze wszystkimi, żeby to omówić. Znajdowaliśmy się w gabinecie ojca Shazad. Został urządzony jak pokój narad. Niewiele musieliśmy w nim zmieniać. Było w tym coś pokrzepiającego, chociaż trudno było o miejsce bardziej odległe od pawilonu Ahmeda w obozie rebeliantów. Na ścianach wisiały mapy i notatki. Mapa Izmanu, którą ukradłam z biurka Sułtana tej nocy, gdy razem jedliśmy kolację, wisiała pośrodku. Rozpoznałam wiele innych informacji, które przemyślałam z pałacu.

Niektóre z nich dostawałam od Rahima.

Ja uciekłam, lecz on nadal był za murami. Musieliśmy wiedzieć, co się z nim działo. Wobec tego miałam poczucie winy, gdy wygłosiłam swój sprzeciw.

– Nie jestem pewna, czy posyłanie kolejnego Półdzina do Sułtana jest słuszne. – Rahim był moim sprzymierzeńcem, ale nikt nie znał lepiej ode mnie ryzyka, z jakim wiązała się przypadkowa dekonspiracja Imin.

Navid przyjął mój sprzeciw z ulgą. Siedział w dużym fotelu stojącym w kącie, obejmował Imin ramionami. Przybrała

postać kobiecą, była drobniutka i z łatwością mieściła się w ramionach męża, pasowała do niego tak, jakby stanowiła brakującą część, którą właśnie odnalazł. Siedziała na podwiniętych nogach i z zamkniętymi oczami opierała się o jego pierś. Była wykończona, ale nie spała. Poprzednia noc odcisnęła się na nas wszystkich. Hala naprawdę spała w kącie. Jin siedział na biurku ojca Shazad, zadarłszy koszulę, bo Shazad chciała zobaczyć jego ranę.

– Trzeba się nią dobrze zająć – powiedziała Jinowi. – Ale nie tutaj, bo upaprzesz krwią cały gabinet taty. Poszukaj Hadjary. – Straciliśmy naszego Świętego Ojca podczas ucieczki z Doliny Devy. Dopóki nie znajdziemy kogoś na jego miejsce, Hadjara będzie zajmowała się szyciem.

– Jeśli mnie nie potrzebujecie... – powiedział Jin, zeskakując z biurka.

– Jakoś radziłeś sobie bez ciebie, bracie – skwitował Ahmed. To był cios poniżej pasa.

Shazad i ja wymieniliśmy spojrzenia. To nowe napięcie pomiędzy Ahmedem i Jinem nie służyło niczemu dobremu.

Jednak Jin nic nie powiedział. Gdy przechodził obok mnie, zmierzając ku drzwiom, jego palce musnęły moją dłoń, jakby chciał mnie złapać za rękę.

– Nie zgłaszaj się na ochotnika do niczego szalonego, gdy mnie nie będzie.

– O ile mi wiadomo, nie mamy zbyt wielu opcji – powiedziała Imin, gdy za Jinem zamknęły się drzwi. – Chyba że ujawni się ktoś inny, kto posiada umiejętność zmieniania kształtów, żebym mogła zrobić sobie przerwę. Jest tu ktoś taki? Nie? Nie sądzę, żeby był.

– Zgłosiłbym się, ale wydaje mi się, że w obecnej sytuacji obcokrajowcy nie są mile widziani w pałacu – powiedział Sam. Przyglądał się Shazad. – I niestety nie jestem w stanie udawać pięknej kobiety w haremie. Amani może coś o tym powiedzieć.

– To prawda – przyznałam. – Nie ma odpowiedniego dekoltu, na którym opinałby się khalat. – Shazad zachnęła się.

– Ktoś musi iść – powiedziała Imin, wyplątując się z objęć męża i z łatwością zmieniając z żony w buntownika. – Jeśli mnie złapią, zawsze mogę zażyć truciznę, zanim zrobią mi to, co zrobili Amani. – Nie miałam pewności, czy to żart.

Udało nam się przespać kilka godzin w ciągu dnia, kiedy uznaliśmy, że pałac skończył z karmieniem ludzi kłamstwami, a zamieszanie poprzedniej nocy już ustało. Znajdowaliśmy się w domu Shazad, co oznaczało, że miała tam własne pokoje. To była chwila, kiedy naprawdę dotarło do mnie, że nasz stary dom już nie istnieje. Nie było naszego namiotu. Zniknęła niewielka przestrzeń, którą dzieliłyśmy przez pół roku, którą znałam tak dobrze jak swoje posłanie w Dustwalk.

W zasadzie mogłam odszukać swój namiot. Gdybym chciała. Zacząć zadomawiać się w tym nowym obozie. Zamiast tego odnalazłam Jina. Drzemał w cieniu drzewka pomarańczowego z rozłożystymi, zwieszającymi się gałęziami. Zadarła mu się koszula, więc widziałam ranę zszytą przez Hadjarę. Obudził się, gdy wyciągnęłam się obok niego, lecz rozluźnił się, gdy dotarło do niego, że to ja. Wiedziałałam, że mi się przygląda. Od tych kilku miesięcy, które minęły pomiędzy Fahali a kulą, która trafiła mnie w bok, udało nam się spędzić dość dużo czasu razem, ale nigdy nie spaliśmy koło siebie. Lekko się przesunął, żeby położyć się na boku przodem do mnie, ja podłożyłam sobie rękę pod głowę. Trawa była nadal chłodna po nocy. Leżałam znowu na ziemi, lecz miałam wrażenie, że odpocznę tu lepiej niż na stu poduszkach w haremie.

– Nie zabrałem się jeszcze za rozstawianie nowego namiotu. – Położył dłoń na moich plecach. – Niedawno wróciłem z podróży, podczas której ścigałem pewną

dziewczyinę.

– Następnym razem musisz bardziej się postarać – powiedziałam i zamknęłam oczy, opierając o niego głowę.

– Liczę na to. – Umościł się obok mnie. To było ostatnie, co usłyszałam, zanim usnęłam.

Shazad obudziła nas po południu; miała wilgotne włosy związane w kok, jakby dopiero wyszła z kąpieli. Zastanawiałam się, czy miała choć chwilę na odpoczynek od czasu Auranzeb. Powiedziała nam, że Leyla się wreszcie ocknęła.

Shazad spełniła swoją groźbę i zamknęła Tamida i Leylę w dwóch pustych pokojach w domu, skula ich do czasu aż będziemy mieli pewność, że nie będą próbowali uciec. Usiłowałam spotkać się z Tamidem w pokoju przylegającym do komnaty przeznaczonej dla Leyli, ale udawał, że śpi, co było dla mnie wyraźnym sygnałem.

Leyla wyglądała jak zaszczute zwierzątko – podciągnęła kolana pod brodę, tylko na chwilę zatrzymała na mnie wzrok, potem popatrzyła na Jina, Ahmeda i Shazad, jakby chciała widzieć nas wszystkich naraz.

Nie. Nie jak zaszczute zwierzątko. Patrzyła tak, jakbyśmy to my byli zwierzętami. Takimi, które za chwilę rozerwą ją na strzępy. Przypomniałam sobie dzień, kiedy ją poznałam w menażerii. Konstruowała małego, mechanicznego słonia, a mnie okrążyły żony Kadira. Tym razem było inaczej. Przynajmniej ja tak sądziłam.

– Dobrze – zagaił Ahmed, siadając na końcu łóżka. Podciągnęła nogi jeszcze wyżej. – Zbudowałam dla mojego ojca armię łączącą cechy maszyn i magię.

– Nie... – Leyla zawsze miała głos dziewczynki, ale teraz mówiła prawie jak dorosła kobieta. – Nie róbcie mi krzywdy, proszę. Nie miałam wyboru, musiałam mu pomagać.

– Nikt cię nie skrzywdzi – powiedział łagodnie Ahmed, w tym samym momencie Shazad prychnęła.

– Każdy ma wybór – powiedziała, kiedy Leyla spojrzała na nią wielkimi, wystraszonymi oczami.

Kopnęłam Shazad w kostkę. Mocno. Ostatnie, czego nam było potrzeba, to wystraszyć Leylę tak bardzo, żeby przestała mówić. Spojrzała na mnie ze złością.

– Miałam taki wybór: albo pomogę ojcu, albo będę patrzyła na śmierć brata. – Leyla ukryła twarz w dłoniach. – Co byś zrobiła na moim miejscu? – Zaczęła płakać. Nagle jej ciałem wstrząsnął potężny szloch.

– Twój ojciec groził Rahimowi? – zapytałam, zamiast poczekać na odpowiedź Shazad. – Powiedział ci, że go skrzywdzi, jeśli mu nie pomożesz? – Rahim martwił się, że Leyli grozi niebezpieczeństwo w haremie, lecz wyglądało na to, że to on był zagrożony.

– Rahim nie wiedział. Nigdy się nie dowiedział, co się stało z naszą mamą. – Leyla wytarła w rękaw nos, choć miała ograniczone ruchy przez skute ręce. – Przez te wszystkie lata. Powiedziała ojcu, że może zbudować dla niego maszynę, która da moc całemu Miraji. Która może zmienić świat. – Jej matka była córką inżyniera z Gamaniksu. Kraju, w którym łączono magię z maszynami. – I zrobiła ją. Jednak musiała czerpać energię z jakiegoś źródła, więc maszyna pobierała ją od niej. – Leyla ze złością otarła łzy zbierające się w jej oczach. – A potem pobierała ją od innych ludzi, którzy przyszli po niej.

– Na przykład Sayida. – I Ayet. – A także Mouhna i Uzma. Dziewczyny, które zniknęły z haremu i nie został po nich nawet ślad. To jest to miejsce, gdzie zniknęły dziewczęta przez cały czas.

– To były testy. Można wziąć... – Leyla zamknęła oczy. – Święte Księgi mówią, że śmiertelnicy powstałi dzięki iskrze ognia Dżinów. Maszyna może pobrać tę iskry i ożywić coś innego. Mój ojciec doszedł do wniosku, że skoro można to zrobić ze śmiertelnikami, to może spróbować tego

z nieśmiertelnymi? – Leyla wyglądała na zrozpaczoną.

– Możecie więc stworzyć armię, która nie polegnie nawet pod gradem kul? – wtrąciła się Shazad, rozumiejąc wreszcie, z czym mieliśmy do czynienia poprzedniej nocy. Cała nasza czwórka pojęła znaczenie tego wyznania. – Armie, która nie męczy się ani nie je. Która może stanąć naprzeciw wrogów Miraji.

– Włącznie z nami – powiedziałam posępnie. – Jak to działa?

Leyla wzruszyła ramionami, wyglądała żałośnie.

– W ten sam sposób, co magia. Słowa, słowa, słowa.

– Jak można ich powstrzymać? – warknęła Shazad, zanim Leyla znowu zaczęła się nad sobą użalać.

– To prawie niemożliwe. – Leyla pokręciła głową, łzy napływały jej do oczu. – Trzeba zniszczyć źródło mocy i...

– Machineę – dokończył Jin. Zrobił krok w przód, Leyla aż podskoczyła ze strachu. Położyłam rękę na jego ramieniu, żeby go zatrzymać. W zasadzie płynęła w nim ta sama krew, co w Leyli, ale dla niej był wytatuowanym nieznajomym.

– Jak to zrobić? – zapytała Shazad. – Mamy dość prochu, żeby ją wysadzić, jeśli uda nam się...

– Nie! – zaproponowała Leyla, wyglądała na spanikowaną. – Zniszczycie całe miasto! – Jak w opowieści o Akimie i jego żonie. Ogień Dżina poza kontrolą. – Dżin musi zostać uwolniony, ale nie puszczony wolno. Trzeba uwolnić energię. – Leyla spojrzała wprost na mnie. – Amani go wezwała. Tylko ona może go uwolnić.

Wszyscy popatrzyli na mnie. Gdybym wiedziała, że skupię na sobie uwagę wszystkich, uczesałabym się.



ROZDZIAŁ 40

– Nie będę kłamał. – Ahmed rozejrzał się po kuchni wypełnionej buntownikami. – To będzie wyzwanie. – Na morale dobrze wpływał fakt, że Ahmed nie był Półdżinem. Gdyby nie mógł kłamać, na pewno nie użyłby słowa „wyzwanie”, lecz powiedziałby na przykład „katastrofa”.

W kuchni Shazad zmieściły się jakieś dwa tuziny ludzi, opieraliśmy się o kolorowe kafelki, które zdobiły ściany, a nasze głowy objęły się o garnki zwisające z sufitu. Shazad stała obok Ahmeda, po jego prawej stronie, tak jak zawsze. Jin opierał się o piec; jeśli nie wiedziało się, że jest ranny, trudno było się domyślić, że wspiera się dla utrzymania równowagi. Sam schował się na końcu, bezmyślnie pozwalając, żeby jego ręka co rusz przenikała przez ścianę.

Ja trzymałam w dłoniach kubek mocnej kawy. Spałam niespokojnie przez kilka godzin, ale nie byłam wyspana. Brakowało mi niektórych twarzy, które powinny się tu znaleźć, ludzi, którzy zginęli podczas ucieczki z doliny. Były też nowe, nieznane mi twarze. Mimo to, nawet w tych dziwnych okolicznościach, czułam się jakbyśmy znowu byli w pawilonie Ahmeda w naszym obozie. Straciliśmy tamten dom, ale wciąż walczyliśmy o nowy.

Zasłony w kuchni miały kolor czerwony, zostały zaciągnięte, by osłonić nas przed spojrzeciami ludzi z ulicy. Rzuciły krwawy odcień świtu.

Nowy świt. Nowa pustynia.

– Jesteśmy w mniejszości – powiedział Ahmed – na gorszej pozycji i mamy mniej uzbrojenia.

Jin spojrzał mi w oczy przez całą długość kuchni, uniósł jedną brew, jakby chciał powiedzieć: *niezbyt motywująca*

gadka. Zaśmiałam się pod nosem.

– I mniej Półdżinów, sądząc po tym, co stało się podczas Auranzeb – powiedział ktoś z tyłu. Wśród zgromadzonych dało się usłyszeć pomruki akceptacji. Plotki o Abdalsach i ich dziwnych mocach rozeszły się zatrważająco szybko. Shazad powiedziała, że można już było odczuć niezadowolenie ludzi na ulicach, co mogliśmy wykorzystać dla własnych celów.

– Tak, dziękuję, Yasirze. A to dopiero początek. – Shazad gładko przejęła pałeczkę. Ahmed przekazał jej głos. Wyobraziłam sobie Shazad siedzącą obok Ahmeda na tronie. Jako jego Sułtanę, a także generała, z głową pochyloną nad jakimś problemem i złotą koroną osuwającą się na oczy. Pasowałyby jej. – Mamy trzy problemy, które należy jak najszybciej rozwiązać i dzięki naszej prawdziwej Niebieskookiej Bandytce, która niedawno do nas wróciła... Bez obrazy – rzuciła przez ramię do Sama – możemy im jakoś zaradzić.

– Chociaż to ona przyczyniła się do powstania jednego z nich – mruknęła Hala.

Zignorowałam ją. Gdy wyszłam na przód, czułam na sobie wiele par oczu. Co prawda wróciłam niedawno, ale już zauważyłam pewną zmianę. Nie byłam tylko Niebieskooką Bandytką, byłam dziewczyną, której udało się ujść żywcem z pałacu, mimo bezpośredniego starcia z Sułtanem.

– Pierwszy problem jest taki, że potrzebujemy armii, prawdziwej armii, która może stanąć przeciw Sułtanowi. Jeśli zawiążemy sojusz z Lordem Bilalem, wtedy będziemy mieć wojsko. Umówiliśmy się z nim na spotkanie za kilka godzin. Zanim się ściemni. Miejmy nadzieję, że po jego zakończeniu będziemy mieć armię.

– Zakładając, że jeszcze nie uciekł z miasta – dodała Hala.

– Czyżbyś od mojego zniknięcia stała się jeszcze większą pesymistką? – zapytałam. – A może po prostu już

zapomniałam, jaka jesteś upierdliwa?

– Chyba znasz to powiedzenie „co z oczu, to z serca” – Hala uśmiechnęła się sztucznie. – Czyż nie zostałam pojmana przez zbyt ni optyzm?

– Proponuję, żebyście sobie przypomniły, ile znam sposobów na zabicie każdej z was, jeśli się zaraz nie zamkniecie – wtrąciła się Shazad, zanim nasza pyskówka przerodziła się w bójkę. Ktoś się zaśmiał, rozluźniając napiętą atmosferę.

– Nasz drugi problem – powiedział Ahmed, chcąc znowu naprowadzić rozmowę na właściwe tory – polega na tym, że nawet jeśli będziemy mieć armię, możemy walczyć tylko z inną armią złożoną z żołnierzy z krwi i kości. A nie z taką, która składa się z maszyn i magii. Dlatego musimy sprawić, by Amani dotarła do tej maszyny.

– A teraz będzie ściśle strzeżona. Nie ma szans, żebyśmy dostali się w jej pobliże – powiedziała Shazad. – Chyba że najpierw odciągniemy od niej Sułtana i całą jego armię. Co, jak się okazuje, potwierdza, że wojny są dla nas dobrym narzędziem.

Wszyscy gapili się na Shazad.

– Proponujesz wszczęcie wojny po to, żeby Amani dostała się do pałacu? – zapytał ktoś z tylnego rzędu.

– Nie – odparła Shazad. – I tak musimy wszcząć wojnę. Proponuję, żebyśmy wykorzystali wojnę do tego, by zwiększyć swoje szanse na zwycięstwo poprzez danie Amani szansy na wślizgnięcie się do pałacu.

– Co prowadzi nas do ostatniego problemu – wtrącił się Ahmed. – Polega on na tym, że obecnie Amani jest... ubezwłasnowolniona. – To uspokoiło zebranych. Podświadomie potarłam miejsce na ramieniu, gdzie wyczuwałam jeden z kawałków żelaza zaszytych pod skórą. Jakbym dotykała ruszającego się zęba. Zmuszał mnie do tego instynkt, tik nerwowy, pragnęłam poczuć ukłucie bólu,

gdy go naciskałam, żeby przypomnieć sobie, że to nie jest część mnie. Docierało do mnie wtedy, że byłam bezużyteczna, mając ciało naszpikowane żelazem.

– Gdzie możemy znaleźć godnego zaufania Świętego Ojca?
– zapytała Shazad, opierając ręce na stole. – Kogoś, kto rozkroi Amani? – Wiedziałam, ile ją kosztowały te słowa. Po śmierci Bahiego chyba nigdy nie słyszałam, żeby Shazad tak otwarcie mówiła o Świętym Ojcu. Nawet wtedy, gdy zostałam postrzelona w brzuch. Tylko że wtedy przez większość czasu byłam nieprzytomna.

– Zapomniałaś, ile razy już o to pytałaś? – powiedział Sam. Był wkurzony. – Prawie wszyscy Święci Ojcowie siedzą w kieszeni waszego Sułtana. Wydadzą was w mgnieniu oka i tyle będzie z ich pomocy.

– Może zaryzykujemy? – Potarłam palcem skórę na przedramieniu, martwiąc się zaszytym tam kawałkiem metalu. Miałam ochotę po prostu go wydrapać.

– Nie – powiedział bez wahania Jin. Odezwał się po raz pierwszy. Wszystkie głowy skierowały się w jego stronę. Jin nieczęsto zabierał głos na naradach wojennych, chyba że miał coś ważnego do powiedzenia. Co oznaczało, że ludzie go słuchali. Jednak teraz wśród buntowników zapanował niepokój. Przeze mnie zniknął. Opuścił rebelię. – Nie będziemy tobą ryzykować.

– Wobec tego, albo kogoś znajdziemy – skwitowałam – albo będę musiała wejść do pałacu, nie mając nic do obrony.

– Witamy z powrotem wśród ludzi – powiedziała Shazad. – Damy ci broń.

≈≈≈

– Sam. – Złapałam go, gdy kuchnia się wyludniła, obierającego pomarańczę, którą wyjął z jednego z koszy

wiszących u sufitu. – Potrzebuję twojej pomocy. – Zamilkłam, gdy obok nas przeszła Shazad, każąc komuś przyjść do składu broni. Sam uniósł brew.

– A nie może ci w tym pomóc twój generał?

Wciągnęłam go do kąta z dala od wejścia.

– Chyba znam kogoś, kto mógłby wyjąć żelazo spod mojej skóry – mówiłam cicho. – Nie Świętego Ojca. Kobietę. Moją ciotkę.

Sam znieruchomiał z częstką pomarańczy w połowie drogi do ust.

– Tę kobietę, która cię uśpiła i porwała, a następnie sprzedała do haremu? Tak, wydaje się godna zaufania.

– Proszę, Sam, potrzebuję pomocy. Przez wiele miesięcy wchodziłeś i wychodziłeś z pałacu, gdy tylko chciałeś. Nie masz pojęcia, jak to jest być tam i nie móc odejść ani się bronić. – Podciągnęłam koszulę, pokazując mu bliznę na biodrze, tę samą, którą pokazałam mu podczas naszego pierwszego spotkania. – To się stało, gdy miałam moc. Jeśli będę musiała, wejdę bez niej do pałacu, ale wtedy o wiele bardziej będę narażona na zabicie. Sam o tym wiesz. Ale zrobiłabym niemal wszystko, żeby tak nie było. To co, pomożesz mi?

Sam zastanawiał się, odrywając kolejną częstkę pomarańczy.

– Ile?

– Ile czego?

– Ile mi zapłacisz za znalezienie tej twojej godnej zaufania cioteczki?

Opadły mi ręce.

– Serio? Po tym wszystkim chcesz, żebym udawała, że robisz to dla pieniędzy?

– A po co miałbym to robić? – zapytał. – Jestem bandytą, nie pamiętasz?

– Bo chcesz być kimś więcej niż bandytą – powiedziałam

w końcu. Zgadywałam. Blefowałam. Ale skoro powiedziałam to z taką łatwością, miałam pewność, że się nie myliłam. Widziałam, jak Sam przechodził przez ściany, odnosząc rany dla rebelii. Dla rebelii brał udział w Auranzeb, zdradzając rodaków. Już nie robił tego dla pieniędzy. – To dlatego nadal tu jesteś.

– To byłby okropnie głupi powód. – Sam podrapał się po brwi. Milczałam. – Zobaczę, co da się zrobić.



ROZDZIAŁ 41

Okazało się, że Tajny Dom wcale nie był taki tajny. To była łaźnia stojąca na przecięciu dwóch krętych ulic w centrum Izmanu, wzdłuż których ciągnęły się kolorowe markizy. Dla mnie wyglądała identycznie jak każda inna ulica, którą mijaliśmy w drodze na umówione spotkanie. Miasto było niekończącym się labiryntem i gdyby Ahmed mną nie sterował, trzymając za łokieć, zgubiłabym się w zaułkach szybciej niż na pustyni.

Gdy podeszliśmy bliżej, poczuliśmy zapach pary przesyconej zapachem kwiatów i przypraw, która wydobywała się przez okna, wsuwała swoje palce w moje włosy i drażniła wspomnieniem o haremie. Ahmed szturchnął mnie, pokazując coś na górze. Gdy zadarłam głowę, nazwa domu zyskała sens. Wszystkie budynki w tej części Izmanu miały trzy kondygnacje. Tajny Dom był o dwa piętra wyższy niż pozostałe. Ponadto, z jego dachu spływały bluszcze i pustynne kwiaty, kryjąc go przed ciekawskimi spojrzeniami.

Shazad wybrała to miejsce na spotkanie z Lordem Bilalem. Najpierw jednak zaproponowała mu inne miejsce. I spotkanie bez straży i broni. Miała się z nim tam zobaczyć i przyprowadzić go tutaj. Zachowywaliśmy środki ostrożności. On również musiał nam zaufać.

Jin szedł pierwszy, żeby sprawdzić, czy nie rozstawiono żadnych żołnierzy ani zasadzek. Ahmed i ja szliśmy za nim, wyglądaliśmy jak zwykła para spacerująca po ulicach Izmanu, a nie jak księżę i jego ochroniarz z pistoletem schowanym w fałdach khalatu. Dotarliśmy do wyznaczonego budynku bez żadnych przeszkód.

Ahmed pchnął drzwi i wszedł do środka. Dziewczyna siedząca przy biurku podniosła głowę.

– Czyż to nie nasz Książę Buntownik? – Zamknęła księgę i popatrzyła na mnie. – Możesz zdjąć palec ze spustu, jesteście tu bezpieczni. – Nawet nie wiedziałam, że chwyciłam za broń. Zdjęłam palec ze spustu, ale nie wsadziłam rewolweru do kabury. – Twój brat jest na dachu – powiedziała dziewczyna.

– Co to za miejsce? – zapytałam, gdy zaczęliśmy wchodzić po schodach.

– To azyl. – Ahmed odsunął się na bok, puszczając mnie pierwszą. Nie wiedziałam, czy zrobił to przez grzeczność, czy tak właśnie powinnam się zachowywać jako jego ochroniarz. – Nie nasz. Sary. – Gestem głowy wskazał dziewczynę przy biurku. – Wyszła za mąż w wieku szesnastu lat. Owdowiała, mając siedemnaście. Nikt nie wie, jak umarł jej mąż, ponieważ nie udało się udowodnić, że od trucizny, ale zostawił ją ze złamanym nosem i mnóstwem pieniędzy. – Bezwiednie pomyślałam o Ayet. Gdyby trafiła tutaj zamiast do pałacu, może nie byłybyśmy dla siebie wrogami. Mogłaby zostać jedną z nas. Albo mogłaby dostać kulkę, walcząc dla rebelii i umrzeć na miejscu. – Za odziedziczone pieniądze stworzyła to miejsce. Jest przeznaczone dla kobiet, które nie chcą być ze swoimi mężami. Z jakiegokolwiek powodu. Są tu bezpieczne. Sayida stąd przyszła. Znaleźliśmy tu również Halę.

– Hala jest mężatką? – Potknęłam się na stopniu.

– A jak sądzisz, kto jej odciął palce? – Ahmed podtrzymał mnie. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Strąciłam jego rękę. – Więc jak to możliwe, że wystrój jest tu bardziej krzykliwy niż w burdelu podczas Shihabian? – zapytałam.

Ahmed roześmiał się. Zaskoczył mnie tym. Miał ładny śmiech, już o tym zapomniałam. Nie słyszałam go od tak

dawna.

– Sara ma taką teorię, że jeśli ludzie sądzą, że wiedzą, czego się po tobie spodziewać, nie ryją głębiej, więc nie ryzykujesz, że odkryją prawdę. Każdy myśli, że wie, co o nas sądzić, skoro jest to dom pełen kobiet, mężczyźni wchodzą do niego i wychodzą każdego dnia, a od czasu do czasu pojawia się dziecko. – Sara. Teraz przypomniałam sobie, dlaczego jej imię wydało mi się znajome. Stojąc na górze wznoszącej się na pustyni, dzień przed śmiercią Bahiego, Shazad drażniła się z nim, że ma dziecko z kobietą o imieniu Sara. – Lubi powtarzać, że właśnie dołożyła poduszki. Fadi tutaj trafił. Będzie bezpieczny.

Pokonaliśmy cztery kondygnacje, zanim weszliśmy na dach. Jin już na nas czekał pod baldachimem zieleni. Rozluźnił się, gdy nas zobaczył.

– Żadnych problemów po drodze?

– W porządku – powiedziałam. – Tutaj nic? – Pokręcił głową.

Zapadła pełna napięcia cisza, gdy czekaliśmy na Shazad. Mieliśmy się tu zjawić pół godziny przed nią. Czekaliśmy już prawie godzinę, zaczęła mnie ogarniać panika, zastanawiałam się, co się jej stało, gdy wyłoniła się na szczycie schodów z Bilalem w kapturze i z zasłoniętymi oczami.

Przekazaliśmy mu, że ma się spotkać z Shazad bez broni i sam. Ustaliliśmy bardzo wyśrubowane zasady spotkania, spodziewając się, że będzie chciał je negocjować. Shazad powiedziała jednak, że nawet nie drgnęła mu powieka. Zgodził się przyjść do nas zupełnie bezbronny. To właśnie kazało nam podejrzewać, że chodzi o pułapkę. Gdy Shazad zdejmowała mu kaptur i odsłaniała oczy, bez przerwy uważnie obserwowała niebo nad nami.

– Nie martw się – powiedział Bilal rozwlekłym tonem. – Nie chowam niczego w rękawach. Możesz zapytać któregoś

z waszych Półdżinów, jeśli mi nie wierzysz.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Od razu domyślił się, kim jestem.

– Mówi prawdę – powiedziałam. Wiedziałam, o czym myśli Shazad. Zastanawiała się, co jest nie tak z mężczyzną, który aż tak nie dba o swoje życie.

– Dobrze. – Bilal wsadził ręce do kieszeni. Był ubrany w brzydką fioletowo-złotą kurtę, zbyt luźną dla niego i marszczącą się na ramionach. Dobrze się wpasował w kiczowatość Tajnego Domu. – Więc to ty jesteś tym sławnym Księciem Buntownikiem. – Bilal mierzył Ahmeda wzrokiem. – Sądziłem, że jesteś wyższy.

– Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co słyszysz – odparł Ahmed.

– Słyszałem też, że jesteś w stanie obalić swojego ojca – ciągnął Bilal. – Z pewną pomocą mojej armii.

– W to akurat powinieneś wierzyć.

– Dobrze – powiedział Bilal. – Chcę zakończyć tę paradę najeźdźców. Jest męcząca. Jeśli moja armia może obalić twojego ojca, oddam ci ją do dyspozycji. Nigdy za bardzo nie fascynowało mnie dowodzenie. To była zawsze mocna strona Rahima. Był dla mojego ojca jak drugi syn. Będę jednak chciał czegoś w zamian.

– Kiedy zostanę Sułtanem – Ahmed był przygotowany – uczynię Iliaz niepodległym miastem. Możesz być władcą swojego królestwa, jeśli tylko przysięgniesz wierność tronowi Miraji.

– Och, nie zależy mi na tym. – Bilal pokręcił głową. – To był tylko pretekst, żeby dać twojemu ładnemu generałowi coś, co uzna za istotne, żeby doprowadziła mnie do ciebie. Gdybym jej powiedział, że jestem całkowicie zdecydowany, od razu odrzuciłaby moją ofertę w twoim imieniu. Kobiety są takie nierozsądne.

– To na czym ci zależy? – zapytał Ahmed. Uważał na słowa.

Nie powiedział: „wymień, czego chcesz”. Chociaż wiedzieliśmy jak bardzo jest zdesperowany.

– Możesz zachować swoje królestwo, każdą jego część – powiedział Bilal. – W zamian za armię chcę jedynie jedną z twoich Półdzinek za żonę.

Cisza, która zapadła, była niemal namacalna. To była cisza, jaka zapada po wstrząsie, którego doznali wszyscy na dachu. To była cisza, której Ahmed nie przerwał natychmiastową odmową.

– Półdziny nie są moje, żebym mógł ci je oddawać – powiedział w końcu Ahmed, starannie dobierając słowa. – Iliaz natomiast...

– Nie interesuje mnie bycie królem w moim kraju. – Bilal machnął ręką. – Niepodległe Iliaz było marzeniem mojego ojca. Był ambitnym człowiekiem. Wielkim człowiekiem. A ja jestem człowiekiem umierającym. Święci Ojcowie mówią, że mam chorobę we krwi. Zostało mi kilka lat życia. Jeśli będę miał szczęście.

Teraz to zauważyłam: w tych za luźnych ubraniach, w bladości jego skóry, w jego postawie, jakby zawsze był zmęczony. To nie była arogancja, tylko choroba.

– Nawet jeśli rzeczywiście wygrasz tę wojnę i dasz mi królestwo, to jak długo nim porządę? Rok, dwa?

– Więc do czego zmierzasz? – Nie mogłam dłużej trzymać języka za zębami. Nie kiedy jedna z nas była przedmiotem negocjacji. – Jeśli po prostu chcesz żony, która da ci syna przed śmiercią, to na pewno znajdziesz sobie jakąś, która nie jest Półdzinem.

Bilal uśmiechnął się żałośnie.

– Wszyscy powtarzają, że Półdziny mają moc uzdrawiania. Dlatego na czarnym rynku można kupić kawałki włosów lub wysuszoną skórę. Albo niebieskie oczy, żeby się leczyć. – Omiótł nas wzrokiem. – Ale to jest złagodzona wersja tej historii. Niektórzy mówią, że prawdziwa moc uzdrawiania

bierze się z pozbawienia życia Półdzina. – Przypomniał mi się Mahdi trzymający nóż przy gardle Delili, który próbował ją zaciągnąć do Sayidy, żeby ratować jej życie. Mówił, że Delila umrze, żeby Sayida mogła żyć. – To wzięło się z błędnego tłumaczenia z języka staromirajińskiego. – Bilal popatrzył na nas. – Prawdziwy sens tego zdania można przetłumaczyć tak, że żyje ten, kto posiada życie Półdzina, a nie ten, kto mu je odbiera. Kto *dostanie* życie Półdzina. Na pewno znacie opowieść o Hawie i Attallahu.

Hawa i Attallah złożyli sobie przysięgę.

Opowieści mówiły, że ich miłość była tak wielka, że chroniła Attallaha podczas bitwy. Ale jeśli ona była Półdzinem...

Przysięga ślubna. Ta myśl podziałała na mnie tak, jakbym dostała pięścią w brzuch.

Oddaję siebie tobie. Wszystko, czym jestem, oddaję tobie i wszystko, co mam, jest twoje.

Aż do dnia mojej śmierci.

Te słowa dla wszystkich były tylko rytuałem. Ale w ustach Półdzina były prawdą.

To tak narodziła się legenda – Hawa utrzymywała Attallaha przy życiu za pomocą słów. Jak długo patrzyła na niego z murów, jej życie związane było z jego życiem, więc nie umierał. Kiedy ona umarła, jego również dosięgła śmierć. Nie umarł z rozpaczy. Umarł przez prawdę Półdzina.

Gdy to zrozumieliśmy, zapadła martwa cisza.

– Daj mi jedną ze swoich Półdzinek – powiedział Bilal, jego wzrok padł na mnie. – Będę dobrze ją traktował. Nie skrzywdzę jej. Chociaż będę oczekiwał, że spełni wszystkie małżeńskie obowiązki. – Zauważyłam, że Jin zaciska zęby. – Spłodzę z nią tylko jednego syna. A w zamian uhonoruję ją tym, że nie wezmę żadnej innej żony. Chcę dożyć wieku, kiedy moje włosy pokryje siwizna i zobaczę swoje wnuki. Dam wam w zamian armię i kraj. Jedna dziewczyna

w zamian za tron.

Począł, by dotarła do nas waga jego deklaracji.

– Wiem, że musicie się nad tym zastanowić. Rano wyjeżdżam do Iliaz. Jeśli chcecie moją armię, znajdźcie mnie tam, przywożąc żonę. Jeśli nie... – Wzruszył ramionami. – Będę ze swojej fortecy patrzył, jak razem z buntownikami giniecie w płomieniach nowej broni twojego ojca i umrę we własnym łóżku na długo przed zakończeniem wojny, a moje miejsce zajmie Sułtan. Jeśli nienawidzicie mnie za to, możemy policzyć się po śmierci.



ROZDZIAŁ 42

Bardzo brakowało mi pustynnych nocy. Shira miała rację, mówiąc, że w Izmanie nie widać gwiazd. Miasto pogrążyło się w gwarze i świetle, było w nim zbyt jasno, żeby rozpoznać konstelacje zmarłych.

Wiedziałam jednak, że nie tęsknię tylko za gwiazdami. Wszystko się zmieniło. Nie byliśmy już tylko rodzącą się na pustyni rebelią. Tęskniłam za prostotą i pewnością, że to, co robimy, jest właściwe. Że jest tego warte. Szykowaliśmy się do wojny. A wojna wymagała ofiar. Odczuwałam wszechobecny niepokój w obozie.

– Można z tego łatwo wybrnąć. – Kiedy Jin mówił, a ja trzymałam głowę na jego piersi, najpierw czułam wibracje w kościach, dopiero potem docierały do mnie słowa. Od dawna było ciemno i oboje byliśmy na wpół śpiący.

Ze spotkania z Bilalem wracaliśmy długo i w milczeniu. Nawet Shazad nie miała nic do powiedzenia. Ahmed i Jin szli przede mną, pogrążeni w nerwowej dyskusji. Rozpracowywali to samo, co każdy z nas. Hala i Imin już były mężatkami. Pozostawałam ja i Delila. Tylko my dwie mogłyśmy się poświęcić i oddać Bilalowi w zamian za wojsko. Jeśli zależało nam na równej walce, a nie powolnej masakrze.

Wiedziałam, co Jin ma na myśli. Jeśli byśmy się pobrali, ja również nie wchodziłabym w grę.

– Wiem – powiedziałam. Nic więcej nie dodałam. Nie powiedziałam, że wiem, że Jin nigdy by sobie nie przebaczył, gdyby ocalił mnie, nie Delilę. Że jeśli Ahmed próbowałby zmusić mnie do ślubu, nie byłby takim władcą, dla którego chciałabym walczyć. Nie powiedziałam, że nie po to

przemierzyłam całą pustynię, żeby dać się wrobić w zaaranżowane małżeństwo, nawet jeśli miałabym poślubić Jina.

Moje milczenie przemówiło za mnie.

Objął mnie ramionami i przyciągnął bliżej siebie. Był ciepły i dawał oparcie. Opuściłam głowę, usta miałam na wysokości jego serca, ponad wytatuowanym słońcem.

W końcu zasnął. Ja nie mogłam.

Po kilku niespokojnych godzinach wyplątałam się z jego objęć. Większość z nas spała bez namiotów, bo letnie noce były ciepłe. Szłam pomiędzy ciałami rozrzuconymi po trawniku. Jakby wśród trupów na polu bitwy. W domu było cicho, gdy udałam się do kuchni, w której wszyscy się zebraliśmy.

Wyglądała na znacznie większą, gdy nie było w niej połowy rebelii. Zaczęłam przeglądać puszki na półce. Szukałam kawy.

Drzwi kuchni nagle się otworzyły, aż podskoczyłam i straciłam na ziemię butelkę, która rozpadła się z hukiem. Nieznajomy mężczyzna wpadł do kuchni. Już chciałam go zaatakować, kiedy padł na niego blask z paleniska i rozpoznałam żółte oczy.

– Imin? – Rozluźniłam się, chociaż zwałił się na krzesło przy piecu i ciężko oddychał. – Dobrze się czujesz?

– Musiałem biec przez całą drogę – sapał. Miał twarz młodego mężczyzny i zaczerwienione policzki pozbawione zarostu. – W mieście aż roi się od tych Abdalsów. Jeden prawie mnie zauważył kilka ulic stąd. Ale przez cały dzień nie mogłem wydostać się z pałacu, a muszę wam coś przekazać. Rahim...

Nadstawiłam uszu.

– Wszystko dobrze u niego?

– Nie. – Imin ściągnął mnie na ziemię. – Jest więźniem. Na pewno *nie* jest z nim dobrze. Ale jeszcze żyje. A sądząc po

tym, co mówi się w kuchni, jeszcze trochę pożyje. Rahim jest ceniony w armii Sułtana. Jego egzekucja odbiłaby się na morale, tak twierdzą. I nie przysporzyłaby Sułtanowi popularności wśród ludu. Wobec tego chcą go wywieźć stąd, przetransportować do jakiegoś obozu pracy, gdzie umrze po cichu.

To dobra wiadomość, pierwsza od dawna, ale jeszcze nie wiązałam z nią dużych nadziei.

– Kiedy będą go przewozić?

Imin wywrócił oczami.

– Sądysz, że biegłem przez miasto zainfekowane Abdalsami dla zdrowia? Jutro wieczorem.

Ahmeda zastałam w gabinecie generała. Spod drzwi sączyło się migotliwe światło lampy. Skojarzyło mi się z opowieścią o zazdrosnym Dżinie, który mrugał nocą świecą, wywabiając dzieci z domów rodziców i każąc im ścigać ogieniek, tak długo aż je wyłapał i zmienił w swoich niewolników.

Już od połowy korytarza słyszałam głosy.

– Delila... – Ahmed miał zmęczony głos. – Nie możesz...

– Tak, mogę! – Delila mówiła podniesionym głosem. Zatrzymałam się na progu. – To ty nie możesz, Ahmedzie. Gdyby nie ja, nie byłoby tej wojny. To wszystko zaczęło się, ponieważ przyszłam na świat. To dlatego mama, to znaczy Lien, musiała uciekać. To dlatego obaj musieliście pójść do pracy, gdy byliście młodszy niż ja teraz, żeby nas wyżywić. Ja jestem przyczyną tego, że ty i Jin dorastaliście w Xicha i przeze mnie rozpoczęła się ta cała rewolucja. Dlatego umarł Bahi, Mahdi, Sayida i pozostali. To ja zapoczątkowałam tę wojnę, a ty mi nawet nie pozwalasz w niej walczyć. Wobec tego pomogę ją zakończyć.

Zrobiłam krok w tył, gdy Delila wypadła z gabinetu, a drzwi uderzyły z hukiem w ścianę, prawdopodobnie stawiając na nogi cały dom. Nawet mnie nie zauważyła, gdy biegła

korytarzem. Odczekałam, aż znajdę się poza zasięgiem jej wzroku, zanim wyszłam z cienia.

Ahmed uniósł głowę, gdy mój cień padł na podłogę gabinetu. Wspierał głowę na rękach zgiętych w łokciach i opartych na biurku. Z wysiłkiem skupił na mnie wzrok. Obok niego stała pusta butelka. Zastanawiałam się, jak bardzo wypełniał ją alkohol, zanim zaczął pić.

– Amani. – Wyprostował się, blask świecy musnął jego oblicze, oświetlając najpierw jedną stronę jego twarzy, potem drugą, tak że wyglądał jak dwoje ludzi. Nigdy wcześniej nie widziałam go pijanego. – Jeśli przyszłaś po to, żeby dokonać bezinteresownego czynu i zaoferować swoją rękę Lordowi Bilalowi, to obawiam się, że moja siostra była pierwsza.

– Bezinteresowne czyny niezbyt do mnie pasują. – Zapadłam się w fotelu stojącym naprzeciw niego, nie czekając na zaproszenie.

– Jin nigdy by mi nie wybaczył, gdybym ci na to pozwolił. – Ahmed pokręcił głową. – Jeśli pozwolę na to Delili, również, ale prawdopodobnie sam nigdy tego sobie nie wybaczę, więc przynajmniej obaj będziemy nienawidzili mnie po równo. – Powiedział: *pozwolił*. A nie *kazał iść*. Ahmed był moim władcą; mógł mi rozkazać dokonać bezinteresownego czynu. Żebym się oddała, zamiast jego siostry. Ale to nigdy nie przyszło mu do głowy.

Ponieważ nie był taki jak jego ojciec.

Były takie chwile w pałacu, gdy to mnie przerażało. Bałam się, że nie jest zbyt silny, zbyt mądry, że może być zbyt wielkim idealistą. Ale tego właśnie potrzebowało Miraji. Miraji potrzebowało władcy takiego jak Ahmed. Bałam się tylko, że władca taki jak Ahmed nigdy nie wyrwie kraju spod władania władcy takiego jak Sułtan.

– To powinien być łatwy wybór, prawda? Jedna osoba za cały kraj. Moja siostra albo armia.

– Nie – powiedziałam. Przypomniała mi się lekkość, z jaką

Sułtan zarządził egzekucję. – Nie sądzę, że rządzenie może być łatwe. Ale, może jest jakiś inny sposób?

– Żeby odnieść zwycięstwo bez armii? – Posłał mi smutny uśmiech. – Dopuścić do kolejnych zamieszek, w których zginą ludzie? I stracić następne miasta, tak jak Saramotai? Narazić jeszcze więcej ludzi na zabicie przez maszyny, które stworzył mój ojciec, by ułatwić sobie mordowanie?

– Nie. A gdyby był inny sposób na przejęcie kontroli nad armią z Iliaz?

Ahmed spojrzał na mnie z iskrą nadziei w oczach.

– Rahim – powiedziała. – Był dowódcą armii z Iliaz, jeszcze zanim Bilal został emirem. Znają go. Szanują go. – Pomyślałam o tym, jak sprawnie żołnierze ustawili się w szyku, gdy Rahim im rozkazywał, kiedy Kadir i gallański ambasador niemal mnie udusili. – Sądzę, że za nim pójdą. Za zgodą lub wbrew woli Bilala.

– Czy sugerujesz, że mamy posłać Imin...

– Nie. – Pokręciłam głową. – Imin może zmienić swój wygląd, żeby ich nabrać, ale nie będzie w stanie zająć miejsca Rahima.

– Imin już to robiła – powiedział Ahmed. – Wcielała się w czyjąś postać.

– Ale nie na długo. Nie sądzisz chyba, że gdy Imin wejdzie do obozu z twoją twarzą i zacznie wydawać rozkazy, to nikt nie zauważy, że to nie ty? Potrzebujemy prawdziwego Rahima. Żadnych sztuczek, po prostu akcja ratunkowa w starym stylu.

Ahmed rozparł się na krześle.

– Czy to jedyny powód, dla którego chcesz go ocalić?

– Nie lubię zostawiać ludzi w potrzebie. – Zwłaszcza tych, którym zawdzięczam życie.

– Amani, w sytuacji gdy wszyscy w mieście patrzą sobie na ręce, a Abdalsy każdej nocy patrolują ulice... To brzmi jak misja samobójcza. – Ahmed potarł oczy. – I będziemy

potrzebowali pozostałych, jeśli chcemy zaplanować taką akcję.



ROZDZIAŁ 43

Świtało, gdy skończyliśmy obmyślać plan, który nie zaprowadzi nas prosto pod ogień Abdalsów.

Zaczęliśmy rozglądać się za najlepszym miejscem do przejęcia transportu wywożącego Rahima z miasta. Musieliśmy go dopaść, zanim opuści Izman. Walka w miejscu ograniczonym ulicami działała na naszą korzyść. Gdybyśmy wyszli na otwartą przestrzeń, nie mielibyśmy szans.

Sam przeszedł przez ścianę, gdy wszyscy pochyłaliśmy się nad mapą Izmanu. Na policzku miał brzydkiego siniaka, którego nie było tam, gdy widziałam go ostatnim razem.

– Gdzie się tego dorobiłeś? – zapytała Shazad, odrywając się na chwilę od mapy.

– Dostałem od kolegi – powiedział Sam, z ociąganiem przyłączając się do nas zgromadzonych przy stole. Popatrzył na mnie znacząco, ale nie wiedziałam, o co mu chodzi. Po chwili spuścił wzrok. – Co robimy? – zapytał. – Wybieramy domki letniskowe?

– Wybieramy odpowiednie miejsce na zastawienie zasadzki – powiedziałam. Sułtan chciał osłaniać transport przez miasto, wykorzystując zwykłych strażników oraz Abdalsy. Nie martwiliśmy się ludzkimi żołnierzami. Hala się nimi zajmie. A gdyby jej się nie udało, poradzą sobie z nimi kule.

Abdalsy to całkiem inna historia.

Potrzebowaliśmy Leyli.

Była potargana po wyjściu z łóżka, gdy przyprowadzono ją do nas w okowach. Miała jednak szeroko otwarte oczy i była przerażona. Chociaż nie była dużo od nas młodsza, przy Shazad wyglądała jak dziecko.

– Leyla. – Moja przyjaciółka wsparła się na biurku. – Zastanów się dobrze nad odpowiedzią, zanim coś powiesz. Czy jest jakiś sposób, żeby powstrzymać Abdalsy? Czy jesteś w stanie coś wymyślić?

Leyla nerwowo rozglądała się po pokoju, zerkając raz na mnie, raz na Imin oraz na mężczyzn, w których płynęła ta sama krew, choć nie byli jej prawdziwymi braćmi.

– Nie jestem pewna... – wyszeptała. – Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda, jeśli się pomylę. – Zdawało się, że zaraz się rozpłaczę. Zwalczyłam chęć pocieszenia jej. Będzie miała kogoś do pocieszania, jeśli uratujemy Rahima. Do tego czasu musi dorosnąć.

– Chodzi o życie twojego brata, Leyla – powiedziałam. – Zrobimy wszystko, żeby go uratować. To najmniej, co możesz zrobić, żeby ocalić mu życie.

Nerwowo przygryzała dolną wargę. Nie wiadomo, czy szukała rozwiązania, czy już je знаła i zastanawiała się, czy ma nam je zdradzić. – Możecie spróbować zniszczyć słowo.

– Słowo? – spytał Ahmed.

– To, które ich ożywia. Przenosi ogień Dżina do ich iskry. Wsadziłam je w ich stopy. – Leyla przestępowała z nogi na nogę. – W tym miejscu najtrudniej je dopaść – powiedziała. – Wyglądają jak ludzie, więc oczywiste jest, że wszyscy będą celowali w ich głowy lub serca. Kto by pomyślał, że powinien celować w stopę?

– Sprytne – przyznała Shazad. – I bardzo niedogodne.

– Uda się ich oszukać iluzją? – zapytałam. – Nie chodzi o to, że Hala wejdzie w ich głowy, bardziej o to, że zarzuci na nie jakąś zasłonę. – W stylu iluzji Delili. Nie zdradziłam jednak jej imienia.

Gdyby odpowiedź była twierdząca, mielibyśmy argument, żeby zabrać Delilę ze sobą, ale nie będziemy go podnosić przy Leyli.

– Może – przyznała. – Macie kogoś, kto potrafi tworzyć

takie iluzje?

– Dziękujemy, Leyla. – Ton głosu Ahmeda sugerował, że już z nią skończył. – Byłaś bardzo pomocna.

Ahmed popatrzył na mnie, gdy wyprowadzano Leylę, jakby szykował się na sprzeczkę.

Byłam gotowa do obrony swoich argumentów.

– Nie jesteś w stanie chronić jej przez całe życie, Ahmedzie. Potrzebujemy Delili...

– Wiem. – Uniósł rękę, żeby zatrzymać potok moich słów. – Wiem, że nie mogę jej chronić przez całe życie. Wobec tego liczę, że zrobicie to we dwie. – Ahmed dłonią próbował zetrzeć zmęczenie z twarzy. – Odpocznijcie, zanim wyruszyacie ratować mojego brata.

≈≈≈

Sam został ze mną, inni udali się na spoczynek, gdy zaczęło wschodzić słońce. Jin popatrzył na mnie pytająco, ale machnąłam ręką, że może iść.

– Znalazłem twoją ciotkę – powiedział Sam, kiedy byliśmy już sami. – Mieszka w bardzo ładnym apartamencie nad handlarzem złotem. Według mnie powodzi jej się lepiej niż przeciętnej handlarce medykamentami. Łatwo było ją odnaleźć. – Utrzymywała się ze złota, za które mnie przehandlowała. Była w tym jakaś sprawiedliwość, że dzięki temu Samowi udało się szybko ją namierzyć.

– Świetnie. – Potrząsnęłam głową. Byłam senna i miałam za dużo na głowie, zbyt wiele rzeczy mogło pójść źle, gdy będziemy ratować Rahima. – Możemy do niej pójść za kilka dni...

– Jeśli tak zrobisz, zastaniesz puste mieszkanie – powiedział Sam, przerywając mi snucie planów. – Pakuje dobytek i jutro wyjeżdża. Wielu ludzi tak robi. W mieście

zrobiło się zbyt niespokojnie. Poza tym są godziny policyjne. Miasta nie są najlepszym miejscem na przetrwanie wojny.

Oczywiście. Brzmiało to za dobrze, żeby było prawdziwe.

– Musimy iść dziś wieczorem, żeby spróbować namówić ją na wycięcie ze mnie kawałków żelaza.

Będę potrzebowała nie tylko pomocy Sama.

≈≈≈

– I przychodzisz z tym do *mnie*. – Worki pod oczami Hali sprawiały, że jej skóra przybrała tam ciemniejszy odcień złota. – Do mnie, zamiast do swojej ulubionej Shazad albo do ukochanego Jina?

Nie umiem dostać się do ludzkich umysłów tak jak ty. Miałam to na końcu języka. Ale Hala miała rację. Shazad i Jin oraz kilka dobrze sformułowanych gróźb zapewne dałoby ten sam efekt. Przyszłam do niej z innego powodu. Obie byłyśmy Półdzinkami, byłam jej winna prawdę.

– Są ludźmi – powiedziałam. Będą walczyć razem ze mną. Byliśmy gotowi umrzeć za siebie. Ale oni nigdy tego nie rozumieją w ten sam sposób co Hala. Tego, że część mnie została ubezwłasnowolniona. Że ktoś mnie skrzywdził, bo byłam, kim byłam. Tego, że chciałam jej się za to zrewanżować. – W obozie krążą plotki, że matka sprzedała cię mężczyźnie, który po ślubie uciął ci palce.

Hala natychmiast zrobiła poważną minę.

– Wiesz, co nasze matki dostały – odpowiedziała, przeczesując złotymi palcami swoje atramentowoczarne włosy – razem z nami od naszych ojców?

– Życzenie – powiedziałam, przypominając sobie rozmowę z Shirą w więzieniu.

– Wiesz, czego zażyczyła sobie twoja matka?

– Nie – przyznałam. Pewnie powinnam zapytać o to ojca,

gdyby kiedykolwiek udało się nam wprowadzić mnie znowu do pałacu.

– Moja chciała złota – powiedziała Hala. Co za głupie, proste życzenie. Typowe dla każdego wieśniaka, druciarza i żebraka w opowieściach. Nie naciskałam jej. Czekałam. Wyglądała tak, jakby chciała mi powiedzieć. Lekko rozchyliła swoje złote usta. Powie, jeśli nie będę jej poganiać. – Moja mama wychowała się w biedzie i chciała być bogata – powiedziała w końcu. – Może miała dobre intencje. Może odkrywszy, że będzie miała dziecko, zażyczyła sobie złota, żeby wychować mnie w komforcie, a nie w rynsztoku, w którym sama wyrosła. To kłamstwo, które sobie powtarzałam, gdy byłam mała. Nigdy nie mogłam go wypowiedzieć na głos. – Gorzko się uśmiechnęła. – A potem pieniądze się rozeszły, zostałam jej tylko ja, złota córka.

Przechyliła się do tyłu, światło wpadające pomiędzy niedomkniętymi połami namiotu odbijało się od jej skóry. Była jedną z nielicznych, którzy rozbili namiot. Dotarło do mnie, że może się ukrywać. Złota córka kobiety, która za bardzo kochała złoto. Obie w pewien sposób zostałyśmy przehandlowane za złoto.

– Pomogę ci.

≈≈≈

Jina znalazłam w domu, gołącego się w małym pokoiku przy gabinecie. Domyśliłam się, że pokoił miał służyć generałowi w te noce, gdy nie mógł położyć się do łóżka. Pod popękany lustrem stała powgniatana mosiężna miska, była do połowy wypełniona wodą. Lustro wisiało trochę za nisko dla niego, więc musiał się garbić. Koszulę powiesił na klamce. Stojąc za nim, widziałam, jak napinają mu się mięśnie na gołych ramionach, jak porusza się wytatuowany

kompas po drugiej stronie serca. Na lewym ramieniu pojawił się nowy tatuaż. Kilka małych czarnych kropek. Jakby porwany wiatrem piasek. Gdy się wyprostował, dostrzegł w lustrze, że stoję w progu i się przyglądam.

– Ten jest nowy. – Pokoik był tak mały, że wystarczył jeden krok, żebym mogła go dotknąć.

– Zrobiłem go, gdy służyłem w xichańskiej armii. – Jego skóra była gorąca, palcami dotykałam kropek, jednej po drugiej. – Myślałem o dziewczynie, którą znałem. Szybko się odwrócił i chwycił moją dłoń. Pachniał głównie miętą, ale również pustynnym pyłem i prochem strzelniczym. Gdy mnie pocałował, poczułam silną tęsknotę za domem. Przez to było mi jeszcze trudniej powiedzieć to, co zamierzałam mu przekazać.

– Jin, muszę ci coś powiedzieć – odsunęłam się od niego – i nie chcę, żebyś zadawał mi jakieś pytania. Po prostu mi zaufaj. Jest coś, co muszę dzisiaj załatwić, zanim odbędzie się akcja ratowania Rahima. Potrzebuję Sama i Halę, i nie chcę ci powiedzieć, o co chodzi, bo nie wiadomo, czy nam się uda.

– Już teraz mi się to nie podoba. – Jin wierzchem dłoni stał wodę z brody.

– Tak sądziłam. Ale muszę komuś powiedzieć, a podejrzewam, że Shazad próbowałaby mnie powstrzymać. Poza tym zależy jej na tej zasadzce. Tobie też. Nie możemy ryzykować, że plan nie wypali z mojego powodu.

– Jedyнным sposobem, żeby się o tym przekonać, jest pójście z nami. – Jin bawił się kosmykiem moich włosów, przyglądał mi się uważnie, jakby chciał wyczytać coś z mojej twarzy. Ale ja byłam zdeterminowana, by nie okazywać żadnych uczuć.

– Udacie się na skrzyżowanie. – Nie ustępowałam. – Poczekacie na nas. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dotrzemy na czas, żeby odbić Rahima.

– Czy to obietnica? – Wiedziałam, kiedy Jin mówi „tak”, nie wypowiadając tego słowa. Miałam go po swojej stronie.

– Córki Dżinów nie powinny składać obietnic. – Stałam na palcach i dotknęłam miejsca koło jego ucha, które ominęła brzytwa, byłam tak blisko niego, że czułam bicie jego serca. – To zwykle nie kończy się dobrze.

Jin odwrócił głowę i zaskoczył mnie pocałunkiem, szybkim i pewnym. Przerwał go po chwili, ale nie odsunął się ode mnie, tylko uśmiechnął się do mnie.

– Lepiej żeby to nie był koniec, Bandytko.



ROZDZIAŁ 44

Pokoje mojej ciotki nad złotnikiem były zastawione kuframi, niektóre wypełniono w połowie, z innych aż się wylewało. Kiedy Sam wprowadził nas przez ścianę, uderzyłam nogą w jeden z nich i z trudem powstrzymałam się od puszczenia wiązanki, którą miałam już na końcu języka.

Ostrożnie przechodziliśmy wśród jej porozrzucanych rzeczy, jedwabie i muśliny wylewające się z kufków ocierały się o moją nogę, jakby próbowały mnie pochwycić. Na pokrywie jednej ze skrzyń leżał rzucony byle jak sznur pereł. Więc takie rzeczy można było kupić po sprzedaniu kogoś Sułtanowi.

Na łóżku stojącym pośród tego bałaganu spała moja ciotka.

– Gotowi? – wyszeptała Hala. Skinęłam głową, bo nie byłam pewna, czy będę w stanie odpowiedzieć na to pytanie zgodnie z prawdą. Hala nie czyniła żadnych gestów nad jej ciałem, jak widziałam to u ulicznych kuglarzy. Nic nie wskazywało na to, że coś robi, może poza prawie niewidoczną zmarszczką na jej czole, która świadczyła o koncentracji.

Ciotka obudziła się z krzykiem na ustach, gdy Hala przejęła kontrolę nad jej umysłem.

Przez sekundę rozglądała się wokół wzrokiem szaleńca. Gdy popatrzyła na mnie, jej spojrzenie zatrzymało się.

– Zahia – wyszeptała. Przez chwilę patrzyłam jak ze sobą walczy, próbując oddzielić rzeczywistość od snu. Przypomina sobie, że jej siostra nie żyje i kojarzy, kim jest ta osoba, która przed nią stoi. Potrzeba było zaledwie chwili, by iluzja zwyciężyła.

– Safiyah. – Usiadłam na skraju łóżka. – Potrzebuję twojej pomocy. – Położyłam dłoń obok niej na pościeli. Nie mogłam się przemóc, żeby ją dotknąć.

Ale Safiyah chwyciła mnie za rękę. Splotła swoje palce z moimi i przyciągnęła moją dłoń do swoich ust.

– Oczywiście. – Miała łzy w oczach. – Dla ciebie zalałabym wodą całą pustynię. – Zamilkła i patrzyła na mnie wyczekująco. Uświadomiłam sobie, że to tylko połowa tego powiedzenia, które ukuła Safiyah z moją mamą. Jakiś sekret dzielony przez siostry.

Ale to nie był sekret. Znałam je. Mama mi kiedyś powiedziała. Ale nie było sposobu, żebyśmy mogła wymówić zakończenie.

Pomyślałam więc o Shazad. Mojej siostrze w walce. Od pierwszej chwili poczułyśmy więź ze sobą. Większą niż więzy krwi. Więzy walki.

Prawdopodobnie chciałabym unicestwić tego, kto odebrałby jej życie. Walczyłabym jak za własną matkę.

– Dla mojej siostry – słowa stoczyły się z mojego języka – podpaliłabym morze.

Potem wszystko wyglądało tak, jakbym prowadziła ciotkę przez sen. Poszłyśmy do kuchni. Była niewielka, u sufitu wisiały zioła, stało tam też mnóstwo buteleczek i aptecznych słoiczków. Sprzątnęła ze stołu, cały czas mówiła, słowa skierowane były do mojej matki, więc nie wszystko rozumiałam. Wyrzucała z siebie kumulowane przez osiemnaście lat sprawy, o których chciała porozmawiać z siostrą, gdy dzieliła je cała pustynia. Wszystkie sekretne żarciki dotyczące jej przeszłego życia. To był język, którego prawie nie znałam.

– Musisz się rozebrać – powiedziała mi. Razem z Halą jednocześnie popatrzyłyśmy znacząco na Sama. Uniósł ręce, jakbyśmy trzymały go na muszce.

– Yyy... stanę na warcie – powiedział i wycofał się przez

ścianę.

Rozebrałam się i położyłam na stole. Ciotka wzięła jeden skalpel z całej sterty i zaczęła go czyścić. Byłam już dźgnięta, postrzelona, pobita i przydarzyło mi się wiele innych nieprzyjemnych rzeczy. Nadal jednak nie lubiłam patrzeć na noże. Wywracając oczami, Hala położyła mi na oczach swoją dłoń, gdy ciotka podeszła bliżej, przetała mi skórę wilgotną szmatką, po której zdrętwiała mi skóra w miejscu, gdzie zaszyty był pierwszy kawałek metalu.

Skalpel rozciął mi ciało na ramieniu. Poczułam ukłucie bólu. Instynktownie spięłam się i zacisnęłam powieki. Jednak nie poczułam dalszego cięcia. Nagle zniknął twarde stół pode mną. Poruszyłam palcami i natknęłam się na przesypujący się piasek.

Otworzyłam oczy. Patrzyłam na gwiazdy. Gwiazdy nad pustynią migotały w pustce niekończącej się ciemności, były jedynym światłem pustyni.

To była iluzja. Wiedziałam o tym, bo znałam Halę. Wiedziałam, że leżę na kuchennym stole, ciotka wycina spod mojej skóry kawałki metalu i zaszywa rany.

Iluzja, którą Hala utkała w mojej głowie, rozpadła się. Pustynia i gwiazdy zniknęły, wróciła kuchnia. Obudził mnie ból w całym ciele. Syknęłam, Hala błyskawicznie ponownie przejęła mój umysł, więc ból przeminął, bo wyjęła go z mojej głowy.

Na szklanym naczyniu stojącym na stole leżało aż dwanaście małych kawałków żelaza. Na każdym z nich wryto jakiś symbol. Pieczęć Sułtana. Znowu się rozzłościłam. To było takie typowe. Nie mógł po prostu zaszyć mi pod skórą zwykłego kawałka metalu, nie, musiał mieć specjalnie spreparowane kawałki.

– Ostatni... – Czułam, jak palce ciotki wślizgnęły się pod skórę, czułam niewielki nacisk na brzuch tuż nad biodrem, niedaleko pępka. Wyglądała na zatroskaną. – Był tak blisko

żołądka, Zahia – powiedziała do mnie. – Już wcześniej miałaś tam jakieś blizny, stare zagojone rany. – Zmarszczyła czoło, jakby próbowała sobie przypomnieć, gdzie jej siostra nabawiła się tych obrażeń. Ja wiedziałam, co to było. Miejsce, w które postrzelił mnie Rahim. Rana goiła się przez cały miesiąc. – Przez tę zabliźnioną tkankę nie mogłam go wyjąć. Obawiam się, że tylko pogorszyłam sprawę.

Uniosłam się na łokciach, próbując zignorować ból promieniujący od dwunastu małych ran na całym ciele. Może i byliśmy w mieście, ale to nadal był pustynny kraj. Wszędzie był pustynny pył. Przyciągnęłam go. Gdy to zrobiłam, ból przeszył mój bok, tam gdzie miałam starą bliznę. Aż zmrużyłam oczy. Ale na pewno poczułam, że piasek się porusza, tysiące maleńkich ziarenek odpowiada na wezwanie.

Poczułam ochotę, by użyć mocy mimo bólu. Ale to musiało starczyć. Puściłam piasek, ból zelżał.

– Musimy iść.

– Poczekaj. – Hala zatrzymała mnie, gdy zaczęłam się ubierać. – Co chcesz z nią zrobić? – Miała na myśli moją ciotkę. – Mam jej pomieszać w głowie? – Tak jak swojej matce, która ją sprzedała. Która tak egoistycznie wykorzystwała swoją córkę.

Chciałam, żeby cierpiała.

Ahmed powiedziałby, że stosowanie zasady „oko za oko” doprowadziłoby do tego, że cały świat by oślepl. Shazad powiedziała, że właśnie dlatego należy najpierw całkowicie oślepić przeciwnika.

– Lepiej się potem poczułaś? – zapytałam. To nie było oskarżenie, tylko prawdziwe pytanie. Chciałam wiedzieć. Chciałam wiedzieć, czy wyzycie się na ciotce za los, który mi zgotowała, sprawi, że pozbędę się gniewu tłumionego w piersi. – Kiedy namieszałaś w głowie swojej mamie? Pomogło ci?

Hala pierwsza odwróciła się od mojej ciotki.
– Musimy iść.



ROZDZIAŁ 45

Poruszanie się po ulicach Izmanu po zmroku nie było łatwe – ze względu na Abdalsy i na moją pociętą skórę buntującą się z każdym krokiem. Bez Hali, która sterowała moim umysłem, królestwo cięć na mojej skórze wyłoby z bólu.

Szybkość była kwestią nadrzędną.

Kluczyliśmy po ulicach Izmanu tak szybko jak się dało, wchodząc w boczne uliczki, gdy tylko usłyszeliśmy jakiś dźwięk. Wyszliśmy za róg, kiedy zobaczyliśmy, że blask księżyca odbija się od metalu i gliny. Hala chwyciła mnie za rękę i wepchnęła pomiędzy dwa budynki, gdzie była odrobina cienia. Nie śmiałyśmy się poruszyć. Abdals przeszedł, nie skręcając w aleję, był jednak tak blisko, że można by go dotknąć, gdyby wyciągnąć rękę. Nagle znowu usłyszałam odgłos kroków, bliżej, dochodził z drugiej strony ulicy i zmierzał wprost na nas. Byliśmy w pułapce. Sam nie wahał się, chwycił mnie i Halę za ręce.

– Wstrzymajcie oddech albo po was.

Zdołałam wypełnić płuca powietrzem, gdy przeciągnął nas obie przez ścianę. Wpadliśmy do małej kuchni. Słyszałam bicie własnego serca zsynchronizowane z krokami na zewnątrz, które zwolniły, mijając budynek. Oczekaliśmy kilka oddechów, po czym Sam wyprowadził nas tą samą drogą.

Na skrzyżowanie, gdzie mieliśmy się spotkać, dotarliśmy kilka sekund przed czasem.

Zgodnie z obietnicą z dachu zwisała linowa drabinka. Zaczęłam się wspinać, podczas gdy Hala i Sam wbiegli w boczną uliczkę. Jin podał mi rękę i wciągnął mnie na dach. Syknęłam z bólu, gdy kciukiem zahaczył o jedną

z ran.

– Czy jest jakiś powód, dla którego wracasz ranna, ilekroć zostawię cię na pięć sekund? A może... – mówił zbyt głośno, więc zatkałam mu dłońią usta.

– Nie schlebiaj sobie – powiedziałam cicho. – Jak jesteś przy mnie, to też obrywam. – Skręcało mnie z bólu. Nie miałam ochoty na tłumaczenie się ze spotkania z ciotką. Położyłam palec na ustach. Kiedy skinął głową, powoli zabrałam rękę z jego ust.

Położyliśmy się na skraju dachu. Jin podał mi strzelbę tuż przed pojawieniem się Abdalsa, który wyszedł zza rogu.

Jego kroki odbijały się echem po pustych ulicach, akompaniował im turkot kół więźniarki, która jechała za tuzinem obutych stóp, tym razem należących do ludzi.

Słowo wyryte w metalu jak w sercu, lewa pięta. W miejscu, gdzie nikt nigdy by nie celował. My jednak nie kierowaliśmy się instynktem; mieliśmy informacje z pierwszej ręki.

Kolejny krok.

Dwa kroki.

Wzięłam głęboki oddech.

Zmrużyłam oko, próbując śledzić błysk metalu w świetle księżyca.

Gdzieś wysoko nad nami zadrżała zasłona, po czym została zaciągnięta i ulica pogrążyła się w ciemności tak szybko, jak się rozjaśniła.

To wystarczyło.

Pociągnęłam spust.

Doskonały strzał. Odłupał kawałek osłony z brązu na pięcie i wygiął ją pod kątem.

Prawie się roześmiałam. Dzięki Bogu za miękki metal.

Żołnierze otaczający wóz sięgnęli już po broń, próbując namierzyć źródło zagrożenia. Ale to nie był mój problem.

Jin wystrzelił, gdy za sprawą iluzji Delili pojawiła się Shazad, która wyglądała jak bogini zemsty z mieczami w obu

dłoniach.

Potrzebny był drugi strzał. Kula wbiła się w miękką glinę. I trzeciego. W końcu to zobaczyłam. Błysk metalu pod warstwą gliny. Gdzieś tam było słowo dające życie. Jeden z żołnierzy wycelował do mnie z rewolweru, ale zaraz upadł.

Przez chwilę było jak za dawnych czasów. Jak w okresie przed Iliasz. Nasza trójka przeciw całemu światu. Prostota rebelii, gdzie każde małe zwycięstwo mogło doprowadzić do wygranej wojny.

Kolejna kula wbiła się głęboko.

Gdy pod gradem kul umierały śmiertelne stworzenia, zawsze upadały na ziemię. Upadały jak żołnierze i zaścięły ulicę. Ale Abdals nie upadł. Zatrzymał się. Zatrzymał się tak nagle, jak ja bym się zatrzymała, gdyby Sułtan wydał mi rozkaz.

Nagle na ulicach zrobiło się cicho.

Zeszliśmy z Jinem na dół.

Abdals stał jak wmurowany. Widziałam dość różnych wynalazków Leyli z bliska, żeby wiedzieć, że ten jest inny. Był w podobnym stopniu wytworem Dżina jak ja.

Zamek na tyle wozu rozpadł się po jednym strzale, podobnie jak moja koncentracja. Dołączyłam do Shazad i Jina, którzy stanęli koło przyczepy, żeby otworzyć drzwi. Rahim był związany i zakneblowany, na głowie miał worek. Podniosłam rękę, zatrzymując Jina i Shazad.

Rahim już raz mnie uratował, byłam mu winna to samo.

Wóz zachwiał się łagodnie, gdy na niego weszłam.

Zdjęłam worek z głowy Rahima. Wzdrygnął się, jakby chciał walczyć, choć miał związane ręce. Uspokoił się, gdy mnie zobaczył, więc mogłam mu wyjąć knebel z ust.

– Co się dzieje? – wyrzęził.

– Ratujemy cię, naturalnie – powiedziała Shazad zza moich pleców, stojąc w wejściu i jedną ręką trzymając się dachu więźniarki. Dałeś nam armię – dodała, gdy przecinałam

więzy na jego nadgarstkach. – Jak się zapatrujesz na propozycję stanięcia na jej czele?

Rahim popatrzył na nas z niedowierzaniem. Niewiarygodnie piękna pani generał, półxichański książę, o którym nie wiedział, że jest jego bratem, chłopak podający się za Niebieskookiego Bandytę, Półdzinka z fioletowymi włosami pofarbowanymi na czarno, nerwowo obracająca w powietrzu iluzję przedstawiającą kwiat, kolejna nawet niestarająca się ukryć swojej złotej skóry. Nie musiałam się wysilać, żeby wiedzieć, co sobie pomyślał. Osiem miesięcy temu byłam na jego miejscu. W końcu jego wzrok padł na mnie.

– Witamy w rebelii – powiedziałam. – Przyzwyczaisz się.

≈≈≈

Szliśmy tak szybko, jak się dało przez ciemne i wyludnione ulice Izmanu. Abdalsy patrolujące ulice w równym szyku co prawda nie reagowały na zamieszanie, ale to nie oznaczało, że zamierzaliśmy zmienić się w ruchomy cel. W drodze powrotnej do domu Shazad szeptem przekazywaliśmy Rahimowi najważniejsze informacje.

Powiedzieliśmy mu, że Leyla jest bezpieczna.

Że zamierzamy siłą odebrać wojsko Lordowi Bilalowi.

Że on nam w tym pomoże.

Rahim nawet nie mrugnął okiem. Może synowie Sułtana mieli rebelię we krwi. A raczej zdradę stanu. Cokolwiek to było, zamierzaliśmy to wykorzystać, żeby przejąć tron.

W domu Shazad było cicho, gdy weszliśmy kuchennymi drzwiami. Była późna pora, jak przypuszczałam. Jednak coś w tej ciszy mnie uwierało. Brakowało mi napięcia związanego z powrotem z misji.

Ahmeda czekającego, by sprawdzić, czy wróciliśmy cało i zdrowo.

Imin czekającej na Halę.

Moje zmysły dawały gorączkowe sygnały, gdy zaczęliśmy wchodzić po schodach na końcu tunelu prowadzącego do ogrodu. Byłam na ostatnim schodku, gdy kopnęłam coś, co potoczyło się ze znajomym brzękiem. Kula. Spadła do cichego ogrodu i zniknęła.

Uczucie, że coś jest nie tak, nadeszło o ułamek sekundy za późno. Usłyszałam kliknięcie obracających się kół zębnych. Wirowanie rozpędzonych metalowych części, kręcących się coraz szybciej, a potem zatrzymujących się w miejscu. To było jedyne ostrzeżenie, potem iluzja opadła.

A więc nie dał im tylko mocy Noorshama. Mogli rzucać iluzje podobnie jak Delila.

Gdy iluzja opadła, wyłonił się chaos i zobaczyliśmy, co naprawdę na nas czekało po powrocie. Ciała leżały na ziemi, głównie buntowników, zaledwie jeden czy dwóch z nich miało mundury, wisiały na poszarpanych namiotach z bronią w ręku. Ci, co przeżyli, zostali zaprowadzeni pod mur, klęczeli, a wokół nich zebrały się Abdalsy i żołnierze z rewolwerami. Ahmed. Imin. Izz i Maz. Navid. Tamid.

– Tak, Amani. – Sułtan uśmiechnął się do mnie jak Jin. Tym uśmiechem, który oznaczał kłopoty. Jakby mógł mi czytać w myślach. Spomiędzy zmasakrowanych ciał, naszych pojmanych i martwych buntowników, wyłoniła się jedna postać. Leyla bez okowów. Bez strachu. Miała na sobie kaftan, który wyglądał, jakby należał do Sułtana, narzucony na te same ubrania, które nosiła od Auranzeb. W jej oczach nie było śladu strachu pojmanego zwierzątka. Zamiast tego uśmiechała się z wyższością.

– To była pułapka.



ROZDZIAŁ 46

Wyjęłam broń, chociaż wiedziałam, że jest już za późno. Dwa tuziny rewolwerów wycelowały w nas, żołnierze byli gotowi do strzału. Shazad i Jin już mieli broń w rękach, szykując się do walki.

Zginą, oboje zginą. Wiedziałam o tym. Byliśmy w pułapce. Ja, Jin, Shazad, Rahim, Delila, Hala i... rozejrzałam się za Samem. Nie było go. Nigdzie go nie widziałam. Byliśmy otoczeni. Byliśmy w mniejszości. Ale to i tak nie powstrzyma ich od walki.

– Wycofać się! – rozkazał Ahmed, klęcząc pod murem. – Niech wszyscy opuszczą broń.

Kątem oka widziałam, jak Shazad walczy ze sobą, by zignorować rozkaz, a Jin rozluźnia i zaciska dłoń na rewolwerze. Niemal całą moją uwagę pochłaniał Sułtan. Nie odrywał ode mnie wzroku. Jakbym słyszała jego głos. Ten mocny, rozsądny głos, który sprawiał, że przy nim wydawało mi się, że jesteśmy tylko rozrabiającymi dziećmi. *Wiesz, jak to się skończy, gdy będziesz walczyć, Amani.*

– Zróbcie, co każe – powiedziałam. – Rzućcie broń. – Sama wypuściłam z dłoni swój rewolwer. Moja skóra z ulgą pozbyła się dotyku żelaza.

W końcu miecze Shazad również spadły na ziemię. Po nich poleciał rewolwer Jina. Ja już nie miałam broni, ale nie byłam bezbronna. Sułtan mógł to wszystko zaplanować, ale było coś, czego się nie spodziewał.

Skupiłam się na pustyni rozciągającej się poza murami miasta.

– Bardzo mądrze. – Sułtan pogratulował związanemu i bezradnemu Ahmedowi. – Wiesz, że nigdy nie przestaje

mnie zaskakiwać ironiczną świat. Syn, który najbardziej mnie przypomina, jest jedynym, który mnie potępia.

– Cóż, to nie jest prawda. – Rahim stanął pomiędzy mną a swoim ojcem. Wykorzystałam to, że mnie zasłonił, żeby nieco unieść dłonie. Próbowałam wezwać pustynię bez pomocy rąk, bez żadnych posuwistych ruchów. Wzywałam ją z głębi ciała, z miejsca, które mimo przeciwności nadal utrzymywało mnie przy życiu. Pojawił się ostry ból w starej ranie.

– Ja jestem drugim, który cię potępia, ojciec.

W oddali pustynia odpowiedziała na wezwanie.

– Dlatego ty jesteś po tej stronie luf rewolwerów ojca, a ja po tej – odezwała się Leyla. Jej nieśmiały, melodyjny głos, który zawsze wydawał się tak słodki, przybrał inny ton, który odbijał się echem od murów otaczających ogród. Ani śladu szeroko rozwartych, załzawionych oczu. – Jako jedyna nie zdradziłam swojej rodziny.

Jej brat spojrzał jej w oczy.

– Byłaś moją rodziną – powiedział łagodnie. – Próbowałam cię ocalić. Kiedy uświadomiłem sobie, że jesteś utalentowana jak matka w konstruowaniu maszyn, wiedziałem, że nasz ojciec będzie chciał cię wykorzystać tak samo jak ją. To ją zgubiło, Leyla.

– Nie potrzebowałam ocalenia. – Ciaśniej owinęła się kaftanem, noc była chłodna. – Radziłam sobie sama od dnia, gdy zostawiłeś mnie wśród tych kobiet i ich intryg. Nauczyłam się, jak przeżyć. Jak być przydatną. – Już raz powiedziała mi to samo w haremie, gdy Mouhna, Uzma i Ayet zniknęły jedna po drugiej. Jeśli jesteś nieprzydatna, jesteś narażona na zniknięcie. Chyba że staniesz się niewidzialna. A kto był bardziej niewidzialny jak samotna księżniczka w haremie?

Tak niewidzialna, że nie przyszło mi do głowy, że Ayet zniknęła po tym, jak powiedziałam Leyli, że przyłapała mnie

z Samem w ogrodzie przy Ścianie Płaczu. A Uzma i Mouhna zniknęły po incydentach z pieprzem samobójców i poniżeniem mnie na dworze. Tak niewidzialna, że nikomu nawet nie przeszło przez myśl, że i ona była świadkiem ich złośliwego zachowania. Że to był jej pomysł, by wybrać je do zasilania maszyny, a nie Sułtana.

– Ty wyjechałeś, a ja zostałam i kończyłam to, co zaczęła Matka. – Uśmiech Leyli był tak słodki jak zawsze, ale posłużyła się nim jak bronią. – Chciałaby tego. Nienawidziła Gallanów. Nie twojego ojca.

– Skłamałaś – powiedziałam. A ja tego nie zauważyłam, ponieważ była wielkooką, nieśmiałą dziewczynką ze słodką buzią.

– *Zawsze* najłatwiej okłamywać Półdżiny. Wy nigdy się tego nie spodziewacie – powiedział Sułtan. – Jaka dobra córka nie posłuchałaby swojego ojca? – Wykonał taki ruch, jakby naciągał cięciwę i strzelał z łuku. Trzymałam całą burzę piaskową na granicy miasta, właśnie przyciągałam ją bliżej ponad murami i dachami domów. Poczułam, jakby ktoś wbił mi sztylet w serce. Okropne, zawstydzające wspomnienie tego, jak chciałam mu zaimponować, jak chciałam go zadowolić. Jak przez niego zwątpiłam w Ahmeda.

– Mała Niebieskooka Bandytka, tak łatwowierna. – Wzdrygnęłam się, słysząc swoje przezwisko. – O, tak, Amani. Wiedziałem od chwili, gdy ujrzałem twoje niebieskie oczęta.

Na nic te wszystkie desperackie próby ukrycia tego przed Sułtanem, omijanie tematu Ahmeda, żeby przypadkiem nie powiedzieć czegoś, co by go zdradziło. A on mi pozwalał na takie zachowanie, pozwalał mi okrążyć drażliwy temat. Bo wiedział już, że jestem sprzymierzona z Ahmedem.

Sułtan chwycił mnie pod brodę i delikatnie uniósł moją głowę.

– Mogłem kazać ci powiedzieć wszystko, co wiesz, ale to by mi niewiele dało. O wiele łatwiej było wykorzystać cię do

przekazywania Ahmedowi fałszywych informacji. A kiedy Leyla powiedziała mi, że Rahim jest zdrajcą, mogłem ci przekazywać informacje przez niego.

Zauważyłam jakiś ruch za Sułtanem. Jakąś postać w cieniu. Najszybciej jak umiałam, ponownie spojrzałam na Sułtana. Nie chciałam się zdradzić. Zacisnęłam pięść, trzymając pustynię w pogotowiu.

– Muszę przyznać, że podobało mi się, gdy miotałaś się, żeby zagasić pożary, nie zauważając innych, od których odwracałem twoją uwagę – kontynuował. – Jak skupiałaś się na Saramotai, ja odbijałem Fahali. Jak ratowałaś zdrajców od szubienicy, ja aresztowałem odszczepieńców w ich własnych domach. A gdy uganiałaś się po mieście, próbując uratować mojego zdradzieckiego syna, ja rozprawiłem się z waszym zbuntowanym obozem i aresztowałem swojego drugiego syna-zdrajcę. – Jedną dłoń położył na ramieniu Leyli. – Zrobiła dużo dobrego. Jak, twoim zdaniem, udało nam się was znaleźć w tej dolinie, gdzie się ukrywaliście? – W ręce trzymał kompas. Taki sam, jaki mieli Jin i Ahmed, tylko mniejszy. Przypomniałam sobie, że kiedyś mi powiedzieli, że zostały wyprodukowane w Gamaniksie. Matka Leyli była inżynierem z Gamaniksu. – Ukryliśmy jeden z nich przy waszym szpiegu, po czym ją uwolniliśmy... żebyście mogli ją uratować.

Sayida. Ona też była pułapką.

– A kiedy dowiedziałam się od Rahima, że planujecie ucieczkę... – wtrąciła się podekscytowana Leyla. – Chcesz zobaczyć? – Jej twarz rozjaśniła się tak jak wtedy, gdy pokazywała mi jakąś nową zabawkę dla dzieci w haremie. Odwróciła się i przywołała gestem żołnierzy. Dwóch z nich przyciągnęło Tamida. Próbował nadążyć za nimi na swojej protezie.

Tym razem zrobiłam krok w przód, ale Jin złapał mnie od tyłu i zatrzymał. Rzucili Tamidem o ziemię, usiadł

z wyciągniętą przed siebie nogą z brązu. Leyla odpięła ją z wyćwiczoną łatwością. W końcu to ona ją zrobiła. Dumnie odwróciła protezę w moją stronę. W pustej w środku kończynie z brązu przymocowano kompas.

– Zamontowałam go po tym, jak przekonałam cię, że powinniśmy zabrać Tamida, a on nie skojarzył, że wykorzystuję go, by pomóc ojcu w dotarciu do waszego obozu.

To moja wina. Ja go tutaj sprowadziłam. Ja uratowałam Tamida. Nie zostawiłam go, a i tak zostałam ukarana.

Zwykle gniew sprawiał, że płonęłam od środka. Ale nie tym razem. Tym razem byłam zimna jak skała. Zniszczę ich.

Pociągnęłam, ostatnie szarpnięcie mojej półdzińskiej mocy.

Niebo pociemniało. Nad nami pojawiła się burza piaskowa.

Sułtan zadarł głowę do góry, gdy padł na nas cień. Potężna chmura piasku ruszyła w stronę ogrodu. Podniosłam ręce, przejmując nad nią kontrolę – udawanie, że jest inaczej nie miało sensu.

Sułtan oderwał wzrok od chmury i spojrzał mi w twarz. Nasze spojrzenia się zetknęły. Pozwoliłam mu zobaczyć gniewny sprzeciw w moich oczach. Uśmiechnął się do mnie, gdy opuściłam ręce, pozwalając burzy opaść na nas.

Wszyscy nagle zaczęli biegać. Shazad wydawała rozkazy, których dokładnie nie słyszałam, ponieważ Sułtan również rozkazywał.

– Amani! – Shazad wydała mi jakiś rozkaz, który został zagłuszony przez harmider. Odwróciłam się w jej stronę i zobaczyłam, że za nią podnosi się Abdals, a jego ręka żarzy się czerwienią. Poruszyłam dłonią. Poczułam, że coś szarpnęło mnie za postrzelony bok, piasek zmienił się w ostrze tnące Abdalsa w nogę, wbija się w gliniane ciało i metalową kość i odcina całą kończynę, przez co okaleczony stwór pada na ziemię.

– Pilnuj tyłów! – krzyknęłam do niej. Choć raz nie

potrzebowałam żadnych rozkazów. Wiedziałam, o co walczę. Wiedziałam, z kim walczę. Wiedziałam, co mam robić.

Potrzebowaliśmy pozostałych Półdżinów. Musieliśmy je uwolnić. Nie mogłam zostawić Półdżinów w rękach Sułtana. Nie mogłam pozwolić mu na to, by zrobił im to samo, co zrobił mnie.

Opuściłam ręce, poprzecinałam żelazo krępujące Izza, potem Maza. Bliźniacy od razu zareagowali, ciało zmienili w pióra, palce w szpony i wzbili się w powietrze, a następnie polecili w dół. Delila pobiegła do Ahmeda, którego też uwolniłam. Następnie Imin, która rzuciła się przed siebie, żeby ratować Navida.

Kula trafiła Halę w nogę. Krzyknęła i zatoczyła się. Upadłaby, gdyby nie Sam. Złapał ją, podniósł i oboje zniknęli, przenikając przez mur. Skierowałam swoją uwagę gdzie indziej. Prawie zgubiłam Ahmeda w panującym zamieszaniu.

Nie wygrywaliśmy, ale nie musieliśmy. Musieliśmy tylko wydostać tyle osób, ile zdołamy. Złapałam garść piasku i mocno go skręciłam. Poczulałam ukłucie bólu w brzuchu. Po chwili minęło. Piasek znieruchomiał, po czym opadł. Straciliśmy zasłonę.

Ból w boku był coraz gorszy, gdy ponownie próbowałam zapanować nad piaskiem. I nagle ból mnie oślepił. Zamiast krwi i ciała miałam tylko ból. Padłam na kolana, próbując złapać oddech.

– Amani. – Gdy znowu przejrzałam na oczy, zobaczyłam, że przede mną klęczy Shazad. Sposób, w jaki wypowiedziała moje imię, kazał przypuszczać, że nie wypowiedziała go po raz pierwszy. Była wystraszona. Nad nami stało dwóch innych buntowników, osłaniali jej tyły, gdy się mną zajmowała. – Co się dzieje?

Nie wiedziałam. Z bólu nie mogłam mówić. Coś, co moja ciotka nacięła wewnątrz mojego ciała, musiało się rozerwać

w moim boku.

– Dosyć, musisz stąd wyjść.

– Nie!

Ale Shazad już pomagała mi się podnieść. Próbowałam się wyrwać, stanąć samodzielnie. Ale nie puszczała.

– Nie kłóć się. Ostatnim razem, gdy zostałam w tyle, wiele się wydarzyło. – Miała na myśli Dżiny, Abdalsy i wszystko pozostałe. – Półdżiny wychodzą pierwsze, taki jest rozkaz waszego generała i przyjaciółki. Jin! – Mimo chaosu w ogrodzie, udało jej się go przywołać. Był przy nas po kilku sekundach. – Wyprowadź ją.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać, a ja nie byłam w stanie sprzeciwić się rozkazowi. Podniósł mnie podkładając ręce pod kolana i pachy. Przypomniałam sobie noc Auranzeb.

Mówisz, że jesteś tu, żeby mnie ocalić?

Tak się ratuje dziewczynę. Roześmiałabym się, gdyby mnie tak nie bolało. Shazad osłaniała nas, gdy podał mnie Izzowi, który przybrał postać gigantycznego Roka i tak szybko jak się dało wynosił ludzi w bezpieczne miejsce.

Jin i ja znaleźliśmy się na jego grzbiecie, jednym potężnym machnięciem skrzydłami uniósł nas ponad dachy Izmanu. Słyszeliśmy strzały za sobą. Bez burzy piaskowej żołnierze mieli dobrą widoczność. Ale Izz manewrował z wprawą i poruszał się zbyt szybko, by stanowić dogodny cel. Gdy się wznosiliśmy, widziałam rozciągający się pod nami Izman, niczym na mapie domy były upstrzone małymi iskierkami świateł padającymi z okien na ciemne ulice. Tuż za wijącym się murem i dachami było morze, teraz, o wschodzie słońca, było różowe. Już prawie znaleźliśmy się poza zasięgiem kul. Wiedziałam o tym mimo oślepiającego bólu. Prawie. Jeszcze trochę się wzniesiemy, odlecimy kawałek dalej i będzie dobrze, Izz nas zostawi w jakimś bezpiecznym miejscu i wróci po pozostałych.

Nie usłyszałam wystrzału, który nas trafił. Tylko go poczułam. W nagłym szarpnięciu, gdy żelazo przebiło skórę Izza. W krzyku, który rozdarł ciszę. Pomimo otumaniającego bólu uświadomiłam sobie, że oberwał w skrzydło. Jin mocniej objął mnie ramionami.

Na chwilę przeniosłam się znowu do haremu, wpatrywałam się w niebo nad wodą, mając Sułtana przy sobie i naciągnięty łuk, z którego celowałam do ptaków. Tę chwilę, gdy strzała przeszła przez moją zdobycz. Patrzyłam, jak spada na ziemię, podobnie jak my teraz.

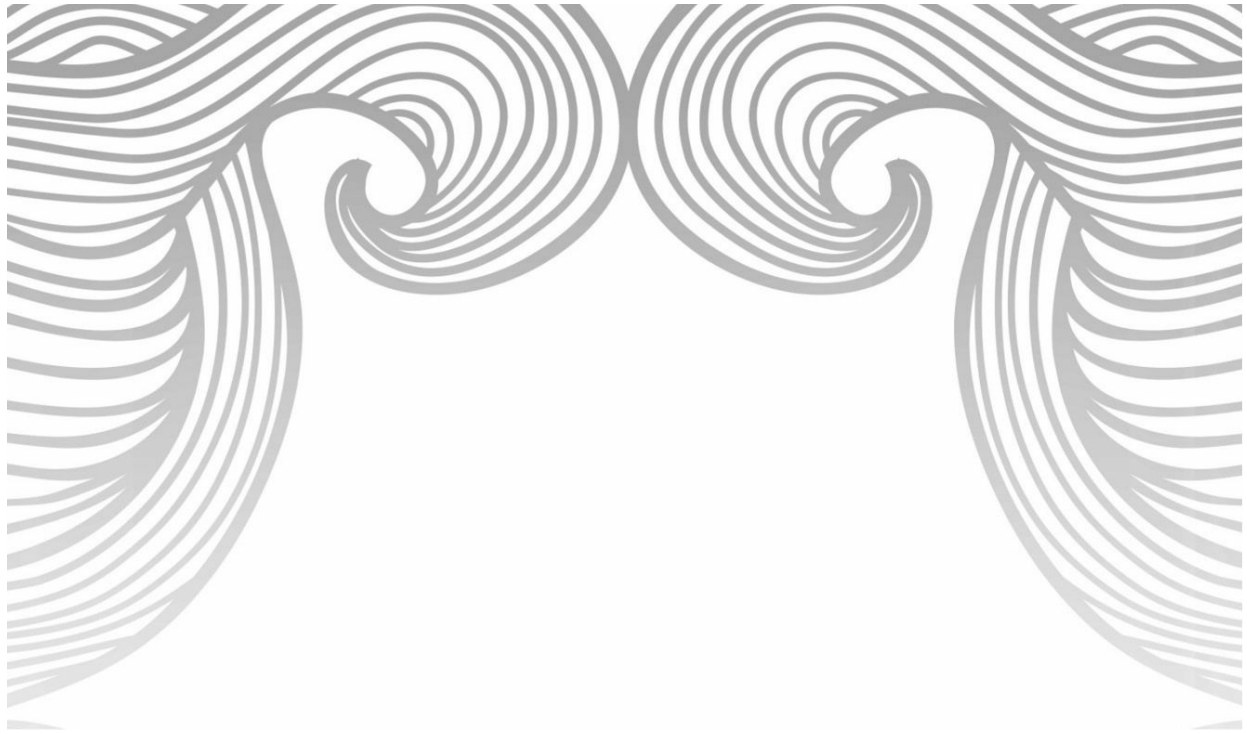
Izz walczył, żebyśmy nie spadli z powrotem do obozu. Żeby unieść nas kawałek dalej. Żeby nas wydostać. Sułtan nie mógł pojmać kolejnego Półdzina. Czułam żelazo wgryzające się w jego ciało i ból paralizujący zranione skrzydło.

Kilka ostatnich ruchów skrzydłami wyniosło nas dalej, pomógł nam wiatr. Wtem wylecieliśmy poza miasto, poza dachy i ulice, mury, o które byśmy się pozabijali, gdybyśmy na nie spadli. Znaleźliśmy się nad morzem, tuż przy stromej ścianie klifu oddzielającej miasto od wody.

Spadaliśmy. Ciało Izza podskakiwało, zsuwaliśmy się z jego grzbietu, podczas gdy on wrzeszczał z bólu, szaleńczo machając skrzydłami. Jin mnie puścił.

Miałam tylko chwilę, żeby zobaczyć morze pod sobą, zanim ześlizgnęłam się z grzbietu i do niego wpadłam.

Nawet nie poczułam, jak woda zamknęła się nade mną.



ROZDZIAŁ 47

Nigdy nie wiedziałam, o co chodzi z utopieniem.

Byłam dziewczyną z pustyni. Tam, gdzie mieszkałam, morze było z piasku. A on mnie słuchał. A to? To był atak.

Woda nacierała na każdy fragment mojego ciała. Chciała mnie żarłocznie pożreć. Wdzierała się do nosa i do ust. Dusiałam się, a mój świat zawęził się do samej czerni. Okazało się, że jak na dziewczynę z pustyni jestem całkiem dobra w tonięciu.

Nagle wynurzyłam się z odmętów wody, poczułam powietrze na twarzy. Coś uderzyło mnie w płuca. Światło rozproszyło mrok. Rozbłysło i zgasło. I jeszcze raz. Ból i światło rozrywały moje ciało. Walczyły o mnie.

I jeszcze gwiazdy. Gwiazdy nade mną. I jakieś usta na moich.

Nie umierałam. To była jedna z iluzji Hali. Tylko że nią nie była. Nade mną pochylał się Jin. Widziałam rysy jego twarzy, wyżłobione przez nikłe światło wschodzącego słońca, palący ból znowu wdarł się w moje płuca. Płonęłam. Płonęłam.

Byłam córką Dżina. Wiedziałam, co to znaczy płonąć.

Nagle gwiazdy zbladły i ujrzałam ziemię, a na niej ślady treści żołądkowych zmieszanych z wodą. Wyrzygałam pół morza. Podparłam się na dłoniach i kolanach, cały czas wstrząsały mną gwałtowne wymioty.

Poczułam delikatne dotknięcie dłoni na plecach.

– Przypomnij mi kiedyś, że mam cię nauczyć pływać. – Żart nie był śmieszny, ale i tak się roześmiałam. Śmiech zmienił się w kaszel, zgięłam się wpool, trzęsąc się i próbując się jakoś pozbierać.

Padał na nas cień Izmanu położonego na klifie wysoko nad nami. To był upadek z bardzo dużej wysokości. Na jego twarzy malował się ból, włosy przyłgnęły mu do czoła. Odgarnęłam kosmyk.

Moje serce zaczynało bić wolniej. Chaos walki. Przetrwania. Ból w boku nieco zelżał.

O wschodzie słońca na brzegu morza było cicho i spokojnie. Przez chwilę. Jednak gwiazdy świeciły oskarżycielsko. Musiałam w końcu dopuścić do siebie resztę świata.

– A Izz? – zapytałam. Nigdzie nie widziałam gigantycznego niebieskiego Roka. Dostał kulkę. Mając ją pod skórą, nie będzie mógł dokonać przemiany.

– Nie jestem pewien. – Jin pokręcił głową. – Mieliśmy szczęście, spadliśmy nad wodą. Izz nie spadł z nami. Zanim się wynurzyłem z tobą, straciłem go z oczu. – Woda niewinnie falowała przy brzegu, ale kawałek dalej zmieniała się w spienioną masę, która wszystko połykała.

– A pozostali?

Jin pokręcił głową.

– Nie wiem. Pogubiłem się. Kilku wyciągnął Sam. Widziałem, jak niektórzy umierają. Nie wiem, co stało się z Ahmedem i moją siostrą, bo zgubiłem ich z oczu podczas walki, a potem ty upadłaś. – Usiadł wygodniej. Drżał. – Więc to o tym nie chciałaś mi powiedzieć.

W myślach sięgnęłam po piasek, ale poczułam silne ukłucie w starej ranie, więc się powstrzymałam. Wyjęto mi żelazo spod skóry, ale ponowna przemiana nie była łatwa. Zanurzyłam palce w namokniętym piasku pod sobą i starałam się uspokoić serce.

– Ahmed żyje. – Słowa z łatwością stoczyły się z mojego języka. Prawda. – Shazad żyje. – Wypowiadałam kolejne imiona. Delila, Imin, Hala, Izz, Maz, Sam, Rahim. Nasi ludzie wciąż żyli.

– Każdy, kto przeżył, będzie starał się dotrzeć do Tajnego Domu. – Jin odgarnął z twarzy mokre włosy, wstał i podał mi rękę. – Musimy tam iść, będziemy tam bezpieczni...

– Raczej nie za długo. – Chwyciłam dłoń, którą mi podawał, i dźwignęłam się na nogi. Nadal kręciło mi się w głowie po tym, jak na chwilę przestałam oddychać. – Wystarczy, że jedna osoba zacznie mówić.

Wspięcie się na klify, na których stało miasto, trwało okropnie długo. Słońce wędrowało po niebie, a my brnęliśmy przez płytką wodę. Jin trochę płynął, ciągnąc mnie za sobą, aż wreszcie znaleźliśmy miejsce dość łagodnie wznoszące się ku miastu. Słońce wisiało wysoko nad nami, ale nie mogliśmy iść szybciej. Jin podtrzymywał mnie, gdy się potykałam, ale i tak kilka razy musieliśmy się zatrzymać na odpoczynek. Żebym mogła złapać oddech, ponieważ dodatkowo męczył mnie pulsujący ból w boku. W końcu dotarliśmy tuż pod mury miasta. Nie byliśmy tu sami. Wielu ludzi przepychało się, żeby przedostać się przez bramy.

Ktoś nas wyminął, popychając mnie na Jina, który mnie złapał.

– Hej! – Jin chwycił mężczyznę za ramię. Ten się odwrócił, gotowy do bójki. Cofnął się, gdy zobaczył Jina, który wyglądał tak, jakby zabijanie miał we krwi i ponadto był na skraju wytrzymałości. – O co chodzi?

– O Księcia Buntownika – powiedział. Serce podskoczyło mi na wzmiankę o Ahmedzie. – Książę Buntownik został złapany. Egzekucja ma się odbyć na pałacowych schodach.

– Kiedy? – Wysunęłam się do przodu. Mężczyzna z pogardą omiótł mnie wzrokiem, począwszy od moich potarganych włosów, przez moje ubranie sztywne od morskiej wody. Wolał nie wdawać się w bójkę z Jinem, ale ja nie wyglądałam tak groźnie jak mój obcy książę.

– Odpowiedz jej – naciskał Jin.

– O zachodzie słońca – odpowiedział nieznajomy, strącając

rękę Jina i przepychając się przez tłum. – Na tę jedną noc Sułtan zawiesza godzinę policyjną. Jeśli mnie nie puścisz, to przegapię widowisko.

Wymieniliśmy spojrzenia z Jinem, zanim popatrzyliśmy na horyzont nad morzem.

Niebo już zaczynało ciemnieć.



ROZDZIAŁ 48

KSIĄŻĘ BUNTOWNIK

Kiedy mężczyźni i kobiety siedzieli przy ogniskach tuż przy pustynnej drodze, gdzie mogły ich zobaczyć tylko gwiazdy, opowiadali o Księżu Buntowniku najlepiej jak potrafili. Mówili prawdę, jaką znali. Ale nie całą. Nigdy nie była cała.

Kiedy opowiadali o czasie spędzonym przez niego w haremie, nigdy nie mówili o jego bracie, Obcym Księżu, urodzonym pod tymi samymi gwiazdami. Mówili o nocy, kiedy na świat przyszła jego siostra będąca Półdzinem, ale nie wiedzieli o młodej kobiecie, która zaryzykowała własne życie, żeby zabrać troje dzieci w bezpieczne miejsce, kiedy umarła matka Księcia Buntownika. A kiedy opowiadali o próbach Sultrima, nie wspominali o pięknej córce generała, która go przygotowywała do walki i trenowała z nim, dopóki nie był gotów do podjęcia wyzwania.

W kolejnych latach na pustyni, gdy różne opowieści pomagały karawanom chronić się przed strachami nocy, opowiadali o dniu, kiedy tysiące ludzi w Izmanie zabrały się o zmierzchu, by po raz pierwszy od prób Sultrima popatrzeć na Księcia Buntownika, gdy ten stał na placu straceń. Czekał na śmierć od topora.

Opowiadający nigdy nie mówili o tym, że Książę Buntownik nie był jedynym straceńcem tego dnia. Nie wiedziano, że mógł uniknąć pojmania, gdyby nie kazał swoim ludziom uciekać przed nim. Nie mówili więc, że odłożył broń i poddał się swojemu ojcu Sułtanowi, żeby ocalić tych, którzy jeszcze pozostali.

Snujący opowieści nie wiedzieli, że mężczyzna, który stał na podwyższeniu, znalazł się tam z własnego wyboru. Że

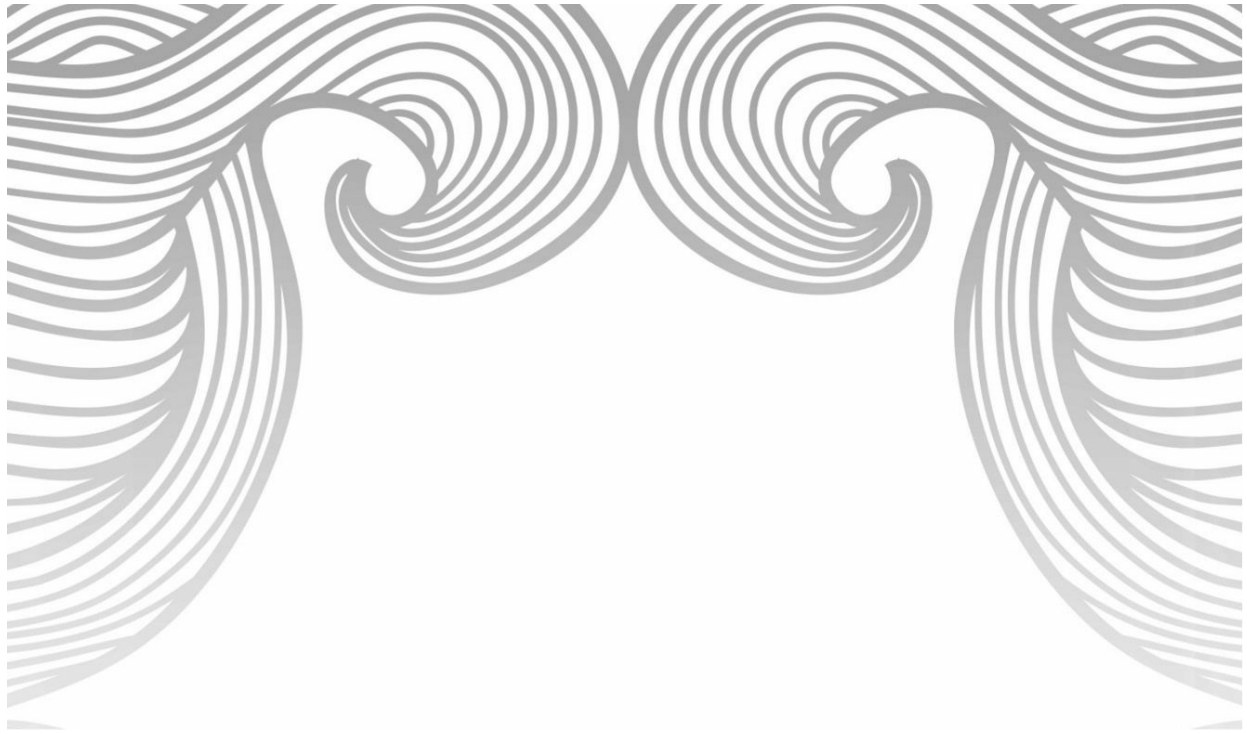
mógł uniknąć tego losu, gdyby nie był tak dobrym człowiekiem. Gdyby nie był aż tak odważny.

Tego dnia sto tysięcy ludzi, tak mężczyzn, jak i kobiet, przyszło na miejsce egzekucji i każdy potem opowiadał, co tam widział. W kolejnych miesiącach historie przemierzyły pustynię, powtarzano je w całym kraju i za granicą. Te same historie będą opowiadane ponownie przez karawany w następnych wiekach, kiedy nadejdzie pora nauczyć dzieci o wszystkich wielkich bohaterach, którzy żyli przed nimi na pustyni.

Było jednak sześć osób, które wiedziały, co naprawdę wydarzyło się tego dnia. Ludzie z karawan nigdy nie dowiedzą się, co wydarzyło się pomiędzy świtem a zmierzchem w więziennej celi pod pałacem. Przed tym, co cały Izman zobaczył na miejscu egzekucji.

Sześć osób, które walczyły ramię w ramię i zostały razem uwięzione. Siedziały w ciemności, czekając na swój los, jak tysiące innych, którzy zajmowali te cele przed nimi. Szeptali między sobą, przysięgając, że rebelia nie umrze razem z nimi. Jednak dwoje z nich nie dożyje świtu.

Sześć osób, które nigdy nie opowiedzą o tym, co stało się w dniu, odtąd już zawsze nazywanym dniem śmierci Księcia Buntownika.



ROZDZIAŁ 49

Kiedy umarła Hawa, czas stracił sens. Słońce wstało i zobaczyło jej śmierć. Zatrzymało się na niebie w samym środku nocy. A gwiazdy zerkały w dół, żeby nie przegapić narodzin smutku w nowym świecie. Cały świat wstrzymał oddech, gdy Attallah padł martwy, ponieważ jego serce pękło na dwie części.

Czas się teraz nie zatrzymał. Czas się kończył. Nie było czasu na planowanie. Nie było czasu na zdobycie wsparcia, czy chociażby jednego rewolweru. Nie wiedziałam, co robić. Nie wiedziałam nawet, dlaczego biegnę. Wiedziałam tylko, że biegnę, przepycham się przez tłum na ulicach i zbliżam do pałacu.

Nie było czasu na wezwanie pomocy. Nie było czasu na zaplanowanie akcji. Na to właśnie liczył Sułtan.

Zamierzał ściąć Ahmeda, a my ledwie zdążyliśmy na czas, nie mając szans na zaplanowanie akcji. Zamierzaliśmy improwizować. Jak zawsze.

Byliśmy w tym dobrzy.

Gdy przepychaliśmy się do przodu, zobaczyłam jakiegoś mężczyznę z rewolwerem.

– Jin! – Złapałam go za ramię. Zatrzymał się i popatrzył na to, co mu pokazywałam. Nie musiałam nic wyjaśniać. Jin chwycił mężczyznę, wykręcił mu rękę i przytrzymał, a ja wyrwałam mu broń. Zaraz ruszyliśmy dalej, oddalając się od wykrzykiwanych oskarżeń.

Tłum zaczął się zagęszczać, zanim w ogóle zobaczyliśmy pałac. Pchałam się. Ulice były zablokowane przez ludzi i nie mogłam iść dalej.

Nawet nie widziałam placu. Wbiłam się pomiędzy ludzi, ale

zaraz się zaklinowałam. Dotąd się wierciłam, aż przepchnęłam pod mur. Zadarłam głowę.

Nie uda mi się tam wejść. Nie samej. Ale weszłabym, gdyby ktoś mi pomógł. Jin wiedział, o czym myślę, zanim dobrze się nad tym zastanowiłam.

– Będziesz sama – powiedział. Ktoś go pchnął, poleciał na mnie i znaleźliśmy się przy samym murze. Sama, z bronią, pozbawiona mocy i krwawiąca z kilku ran.

– Wiem. – Oblizałam usta. Miały słony smak.

Jin mnie podniósł. Złapałam za występ nad głową i z wysiłkiem podciągnęłam się do góry. Wszystko trwało strasznie długo przez ból promieniujący z boku.

Postawiłam stopy na gzymsie i zaczęłam biec, nie zważając na przeraźliwy ból. Z łatwością przeskoczyłam wąską lukę i znalazłam się na kolejnym dachu. Nie miałam łatwego lądowania, zdarłam skórę na kolanie. Zaraz się podniosłam i pobiegłam dalej, zostawiając za sobą krwawy ślad. Przeskoczyłam na kolejny dach, gdzie spłoszyłam ptaki. Nie zatrzymywałam się. Parłam przed siebie, do przodu, do przodu, aż nie miałam gdzie dalej iść. Stałam na dachu, skąd rozciągał się widok na plac przed pałacem.

Ahmed stał sam, łańcuch łączył jego nadgarstki ze sceną górującą nad morzem ludzi. Patrzył w dół. Wiedziałam, co widzi. Obrazy bólu i śmierci. Wijące się potwory.

To, co w ostatnich chwilach widziała Shira.

To będzie ostatnia rzecz, którą zobaczy Ahmed.

Chyba że go uratuję.

Jakiś człowiek czytał na głos listę zbrodni, o które oskarżono mojego księcia. Nie słyszałam go w tym hałasie. Nad nim zobaczyłam balkon, z którego oglądałam śmierć Shiry. Po ostatnich zamieszkach otoczyli go żelazną kratą zamiast drewnianego parawanu. Wydawało mi się, że przez szpary między szczeblami dostrzegłam Sułtana przyglądającego się tej scenie, czekającego na śmierć

kolejnego syna.

Gdy lista dobiegła końca, Ahmed w końcu uniósł wzrok i spojrzął na morze głów mieszkańców Miraji. Stał przed swoim ludem.

– Sułtan – obwieścił mężczyzna – w swojej wielkiej mądrości i łasce zgodził się wykazać wyrozumiałością wobec pozostałych buntowników. Zachowają głowy, ale zostaną skazani na pokutne życie w służbie krajowi, który zdradzili. – Wielka mi wyrozumiałość. Sułtan sam mi kiedyś powiedział, że musi odzyskać miłość swojego ludu. Pamiętałam, jak udzielił ostrej reprymendy Kadirowi za publiczną egzekucję Shiry. Ludzie nie lubią cię za zabijanie niewinnych. – Jednakże za przestępstwa popełnione przeciwko własnej krwi Książę Ahmed został skazany na śmierć. – No tak, powiedział ludziom, że Ahmed zabił Kadira, swojego brata. Muszą więc zobaczyć śmierć Ahmeda.

Wycelowałam rewolwer w balkon i wyteńczyłam wzrok. Cel był niewielki, a ja byłam daleko. To było trudne nawet dla mnie. I nie wiedziałam, czy mogę pozwolić sobie na spudłowanie.

Za moimi plecami, ponad dachami Miraji zachodziło słońce.

Rozpłaszczyłam się na dachu i wycelowałam broń. Boże, miałam nadzieję, że rewolwer był sprawny. Nie miałam innego planu poza zastrzeleniem kata. Ale to na razie musiało starczyć. Musiałam ocalić Ahmeda, a potem będę się martwić, co robić dalej.

Kat wszedł na scenę, zadrzało mi serce. Nie posłał człowieka do zabicia Ahmeda. Sułtan posłał Abdalsa.

Nawet ja nie mogłam go zastrzelić.

Byłam bezradna. Miałam kata na muszce i nic nie mogłam zrobić. Ale i tak wycelowałam. Strzeliłam. Jeden czysty strzał, prosto w kolano. Z tłumu dobiegł krzyk na dźwięk strzału. Kat tylko się lekko zachwiał. Strzeliłam jeszcze raz

i jeszcze, celując w malutki punkt w jego nodze. Wreszcie skończyły mi się naboje.

A Abdals podszedł do Ahmeda.

Kazał mu klęknąć przed drewnianym blokiem. Ahmed nie walczył. Uklęknął z godnością, spuścił wzrok, spojrzawszy na makabryczne sceny rozgrywające się poniżej, po czym położył głowę na pieńku.

Próbowałam wezwać pustynię. Czułam, że piasek rozpierzchł się po ulicach. Zaczęłam go zbierać przy sobie, lecz ból przeszył mi bok, upadłam, a pył opadł z powrotem na ziemię.

Mechaniczny człowiek cofnął się o krok. Uniósł topór. A ja byłam bezradna. Byłam bezradna bez swoich mocy Półdzina, bez kul. Nie mogłam tego powstrzymać. Nie mogłam nic zrobić.

– Ahmed! – Wyrwało mi się z piersi. Ponad tłumem. Ponad gwarem nawołujących ludzi, przepychających się ciał, pragnących jego głowy, jego wolności.

Byłam za daleko, by mógł mnie usłyszeć. Za daleko, by dać mu jakiś znak. A mimo to jego głowa poderwała się w górę, zanim spadł na nią topór. Popatrzył wprost na mnie. Nasze spojrzenia się spotkały.

Promienie nisko wiszącego słońca odbiły się od metalu topora, zmieniając go w oślepiające światło.

Jednak słońce nie zatrzymało się. Czas się nie zatrzymał. Świat nie okazał współczucia dla mojego smutku.

Topór spadł. Światło zmieniło się w żelazo. I w krew.



ROZDZIAŁ 50

Nie płakałam, dopóki nie znalazłam się w bezpiecznym miejscu.

Nie byłam nawet pewna, jak dotarliśmy do Tajnego Domu. Jedynym, co znałam, była dłoń prowadząca mnie przez ulice, które po opadnięciu topora zmieniły się w morze chaosu. Przez świat, który stracił sens. Jin. Mógłby zaprowadzić mnie na miejsce egzekucji, a ja nawet nie wiedziałabym, że patrzę z góry na tłum, a nade mną wisi topór.

A potem przeszliśmy przez próg naszego azylu w Tajnym Domu, gdzie zaledwie dwa dni temu byliśmy wszyscy razem. Sara czekała za drzwiami, na biodrze trzymając płaczące dziecko. Poruszała ustami, ale nie słyszałam nic z tego, co mówiła. Jin pociągnął mnie dalej. I nagle poczułam się tak, jakbym dostała cios w brzuch. Na schodach ugięły się pode mną kolana.

Szlochałam. Za wszystkich zmarłych. Za wszystkie straty. Za to, co nam odebrano. Miałam to zapisane w pamięci na zawsze. Ostrze. Krew. Oczy.

Jego spojrzenie, gdy spotkał się ze mną wzrokiem ponad tłumem.

Sekundę przed śmiercią.

To była moja wina. Moja i kogoś, komu zaufałam. Komuś, o kim sądziłam, że jest niewinny.

Krzyk pojawił się tak niespodziewanie i był tak gwałtowny, że musiałam zatkać usta szimą, żeby nie usłyszeli mnie wszyscy mieszkańcy tego domu. Miała smak potu, piasku i skóry Jina.

Słyszałam jakieś dźwięki z pokoju obok. Żałobne głosy

ucichły, niepewnie nasłuchując. To właśnie zostało z naszej rebelii. Ludzie, którzy uciekli z zasadzki w domu Shazad.

Ich obecność była kojąca. Zamknęłam oczy i oparłam głowę o ścianę.

Zbyt wielu ludzi oddało swoje życie za innych.

Bahi spłonął, żeby ratować Shazad.

Shira położyła głowę na pieńku dla swojego syna.

Rahim oddał się w ręce swojego bezlitosnego ojca dla Leyli.

Moja matka dała sobie założyć pętlę na szyję dla mnie.

Myślałam o zemście i o miłości, o poświęceniu oraz wielkich i okropnych rzeczach, jakie robili ludzie. Bez przerwy myślałam o tym, ile osób oddało życie za rebelię.

Myślałam o chwili, gdy opadł topór. Oczy patrzące w moje oczy sekundę przed tym, jak opuściło je światło.

Schody zaskrzypiały tuż obok mnie. Nie otwierając oczu, wiedziałam, że to Jin. Wiedziałam, zanim jeszcze usiadł obok mnie. Zanim splótł swoje palce z moimi i kciukiem malował małe kółka na mojej dłoni.

– Jeszcze nie skończyliśmy. – Miałam zachrypnięty głos. Ledwie mówiłam. W końcu otworzyłam oczy.

– Wiem.

≈≈≈

Po naszym wejściu ucichły prowadzone szeptem rozmowy, w tle słychać było jedynie skandowanie na ulicach pod nami. Nieustający pomruk, jak bicie serca. Dobrze. Cisza to śmierć. A rebelia jeszcze nie umarła.

Wszystkie oczy w pokoju zwróciły się w moją stronę. Buntowników, których dobrze znałam, i tych, których nie znałam.

Złote dłonie Hali trzymały parujący kubek, który ktoś jej przyniósł, ciemne włosy opadały jej na twarz. Sara siedziała

w kącie, trzymając w ramionach śpiącego syna, wyglądała przez okiennicę na ulicę w dole i przełykała łzy. Sam wodził palcem po krawędzi pustej szklanki. Maz, owinięty w koc, mocno drżał, a jego niebieskie włosy sterczały pod każdym kątem. Tamid zszywał ranę na ramieniu Izza, w miejscu, gdzie oberwał kulą, wyraźnie wdzięczny za to, że ma coś do roboty.

Tylko jedno miejsce zostało wolne, na szczycie stołu. Połowa ludzi w pokoju wołała usiąść na podłodze niż zająć to miejsce. Poczułam, że Jin się spał, gdy je zobaczył.

Odchrząknęłam, ale mówiłam już pewnym głosem.

– Potrzebujemy planu. – Zwalczyłam w sobie chęć odszukania wzrokiem Shazad, która pomogłaby mi jakiś wymyślić. Została zabrana z Ahmedem. Delilą. Imin. Rahimem. Navidem. Wszyscy zostali pojmani.

– Co jeszcze można zaplanować? – Hala patrzyła do kubka z kawą, nie na mnie. Zacisnęła powieki. – Nie sądzisz, że to tylko kwestia czasu, zanim topór spadnie ponownie, i ponownie, i ponownie...

– Hala. – Maz przerwał jej, kładąc rękę na jej ramieniu. Wzięła się w garść, otworzyła oczy i zmierzyła mnie wzrokiem. Wzdrygnęłam się. Miała ciemnobrązowe oczy jak każda dziewczyna z pustyni, ale i tak przypominały mi złote oczy Imin. – ...i wszyscy też zginą – dokończyła.

– Nie. – Nie ustępowałam. Sułtanowi mogło się wydawać, że mnie wykorzystuje w czasie, który spędziłam w pałacu. Jednak ja w tym czasie nauczyłam się tego i owego o człowieku, który rządził Miraji. Sułtan był sprytny. Zbyt mądry, żeby ryzykować dalsze zamieszki na ulicach. – Sułtan traci władzę nad swoim ludem. Wie o tym. Dlatego nie ściał Rahima. Musiał zrobić widowisko z egzekucji Ahmeda. – Ktoś w kącie zaszlochał, lecz szybko zasłonił usta szimą. – Ale dla reszty z nich bardziej liczy się okazywanie miłosierdzia niż eksponowanie siły.

– Myślisz, że ich wypuści – powiedziała Hala.

– Zamiast ich ściąć – dokończył Maz. Na krótko w pokoju rozbłysła iskra życia.

Musiałam opowiedzieć im resztę tego, co obmyśliłam. Zamierzałam powiedzieć to im wszystkim. Jednak mój wzrok cały czas wędrował do siedzącej w kącie Hali. Czekanie niczego nie ułatwi.

– Jest coś jeszcze. – W pokoju zrobiło się cicho. – Dzisiaj kogoś straciliśmy. – Widziałam tę scenę przed oczami. Głowę na pieńku. Oczy patrzące w moje oczy. Wytwory iluzji i fałszu. – Ale to nie był Ahmed. – Moje oczy koloru nieba. Jego w odcieniu stopionego złota. Patrzące wprost na mnie. Znałam te oczy. Ale nie należały do Ahmeda.

To, co powiedziałam, zaczęło powoli docierać do zgromadzonych w pokoju. Na końcu dotarły do złotoskórej twarzy Półdzinki.

Imin.

– Hala, tak mi przykro...

Smutek i gniew walczyły ze sobą na jej twarzy, podczas gdy reszta z nas milczała na cześć Imin. Schowała twarz w dłoniach.

Ahmed nie pozwoliłby, żeby ktoś inny stanął za niego przed katem. Ale nie tylko on został uwięziony. Połowa rebelii weszłaby na tę scenę za Ahmeda. Shazad obmyśliła plan, mimo całego zamieszania podczas ataku.

Delila z włosami pofarbowanymi na czarno kryła swoją naturę Półdzina; może nie umiała ukryć całego miasta, ale była na tyle sprawna, żeby na jakiś czas schować swojego brata, ukryć jego tożsamość stwarzając iluzję innej twarzy. Tej, którą miała Imin, gdy zostali zabrani. A Imin dobrze się nadawała, by zająć miejsce Ahmeda. Nie tylko dobrze. Doskonale. Imin weszła na plac straceń zamiast naszego księcia.

– Ahmed żyje.

Rozejrzałam się wokół małego, ciasnego pokoju, naszego ostatniego azylu.

– Sułtan miał dziś nad nami przewagę, ale nie może przygotować się na każdą ewentualność. Nie wiedział, że uda mi się uciec od niego. – Popatrzyłam na Tamida. – Nie zaplanował, że uciekniemy. I, do licha, na pewno nie zaplanował, że Ahmed przeżyje.

– Kto nas poprowadzi? – zapytał Izz. Popatrzył na Jina.

– Nie patrz na mnie – powiedział Jin. Opierał się o framugę drzwi. Jakby w każdej chwili mógł zniknąć z rebelii.

– Ja nas mogę poprowadzić. – Ta deklaracja ściągnęła na mnie wszystkie spojrzenia. Czekałam. Nikt nie zaprotestował. Ani słowa sprzeciwu.

Byłam Półdżinem. Byłam Niebieskooką Bandytką. Byłam ich przyjaciółką. Uczyłam się strategii od Shazad. Żyłam wśród wrogów. Nie opuściłam ich, gdy zniknął Jin. A oni wierzyli mi, gdy powiedziałam, że mogę objąć dowodzenie.

Musielśmy ocalić naszych ludzi, naszych przyjaciół, naszą rodzinę. A kiedy już do nas wrócą, udamy się z Rahimem po armię do Iliaz. Odsunęłam się od ściany. Chwiałam się, ale stałam o własnych siłach. Nadal istnieliśmy.

Tym razem mieliśmy przewagę nad Sułtanem – jedyną rzecz, która była naprawdę niepokonana. Nie jako stworzenie nieśmiertelne, ale jako idea. Legenda. Historia.

Niebieskooka Bandytka była zawsze potężniejsza ode mnie. Książę Buntownik był zawsze potężniejszy od Ahmeda. A teraz mogliśmy stworzyć lepszą opowieść niż o księciu marnotrawnym. Taką, która nigdy nie zostanie zapomniana. Taką, za którą stanie całe Miraji. O księciu, który wrócił z zaświatów, żeby zasiąść na tronie i ocalić swój lud.

SPIS TREŚCI

[Rozdział 1. Obcy książę](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19. Bezimienny chłopak](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31. Zdradziecki dżin](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48. Książę buntownik](#)

[Rozdział 49](#)

Rozdział 50